



SALAMANDRA

MODLITWA

SMOKA

Eliot Pattison

Kontynuacja powieści  
*Mantra czaszi*  
oraz *Woda omywa kamień*



**Pattison Eliot**

*Inspektor Shan 05*

**Modlitwa smoka**



## ROZDZIAŁ 1

Zanim Shan Tao Yun trafił do tybetańskiego obozu pracy, nie miał pojęcia, że jest tyle sposobów umierania, tyle słów na określenie śmierci, nigdy nie przyszło mu na myśl, że śmierć może być cudem równie wielkim jak narodziny. Tybet był krajem pełnym zagadek, a dla Shana największą z nich było to, że w miejscu, gdzie tak trudno żyć, umieranie może przybierać tak doskonałe formy.

Minęło już przeszło pięć dni, odkąd starszy mężczyzna, którego miał przed sobą, siedział na posłaniu z nogami skrzyżowanymi w pozycji lotosu. Były towarzysz z celi, a obecnie przyjaciel Shana, Lokesh, powiedział mu to tuż po jego niedawnym przybyciu. Choć śmierć czaiła się w pobliżu, duch starego człowieka utrzymywał ją na dystans. Przebywał w miejscu, gdzie docierało niewiele. Po pierwszych dwóch dniach mieszkańcy ukrytej w górach wioski zamiast przedmiotów stosowanych w obrzędach przedśmiertnych ułożyli przy nim ofiary z owoców i figurki z masła. Niektórzy przekonani byli, że gdyby zedrzeć mu skrawek skóry, pod spodem ukazałoby się tylko oślepiające światło.

Gendun, wiekowy lama w bordowej szacie, siedzący w głowach posłania, zaintonował obco brzmiącą mantrę, przywołując nieznane Shanowi bóstwo. Przybył do tej zapadłej wioski ze swego nielegalnego, tajemnego klasztoru wraz z Lokeshem, w odpowiedzi na wezwanie. Po Shana, który był wówczas poza klasztorem, posłali, uświadomiwszy sobie charakter problemu. Teraz Lokesh usiadł obok Shana, gładząc się po siwym podbródku. Jakaś kobieta wymachiwała laseczką kadzidła nad nieruchomą postacią na posłaniu.

- Oni mówią, że on jest w stanie duchowej doskonałości -oświadczył bezbarwnym głosem Lokesh.

Shan przyjrzał się uważnie dwójce swych przyjaciół. Gen-

dun, o twarzy wygładzonej niczym kamień w rzece, powitał go skinieniem głowy, nie gubiąc rytmu modlitwy. Lokesh, utkwivszy wzrok w spokojnym obliczu mężczyzny na posłaniu, ścisnął w dłoni paciorki modlitewne z taką siłą, że zbieleły mu kostki palców. Shan wiedział, że nie kazano mu gnać ponad sto pięćdziesiąt kilometrów karkołomnymi górskimi szlakami, by mógł ujrzeć cud, jaki stał się udziałem nieznanego wieśniaka.

- Tyle że...? - zawiesił głos.

Lokesh ujął różaniec w złączone dłonie i utkwivł wzrok w zagłębieniu, jakie tworzyły. W jego szepcie łączyły się zdumienie i melancholia.

— Tyle że to morderca.

Shan oparł się o ścianę, patrząc teraz wyłącznie na Gen-duna. Jeśli stary lama, opat nielegalnych mnichów, wśród których Shan żył od opuszczenia obozu, siedział z tym człowiekiem przez tyle dni, zapewne do tej pory wiedział już o nieznanym rzeczy, jakich nikt by nie odgadł, rozumiejąc je doskonale, choć nigdy nie ująłby ich w słowa. Gendun, jak wielu starych buddystów, nie ufał słowom, uważając je za niezdarne, ułomne więzi między ludźmi. Nie powiedziałby wprost o osobliwej mieszance strachu i podziwu, która zdawała się trzymać wioskę w swej mocy. Shan jednak dobrze znał swego nauczyciela i dostrzegł chwilowe wahanie w jego skinieniu głowy. Przyjrzał się siedzącym na polepie pod ścianą zadymionej izby wieśniakom, niespokojnie obserwującym mężczyznę na posłaniu. Gendun i Lokesh nie odbywali tego pełnego napięcia czuwania z powodu zabójstwa, ale dlatego że dusze tych ubogich rolników drżały z trwogi. Liczyli na to, że morderstwem zajmie się Shan - to była jego dziedzina, nie ich.

Shan przybył do wioski otępiąły ze zmęczenia. Pędził przez góry, ledwo dotrzymując kroku małowównym młodym pasterzom, którzy po niego przyszli, oszalały ze strachu, że dwóm ludziom, którzy stali się dla niego jak rodzina, zdarzyło się nieszczęście. Na ich widok odprężył się, zamykając na kilka minut oczy, słuchając, chłonąc łagodne, wibrujące słowa Genduna. Oświadczenie Lokesha wypaliło w nim ostatnie resztki znużenia i czujnie rozejrzał się po starej stajni,

tak jak zrobiłby to, gdy jeszcze był śledczym w Pekinie. Na straży przy drzwiach stał mężczyzna o byczej posturze. Na splekanej desce leżącej w nogach posłania nieprzytomnego mężczyzny znajdowało się kilka zwęglonych patyczków, pozostałości po laseczkach kadzidła. Przed kadzidełkami stał rząd małych torm, ulepionych z masła i mąki jęczmiennej wyobrażeń świętych symboli, wśród których była zgrabnie uformowana figurka bogini o wygiętych wdzięcznie ramionach. Na pobliskiej ścianie widniały smugi kredy. Shan przyjrzał się niewyraźnym znakom. Ktoś napisał mantrę mani, modlitwę do bodhisattwy współzucia. Ktoś inny ją starł.

Krzepka kobieta w czarnej sukni pochyliła się przed Sha-nem, podając mu czarkę herbaty z masłem — nieodzowny element tybetańskiej gościnności. Podziękował skinieniem głowy, ale zamarł w pół gestu, gdy jego wzrok napotkał jej oczy. Wymuszony uśmiech nie był w stanie ukryć wrytego na jej twarzy bezbrzeżnego smutku. Cienka warstewka sadzy na policzkach, typowa dla tych, którzy oświetlali swe domostwa lampkami maślanymi, była poznaczona smugami łez.

Mężczyzna na posłaniu był wysoki i szczupły. Jego zmierzwione czarne włosy były przyprószone siwizną. Miał ogorzałą cerę, twarde, mocne dłonie i znoszone ubranie, tak jak ci, którzy siedzieli pod ścianami. Jego brudna kamizelka z owczego runa nie różniła się od tych, jakie nosili niektórzy chłopci. Gdyby wieśniacy przygotowujący go do obrzędów przedśmiertnych obnażyli jego stopy do mycia, Shan uznałby, że to jeden z nich. Nie zrobili tego jednak, tak więc widział jego solidne, sięgające za kostki skórzane buty na grubej podeszwie, ze starannie wykonanymi metalowymi elementami. Kosztowałyby połowę rocznych dochodów którejkolwiek rodziny w wiosce. Człowiek, którego mieli przed sobą, usadowiony niczym bóg na ołtarzu, przybył tu skądinąd, ze świata w dole. Czyżby z Lhasy?

W głowie Shana kłębiły się dziesiątki pytań na temat nieznanego na posłaniu, największą zagadką jednak były poczynania jego własnych przyjaciół. Mężczyzna siedział oparty o tylną ścianę, obłożony luźnymi kocami ułożonymi

tak, by zakrywały inne, zrolowane, które utrzymywały jego nogi w pozycji medytacyjnej. Lecz Gendun i Lokesh musieli wiedzieć, że jest nieprzytomny, nie zaś pogrążony w medytacji.

Shan przyglądał się Gendunowi i nieznanemu mężczyźnie, dostrzegając zarazem nerwowość, z jaką wieśniacy zbliżali się, gdy trzeba było napęlić lampki, i nieufne spojrzenia, jakie rzucali w stronę Genduna. Większość z nich, jak podejrzewał, od wielu lat nie widziała prawdziwego mnicha, młodsi być może nigdy. Pekin przeorał tę ziemię tak brutalnie, że nowym siewkom trudno było zapuścić korzenie.

Nachylił się w stronę starego przyjaciela.

- Kto się budzi? - zapytał szeptem, wiedząc, że Lokesh zrozumie.

- Czerwona Tara - padła niepewna odpowiedź. Mantra, którą recytował Gendun, była inwokacją do groźnej postaci tybetańskiej bogini-matki, wzywanej na pomoc do walki z demonami i przeszkodami na drodze współczucia. Shan jeszcze raz powiódł wzrokiem po twarzach ludzi w stajni. Mantra lamy nie była przeznaczona dla nieprzytomnego mężczyzny, ale dla mieszkańców wioski.

Lokesh był dziwnie podenerwowany. Zakrzętnął się przy lampkach, po czym usiadł z dala od Shana przy drzwiach, chwilę później wstał, by wyrzucić przez drzwi na zewnątrz, i znów usiadłszy, przesuwając paciorki swej mali. Shan rzadko widział przyjaciela tak rozstrojonego. Gdy jeden jedyny raz Lokesh odwzajemnił spojrzenie, w jego oczach było coś, czego Shan nie widział w nich nigdy przedtem, nawet za ich obozowych dni - straszliwa rozpacz, bolesna bezradność.

Lokesh wyszedł na zewnątrz i Shan się podniósł, by pójść za nim, wtem jednak przystanął i cofnął się w cień. W izbie pojawił się ktoś nowy - krępy mężczyzna w czarnej sportowej bluzie z naciągniętym nisko na twarz kapturem. Przybysz gniewnie przepchnął się obok strażnika i energicznym krokiem podszedł do posłania. Shan rzucił się naprzód, ale było za późno. Intruz podniósł rękę i uderzył nieprzytomnego mężczyznę w twarz. Kobieta w czarnej sukni jęknęła. Siedzący obok Genduna starzec krzyknął z przerażenia, gdy jednak spróbował złapać napastnika za rękę, został powa-

lony na ziemię. Ułamek sekundy później strażnik wraz z innym krzepkim wieśniakiem chwycili intruza za ramiona i odciągnęli.

- Patykarz! - Przybysz rzucił to słowo, jak gdyby było to imię demona, szarpiąc się, by oswobodzić ręce. — Wiemy, jakie oblicze przybiera na tej górze śmierć!

Strażnik podniósł z ziemi krótką, grubą deskę i pogroził mu nią. Intruz zareagował szyderczym uśmiechem.

— Rzeźnik! — warknął, po czym sięgnął do kieszeni, rzucił czymś w mężczyznę na posłaniu i odwrócił się w stronę drzwi. Przyskoczył jeszcze do ofiarnych torm, pochylił się nad nimi i znów coś cisnął na posłanie. Mężczyźni wywlekli go na zewnątrz.

Kobieta, która przyniosła Shanowi herbatę, podbiegła i podniosła coś ze skraju siennika. Ukryła te przedmioty w fałdach sukni, nie dość szybko jednak, by Shan nie zdążył ich rozpoznać. Były to fragmenty uformowanej z masła bogini, teraz okaleczonej. Intruz oderwał figurce ręce i rzucił nimi w mężczyznę na posłaniu.

Gendun nie zwrócił na to wtargnięcie najmniejszej uwagi, nieprzerwanie recytując swą mantrę. Jego łagodny głos uspokoił wszystkich i wkrótce zdawało się, że tego zajścia w ogóle nie było. Z pozoru nikt nie zauważył, gdy Shan się pochylił, by podnieść mały pakunek, który odbił się od piersi pogrążonego w śpiączce mężczyzny. Składał się on z czterech prostych, obranych z kory gałązek, z których każda miała na górnym końcu trzy wąskie paski: jeden niebieski oraz dwa czerwone. „Rzeźnik”. Słowo to budziło jakieś echo w jego pamięci, jak gdyby powinien je rozpoznać.

Wetknął patyczki do kieszeni i zdjawszy swój obszarpany kapelusz z kołka, wyszedł na zewnątrz. Jaskrawy blask popołudniowego słońca eksplodował na siatkówce jego oczu. Gwałtownie obciągnął kapelusz w dół i nagle się zachwiał, niemal upadając, gdy otoczył go tętent drobnych kopytek. Nim odzyskał równowagę, owce minęły go pędem, prowadzone przez pasterza w stronę wyższych, trawiastych partii stoku. Nie było widać ani Lokesha, ani intruza.

Wieś nazywała się Drango, co znaczy po tybetańsku Szczyt Skały. Składało się na nią około czterdziestu do-

mostw, w większości o tradycyjnej konstrukcji - niewielkie piętrowe budynki z pomieszczeniami dla żywego inwentarza na dole i izbami mieszkalnymi powyżej. Każdy na tyłach miał otoczone wałącym się kamiennym murem podwórko, gdzie nierzadko pasły się kozy. Bielone wapnem ściany większości domów były zszarzałe, rdzawoczerwone niegdyś framugi drzwi i okien wyblakłe do odcienia burego różu. Przy ścieżkach prowadzących na pola stały dwa okrągłe kamienne spichrze do składowania jęczmienia. Za zabudowaniami dało się dostrzec kamienne fundamenty znacznie większej budowli, wśród których wytyczono ogródki warzywne. Był to częsty widok w górach. Chińska armia, uznając takie miejsca za zbyt niedostępne dla piechoty, przeznaczyła na podobne osady dość bomb lotniczych, by zapewnić unicestwienie wszystkich lokalnych świątyń.

Shan błędził drózkami wśród chałup, podziwiając kwiaty lotosu wyrzeźbione na belce pod dachem, na poły ukończony barwny dywanik rozpięty na mocno sfatygowanych krosnach, stertę ręcznie wyplatanych koszy oczekujących na plon tegorocznych żniw. Żaden pojazd silnikowy nie był w stanie dojechać bliżej niż osiemdziesiąt kilometrów od wsi, a zabranie towarów na targ oznaczało mozolną wyprawę z jakiem i mułem. Wioska musiała się wyżywić i przyodziać sama, jak robiła od wieków. Shan zapuścił się w niewielki labirynt biegnących zakosami murów, mijając kuźnię, piec chlebowy, składy łąjna i drewna oraz rzędy wielkich glinianych dzbanów z marynowanymi warzywami. W chłodnym powietrzu późnego lata unosiła się ostra woń ubijanego na masło jaczego mleka, przemieszana z zapachem ziemi, łąjna i herbaty.

Drango było wioską niezwykłą pod względem tego, co widział, i tego, czego nie widział. Czas się tutaj zatrzymał -ta dumna, pokojowo nastawiona społeczność niewiele zmieniła się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Ale jedynymi świadectwami buddyjskiej tradycji był mały sznurek wystrzępionych flag modlitewnych powiewających z kamiennego kopca ponad wioską, wyblakłe święte symbole namalowane obok kilkorga drzwi, rozpadające się drewniane ołtarzyki na tyłach nielicznych domów oraz ułożony na końcu jedynej uli-



cy potężny stos jałowcowego chrustu, wonnego drewna spalanego dla przywabienia bóstw. Brak tu było rozwieszonych między zabudowaniami chorągiewek modlitewnych, jakie widywało się często w podobnych osadach, brak młynków modlitewnych, nie dostrzegł też, by próbowano odbudować to, co zniszczyły chińskie wojska, gdy przed kilkudziesięciu laty wtargnęły do Tybetu. Czując się coraz bardziej nieswojo, Shan obszedł wieś od tyłu i natrafił na rozległy krąg ubitej ziemi na końcu ulicy, oczyszczony z kamieni i nieporośnięty zbożem. Mógł to być plac do przewiewania ziarna. Albo lądowisko dla helikopterów. Poczul nieproszony skurcz, przebudzenie starych instynktów, które uparcie nie chciały umrzeć, wyćwiczonych przez dwadzieścia lat pracy w charakterze inspektora do zadań specjalnych w wewnętrznym kręgu najwyższych dygnitarzy Pekinu.

Ukryty w cieniu przyjrzał się uważnie poszczególnym domostwom. Od razu wypatrzył kilkanaście pustych masztów, na których, zgodnie z tradycją, powinny wisieć flagi modlitewne. Potem jednak spostrzegł, że do masztu przy największym, najlepiej utrzymanym domu przymocowana jest antena radiowa. Ruszył dalej, krążąc między zabudowaniami, dopóki nie natknął się na dwóch może czteroletnich chłopców, bawiących się na kamiennym stopniu jednej z chałup. Poczul kamień w żołądku i wycofał się. Chłopcy bawili się glinianymi figurkami buddyjskich świętych, podnosząc je jedną po drugiej i naciśnięciem kciuka odłamując im główki, czemu towarzyszyła za każdym razem salwa śmiechu. Bezgłowe korpusy leżały w rzędzie na stopniu.

Znalazł Lokesha siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na długiej, płaskiej skale pięćdziesiąt metrów nad doliną, skąd roztaczał się widok nie tylko na całą wieś, okoliczne pola oraz przepływający przez nie strumień, ale także na niższe, opadające stopniowo na południe i zachód pasma gór. Dotarłszy do przyjaciela, obszedł skałę, chłonąc wzrokiem rozległy pejzaż, nim odwrócił się w stronę piętrzącego się nad ich głowami potężnego, poszarpanego szczytu, najwyższego punktu na przestrzeni dziesiątków kilometrów.

Lokesh zdawał się czytać w jego myślach.

- Nazywają go Górą Śpiącego Smoka. To święty szczyt

oznajmił zmęczonym głosem - siedziba potężnego ducha ziemi. Niektórzy mieszkańcy wioski twierdzą, że to dlatego spływa na nich tyle łask.

Normalnie Lokesh powiedziałby to z wielkim ożywieniem. Gdy ostatnim razem on i Shan odwiedzili taką górę, przez cały dzień wspinali się ku wierzchołkowi, układając po drodze kopce z kamieni, po czym medytowali pod szczytem przy wschodzącym księżycu. Ale dzieci tej góry śmiały się, odłamując główki świętych.

- Byli zaskoczeni naszym przybyciem - dodał nagle stary Tybetańczyk. - Chodron, naczelnik wioski, powiedział, że nikt po nas nie posyłał. Był zły, kiedy jedna ze starszych kobiet oświadczyła, że los chciał, byśmy znaleźli się tutaj, i zaprowadziła nas do stajni. Od tamtej pory Gendun przerwał czuwanie tylko raz, by przespać się kilka godzin, podczas gdy ja dalej recytowałem mantry. Ilekroć wyjdę na zewnątrz, wieśniacy chodzą za mną z herbatą i tsampą, jak gdyby chcieli odciągnąć mnie od czegoś. Nie chcą rozmawiać o tym, co się stało. Mówią tylko, że dwoje ludzi nie żyje, i obwiniają nieznanego ze stajni. Chodron niemal nie spuszcza nas z oczu. Postawił tego człowieka przy drzwiach, by obserwował wszystko, co robimy.

- Ale jednak ktoś po was posłał — zauważył Shan.

Medytował w samotności, a kiedy wrócił do sekretnej górskiej pustelni, przekonał się, że obaj jego przyjaciele opuścili ją. Później dwaj pasterze, nastoletni chłopcy, zdyszani po pospiesznym marszu przez góry, przynieśli mu pilną wiadomość od Lokesha, by udał się wraz z nimi do Drango.

Usiadł obok przyjaciela, zdumiony słabością w jego głosie, martwiąc się, czy nie jest to objaw choroby. Podążył za jego spojrzeniem wzdłuż kamiennego muru otaczającego najbliższe pole. Niemal sześćdziesiąt metrów dalej, w miejscu, gdzie mur się wyginał, by objąć targany wiatrem jałowiec, ujrzał widok tak dziwny, że dłuższą chwilę trwało, nim pojął, co widzi.

Kobieta w tradycyjnej sukni z fartuchem karmiła mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę, cierpliwie wkładając mu do ust małe kęsy, być może kawałki owoców albo grudki tsampy. Mężczyzna nie był w stanie jeść sam, gdyż jego ręce

tkwiły unieruchomione w długiej na półtora metra drewnianej belce, która otaczała mu szyję.

- To *canque* - wyjaśnił Lokesh. - Nie widziałem takiego kołnierza od czasu, kiedy byłem dzieckiem. Aż do tej pory ten człowiek przebywał na wyższych partiach stoku.

Wielki brązowy pies, jeden z mastyfów, jakie wykorzystywano do pilnowania owiec, wyłonił się zza człowieka w drewnianym kołnierzu, spojrzał na Shana i Lokesha, zwrócił łeb w stronę małego stada na stoku powyżej, po czym usadowił się obok mężczyzny. \_ .

Shan nie widział nigdy takiego urządzenia, znał je jednak z opowieści, jakie więźniowie w obozie pracy snuli podczas długich zimowych nocy. W dawnym Tybecie nie było więzień, nie było też niemal przestępców. Gdy trzeba było wymierzyć karę przybierała ona postać zależną od miejscowych zwyczajów. Drobniejszym przestępcom niekiedy nakładano tego rodzaju konstrukcje, po czym wypuszczano ich, by nosili swe

więzienie ze sobą.

- Ale przecież - powiedział - to nie może być... - Urwał w pół zdania. To nie może być prawda? Ale widział to, był świadkiem mąk, jakie przechodził mężczyzna, by umknąć śmierci głodowej. To nie może być dozwolone? Rząd nie interesował się zbytnio tym, co dzieje się w tak odciętych od świata społecznościach.

-Przestępstwa są rzadkością w Drango - ciągnął Lokesh - Ale kiedy się zdarzą, o karze decyduje naczelnik. Ma starą książkę, z której czerpie rady. Złodzieje są skazywani na kołnierz.

Shan zaczął pojmować udrękę przyjaciela.

- A zabójcy?

- Nawet najstarsi nie pamiętają, by doszło tu do morderstwa. Zajrzeli do swojej książki. Nie zdecydowali się jeszcze do końca, ale robią przygotowania.

- Przygotowania?

- Postanowili, że jeśli obcy umrze albo pozostanie w stanie błogiej szczęśliwości, będzie to dowód, że połączył się z bogami. Jeśli się obudzi... - Lokesh spojrzał w stronę ciem za najbliższym domem, gdzie mężczyzna pochylał się nad kamieniem szlifierskim. - Ostrzą łyżki - wyjaśnił łamiącym się głosem.

- Łyżki?

- Jeśli się obudzi, zrzucą go z urwiska albo wyłupią mu oczy.

Shan poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. Rozejrzał się po spokojnej, małej wiosce.

- To dlatego nie próbowałeś go leczyć - domyślił się.

- Jeśli przywrócę mu przytomność, skażę go na ich karę. Zdawało się, że samo powietrze się ochłodziło. Shan wtulił mocniej szyję w kołnierz pikowanej kurtki.

- Co wiadomo o zamordowanych?

- Podobno to dwaj mężczyźni spoza wioski - odparł Lo-kesh. - Paru tutejszych znalazło człowieka, który jest w stajni, na stoku góry. Siedział oparty o skałę, jak gdyby medytował. Siedział tuż przy zwłokach. Obok niego narysowany był symbol świętej wazy.

Coś takiego mógł robić pustelnik - siedzieć u stóp wysokiej skały przy rysunku świętego symbolu, na którym ogniskował swą medytację.

- Żadnych napisów?

- Tylko waza i jeszcze jeden znak, którego nie potrafili rozszyfrować. Był namalowany krwią. Chordon mówi, że zabójca narysował go, by okazać skruchę, że to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Miał ślady krwi na palcach, a na ziemi obok niego leżał młotek.

- Młotek? Czy zwłoki zostały zatłuczone na śmierć?

- Nie zgodzili się pokazać mi zwłok - brzmiała odpowiedź Lokesha.

Pogrzebał w kieszeniach i wyciągnąwszy zwiędnięte jabłko, wstał i ruszył w stronę pary przy końcu kamiennego muru. Kobieta zerwała się na nogi, rozsypując orzechy z fartucha. Chwyciła mężczyznę za ramię przy kołnierzu, ponaglając go, by wstał. Shan słyszał, jak Lokesh zachęca ich, jak gdyby miał do czynienia z płochliwym koniem, by wzięli jabłko, zagadując łagodnym tonem na temat wielkiego głazu nad pastwiskiem, który, jak sugerował, sprawiał wrażenie siedziby jakiegoś ducha ziemi.

Mężczyzna najwyraźniej dobrze wyćwiczonym ruchem przekreślił kołnierz, uwalniając się z uchwytu kobiety. Z przyjazną miną odwrócił się do Lokesha i kiwając głową w stro-

nę głazu, powiedział coś, ale zbyt cicho, by Shan mógł dosłyszeć. Kobieta pozbiierała rozsypane orzechy do fartucha i czmychnęła. Pies podszedł bliżej, obwąchał Lokesha, pomerdał ogonem i usadowił się między obydwoma mężczyznami, kiedy usiedli w cieniu samotnego drzewa.

Shan wyciągnął z kieszeni wiązkę patyków, którą intruz cisnął w nieprzytomnego mężczyznę. „Patykarz”. I inne wyzwisko, które padło z ust intruza. „Rzeźnik”. Coś, co tkwiło zagrzebane w zakamarkach jego pamięci, wynurzyło się wreszcie. Przed laty, gdy krążył między więzieniami w zachodnich Chinach, nim został w końcu przewieziony do Tybetu, epitet ten był używany w kręgach zatwardziałych kryminalistów na określenie tych, którzy specjalizowali się w zabójstwach. Wstał ogarnięty nową falą złych przeczuć.

Lokesh i człowiek w kołnierzu byli tak zaabsorbowani rozmową, że żaden z nich nie zwrócił uwagi, kiedy przysiadł się do nich. Mężczyzna najwyraźniej odkrył, że Lokesh zna się na uzdrawianiu, i dyskutował z nim na temat ziół stosowanych dla wzmocnienia osieroconych jagniąt. Shan zauważył kociołek i palenisko, obok którego znajdował się niewielki stosik chrustu i wysuszonego jaczego łajna na opał. W cieniu muru leżał zrolowany koc i gruby, długi na ponad poł metra kij, obrany z kory i rzeźbiony w kwiaty lotosu. W połowie wysokości muru między kamienie wkliniowana była deska, na której leżało kilka wydrążonych trzcin. Pod nią na trawie leżał duży, płaski kamień, na którym spoczywał obciążony kamykami prostokątny kawałek papieru, stronica z pechy, tradycyjnej tybetańskiej księgi o niezszywanych kartkach.

Shan uświadomił sobie, że mężczyźni przerwali rozmowę. Napotkał milczące spojrzenie wieśniaka.

-Nie zamierzałem wpraszać się do twojego domu -usprawiedliwiał się.

Oczy mężczyzny uśmiechnęły się, gdy gestem dłoni omiół przedmioty pod murem.

- Ten wspaniały kamienny dom medytacji jest dziełem moim żebraka".- Cytował Milarepę, wielkiego tybetańskiego poetę-pustelnika. - „Gdy dmie wiatr, moi uczniowie, owce, okrywają mnie swoim runem” - ciągnął przyjaznym tonem. Nim Shan zdążył odpowiedzieć, dodał: - A ty jesteś

tym chińskim czarnoksiężnikiem, który sprawia, że znikają więzienne kraty, i który zbiera prawdę z rozdziobanych przez wrony pól.

Shan przyjrzał się uważnie jego twarzy, spodziewając się oznak drwiny. Nie znalazł ich jednak.

- Ojciec mówił mi zawsze, że dręczy mnie nadmierna ciekawość - powiedział. - Kiedyś, w dzieciństwie, dostałem mały zegar. Nim minął dzień, wymontowałem każdą śrubkę, każdy sztyft, każdą sprężynę, by odkryć czary, dzięki którym działał.

- W młodym wieku przedarłeś się przez złudzenia czasu i rzeczywistości — zauważył mężczyzna w kołnierzu.

- W młodym wieku - sprostował Shan - nauczyłem wszystkich, że nie należy dawać mi do ręki zegarów.

Mężczyzna parsknął stłumionym śmiechem. Uwagi Shana nie uszło nieufne spojrzenie, jakie rzucił w stronę zabudowań.

- Mam na imię Yangke - powiedział. - Pasterz-poeta z Drango. - Przyglądał się Shanowi przez chwilę, pochylając się, by zajrzeć pod rondo jego kapelusza. - Był czas, kiedy i ja marzyłem o tym, by być mnichem. Słyszałem o starcu o radosnych oczach, który pomaga ukrytym lamom - ciągnął - i o nieuchwytnym lamie, którego w księżycowe noce widuje się w górach nad doliną Lhadrung w towarzystwie widma z obozu pracy. Słyszałem nawet o wygnanym chińskim inspektorze, który niekiedy dokonuje rzeczy niemożliwych, pomagając Tybetańczykom. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że widmo i wygnaniec są jedną i tą samą osobą. Pasterze, których twój przyjaciel wysłał do Lhadrung, sądzili, że idą po jeszcze jednego nielegalnego lamę, co ich przerażało. Ale były detektyw z Pekinu przeraził ich jeszcze bardziej. Jesteś zupełnie skądinąd - zauważył. - Czytałem o wróżbitach z innych światów, którzy chodzą między nami, wyjaśniając sprawj', których reszta z nas nie jest w stanie ogarnąć rozumem.

- Ja też słyszałem sporo o takich wróżbitach - przyznał Shan. - To melancholijne, chore stworzenia, których głowy przepelnione są zbyt wieloma głosami. Cuda, jakie objawiają, wyniszczają ich.

Yangke wykonał barkami ograniczony przez canąe ruch, który Shan wziął za wzruszenie ramion.

- Ale w odróżnieniu od mieszkańców Drango ty nie stchórzysz przed cudami - powiedział.

Gdy Shan wymienił spojrzenia z Lokeshem, przez jego umysł przemknęły różne obrazy. Sędziwi lamowie, którzy spędzili większość życia w więzieniu, pielęgnujący jego rozbitą duszę i ciało po tym, jak pozbyto się go, wysyłając do obozu pracy. Tybetańczyk z ich więzienia, który stracił stopę, rzucając się pod koła ciężarówki, by ratować rannego ptaka. Gendun i jego nielegalni mnisi potajemnie pracujący w swych pieczarach przy iluminowaniu modlitewników dla przyszłych pokoleń, ryzykując uwięzienie lub jeszcze gorszy los, podczas gdy mogliby żyć bezpiecznie w Indiach.

- Odkąd przybyłem do Tybetu - rzucił w odpowiedzi - moje życie to jedno pasmo cudów.

~*Lha gyal lo*, niech zwyciężą bogowie - szepnął Lokesh, jiiik zwykle w chwilach radości. Wyciągnął z kieszeni mały, podniszczony scyzoryk i zaczął odkrawać kawałki jabłka, wkładając je Yangkemu do ust.

Gdy oddawał się temu zajęciu, podeszła do nich mała dziewczynka i posuwając się bokiem, tak by mieć Lokesha i Shana wciąż przed sobą, postawiła na wklonowanej w mur drewnianej półce czarę herbaty z masłem. Włożyła do niej jedną z wydrążonych trzcin, po czym wycofała się tyłem i czmychnęła. Yangke spojrzał niepewnie na swych gości. Na zachęcający gest Lokesha pokuśtykał na kolanach do tacy i zaczął pić przez trzcinę.

- Opowiedz nam o cudach Drango - poprosił Shan, gdy Tybetańczyk opróżnił czarę.

- Solidny, lśniący prom przemierzający ocean bytu -oświadczył Yangke. Jego żartobliwość była autentyczna, jfdnak równie prawdziwa była spowijająca go melancholia. - Największym cudem jest nasze odosobnienie - ciągnął. - Gdzie indziej ludzie próbują zapomnieć o świecie, ale rzadko się zdarza, by to świat zapomniał o jakimś ludzie. Straciliśmy wszystko, co nas krępowało.

- Nie wszystko - zauważył Shan. Yangke uśmiechnął się szeroko.

- Uwięzienie wyzwoliło mnie. Stałem się drzewem, a drzewo zakorzeniło się w naukach. Pilnując owiec, uczę się na pamięć świętych tekstów. W dniu, w którym znów będę mógł paść na twarz, moje ciało otworzy się niczym dojrzały owoc i wystrzeli z niego kula ognia.

Shan wskazał gestem nędzną wioszczynę.

- Świątynia, w której odebrałeś nauki, jest dobrze ukryta.

- Moja świątynia i ja - odparł cierpko Yangke - nie mamy już z siebie nawzajem pożytku.

I to, jak podejrzewał Shan, było najcelniejszą ze wszystkich strzał, jakie wypuścili. Choć Pekin pozwolił Tybetowi powoli odbudować kilka klasztorów, jednym ze sposobów, w jaki utrzymywał nad nimi kontrolę, były okresowe czystki wśród mnichów o opozycyjnych zapędach.

- Ten twój raj nie potrzebował lamy, dopóki nie uderzył morderca? - zapytał Shan.

- Ten raj, do którego wróciłem - sprostował Yangke - ledwo jest w stanie pojąć, że jeden człowiek może zabić drugiego, nie mówiąc już o zrobieniu czegoś tak potwornego jak to, co odkryli. To nie nasze dzieło, ale stanie się naszą zgubą. Przy wszystkich swych licznych wadach Drango jest warte tego, by je chronić.

- Tak samo jak Gendun - oświadczył Shan. - Musimy wyprowadzić go stąd. - Być może Drango było warte tego, by je chronić, na nim jednak robiło wrażenie pułapki.

Yangke spojrział w stronę stajni.

- Wiedziałem o nim od lat. Nazywają go Lamą Czystej Wody, gdyż został wyświęcony przed ucieczką Dalajlamy.

- Jest niezarejestrowany - powiedział Shan - podobnie jak Lokesh i ja. Ale jako niezatwierdzony przez rząd wysokiej rangi lama jest w większym niebezpieczeństwie. Wyznaczono za niego nagrodę - dodał, zerkając ze skrucą na Lokesha.

Raz tylko się zdarzyło, że Gendun udzielił Shanowi reprimendy, a było to, gdy inspektor wyraził niepokój o niego. Dopóki Shan nie ukazał mu tajemnic i cierpień zewnętrznego świata, Gendun nie opuszczał swego ukrytego kompleksu pieczar, gdzie był bezpieczny.

- Teraz nie opuści tego miejsca z własnej woli, a kiedy



przyjdzie bezpieka, schwytają go i sprawią, że zniknie na zawsze - dodał z goryczą. Yangke zasepił się.

- Nikt z nas nikogo tu nie zna - ciągnął Shan. - Dlaczego ktoś posłał po Genduna i Lokesha?

- Właśnie to powiedziałeś. On jest nielegalnym lamą. -Yangke odwrócił się do Lokesha, który głaskał grzbiet psa. -Drango może bezpiecznie zadawać się tylko z wyjętymi spod prawa. Czyż nie jest prawdą, że w dawnych czasach klasztory miały własną policję i sędziów zajmujących się mnichami, którzy dopuścili się przestępstw?

Lokesh pochylił się naprzód, nagle bardzo zainteresowany.

- Starsi lamowie, niekiedy opaci, nakładali kary na grzeszników w swych szeregach - potwierdził.

- Ci, którzy w zeszłym tygodniu zginęli tak straszliwą śmiercią, byli jak święci mężowie. I także byli nielegalni. Tak samo jak ten w stajni.

Wielki pies podniósł się, warcząc. Yangke obejrzał się za siebie, w stronę wioski. Jego mięśnie się napięły.

- Morele! - wykrzyknął entuzjastyczny głos. - Prosto z sadu! — Krępy mężczyzna w wyświechtanej lisiej czapie truchtał w ich stronę, krzycząc, jak gdyby próbował zagłuszyć to, co mówił Yangke.

- Chodron - mruknął Lokesh.

Był to genpo, naczelnik wioski. W rękach niósł mały koszyk.

Yangke z wysiłkiem podniósł się na nogi i odwrócił tyłem do nadchodzącego mężczyzny.

- Wybaczcie mi to, co wam zrobiłem - powiedział do Shana i Lokesha. - I wszystko, co zrobię w przyszłości. *Lha gyal lo* - dodał, po czym, z psem u boku, odszedł spieszenie w stronę pasących się owiec, zataczając się pod ciężarem drewnianego kołnierza.

Radosny nastrój naczelnika wzmógł się, gdy usłyszał nazwisko Shana. Wetknął kwadratową, mięsistą twarz pod rondo jego obdartego kapelusza, jak gdyby chciał się upewnić, że istotnie kryją się pod nim rysy Chińczyka. Wcisnąwszy Shanowi do rąk kilka owoców, skinął na Lokesha, by ruszył

za nim, po czym poprowadził ich w dół, do małej szopy za główną ulicą, gdzie na podłodze z surowych desek rozłożone były trzy posłania. Obok wystrzępionego plecaka Shana spoczywał znajomy płócienny, haftowany w święte symbole podróżny worek Lokesha oraz zdarte wysokie buty robocze, które Gendun nosił pod szatą podczas wędrówek.

- Jest inny dom, który byłby dla was lepszy - powiedział naczelnik do Shana. - Większy. Byłoby wam tam wygodniej. Dolma, wdowa, która tam mieszka, zatroszczy się o wasze potrzeby.

- Potrzebujemy tylko podłogi, żeby rozłożyć koce — odparł Shan. W nowo poznanych Tybetańczykach wzbudzał często strach, niekiedy niechęć. Jednak w rzadkich wypadkach, kiedy nadskakiwano mu, ponieważ był Chińczykiem, czuł się znacznie bardziej niezręcznie.

- Nalegam - naciskał genpo.

- Tylko jeśli moi przyjaciele mogą pójść tam ze mną - odparł Shan.

- Oczywiście - zgodził się niepewnie Chodron. - To dom zaraz przy stajni. Dopilnuję, by przeniesiono wasze bagaże.

Na dworze przy krosnach, które Shan podziwiał wcześniej, pracowała kobieta, a mężczyzna zaczynał nakładać nową pobiałę na ściany od strony ulicy.

- Szykujecie jakieś święto? — zapytał Shan, wskazując stertę jałowcowego drewna.

- I to dwa naraz - potwierdził Chodron. — Najpierw święto plonów, potem pierwszy sierpnia - wyjaśnił. - Będą śpiewy przez całą noc. I wiele dzbanów czangu — dodał, mając na myśli tybetańskie piwo z jęczmienia.

Dopiero teraz Shan dostrzegł przy spichrzach kilku mężczyzn, ostrzących osełkami sierpy. Wkrótce ruszą do pracy w polu, ładując snopy na wozy ciągnięte przez szeroko-grzbiete jaki. Pod ścianami spichrza czekały sterty drewnianych cepów i szerokich, płaskich koszy, które posłużą do młócenia i przewiewania ziarna. Dla wiosek takich jak Drango nic nie było ważniejsze niż żniwa, nic nie było groźniejsze niż rozpalenie ogniska, gdy suchy jak papier jęczmień stał jeszcze na polach.

Idąc za genpo w stronę największego budynku przy krót-

kiej, pylistej ulicy, Shan zerknął na Lokesha. W zatroskanych oczach przyjaciela dostrzegł potwierdzenie, że się go przesłyszał. Pierwszy sierpnia. Ta mała wioska, tak odcięta od świata, że zdawało się, iż rząd zapomniał o jej istnieniu, odkąd zrzucono na nią bomby, przygotowywała się do obchodów jednego z najbardziej patriotycznych chińskich świąt, dnia, w którym oddawano cześć chińskiej armii.

W skąpo umeblowanej paradnej izbie na piętrze żona Chodrona w milczeniu poczęstowała ich kolejną maślaną herbatą, podczas gdy naczelnik chełpił się osiągnięciami swej wioski. Większość rodzin mieszkała w Drango co najmniej od ośmiu pokoleń, wyjaśnił. Niegdyś słynęli z misternie tkanych dywanów, jak ten, który zdobił pokój, w którym siedzieli. Wzrok Shana powędrował ponad ramieniem naczelnika ku półce uginającej się pod ciężarem książek, drukowanych tomów w twardych okładkach, wszystkich bez wyjątku po chińsku, i w końcu padł na wiszącą na ścianie fotografię w ramkach, przedstawiającą znacznie młodszego Chodrona w mundurze Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Gdy znów wyszli na dwór, gdzieś zabrzmiał dzwon. Lokesh uśmiechnął się. Był to dźwięk, jakim przywoływano bóstwa, dźwięk towarzyszący rytmowi mantr. Tym razem jednak uderzenia szybko nabrały gorączkowego tempa, a ze stoków dały się słyszeć krzyki. Między zabudowaniami snuł się słodki, gryzący dym. Naczelnik wydał stłumiony okrzyk i wypadł na ulicę. Shan ruszył tuż za nim. Ktoś podpalił stos jałowcowego drewna.

W wiosce zapanowało nagle ożywienie. Jedni biegli z wiadrami do strumienia, inni z miotłami i kocami w stronę pól. Każda unosząca się w powietrzu iskra stanowiła zagrożenie dla ich cennych plonów. Shan biegł wraz z nimi w stronę gęstego słupa dymu, gdy spostrzegł, że Lokesh kieruje się ku stajni na drugim końcu osady. Przystanął na chwilę jedynie tak długą, by zobaczyć, jak naczelnik konferuje 'z potężnie zbudowanym wieśniakiem pilnującym drzwi stajni. Mężczyzna popędził ścieżką wzdłuż strumienia na skraju pól, zatrzymując się po to tylko, by podnieść z ławy obok spichrza ciężki nóż żniwiarski.

Chwilę później Shan dołączył do przyjaciela. Strażnika

przy drzwiach nie było, wewnątrz stajni ziało pustką, jeśli nie liczyć Genduna i jego podopiecznego. Lokesh zbliżył się do posłania i ujął rękę mężczyzny, mierząc mu tętno w nadgarstku, potem na szyi i skroni. Shan przyniósł herbatę z kociołka przy drzwiach. Lokesh uniósł dłoń.

- To mogłoby go ocucić. Woda, nie herbata. Dawałem mu wodę co kilka godzin.

Odchylił głowę mężczyzny w tył, podczas gdy Shan zaczerpnął chochlą wodę z wiadra i zaczął kroplami wlewać mu ją do ust. Długie, kościste palce sięgnęły i zacisnęły się na bezwładnej dłoni chorego. Gendun przerwał swoją mantrę. Lokesh rozprostował nogi mężczyzny i zaczął masować mu kończyny, przerywając dwukrotnie, by przyłożyć ucho do jego piersi i zbadać mu puls.

-Jego ciało nie wytrzyma bez pożywienia - oświadczył zatroskanym tonem.

- To życie - rozległ się głos przypominający szelest traw -nie pozbyło się kantów.

Lokesh i Shan unieśli wzrok. Nie licząc modlitw, były to pierwsze słowa, jakie Gendun wypowiedział od czasu przybycia Shana. Wśród mnichów z ich pustelni oraz mnichów z dawnego więzienia Shana używano ich na określenie silnego, zbłąkanego ducha, który nie zdołał się zdezintegrować przed śmiercią.

- Góra - odezwał się Lokesh. - Może on przybył, by uczyć się od góry.

- Pielgrzymka - odpowiedział Shan.

Pobożni Tybetańczycy odbywali niekiedy potajemne pielgrzymki do odległych sanktuariów, by złożyć dzięki któremuś z bóstw, oczyścić się z grzechów, prosić o uzdrowienie albo wypełnić złożoną ukochanej osobie obietnicę. By zetrzeć ostre kanty kaleczące znękaną duszę.

-*Lha gyal lo* - wykrzyknął nagle Lokesh. Zauważył język ukazujący się między wargami mężczyzny w reakcji na stróżkę płynu. Podczas gdy Shan trzymał nieznajomego w ramionach, stary Tybetańczyk masował mu gardło. Mężczyzna przełknął. Podali mu jeszcze pół chochli wody wymieszanej z miodem z dzbana przy drzwiach, po kilka kropli naraz,

po czym na powrót ułożyli go na posłaniu. Shan podszedł do drzwi. Wieśniacy ugasił ogień, rozgarniając polana ze sterty i polewając je wodą, a teraz tłumili drobne skupiska płomieni na polach. Ocalili niemal całe swoje zbiory.

- Ktoś prosi o pomoc - oświadczył Lokesh, widząc zakłopotanie na twarzy Shana, gdy Chińczyk wrócił do posłania. - Nie widzisz? To jak desperacka modlitwa. Ktoś jest gotów poświęcić plony, aby wezwać bóstwa.

Być może on ma rację, pomyślał Shan, choć pożar mógł równie dobrze służyć odwróceniu uwagi, a nawet być ostrzeżeniem.

Przetrząsnął kieszenie chorego i przekonał się, że są puste, jeśli nie liczyć paru chińskich monet oraz drewnianka grubości jego palca wskazującego i o połowę krótszego niż palec. Patyczek został niedawno obrany z kory, a na jednym końcu na jego zaokrąglonej powierzchni wycięto trzy otworki, rozmieszczone jak dwoje oczu i usta. Drugi koniec, gdzie powinna się znajdować talia i nogi, był odłamany. Shan przez chwilę wpatrywał się w patyk, trzymając go na dłoni, po czym wsunął go do własnej kieszeni. Mężczyzna nie nosił żadnego pierścienia, żadnego zegarka, żadnego amuletu ani jakichkolwiek ozdób poza osobliwym tatuażem na przedramieniu. Gruba niebieska kreska, ciągnąca się niemal od nadgarstka do łokcia, stanowiła korpus patykowatej postaci; prostokątną głowę, ręce i nogi tworzyły zygzakowate linie, u dołu zaś był wydłużony na kształt spódnicy trójkąt.

Shan, podobnie jak jego przyjaciele, przyglądał się temu rysunkowi z przekrzywioną głową. „Patykarz”. Intruz wymówił to przezwisko tonem obelgi. Wytatuowana postać wyglądała obco, podobnie jak dla większości Tybetańczyków obca była idea dekorowania ciała tuszem. Nieznajomy nie pochodził po prostu ze świata w dole, ale z bardzo daleka. Shan obmacał jego ubranie, przeciągając czubkiem palca po materiale i zatrzymując się przy każdym guziku, każdej plamce. Nie wspomniał ani słowem o przecinającej przód jego koszuli cienkiej linii drobnych rdzawobrazowych plamek ani o wachlarzowatym wzorze podobnych plamek, biegnących od kolana w górę uda, na jego dzinsowych spodniach, ani o ledwo widocznej linii plamek na piersi. Była to zaschnię-

ta krew, która trysnęła mu na ubranie z przeciętego naczynia krwionośnego z odległości mniejszej niż długość ramienia.

Wpatrywał się przez chwilę w niewidzącą twarz mężczyzny, po czym przeciągnął palcem po wewnętrznej stronie jego kamizelki, szukając ukrytej kieszeni.

- Coś jest zaszyte w środku - oznajmił, próbując rozpoznać dotykiem trzy kształty, które wymacał.

Ani Lokesh, masujący nogi mężczyzny, ani Gendun, wciąż trzymający jego dłoń, ale znów recytujący swe modlitwy, nie zwrócili na niego uwagi. Shan wstał, wybiegł za drzwi i wrócił z małą drewnianą rurką, którą nosił w plecaku. Wyciągnął zamykający ją korek i wyjął ze środka długą igłę z nitką, po czym nożem rozpruł szew w podszewce kamizelki. W małych, ciasnych, zmyślnie uszytych kieszonkach tkwiło pióro jakiegoś dużego ptaka, mała, ściągnięta sznurkiem skórzana sakiewka oraz długa plastikowa fiołka żółtego proszku.

Patrzyli w milczeniu na nieoczekiwane, znajdujące się tu z niezrozumiałych dla nich powodów przedmioty. Tempo recytacji Genduna zmalowało, gdy lama wyciągnął rękę, szczupłym palcem dotykając nie przedmiotów, ale przestrzeni tuż ponad nimi. Usta Lokesha otworzyły się, po czym zamknęły bez słowa. Gdy stary Tybetańczyk uniósł ku niemu wzrok, Shan odgadł, że jego przyjaciel również wspomina słowa, jakimi Yangke opisał nieprzytomnego mężczyznę i jego zamordowanych towarzyszy.

- Co to za święty mąż? - zapytał w końcu Lokesh. Co to za rzeźnik? nieomal dodał Shan.

Krzyk, który rozległ się gdzieś na terenie wioski, przerwał czar. Lokesh wstał i stanął przy drzwiach, obserwując ulicę, podczas gdy Shan pospiesznymi ściegami na powrót zszedł podszewkę.

Wieśniacy wracali dwójkami i trójkami, by znów podjąć czuwanie. Ich rozmowy cichły, kiedy zbliżali się do stajni, zaczynali jednak na nowo szeptać z podnieceniem, gdy spostrzegali, że ich potencjalny święty się poruszył.

Pojawił się strażnik, a chwilę po nim Chodron.

- Co zrobiliście? - zapytał ostro genpo, zbliżając się do

leżącej teraz na posłaniu postaci. - On się obudził! Muszę z nim porozmawiać. - Uklęknął i szturchnął ramię mężczyzny. Shan odezwał się wolno, donośnie:

- Jak często widzieliście tak potężny słup jałowcowego dymu?

Naczelnik spojrzał na niego, marszcząc brwi. Wieśniacy nadstawili uszu.

- Dym sięgnął nieba - wyjaśnił Shan, wbijając w Chodrona nieruchome spojrzenie. - A potem on się poruszył, ale nie obudził.

Wśród gapiów rozległ się pomruk zdumienia.

- Bogowie przybyli! — wykrzyknęła jedna z kobiet. — I unieśli go!

Naczelnik spiorunował Shana wzrokiem, po czym, zerkając nieufnie w stronę gapiów, podszedł do drewnianej czarki z laseczkami kadzidła, zapalił jedną od lampki maślanej i wetknął ją w pękniętą deskę obok pozostałych. Usadowił się pod ścianą, długo przyglądał się Shanowi z wielkim zaciekawieniem, wreszcie wstał i wyszedł.

Gdy purpurowe światło zachodzącego słońca sączyło się nisko nad horyzontem, trójka przyjaciół zasiadła wraz z dwudziestką mieszkańców wioski nad tsampą i momo, tybetańskimi kluskami, wokół paleniska za domem naczelnika. Wieśniacy słuchali w nabożnym skupieniu, gdy Lokesh opowiadał o swych licznych podróżach po rubieżach współczesnego Tybetu, napomykając nawet, niepewnie wprawdzie, o czasach sprzed dziesiątków lat, gdy był urzędnikiem w rządzie Dalajlamy.

W końcu przy ognisku pozostali jedynie naczelnik i trójka siwowłosych wieśniaków, przedstawionych jako członkowie wioskowej starszyny, dwóch mężczyzn i kobieta w czarnej sukni, ta sama, która wcześniej częstowała Shana herbatą. Choć Chodron sumiennie pełnił honory gospodarza, po raz kolejny napelniając im czarki, na jego twarzy nie było już śladu życzliwości.

- Rzadko miewamy tu gości - powiedział. - Wyświadczyliście nam zaszczyt. Jednak, jak widzicie, rozpoczynamy żniwa. Wszyscy muszą się zabrać do pracy.

Zachęcał ich do opuszczenia wioski.

- W takim razie dobrze się składa, że ja i moi przyjaciele jesteśmy tutaj. Zaopiekujemy się nieznajomym w stajni, dzięki czemu inni mogą się swobodnie zająć swymi obowiązkami - odparł obojętnie Shan.

- Macie na myśli mordercę w naszym więzieniu. - Szacunek, jaki okazywał mu wcześniej Chodron, ulotnił się.

Starsi nie odezwali się słowem. Jeden z mężczyzn utkwiał wzrok w czarce z herbatą. Kobieta, z dłońmi splecionymi na podołku, żuła w roztargnieniu kawałek wyschniętego sera, zerkając raz po raz na Shana i szybko odwracając wzrok.

- To straszna odpowiedzialność, osądzać innych - zauważył Shan.

- Wypełnię, co do mnie należy - odparł ostro Chodron.

- On jest chory. Gdy się obudzi, być może nie będzie w stanie przemówić w swej obronie.

Naczelnik bez słowa wstał, wszedł tylnym wejściem do domu i chwilę później powrócił z małą drewnianą skrzynką, którą postawił na ziemi przy ognisku. Wyjął ze środka szmaciane zawiniątko, po czym rozwinął je na ziemi przed Sha-nem.

- Znamy już nikczemność jego czynów.

Pokazał młotek, nowoczesny młotek kamieniarski, z jednym końcem tępym i kwadratowym, drugim wyciągniętym w długi, lekko zakrzywiony pazur. Było jeszcze dość jasno, by Shan mógł dostrzec na pazurze zaschniętą krew i małe szare plamki.

- Ręce miał pokryte krwią swoich ofiar - oświadczył naczelnik. - Jedną z nich wykończył ciosem tym pazurem w tył głowy. - Trącił butem rękajeść młotka, odsłaniając leżący pod spodem inny przedmiot. - Nikt nie chce nawet myśleć o tym, co zrobił swoją drugą bronią.

Był to pręt ze stali nierdzewnej, przechodzący na jednym końcu w wygięty, ostry haczyk. Wydawał się tak wyrwany z kontekstu, że Shan dopiero po chwili rozpoznał w nim szpikulec dentystyczny. Końcówka była pokryta krwią.

Kobieta wzdygnęła się i odwróciła wzrok. Pozostali dwaj starsi patrzyli w ogień, starannie unikając spoglądania na przedmioty.



- Tutejsi mówią, że nie ma żadnych świadków - przypomniał im Lokesh.

- Moi ludzie są jak dzieci, gdy chodzi o sprawy zewnętrznego świata - stwierdził Chodron. - Trzeba ich nauczyć odróżniać dobro od zła.

- I osiągniesz to, uśmiercając tego obcego? - zapytał Shan.

- Jeśli bogowie nie chcą do tego dopuścić, mogą zabrać go, zanim się ocknie. W przeciwnym razie - oświadczył szorstko naczelnik - my, którzy odpowiadamy za wioskę, znamy swe obowiązki. Zwołamy zgromadzenie mieszkańców. Porozmawiamy o tym, co się stało, o tym, dlaczego musimy zrobić co trzeba. Kilkakrotnie czytałem wraz ze starszą dawnie dokumenty. Być może wystarczy odjąć mu jakąś część ciała, może tylko jedno oko. Za dawnych dni czasem po prostu wylupiano oko. Wiemy, że należy przejawiać współczucie.

- Współczucie w Drango - zauważył z udręką w głosie Lokesh - ma specyficzny posmak.

Stara kobieta zacisnęła dłonie. Obejmowała nimi jakiś ukryty pod bluzką przedmiot. Shan uświadomił sobie, że nosi na szyi gau, pudełko na amulet, jedyne, jakie widział u mieszkańców wioski.

Chodron zignorował Lokesha.

- Kara zostanie wymierzona zgodnie z naszym zwyczajem. Jeśli potem będzie wciąż przy życiu, wyprowadzimy go na najbliższą drogę. Odkąd istnieje tu wioska, zawsze karała swoich przestępców. Prawdziwym sprawdzianem przywódcy, tak jak belki w stodole, jest czas wichury. Nie uchylę się od swego obowiązku.

- Widziałem, do czego służą belki w Drango - stwierdził Shan.

Chodron zacisnął szczęki.

- Przyłapałem Yangkego na kradzieży w moim domu. Przyznał się przed całą wioską, a ja odczytałem tradycyjną karę. Niektórzy przekonywali, że powinno się go zabrać do stolicy okręgu, do Tashtul, że nie podlega naszemu sądowi, gdyż przez tak długi czas mieszkał poza wioską. Dałem mu wybór. Powiedziałem, że napiszę raport i wyślę go z nim do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, który ma już jego kar-

totekę. Przypomniałem mu, że mnóstwo więzień czeka na takich jak on... bez przerwy buduje się nowe. Następnego ranka poprosił mnie, bym nałożył mu drewniany kołnier. Co do tego obcego, jak waszym zdaniem potraktowano by podwójnego mordercę w świecie dolin? Naprawdę chcecie, żebym wezwał władze? Przyślą helikopter z żołnierzami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Swoim postępowaniem nie dajecie mi wyboru.

Shanowi zaschło w ustach.

- Moim postępowaniem? Dopiero co przybyłem.

- Sama wasza obecność, i waszych dwóch przyjaciół, sprawiła, że ludzie gadają za moimi plecami. Wielu takich, którzy już od lat nie brali do ręki paciorków modlitewnych, potajemnie prosi waszego lamę o błogosławieństwo. Połowa moich ludzi zdaje sobie sprawę, że ten człowiek jest mordercą, ale pozostali nazywają go świętym. W tej stajni już wcześniej świeciło się mnóstwo lamp, ale dzień po przybyciu waszego lamy ludzie uparli się, by było ich sto osiem - powiedział Chodron z pogardą. Była to święta liczba, liczba paciorków w różańcu i liczba lampek tradycyjnie umieszczanych na ołtarzach podczas specjalnych obrzędów. -Moi ludzie rozmawiają z nieznanymi o naszych prywatnych sprawach. Mój autorytet jest kwestionowany. Postęp w naszej wiosce stoi pod znakiem zapytania.

- Wiecie, kim jest Gendun? - zapytał Shan.

- Słyszałem o jakimś Lamie Czystej Wody, który wędruje po wzgórzach jak samotny stary kozioł. Nie mam pojęcia, czym się zajmuje.

- Zajmuje się - odparł Lokesh - zbieraniem delikatnych kwiatów do starych, popękanych dzbanów.

Słowa te wywołały tęskne spojrzenie jednego ze starców. Chodron zignorował tę uwagę.

- Słyszałem o tym lamie. Słyszałem też o mówiących jakach i latających górach.

- Gendun jest tutaj - oświadczył Lokesh - bo ci ludzie go potrzebują. Gdyby wiedział, co się tu dzieje, przybyłby już dawno.

Chodron spojrzał nań ostro.

- Naprawdę zdaje się wam, że możecie się zwalić na naszą

wioskę i niszczyć wszystko, co budowaliśmy z takim trudem? - W jego oczach błysnął gniew. - Teraz już wiem, dlaczego posłaliście po tego Shana za moimi plecami. Sądziście, że gdy będzie z wami Chińczyk, to wszystko zmieni. Sądziście, że nasi ludzie tak się przestraszą Chińczyka, że będziecie mogli po prostu nakazać nam uwolnienie tego zabójcy.

- Wioska musi zrozumieć, co zaszło - zaproponował Lokesh. - Musi przestać się bać...

- Ja się nie boję - przerwał Chodron. - Znam takich wyrzutków jak wy. Jego ręka zdradzi, co to za jeden.

Lokesh zsunął z nadgarstka swe paciorki modlitewne i wyciągnął je w stronę genpo.

- Weź to, by zrozumieć takich jak my.

Shan położył dłoń na ramieniu przyjaciela, by go uspokoić. Podwinął rękaw i obrócił rękę wewnętrzną stroną do światła ogniska. Jeden ze starców jęknął. Kobieta zakryła usta dłonią. Starsi wioski być może niewiele wiedzieli o zewnętrznym świecie, wiedzieli jednak dość, by rozpoznać rząd wytatuowanych na jego skórze cyfr. Shan zrozumiał, dlaczego zachowanie Chodrona wobec niego się zmieniło. Pasterze, którzy towarzyszyli mu w podróży i widzieli, jak podwijał rękawy przy górskich potokach, musieli zdradzić, że ma wytatuowany numer.

- Powiedźcie mi, więźniu - odezwał się naczelnik triumfalnym tonem. - Możecie udokumentować, że zostaliście zwolnieni?

Pytanie zawisło na długi czas w powietrzu. Gdzieś zaszczekał pies. Zabeczało jagnię.

- Nie - przyznał Shan. Nie uciekł, ale jego zwolnienie odbyło się nieoficjalnie.

Kątem oka dostrzegał obok siebie jakiś ruch, nie widział jednak, co robi Lokesh, dopóki stary Tybetańczyk nie wysunął nagle własnego obnażonego ramienia w blask ognia, ukazując podobny rząd cyfr.

- To dzięki Shanowi nie umarłem w więzieniu. Zmusił tych, którzy mnie tam trzymali, do uwolnienia mnie - wyjaśnił. - (O) d pierwszych chwil, odkąd znalazł się za drutami kolczastymi naszego obozu, Shan pomaga Tybetańczykom.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś się do niego przyłączył - odparł oziębłym tonem Chodron. - Możecie odprowadzić się nawzajem do dziury, z której wypełzliście.

- Albo? - zapytał Shan, tłumiąc gniew i usilnie starając się zrozumieć dziwną władzę, jaką naczelnik miał nad wioską.

Wąskie usta genpo wygięły się w uśmiechu.

- Albo będzie jak za dawnych czasów, kiedy naczelnik przedstawiał dowód zbrodni, po czym z błogosławieństwem naszego opata wymierzał karę. Wyleczycie moich ludzi z tego reakcyjnego poglądu, że święci mogą chodzić wśród nich. Przywróćcie mi ich zaufanie, dając mi dowód, którego potrzebuję, by zademonstrować swą władzę.

- Nie będziemy kłamać - oświadczył Shan.

- Potwierdźcie tylko prawdę - odparł Chodron. - Stawcie się jutro rano wraz ze swym lamą i oświadczone, że ten człowiek jest zabójcą, a nim zajdzie słońce, wszyscy trzej możecie być trzydzieści kilometrów stąd. To wy przysporzyliście nam problemów. To wyje rozwiązanie.

- Tybetańczycy, których znam, nie wyłupiają ludziom oczu ani nie zrzucają ich w przepaść.

-Których wy znacie! - wybuchnął Chodron. - Jesteście outsiderem. Przestępcą. Nie wściecie się pouczać nas na temat naszych tradycji.

W ciszy, która nastąpiła po tych słowach, wiatr wzmógł się na chwilę, rozniecając płomienie i otwierając na oścież tylne drzwi domu Chodrona. Shan dostrzegł w słabym świetle płamę koloru, czerwien z plamkami żółci. Ołtarz? Barwy wydawały się znajome. Chodron powiesił w tylnej sieni flagę ludowych Chin.

Shan przyglądał się przez chwilę starszym wioski.

- Gdzie są dzieci? - zapytał nagle.

- Dzieci? - Chodron rzucił nieufne spojrzenie w stronę starszyzny.

Kobieta utkwiała wzrok w swych splecionych dłoniach. Najstarszy - słabowity mężczyzna z białą, rzadką brodą - rzucił Shanowi puste, tęskne spojrzenie. Genpo wstał i stanął między Shanem a starszymi.

- Nie widziałem żadnych w wieku od jakichś pięciu do

osiemnastu lat - ciągnął Shan. - Powiedz nam, gdzie je wysłałeś.

- Poza wioskę - mruknął Chodron.

- Do chińskiej szkoły - powiedział Lokesh, pojmując, do czego zmierza jego przyjaciel. - Gdzie wyzbywają się swych tybetańskich imion. Gdzie są zmuszane mówić tylko po chińsku i śpiewać pieśni Pekinu. Gdzie uczy się je, że Dalajlama jest kryminalistą.

Chodron nie zaprzeczył.

- Do ilu szkół chodziliście wy sami, Chodron? - zapytał Shan.

W szkołach dla lokalnych przywódców program nauczania ustalany był przez wysokiej rangi funkcjonariuszy partyjnych. Chodron mówił i ubierał się jak rolnik, ale w jego świątyni lamami byli szefowie partii.

- Kim jesteście? - warknął Chodron. - Za co siedzieliście w więzieniu?

Shan zignorował jego pytanie.

- Jakie układy zawarliście, by Drango mogło pozostać tym, czym jest?

Lokesh wyciągnął z kieszeni stożek kadzidła i wrzucił go w żar na skraju ogniska. Białobrody mężczyzna zapatrzył się w wąską smugę dymu, z roztargnieniem wyciągając ku niej palce.

Twarz Chodrona stężała.

- Powiecie wiosce to, co powinna usłyszeć - oświadczył z naciskiem.

- Naczelnik zawsze wymierzał surowe kary, mając obok siebie lamę. Wasz lama będzie stał przy mnie podczas wykonywania wyroku, by dać mi swe błogosławieństwo. Do tego czasu zatrzymamy go. Jeśli nie przywróci porządku, przyłączając się do mnie w umówionym czasie, porozmawiam z Urzędem Bezpieczeństwa na temat nielegalnych mnichów. Nasi pasterze wiedzą już, gdzie się ukrywacie.

Siwowłosa kobieta odstawiła czarkę na ziemię i odwróciła I warz.

Chodron zrobił krok w stronę domu.

- Ale jeśli bóstwa naprawdę są po waszej stronie, wezmą zabójcę w swe objęcia i nigdy nie pozwolą mu się obudzić - rzucił na odchodnym.

- Więc ma dowieść swojej niewinności, umierając? - zapytał Shan.

Chodron podjął jego kpiący ton.

- Śmierć dla szlachetnych jest nagrodą, czyż nie tego właśnie nauczacie? Ale jeśli się obudzi... Zajmiemy się nim po żniwach. Przed naszym świętem. Macie siedem dni.

- Zrozumcie, proszę - rozległ się głos suchy niczym słoma. Siwowłosa kobieta odezwała się w końcu. - Spójrzcie na naszą wioskę. Karmimy się obietnicami i strachem. Chodron pielęgnuje nasze zwyczaje najlepiej jak umie. Wszystkim, czego chcemy dla Drango, jest sprawiedliwość, nasza własna sprawiedliwość. Musicie dać nam sprawiedliwość.

Lokesh i Shan spojrzeli po sobie ze smutkiem. Sprawiedliwość. Był to temat, który wyświechtał się już dawno temu, słowo, które nabrało w uszach Shana dziwnego, obcego brzmienia. Niegdyś wydawało mu się, że jest w stanie uzyskać sprawiedliwość dla Tybetańczyków. Lokesh jednak wyprowadził go z błędu, przekonał go, że rządu nie obchodzą zbytnio przestępstwa popełniane wśród tak odciętego od świata narodu. Dla tych Tybetańczyków istniała jedynie prawda oraz jej straszliwe konsekwencje.

## ROZDZIAŁ 2

Shan ruszył w drogę w szarym świetle brzasku, zerknąwszy wcześniej przez spękane drzwi stajni, ponad ramieniem skulonego wewnątrz pod ścianą strażnika, by się upewnić, że Gendun nadal odbywa czuwanie. W takie poranki on i jego przyjaciele często wymykali się, by powitać słońce, niekiedy rozsypując parę ziaren jęczmienia dla ptaków. Ale złe przeczucia, które go ogarnęły, sprawiły, że zwątpił, czy kiedykolwiek jeszcze znajdzie taki spokój ducha.

Od nagiej ziemi przed nim odbił się kamyk, potem następny. Shan przystanął, spodziewając się zobaczyć na zacienionym stoku ponad sobą jakąś owcę, nie dostrzegł jednak niczego. Kolejny kamyk przeleciał nad jego ramieniem. Usłyszał ciche, pospieszne kroki na ścieżce za sobą, zanim spostrzegł spieszącą ku niemu postać.

- Nie ty jeden potrzebujesz porannego błogosławieństwa-powiedział Lokesh, dogoniwszy go.

Pierwsze promienie słońca uważane były przez niektórych starych Tybetańczyków za szczególny dar bóstw ziemi.

- Na końcu tej drogi nie czeka błogosławieństwo - ostrzegł Shan.

- Jediną odpowiedzią, jaką znaleźliśmy dotychczas, jest to, że żadnych odpowiedzi nie znajdziemy w wiosce - odparł Lokesh i pognął przed siebie, znikając za wysoką skałą.

Gdy Shan dotarł do niego, o połowę odeń starszy Tybetańczyk siedział z nogami podwiniętymi jedna pod drugą na wysokim, płaskim występie skalnym, ze wzrokiem utkwionym w poszarpanych sylwetkach gór na wschodzie, szeptem odmawiając różaniec. W pobliżu kilka owiec wpatrywało się w horyzont z nie mniejszym natężeniem.

Shan usiadł na skalnej półce trzy metry dalej, nie chcąc przeszkadzać przyjacielowi. Wiedział, czego się spodziewać,

dziesiątki razy już widział go w świetle przedświtów z tym samym radosnym wyczekiwaniem na twarzy, i choć wzburzenie wydarzeniami poprzedniego dnia jego samego pozbawiło spokoju, czerpał siłę z obserwowania swego przyjaciela, oczekując nadejścia nieuniknionej chwili.

Lokesh będzie recytował mantrę w rzedającym mroku, by tuż przed pojawieniem się pierwszych promieni słońca przerwać nagle, wciągnąć powietrze w płuca i zatrzymać je, nie oddychając, dopóki nie ukaże się słońce. Shan nigdy nie widział, by mu się nie udało, nigdy nie zauważył, by musiał zaczerpnąć jeszcze jeden szybki oddech, nim pojawiły się jaskrawe promienie słońca. Z początku próbował rozszyfrować dziwne obliczenia, jakie Lokesh musiał z pewnością robić, w końcu uznał jednak, że nie ma żadnych obliczeń, że Lokesh jest powiązany ze światem natury w sposób, jaki nigdy nie będzie jego udziałem. Kiedyś, wróciwszy z dwudziestoczterogodzinnej medytacji, niewyspany, przyłapał się na tym, że obserwuje Lokesha, nie słońce, i przez chwilę bał się, że Lokesh zapomni zrobić wdych i słońce nigdy nie wzejdzie.

Siedział wystarczająco blisko, by ujrzeć, jak pierś Lokesha zamiera w bezruchu, i zorientował się, że sam także wstrzymuje oddech, śledząc, jak oślepiające ziarno energii wyłania się zza szczytów gór. Lokesh powitał Shana swym krzywym uśmiechem, zdeformowanym przed laty przez but obozowego strażnika, po czym dokończył różaniec, wstał i ruszył dalej ścieżką. Był to jeden z wielu drobnych rytuałów, które wytyczały życie dawnych Tybetańczyków.

Przeszli niespełna półtora kilometra, kiedy dostrzegli drugą grupę owiec i tuzin kudłatych, długowłosych stworzeń, które siedziały w osłoniętym od wiatru miejscu za skałą nad potokiem, z uwagą obserwując coś w dole. Pierwszą rzeczą, jaką Shan dostrzegł na stoku, trzydzieści metrów dalej, był znajomy brązowy mastyf, nie mniej niż owce zaciekawiony osobliwą sceną na brzegu strumienia. Postać nad wodą dało się rozpoznać bez trudu, jej poczynania jednak wydawały się niepojęte.

Yangke wykonywał coś, co wyglądało na taniec, wyskakując w powietrze, po czym kopiąc nogą. Canque nie krę-



poważo już jego dłoni, choć musiał przytrzymywać je jedną ręką, by zachować równowagę. Na ich oczach wykonał lulka kopnięć, ostatnie tak gwałtownie, że ciężar kołnierza pociągnął go w tył na ziemię. Wstał, zakreślając końcem belki długi, zamaszysty łuk i szorując nim po ziemi, po czym przeszedł kilkanaście metrów w dół strumienia i zaczął wszystko od początku.

- Nie znam tego rytuału - oświadczył ze zdziwieniem I yokesh.

Tym razem ruchy Yangkego były delikatniejsze. Palcami u nogi strącał po jednym kamieniu z małego kopczyka u swych stóp i turlał je wzdłuż brzegu, nim kopniakiem wrzucił je do wartkiej wody.

- On ćwiczy jedną z tych gier, w które gra się kijkami i piłkami - podsunął Lokesh.

- Nie - odparł Shan, przyglądając się Yangkemu. - On ćwiczy gniew.

Słyszając szczekanie swego psa, były mnich nie odwrócił się natychmiast, ale zrobił jeszcze kilka kroków w górę strumienia, po czym wydał przenikliwy okrzyk, jeden z tych, jakimi przywoływano zbłąkane owce.

Gdy pies ruszył w ich stronę, merdając ogonem, Shan pochylił się, by podnieść patyk leżący niedaleko miejsca, gdzie Yangke na początku kopał nogą ziemię. Sześćdziesięciocentymetrowej długości, gruby na niemal dwa i pół centymetra kijek został obrany z kory, a jego górny koniec pomalowano w trzy wąskie paski, dwa czerwone przedzielone żółtym. Shan wyciągnął patyczki rzucone przez gniewnego intruza w stajni. Znaki były podobne, jednak kolory inne.

- O tej porze roku owce często rozchodzą się daleko - wyjaśnił Yangke, gdy odwróciwszy się, z udawanym zaskoczeniem powitał przybyłych.

Shan podszedł do drugiego miejsca, w którym Yangke wykonywał swój dziwny taniec, i wydobył drugi kijek spod narzuconych na niego kopnięciami kamieni. Były na nim te same czerwone i żółte paski. Wziął oba kijki i uderzając malowanymi końcami o dłoń, podszedł do młodego Tybetańczyka.

- A może jest im nieswojo, gdy widzą, jak ich pasterz wpada w złość z powodu paru drewierek - zauważył.

Yangke wspiał się na stok do miejsca, gdzie siedział jego pies, i usadowił się obok zwierzęcia, opierając jeden koniec ciężkiego kołnierza na pobliskiej skale. Pies polizał go po twarzy, a Yangke zaczął głaskać go po grzbiecie.

- Chodron pozwala mi używać rąk, kiedy pracuję ze stadami, pod warunkiem że wkładam je z powrotem w więzy gdy zbliżam się do wioski. Dla niego - dodał były mnich - tak wygląda współczucie.

Shan usiadł na trawie obok Yangkego i rozejrzał się po okolicy. Dostrzegł kolejny malowany palik na drugim brzegu strumienia, potem jeszcze jeden trzydzieści metrów w górę potoku.

- W obozie poznałem pewnego starego lamę - powiedział po chwili - który zawsze śmiał się, gdy słyszał, że Chińczycy kupują ziemię na świętych górach. Pytał, kto podpisał dokumenty w imieniu bóstw ziemi.

Patrzyli, jak Lokesh brnie przez płytki, głęboki do kostek strumień i zbiera stojące jeszcze paliki.

Yangke nie przestawał głaskać psa, który przyglądał się uważnie, jak Lokesh wyciąga spomiędzy skał nad wodą sznurek, a potem poszarpany skrawek płótna.

- Kiedy byłem mały, w świąteczne dni wspinaliśmy się na górę, z moimi wujkami, ciotkami i kuzynami. Dzieci szukały w potokach ślicznych żółtych kamyków i układały je w kopcach, które otaczaliśmy flagami modlitewnymi i kamieniami mam - zaczął opowiadać Yangke, mając na myśli kamienie z wypisanymi tekstami modlitw, pozostawiane przez wiernych w świętych miejscach. - Przy każdej wizycie budowaliśmy jeden kopiec, by uczcić złote bóstwo ziemi które mieszka we wnętrzu tej góry. Niektóre miały ponad dwa metry wysokości. - Umilkł na chwilę i zapatrzył się w czyste kobaltowe niebo. - Kiedy odszedłem w doliny, moja jedyna żyjąca ciotka pisała do mnie listy. Gdy opisywała, jak ludzie przyszli i zburzyli wszystkie kopce, nie bardzo rozumiałem. Gdy powiedziała, że zmienili bieg niektórych strumieni i osuszyli wodospad, w którym niegdyś się bawiłem, wziąłem to za jakiś dziwny żart.

Shan obserwował szybującego w górze ptaka, wielkiego sępa, rozważając słowa Yangkego. Powiódł wzrokiem po

długim, szerokim zboczem przed nimi. Wzdłuż strumienia rozsiane były sterty kamieni. Nie były to starannie ułożone przez wiernych kopce, ale coś, co mogło być ich pozostałościami.

- Nie rozumiem - powiedział. - Wydobywanie złota wymaga dróg i potężnych maszyn. - Uniósł wzrok na krążącego po niebie sępa. Pióro w kamizelce nieznanego ze stajni pochodziło od takiego wielkiego drapieżnego ptaka.

- Przypuśćmy, że jakaś góra jest tak odległa, że chińskie ekipy geodezyjne pominęły ją, gdy kilkadziesiąt lat temu katalogowały zasoby naturalne - odparł Yangke. - Przypuśćmy, że po drugiej stronie tej góry zbudowano tajną bazę, która odstraszała ludzi przed zapuszczaniem się w te okolice. Przypuśćmy wreszcie, że kilku Chińczyków odkryło złotonośne potoki, a nawet żyły złota w skałach, wiedzieli jednak, że wojsko nigdy nie zezwoliłoby na legalną działalność wydobywczą z powodu bliskości tajnej bazy. Przypuśćmy, że niektórzy z nich dla rozrywki, dla sportu, zaczęli się zakradać na tę górę po stopniu śniegów, by wydobyć kilka uncji złota. Nie trzeba by zbyt wielu lat, by wieść o tym się rozeszła i pojawili się inni, traktujący swą pracę poważniej.

- Nielegalni górnicy - wtrącił Shan. Słyszał o takich ludziach w innych częściach Tybetu, poszukiwaczach działających poza zasięgiem rządowych podatków i przepisów górniczych. Góry są wysokie, a cesarz jest daleko, mówiło stare przysłowie.

- Był to ściśle strzeżony sekret, znany niemal wyłącznie przestępcom, ludziom mającym niewiele do stracenia i mnóstwo powodów, by trzymać się poza zasięgiem wzroku rządu. Zwykle ukrywali się, przed nami i przed sobą nawzajem. Ale z roku na rok stają się śmielsi. Niektórzy przepłukują strumienie. Inni odsłaniają żyły za pomocą dynamitu. Przybywają, gdy stopnieją śniegi, i odchodzą we wrześniu. Jak wędrowni gęsi. Tyle że te gęsi pasą się ziemią.

- Dlaczego zawracają sobie głowę znakowaniem działek?

- Szanują nawzajem swoje wyrobiska. Zaczęli się organizować, wprowadzać reguły pokojowego współistnienia ze sobą nawzajem i z Drango.

- Ale ktoś z Drango mógłby powiadomić rząd.

- I co potem? Stoki zaroiłyby się od żołnierzy. Bezpieka za-

dawałaby pytania na temat Drango, na które nikt nie miałby ochoty odpowiadać. Zwaliłoby się nam na głowę Ministerstwo Górnictwa. Lokalna administracja. Urząd do spraw Wyznań -dodał, wzdrygając się.

- Ale powiedziałeś, że dwaj zamordowani byli świętymi mężami - przypomniał mu Shan.

- Podpełzłem tak blisko do ich obozowiska, jak tylko się odważyłem z tym drzewem na szyi. Odbudowali kopiec w pobliżu obozu. Ci ludzie nie interesowali się strumieniami. Pisali w książkach i czyścili stare malowidła. Krótco przed śmiercią zaczęli robić kyilkhor.

- Piaskowy obraz? Yangke skinął głową.

- Ale może byli też górnikami. Ryli w skałach i wczołgiwali się do małych jaskiń. Choć myślę, że bali się pozostałych. Inni górnicy obozują na otwartym terenie, by odstraszyć konkurentów. Ale ci, którzy zginęli, rozbijali obozy w nieuczęszczanych, ukrytych miejscach.

Górnicy i mnisi. Shanowi wydawało się to niemożliwym połączeniem.

- Czy te paliki należały do zamordowanych?

- Nie. Oni nigdy nie znakowali działek. Paliki są nowe. Jeszcze nikt nigdy nie opalikował działki tak blisko Drango. Niektórzy górnicy mówią, że wieś siedzi na najbogatszej żyłę ze wszystkich. Śnił mi się kiedyś koszmar, w którym wysadzili wioskę w powietrze, by dostać się do złota. - Yangke podążył za spojrzeniem Shana w górę stoku. - Narobisz tylko kłopotów - powiedział. - Chodron zakazał wszystkim tam chodzić. Przestrzegł wieśniaków, by nie niepokoili bóstw.

- Czy ty i Chodron wyznajecie te same bóstwa? - zapytał Shan, natychmiast zawstydzony ostrością swoich słów. Sam dźwięk imienia naczelnika wzbudził w nim dziwny gniew. W ten sam perwersyjny sposób, w jaki odwoływał się do dawnych tradycji, Chodron usiłował wykorzystać Genduna jako swego pacholka, obrócić współczucie lamy w coś mrocznego i ohydneho.

Yangke zastanawiał się przez chwilę nad jego pytaniem.

- I Chodron, i ja wyznajemy wolę przetrwania.

- Niektórzy twierdzą, że najtrudniejsze w życiu jest wie-

dzieć, po co się żyje - odparł Shan, rozmyślając nad zagadką nie zabójstw, ale Yangkego. Urodził się w wiosce i odszedł z niej do klasztoru, po czym świadomie wrócił do osobliwej odmiany despotyzmu Chodrona. Yangke nie odpowiedział.

Przyglądali się, jak owce rozchodzą się po szerokim, falującym stoku, muskane promieniami porannego słońca. Lekki wietrzyk niósł zapach górskich kwiatów. Shan zaczął zapadać w leniwą drzemkę, gdy nagle huknął grzmot, od którego zdawało się, że zadrżała ziemia. Kilka owiec zabeczało i potruchtało w stronę Yangkego, który wskazał kłęb pyłu umiej więcej trzy kilometry od nich. To nie grzmot słyszeli.

Gdy Shan wpatrywał się w opadający tuman, dał się słyszeć nowy dźwięk, dziwne, miarowe klekotanie, którego nie potrafił rozpoznać. Yangke krzyknął ostrzegawczo. Owce zabeczały z przerażeniem. Shan obrócił się gwałtownie. W tej samej chwili zza skały przy ścieżce wypadł jadący na rowerze mężczyzna w obszarpanej zielonej pikowanej kurtce i wojskowym hełmie pomalowanym w czarne i żółte pasy. Owce rozbiegły się w popłochu. Shan dał nura w trawę, gdy mężczyzna ze śmiechem przemknął obok, wymachując nad głową wiązką palików.

Yangke pochylił się i cisnął dobrze wymierzony kamień. Choć rowerzysta był już dość daleko, pocisk odbił się od jego pleców, wywołując kolejną salwę śmiechu, nim mężczyzna zniknął za skałą.

- Następna nowość w tym roku - powiedział Yangke niskim, gniewnym głosem. - Sprowadzili dwa albo trzy z tych rowerów górskich. Po tylu wiekach owcze ścieżki przecinają górę jak autostrady, wydeptane wystarczająco gładko dla tych ciężkich rowerów. Owce ich nienawidzą. Ja ich nienawidzę.

Jedynie na Lokeshu nagłe zjawienie się intruza nie zrobiło na pozór żadnego wrażenia i zachmurzona twarz Yangkego rozpogodziła się z wolna, gdy obserwował starego Tybetańczyka. Lokesh poprzestawiał paliki, ustawiając je w długi szereg, prostopadły do strumienia, i mocując każdy z nich usypanym u podstawy kopczykiem kamieni, po czym przeciągnął między nimi linę, do której przywiązywał te-

raz małe skrawki płótna oderwane z porzuconej plandeki. Yangke uśmiechnął się szeroko. Z wysiłkiem podniósł się na nogi, po czym podszedł do pozostałości starego ogniska nad strumieniem. Chwilę później Shan znalazł się przy nim i oszczędził mu kłopotu schylania się, podając mu kawałek zwęglonego drewna.

Lokesh zaczął wypisywać na strzępkach materiału ciąg znajomych tybetańskich słów. Przeistaczał sprzęt górników w baterię flag modlitewnych, tworzących zaporę między górnikami a Drango.

- *Lha gyal lo* - powiedział Shan.

Młody Tybetańczyk w milczeniu otworzył i zamknął usta, jak gdyby próbował przypomnieć sobie, jak wymówić te słowa.

- *Lha gyal lo* - powtórzył w końcu łamiącym się ze wzruszenia głosem, po czym ruszył niepewnym krokiem w dół stoku, by opisać kolejne flagi.

Godzinę później zaprowadził ich na długą, szeroką półkę skalną, jeden z wielu tarasów, które piętrzyły się przez kilka kilometrów niczym nieregularne stopnie, kończąc się u podstawy poszarpanego wierzchołka.

- Zwłoki znalazł jeden z pasterzy - wyjaśnił. - Rozbili obóz pod drzewami - dodał, wskazując kilka poskręcanych jałowców i sosen, które rosły przy małym źródełku, obok wysokich skał, które zasłoniłyby ich przed wzrokiem każdego patrzącego z góry. - Nie wiedział o obozie, ale jeden z psów zaczął warczeć, jakby wyczuł w pobliżu wilka, a potem zobaczył leżący na otwartym terenie plecak. Zamierzał ominąć obóz, ale pies wszedł tam i nie wracał.

- Gdzie są ich namioty i sprzęt? - zapytał Shan, gdy zbliżyli się do kępy drzew. Nie licząc udeptanej ziemi pod drzewami, nie było śladu czyjejkolwiek obecności.

- Zniknęły. Przyszedłem tu dwa dni później, najszybciej, jak tylko mogłem zrobić to niezauważony przez ludzi Chodrona. Znalazłem wystygłe pozostałości małego ogniska. Mnóstwo zaschniętej krwi. Wszędzie ślady butów. Górnicy obserwują się nawzajem. Jeśli któryś umrze, cały sprzęt, który nie został rozgrabiony natychmiast, jest zbierany i sprzedawany pozostałym na licytacji. Oni są jak sępy.

Shan przystanął i obejrzał się za siebie na Yangkego.

— Chcesz powiedzieć, że górnicy też giną?

- To niebezpieczny zawód — odparł Tybetańczyk. - A ci ludzie lubią sami załatwiać swoje sprawy. Słyszę to i owo od innych pasterzy. Krążyły plotki o górniku, którego zabito w zeszłym roku, o innym, którego znaleziono martwego miesiąc temu. Ale górnicy i ja trzymamy się od siebie z daleka. - Wyczerpany wspinaczką z ciężarem canque na szyi, Yangke usadowił się między dwoma głazami, opierając na nich końce belki. Ze znużeniem uniósł ramię, by wskazać małą stertę kamieni w niewielkiej odległości od drzew. - Ich ognisko było tam.

Ktoś próbował zamaskować palenisko, piętrząc nad nim kamienie, tak by wyglądało jak podstawa jeszcze jednego kopca. Shan uklęknął i odtoczył kamienie, po czym zbadał popioły, próbując rozpoznać mieszankę woni, które uniosły się, gdy je poruszył. Zamknął oczy, by się skupić na zapachach. Spalone pióra. Spalony plastik. Ryż i dzika cebula, przypalone w garnku. Przypalone masło. Przesiewając popiół, natrafił na długą na osiem centymetrów grudę twardej niebieskiej substancji, potem kolejną, podobną. Pozostałości butelek po wodzie lub plastikowych kubków czy może szczątki małego nylonowego plecaka? Nie znalazł w popiołach już nic więcej prócz kamyków, dziesiątków małych, szarych kamyków. Przesiał kilka z nich na dłoń. Były identyczne, każdy niespełna półtoracentymetrowej długości, z zagłębieniem po jednej stronie i odpowiadającą mu wypukłością po drugiej. Wydobył ich więcej, położył jeden z nich na płaskim głazie i uderzył w niego większym kawałkiem skały. Kamyk się wgniół, ale nie pokruszył. Był zrobiony z plastiku.

Obok niego inna dłoń zagłębiła się w popiół i zaczęła wygrzebywać następne. Podczas gdy Lokesh zgarniał je na kupkę, Shan, wciąż skonsternowany, podrzucił jeden z nich w dłoni i zaczął chodzić, zataczając coraz szersze kręgi wokół paleniska. Padlinożercy byli dokładni. Przy pierwszym okrążeniu jednak znalazł ogryzek ołówka, przy drugim czerwone piórko oraz, wciśnięty w ziemię przez ciężki but, srebrny instrument, długi na dwadzieścia centymetrów, cienki jak ołówek, ale zakończony ostrymi zakrzywionymi szpikul-

cami. Kolejny zgłębnik dentystyczny. Przy trzecim i czwartym - tuzin drewniaków, wszystkie jednakowej długości, zaostrome na jednym końcu. Wykalaczki. Wszedł między drzewa, gdzie dostrzegł odciski w ziemi i igliwiu ślad śpiwora. Gleba pod drzewami była sucha i spulchniona. Przeczesał opuszkami palców ziemię na skraju odcisku. W bruzdkach pokazały się kamyki, potem biała bryłka twarda jak kamyk. Suszony ser, tradycyjna tybetańska potrawa, która podobnie jak herbata z masłem, rzadko przypadła do gustu przybyszom z zewnątrz. Jednak przybysz mógł uprzejmie przyjąć ser, po czym dyskretnie zakopać go, by nie obrazić ofiarodawcy. Jeszcze raz zagłębił palce w ziemię, wygrzebując mały patyk, okruchy kwarcu, odłamek starej kości. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś obozował tu już wcześniej. Shan wstał, po czym podniósł patyczek. Był on obrany z kory, a na jednym końcu nacięto w nim płytki rowek, jak gdyby dla zaznaczenia nóg. Wyciągnął drewniak, które zabrał nieprzytomnemu nieznanemu ze stajni. Oba kawałki pasowały do siebie, tworząc prymitywną figurkę, która przypominała mu małe gliniane wizerunki świętych, jakich używali tradycyjni Tybetańczycy. Ta, podobnie jak te w wiosce, została złamana, być może przez zabójcę.

Ściskając figurkę w dłoni, Shan rozejrzał się uważnie po ziemi, nie dostrzegł jednak żadnych więcej śladów. Powąchał ją. Została wycięta zaledwie przed paroma dniami. Obszedł dookoła każde z kilku drzew i znalazł cztery wydzielające sok ślady po obciętych gałązkach, po czym przyłożył patyczek do jednego z nich. Pasował, przynajmniej tak się wydawało. Czy były cztery patykowe figurki? Ale w obozie były tylko trzy osoby. Schowawszy patyki do kieszeni, zrobił krok naprzód, po czym stanął i obejrzał się w stronę drzew. Było wiele gałęzi, które mogłyby się nadawać, wszystkie patyki jednak zostały ucięte z tych zwróconych na wschód.

Oglądając się za siebie, zobaczył, że Lokesh ułożył plastikowe kamyki w rzędzie i liczy je po cichu. Gdy zbliżył się do niego, doszedł właśnie do stu ośmiu.

- To nie różaniec - powiedział do swego starego przyjaciela. - Nie do modlitwy. - Podniósł garść i z niepewną miną zaczął układać równolegle do pierwszego drugi rząd. Ułożył



podwójną linię prawie półmetrowej długości, po czym uniósł dwa kamyki i pokazał Lokeshowi, jak wypukłość na jednym pasuje do zagłębienia w drugim. - To zamek błyskawiczny - wyjaśnił.

Lokesh wskazał gestem stosik szarych elementów.

- Ale on musiałyby mieć gdzieś z półtora metra długości.

- Wąchałeś popiół? Spalono śpiwór. Nylon i pierze ogień strawił bez trudu. Chociaż dlaczego ktoś miałby palić rzecz tak przydatną w górach, nie mam pojęcia.

Zostawił starego Tybetańczyka, z zakłopotaną miną układającego zwęglone ząbki w bliźniaczych rzędach. Ponownie obchodząc wkoło teren obozowiska, spostrzegł połamane gałązki kilku pobliskich krzewów. Uklęknął, by przyjrzeć się plamom światła, tworzonym przez ukośnie kładące się na ziemię promienie słońca. Ledwo widoczna smuga cienia, leciutkie przyciemnienie, przebiegała w pobliżu ogniska, okrążając skałę i wspinając się w górę stoku. Był to ślad bardzo starej ścieżki, nieużywanej od dziesiątków lat.

Istnienie dwóch innych ścieżek zdradzały jedynie zgniecione rośliny i kilka dość świeżych śladów butów, biegnących w stronę dwóch oddalonych od siebie o kilkadziesiąt metrów skupisk wielkich głazów. Gdy Shan ruszył każdą z nich po kolei, przekonał się, że prowadzą do dwóch prowizorycznych latryn.

W końcu znalazł trzecią ścieżkę, a raczej trakt, którym — sądząc z wygiętych łodyg - wleczono coś ciężkiego. Prowadził on do grupy wysokich głazów trzydzieści metrów dalej.

Yangke wstał i ruszył niepewnym krokiem w stronę Lokesha, gdy Shan dotarł do wąskiego przejścia między dwoma dwupółmetrowymi głazami o płaskich ścianach. Zerknąwszy na swych towarzyszy, Shan wszedł między skały i zamarł. Na wysokości pasa była przeciągnięta lina, do której taśmą przyklejono w sporych odstępach kwadraty białego papieru. Na kartkach widniały napisane długopisem chińskie ideo-gramy.

- Jakie dziwne flagi modlitewne - odezwał się chrapliwy głos za jego plecami.

- To nie są flagi modlitewne, Lokesh - odparł zaniepokojony Shan, zbliżając się do liny. - To ostrzeżenia - Gdy

przeczytał słowa na flagach, zadrżał. „Zakaz wstępu”, mówiła pierwsza. „Uwaga, niebezpieczeństwo”, mówiła druga. „Policja Specjalna”, „Wydział Zabójstw”, głosiły dwie następne. I wreszcie: „Nocne Służby Laboratoryjne”.

Za nimi rozległo się szuranie stóp o ziemię i pojawił się Yangke, przeciskając się bokiem między głazami.

- To tu właśnie... - zaczął.

Nie było potrzeby oznajmiać, że tu właśnie znaleziono oba ciała. Na ziemi przed nimi, za liną, widniały białe obrysy. Dwa z nich były metrowej długości owalami. Kolejny, szerszy, mierzył niemal metr dwadzieścia. Był tam też niespełna sześćdziesięciocentymetrowej średnicy okrąg, a tuż obok długi, nieregularny kształt z dwiema wypustkami, które zapewne były nogami - zarys ludzkiego ciała leżącego na boku. Shan przeszedł przez linę i uklęknął przy największym owalu, wodząc palcem po białej pylistej kresce. Dotknął go językiem. Mąka. Odkrycie to sprawiło, że jeszcze raz spojrzął niepewnie na znaki ostrzegawcze. Ten, kto je rozwiesił, pochodził z dalekich stron. Ktoś, kto używał białej mąki, by robić rysunki na ziemi, pochodził z innego świata.

Wciąż klęcząc, przyglądał się dziwacznej scenie, zaczynając pojmować, że ma przed sobą nie jedną, lecz kilka tajemnic. Warstwy zagadek, które rozpoczynały się nie od zabójstw, ale od nieustalonej tożsamości ofiar, i kończyły na nieznannej osobie, która stworzyła kopię terenu śledztwa kryminalnego. Sąsiednie skały upstrzone były smugami mąki. Na ziemi leżały rozrzucone cztery pozwijane kawałki taśmy klejącej, najbliższy pół metra od jego kolana. Shan rozprostował go. Spodnia strona pokryta była mąką poznaczoną liniami i żwirem ze skał. Ktoś się bawił, ktoś, kto nie do końca rozumiał techniki kryminalistyczne, nie zdawał sobie sprawy, że z tak chropawego kamienia raczej nie da się pobrać czytelnych odcisków palców, ale kto wiedział dość, by odtworzyć procedury śledztwa.

Brązowe plamy na ziemi i układy plam na skałach powiedziały jednak Shanowi, że nie ma nic zaaranżowanego w obrysowanych mąką kształtach. Ktoś martwy - lub umierający - został zaciągnięty na otoczony skałami plac. Ktoś inny stracił życie tu, między głazami, z krwią tryskającą

wachlarzowato z co najmniej dwóch brutalnie zadanych ran kłutych. Obejrzał się za siebie na Lokesha, mając nadzieję, że stary Tybetańczyk nie pojmie widocznej jak na dłoni prawdy. Przynajmniej jedna z ofiar została rozczłonkowana.

- Tu były sępy - odezwał się Yankge. - Czułem zapach... Czułem zapach tego, co wyczuły sępy.

- Co się stało ze zwłokami?

- Nie wiem. Sępy mnie wystraszyły. Nie wiedziałem, że lotu jest...

- Sępy nie jedzą ubrań. Sępy nie pożerają kości.

- Kto by ich dotknął? - zapytał Yangke. - Kto chciałby wynosić zwłoki?

Była to, uświadomił sobie Shan, jeszcze jedna warstwa zagadki.

- Czy w okolicy mieszkają ragyapowie? - zapytał, mając na myśli rozcinaczy zwłok, zgodnie z tradycją przygotowujących tybetańskich zmarłych do podniebnego pochówku.

- Dopiero pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Co się dzieje, kiedy umrze ktoś z wioski?

- Starsi ludzie chcą, by ich ciała zaniesiono ragyapom. Zwłoki innych są palone. Mamy mnóstwo drewna na opał. Chodron twierdzi, że palenie ich jest efektywniejszym wykorzystaniem zasobów.

Shan odwrócił się do Lokesha, rozpoznając ból odmalowany na łagodnym obliczu przyjaciela. Ci, którzy ginęli śmiercią gwałtowną, rzadko bywali przygotowani, rzadko osiągali spokój i skupienie, które pozwoliłyby im dokonać trudnego przejścia do następnego wcielenia. Według tybetańskiej tradycji takie ofiary morderstw często stawały się gniewnymi duchami, burzącymi harmonię ziemi, na której przebywały.

Yangke wyczuł najwyraźniej, że coś dzieje się z Lokeshem, i dotknął jego łokcia, gestem kierując go z powrotem ku szczelinie. Stary Tybetańczyk wycofał się w milczeniu.

-Dlaczego mieliby palić śpiwór? - zapytał Yangke, podążając za Lokeshem.

- Bo był zakrwawiony. Jednego z nich zaatakowano we śnie, po czym przywleczono tutaj w śpiworze.

Z nieoczekiwanym bólem serca Shan patrzył w ślad za odchodzącymi towarzyszami, po czym zabrał się do pracy na placyku. Przyjrzał się uważnie plamom krwi, zwartym bryzgom rozchodzącym się od szerokiego, płaskiego kamienia który ułożono w pobliżu narożnika niewielkiej wnęki Strugi drobnych kropelek wytrysnęły z kończyn, w których wciąż pulsowała krew. Wkrótce zebrał osiem dalszych kawałków zmiętej taśmy klejącej. W samą taśmę wplecione były delikatne włókienka i nie miała ona ani rozmazującego się kleju, ani chemicznego zapachu tanich produktów sprzedawanych na tybetańskich targowiskach. Wzdłuż skalnych ścian widać było odcisnięte podeszwy drogich butów, podobnych do tych, jakie widział u mężczyzny w stajni. Shan wstał i rozejrzał się po placyku, próbując odtworzyć wydarzenia minionych kilku dni. Najpierw przybył zabójca i jego ofiary, pozniej ktoś inny, ktoś, kto na swój własny, niezdarny sposób zdawał się dochodzić prawdy. Czego dowiedział się ten człowiek? Czy zabrał jakieś dowody? Na skale po przeciwnej stronie placyku Shan spostrzegł dziwnie wypukłe siady, częściowe odciski palców w twardej szarej substancji, która zdawała się wystawać ponad powierzchnię Poł metra dalej, w miejscu, gdzie stykały się ze sobą dwa głazy, znajdowała się wąska szczelina w kształcie litery V Zagłębił w nią palce, wyciągając dwa długie waciki na patyczku, pogiętą, pustą tubkę kleju przemysłowego oraz na pół zużytą tubkę balsamu do warg. „Sexy Sheen”, głosiła etykiетка po angielsku i po chińsku. Przyjrzał się wacikom. Były na dwudziestocentymetrowej długości patyczkach, w rodzaju tych, jakie można znaleźć w dobrze zaopatrzonym laboratorium medycznym, jakie rzadko spotyka się w tybetańskich miastach.

Gdy skończył i wynurzył się z miejsca zbrodni, Lokesh podawał właśnie trzy paliki Yangkemu, który trzymał w dłoni również trzy. Wszystkie były identyczne, z wymalowanymi u góry trzema paskami, jednym niebieskim i dwoma czerwonymi.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż ci ludzie nie byli górnikami - powiedział Shan.

-Te paliki postawiono tu po mojej ostatniej wizycie.

Lokesh je znalazł, rozmieszczone tak, że odgradzały całe obozowisko i teren poza nim.

- Rozpoznajesz te barwy? Do którego z górników należą? Jediną odpowiedzią Yangkego było wetknięcie palików

w jeden z żelaznych uchwytów na ręce przy kołnierzu i przełamanie ich na pół. Piętą wygrzebał mały rowek w ziemi. Lokesh w milczeniu pomógł mu pogrzebać złamane paliki.

Shan wskazał ręką wysoki skalny grzebień, który wznosił się ku wierzchołkowi, dzieląc górę na część wschodnią i zachodnią.

- Wiem, jak trudno jest dostać się z dołu na tę stronę góry - powiedział. - Ale jak jest od wschodu?

- Bliżej szczytu robi się bardzo niebezpiecznie — odparł Yangke. - Pioruny często uderzają tam bez ostrzeżenia.

- Pioruny? - powtórzył z nagłym zainteresowaniem Lokesh.

Bóstwa ziemi często w ten sposób przejawiały swą obecność.

- Wiosną i latem, jeśli gdziekolwiek w pobliżu jest burza, pioruny trafiają w to miejsce. Czasem piorun uderza w wierzchołek nawet bez burzy.

- To najwyższa góra na przestrzeni dziesiątków kilometrów - zauważył Shan.

Żaden z Tybetańczyków się nie odezwał.

- Czy po drugiej stronie są pola? — zapytał.

- Tylko ten chiński obiekt, wiele kilometrów stąd - odrzekł Yangke.

- Nazwałeś go tajną bazą.

- Jest tam wysokie ogrodzenie z siatki. Parę białych budynków. Bardzo cicho. Niewielu ludzi wie o jego istnieniu. Podobno jest tajny nawet dla Pekinu.

- To nie baza wojskowa?

- Kiedy byłem mały, przemykałem się na drugą stronę, żeby się rozejrzeć. Moje ciotki mówiły, że to chińska baza, pełna śmierci. Naczelnik mówił, że jest pełna trucizny.

- Chodron?

- Nie, jego ojciec. Godzinami przesiadywałem w cieniach na wschodnim stoku i przyglądałem się. Było tam paru żołnierzy. Czasami słyszałem, jak śpiewają. Chciałem z nimi po-

rozmawiać, może wyprosić jakieś lekarstwa dla matki, która była chora. Żołnierze wysypywali ziarno dla dzikich jaków. Dzikie jaki są bliskie bogom, mówią nasi starcy. Wiedziałem, że muszą być dobrzy, skoro karmią dzikie jaki. Każdego dnia przysuwałem się odrobinę bliżej, jak one.

- Oni nie pomagali jakom - wyjaśnił głuchym głosem Shan. Często miał okazję widzieć, jak chińscy żołnierze postępują z dzikimi zwierzętami Tybetu.

- Nie - potwierdził Yangke, patrząc w wodę. - W dniu, w którym zdecydowałem się pójść porozmawiać z nimi do ziarna zbliżył się piękny biały jak. Przyglądałem się, bo każdy wie, że białe jaki są szczególnie święte, zapowiadają wielkie wydarzenia. W tamtym czasie nie widziałem jeszcze broni palnej, jeśli nie liczyć starych muszkietów naszych myśliwych. Nigdy nie słyszałem karabinu maszynowego.

- Ale oni mieli karabin maszynowy - dopowiedział Shan. Yangke skinął głową.

- Jak się tam dostać?

- Teraz już się nie da. Może zauważyli mnie albo jakiegoś innego pasterza. Była tylko jedna szczelina, jak wąska furka w wysokiej ścianie. Żołnierze podłożyli tam bomby i zwalili skały. Dwie strony góry nie mają już ze sobą kontaktu. Nie spotykały się od lat.

Lokesh wspiał się ścieżką do drugiego skupiska skał Shan przyglądał się, jak stary Tybetańczyk przekrzywia głowę w jedną stronę, potem w drugą, po czym wykonuje dłońmi wiele gestów, rytualnych mudr, rozpoczynając od złożenia ich razem, z palcami skierowanymi przed siebie, a potem zaginając kciuki i palce wskazujące do środka! Był to znak wody do omywania twarzy. Lokesh wykonywał mudry symbolizujące, jak zwali to wierni, Osiem Ofiar Zewnętrznych.

Zbliżywszy się, Shan zobaczył, że jego przyjaciel stoi na długim, płaskim występie skalnym, może półtorametrowej wysokości, pochylając się nad rdzawobrazowym rysunkiem. Na prawo od niego widniał inny symbol, znajomy jajowaty kształt rytualnego drogiego naczynia, często przedstawianego w dłoniach malowanych bóstw.

Jednak to, co narysowano po lewej, Shan widział pierwszy raz w życiu.

- To piorun - powiedział Lokesh — a jednak nie piorun. Narysowana krwią zygzakowata linia istotnie wyglądała

jak błyskawica. Tyle że u góry, gdzie była najgrubsza, znajdowała się trójkątna głowa z dwojgiem oczu.

- Albo wąż - podsunął Shan. - Ale - dodał, wskazując dwie pary wygiętych kresek w pobliżu górnego i dolnego końca - jaki wąż ma ręce i nogi?

- Smok - stwierdził Lokesh takim tonem, jakby dokonał posepnego odkrycia. - Piorunowy smok. - Kierował się wybitnie tybetańską logiką. Góra słynęła z piorunów. Pioruny rodziły się z grzmotów, a grzmoty, zdaniem starszych Tybetańczyków, wydobywały się z gardel smoków. Oni zaś znajdowali się na górze noszącej nazwę Śpiącego Smoka. Shan mimo woli spojrział w stronę szczytu. Wielu Tybetańczyków wierzyło, że smoki istnieją, jednak podobnie jak lamom, nie wiedzie im się we współczesnym świecie. Przed rokiem Shan towarzyszył Lokeshowi w pospiesznym marszu przez góry na wieść o pojawieniu się jednego z tych świętych stworzeń.

Shan zaczął przeszukiwać teren, gdzie znaleziono człowieka - z palcami unurzany w krwi, z zakrwawionym młotkiem - który był albo świętym, albo mordercą. Zrobił krok nad suchymi, poskręcany liśćmi, by lepiej objąć wzrokiem całą scenerię, po czym przeszedł się w tę i z powrotem. Tu nie było połamanych łodyg, jakie widział gdzie indziej, żadnych śladów wleczenia kogokolwiek, ale też żadnych śladów butów z kołkami, jakie nosił pogrążony w śpiączce mężczyzna. Zbadał drobne szczeliny w skałach i przestrzenie między głazami w promieniu trzydziestu metrów, zatrzymując się przy kręgu wyrównanej ziemi, na której dało się dostrzec ziarenka barwnego piasku. Yangke wspominał o piaskowym obrazie. Z ukrytej w cieniu szczeliny w połowie drogi między placykiem, gdzie odkryto zwłoki, a miejscem, gdzie znaleziono nieznanego, wydobył szczoteczkę do zębów z zabarwionym na czerwono włosiem. A więc święty nie namalował symboli palcami. Wydawało się nieprawdopodobne, by to on zrobił te rysunki.

Coś nie dawało mu spokoju. Jeszcze raz przeszedł wzdłuż

skalnej ściany. Zeschłe liście zaplątane w trawę. Nie było ich nigdzie indziej, jedynie w pobliżu namalowanych symboli drogocennego naczynia i smoka. Pochylił się i podniósł kilka, po czym usiadł i obejrzał uważnie jeden z nich. Nie był to liść, ale zwiędły kwiat, jeden z trąbkowatych kwiatów, jakie porastały stoki, choć najbliższe rośliny znajdowały się dość daleko, po drugiej stronie strumienia.

— To był ołtarz - oświadczył Lokesh. Pozbierał kilka leżących najbliżej skały główek kwiatów i wyciągnął je do Shana. One także były poplamione krwią.

Shan dopiero po chwili pojął, o co mu chodzi. Ciało nieznanego zostało ułożone pod namalowanymi symbolami wraz z kwiatami, tradycyjną ofiarą ołtarzową. Albo być może pokutną. Ale zakrwawiony młotek nie pasował do tego obrazu. Czy w zabójstwach brały udział dwie różne osoby? Świętego zaniesiono przed ołtarz, a do tego trzeba by było dwóch ludzi. Jeden z nich był pobożny, na swój osobliwy sposób. Ale drugi z zimnym wyrachowaniem położył tu młotek, aby zrobić obcego w dwa morderstwa.

Wracając do Drango, zastali rozstawionych na zewnętrznym skraju pół mężczyzn uzbrojonych w tęgie kije. Nie pozdrowili Shana i Lokesha, nie zareagowali nawet, kiedy obaj weszli na ścieżkę, która wiała się przez pola jęczmienia do samej wioski. Shan przystanął i obejrzał się za siebie, w górę stoku. Czego wypatrywali ci ludzie?

We wsi dzieciarnia rozbiegła się na ich widok. Kobieta ubijająca masło zerwała się i popędziła do domu, wciągając za sobą maselnicę do środka. Mały biały piesek obszczekał ich. Shan zbliżył się do stajni i zamarł. Strażnik przy drzwiach zniknął. Ale na drzwiach była teraz sztaba uniemożliwiająca wyjście każdemu, kto był w środku. Zdjął sztabę i zaklinował nią drzwi, by się nie zamknęły. Wewnątrz paliło się już tylko kilka naczynek z masłem, dość jednak, by dało się dostrzec mężczyznę leżącego w takiej samej pozycji, w jakiej Shan widział go ostatnio. Ale był sam. Wieśniacy, którzy czuwali przy nim, zniknęli. Nie było też Genduna.

Lokesh i Shan spojrzeli po sobie z niepokojem. Mnich podszedł do posłania i opadł na podłogę obok nieprzytomnego mężczyzny.



- Idź - powiedział do Shana głuchym, przerażonym głosem. - Znajdź go.

Shan pobiegł do domu, w którym spali. Am razu nie widzieli jego właścicielki, ale poprzedniej nocy znaleźli w kącie stajni pod pomieszczeniami mieszkalnymi koce na prymitywnych posłaniach ze słomy i płótna. Ich trzy sienniki leżały teraz zrolowane pod ścianą. Na szczycie drabiny prowadzącej na piętro poruszył się cień. Gdy Shan wspiał się w ślad za nim, zobaczył gospodynię stojącą przy jedynym oknie; wyglądała przez tafłę czarnego od sadzy, popękanego szkła.

- W takich okresach Gendun zapomina o jedzeniu i piciu, jeśli mu nie przypomnimy - powiedział do jej pleców. -Znane są opowieści o pogrążonych w medytacji lamach, którzy wstawali jak lunatycy i robili krok w przepaść.

Kobieta się nie odezwała. W końcu, nie odwracając się, powiedziała:

- Kiedy wieje odpowiedni wiatr, słyszę skrzywienie młynków modlitewnych w przedsionku starej świątyni.

- Jeśli należysz do tych nielicznych osób, które pamiętają świątynię, być może pamiętasz też współczucie. - Nie potrafił zrozumieć osobliwej odmiany ludzi, jaka zamieszkiwała Drango. Dlaczego ci Tybetańczycy, jedyni spośród wszystkich, z jakimi się zetknął, wzbudzali w nim taką niechęć? Gdy podszedł bliżej, rozpoznał ją. Była starszą wioski którą poznał poprzedniego wieczora. Chodron wspomniał unię wdowy, do której należał ten dom. Dolma.

-Muszę porozmawiać z którymś z ludzi, którzy znaleźli zwłoki - powiedział do jej pleców.

Gdy wdowa nie zareagowała, zostawił ją patrzącą przez okno i zaczął przeszukiwać wioskę. Biegł do końca ulicy i z powrotem, potem wokół domów po jednej i drugiej stronie, przystając, by zajrzeć na ogrodzone kamiennymi murkami podwórza za każdym. Nikt nie protestował, kiedy szukał Genduna, ale też nikt nie zaproponował pomocy. Niektórzy krzyczeli na niego. Ktoś rzucił w jego stronę kamieniem. Najczęściej zerkano na niego i odwracano wzrok, jak gdyby chcąc siłą woli zmusić go do odejścia.

Po bezowocnych poszukiwaniach dotarł do tylnych drzwi

domu Chodrona. Zapukał, po czym sięgnął do zasuwki. Drzwi otworzyły się i znalazł się w sieni, naprzeciw chińskiej flagi. Po lewej znajdowały się solidne drzwi z desek, zamknięte na kłódkę. Drzwi po prawej, wiodące do pozostałej części domu, były także zamknięte. Zastukał, po czym zaczął walić w nie, wołając najpierw naczelnika, potem lamę. Obszedł sięn dookoła, przystając przy małym stoliku pod flagą. Leżała na nim sterta broszur. *Naukowe zasady zarządzania organizmem wiejskim*, widniało na okładce jednej z nich. *Potęga socjalistycznych społeczności lokalnych*, głosiła inna. Wszystkie były po chińsku, choć wątpił, by więcej niż garstka mieszkańców wioski umiała czytać w tym języku. Obok broszur stało małe miedziane popiersie Mao Tse-tunga. A więc Chodron miał jednak ołtarz. Gdy wyszedł na zewnątrz, zauważył dziewczynkę, która nosiła jedzenie Yangkemu. Stała przy bliższym z kamiennych spichlerzy, zaglądając do środka. Zorientowawszy się, że Shan jest tuż obok niej, wydała spłoszony okrzyk i czmychnęła.

- Gendun! - wykrzyknął, otworzywszy drzwi szerzej. Lama siedział na środku kamiennej podłogi, z samotną lampką migoczącą przy jego kolanie. Ręce miał związane za plecami, owinięte wokół masywnego centralnego słupa. Powitał Chińczyka słabym uśmiechem.

- Co oni zrobili? - jęknął Shan.

Policzek lamy przecinała sina pręga z kropelkami zaschniętej krwi. Na grzbiecie jego prawej dłoni widniał podobny ślad. Gendun został wychłostany trzcina.

- On uniósł rękę i wypowiedział słowa, których nie potrafiłem zrozumieć - powiedział ochrypłym głosem lama, gdy Shan uklęknął przy nim, rozwiązując sznury.

- Czy to człowiek na posłaniu cię uderzył?

Gendun spojrział na niego ze zdumieniem. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nie wiedział, że został pobity.

- Jego słowa brzmiały jak modlitwa. Myślę, że mówił jednym z dawnych języków.

W niektórych częściach Tybetu posługiwano się niemal zaginionymi dialektami, które przetrwały z czasów przed wprowadzeniem pisma.

Serce skoczyło Shanowi do gardła, gdy spostrzegł wygięte palce lewej dłoni lamy. Drżały, zakrzywione niczym szpony.

- Neeee! - jęknął. Szybkim ruchem odsunął w górę jego rękaw. Straszliwa, mroczna panika ogarnęła go, gdy zobaczył bliźniaczy układ sińców i oparzeń. - Kto to zrobił? Dlaczego?

- Ten człowiek ma mylne wyobrażenia o naturze rzeczy. Jak sędzę, uznał, że zadając mi ból, ukaze mi nową prawdę.

Nie chodziło już o mężczyznę na posłaniu.

- Chodron? Ale dlaczego? Czego chciał?

- Kazał mi powiedzieć ludziom, że żuka trzeba zwrócić górskiemu bóstwu.

- Jakiego żuka?

- Żółtego żuka. Powiedziałem, że on nie należy do żadnego z bóstw, jakie znam. Wybuchnął śmiechem i kazał ludziom zamknąć mnie tutaj, i robili mi te rzeczy. Powiedział, że dzień i noc bez jedzenia i wody skłonią mnie do zmiany zdania. - Gendun wstał i przeciągnął się, masując zsiniałe nadgarstki. Zachwiał się, po czym z roztargnieniem pokiwał głową. - Ten w stajni nie może jeszcze być sam - oświadczył i nie mówiąc nic więcej, opuścił spichlerz.

Shan szybko znalazł to, czego szukał. Było w kącie za drzwiami. Bezwiednie chwycił się ręką za ramię, do którego przed laty podłączono mu podobne urządzenie. Akumulator od ciężarówki z kablami zakończonymi zaciskami sprężynowymi. W drzwiach niemal zderzył się ze starą wdową. Z oczyma pełnymi łez Dolma patrzyła, jak Gendun kuśtyka w stronę stajni. Koc, który narzuciła sobie na ramiona, ukrywał drewniane wiaderko mieszczące dzbanek z wodą i kilka zimnych klusek.

- *Lha gyal lo* — szepnęła do pleców Genduna.

- Dlaczego Chodron tak się przejmuje żółtym żukiem? -zapytał Shan.

- Nie zawsze tak było - odparła Dolma. - Drango, które znam z młodości, nigdy nie pozwoliłoby, by lamie stała się krzywda.

Shan uświadomił sobie, że zadał jej niewłaściwe pytanie.

- Co stało się z Drango?

- Co stało się z Tybetem? - rzuciła ostrożnie w odpowiedzi.

-Na Tybet spadły straszliwe nieszczęścia - przyznał Shan. - Ale tu sprawy mają się inaczej. Tu Tybetańczykom wyrządzają krzywdę sami Tybetańczycy.

Dolma weszła do kamiennego spichrza i postawiła wiadro na ziemi. Zaczęła wygładzać ziemię wokół centralnego słupa jak gdyby chciała usunąć wszelkie ślady bytności Genduna

- To miało nas ocalić - zapewniła. - Słyszeliśmy opowieści o wsiach, które znikwały w kłębach dymu albo ich mieszkańców przesiedlono do miast. Wioska po drugiej stronie góry została starta z powierzchni ziemi przez wielkie maszyny. W innej wsi wszystkich mężczyzn i chłopców ustawiono rzędem i rozstrzelano, bo ktoś rzucił kamieniem w żołnierza. Naszemu naczelnikowi udało się ustrzec nas przed takim losem.

- Chodronowi?

- Jego ojcu. -Jak?

- Dzięki złotu. - W głosie kobiety pobrzmiwała dziwna mieszanka dumy i melancholii. - Złoto zawsze było naszym wielkim obrońcą.

Po tych słowach zapadła cisza. Sprawiała wrażenie wioskowej modlitwy. Drango leżało na złotej górze strzeżonej przez złote bóstwo. Ocalenie zawdzięczało nie świętobliwości swoich mieszkańców, ale - jak zaczynał podejrzewać - chciwości.

Shan znalazł Genduna siedzącego w stajni, jakby nigdy jej nie opuścił. Miał skrzyżowane nogi, wzrok utkwiony w twarzy nieznajomego, w palcach trzymał paciorki modlitewne. U drugiego boku nieprzytomnego mężczyzny siedział Lokesh. Opadając na podłogę, Shan znów spostrzegł sińce na ramieniu lamy. Zaszło mu w ustach. Fala emocji która przewaliła się przez niego, omal nie przyprawiła go o mdłości. Ścisnął mocno dłonie, wpatrując się w nie, zmuszając się do skupienia, do znalezienia spokoju we własnym wnętrzu jak chciałby tego Gendun. Byle tylko odsunąć od siebie myśli o nadciągającej katastrofie.

Gendun nie zareagował, gdy Shan uniósł nadgarstek nie-

znajomego. Tętno mężczyzny wydawało się silniejsze. Shan zanurzył palce w stojącej obok Lokesha czarce z wodą, po czym przytrzymał je nad ustami nieprzytomnego tak, by woda kapała z nich na jego rozchylone wargi. Język mężczyzny wysunął się wolno, szukając płynu. Shan ponownie zamoczył palce. Kontynuował tę czynność przez pewien czas, dopóki nie przyłapał się na tym, że wpatruje się w ślady na ramieniu lamy.

Nagle za jego plecami odezwał się czyjś głos.

— Yangke odbywa karę. Nie możecie robić z niego swojego służącego.

— Służącego? - zapytał Chodrona.

— Zmusiliście go, by zaprowadził was na miejsce zbrodni. Shan odwrócił się twarzą do rozgniewanego naczelnika.

- Zazdroszczę Yangkemu. Musi być ulgą znać tak dokładnie ciężar swego brzemienia.

— Jesteście bliżsi tego luksusu, niż sądzicie, więźniu Shan.

W cieniach za Chodronem stało dwóch krzepkich rolników. Jeden z nich trzymał sznur podobny do tego, którym związano Genduna.

- Widzieliście kiedykolwiek obóz ciężkich robót? — zapytał Shan.

— Miałem raz zaszczyt odwiedzić obóz podczas uroczystości pierwszomajowych - odparł Chodron. - Pamiętam transparent, UKŁĘKNIJCIE PRZED WSZECHPOTĘŻNĄ PARTIĄ.

— To zamierzchłe dzieje - zauważył Shan, wzdrygając się. Przypomniawszy sobie, jak przed wielu laty siedział pod podobnym transparentem jako jeden z uprzywilejowanych gości oglądających defiladę więźniów pod Pekinem. - Teraz teksty są bardziej subtelne. Przywodzą na myśl slogany reklamowe jakiegoś globalnego przedsięwzięcia, NAPRZÓD KU POSTĘPOWI.

MILIARDY USATYSFAKCJONOWANYCH.

Oczy Chodrona zwęziły się.

- Yangke sprzeciwia mi się. Wy pogarszacie sprawę.

- A wy nie rozumiecie Genduna.

- Rozumiem, że jest człowiekiem jak każdy.

- I tu się mylicie. Po pierwszym roku spędzonym w więzieniu z tybetańskimi lamami - odparł Shan - uświadomiłem sobie, że wielu z nich tak naprawdę nie widzi swych

strażników. Było to dla nich coś w rodzaju długiej medytacji, w której nieustanne cierpienie jest metodą osiągnięcia skupienia. To, czego oczekiwali od ludzi takich jak wy, niewiele różniło się od tego, czego oczekiwali od żywołów. Razy pałką były jak gradobicie. Kula w głowę - ciągnął, starając się, by w jego głosie nie było znać smutku — jak uderzenie pioruna.

- Cóż z was za żalosne stworzenie, Shan. Niewolnik bezużytecznych, żyjących przeszłością starców. Szkolony pies na usługach gromady strachów na wróble.

- Jeśli macie na myśli Genduna, mogę jedynie marzyć o tym, by być jego psem.

Chodron mruknął coś przez ramię, zniżając głos. Stojący za nim mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Gdzie jest Yangke? - zapytał naczelnik.

- Jest przywiązany do swych owiec niemal tak bardzo jak do swego kołnierza.

Shan dostrzegł błysk nerwowości w oku naczelnika i odtworzył w pamięci ostatnie minuty spędzone z Yangkem. Pasterz siedział ze stadem rozproszonym w wyższych partiach stoku. Ale patrzył na ścieżkę, która wiła się wśród owiec i biegła pod górę.

Chodron przez chwilę wpatrywał się w niego wściekłym wzrokiem, po czym wykonał ruch ręką. Dwaj mężczyźni zrobili krok naprzód. Jeden z nich trzymał krótki kijek, sprawiający wrażenie trzonka od siekiery. Stanęli za plecami Shana.

- Co to jest żółty żuk? - zapytał Shan Chodrona.

- On musi powiedzieć, że trzeba go zwrócić górskiemu bogu.

- A gdzie jest teraz?

Naczelnik przyglądał mu się przez chwilę, po czym wskazał gestem leżącą na desce odwróconą do góry dnem czarękę. Shan nieufnie przeszedł obok dwóch rolników, uklęknął

1 podniósł naczynie.

Ukryty pod nim pięciocentymetrowej długości przedmiot był misternie wykonaną podobizną długiego skarabeusza. Jego ugięte odnóża połyskiwały jasno, a migotliwe płomyki lamp dawały im złudzenie ruchu. Głowa była gładka, tułów żłobkowany, oczy wykonane z polerowanego turkus. Shan

podniósł go, czując ciężar litego złota. Wzdłuż pancerzyka ciągnęła się para odgiętych w tył przegubowych czulek. Zuk był piękny. Sprawiał wrażenie bardzo starego. Nie pochodził z Tybetu.

- Dlaczego trzeba wynieść go z wioski?

- Ludzie mówią, że on chroni zabójcę. To zachęca do niebezpiecznych spekulacji.

Shan zerknął na Lokesha, który patrzył na żuka z zachwytem w oczach.

- Chcecie powiedzieć, że znaleziono go w miejscu zbrodni?

- Jeden z moich ludzi chciał go przesunąć. Wasz lama położył mu dłoń na ramieniu, by go powstrzymać. Chroniąc go, wasz lama chroni zabójcę.

Shan odwzajemnił lodowate spojrzenie naczelnika.

- Gendun nie jest waszą marionetką. Chodron jak gdyby tylko czekał na te słowa.

- To starzec, wyczerpany brakiem snu i pożywienia. A co ważniejsze, jest nielegalnym mnichem, potrzebującym intensywnego tamzingu. Ktoś tak obyty w świecie jak wy z pewnością to rozumie. Daliśmy mu zaledwie przedsmak właściwej imprezy. - Naczelnik pochylił się naprzód, zniżając głos. — Muszę mieć pewność, że poświęcicie mi całą swą uwagę.

Shan stłumił dreszcz. Tamzing. Choć słowo to brzmiało jak jedno z owych imion demonów, które Tybetańczycy niechętnie wymawiali głośno, oznaczało wyłącznie chiński wynalazek. Był to rytuał innego pokolenia, ulubione narzędzie budzącej postrach Czerwonej Gwardii, które pozbawiło życia wielu niewinnych ludzi. Tamzing był sesją krytyki, podczas której opornym wtłaczano do głów poprawną myśl socjalistyczną, zwykle za pomocą słów, czasem jednak, jak Shan dobrze wiedział, z użyciem pałek, butów, młotków lub ołowianych rur. Przez chwilę miał wrażenie, że spowija go dziwna mgła. Stwierdził, że stanął między Gendunem a Chodronem.

- Chcieliście coś powiedzieć? - zadrwił genpo.

Shan wpatrywał się żałośnie w podłogę, stopniowo uświadamiając sobie, że naczelnik i jego opryszkowie patrzą na niego wyczekująco. Jego strażnicy obozowi potrzebowali miesięcy, by odkryć to, co Lokesh nazywał jego wadą, słabość,

którą funkcjonariusze nauczyli się wykorzystywać przeciwko niemu. Chodron dostrzegł ją w jeden dzień. Shan nigdy nie skłamałby, nie pozwoliłby się wykorzystywać, nie tańczyłby, jak zagrają mu ludzie pokroju Chodrona, chyba że stawką było bezpieczeństwo starych Tybetańczyków.

- Zuka należy zwrócić bogu góry - wyszeptał po chińsku.

- Nie słyszę. Wszyscy musimy usłyszeć, co mówi lama, tak by każdy z nas mógł przekazać to pozostałym mieszkańcom. Po tybetańsku.

- Lama mówi, że miejsce tego klejnotu górskiego bóstwa nie jest tutaj, że trzeba go zwrócić. - Shan czuł, jak jego wargi poruszają się, ale nikły, głuchy głos, który wypowiadał te słowa, zdawał się dobiegać z daleka.

-1 lama mówi, że ten nieprzytomny człowiek może być zabójcą - dodał Chodron.

Shan utkwiał wzrok w polepie.

-1 lama mówi, że ten człowiek może być zabójcą -powtórzył.

Chodron, ze zwycięskim błyskiem w oku, skinął lekko dłonią, na co jeden z mężczyzn chwycił zuka i wrzucił go do czarki, nakrywając go drugą, odwróconą czarką, jak gdyby mógł odlecieć. Chodron mruknął coś, jego ludzie znów wybuchnęli śmiechem i wszyscy trzej opuścili stajnię.

Shan patrzył na puste drzwi, patrzył na lampki, patrzył na pogrążonego w śpiączce mężczyznę, patrzył wszędzie, tylko nie na twarz Genduna. Uklęknął i raz jeszcze wyciągnął palce do czarki z wodą, lecz natychmiast je cofnął. Drżały. Gdy zerknął na Lokesha, jego stary przyjaciel miał na twarzy wyraz, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widział. Nigdy otwarcie nie zganilby Shana, jednak nie był w stanie ukryć rozczarowania w oczach.

Shan wyszedł ze stajni i szybkim krokiem ruszył na skraj wysokiego urwiska za wioską. Smagany wiatrem, próbował zatracić się w rozciągającej się w dole pustce. Chodron nie wyobrażał sobie nawet koszmaru, jaki mu zgotował. By nie pozwolić naczelnikowi torturować Genduna i nieprzytomnego przybysza, Shan mógł być zmuszony do użycia jawnej przemocy. Ale gdyby podniósł rękę na Chodrona, by ocalić Genduna, nigdy więcej nie mógłby siedzieć u boku starego la-



my. Już teraz został zmuszony przy nim do kłamstwa w jego imieniu, by ratować go przed okrucieństwem Chodrona. Wychodził tego ranka zdecydowany rozwiązać zagadkę morderstw. Teraz chciał już tylko ocalić Genduna i Lokesha. Drango nie było sielską enklawą, jaką się wydawało na pierwszy rzut oka. Było to dziwne, szare miejsce, w którym łączyły się najgorsze cechy obu światów.

Odwrócił się i udał prosto do spichrza, w którym więziono Genduna, po czym wrócił nad urwisko, uginając się pod ciężarem akumulatora. Gdy cisnął go poza krawędź, akumulator zakreślił płaski łuk, jak mały głaz wyrzucony w powietrze wstrząsem góry.

Wróciwszy znad urwiska, zastał Dolmę stojącą w drzwiach domu. Skinęła na niego, zerkając nerwowo w głąb ulicy. Nie chcąc, by go dostrzeżono, obszedł zabudowania od tyłu. Nim dotarł do drzwi, wdowa zniknęła. Wspiął się po drabiniastych schodach na piętro, lecz i tam nie zastał nikogo. Szybko obiegnął wzrokiem skromną izbę. Była prosta i schludna, cała z drewna, oświetlona wyłącznie przez jedyne okno. Czując się jak intruz, zaczął schodzić, gdy zauważył, jak nierówne są cienie na przeciwległej ścianie. Podeszedł do niej z wahaniem i znalazł tam wielką płachtę czarnego filcu, rozwieszoną na drewnianych kołkach. Uniósł filc. Za nim wisiała thanka, bardzo stare malowidło na tkaninie, utrzymany w żywych barwach wizerunek bóstwa, pod którym znajdowała się mała kadzielnica. Wdowa, która jako członkini starszyny wspierała Chodrona w jego kampanii na rzecz odebrania wiosce jej tradycji, aktywnie modliła się do Tary, matki--opiekunki Tybetu.

Miał właśnie zejść, gdy z dołu dobiegły go stłumione głosy. Na schodach pojawił się wielki mężczyzna, ten sam, który pierwszy pełnił straż w stajni. Na jego nalanej twarzy znać było lęk. Spojrzał gniewnie na Shana, który zrobił krok w tył. Zza pleców mężczyzny wyłoniły się dwie następne postacie: wioskowy starszy z rzadką siwą brodą i Dolma, popędzająca swych dwóch towarzyszy jak niecierpliwy pasterz. Stała niczym wartownik u szczytu schodów.

— Inspektor chce usłyszeć o zwłokach - oświadczyła.

- To więzień - burknął osiłek. - Oszukał nas.

- On jest rozwiązaniem naszych problemów - odparła z wymuszoną cierpliwością Dolma.

Osiłek spojrział na starca. Po chwili zmełł w ustach przekleństwo i zaczął mówić, patrząc na Dolmę, nie na Shana.

- Pędziliśmy stado owiec pod górę, na nowe pastwisko. Pies znalazł najpierw tego ze stajni. Był cały we krwi, a obok niego te znaki. Pozostali dwaj, czy raczej to, co z nich zostało, leżeli w kręgu wysokich skał.

- To, co z nich zostało? - powtórzyła drżącym głosem Dolma.

- Nie mieli rąk, były odrąbane. Uciekliśmy i posłaliśmy po Chodrona.

Po plecach Shanowi przebiegł dreszcz. Widział dowody, ale mimo to, słysząc opis rzezi, poczuł się nieswojo.

- Obóz - powiedział po chwili, z językiem suchym jak wiór. - Co widzieliście w obozie, przy drzewach?

- Krew. Popiół. Trochę sprzętu, chociaż zniknął, kiedy wróciliśmy. Garnki i patelnie. Niebieski plecak. Czerwony plecak ze wschodzącym słońcem na klapie. Śpiwory.

- Czy ręce mogły zabrać sępy?

- Nie. Było za wcześnie na sępy. One zlatują się, gdy zwłoki zaczynają cuchnąć.

Starzec zaczął chwiać się na nogach. Dolma poprowadziła go do krzesła i przyniosła mu czarkę herbaty.

- Dokąd zabraliście ciała?

- Tybetańczycy wiedzą, co robić ze zmarłymi. - Głos osiłka zdradzał narastającą urazę. - Są rozcinacze zwłok...

- Dokąd zabraliście ciała? - powtórzyła z wyrzutem Dolma. - Nie zanieśliście ich do ragyapów. To oznaczałoby co najmniej trzydniową wyprawę.

Starzec z brodą znów spojrział na młodszego mężczyznę.

- Nawet ich nie dotknęliśmy - przyznał. — Były tam pierwszego dnia i zniknęły, gdy wróciliśmy następnego. Pozostały tylko białe linie na ziemi tam, gdzie leżeli. Ktoś powiedział, że zabrał ich piorun, zostawiając jedynie biały pył z ich kości. Chodron kazał nam nikomu o tym nie mówić.

- A co z barwnym piaskiem? - zapytał Shan. - Z mandalą?

Mężczyzna z zaskoczeniem uniósł wzrok.

- Było tam coś takiego, niemal zapomniałem. Było tam pierwszego dnia. Tylko rzuciłem na to okiem. Baliśmy się. Następnego dnia zniknęło. Jak ciała.

Shan przyjrzał mu się z uwagą. Jeśli to było prawdą, wiedział już coś o priorytetach zabójcy. Najpierw zabrał ręce. Potem usunął zwłoki i zatarł mandalę.

- Możesz opisać, jak wyglądał ten piaskowy rysunek? Osilek ściągnął brwi, po czym pokręcił głową.

- Mówisz o dawnych sprawach. Nie wolno nam uczyć się takich rzeczy.

- Mógłbyś to narysować?

- Nie sądzę.

- Rozpoznałeś nieboszczyków?

Mężczyzna spojrzął w swoje dłonie. Jego wahanie sprawiło, że Dolma uniosła głowę.

- Kim oni byli? - zapytała ostro. - Chodron powiedział, że to byli obcy. Powiedz Trinlemu. Powiedz swojemu ojcu i mnie prawdę.

- Obcy ludzie w obcej okolicy - odparł mężczyzna. Nagle jednym susem przypadł do drabiny i zniknął.

Dolma i starzec imieniem Trinle spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Kogo brakuje w wiosce? - zapytał Shan.

- Nikogo - odparła Dolma, zbity z tropu.

Gdy Shan wrócił do stajni, Dolma poszła za nim z wiadrem wody. Ani Gendun, ani Lokesh nie dali po sobie poznać, że go widzą. Gdy usadowił się na polepie, Dolma podała mu wilgotną szmatkę i razem zaczęli omywać ramiona pogrążonego w śpiączce mężczyzny. Shan pozwolił, by wciągnął go milczący rytm tego zadania, czasem myjąc obcego samemu, czasem wyzymając szmatkę dla Tybetan-ki, świadomy, że to, co robią, jest posługą, jaką świadczyło zwykle zmarłym. Przerwał tylko raz, by zajrzeć pod odwróconą czarę. Zniknął.

Pracowali w milczeniu. Nagle Dolma, zdekoncentrowana, nie sięgnęła po szmatkę, którą wyciągnął w jej stronę. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Dłoń obcego zacisnęła się na jej ramieniu.

- *Lha gyal lo* - szepnął radośnie Lokesh.

-*Lha gyal lo* - powtórzyła staruszka i zaczęła gładzić dłoń mężczyzny.

Przyglądali się, jak jego druga dłoń unosi się z wolna. Jej palce zaczęły się poruszać, wskazując coś w cieniach, jak gdyby poprzez powieki wyczuwał rzeczy, których nie mogli dostrzec, wskazując jeden punkt, nieruchomiejąc, wskazując inny. Nie, nie nieruchomiejąc, uznał Shan. Rysując. Rysował coś w powietrzu. Gdy jego dłoń opadła wreszcie z powrotem na piersi, mężczyzna westchnął głęboko. I wyszeptał coś.

Shan pochylił się naprzód, obejmując jego głowę rękoma. Usilnie starał się zrozumieć jego słowa.

- *Dsilyi neyani. Dsil banaca.*

Nic mu to nie mówiło. Nie był to tybetański ani mandaryński, kantoński, angielski, rosyjski, ani żaden z kilkunastu innych języków, jakie Shan - o czym był przekonany potrafił rozpoznać.

Słowa płynęły dalej, wciąż szeptane, chociaż silniejszym, wręcz nagłym tonem.

- *Tsilke nacani! Nigel ida, nace hila!*

Dolma i Shan spojrzeli po sobie z konsternacją. Gendun przypomniał mu, że w odludnych regionach gór przetrwały po dziś dzień niemal nieznane, pradawne dialekty. Dolma nakryła drugą dłonią dłoń mężczyzny, tuląc ją tak, jak matka mogłaby tulić dłoń śpiącego dziecka.

Oczy mężczyzny otworzyły się. Shan przeraził się, że jest ślepy, gdyż wydawały się mętne i niewidzące. Potem jednak spoczęły na zniszczonej, życzliwej twarzy, która pochylała się nad nim, szeptając modlitwy. Oczy nieznajomego stały się okrągłe i przyspieszył swój dziwny, nagły zaśpiew. Obrócił się twarzą do Genduna, wyciągając rękę, jak gdyby chciał dotknąć lamy, i nagle zatrzymał ją, jak gdyby bał się sprawdzić, czy istotnie jest z krwi i kości.

- *Qojoni qasle, qojoni qasle!* - wyszeptał z lękiem w głosie, kłaniając się Gendunowi. - *Qojoni qasle* - powtórzył słabo, po czym zemdłał i bezwładnie opadł znów na posłanie.

Gdy Shan obrócił mężczyznę, jego niewidzące oczy były pełne łez.

### ROZDZIAŁ 3

Shan kartkował wspaniałą pergaminową księgę, którą dał mu przytomny już teraz mężczyzna, próbując wydobyć sens z patykowatych ludzików podobnych temu wytatuowanemu na ramieniu obcego, starożytnych chińskich poematów, tybetańskich modlitw, próbując pojąć, skąd wzięło się w niej zdjęcie jego samego z młodości, stojącego dumnie w maoistowskiej kurtce z ciasnym kołnierzem wraz z innymi świeżo upieczonymi absolwentami kursu dla oficerów śledczych. Dlaczego tak potwornie swędziała go stopa, zastanawiał się. Mężczyzna siedział naprzeciw niego, pogodnie uśmiechnięty, jedną dłonią przesuwając tybetańskie paciorki, w drugiej trzymając zakrwawiony młotek kamieniarski.

- Weź tę księgę z sobą — powiedział głosem równie spokojnym i łagodnym jak głos Genduna. - Będiesz jej potrzebować tam, dokąd idziesz.

Shan pokręcił głową.

- Nigdzie się nie wybieram.

- To po ciebie przyszli. Na tej górze twoje życie dobiegnie końca. Powiedz mi: wolisz, żebyśmy zostawili twoje zwłoki ptakom czy mamy użyć ognia?

Włosy świętego oproszone były śniegiem zmieszany z żółtym pyłem. W cieniach za nim pojawiło się dwóch innych mężczyzn, w bordowych mnisich szatach, wymachujących pozbawionymi dłońmi kikutami rąk. Gdy się zbliżyli, zobaczył ich twarze - Lokesh i Gendun.

Swędząca stopa zaczęła piec go żywym ogniem. Podciągnął nogawkę spodni. Poniżej kolana pozostała jedynie kość. Rój złotych żuków pożerał jego ciało.

Obudził się, z trudem łapiąc oddech, z walącym sercem, nie zdając sobie sprawy, że zerwał się z posłania i wybiegł na dwór, dopóki nie potknął się o kamień na podwórzu za

domem Dolmy. Minęło kilka minut, nim otrząsnął się z koszmarnego snu. Dla równowagi uchwycił się płaskich kamieni, tworzących szczyt muru na tyłach. Niebo migotało gwiazdami, rzucając upiorną poświatę na bielone domy. Krzyknął lelek. Ze stoku dobiegło echem beczenie samotnego jagnięcia. Poza tym panowała martwa cisza. Shan zabrał swoje buty sprzed drzwi i ruszył w drogę.

Choć było już dobrze po północy, niepełna tarcza księżycy i niezliczone gwiazdy oświetlały ścieżkę. Przystanął na skalnej półce dającej widok na pogrążoną we śnie wioskę. Tylko jeden budynek wykazywał jakiegokolwiek ślady życia - stajnia, gdzie Lokesh ponownie zapalił sto osiem lampek maślanych, których światło przesączało się między zniszczonymi przez wiatr deskami. Tym razem stary Tybetańczyk nie mógł pójść za nim. Gdy poprzedniego wieczora Shan opuścił stajnię, Chodron zaryglował drzwi od zewnątrz, zamykając w środku Lokesha, Genduna i Dolmę. A przy wejściu postawiony został strażnik.

Shan szedł przez pola jęczmienia, szemrzące jak srebrne jezioro w blasku księżycy. Wkrótce znalazł udeptany szlak trawersujący zbocze i ruszył wolnym, jednostajnym truchtem, jak robili niektórzy Tybetańczycy, przemierzając większe odległości w górach. Gdy znacznie później dotarł na placyk, gdzie dokonano morderstw, usiadł na płaskim głazie. Jakieś czworonożne stworzenie, dziki pies albo wilk, pijące ze strumienia, uniosło łeb w jego stronę i rzuciło się do ucieczki. Dwa małe zwierzątka przebiegły u podnóża skał. Jedna z sówek, jakie widywano na stokach, wydała krótki, ostry pisk.

Lecz nie tylko zwierzęta odwiedzały obozowisko. Po zabójcy przyszli pasterze z Drango, potem Yangke, następnie osoba, która rozwiesiła odręcznie nabazgrane ostrzeżenia i próbowała po amatorsku pobrać odciski palców, potem ktoś - znów zabójca? - kto zabrał zwłoki i zatarł piaskowy obraz. Jakiś górnik opalikował teren. Ktoś - albo zabójca, albo górnik - zrabował sprzęt. Święci mężowie, tak Yangke nazwał zamordowanych. Święci mężowie z nowoczesnym sprzętem biwakowym. Święci mężowie z prymitywnymi drewnianymi figurkami. Jaką wiadomość zawarli w swym piaskowym obrazie, że zabójca był zmuszony go zniszczyć?

Shan ruszył wolno w stronę skąpanego w księżycowej poświacie obozowiska, mówiąc sobie, że tak właśnie nadchodził zabójca, przed świtem, wśród pohukiwań sów. Z dogasającego ogniska zapewne unosił się dym.

O czym nieboszczycy rozmawiali przed snem? Tożsamość ofiar była zagadką nie mniejszą niż tożsamość zabójcy. Lokesh powiedziałby, że ich duchy, jak duchy wszystkich pomordowanych ludzi, wciąż krążą w pobliżu. Shan przyłapał się na tym, że omiata wzrokiem pogrążony w mroku stok. Chętnie porozmawiałby z duchem. Przede wszystkim zadałby mu pytanie, które dręczyło go od czasu pierwszej wizyty w miejscu zbrodni, kiedy to zobaczył piorunowego węża i fragment drewnianej figurki; dlaczego te tybetańskie rzeczy były wykonane tak nie po tybetańsku?

Spojrzał za siebie, w stronę kępy drzew, gdzie dwaj mężczyźni leżeli przed śmiercią. Czy rozmawiali o błahostkach, wspominali rodzinę, zachwycali się bezkresem nocnego nieba? Czy, jak wierzyli niektórzy starzy Tybetańczycy, widzieli tuż przed śmiercią meteoryt? Wszedł między drzewa i niemal się potknął o kopczyk ziemi. Ktoś tu kopał. Opadłszy na kolano, przyglądał się rzucanym przez księżyc cieniom. Odkąd był tu ostatnio, wykopano co najmniej tuzin małych dołków — a potem je zasypiano.

Chodził w tę i z powrotem przed kręgiem wysokich skał, gdzie znaleziono ciała, zaskoczony strachem, który powstrzymywał go przed wejściem w cienie. W końcu ruszył biegiem, teraz po nieznanym sobie terenie, na każdym skąpanym w świetle księżycy rozwidleniu wybierając tę ścieżkę, która wiodła bardziej pod górę. O świcie był wciąż daleko od szczytu, dotarł jednak do ostatniej z długich półek ziemi pod wysokim, poszarpanym wierzchołkiem. Smagany wiatrem, jałowy teren odgradzała od przeciwległej strony góry złowroga, piętnastometrowa skarpa, kamienny grzbiet, który rozdzielał wschód i zachód. Przyglądając się skarpie, napił się ze strumyka i zjadł kawałek twardego, suszonego sera zachowanego z kolacji, którą Dolma przyniosła im do stajni. Yangke miał rację, mówiąc, że obie strony góry stanowią odrębne światy. Ta naturalna bariera była o wiele bardziej skuteczna niż wszelkie zasieki, jakie mogłoby ustawić wojsko. Dostrzegł

w ścianie kilka szczelin, jednak z daleka zdawało się, że każdą z nich wypełniają głazy lub zwalone skalne płyty.

Godzinę zajęło mu zbadanie pierwszych trzech szczelin. Gramolił się przez wypełniające je rumowiska, dopóki nie zostawał zmuszony do odwrotu przez potężne skalne bloki, na które nie dawało się wspiąć bez lin. Miał właśnie zagłębić się w czwartą, kiedy niespełna kilometr od siebie dostrzegł jakiś ruch. Górska koza, jedno z owych zwinnych, białych stworzeń, które zamieszkiwały te góry, pojawiła się ni stąd, ni zowąd, jak gdyby wyszła wprost ze skały. Shan ukrył się w cieniu głazu i patrzył, jak ukazuje się kolejna kudłata koza, potem trójka młodych i jeszcze jedna dorosła. Kiedy stadko ruszyło w dół stoku, leniwie skubiąc pokryte porostami skalne płyty, przemknął wzdłuż ściany. Gdyby nie zapamiętał dokładnie tego miejsca, łatwo mógłby przeoczyć kozią bramę, gdyż nie była to jedna ze szczelin, które widział, ale wąski pas cienia za równoległym do ściany załamkiem.

Kręta ścieżka była niekiedy tak wąska, że ramionami szorował po skale, kiedy indziej tak niska pod zaklinowanymi w górze płytami, że musiał posuwać się w kucki. Po dwustu metrach drogę zagroziła mu wielka sterta gruzu, która wydawała się nie do przejścia. Zauważył jednak na kilku głazach kopczyki kozich bobków i podciągnął się na rękach na pierwszy z potężnych bloków. Niejeden raz Lokesh żartował z nim, że ci, którzy jak oni mieszkają w zapadłych regionach Tybetu, muszą być na pół kozami, by przeżyć.

Po kilku minutach ostrej wspinaczki przystanął, by się przyjrzeć rysom i wyżłobieniom, jakie zaczęły się pojawiać na kamieniach pod nogami. Ktoś pracował dłutami i lewarami, podważając skały, przesuwając je na boki, oczyszczając jeśli nie drogę, to przynajmniej ścieżkę, z której mogły korzystać stworzenia mniej zwinne niż kozy. W pobliżu grani, w połowie szerokości skarpy, dwa wielkie zwalone bloki tworzyły zdradliwy dół głęboki na co najmniej sześć metrów. Koza mogłaby przejść po wąskim, dwunastocentymetrowej szerokości występie biegnącym wzdłuż bocznej ściany, dla ludzi jednak ktoś przerzucił prymitywną kładkę z jałowcowych żerdzi i szpagatu, skonstruowaną jak drabina, z wąskimi poprzeczkami co pół metra.



Gruzowisko robiło się coraz bardziej niebezpieczne, pełne odłamków skał o ostrych, poszarpanych krawędziach, niekiedy osmalonych od materiałów wybuchowych, które sterczały na sztorc, grożąc zranieniem. W górze krążył wielki ptak, kolejny sęp, zainteresowany nie Shanem, ale małymi, puszystymi wiewiórkami ziemnymi, które pierzchały przed nim. Shan próbował wyobrazić sobie biegnącą między wysokimi ścianami ścieżkę, która niegdyś istniała pod gruzem. Ciemny kręty korytarz tworzyłby naturalną korę - ścieżkę pielgrzymkową, którą lamowie z dawnych wieków wytyczyli nie tylko po to, by prowadziła do siedzib bóstw, ale także by stanowiła dla pielgrzyma lekcję trudów i pokory.

Wcześniej tego roku odwiedził wraz z Lokeshem sanktuarium pielgrzymkowe na stoku innej góry, do którego prowadził znacznie krótszy korytarz o ścianach pokrytych wizerunkami demonów opiekuńczych. Miał to być ostatni dzień tej malowanej górskiej świątyni. Rząd zamierzał zburzyć ją, by zbudować radiową wieżę transmisyjną. Choć inżynierowie zgodzili się przenieść malowaną skałę, kiedy nadjechał buldożer, Lokesh usiadł na ziemi. „Ten obraz na skale to tylko stara, łuszcząca się farba, którą bóstwo opuściło już dawno temu. Oni nie rozumieją. To, co ważne, jest tutaj - oświadczył stary Tybetańczyk, klepiąc dłonią ścieżkę udeptaną przez stulecia pielgrzymich pokłonów. - Tu jest to, co jest święte". Nie opierał się, gdy operatorzy maszyny podnieśli go i posadzili na ziemi piętnaście metrów dalej, po czym wrócili do rozorywania starej ścieżki. Jednak od tamtej pory stale nosił przy sobie woreczek z udeptaną ziemią.

Na drugim końcu zniszczonego szlaku, którym szedł teraz, Shan znalazł potwierdzenie swych domysłów, że mieszkańcy wschodnich stoków wiedzieli o przejściu. Po jednej stronie wejścia do szczeliny widniał wyblakły wizerunek Tary. Naprzeciw opiekuńczego bóstwa znajdował się obraz stworzony przez innego rodzaju pielgrzyma. Ktoś wymalował świeżymi, jaskrawymi farbami wysokiego na ponad metr Budę, siedzącego, niczym postać z komiksu, w miniaturowym kabriolecie, z przyklejonym do warg papierosem i okularami przeciwsłonecznymi na oczach. Znalazł się w realnym świecie.

Krajobraz po wschodniej stronie góry był łagodny, stok kilometrami opadał w dół, upstrzony rozszanymi z rzadka skałami, przecięty kilkoma niskimi grzbietami, które rozchodziły się niczym palce od głównego masywu i łączyły ze stokiem sąsiedniej góry, tworząc rozległą, zieloną i niezamieszkaną dolinę. Prawie. W oddali, może osiem kilometrów dalej, widać było kilka białych budynków otoczonych przez pół tuzina masztów antenowych oraz trzy wielkie, białe, przechylone jak gdyby pod naporem wiatru talerze. Anteny satelitarne.

Znacznie bliżej Shana, niespełna kilometr od niego, znajdowała się jedyna inna widoczna budowla, stary dzong, jedna z małych górskich fortec, jakie niegdyś rozszane były po całym Tybecie. Jej budowniczywie przed wiekami dobrze wybrali lokalizację, kładąc jej fundamenty na końcu jednego z długich, sterczących grzbietów, w miejscu gdzie cypel skał i trawy opadał raptownie sześćdziesiąt metrów do dna doliny. Na jej rozpadającej się pięciopiętrowej kamiennej wieży płonęły niegdyś ogniska sygnałowe. Wąskie okna zostały zaprojektowane dla łuczników. Później, gdy miejsce wojowniczych władców Tybetu zajęli buddyjscy przywódcy, wiele takich dzongów przeistoczyło się w klasztory lub pustelnie. Teraz, gdyby Shan zdołał bezpiecznie dostać się do ruin, byłyby znakomitym stanowiskiem do obserwacji okolicznych terenów.

Puścił się biegiem przez wysokie łąki, ile możliwości starając się, by skały skrywały go przed odległym kompleksem w dole, wiedząc, że jego wartownicy mogą lustrować okolicę przez potężne lornetki. Przystanął na chwilę, gdy znów owładnęły nim emocje. Jakiś wewnętrzny głos krzychał, by wracał do wioski. Znajdzie Genduna pobitego do nieprzytomności. Znajdzie Lokesha zakutego w canque. Wejdzie do stajni i nie znajdzie nic poza zakrwawionymi łyżkami na podłodze. Koszmarne wizje nie chciały go opuścić, zaprzatając jego uwagę do tego stopnia, że dopiero gdy znalazł się niespełna pięćdziesiąt metrów od dzongu, zdał sobie sprawę z pewnego niezwykle istotnego faktu.

Budynek był zamieszkały. W wąskich oknach znajdowały się szyby. Przybudówka u stóp wieży była nowa, choć wznie-

siono ją z kamienia w tym samym tradycyjnym, pudełkowym stylu o nachylonych do środka ścianach, co sam dzong. Wzdłuż ścian zasadzono kwiaty. W cieniach za wieżą łopotały flagi modlitewne. Nie, nie flagi, uświadomił sobie, biegnąc pod osłonę kolejnej skały. Pranie.

- Nie jesteście żołnierzem - usłyszał nagle tuż za plecami. - Nie jesteście naukowcem. Nie wyglądacie dość zamożnie jak na jednego z tych cholernych górników. - Głos miał dziwnie niefrasobliwe brzmienie. - Gdybym zastrzelił was w tym momencie, moglibyśmy nazwać to socjalistycznym eksperymentem i wymyślić smutną, poprawną politycznie opowieść o drodze, która doprowadziła tak aspołecznego osobnika do nieuchronnej śmierci od kuli. - Słowa te wypowiedane były płynną mandaryńską chińszczyzną z lekkim pekińskim akcentem.

Shan odwrócił się w stronę mówiącego, rozkładając otwarte dłonie.

- Eksperyment, któremu mnie poddano, zarzucono już wiele lat temu. To, co zostało, uznano za niewarte ceny kuli - odparł spokojnym tonem.

Spodziewał się zobaczyć żołnierza, rozgniewanego urzędnika, wszystko, tylko nie człowieka, którego miał przed sobą. Mężczyzna był o głowę wyższy od Shana, dobrze ubrany, wysportowany, o długich, jasnych, siwiejących włosach, które zakrywały mu uszy. Na rękę trzymał strzelbę o dużym zasięgu, u paska zaś, który podtrzymywał jego spodnie koloru khaki, zawieszony miał futerał kompaktowej lornetki. Brązowy kaszmirowy szalik wystawał spod kołnierza skórzanej kurtki, zakrywającej większą część czarnej koszulki z wizerunkiem czerwonego smoka, pod którym widniał angielski napis: BORN TO BE WILD.

- Więc jak mam was zaklasyfikować? - zapytał nieznajomy. - Jako zwierzę, minerał czy roślinę?

- Być może wierzycie w duchy? - podsunął Shan. Stał bez ruchu, gdy nieznajomy obszedł go dookoła, przyglądając mu się od stóp do głów.

Mężczyzna najwyraźniej docenił jego poczucie humoru.

- Myślę - odparł z szerokim uśmiechem - że po prostu nazwiemy was najbardziej interesującym gościem, jakiego

mieliśmy od tygodni na obiedzie. - Gestem skierował Shana w stronę dzongu.

Była to najbardziej zdumiewająca z budowli, jakie Shan widział w Tybecie. Dołożono wszelkich starań, by zachować jej szesnastowieczny wygląd, aż po mały kopczyk kamieni mani przy drzwiach. Wnętrze jednak stanowiło przegląd całych pięciuset lat, jakie dzieliły jej powstanie od współczesności. Po obu stronach wejścia, na beżowej tkaninie, którą obite były ściany, wisiały dwa długie zwoje z portretami chińskich cesarzy. W eleganckiej, szarozielonej seladonowej donicy rosły pędy bambusa. Gdy nieznajomy stawiał strzelbę przy drzwiach, Shan nachylił się nad najbliższym obrazem, przedstawiającym jednego z pierwszych cesarzy dynastii Qing, ubranego w futrzaną czapkę i żółtą, brokatową szatę haftowaną w smoki. Nie była to reprodukcja. Z ukrytego gdzieś za donicą głośnika dobiegały ciche, głuche tony drewnianego fletu.

Shan ruszył w ślad za swym przewodnikiem po dwóch kamiennych stopniach do wielkiego pokoju wysłanego ogromnym dywanem tkanym w tradycyjne tybetańskie wzory. Ścianę po lewej pokrywały sięgające od podłogi do sufitu regały z książkami, prawą zaś obrazy, dramatyczne widoki gór oraz sceny marynistyczne, wszystkie w zachodnim stylu. Na środku pokoju stała wielka, miękka sofa w kształcie litery U, ustawiona tak, by dało się z niej podziwiać pejzaż roztaczający się za długim rzędem okien w przeciwległej ścianie. Gdy mężczyzna przystanął, spoglądając w stronę lekko uchylonych drzwi przy obrazach, Shan zrobił kilka niepewnych kroków w stronę okien, wpatrując się w zamontowaną na statywie potężną lunetę.

Przystanął i oparł dłoń na sofie, wciskając palce w miękki materiał. Nie była prawdziwa. Nie mogła być prawdziwa. Cały ten dom nie miał prawa istnieć. Jego miejsce było w Alpach szwajcarskich albo w górach Ameryki Północnej. Nie licząc willi najwyższych funkcjonariuszy partyjnych, nie widział nigdy takiej rezydencji w Chinach, a co dopiero na szczycie góry w zapadłym kącie Tybetu.

— Proszę usiąść - powiedział jego towarzysz, wciąż najczystsza chińszczyzną. - Doktor rozpoczyna dysekcje dopiero po śniadaniu.

Shan nie usiadł, ale przeszedł obok sofy, obserwując cudzoziemca. Zerknął na troje drzwi prowadzących dokądś z tego przestronnego, wygodnego pokoju, w myślach oceniając odległość do wejścia, które miał za plecami. Jego instynkty krzyczały ostrzegawczo. W pobliżu muszą być żołnierze. Lada chwila zostanie pojmany.

Jasnowłosa mężczyzna rozsiadł się na sofie z rękoma splecionymi za głową, przyglądając mu się z rozbawioną miną. Najbliższe z trojga drzwi były otwarte, ukazując zalany słońcem pokój z wielkim drewnianym biurkiem. Na wbudowanym w ścianę regale za nim stały dziesiątki segregatorów i notatników ze starannie wydrukowanymi etykietami, zbyt małymi, by Shan mógł odczytać je z miejsca, w którym stał.

- Nie miałem pojęcia, że w tych górach pozostały jeszcze pałace - odezwał się.

Uśmiech cudzoziemca był szczery, niemal przyjazny.

- Dawno temu uznaliśmy z doktorem Gao, że prawdziwy komfort może dać jedynie komfortowa kryjówka.

Shan zatrzymał się jeszcze przez chwilę w drzwiach gabinetu. Na ścianie za biurkiem wisiało co najmniej trzydzieści zdjęć, w większości czarno-białych, oprawionych w identyczne, złote ramki. Niektóre były pozowanymi portretami grupowymi dostojnych zgromadzeń, na innych widnieli ludzie ze zwycięskimi uśmiechami ściskający sobie dłonie, trzy przedstawiały mężczyznę stojącego obok modeli rakiet. Jedno ukazywało prawdziwą raketę wzbijającą się w niebo z kłębow dymu. Shanowi przebiegł dreszcz po plecach. Nawet z tej odległości rozpoznał niektórych ludzi ze zdjęć. Przynajmniej dwóch było niegdyś sekretarzami generalnymi partii, trzech zaś - dowódcami Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Uwagę cudzoziemca przyciągnęły odgłosy za drzwiami po drugiej stronie pokoju. Shan podszedł do drugich drzwi. Za nimi krótkie kamienne schody wiodły do pokoju, zupełnie pustego, jeśli nie liczyć bambusowej maty na podłodze, z trzema ścianami wyłożonymi wonnym drewnem, jakiego używano w świątyniach, czwartą zaś w całości przeszkloną, wychodzącą na długą, żyzną dolinę w dole. Chińczyk z krótko

ostrzyżonymi siwiejącymi włosami stał zwrócony twarzą do okna, z obydwoma rękami uniesionymi równolegle do ziemi, prawą odgiętą w tył, lewą wolno wysuwającą się w przód,' w jednej z tradycyjnych pozycji tai chi, nazywanej napinaniem łuku.

Mężczyzna był boso, w krótkim białym szlafroku i luźnych białych spodniach. Za oknem, na białym piasku spoczywało pięć różnej wielkości granitowych kul. Z ukrytych głośników dobiegały tony drewnianego fletu. Shan zbliżył się ostrożnie do futryny drzwi, wsunął rękę do kieszeni i uszczypnął się w udo. Musiał obudzić się z tego dziwnego snu.

Coś dotknęło jego ramienia. Odwrócił się gwałtownie. Jasnowłosa mężczyzna podawał mu szklanekę wody z lodem. Shan przyjął ją, po czym przyłapał się na tym, że wpatruje się w naczynie, i z zażenowaniem uniósł wzrok.

- To tylko woda - zapewnił go mężczyzna, unosząc identyczną szklanekę do ust.

- Chodzi o lód - wyjaśnił Shan. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłem coś z kostkami lodu. - Świat, w jakim żył teraz, nie znał lodówek, telewizorów, telefonów ani żadnych innych urządzeń.

- Nie za często ruszacie się z domu.

- Jestem poza domem - odparł Shan, wciąż nieufny -przez cały czas. Cudzoziemiec uśmiechnął się znowu.

- Mamy tego tony. Dawniej były tu wojskowe koszary dla wartowników, baza patrolowa. Na dole jest chłodnia, która niegdyś zaopatrywała dwudziestu ludzi. Musimy uzupełniać zapasy tylko cztery razy do roku. Kiedy tęsknię za domem, wchodzę do środka i ślizgam się po podłodze.

-Ach, ja też wychowałem się na północy - wyznał Shan. - Kiedy byłem mały, lubiłem oglądać zdjęcia łyżwiarzy. Któregoś roku nasmarowałem tłuszczem drewniane klocki i przywiązałem je sobie do stóp.

-My ślizgaliśmy się kilometrami po rzece, niemal do Bałtyku. Na lodzie były budki, gdzie sprzedawano kielbaski na patyku i herbatę z cukrem.

- Polska? - zapytał Shan. Pociągnął długi łyk. -Niemiecka Republika Demokratyczna. Jej sportowcy

byli tak dobrzy, że reszta świata musiała ją unicestwić. Nazywam się Heinz Kohler.

Shan uściskał podaną mu dłoń, ale nie odpowiedział. Opróżnił swą szklankę i podszedł do lunety, na pół spodziewając się, że Kohler powstrzyma go, gdy przykładając oko do okularu. Cofnął się zaskoczony widokiem, który mu się ukazał, zerknął na speszonego Niemca, po czym znów spojrzął w lunetę. W wielkim gnieździe na oddalonym niemal o kilometr urwisku mógł dostrzec trzy młode ptaki, unoszące w górę otwarte dzioby. Był to bez wątpienia dom sępa, którego widział wcześniej.

- Karl, Friedrich i Albert - oświadczył Kohler.

- Marks - zaryzykował po chwili Shan - Engels i Einstein.

Niebieskie oczy Kohlera na moment stały się okrągłe. Skinął z szacunkiem głową.

- Doktor Gao jest po imieniu ze wszystkimi wielkimi.

Shan przeciągnął dłonią po smukłym, potężnym instrumencie. Luneta została sprowadzona dawno temu, zapewne z ojczyzstego kraju Kohlera, ale masywny statyw był miejscowej roboty. Mała metalowa tabliczka, zamalowana, ale wciąż czytelna, głosiła, że stanowi on własność Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

- Muszę już iść - powiedział Shan, zerkając w stronę wyjścia.

- To byłoby niegrzeczne. - Kohler usadowił się niczym wartownik na drewnianym krześle przy drzwiach i gestem wskazał mu sofę. Na niskim stoliku przed nią leżały czasopisma, po chińsku, po angielsku i po niemiecku, wszystkie sprzed co najmniej dwóch miesięcy, poświęcone nauce i technice, modzie oraz ogrodnictwu. Nie było wśród nich ani jednego magazynu informacyjnego.

Przez dziesięć krępujących minut Shan słuchał stłumionego brzęku naczyń oraz odgłosu kroków mijających jedyne drzwi, za które nie miał szansy zajrzeć. Przez chwilę słyszał słaby, natarczywy rytm rock and rolla. Przemierzał krokami szerokość pokoju, ponownie przyglądając mu się z uwagą, słuchając skrzypienia desek podłogowych, dostrzegając tym razem, że choć sprzęty są eleganckie, ich konstrukcja jest

bardziej prymitywna, niż w pierwszej chwili myślał Starannie wykonane panele przytwierdzono do ordynarnych desek. Budynek został wzniesiony jako koszary, nie pałac Ale mieszkał w nim ktoś nawykły do pałacowych wygód dysponujący astronomicznymi środkami. Shan podszedł do okna, walcząc z pokusą, by skierować lunetę na odległy kompleks w dole. Był zbyt mały jak na garnizon piechoty, nie było tam też monotonnych rzędów białych luków w ziemi ani suwnic, które zdradzałyby bazę pocisków rakietowych

Uświadomił sobie, że Kohler patrzy wyczekująco w otwartych teraz drzwiach na końcu pokoju. Mijając go, wszedł do niedużej, eleganckiej jadalni. Jej ściany pokryte były białym tynkiem, wiszące zaś na nich obrazy przedstawiały bambus, śnieg i ptaki. Na stole stały cztery porcelanowe miseczki z tradycyjną tybetańską zupą z makaronem Przy drzwiach wisiała wielka, oprawiona w ramki kaligrafia jedno z napisanych własnoręcznie przez przewodniczącego Mao haseł których reprodukcje oprawiano niegdyś i wieszano w każdym państwowym urzędzie. TRUDZIĆ SIĘ DLA LUDU głosiła, to również, jak podejrzewał, był oryginał. - Chciałbym się umyć - powiedział. Kohler rzucił mu jedną z lnianych serwetek ze stołu Przez wahadłowe drzwi wszedł z impetem młody człowiek niosący czarkę parującego ryżu z warzywami. Był to około dwudziestoletni Chińczyk. Miał długie włosy z utlenionym na blond pasemkiem na lewej skroni. Ubrany był cały na czarno. Z wiszących mu na szyi słuchawek, podłączonych do jakiegoś małego urządzenia w kieszeni, wydobywała się stłumiona muzyka. Chłopak stanął jak wryty i przez chwile wpatrywał się w Shana, wodząc wzrokiem po jego obszarpanym ubraniu. Z jego ust wymknęło się krótkie parsknięcie Odwrócił się do Kohlera, wyciągnął palec w stronę swego ozdobionego mosiężnym kolczykiem ucha i pociągnął za spust wyimaginowanego pistoletu.

Chwilę później wszedł mężczyzna, którego Shan widział wcześniej przy ćwiczeniach medytacyjnych, ubrany teraz w starannie odprasowaną białą koszulę i spodnie khaki Chłopak zeszywniał, momentalnie zdjął słuchawki i zniknął w kuchni. Mężczyzna przywitał Shana skinieniem głowy



W jego oczach nie malowała się pogarda, jak spodziewał się Shan, ale ciekawość. Jego obszarpana koszula robocza sama rzucała się w oczy, ale elegancki mężczyzna patrzył na niego tak, jak on sam przyglądałby się pierwszy raz ujrzanemu człowiekowi, ogarniając wzrokiem drobne blizny na jego dłoniach zdradzające lata pracy fizycznej, świeżo połamane paznokcie świadczące o niedawnej wspinaczce po skałach, małą, okrągłą, wypukłą bliznę na szyi, która doświadczonemu oku nasuwała podejrzenie kontaktów z Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego.

- Jestem Gao Hu Bo - powiedział gospodarz, gestem zapraszając go, by usiadł, gdy sam zajmował miejsce u szczytu stołu. - Proszę - dodał, popychając w jego stronę miseczkę z ryżem. - Jesteście z pewnością głodni po porannych trudach. Niewiele kóz zdobywa się na pokonanie tego przejścia.

- Szukałem kilku innych kóz - spokojnie odparł Shan. Gao wciąż wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, ale na jego wargach pojawił się lekki uśmiech.

- Oficjalnie cała ta dolina stanowi teren wojskowy. Oficjalnie Heinz i ja w razie pojawienia się intruzów powinniśmy wezwać kolegów z dołu. Ich czas reakcji wynosi przeciętnie jednaście minut. Zabraliby was w dość nieprzyjemne miejsce.

- Oczywiście - wtrącił Kohler, rozbawiony tą rozmową — co jest nieprzyjemne dla jednego, dla kogoś innego może być chlebem powszednim.

Chłopak w czerni pojawił się znowu, niosąc dzbanek z herbatą, i usiadł dyskretnie na ostatnim wolnym krześle.

- Oficjalnie - odparł Shan, spięty i czujny, doskonale zdając sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczny grunt — nikt nie wyraziłby zgody, by generał spędzał emeryturę w takim miejscu. - Ze względu na Genduna nie mógł pozwolić sobie na to, by go aresztowano.

Chłopak stłumił śmiech. Spuściwszy wzrok, zaczął głośno jeść zupę.

- Ponieważ nie znacie nas jeszcze - odparł Gao swobodnym, dystygowanym głosem - nie potraktujemy tego jako zniewagi. Generałowie nieczęsto goszczą przy tym stole.

- Mimo woli jednak - stwierdził Shan - zastanawiam się,

czy wasze zaproszenie na obiad nie oznacza, że to ja mam być głównym daniem.

Śmiech Gao był szczery. Wstał i wyciągnął rękę.

- Podobacie mi się, towarzyszu. Kiedy zobaczyłem, jak schodzicie po stoku w jasnym świetle dnia, powiedziałem, oto człowiek nie znający lęku, najrzadsze ze stworzeń.

Shan z wahaniem ujął podaną dłoń.

- Nazywam się Shan - odparł - a w świecie, który zamieszkuję, lęk jest pospolity jak sól.

Gao przytrzymał przez chwilę jego dłoń, wpatrując się w rząd cyfr wytatuowanych na jego przedramieniu. Shan pospiesznie przebiegł w myślach wszelkie możliwe wyjaśnienia obecności swego gospodarza w tym miejscu. Gao raz sprawiał wrażenie mnicha, chwilę później napuszonego biurokraty. Nie był wojskowym. Wysokiej rangi politycy byli niekiedy karani wewnętrznym wygnaniem, nigdy jednak w takim komforcie.

- Mój bratanek, Feng Xi, przyjechał z wizytą z Pekinu - wyjaśnił Gao, siadając ponownie i zabierając się do jedzenia. - Letnie wakacje od ciężkiej pracy na uniwersytecie.

Chłopak pozdrowił Shana obojętnym skinieniem głowy.

- Thomas - wtrącił. - Mam na imię Thomas.

Jeszcze zanim Shan trafił do obozu pracy w Tybecie, przyjmowanie zachodnich imion stało się popularne w pewnych kręgach chińskiej młodzieży mającej powiązania ze światem.

Gao rzucił chłopcu pobłażliwy uśmiech, po czym przez kilka minut opowiadał o gnieździe sępów, które obserwowali. Kohler przejął rozmowę, gawędząc o pogodzie, najnowszych doniesieniach mówiących o sklonowaniu psa, o ogłoszeniu nowej chińskiej misji kosmicznej, a nawet, ku milczącemu zaskoczeniu Shana, o nowym filmie o najeźdźcach z kosmosu.

- Oczywiście, gdyby to było prawdą, obcy potrzebowaliby tysięcy lat, żeby tu dotrzeć - wtrącił Thomas.

- To wydaje się niezbyt warte zachodu - zauważył Kohler.

- Nie da się podróżować szybciej niż prędkość światła - dodał chłopak z nutą dumy w głosie. - Obliczyliśmy to.

- To niemal tak trudne - odezwał się Shan - jak próba zetknięcia ze sobą światów po dwóch stronach tej góry.

- Nie wiadomo nam, by ktokolwiek inny przemierzył stary szlak, jeśli tego właśnie chcecie się dowiedzieć. Nikt nie może przejść na drugą stronę bez naszej wiedzy, gdyż, jak widzicie, jesteśmy usytuowani jak brama w poprzek drogi.

- Są górnicy.

- Górnicy są dla nas znakomitym zabezpieczeniem. Być może oni drżą przed nami, ale wszyscy inni drżą przed nimi.

Shan odmówił, gdy chłopak częstował go czymś, co nazwał po angielsku frytkami.

- Wiem, że dla niektórych coś, co zakazane, staje się tym bardziej pożądane.

Kohler odłożył sztucce.

- Przy naszym stole to my mamy prawo zadawać pytania i wtykać nos w cudze sprawy. Dlaczego tu przyszliście? - zapytał.

- Dlatego, że po drugiej stronie góry zamordowano dwóch ludzi.

- A wy bawicie się w policjanta?

- Pewien człowiek może zostać ukarany, choć nie ma żadnych dowodów jego winy. Pewien lama ponosi karę za to, że nie chce go oskarżać.

- Rapaki? - zdziwił się Kohler. - Kto chciałby skrzywdzić szalonego pustelnika? Tak ciężko znaleźć dobrego błazna.

Shan nie wyprowadził go z błędu. Rozmowa zaczynała stawać się interesująca. Nigdy dotąd nie słyszał tego imienia.

- Dowód to niebezpieczne pojęcie - oświadczył tonem refleksji Gao.

- Istotą nauki jest ujawnianie, że większość prawd to tylko przekonania.

- To niebezpieczne twierdzenie - zauważył Shan - biorąc pod uwagę, że rząd wyznaje odmienną opinię.

Gao odstawił filiżankę.

- Co proszę?

- Jesteście z Pekinu. Im silniejsze przekonanie, tym większa prawda.

Kohler zerknął w stronę drzwi - był to, jak podejrzewał Shan, nawyk z lat pracy spędzonych na zamartwianiu się, kto może słyszeć.

- Naród potrzebuje prawdy - powiedział nabożnym to-

nem. Był to stary slogan, który malowano na murach budynków publicznych.

- Kim jesteście? - pytanie Gao, choć zadane szeptem, było ostre jak nóż. Rozpoczęła się obiecana dysekcja.

- Po prostu kimś, kto ma kłopot z dostosowaniem się do reszty świata.

Kohler zerknął na Shana, jak gdyby zastanawiał się, czy się obrazić.

- My podbiliśmy resztę świata - oświadczył - i korzystamy z owoców naszych trudów.

Gao, ze wzrokiem utkwionym w Shanie, zdawał się nie słyszeć Niemca. Gdy do jadalni weszła kobieta i zaczęła zbierać naczynia, starszy człowiek wstał i bez słowa wyszedł za nią do kuchni.

W milczeniu Thomasa kryło się rozbawienie, jednak u Kohlera dawało się odczuć rosnące skrępowanie. Zdawało się, że dostrzegł w Gao coś, co go zaniepokoiło. W głębi doliny, za małymi, białymi budynkami, zbierały się chmury burzowe.

- Od ilu lat mieszkacie z doktorem Gao w Tybecie? -zapytał Shan.

- Nakreślcie krąg o promieniu ośmiuset kilometrów, a niemal całe życie zawodowe spędziliśmy w jego obrębie -odparł Kohler.

- Co oznacza, że jesteście bardzo dobrzy w czymś, co rząd uważa za ważne — zauważył Shan. Opisany przez Kohlera krąg obejmował większość kluczowych chińskich placówek badań nad bronią jądrową oraz baz raketowych.

- Władca, który powala na kolana wrogów państwa, cieszy się miłością swego ludu - odparł Kohler - ale ludzie, którzy umożliwiają temu władcy dokonanie tego, cieszą się jego miłością. Gao nigdy nie był zainteresowany publicznymi demonstracjami sympatii.

- Miłością wystarczającą, by dyktować warunki swej emerytury.

- To mała cena. Znikoma cena.

Shan pozbierał kilka naczyń i nim Kohler zdążył zaprotestować, popędził do kuchni. Gao nigdzie nie było widać.

- *Tashi delay* - pozdrowił gospodynię po tybetańsku. Odpowiedziała w tym samym języku, uśmiechając się uprzejmie.

Zapytał ją, czy pochodzi z Drango. Nie odpowiedziała i odeszła pośpiesznie, gdy zjawiał się Kohler, by odprowadzić Shana z powrotem do jadalni. Chłopak stał przy oknie, obserwując burzę w dole. Z wahaniem odpowiadał na pytania Shana, wyjaśniając, że mieszkał w Szanghaju, dopóki wujek nie załatwił mu studiów na astrofizyce na Uniwersytecie Pekińskim.

- Może moglibyście porównać opinie na temat wykładowców - wtrącił chłodny głos. Gao wrócił i utkwiał w Shanie badawcze spojrzenie. - Albo może - zwrócił się do bratanka - powinieneś na początek zadać naszemu gościowi pytanie, jaki głupiec odmawia, kiedy minister stanu proponuje mu wysokie stanowisko w partii.

Shan poczuł, jak żołądek zaciska mu się w węzeł. Gao podszedł bliżej. \_ .

- Złowiłeś jedyny w swoim rodzaju okaz, Heinz - oświadczył. - Inspektor do zadań specjalnych ministerstwa ekonomii prowadzący tajne sprawy z ramienia Rady Stanu. Sprawy o wielkim znaczeniu. Niegdyś oficjalny bohater pracy, wtajemniczony w najbardziej poufne sekrety państwowe.

Gao oglądał tatuaż Shana nie dłużej niż pięć sekund, a jednak nie tylko zapamiętał numer, ale w ciągu kilku minut zdołał się skontaktować z jedną z nielicznych pozostałych w Pekinie osób, która była w stanie zlokalizować akta

Shana.

- Czujny, zajadły, rodowodowy pies gończy, który zwrócił się przeciwko swym panom - ciągnął Gao, podejrzliwie przyglądając się Shanowi. - Po kilku latach ciężkich robot został wypuszczony na tybetańskie pustkowia przez pewnego pułkownika, któremu wyświadczył przysługę. Przeczy prawom fizyki. W epoce, gdy naukowcy potrafią zmienić zwykłą skałę w diament, on jest diamentem, który stał się zwykłą skałą.

- W Pekinie jest tyle diamentów, że ich blask był oślepiający - odparł Shan. Zerknął w stronę wyjścia, szacując w myślach, jak szybko mógłby dotrzeć do szczeliny, porównując to z czasem reakcji żołnierzy Gao i zastanawiając się, jak dobrym strzelcem jest Kohler, gdy ma do czynienia z ruchomym celem.

- Sądziłiście, że uda się wam wysiać do obozu pracy jednego z najpotężniejszych ministrów w Pekinie. Osobistego przyjaciela Wielkiego Sternika.

- Śledziłem dolary, które wysyłał na tajne konta w Szwajcarii. Po dwudziestu milionach straciłem rachubę.

- Co się z nim dzieje teraz?

- Zmarł na urzędzie i został pochowany z honorami, kiedy ja tkwiłem w więzieniu.

Kohler pierwszy wybuchnął śmiechem, ale Gao zawtórował mu już po chwili, a za nim młody Thomas. Shan wyrzwał przez okno. Jego spojrzenie zatrzymało się na gnieździe sępów. Na tej górze drapieżniki z najwyższych ogniw łańcucha pokarmowego lubiły pożerać swe ofiary żywcem.

W końcu uświadomił sobie, że pozostali opuścili pokój. Gdy próbował pójść w ich ślady, przekonał się, że drzwi są zamknięte. Przyciskał ucho do każdego po kolei, jednak żaden dźwięk nie zdradził obecności jego porywaczy. Przez chwilę krążył wokół stołu, wreszcie zdjął buty i usiadł na blacie w pozycji lotosu, ze wzrokiem utkwionym w szczycie po drugiej stronie doliny, ręce ułożywszy w mudrę. Dłonie miał splecione, palce wskazujące uniesione i stykające się czubkami na kształt wieży. Było to Najwyższe Oświecenie służące skupieniu umysłu.

Nie zauważył, kiedy otworzyły się drzwi, po prostu nagle uświadomił sobie, że Thomas siedzi na najbliższym mu krześle, trzymając dwie butelki wody. Chłopak, z błyskiem podniecenia w oczach, podał mu butelkę, dar pokoju.

- Jak wielu przestępców zabiliście? - zapytał. Shan wzdrygnął się.

- Nigdy nie nosiłem broni - odparł w końcu. Thomas wyglądał na rozczarowanego.

- Ale dzięki moim dochodzeniom kilkunastu ludzi stanęło przed plutonem egzekucyjnym - dodał.

Chłopak rozpromienił się.

- Mówiłem mojemu ojcu i wujkom, że mam zamiar wstąpić do Akademii Kryminalistyki.

- Uczyłem tam kiedyś - powiedział Shan, zsuwając się ze stołu, by usiąść blisko chłopaka, twarzą w twarz. - Gościnne wykłady.

Thomas zasalutował mu butelką.

- Wujkowie mówią mi, że jestem stworzony do wielkich spraw. Chcą, żebym został astronomem, bo kiedyś Chiny będą miały własną stację kosmiczną. Wujek Heinz nazywa mnie pierwszym obywatelem nowego świata. Mówi, że kiedy skończę studia, mogą załatwić mi przyjęcie do korpusu astron autów. Ale kiedy przyjechałem tu tego lata, powiedziałem im, że chcę się zająć kryminalistyką, bo właśnie tu nauka łączy się z prawdziwym życiem. Wyśmiali mnie. - Pociągnął łyk z butelki. - Ale nie mają racji. Widziałem szefa wydziału zabójstw pekińskiej policji. Jeździ mercedesem. W Ameryce tacy ludzie mają czerwone kabriolety.

Przez głowę Shana przemknęło kilkanaście replik, jednak gdy odsiewał je jedną po drugiej, zrozumienie spadło na niego niczym piorun.

- Powiedz mi, co sądzisz o morderstwach.

Thomas zerknął nerwowo w stronę zamkniętych drzwi. Shan powiedział cichym, konspiracyjnym tonem:

- Nie licząc mnie, jesteś chyba jedyną osobą na tej górze, która wie, jak badać miejsce zbrodni. Ta sztuczka z klejem świadczy o wielkiej pomysłowości. Używałaś łyżki i zapałki? - Była to improwizowana metoda, którą sam posługiwał się nieraz w swym poprzednim życiu. Izocyjanian zawarty w kleju przemysłowym przywierał do cząsteczek tłuszczu na śladach palców, dając w efekcie wzór szarych wypukłych linii.

Thomas zaczerwienił się.

- Zrobiłem zdjęcia - przyznał. - Pobrałem odciski palców. Wszystko. Włożyłem kawałki kości do foliowych woreczków. Przygotowuję specjalną dokumentację jako załącznik do podania na uczelnię, żeby zagwarantować sobie przyjęcie.

- Wszystko?

- Wiecie. Próbkę tkanek, dla określenia DNA. Próbkę krwi. Ziemia z ich butów. Zanotowałem kierunek wiatru, godzinę wschodu słońca, temperaturę powietrza. Rana na plecach ofiary numer jeden została zadana przez ciężką i ostrą broń, i prawdopodobnie przecięła rdzeń kręgowy, liana kłuta w czaszce ofiary numer dwa mogła pochodzić od kuli dużego kalibru.

-MOIM zdaniem zabójca stał tuż obok swych ofiar - odparł Shan. - Wątpię, by używał broni palnej. Widziałeś tatuaż prochowy wokół otworu? Przy strzale oddanym z bliskiej odległości drobiny rozgrzanego prochu zostawiają ślady

Oczy Thomasa rozszerzyły się. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i zanotował coś naprędce, po czym znów zaczął się przechwalać.

- Wydobyłem ze zwłok larwy much i zamroziłem je. Możemy skorelować stadium rozwoju larw z innymi wskaźnikami, by potwierdzić moje ustalenie czasu zgonu.

- A jak właściwie dokonałeś tego ustalenia?

-Na podstawie stężenia pośmiertnego. Zeszywnienie mięśni szkieletowych pojawia się dwie do trzech godzin po śmierci i zaczyna ustępować w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kiedy znalazłem ciała rankiem, właśnie zanikało

- Opieranie się na takim kryterium może być ryzykowne jeśli zwłoki pozbawiono kończyn.

- Dłoni. Z początku brakowało tylko dłoni. Rany, jak chciałbym je mieć! - Thomas spojrzał na Shana wymownym wzrokiem. - Nawet gdyby ciało na opuszkach palców zaczęło się już rozkładać, moglibyśmy wstrzyknąć w nie roztwór son, by wystarczająco uwydatnić linie papilarne dla pobrania odcisków zgodza się? I zdołałbym też pewnie dopasować dłonie do ciał z moich zdjęć, a nawet wyciągnąć wnioski co do profesji zabitych.

Shan zamarł w bezruchu.

- Mówisz, że masz zdjęcia?

Chłopak zerwał się bez słowa i wypadł przez drzwi. Wrócił zdyszany, podając mu mały aparat cyfrowy.

- Nie robiłem wydruków, ale możecie obejrzeć je tutaj. Dłoni nie było, kiedy odkryłem ciała. Gdy wróciłem ze sprzętem, zwłoki zostały rozczłonkowane i brakowało niektórych kończyn.

Jego aparat zawierał kilkanaście zdjęć i choć mały ekran mu pozwalał dostrzec zbyt wielu szczegółów, było tego dość. Shan musiał się uspokoić, nim przejrzał je po raz drugi. Niestety Thomas fotografował jedynie placyk, gdzie leżały ciała, nie samo obozowisko, a na żadnym z ujęć nie było widać twarzy zabitych. Ich ubrania były przesiąknięte krwią. Na



koszuli jednego z trupów znać było również plamy od ziemi, wskazujące, że jej właściciel był wleczony. Jeden z mężczyzn wyglądał na młodszego; na jego plecach widniała długa rana, którą opisał Thomas. Jedno ramię wciąż spoczywało rozciągnięte na płaskim głazie pośrodku placu, skąd rozchodziły się niskie bryzgi krwi. Shan wskazał na ranę kłutą na czaszce starszego mężczyzny.

- Krawędzie nie są wystarczająco równe jak na wlot kuli.

Thomas skinął głową.

- I nie ma tatuażu prochowego. Zmieniliście moją teorię sprawy.

- Masz teorię?

Thomas znów kiwnął głową.

- Potrzebuję teorii, hipotezy, do swojej pracy. Mój pierwszy pomysł zakładał, że przestępcami byli zbiegli żołnierze, dezercerzy, którzy stali się bandytami. Ale jeśli nie użyto broni palnej, powiedziałbym, że sprawcami byli Tybetańczycy, banda chuliganów uzbrojonych w siekiery i młotki. - Nagle uniósł wzrok. Jego oczy rozjaśniły się. - Ragyapowie! To mógł być gang zbrodniczych rozcinaczy zwłok. To nadawałoby się na scenariusz filmowy!

- Ragyapowie rozbierają zwłoki przed ich poćwiartowaniem - zauważył Shan. - I nie wynoszą fragmentów ciał. Zostawiają je wszystkie na miejscu. Poza tym kruszą kości.

Thomas zmarszczył brwi.

- W takim razie tybetańscy reakcyjniści. Pierwszy z zaatakowanych nie skończył od razu. Wepchnięto mu szmatę w usta, aby go uciszyć.

Shan z powagą pokiwał głową, zastanawiając się nad chłopcem, który obojętnie fotografował rozczłonkowanych ludzi do pracy szkolnej.

- Co konkretnie zrobiłeś - zapytał - po swej pierwszej wizycie?

- Poszedłem do domu po jedną ze strzelb Heinza. Kiedy wróciłem, przy skałach kręciły się psy. Wystrzeliłem, a one uciekły.

Shan wpatrywał się w chłopca z niedowierzaniem.

- Mogłeś też - stwierdził opanowanym głosem - zaczekać

w ukryciu z aparatem fotograficznym, na wypadek gdyby morderca wrócił, by się pozbyć zwłok.

Jeśli Thomas przepłoszył psy, z pewnością wystraszyłyby też mordercę.

- Ale wtedy moja dokumentacja byłaby niekompletna -zauważył chłopak. - Nie zdążyłem jeszcze pobrać odcisków palców ani ocenić kąta i siły tnącego narzędzia. Psy zniszczyłyby dowody i zanieczyściłyby miejsce zbrodni.

- A twoje wnioski co do narzędzia, jakim odcięto dłoń?

- Musiało przeciąć kość i więzadła. To mogła być chirurgiczna piła do kości.

To było nie tyle śledztwo, uzmysłowił sobie Shan, ile zabawa słowna. Cytaty ze słynnych filmów detektywistycznych, jakie oglądałem.

- Jestem staroświecki - powiedział. - Może coś, co pasowałoby do kontekstu, na przykład mała siekiera? To tłumaczyłoby ranę na plecach i odcięte dłoń.

Thomas skinął głową, znów robiąc notatki.

Były jeszcze cztery zdjęcia nieboszczyków. Młodszy miał na sobie dzinsowe spodnie i sportową bluzę, starszy T-shirt i spodnie od dresu. Pozostałe osiem zdjęć przedstawiało wyłącznie układy plam krwi.

- Dlaczego właściwie znaleźliście się w więzieniu? -zapytał Thomas. — Widziałem kiedyś film, gdzie detektywa posłano do więzienia, by zinfiltrował szajkę przestępczą. Zabiliście kogoś w więzieniu? Dobry policjant nie potrzebuje broni. Mam książkę o dziesięciu sposobach zabijania gołymi rękoma.

Shan zacisnął szczęki. Choć Thomas był chyba ostatnią osobą, jaką wybrałby na swego sprzymierzeńca, potrzebował tego chłopca.

- Wielu ludzi umarło tam na moich oczach. Thomas zastanowił się chwilę, po czym skinął głową.

- Oczywiście, jeśli to była prawda, nie możecie się przyznać. Najlepsi nigdy nie odsłaniają twarzy.

- Widzę, że czeka cię świetlana kariera w Pekinie.

- Napisałibyście dla mnie list polecający? Farsa wymykała się spod kontroli.

- Twoi krewni zamknęli mnie pod kluczem - przypomniał Shan.

- Ale ja otworzyłem drzwi - oświadczył Thomas.

Shan pchnął palcem drzwi do wielkiego salonu. Otworzyły się. Wszedł do pustego pokoju i przyjrzał się drzwiom prowadzącym na dwór. Wrócił do Thomasa i oparł się o stół obok niego.

- Gdzie są twoje dowody? Twoje próbki?

- Wysłałem je do Pekinu, do przyjaciela w laboratorium. Shan obszedł pokój dookoła. Przyległy gabinet był pusty.

- Co robiłeś po drugiej stronie góry? Po co tak się mozolić, kiedy masz to wszystko?

- To rzeczy moich wujków. Ja jestem sam sobie panem. Robię, co mi się podoba. Byliby z tego niezadowoleni, ale zaprzyjaźniłem się z niektórymi górnikiemami. Oni zawsze szukają okazji, żeby zahandlować.

- Co mają takiego, czego byś potrzebował?

- Złoto, oczywiście. Ja mogę załatwić im drobne przyjemności. Puskę brzoskwiń, paczkę rodzynek, szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia. Wódkę i brandy. Najbliższy sklep jest osiemdziesiąt kilometrów stąd. Wszyscy handlują, czyż nie? Wujek Heinz mówi, że wszyscy, bez względu na to, gdzie żyjemy, uczestniczymy w globalnej wymianie dóbr.

Miejscem Thomasa w globalnej wymianie dóbr, uświadomił sobie Shan, był magazyn zaopatrywany regularnie przez Armię Ludowo-Wyzwoleńczą.

- Jak często bywasz w Drango?

- W tej dziurze, gdzie mieszkają rolnicy? Nigdy.

- W takim razie jak często widzisz Chodrona?

- Tego starego jaka? On nie rusza się ze swego grajdołu po tamtej stronie góry. . .

Shan zastanawiał się nad słowami chłopca - powiedział, że nigdy nie był w wiosce, ale przyznał, że wie, kim jest Chodron. Sięgnął po aparat i poprosił Thomasa, by pokazał mu, jak przewijać zdjęcia, po czym zatrzymał się przy ostatnim, maleńkim, przedstawiającym człowieka, którego niektórzy nazywali świętym, siedzącego między narysowanymi krwią symbolami. Nachylił się do ucha chłopca, mówiąc cichym, natarczywym głosem, podczas gdy Thomas potakiwaniem

dawał znać, że przyjmuje swoją tajną misję. Gdy skończyli, Shan ponownie przejrzał wszystkie zdjęcia.

- Szukałeś znaków szczególnych na ciałach?

- Wszystko pływało we krwi. Kiedy wróciłem, przyniosłem plastikowe rękawiczki, ale...

Jego odpowiedź przerwał gniewny okrzyk z jadalni. Kohler stał przy drzwiach, piorunując ich wzrokiem. Thomas zaczerwienił się, po czym bez słowa podbiegł do Niemca, który wyprowadził go z kuchni.

Shan rzucił się w stronę wyjścia, po czym zawahał się i zamiast tego wśliznął się do gabinetu Gao. Przez chwilę wodził wzrokiem po oprawionych zdjęciach, zawstydzony dreszczem lęku, jaki przebiegał mu po plecach na widok niektórych znajomych twarzy. Na kilku fotografiach, na dalszym planie, niczym turysta, który przypadkowo wszedł w kadr, widniał Kohler, oczywiście młodszy.

Na biurku leżała niedawna korespondencja, w większości przesyłana faksem, od nadawców z Pekinu. Shan zerknął na mały szary telefaks z boku biurka, który odbierał te listy. Oznaczało to, że z bazy w dole przeciągnięto tu kabel telefoniczny, ale mogło oznaczać też, że Gao nie miał godnej zaufania poczty elektronicznej, łączącej jego pałacyk z zewnętrznym światem. Szybko przejrzał nadesłane wiadomości, zwracając uwagę na nadawców. Akademia Nauk, uzgadniająca termin odczytu w ramach styczniowej konferencji. Specjalny Oddział Rady Stanu do spraw Nauki, jedna z nieoficjalnych, prywatnych komisji doradczych dla najwyższych kręgów rządowych Chin. Dyrektor personelu cywilnego regionalnych baz wojskowych, proszący o rekomendacje w kwestii obsady etatów. Partyjna Rada Polityki Naukowej, zamawiająca recenzję raportu z jakichś tajnych badań.

Obok korespondencji leżała zwinięta w rulon gazeta. Przyjrzawszy się dokładniej, Shan spostrzegł, że nie jest po prostu zrolowana, ale ciasno owinięta taśmą klejącą, tworząc cylindryczny pakunek. Jeden koniec był zaklejony taśmą, drugi został rozcięty. Shan odwrócił tulejkę do góry dnem. Ze środka wypadł twardy przedmiot owinięty w szorstki papier toaletowy, jakiego używano w większości tybetańskich domów. Chwilę później trzymał go w dłoni. Mimo zapewnień

Gao, że nie miewa gości z drugiej strony góry, ktoś jednak dotarł tu z Drango. W promieniach słońca, wpadających przez okno gabinetu Gao, złoty żuk błyszczał jaśniej niż w świetle lampek maślanych w stajni. Shan przypomniał sobie karę Genduna i obsesję Chodrona na punkcie odesłania żuka tam, gdzie jest jego miejsce. Spojrzał na najbliższe zdjęcie Gao — jego pierś błyszczała od orderów przyznawanych obywatelom, którzy oddali istotne usługi dla państwa. Znalazł siedzibę górskiego bóstwa.

Wsunął złotego żuka z powrotem do tuby i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Z ulgą poczuł, że gałka się obraca. Drzwi się otworzyły. Jednak gdy wyszedł na dwór, Kohler spojrzał na niego z pobliskiej skały, gdzie siedział, paląc papierosa.

- Macie pojęcie, jak sprawnie działa nasz system usuwania odpadków? - zapytał. — Jeden telefon i zjawia się tu oddział żołnierzy. I wkrótce nasze śmieci znikają raz na zawsze.

Shan spojrzał tęsknie na urwiska w górze, powrotną drogę do swojego świata.

- Ale wy i doktor Gao niechętnie zniżacie się do tego poziomu.

Kohler uśmiechnął się szeroko.

- Coś w tym rodzaju. A wy stanowicie dla nas taką gratkę.

- Jeśli szukacie pomocy kuchennej, uprzedzam, że mam dziurawe ręce.

- Towarzyszu, ubawicie Gao do łez - odparł Kohler, gestem kierując Shana z powrotem do środka.

Cztery godziny później siedzieli obaj na kwadratowym, otoczonym kamiennym murkiem dachu wysokiej wieży. Pokój pod dachem, w którym zamknął go Kohler, był najprzyjemniejszym z więzień. Choć nie miał okien, było w nim prawdziwe łóżko z pościelą. Nim zamknął drzwi na klucz, Niemiec wyjaśnił, że on i Thomas mają podobne pokoje na niższych piętrach.

Kohler zaprosił Shana na dach, by wspólnie podziwiać zachód słońca, zabierając ze sobą butelkę oraz dwa kieliszki, i teraz dopijał właśnie piątą kolejkę pieprzówki. Shan pociągnął mały łyk z pierwszego kieliszka palącego płynu, który wmusił mu Niemiec, po czym ukradkiem wylał resz-

tę za murek, czego jedynym skutkiem było to, że dostał dolewkę.

- Każdy z nas jest swego rodzaju wyrzutkiem - powiedział Kohler. W jego oczach odbijało się purpurowe światło zmierzchu. - Jak jakkolwiek zdrowy na umyśle człowiek mógłby nim nie być, w tym świecie, który stworzyliśmy?

- Od dawna mieszkacie poza krajem? - dociekał Shan.

- Krajem? Jakim krajem? Moją ojczyznę uznano za niepotrzebną. Fuzje i przejęcia, jak to się nazywa. Ktoś w Bonn, albo może w Waszyngtonie, postanowił złożyć ofertę przejęcia tak dobrą, by nie dało się jej odrzucić. Hokus-pokus, nie ma kraju. Są tylko filie podlegające państwu, które niegdyś było naszym największym rywalem. Całe miasta straciły rację bytu. Dostałem list od siostry, która była dawniej dyrektorką szkoły. Teraz szoruje podłogi we Frankfurcie. Ale ma własny samochód i masę długów, więc jest szczęśliwa jak nagi w pokrzywach. - Zasalutował kieliszkiem wódki zachodzącemu słońcu. - Lha kurwa gyal lo. I tak zresztą nigdy nie miałem tam prawdziwego domu. Przyjechałem do Pekinu jako doktorant w ramach specjalnego programu wymiany dla fizyków. Doktor Gao przyjął mnie jako specjalnego asystenta. Przez pierwszy rok porozumiewaliśmy się, pisząc równania na tablicy. Nim nauczyłem się chińskiego, mieszkałem już w pokoju gościnnym w jego domu, choć w tamtych dniach nie traciliśmy prawie czasu na sen. Mogłem wrócić do kraju i być trybikiem w moskiewskiej machinie naukowej albo zostać i ziszczyć marzenie każdego naukowca. Nieograniczone środki. Miliardy i miliardy. Nieograniczona chwała.

- Przynajmniej w obrębie określonych urzędów w Pekinie - uściślił Shan.

Kohler zasalutował mu niezdarnym uniesieniem kieliszka.

- Niegdyś wojny wygrywała ta strona, która mogła bardziej pozwolić sobie na nieustanne wysyłanie ludzi na rzeź, co przez stulecia czyniło Chiny najpotężniejszym państwem na świecie. Każdy brodac, który nadjeżdżał z Zachodu, padał pod naporem stu Chińczyków. Teraz przypomina to grę w karty. Mali ludkowie przy ogromnym stole usiłują zgadnąć, jakie

równania wielcy ludzie drugiej strony napisali na tajnych tablicach.  
— Parsknął śmiechem, po czym ponownie opróżnił kieliszek.

- Skoro o tablicach mowa - wtrącił Shan - przypuszczam, że wasza jest pełna pytań na temat dwóch morderstw, do których doszło po zachodniej stronie góry. To, że mnie przetrzymujecie, jest jawnym dowodem waszego zainteresowania.

- Niepokoi nas to, czego nie umiemy wyjaśnić. Po tamtej stronie góry nieustannie ktoś ginie, tego należy się spodziewać. Tam jest jak na Dzikim Zachodzie. Wiecie, amerykańscy kowboje - powiedział, używając angielskich słów. - Ale wy, inspektorze Shan, jesteście niewiadomą. Dlaczego pojawiacie się właśnie teraz? To nas niepokoi. Mieliśmy tu już kiedyś zbiegłego więźnia. Nakryliśmy go, kiedy zaglądał w okna. Błagał nas, byśmy nie wzywali wojska. Proponował, że będzie naszym niewolnikiem, że wróci na drugą stronę i przyniesie nam złoto. Thomas uznał, że musicie być jakimś tajnym agentem. Wyśmiałem go. — Przez chwilę wpatrywał się w Shana z uwagą. - Co tłumaczy t akiego człowieka jak wy?

Shan uświadomił sobie, że z dołu dobiega muzyka -bezlądna mieszanina dźwięków, z której wyizolował w końcu stłumiony rock and roli nałożony na bardziej odległe tony Heethoyena.

- Co się stało z tamtym więźniem?

- Był irytujący. Zbyt nerwowy. Zbyt gadatliwy. Załatwiłem tak, żeby zniknął. - Kohler nalał sobie kolejny kieliszek swego lekarstwa. - Ale wy, wy przypominacie mnicha. Jesteście skupieni, milczący. Macie tajemnice. Nauczyliśmy się bardzo uważać na szarych ludzi z tajemnicami.

- Nie ma we mnie nic poza tym, co widać na pierwszy rzut oka. Moje szare ubranie to łachmany.

Kohler ponownie osuszył kieliszek.

Słońce zniknęło za górami. Na fioletowym niebie zaczęły się ukazywać srebrne punkty. Wąska szczelina dawno już skryła się w mroku, jednak Shan zdążył wcześniej utrwalić w pamięci jej położenie i przebieg wiodącego wprost do niej rzędu skał.

- Ten Rapaki, o którym wspomnieliście wcześniej. Czy on mieszka w jaskini? - zapytał ni stąd, ni zowąd.

-Kto?

- Ten pustelnik, o którym nikt nie chce rozmawiać.

- On jest nieszkodliwy. Zapomnijcie o nim. To po prostu kozioł w mnisiej szacie. Czasem da się go dostrzec z daleka, zanim czmychnie.

- Zapominanie. Odnoszę wrażenie, że to tutejsza specjalność zakładu.

Shan napełnił obydwie kieliszki, wznosił toast za Niemca, ukradkiem wylał swój przez murek i ponownie napełnił kieliszek Kohlera. Niemiec na chwilę uniósł go do nosa.

- Udana emerytura wymaga porzucenia ostatniej chwili i życia w następnej.

- To samotne.

- To bezbolesne — odparł Kohler. Głowa zaczęła mu się kiwać. Z wysiłkiem utrzymywał ją prosto.

- Szkoda, że nie będziemy mieli czasu, by zawrzeć bliższą znajomość - powiedział Shan.

Niemiec nie zaprotestował, gdy wyjął mu kieliszek z dłoni i odstawił go na murek.

- Schowałem klucz - wymamrotał, choć sprawiał wrażenie niezdolnego do ruchu. - Zostaniecie tu, dopóki smok nie postanowi was pożreć. - Potem stracił świadomość.

Shan ułożył go możliwie wygodnie, na wszelki wypadek wyjmując mu sznurowadła, by przywiązać mu nimi ręce do poręczy krzesła, po czym zszedł do swej sypialni. Wcześniej Kohler z dumą pokazał mu znajdujący się obok schowek na pościel. Shan zrobił szybkie obliczenie, po czym wyjął ze schowka dziesięć prześcieradeł, szybko wrócił na dach i zaczął wiązać je razem. Jedną z wielu rzeczy, z jakich wyleczyły go lata spędzone w Tybecie, był lęk wysokości.



## ROZDZIAŁ 4

Następnego ranka Shan widział już niemal przed sobą zabudowania Drango, kiedy usłyszał gniewny okrzyk. Przywarł płasko do skały, zastanawiając się, czy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Kohler nie posłał w ślad za nim oddziału żołnierzy. Był posiniaczony po nocnej przeprawie przez wąwóz. Lichy drabiniasty mostek pokonał, tuż zanim księżyc skrył się za chmurami, po czym spędził kilka niespokojnych godzin w jamie między zwalonymi głazami, pewny, że każdy toczący się kamień jest odgłosem pościgu.

Z przeciwnej strony skały dobiegł go stek chińskich przekleństw. Spojrzał na ścieżkę za sobą, po czym ostrożnie obszedł skałę dookoła i zastygł na moment ze stopą zawieszoną w powietrzu nad świeżo wzniesionym kopcem. Wysoki na dwadzieścia centymetrów, został starannie ułożony w jednej z misek, jakich górnicy używali do płukania złota ze strumieni, z wetkniętą w środek świeżą gałązką wrzosu. Śmierdział jeszcze. Wykonano go z odchodów muła lub konia i umieszczono pośrodku ścieżki nad Drango. Wyglądając zza skały, Shan zobaczył niemłodego już Chińczyka, który beształ objuczonego spiętrzoną wysoko ładunkiem muła, próbując zmusić go na rozwidleniu szlaku, by skręcił w dół. Zerwawszy garść trawy, która rosła w skalnych szczelinach u jego stóp, wyszedł zza przeciwnego krańca skały. Muł poderwał łeb i wyciągnął go w stronę trawy w jego dłoni.

- To moje zwierzę - warknął mężczyzna. Uniósł prowizoryczną laskę, poskręcana, ale solidną gałąź jałowca, jak gdyby zamierzał się do ciosu.

- Ale jest Tybetańczykiem - odparł Shan. - Tybetańczycy mają zwyczaj w podróży brać część ładunku na siebie.

Do koszy na grzbiecie muła przytroczone były kilof i łopata. Dłoń mężczyzny powędrowała do noża za pasem.

Uśmiechnął się do czegoś za plecami Shana. Inspektor obrócił się wolno. Włos zjeżył mu się na karku. Na skalnej płycie dwa metry dalej siedział wielki pies, z obnażonymi kłami, gotowy do skoku.

- Nie szczeka - oświadczył górnik, ukazując własne pożółkłe zęby. - Od razu gryzie.

Shan zaczekał, aż muł zje trawę, po czym uklęknął, zwrócony twarzą do psa.

- Dlaczego opuszczasz górę w połowie sezonu? - zapytał. Górnik nie odpowiedział.

Shan odezwał się do psa po tybetańsku, jak robił to Lokesh, ilekroć spotkał nieznaną zwierzę, pytając go, jak się miewa, wychwalając jego widoczną siłę. Wiara w reinkarnację przyczyniała się do niecodziennych więzi ze zwierzętami. Kły psa zniknęły. Przechylił łeb na bok i podszedł bliżej, nieśmiało liżąc dłoń Shana.

- Nie jesteś górnikiem - powiedział nieznanomy. - Nie jesteś też jednym z tych pieprzonych wieśniaków.

Shan podciągnął rękaw i pokazał mu swój tatuaż. Z biegiem lat przekonał się, że choć wielu ludzi wprawiało to w popłoch, w wypadku innych pozwalało przełamać pierwsze lody.

Twarz mężczyzny złagodniała. Przyjrzał się uważnie Sha-nowi, po czym wyciągnął z sakiewki u pasa małą, lśniąca bryłkę złota.

- Jest twoje, jeśli pomożesz mi zejść w dół na drogę. Robota na trzy dni. Skręciłem kostkę.

- Nie mogę - powiedział Shan. - Ale jeśli masz jakąś szmatę, mogę obandażować ci kostkę, żeby było ci łatwiej chodzić.

- Pod łopata - odparł górnik—jest kawałek starej plandeki. Uwagi Shana nie uszło niespokojne spojrzenie, jakie

mężczyzna rzucił w górę szlaku. Czy ktoś go ścigał?

- Usiądź i rozwiąż but - polecił mu, wskazując pobliski głaz, po czym wydobył szmatę.

Chwilę później wprawnie bandażował obrzmiałą kostkę. Gdy skończył, mężczyzna chrząknął z zadowoleniem i wyciągnął znacznie mniejszy kawałek złota.

Shan uniósł dłoń, odmawiając przyjęcia zapłaty.

- Powiedz mi tylko, co cię wystraszyło.

- Wcale, kurwa, nie mam stracha. Po prostu coś się dzieje tego lata. Moja babcia staruszka wiedziała, po wszystkich głodach i wojnach, jakie przeżyła. Czasami śmierć nawiedza jakąś okolicę, mawiała, i nic w ludzkiej mocy nie jest w stanie jej powstrzymać. Jeśli nie masz dość rozumu, by się schować przed gradobiciem, nie narzekaj, że masz rozbitą czaszkę. Zamknęli moją fabrykę. Wszyscy mówią: przenieś się do dużego miasta i zbijaj kasę. Nie lubię dużych miast. - Górnik wzruszył ramionami. Przez chwilę obserwował sunącą po niebie chmurę. - Mam rodzinę, którą chcę znów zobaczyć. - Zapalił papierosa. - Dwa lata temu zjawia się stary kumpel z wojska. Prosi mnie, żebym ukrył go na parę dni przed policją, kiedy będzie czekał na transport do Hongkongu. W zamian zdradza mi największy sekret w Tybecie. Kiedy stopnieją śniegi, mówi, ładuj zapasy na muła i idź według tej tajnej mapy do miejsca zwanego Górą Śpiącego Smoka. Pozbieraj złoto z ziemi i jest twoje. W zeszłym roku przyszedłem i było świetnie. Zebrałem dość, żeby spłacić długi. Ten rok zaczął się tak samo, ale potem zrobiło się parszywie. Mój obóz został obrabowany, połowę sprzętu skradziono. Górnik niedaleko ode mnie obudził się w nocy i zobaczył, że wszystkie drzewa w jego obozie płoną. Muł innego górnika został zabity malowanym palikiem wbitym w gardło.

Shan uniósł wzrok z nagłym zainteresowaniem.

-Dwa tygodnie temu ktoś zabił mojego drugiego psa i wepchnął mu palik do pyska. - Górnik wydmuchnął kłęb dymu w stronę nieba.

- Dlaczego? Czego chcą?

- Nikt nigdy nie widział, kto to robi. Kiedy padnie na ciebie, przenosisz swoją działkę i zostawiają cię w spokoju.

- Potem sami przejmują działkę?

- Nikt jej nie przejmuje.

Shan zastanawiał się przez chwilę nad tą odpowiedzią.

- Może po prostu za bardzo zbliżacie się do czegoś, czego nie powinniście widzieć.

-Tak właśnie myślałem. Ale to wszystko zdarzyło się w różnych miejscach. Raz wysoko, pod ścianą, która dzieli górę. Raz w lasku przy starej malowanej skale. Raz na skra-

ju urwiska. Złota jest dosyć, miejsca nie brakuje, więc nie warto próbować przeciwstawiać się temu, kto to robi.

- Ale potem zabito tych dwóch ludzi.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko papierosem, przyglądając się Shanowi.

- Dzień po tym morderstwie szedłem ścieżką nad stokiem stromym prawie tak jak urwisko, kiedy w górze, może trzysta metrów nad sobą, zobaczyłem dwóch ludzi. Dałem nura w cienie i myślałem, że mnie nie zauważyli. Nieśli na ramionach jakieś ciężkie toboły na kijach. Jednemu z nich coś wypadło i potoczyło się ścieżką w moją stronę. Okrągłe jak piłka, w płóciennym worku. Kiedy było tuż przy mnie, sturlało się ze ścieżki i potoczyło żlebem w dół. Niektórzy oznaczają swoje działki sznurkiem. Myślałem, że to kłębek sznurka, dopóki nie wypadło z worka...

- Ale to nie był sznurek - dopowiedział Shan, delikatnie nakładając mu but na nogę i sznurując go luźno. Podniósł kij mężczyzny i zaczął obrabiać go scyzorykiem.

- To było coś, czego wolałbym już nigdy w życiu nie oglądać. Było poobijane o skały, jak gdyby ktoś kopał to jak piłkę. Uniosłem wzrok, a jeden z tych ludzi obserwował mnie przez lornetkę. Zerwałem się i jak kretyn zacząłem uciekać w dół stoku. Właśnie wtedy skręciłem kostkę.

- Ta głowa w worku - zapytał Shan - była młoda czy stara?

- Nie powiem, żebym miał czas się jej przyglądać. Ale widziałem trochę siwych włosów.

Tak więc w zbrodnię zamieszanych było dwóch ludzi, a zwłoki rozczłonkowali, żeby się ich pozbyć.

- Dokąd byś poszedł, gdybyś miał coś takiego do wyrzucenia?

- Tam właśnie, gdzie oni byli. Tam jest rozpadlina w urwisku, tak głęboka, że nie widać dna.

- W tym urwisku, gdzie górnika przepędzono z działki? Mężczyzna zamyślił się na chwilę.

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś... tak, to było to samo miejsce.

- Rozpoznałeś tych ludzi?

- Byli za daleko. Ale mieli lornetkę. Widzieli mnie.

Shan dalej strugał kij.

- Byłeś tu w zeszłym roku, kiedy zabito człowieka?

- To skończona sprawa.

- Co masz na myśli?

- Sukinsyn był złodziejem działek. Znaleźliśmy w jego obozie paliki zabrane czterem z nas. Nikt nie żałował, że już go nie ma. Ale wystraszyło nas to.

- Dlatego, że zginął w taki sposób?

- Dlatego, że znaleziono go pod jednym z tych malowanych demonów, tym w postaci niebieskiego byka, a na obrazie była świeża krew, jak gdyby demon ożył. Dlatego, że miał odcięte dłonie. Ale to dawne dzieje. Kapitan Bing wykrył, kto jest zabójcą, i przepędził go.

Tym razem to Shan zerknął z trwogą na ścieżkę.

- Kapitan? Chcesz powiedzieć, że zajęło się tym wojsko? Górnik uśmiechnął się kwaśno.

- Nazwij to górniczą milicją. Bing odkrył, że sukinsyna zabił jego własny partner. A potem nieboszczyk sam zatroszczył się o resztę.

- Nieboszczyk?

- Pochowaliśmy go w płytkim grobie pod stertą ciężkich głazów. Dwa tygodnie później na grobie pojawił się szkielet. Niektórzy mówili, że to zmarły wstał z grobu, że był zbyt wściekły, by leżeć pod ziemią niepomszczony. Ale potem zauważyliśmy palce kościotrupa.

- Palce?

- Na jednym z nich był pierścień jego partnera - odparł mężczyzna, wzdrygając się. - Szkielet należał do partnera nieboszczyka, tego, który go zabił. Widziałem to na własne oczy. Nieboszczyk naprawdę wstał z grobu i zemścił się. Nikt już nie zbliża się do tego miejsca. Mamy dość rozsądku, by nie mieszać się w sprawy zmarłych.

- Gdzie jest ten zakazany teren?

- Grób jest na długim, czarnym grzbiecie, który sterczy na zachód. Jakies półtora kilometra na północ od Małej Moskwy. - Mężczyzna dostrzegł zakłopotanie na twarzy Shana. -A jeśli jeszcze o niej nie słyszałeś, lepiej, żeby tak zostało. Oni nie lubią obcych. W zeszłym roku, po tych zabójstwach, kapitan Bing zaprowadził porządek.

Mała Moskwa. Kapitan Bing. Samotna góra okazywała się coraz bardziej zatłoczona.

- Nie zadzieraj z Bingiem. Przeżuje cię i wypluje twoje kości.

- No więc w zeszłym roku zabito przynajmniej jednego człowieka. A w zeszłym tygodniu dwóch. Kogoś jeszcze?

- Czemu cię to interesuje?

- Zbieram historie o zmarłych. Nabrałem tego zwyczaju w więzieniu.

Górnik przemyślał tę uwagę, spojrział na swą wprawnie zabandażowaną kostkę, wreszcie skinął głową.

- Młody górnik, nowicjusz, prawie nastolatek, został zabity przed malowidłem z błękitnym demonem-bykiem. Ciało zniknęło tak szybko, że nikt właściwie nie wie, co się stało. Tylko jeden z górników widział je, zanim je sprzątnięto. Paskudna sprawa. Mówił, że w pierwszej chwili myślał, że chłopak po prostu leży i pali cygaro.

- Cygaro?

- Ale kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że to jest kijek wetknięty w usta trupa. Nie palik do znakowania działek. Miał wyryte oczy. Wszyscy byliśmy przerażeni, biorąc pod uwagę wszystko, co dzieje się na tej górze.

- Masz na myśli szkielety?

- Szkielety. Duchy. Te cholerne malowidła. Ludzie mówią, że to jest miejsce, gdzie ściągają wszystkie stare demony, by ukryć się przed resztą świata, że nocą malowane demony ożywają.

Shan podał mężczyźnie kij, nad którym pracował. Odciał sterczące z jałowcowego konaru kikuty gałązek i wystrugał na górnym końcu gładką, wygiętą podpórkę. Kij stał się kulą.

Górnik podziękował pełnym uznania skinieniem głowy, po czym zaczął gmerać w pakunkach na grzbiecie muła.

- Jeśli czegoś nie weźmiesz, nie będę miał spokoju. -Wydobył niebieski, ściągany sznurkiem nylonowy woreczek, zawahał się, po czym rzucił go Shanowi. - Weź to. Nie gustuję w takich ozdóbkach.

Zaczął nagle unikać spojrzenia Shana, krzątając się koło bagaży, przemawiając łagodnym tonem do swych zwie-

rzął. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że pozbył się woreczka.

- Z tego rozwidlenia - zauważył Shan — najkrótsza droga w dół prowadzi prosto, przez Drango. Dlatego twój muł się tu zatrzymał. Zna drogę.

- Nie dzisiaj - odparł górnik, rzucając nieufne spojrzenie w stronę wioski. - Jakbyś spotkał tego kutasa Chodrona, przekaż mu wiadomość - dodał, wstając. - Powiedz mu, że zostawiłem mu zapłatę na drodze. - Odkuśtykał i podetknął mułowi garść trawy, by zwabić go na boczną ścieżkę.

Shan zaczekał, aż mężczyzna oddali się na pięćdziesiąt metrów, nim usiadł i wysypał zawartość woreczka na ziemię. Ze środka wypadł mały plastikowy termometr z kółkiem, które pozwalało nosić go na szyi na sznurku, oraz cienki plik kartek spiętych gumką. Każdy arkusik pokrywały kółeczka w sześciu kolorach, z warstwą kleju pod spodem. Mała temperówka. Trzy identyczne brązowe, plastikowe pojemniki z zakrętką. W pierwszym były zapalniczki, w drugim rozmaite tabletki, trzeci zaś wydawał się pusty. Shan ułożył przedmioty na głazie, przyglądając się im i próbując zrozumieć, co widzi. W końcu podniósł termometr i zerknął na wskazanie. Skala była opisana w stopniach Fahrenheita, tylko Fahrenheita. Należał do kogoś z Ameryki.

Gdy wszedł do wioski, z pozoru wszystko było po staremu. Ale kiedy strażnik przy drzwiach stajni z wahaniem uniósł dla niego sztabę, coś jak gdyby trzymało drzwi od wewnątrz.

- Chwileczkę - usłyszał głos Lokesha.

Chwilę później drzwi otworzyły się i stary przyjaciel gestem zaprosił go do środka. Nieznajomy leżał na płask. Gendun, u jego wezgłowia, wyglądał wątko. Jego ramię drżało tam, gdzie podłączono mu elektrody. Lama jednak nieprzerwanie mamrotał modlitwy. Nieopodal Dolma poruszała ubijakiem małej drewnianej maselnicy.

Na dźwięk opadającej na miejsce sztaby Dolma przerwała pracę, a Lokesh pochylił się nad skupiskiem lampek maślanych, którymi ogrzewał blaszany kociołek. Dolma wyciągnęła rękę, a nieznajomy ujął ją, by podciągnąć się do siadu. Spojrzał na Shana przytomnymi, inteligentnymi oczyma.

- *Tashi delay* - odezwał się Slian, witając go tradycyjnym zwrotem.
- On nas nie rozumie — powiedział Lokesh. — Mówi jakimś pradawnym językiem.
- *Ni hao* - spróbował Shan, przechodząc na chiński.
- *Ya'atay* - powiedział nieznajomy. Nie było to ani po tybetańsku, ani po chińsku, ani w żadnym innym znanym mu języku.
- Nazywam się Shan - ciągnął po chińsku, wskazując na siebie.
- *Ni... hao* - powtórzył wolno, niepewnym głosem nieznajomy, po czym znów przeszedł na swój dziwny język. - Hostene - powiedział, kierując kciuk w stronę swego podbródka.

Dolma wróciła do maselnicy i wkrótce podała mężczyźnie czarę herbaty z masłem. Ten ochoczo podniósł ją do ust i wychylił duszkiem. Chwilę później zakrztusił się, zakaszłał i odstawił czarę, trzymając się za brzuch. Tybetańczyk mówiący starożytnym tybetańskim językiem po raz pierwszy zetknął się z tradycyjnym tybetańskim napojem.

Shan spojrzał na ławę, gdzie Dolma ubijała herbatę, po czym odłupał róg z kostki czarnej herbaty, której używała, wrzucił go do innej czarę i zalał wodą z kociołka, nie dodając do niej masła ani soli. Podał czarę mężczyźnie, który przyjął ją z wahaniem, powąchał zawartość i ostrożnie upił łyczek.

- *A'hayhee* — powiedział.

Wdzięczność w jego głosie nie wymagała przekładu. Opróżnił czarę i wtedy dopiero zauważył utkwione w nim oczy Genduna. Lama, spostrzegł Shan, patrzył na niego z wielkim zaciekawieniem, mieszaniną zakłopotania i fascynacji. Nieznajomy niezdarnie złożył dłonie w tradycyjnym geście szacunku.

Gendun przekrzywił głowę w jedną stronę, potem w drugą.

- Jeśli bogowie przenoszą nas w nowe miejsce - powiedział zagadkowym, ożywionym tonem - dlaczego mieliby używać naszych starych słów?

Shan przyglądał się w niemym zdumieniu, jak lama sięga do rękawa i wyciąga ogryzek ołówka, rysuje coś na jednej z opartych o ścianę gładkich desek, po czym stawia ją przed



nieznajomym. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest to ryba. Nie jakaś tam ryba, ale tradycyjne wyobrażenie skaczącej złotej rybki, symbolizującej duchowe wyzwolenie, jedna ze świętych dla Tybetańczyków Ośmiu Drogocенności.

Nieznajomy przez chwilę drapał się po głowie, spoglądając niepewnie na pozostałych, po czym wziął do ręki podany mu przez Genduna ołówek i powiodł czubkiem palca po rysunku tak, jak robił to Lokesh, mając do czynienia z nieznanymi wizerunkami. Panująca cisza przywodziła na myśl lekcję, podczas której nowicjusze czekali na powolnie padające słowa starego lamy. W końcu uniósł ołówek i narysował na desce obok ryby coś, co mogło być źdźbłem zboża.

Gendun przeciągnął końcami palców nad nowym rysunkiem, po czym nakreślił kolejny święty symbol. Kwiat lotosu, znak czystości. Nieznajomy dodał następny rysunek. Pęk strzał.

Z ust Lokesha wymknęło się westchnienie zachwytu. Gendun naszkicował jeszcze jeden z ośmiu świętych znaków. Drogocenne naczynie, skarbnicę klejnotów oświecenia. Teraz nieznajomy. Tęcza. Znów Gendun. Koło dharmy. Z poważną miną nieznajomy raz jeszcze pochylił się nad deską. Kiedy skończył, Shan spostrzegł, że oczy Lokesha zrobiły się okrągłe. Mężczyzna narysował zygzakowatego węża, piorunowego gada, którego widzieli namalowanego krwią.

- Bogowie składają propozycję - wykrzyknął stary Tybetańczyk, potem jednak twarz mu obwisła. - Ale nie potrafię jej odczytać.

Gdy jego przyjaciele pochylili się nad rysunkiem, Shan podszedł do kąta, gdzie przez szczeliny między deskami ścian sączyło się światło dnia. Wyciągnął zza paska woreczek, który dostał od uciekającego górnika, uklęknął i wyjął brązowe plastikowe słoiczki, uświadamiając sobie, że nie stworzył tego, który uznał za pusty. Mylił się. Był on wypełniony małymi kolorowymi piórkami. Odkręcił pojemnik z lekarstwami. Zawierał on dwa rodzaje pigulek, z których żadne nie były małymi, białymi tabletkami, jakie obcokrajowcy często zabierali do Tybetu jako lek przeciw chorobie wysokościowej. Odkrył świstek papieru, owijający tak ciasno wewnętrzną ściankę słoiczka, że nie zauważył go przy pier-

wszych oględzinach. Podważywszy go palcem, przekonał się, że w rzeczywistości są to dwa świstki, dwie recepty: jedna na metotreksat, druga na wapno leukoworynowe. U góry każdej z nich znajdował się nadruk firmowy. Ozdobne srebrne litery głosiły: Monument Pharmacy, Shiprock, New Mexico.

Przez kilka następnych minut Shan obserwował milczącą, ożywioną rozmowę między swymi dwoma tybetańskimi przyjaciółmi a nieznanym. Jego umysł pracował w szaleńczym tempie. Zagadki Góry Śpiącego Smoka nigdy nie niosły odpowiedzi, jedynie następne zagadki. W końcu napełnił kolejną czarzkę czarną herbatą i kucnął przy ich trójce.

— Słyszałem, że w Ameryce jest więcej tybetologów niż w Chinach - powiedział po angielsku, wyciągając czarzkę w stronę nieznanego.

Na dźwięk angielskich słów mężczyzna rozdziawił usta. Gdy odpowiedział, jego głos brzmiał sucho i chrapliwie, jednak słowa dawały się zrozumieć.

— Nie spotkałem jeszcze Tybetańczyka, który mówiłby po angielsku.

— Jestem Chińczykiem - odparł Shan, uśmiechając się.

— Nazywam się Hostene, Hostene Natay. - Mężczyzna rozejrzał się dookoła, przyglądając się każdemu z nich po kolei. - Chyba uratowaliście mi życie.

— *Lha gyal lo* — szepnął Lokesh.

Chwilę później, jak echo, powtórzyła to Dolma. Gendun, z dłonią przyciśniętą do boku, jak gdyby czuł ból, uśmiechnął się pogodnie, po czym spojrział na deskę z rysunkami.

Przez następny kwadrans prowadzili pospieszną rozmowę, którą Shan przerywał, by tłumaczyć dla swych przyjaciół, dopóki Hostene nie odkrył, że zarówno Gendun, jak i Lokesh mówią po chińsku. Powolnym, kulawym mandaryńskim, wśród licznych przeprosin, że tak wiele zapomniał, odkąd przed laty nauczył się go, służąc w amerykańskim wojsku, wyjaśnił, że jest emerytowanym sędzią z Nowego Meksyku na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Nie dając Shanowi najmniejszych szans wypytania Hostene'a o morderstwa, Lokesh zasypał go gradem pytań o patykowatą figurkę, pioruny i rysunkowy dialog, jaki prowadził z Gendunem.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy - wyjaśnił Hostene. - By szukać powiązań między Tybetańczykami a moim narodem.

- Pańskim narodem? - zdziwił się Shan.

- Dene. Nawaho.

Nazwa ta nie była Shanowi zupełnie obca.

- Ma pan na myśli amerykańskich Indian?

- Jest wiele nazw na określenie plemion, które najwcześniej zaludniły Amerykę Północną. Pierwsze Narody. Pierwotni Mieszkańcy. - Hostene przycisnął dłoń do skroni. - Ludy, którym bogowie powierzyli kontynent. — Cierpki ton jego głosu nie był w stanie ukryć bólu, jaki odczuwał. - Mój szczerp nazywa się Nawaho. — Zamknął na chwilę oczy. — Nie pamiętam, jak się tu dostałem. Spałem. Ktoś szedł między drzewami i nadepnął na gałąź. Obróciłem się, a wtedy coś uderzyło mnie w głowę.

- Kto jeszcze był z panem? - zapytał Shan, lękając się usłyszeć odpowiedź.

- Emerytowany uczonec z Pekinu, profesor Ma Hopeng, i młody tybetański przewodnik. Spotkaliśmy się w Qam-do. - Hostene umilkł nagle, oglądając się niespokojnie w stronę drzwi. - Gdzie oni są? - zapytał gorączkowo. — Muszę ich zobaczyć.

Shan i Lokesh wymienili spojrzenia. Hostene usiłował wstać, po czym osunął się bezwładnie. Zdawało się, że znów traci przytomność.

- Chłopak jest cały we krwi! - jęknął. — Ostrzeżcie ją, jest na górze!  
- Jego powieki zadrzęgotały i zamknęły się. Opadł z powrotem na posłanie.

- Bogini gór — zawyrokował Lokesh. - On chce ostrzec boginię gór.

Gdy obrócili go na plecy, Hostene znów wrócił do życia, szamocąc się w ich rękach i próbując podnieść się na nogi. Mył o jakieś piętnaście lat starszy od Shana, jednak, przynajmniej w tej chwili, zdawał się mieć siłę mężczyzny w kwiecie wieku.

- Im już nie można pomóc — powiedział mu Shan. — Są słowa, które można by dla nich wypowiedzieć. Gendun modli się za nich.

Hostene spojrzał na niego, usiłując pojąć, o czym mówi.

Shan chwycił mężczyznę, gdy zaczął się osuwać, i ułożył go z powrotem na posłaniu.

- Coś wydarzyło się tamtej nocy - powiedział. - Znaleziono pana zakrwawionego, siedzącego pod skałą. Nikt poza panem nie przeżył.

Hostene ukrył twarz w dłoniach. Nikt się nie odezwał. Dolma zapaliła kolejną laseczkę kadzidła.

- Leżałem w śpiworze - wyszeptał w końcu Indianin. - Słońce jeszcze nie weszło. Odwróciłem się i... to wszystko, co pamiętam. Kto? - zapytał. - Dlaczego?

- Nie wiemy — przyznał Shan.

- Policja?

- Władza tu nie dociera. Płynęły minuty.

- Ona mówiła, że zamierza zamknąć krąg między dwoma narodami - odezwał się w końcu zboląłym tonem Hostene. - Była tak podniecona swymi odkryciami. Tak pełna życia. Mówiłem jej, że jest jak jeden z dzikich mustangów, które widywaliśmy niekiedy w arroyo.

Shan nie mógł dostrzec sensu w jego słowach.

Gdy Hostene uniósł wzrok, po policzkach płynęły mu łzy.

- Co ja powiem mojej siostrze, kiedy zobaczę ją nocą?

- Siostrze?

- Abigail była moją siostrzenicą. Przyjaciele błagali ją, by tego nie robiła, by nie posuwała się tak daleko. Powiedziałem jej, że skoro się upiera, będę jej towarzyszył, czuwał nad nią. A teraz pozwoliłem, by ją zabito.

- Ale znaleziono tylko dwa ciała - oświadczył z zakłopotaniem Shan.

- Żadne z nich nie należało do kobiety.

Hostene chwycił go za przegub.

- Abigail! Więc gdzie ona jest? - Uświadomił sobie, że jego siostrzenica być może wciąż żyje, sama jedna na górze, gdzie grasuje morderca.

Drzwi otworzyły się nagle. Shan rzucił się ku nim o ułamek sekundy za późno. Strażnik tylko spojrzął na Hostene'a, wydał stłumiony okrzyk i błyskawicznym, panicznym ruchem uderzył Indianina pałąką w głowę. Hostene runął na podłogę.

- Benzyna.

Tak brzmiało całe powitanie Chodrona, gdy następnego dnia godzinę po świcie otworzył w końcu przed Shanem tylne drzwi swego domu. Naczelnik, ubrany w szlafrok, podał Shanowi pusty kanister i gestem wskazał małą przybudówkę gospodarczą przylegającą do głównego budynku. W szopie znajdowała się beczka z przyśrubowaną do wieka ręczną pompą.

Pałka strażnika rozcięła Hostene'owi skórę na głowie. Przez większą część nocy na zmianę to tracił, to odzyskiwał przytomność, pielęgnowany przez Dolmę i Lokesha, który mieszał lecznicze herbaty z przytroczonej do pasa sakiewki z ziołami. Czasem zdawało się, że Indianin obdarzony jest tą samą ponadczasową witalnością, co jego dwaj tybetańscy przyjaciele, kiedy indziej był słaby jak niemowlę.

- On może umrzeć - powiedział Shan, podając napęczniony kanister Chodronowi, który przebrał się już w odświętną niebieską koszulę i czarne spodnie, jakby wybierał się na zebranie partii.

Genpo minął go i podszedł do stojącego pod ścianą przedmiotu. Gdy odrzucił okrywający go filcowy koc, ukazał się mały generator, podłączony do przewodów biegnących do wnętrza domu. Shan spojrzał na trzech wieśniaków, stojących w milczeniu za murem ogródka. Skrzywili się, gdy generator zacharczał i zaczął pracować z cichym szumem.

Naczelnik najwyraźniej spodziewał się, że Shan wejdzie za nim do środka. Gestem wskazał mu krzesło przed stołem, który służył mu za biurko. Nie zaproponował mu czarnej herbaty, którą nalał z porcelanowego imbryka do wysokiego kubka.

- Pamiętam, jak w dzieciństwie byłem raz w cyrku - odezwał się Shan po dłuższej chwili ciszy - i wołałem do ojca, że najbardziej niesamowitymi ludźmi na świecie muszą być zonglerzy. Powiedział mi: „Przyjrzyj się dobrze. Żaden z zonglerów nie jest stary, bo w końcu zaczynają upuszczać maczugi. A wtedy nikt nie pamięta tych wszystkich wspaniałych sztuczek, jakie kiedyś robili, tylko upuszczone maczugi”.

- Nie mam czasu na czcze pogaduszki. Wczoraj dowiedliś-

cie, że nie mogę wypuścić was samego w góry. Chcę, żebyście przedstawili na piśmie swoje wytłumaczenie morderstw. Jeszcze dziś. - Chodron pstryknął wyłącznik lampy na giętym wysięgniku i zaczął wertować papiery.

- Może się okazać, że na dłuższą metę trudno wam utrzymać kontrolę zarówno nad wioską, jak i górnikami - powiedział Shan. - Być może do rządzenia ludźmi takiego pokroju jak mieszkańcy Drango wystarczy wam popisać się władzą. Ale górnikom będziecie musieli pokazać swoją prawdziwą wartość.

— Jest rzeczą dowiedzioną, że byli więźniowie obozów ciężkich robót cierpią na rozmaite zaburzenia psychiczne.

- Jest tylko jedno przekonywające wytłumaczenie faktu, że rząd dotychczas nie zainteresował się górnikami. Wy ich osłaniacie. W dzisiejszych czasach taka usługa musi być dość cenna, biorąc pod uwagę wszystkie podatki i kontrole, jakich unikają.

— Nie macie nawet cienia dowodu. Igracie ze śmiercią, więźniu.

- Zaabsorbowani tak karkołomną zonglerką, nie mieliście być może czasu zapoznać się z historią Chin — ciągnął Shan. - Szkoda, gdyż szybko przekonalibyście się, że przez całe wieki najcięższym przestępstwem w Chinach była korupcja. Mordercom po prostu ścinano głowy. Czasami nawet pozwalano im kupić sobie wolność. Ale ci, którzy okradali cesarza, zawsze skazywani byli na śmierć przez pocięcie na tysiąc plasterków. Niekiedy takich przestępców obwożono po całym okręgu i w każdym mieście odcinano im kawałek ciała. Dziś w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego całe komórki są poświęcone tropieniu korupcji. Stanowi ona taki problem, że każdy trop jest energicznie badany. Bezpieka zbierze dowody. Trzeba tylko, by ktoś skierował ją we właściwym kierunku.

Chodron ze znudzoną miną popijał herbatę.

— Wczoraj straciliście jednego górnika - ciągnął Shan. - Odszedł innym szlakiem w dół. Nadłożył drogi, ale nie ryzykował, że zobaczy go ktoś z Drango. Kazał mi powiedzieć wam, że zostawił wam daninę na ścieżce. Jeszcze ciepłą, dzięki uprzejmości jego muła.

Szeroki uśmiech, który wypełzał na twarz Chodrona, zgasł wolno, zastąpiony gniewnym grymasem.

- Dlaczego górnicy mieliby wciąż płacić wam daninę, jeśli nie potraficie powstrzymać mordercy?

Naczelnik odstawił herbatę i podniósł z biurka broszurkę.

- To zaczyna wyglądać jak negocjacje - burknął.

- Chcę, żebyście pozwolili przybyszowi udać się ze mną w góry. Chcę, żebyście uwolnili Yangkego z kołnierza i oficjalnie przydzielili mi go do pomocy.

- Niemożliwe.

- Zapominacie, że wasze przetrwanie zależy od delikatnej równowagi. Nie wy jedni możecie wezwać wojsko.

- Nie ośmielilibyście się. Nie minęłoby sześć godzin, a znaleźlibyście się znów za drutami. Moje słowo waży więcej niż słowo przestępcy.

- Miałem na myśli doktora Gao. Prawdziwego króla tej góry.

Chodron umilkł nagle.

- Co będzie, jeśli doktor Gao uzna, iż jego ustronie zrobiło się zbyt niespokojne? - zapytał Shan.

- Nie wiecie nic o Gao poza tym, co powiedział wam jakiś górnik.

- Wczoraj byłem jego gościem. Jego galeria zdjęć jest znacznie bardziej imponująca niż wasza. Zauważyłem jego kolekcję żuków.

- Wy? Kazałby wyrzucić was razem ze śmieciami.

- W przeszłości znaleźliśmy wielu tych samych ludzi w Pekinie. Dopiero w latach emerytury nasze drogi się rozeszły.

- Kara Yangkego została ustalona. Gdybym ustąpił, lekcja poszłaby na marne.

- Pierwszy sierpnia - podsunął mu Shan. - Robicie przygotowania do święta państwowego. Długoletnią tradycją jest udzielanie więźniom amnestii dla uczczenia dostojnych ojców narodu.

Chodron zapatrzył się w głąb swego kubka.

- Nie możecie przychodzić do mojej wioski i rozkazywać mi.

- Wolalbym nazwać to udzielaniem zdrowych rad politycznych.

Naczelnik rzucił broszurkę w jego stronę, odchylił się na oparcie krzesła i pstryknął przełącznik na skrzynce. Tarcze i wskazówki, podświetlone od środka, drgnęły i zaczęły się poruszać.

- Tu wioska Drango - powiedział do sterczącego z przodu skrzynki mikrofonu, wyrecytowawszy wcześniej ciąg liczb.

Shan zaczął rozumieć, co oznaczały miny mieszkańców wioski. Bali się generatora, przerażało ich radio. To nie karabiny, czołgi i helikoptery były najpotężniejszym narzędziem Pekinu w okupowanym Tybecie. Były nim małe czarne skrzynki, takie jak ta, setkami rozsiane po bezkresnych rubieżach.

- *Wei* - rozległo się wypowiedziane kobiecym głosem uniwersalne telefoniczne pozdrowienie. - Urząd Gminny. Wujku Chodron, to ty? Jak się ma mój ulubiony pijak? Kiedy przyniesiesz nam trochę tych pysznych moreli?

Na chwilę Shan przestał zwracać uwagę na toczącą się przyjacielską pogawędkę. Broszurka, zatytułowana „Toporem po korzeniach”, przeznaczona do dystrybucji wśród członków partii na terenie Tybetu, była zwiastunem kampanii politycznej. „Nadeszła pora, by wykarzcować uparte korzenie, które nie pozwalają ludności wiejskiej uwolnić się od dawnych tradycji despotyzmu i niewoli”, głosiła. Był to partyjny szyfr na określenie wędrujących po wsiach starych mnichów i łamów. „Starcy, którzy otrzymują schronienie w górach oraz w rolniczych osadach, wyłudżając pieniądze na budowę świątyni, nakłaniając dzieci do wstępowania w szeregi chuligańskich mnichów, postępują wbrew zarządzeniom Urzędu do spraw Wyznań”. Rząd przystępował do wdrażania polityki zerowej tolerancji. Wszystkie takie osoby miały zostać zidentyfikowane i przekazane Urzędowi Bezpieczeństwa.

- Toporem po korzeniach - usłyszał Shan słowa Chodrona i nadstawił ucha, kiedy kobieta po drugiej stronie wydała radosny okrzyk, po czym połączyła go z innym biurem. - Trafiłem na trop dawnych kultystów - powiedział naczelnik, patrząc wprost na Shana.

Powściągana energia we władczym głosie na drugim końcu zaniepokoiła go nie mniej niż lód w oczach Chodrona. Był to, bez cienia wątpliwości, głos funkcjonariusza bezpieki.



- Lhasa ma wyznaczoną normę - oświadczył mężczyzna. - Major Ren będzie już niedługo.

Uwagi Shana nie umknęła reakcja Chodrona na wzmiankę o oficerze.

- Kiedy? - zapytał naczelnik.

- Dopiero za parę dni. Jeśli załatwię dziś helikopter, będę mógł wydać mu kultystów. Lubimy dobrze karmić nasze szakale, gdy ruszają na łowy.

Chodron z uśmiechem zakrył mikrofon dłonią.

- Wasz lama zostaje u mnie - powiedział do Shana. -Będziecie meldować mi o swoich odkryciach, mnie i nikomu innemu. Jeśli pójdziecie w góry i nie zameldujecie się w ciągu, powiedzmy, trzech dni, przekażę go Urzędowi Bezpieczeństwa. Spróbujcie wciągnąć w to Gao, a znajdzie się w rękach bezpieki. Zawstyďte mnie raz jeszcze przed moją wioską, a zajmie się nim bezpieka.

Shan wbił wzrok w podłogę.

- Jeśli go skrzywdzicie...

- To co, więźniu? - syknął Chodron. - Napiszecie do przewodniczącego partii? Lama jest mój. A przybysz zostaje w stajni razem z nim. - Naczelnik uniósł dłoń i roześmiał się do mikrofonu. - Spokojnie, towarzyszu. Nie aresztowałem ich jeszcze. Nie chcemy, żeby zaszyli się w kryjówce. Wiem, jak wykurzyć takie stworzenia. Zostawcie ich mnie.

- Miejcie się na baczności - odparł oficer. - Ci starzy potrafią przemieniać się w smoki.

Uśmiech na twarzy naczelnika, gdy wyłączał odbiornik, ukazał rząd nierównych zębów.

- Major Ren. Największy rekin w naszym rojącym się od rekinów morzu. On nie jest tak subtelny jak ja. Jeśli ja używam do tamzingu jednego akumulatora, on bierze trzy. Tam, gdzie ja mógłbym uderzyć was pałką, gdy stoicie, on najpierw przywiązałby was do stołu, a potem bił ołowianą rurą. Zapewne znacie już ten typ ludzi.

Gdy Shan nie odpowiedział, Chodron uśmiechnął się znowu. W tej samej chwili, gdy gestem wskazał mu drzwi, jakaś kobieta na zewnątrz krzyknęła przerażona, a ktoś inny wydał bolesny jęk. Shan wybiegł na dwór. Chodron dotarł do

wieśniaków zgromadzonych u podnóża łagodnie nachylonych pól o pół kroku za nim.

Dwóch pasterzy niosło jakiegoś człowieka, a ściślej mówiąc to, co z niego zostało. Ciało zwisało z kija, przywiązane jak świeżo upolowana zwierzyna. Gdy dotarli do wioski, mężczyźni sprawiali wrażenie, jak gdyby znużenie odebrało im mowę, ale słowa nie były potrzebne. Zwłoki należały do jednego z rolników. Jego lewa skroń była miękka i papkowata. Została zmiażdżona brutalnym ciosem.

Jedna z kobiet opadła obok zwłok, szlochając.

-Zabili go! - krzyknęła inna, wbijając w Chodrona gniewne spojrzenie.

Przez tłum przebiegł trwożny okrzyk:

- Następne morderstwo!

Shan uświadomił sobie, że kilkoro mieszkańców wioski patrzy na niego. Zrobił krok naprzód, a tłum bez słowa się rozstał. Uklęknął przy zwłokach, od których odciągano właśnie płaczącą kobietę. Pospiesznie zbadał źrenice mężczyzny, a dotykając gąbczastego ciała wokół rany, stwierdził, że dłonie są nietknięte, choć opuszki palców były zsiniałe. Następnie obejrzał jego ubranie, zatrzymując się na chwilę nad dziwnie zdeformowaną sprzączką u paska. Nawet Chodron stał obok w milczeniu, gdy Shan rozpinał koszulę mężczyzny, by przyjrzeć się jego skórze. Na lewym barku znać było niewyraźny czerwony ślad. Jeden z rolników pomógł mu ułożyć nieboszczyka na rozpostartym obok kocu.

-Aj-jaj! - rozległ się przerażony okrzyk, gdy Shan odsunął koszulę, odsłaniając plecy mężczyzny. Wzór ciągnął się od barku wzdłuż pleców trupa. Wyglądało to, jak gdyby na skórze wytrawiono mu długi, czerwony liść paproci, promieniujący w górę od kręgosłupa tuż poniżej serca.

- Bogowie! - rozległ się kolejny przerażony okrzyk, gdy wieśniacy cofnęli się ze zgrozą. - Dotknęły go bóstwa!

- Bogowie go zabrali! - jęknęła jakaś staruszka. Kilka osób przytaknęło jej nerwowym pomrukiem.

- Sprowadźcie lamę! - krzyknął ktoś żałośnie.

Ale młody pasterz, który ruszył biegiem w stronę stajni, został pochwycony i powalony na ziemię, nim zdążył dotrzeć zbyt daleko.

- Morderstwo! - krzyknął Chodron, stając nad mężczyzną. - Każdy widzi, że to morderstwo - oświadczył donośnym głosem. - Jeszcze jeden cios młotem w czaszkę.

Chwilę później na jego twarzy pojawiła się niepewność. Spojrzał gniewnie na Shana. Naczelnik uświadomił sobie swój dylemat. Nie mógł tolerować sugestii, że jakiś bóg naznaczył mężczyznę, ale jeśli, jak właśnie oświadczył, ktoś zamordował go młotkiem, zabójcą nie mógł być Hostene. Szorstko polecił, by zwłoki zanieśiono do domu zmarłego, po czym wezwał Shana w cień najbliższego spichrza.

Trzy godziny zajęło im - Shanowi, Yangkemu i Hostene'owi - dotarcie do obozowiska Indianina. Choć Yangke niósł plecak z trzydniowym zapasem żywności, skakał po kamieniach, najwyraźniej nie odczuwając zbytnio przyciągania ziemskiego, odkąd uwolniono go od ciężaru belki. Hostene, po obfitym posiłku w domu Dolmy, również zdawał się być jak nowo narodzony. Często przystawał, by zapytać Yang-kego, czemu niektóre głązy są pomalowane na czerwono albo dlaczego kamienie mani zostały ułożone akurat przy tym, a nie innym głązie. Patrzył z uwagą, gdy Yangke narysował na ziemi osobliwy wzór, jaki pojawił się na plecach martwego rolnika. Kiedy zauważył, że musi to być jakaś malowana dekoracja ciała, Yangke oświadczył z uporem, że wygląda to dokładnie tak, jak narysował: idealne wyobrażenie liścia paproci wytrawione jak tatuaż na skórze mężczyzny, gdzie jeszcze dzień wcześniej nie było żadnego znaku. Obaj spojrzeli na Shana, jak gdyby szukając odpowiedzi, on jednak szedł wciąż ścieżką przed siebie.

Lokesh miał własną teorię, kiedy Yangke opisał mu znak w stajni. Jego zdaniem rysunek przedstawiał iglicę czortenu, świętej kaplicy-relikwiarza. Shan nie odpowiedział, ujął tylko na chwilę dłoń Genduna, gdyż stary opat znów osłabł.

- Dopilnuj, żeby jadł - powiedział. Wspomnienie kłamstw, jakie był zmuszony wyrzec przy swych przyjaciółach, było jak otwarta rana.

- Dolma się tym zajmie. Ja idę z wami - odparł Lokesh.

- Nie. Nie wolno ci. - Shan nie mógł przypomnieć sobie, by kiedykolwiek wcześniej spierał się z przyjacielem, ale

nie zamierzał narażać go na czyhające na górze niebezpieczeństwa. Wiedział z doświadczenia, że należy ufać złym przeczuciom, które w nim narastały. - Musisz zostać, by pomóc Gendunowi.

- Mylisz się, Shan - odparł Lokesh. Mogło się zdawać, że sama góra wkracza pomiędzy nich. - Nie rozumiesz tej góry. Dolma mówi, że jej bóstwo staje się coraz słabsze. To, co zamierzasz zrobić, mogłoby je zabić.

Była to najstraszniejsza rzecz, jaką Shan kiedykolwiek usłyszał od łagodnego starca. Sposób, w jaki Lokesh wypowiedział te słowa, wskazywał, jak bardzo dręczyły one jego duszę.

Shan nie wiedział, co odpowiedzieć. Mówili o sprawach, wobec których słowa były bezużyteczne. Być może Lokesh wiedział o jego zamiarach coś, o czym on sam nie miał pojęcia. Być może góra kryła w sobie coś, czego Lokesh i Gendun nie mogli mu wyjaśnić. Ale on sam z pewnością dostrzegał w niej rzeczy, których oni nie byli w stanie pojąć, a gdyby zetknęli się z nimi, skończyliby jak ćmy w płomieniu świecy. Siedzieli w milczeniu, podczas gdy Hostene szykował się do drogi. Potem, zostawiając Lokesha wpatrującego się w niemal nieprzytomną twarz Genduna, Shan opuścił stajnię i zaryglował drzwi.

W drugiej połowie wędrówki Shan szedł ramię w ramię z Hostene'em, który podpierał się w marszu nowym, wystruganym mu przez Yangkego kijem. Rekonstruował podróż, jaką Indianin i jego siostrzenica odbyli, by dostać się na Górę Śpiącego Smoka. Miesiąc wcześniej oboje przylecieli do Pekinu, gdzie dołączył do nich profesor Ma, znajomy Abigail z czasów, gdy prowadziła w ramach wymiany sześciomiesięczny cykl wykładów poświęconych religiom Wschodu na Uniwersytecie Pekińskim. Profesor Ma spędził kilka letnich sezonów, badając położone osiemdziesiąt kilometrów dalej na południe ruiny, i tam poznał tybetańskiego przewodnika, który przyprowadził ich tutaj.

Abigail Natay miała trzydzieści cztery lata. Jej dzieciństwo upłynęło na ziemiach Nawaho, jednak gdy tylko dorosła na tyle, by opuścić dom, uciekła do Kalifornii, dystansując

się od swego plemienia, by wspinać się po szczeblach kariery naukowej.

- Pięć lat temu zmarł jej ojciec, a wkrótce potem matka, moja siostra - wyjaśnił Hostene. - Przed śmiercią ojca Abigail odmówiła przybycia na ceremonię uzdrawiającą. Gdy umierała moja siostra, również odprawiliśmy ten rytuał, a ona kazała Abigail przyrzec, że weźmie w nim udział. Abigail usłuchała, choć niechętnie, nie opuściła ani godziny. Potem wyjechała bez słowa. Później jednak pojawiła się na obrzędach uzdrawiających dla innego krewnego, i na następnych znowu.

Jego siostra nie żyła, ale Hostene wspomniał, że rozmawia z nią w nocy. Shan z bólem pomyślał o Lokeshu, który nierzadko prowadził rozmowy ze swą dawno zmarłą matką. A Lokesh był jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, że on sam szukał czasem porady u swego ojca, który stracił życie podczas „rewolucji kulturalnej” kilkadziesiąt lat wcześniej.

- Rok później - ciągnął Hostene - odkryłem, że prowadzi cykl wykładów o kulturze Nawaho na dużym uniwersytecie na Wschodnim Wybrzeżu. W następnym roku objęła posadę na uniwersytecie stanu Nowy Meksyk. Mówiłem jej, że powinna wyjść za mąż, ale odparła, że jest zbyt zajęta pisaniem książki o obrzędach naszego ludu. Proponowano jej posadę na Harvardzie, ale odrzuciła ją, by nie oddalać się od starych ludzi, którzy byli jej informatorami.

Shan przystanął i podniósł okrągły kamień.

- Tu - powiedział, wskazując punkt w jednej trzeciej jego wysokości - jest Nowy Meksyk. A tu - przesunął palec na przeciwległą stronę - jest miejsce, w którym teraz stoimy. Jej pojęcie o geografii jest osobliwe.

- Ona nazywa ten projekt koronnym klejnotem swej kariery - odparł Hostene. - Każdy uczonej marzy o tym, by na nowo napisać historię. - Umilkł na chwilę, jak gdyby oceniając reakcję Shana, po czym dodał: - Ona chce dowieść, że Tybetańczycy i Indianie Nawaho są owocami tego samego drzewa. Zaginionymi kuzynami.

Zacząło się to, wyjaśnił, w pewnej galerii w Santa Fe, która handlowała antykami z całego świata.

- Abigail wypatrzyła tam stary koc. Przerysowywała jego wyblakłe wzory do swojej pracy o buddyźmie tybetańskim, kiedy sprzedawca powiedział jej, że to w rzeczywistości wyrób nawaski, z bardzo wczesnego okresu. Gdy spierała się z nim, stwierdził, że może sprawdzić to w nawaskim college'u. Znałem wielu tamtejszych profesorów, więc zawiozłem ją tam. Pół godziny zabrało nam przejechanie przez bramę wjazdową, gdzie była mapa college'u, który został zbudowany jako szereg połączonych ze sobą okręgów w nawiązaniu do tradycyjnych wierzeń o związkach naszego ludu z bogami. Abigail sfotografowała mapę, twierdząc, że układ budynków odpowiada konstrukcji pewnego klasztoru w Tybecie oraz schematowi kompozycji wielu tybetańskich mandali. Pół roku później była w Lhasie, ucząc się języka, oglądając tamtejsze świątynie. To było prawie trzy lata temu, mniej więcej wtedy, gdy przeszedłem na emeryturę. Zaczęła od tego, co określiła jako dane empiryczne. Naukowe badania wzorców językowych, łańcuchów DNA, wzorów zębowych, woskowiny, dowodów geologicznych z epok lodowcowych.

- Woskowiny? Hostene uśmiechnął się.

- Słyszałem to wszystko tyle razy, że mógłbym recytować to przez sen. Są dwa rodzaje woskowiny, wilgotna i sucha. Europejczycy i Afrykanie mają niemal zawsze typ wilgotny. Ludzi z suchą woskowiną spotyka się w izolowanych skupiskach w całej Azji, zwłaszcza w regionach o chłodnym klimacie. Można śledzić migrację ludów, badając rozmieszczenie grup ludzi z suchą woskowiną w Ameryce Północnej.

- Wśród których są Indianie Nawaho - domyślił się Shan.

- Wśród których są wszyscy rdzenni Amerykanie. To jest to, co ona nazywa makrodowodami. Te same prawidłowości dotyczą gruczołów potowych. Tybetańczycy i Nawaho pocą się znacznie mniej niż przeciętna osoba europejskiego pochodzenia.

Shan stwierdził, że polubił starego Indianina, którego spokojny, a zarazem energiczny sposób bycia przypominał mu Lokesha.

- Tak więc przekonała pana do swojej teorii?

- Nie od razu. Kiedy wspominała o sprawach takich jak gruczoły potowe, przypominałem jej, że to kolejny argument z cyklu Europejczycy kontra Azjaci i że niemal wszyscy zgadzają się, że amerykańscy Indianie przybyli z Azji przez Cieśninę Beringa. Nie, z początku wynikało to raczej z obietnicy, jaką złożyłem siostrze na łożu śmierci, że będę czuwać nad Abigail. Nie znam nikogo, kto lepiej od niej by się orientował w sprawach, których można się dowiedzieć w bibliotece. Ale czasem nie najlepiej radzi sobie w codziennych sprawach... z ludźmi, z biurokratami, z realnym światem. I ma duszę jak lew. Nigdy nie brodzi przy brzegu, od razu rzuca się w najgłębszą wodę.

Gdy w końcu dotarli na miejsce morderstwa, Hostene zamilkł. Kucnął przy ognisku, jak wcześniej zrobił to Shan, rozgarniając palcami plastikowe pozostałości spalonego śpiwora, po czym z ponurą miną przeszedł wzdłuż brązowych plam na trawie.

- Mieliśmy namiot - powiedział - ale najczęściej spaliśmy pod gołym niebem. Rozmawialiśmy o gwiazdach.

- Była z wami tamtej nocy? Hostene skinął głową.

-Ale nie mogła usiedzieć w miejscu. Kiedy księżyc świecił jasno, szła na jakąś wysoką półkę skalną i siedziała tam nieraz całą noc. Albo wyruszała przed świtem, by złapać najlepsze światło do sfotografowania jakiegoś malowidła na stoku. Ta góra dręczyła ją. Martwiła się, że nie zdoła odkryć jej tajemnic, zanim będziemy musieli odejść.

- Dlaczego właśnie ta góra? - zapytał Shan. - Co sprawia, że jest warta takiego ryzyka?

Ani jeden, ani drugi nie wspomnieli o pewnej luce w opowieści Hostene'a. Żaden przybysz z Zachodu nie otrzymałby nigdy zezwolenia na wjazd do tego regionu ani też żadnemu Amerykaninowi nie udzielono by nigdy oficjalnego pozwolenia na prowadzenie badań, które miały dowieść etnicznej lub genetycznej odrębności Tybetańczyków od Chińczyków Han. Jego obecność tu była z pewnością równie nielegalna jak obecność górników.

Hostene milczał tak długo, że Shan uznał, iż nie dosłyszał pytania.

- Całymi miesiącami wynajdywała podobieństwa między podstawowymi słowami języka Atapasków, z którego wywodzi się język Nawahów, oraz tybetańskiego, nagrywając nawet rodowitych Tybetańczyków i Nawahów czytających te same teksty. Potwierdziła, że czas migracji przez Cieśninę Beringa jest zgodny ze świadectwami rozprzestrzeniania się ludów z Azji Środkowej. A potem nagle wszystko sprowadziło się do religii. - Przerwał, przykucnął i palcem nakreślił na ziemi rysunek, załamaną dwukrotnie linię z górnym ramieniem zwróconym w prawo, a dolnym w lewo, oraz drugą identyczną, umieszczoną prostopadle do niej. - Setki lat, zanim Hitler wypaczył znaczenie tego symbolu, moje plemię używało go w obrzędach religijnych, w tym, co nazywamy suchymi malowidłami, świętymi obrazami z piasku.

Shan, klęcząc na jednym kolanie, poczuł, że ktoś stoi mu nad głową.

- I przez setki lat — odezwał się zmęczony, lecz ożywiony głos - Tybetańczycy używali takiego symbolu.

Lokesh dogonił ich. Uklęknął i narysował identyczną swastykę obok tej, którą nakreślił Hostene.

- W piaskowych obrazach i nie tylko. To symbol wieczności, znak przynoszący szczęście. - Nie patrzył na Shana.

Hostene z powagą skinął głową.

- Tak się dowiedzieliśmy. Mamy święte góry, które są siedzibą naszego Świętego Ludu. Tybetańczycy mają góry, które są siedzibami bóstw. Abigail mówi, że bogowie ziemi są najstarsi, gdyż ludzie zamieszkujący wysokie góry muszą wyjaśnić powstawanie błyskawic i grzmotów. Jej zdaniem najlepiej do wykazania powiązań między naszymi narodami powinna się nadawać struktura wierzeń wokół najstarszych bóstw. A te wierzenia sięgają czasów znacznie dawniejszych niż pojawienie się pierwszych buddystów w Tybecie. -Przyłożył palec do ziemi pod swastykami, które narysowali.

- Wielu moich rodaków dziś rysuje ten symbol tak, jak my to zrobiliśmy. Ale Abigail wytropiła najwcześniejsze przykłady jego użycia, na starych naczyniach i starych petroglifach. Uważa, że dawniej nasz lud rysował go w ten sposób. — Nakreślił drugą swastykę, tym razem zwróconą w lewo, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.



-Tak właśnie - oświadczył z radosnym zdumieniem w głosie Lokesh  
- rysowali go nasi najdawniejsi przodkowie. Bonpowie. - Miał na myśli  
wyznawców animistycznej religii, którzy żyli w Tybecie na długo  
przed sprowadzeniem buddyzmu z Indii.

Hostene, skinąwszy głową, ciągnął:

- Drogi prowadzące do naszych świętych gór są wytyczone znakami,  
które istniały tam od stuleci, i Abigail chciała szukać analogicznych  
oznakowań w Tybecie, zestawić towarzyszące im mity, prześledzić je  
wstecz do jakiegoś wspólnego źródła. Jednak wszystkie znaki, jakie  
udało jej się znaleźć, były zamalowane lub zniszczone. Niekiedy same  
góry zostały zrównane z ziemią. W końcu profesor Ma powiedział  
nam, że słyszał o miejscu, które dotąd pozostało nienaruszone, z  
bardzo starymi malowidłami bóstw, na górze świętej dla wyznawców  
bonu. - Indianin obrócił wzrok w stronę Lokesha, który wpatrywał się  
w wierzchołek góry.

Po chwili Hostene ruszył wolnym krokiem wokół kępki drzew, po  
czym zapytał Yangkego, gdzie znaleziono go nieprzytomnego. Gdy  
Shan dotarł do niego, klęczał przy skalnej ścianie, przyglądając się  
nakreślonym krwią rysunkom.

- Tamtej nocy siedzieliśmy do późna, obserwując deszcz  
meteorytów - wyjaśnił płaczliwym tonem. - Nasz przewodnik pokazał  
nam gwiazdozbiór, który nazwał Matką Opiekunką Tybetańczyków.  
Powiedział, że jego matka, gdy widziała gwiazdy sypiące się z tego  
gwiazdozbioru, zawsze krzyczała z radości, po czym szybko  
recytowała mantrę.

- Tashi - rozległ się za nimi pełen smutku szept. - Pasterz Tashi.

-Przewodnik Tashi, kucharz obozowy Tashi - dodał Hostene. - Tashi  
kierowca ciężarówki. Znałeś go? - zapytał  
Yangkego.

Yangke dostrzegł oskarżycielskie spojrzenie Shana i szybko  
odwrócił wzrok, czerwieniąc się.

-Zdawało mi się, że nie musisz koniecznie tego wiedzieć -  
powiedział.

- On pochodził z Drango - domyślił się Shan.

- Mówiłem ci, nie widziałem ciała - powiedział Yangke. -Nie byłem  
pewny, czy to jego zabito. Aż do teraz.

To dlatego, uświadomił sobie Shan, pasterz w domu Dolmy tak nerwowo zareagował na pytanie o tożsamość ofiar. Jeden z zamordowanych pochodził z wioski, ale nie był z wioski.

- Ale zachowywałeś się tak, jakbyś nie wiedział, kto tu obozował ani co robił - wypomniał mu, przechodząc na tybetański.

- Bo tak było - odparł Yangke. - Nie wiedziałem dokładnie. Tashi nie pozwalał mi się zbliżyć do obozu. Nie chciał mi powiedzieć, co robią jego klienci.

- Nazywał ich klientami? Pasterz skinął głową.

- Powiedział mi, że to uczeni, którzy interesują się starociami.

- Ty nazwałeś ich świętymi mężami. Mówiłeś, że robili piaskowy obraz.

- Bo to prawda. Oczyszczali kaplice i robili piaskowe malowidła. Co miałem myśleć? Wszyscy uczeni w Tybecie byli kiedyś lamami. - Młody Tybetańczyk odwrócił wzrok. - Nie posłałem po Lokesha i Genduna z powodu Tashiego. Posłałem po nich z powodu tego, czym Chodron groził Hostene'owi. Nie wiem, co stałoby się z wioską, gdyby on... -Urwał, nie kończąc zdania.

- Ty po nich posłałeś? - zapytał dla jasności Shan. Yangke skinął głową.

- Tamtej nocy on leżał na śpiworze obok mnie - ciągnął Hostene, opierając się o skałę. - Pamiętam coś jeszcze. Tuż zanim straciłem przytomność, on jęknął. Myślę, że próbował mówić, ale brzmiało to, jakby miał usta pełne wody.

Shan przypomniał sobie zdjęcia Thomasa. Młodszy z zamordowanych otrzymał cios w plecy. Jego płuca prawdopodobnie wypełniły się krwią.

- Dlaczego Chodron miałby ukrywać tożsamość Tashiego? Dlaczego nie wyjawi jej mieszkańcom wioski? - zapytał Yangkego.

- Z powodu Dolmy. Ciotki Tashiego. Mojej ciotecznej babki.

Z ust Lokesha wyrwało się melancholijne westchnienie.

- Dolma - powtórzył.

Yangke utkwiał wzrok w ziemi.

- Miałem nadzieję, że on po prostu uciekł. Były dwa trupy. - Spojrzał z poczuciem winy na Hostene'a. - To nie musiało oznaczać, że jednym był Tashi. Nie wiem, jak jej to powiem.

Smętne spojrzenie Indianina błędziło wzdłuż horyzontu.

- Gdy zasypiałem, Tashi opowiadał, że niektórzy z najstarszych mieszkańców jego wioski wierzą, że to jest najważniejsza góra na świecie. Znał tylko strzępy tej historii. Jak powiedział, nie pozostał przy życiu już nikt, kto znałby całą prawdę. Mówił, że smoki i bogowie, podobnie jak lamo-wie, wymierają i to właśnie miejsce jest ich ostatnim bastionem. Powiedział, że jeśli nam się poszczęści, może spotkamy bogów. Myślę, że był trochę pijany. Ale kiedy obudziłem się tam, w stajni, wciąż z zawrotami głowy, i zobaczyłem Genduna pochylającego się nade mną, sądziłem, że tam właśnie jestem, w ukrytej siedzibie bogów.

- Te słowa, które powiedział pan wtedy do Genduna, co to było?

- Po prostu wyrwały mi się. Nie zastanawiałem się nad tym, co mówię, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. To była stara modlitwa do górskiego boga Nawahów.

Obeszli razem teren, omijając z daleka skałę, gdzie znaleziono okaleczone ciała.

- Czy kiedykolwiek zetknęliście się z górnikiem? - zapylał Shan.

- Bezpośrednio nigdy. Staraliśmy się trzymać od nich z dala, choć często miałem wrażenie, że jesteśmy obserwowani. Tashi porozmawiał z nimi i wyjaśnił im, że nie mamy wobec nich złych zamiarów. Zanim tu przybyliśmy, przestrzegł nas, byśmy unikali ich za wszelką cenę. Mówił o nich tak, jakby byli czymś w rodzaju dzikich zwierząt, które tylko on może poskromić.

Shan wyciągnął z kieszeni fragmenty wyciętej z patyka figurki i podał je Hostene'owi. Indianin, ponuro kiwając Kłową, przyłożył oba kawałki do siebie.

- To się nazywa ketaan - wyjaśnił. Jego przepełniony wzruszeniem głos ucichł niemal do szeptu. - Figurka ofiarna, zawsze wykonywana z gałązek rosnących po wschodniej stronie drzewa. Używa się ich w niektórych obrzędach mojego

plemienia. Abigail zostawiła je u stóp starych malowideł jako symboliczny dar, wyraz wdzięczności dla bóstw za to że pozwoliły jej się badać. Noc wcześniej poprosiła mnie' żebym zrobił cztery, po jednej dla każdego z nas, jako amulety ochronne.

- Nie rozumiem - powiedział Shan. - Profesor gromadzący materiały do pracy naukowej nie przerywa sobie, by podziękować bogom.

- Z początku traktowaliśmy to jako badania naukowe -przyznał Hostene. - Nigdy nie rozmawialiśmy o tym jak się sprawy zmieniły, odkąd przybyliśmy tutaj. Pewnego dnia zacząłem rzeźbić ketaan, tak jak wiele lat temu nauczył mnie ojciec. Tamtej nocy Abigail powiedziała, że jeśli głównym aspektem jej pracy są sposoby oddawania czci bóstwom to ona nigdy ich nie odkryje, nie traktując ich z czcią.

Shan zostawił Hostene'a wpatrującego się w złamaną figurkę. Raz jeszcze obszedł wolno obozowisko; przystawał co dwa, trzy kroki, oglądając uważnie stok ponad nim i trawę pod stopami, rozmyślając nad słowami Indianina. Co takiego przeoczył? Ruszył w stronę strumienia. Zbadał już wszystko wszystko poza starym kamiennym kopcem na przeciwległym brzegu, jedynym nienaruszonym, jaki napotkał. Jednym krokiem pokonał wąski potok i okrążył kopiec. Był stary a jednak niestary. Wszystkie kamienie pokrywały porosty' ale tylko na tych z dolnych warstw tworzyły one zwarty kożuch, spajając głązy. Na wyższych stanowiły oddzielne placki o poszarpanych krawędziach. Spojrzawszy z miną winowajcy w stronę swych towarzyszy, Shan zaczął rozbierać kopiec.

Zdjął już niemal wszystkie kamienie poza oryginalnymi u podstawy, kiedy natknął się na złożony kawałek filcu, który me zdradzał oznak starości. Ostrożnie wydobyl go, położył na ziemi i zaczął go rozwijać. Materiał był poskładany starannie w liczne fałdy, mieszczące przeróżne przedmioty Po rozłożeniu trzech warstw ukazały się kawałki pergaminu ogółem osiem, każdy w osobnej fałdzie, każdy zapisany tekstem modlitwy. W ostatnim załamku materiału kryło sie osiem małych samorodków złota.

- Nie lubiliśmy rozbierać kopców - usłyszał tuż za sobą

głos Hostene'a. - Mieliliśmy wtedy wrażenie, jakbyśmy otwierali stary grób. Ukryte w nich zawiniątka zwykle rozpadały nam się w rękach, tak więc zawsze wymienialiśmy materiał na nowy, nim odbudowaliśmy kopiec.

Shan zastanawiał się chwilę nad jego słowami.

- Chce pan powiedzieć, że otwieraliście kopce, by odczytać stare modlitwy, które były w środku?

Indianin, klękając obok niego, skinął głową.

- Profesor Ma i Abigail spisywali teksty starych modlitw. Niektóre liczyły według jej obliczeń setki lat. Mówiła, że jeśli nie spotkamy żadnego z dawnych bogów, to będzie wystarczająca namiastka. Odgrzebywanie bóstw, jak to nazywała. Fotografowała modlitwy. Mogło to wyglądać na profanację, ale ona twierdziła, że to konieczne, że jest niezmiernie ważne dla jej pracy. Na niektórych widniały symbole. Czasem były to lewoskrętne swastyki. - Rozpostarł filc na trawie. - Tashi mówił, że wszystko jest w porządku, jeśli tylko szanujemy stare modlitwy. A Abigail powtarzała, że nie wolno nam nigdy zdradzić zainteresowania złotem.

- Ale przecież nie szukaliście złota.

- Właściwie nie - przyznał Hostene. - Ale Tashi powiedział, że tu, wysoko, bogowie i złoto to niemal jedno i to samo.

Shan spojrział na niego badawczo, szukając wyjaśnienia, ale Indianin nie dodał już nic więcej.

Przybyli pozostali. Lokesh z czcią wygładził każdą kartkę z modlitwą w odpowiedniej fałdzie filcu. Yangke podniósł leżącą na wierzchu bryłkę złota, po czym odłożył ją szybko, rozglądając się nerwowo po zboczu. Patrzyli w milczeniu, jak Lokesh na nowo składa zawiniątko, po czym wszyscy czterej zabrali się do odbudowy kopca.

- Czy mieliście młotek? - zapytał Shan. - Młotek geologiczny?

Hostene skinął głową.

- Był gdzieś w obozie. Używaliśmy go tamtego dnia. - Spojrział na Shana z przerażeniem. - Ten trup, którego znaleźli dzisiaj. On został zabity młotkiem.

- Nie — odparł Shan. — Temu rolnikowi zadano cios w głowę, kiedy już nie żył. I nie młotkiem. Przypuszczam, że odłamkiem skały.

Obok nich Lokesh znów kreślił coś na ziemi. Rysunek liścia paproci z pleców mężczyzny.

- Czy to ma jakiś związek z bonem? - zapytał nie wiedząc kogo.

- Nie - wyjaśnił wreszcie Shan. - To świadczy, że ten człowiek zginął od uderzenia pioruna. To rzadkie zjawisko, nawet u porażonych przez piorun, ale nic innego go nie powoduje. Nazywa się to figurą Lichtenberga. Uczyłem się o tym wiele lat temu. Gdyby ktokolwiek zadał sobie trud, by spojrzeć, zobaczyłby, że sprzączka jego paska była częściowo stopiona. Wychodząc z wioski, ten rolnik niósł ciężką żelazną siekierę.

-Ale ty... - zaczął Yangke, lecz urwał, jak gdyby nie wiedział, jak dokończyć zdanie.

- Nikomu nie powiedziałem? Gdybym to zrobił, Hostene wciąż tkwiłby uwięziony w stajni. A my możemy dowiedzieć się więcej, jeśli zachowamy tę zagadkę dla siebie.

- Zagadkę? - zdziwił się Hostene.

Shan położył ostatni kamień na odtworzonym kopcu.

- Po trzech morderstwach, do jakich już doszło tego lata, po co ktoś miałby pozorować kolejne? - Nie wypowiedział głośno innego pytania, które właśnie zaczęło go niepokoić: dlaczego złoto ukryte w tym kopcu wciąż było na miejscu, mimo że górnicy od lat rozbierali kopce? - Jak długo obozowaliście tutaj? - zapytał zamiast tego Hostene'a.

- Tydzień. Abigail fotografowała stare naskalne inskrypcje, żeby przetłumaczyć je w kraju.

- Stare inskrypcje?

Hostene poprowadził ich po trawiastym stoku w górę, do kolejnej skały, oddalonej nieco od obozowiska. Minawszy ją, pokazał im naturalną, wyrzeźbioną przez wiatr formację sterczącą nad małą półką skalną. Miała powyginany, zwężający się ku górze kształt, z niemal kulistym, przypominającym głowę wierzchołkiem, owalnym środkiem i dwoma wybrzuszeniami, które przy odrobinie wyobraźni mogły uchodzić za skrzyżowane nogi. Lokesh wydał okrzyk zachwyty. Było to coś, co Tybetańczycy nazywali samoistnie powstałym bóstwem, naturalna formacja skalna przypominająca wyglądem święty posąg. Brzuch postaci oraz płytę,

na której stała, zdobiły święte symbole oraz kilka linijek mantr. Poniżej biegł pas zatartych już malowanych pąków lotosu, jaki widywało się często na ołtarzach. Szyję otaczały pasma jaczego włosia, pokryte gdzieś skorupą porostów - wszystko, co pozostało z zawieszzonego przed wielu laty naszyjnika.

- Bogini Tara - powiedział Hostene. - Abigail mówiła, że te słowa są modlitwą do Tary w jej zielonej formie. Znalazła kilka starych wizerunków Zielonej Tary na stokach

Lokesh z czcią położył na ramionach bogini kilka drobnych kwiatków, które rosły nieopodal, po czym powiódł palcami po inskrypcjach. Do niedawna były pokryte porostami.

- To wy usunęliście porosty? - zapytał Hostene a. Indianin skinął głową.

- Wykałaczkami. I zgłębnikami dentystycznymi.

Shan rozejrzył się dookoła. Na suchej, pyhstej ziemi pod Hkałą znać było zagłębienia, ślady po statywie. -Jakiego jeszcze sprzętu używała? - zapytał Hostene a.

- Aparatu fotograficznego, kamery wideo, laptopa z ładowarką słoneczną. - Mówiąc to, Hostene ożywił się nagle, jak gdyby właśnie przypomniał sobie o czymś. Zrobił krok pod górę.

- Cały ten sprzęt był w waszym obozie tamtej nocy.-  
zawołał Shan do jego pleców.

Jedyną odpowiedzią Indianina był szybki gest, którym dawał im znak, by szli za nim. Niespełna minutę pozniej stali u wylotu płytkiej groty.

- Obawiała się burz - wyjaśnił. - Chciała mieć pewność, że nic nie zamoknie, gdyż tu były to rzeczy nie do zastąpienia.

Sprzęt, o którym wspominał, leżał tak jak wtedy, gdy ich gromadka zostawiła go w wieczór poprzedzający morderstwa Srebrna kamera wideo spoczywała pozornie nietknięta na płaskim kamieniu. I ona, i aparat fotograficzny znajdowały się w przezroczystych plastikowych workach. Komputer schowany był w niebieskim pokrowcu z nylonu, a na ziemi stał niebieski nylonowy plecak. Wartość tych przedmiotów musiała być o wiele większa niż sprzętu biwakowego kradzionego z obozowiska.

Shan obejrzał się za siebie na Lokesha, który zatrzymał

się u wylotu pieczary ze wzrokiem utkwionym w samoistnie powstałej Tarze. Wszedł w cienie, gdy Hostene otworzył plecak, by przejrzeć jego zawartość, i wyciągnął z niego plastikową kosmetyczkę, potem małą niebieską teczkę, wreszcie parę džinsów.

- Ubrania na zmianę - oświadczył. Wygrzebał ze środka miękki kapelusz z szerokim rondem i włożył go na głowę. Gdy pochylił się, by zarzucić sobie pasek plecaka na ramię, Yangke powstrzymał go, nakładając pakunek na własne plecy. Hostene sprawiał wrażenie, jak gdyby zamierzał protestować, gdy nagle jego wzrok padł na ziemię za młodym Tybetańczykiem.

- Plecak Abby! — wykrzyknął. - Nie ma go. Ani jej aparatu cyfrowego.

Rzucił się do wyjścia, jak gdyby spodziewał się dostrzec w przelocie swoją siostrzenicę. Gdy Shan dołączył do nich, Lokesh stał z przekrzywioną głową, słuchając czegoś, co brzmiało jak grzmot. Niebo jednak było bezchmurne. Grzmot przeszedł w ciche, warczące dudnienie.

Shan wyszedł na zewnątrz i niepewnie zerknął na stok ponad nimi. Serce skoczyło mu do gardła.

- Lawina! - krzyknął i złapał Hostene'a za ramię. Jeśli nie zdołają uciec przed toczącymi się w ich stronę tonami skały, czeka ich pewna śmierć.

Popchnął Indianina w stronę małego wąwozu trzydzieści metrów dalej i wrócił pędem po Lokesha, mijając się z uciekającym Yangkem. Wokół nich w powietrzu latały już małe kamienie. Dotarł do Lokesha, chwycił go jedną ręką za koszulę i niemal siłą pociągnął go do wąwozu.

Byli już niemal pod osłoną żlebu, gdy Shan się przewrócił i puścił Lokesha. Na wpół doczołgał się, na wpół doturlał do wąwozu, uświadamiając sobie, że o włos uniknął śmierci.

Ale Lokesh zatrzymał się kilka metrów od kryjówki i stał z ręką wyciągniętą w stronę starej Tary, jak gdyby wzywał ją w bezpieczne miejsce. Chwilę później odłamek skały roztrzaskał głowę bogini. Mniejszy kamień wbił się w otwartą dłoń Lokesha, inny trafił go w ramię, a chwilę później trzeci, wielkości melona, uderzył go w bark, zwalając z nóg. Skały



roztrzaskiwały się o inne, wypełniając powietrze wokół nich ostrymi odłamkami. Shan rzucił się w stronę Lokesha. Mały gład musnął go w udo, powalając na ziemię. Ostatnią rzeczą, jaką widział, był jego stary przyjaciel, nieprzytomny, grzebany żywcem pod kamieniami.

## ROZDZIAŁ 5

Koszmar docierał do niego w krótkich przebłyskach, przynosząc zgrozę, jakiej nie zaznał od czasu pierwszych dni w obozie pracy. Brzuch Lokesha był zalany krwią. Znajoma, poznaczona starczymi plamami dłoń spoczywała bez życia sześć metrów od Shana, przebita odłamkiem skały. Jedno ramię było wykręcone i odrzucone w tył pod nienaturalnym kątem. Zbryzgane krwią kamienie leżały tam, gdzie powinny znajdować się nogi.

Świat Shana oblekał się w czerwień. Tak właśnie wszechświat jawił się konającym, okryty woalem krwi.

- Nie! - Coś drgnęło nagle w duszy Shana i z ukłuciem bólu podźwignął się w górę. - Lokesh! - krzyknął, ocierając skroń rękawem, gdy uświadomił sobie, że krwawy woal spływa z jego własnego czoła.

Yangke i Hostene zabrali się już do odgarniania skał. Zdejmując kamienie, odgrzebali głowę Lokesha i zanieśli go do swego schronienia.

Stary Tybetańczyk zakaszłał. Zamrugał i otworzył oczy, zdawało się jednak, że nie widzi.

- Tara! - wychrypiał błagalnie. - Ratujcie boginię! Yangke podłożył mu kamień pod głowę, by unieść ją

wyżej, Hostene tymczasem zaczął szperać w swym plecaku. Wyciągnął koszulę i zaczął rozdzierać ją na bandaż. Następnie wydobyl małą metalową flaszkę.

Shan ujął zranioną dłoń Lokesha, rozchylając zgięte palce i tuląc ją w swojej dłoni, nim Yangke szybkim ruchem wyrwał odłamek skały. Hostene natychmiast polał ranę odrobiną płynu z flaszki. Przez długą, bolesną chwilę siedzieli, pozwalając, by krew sączyła się na dłoń, po czym Yangke zaczął owijać ją prowizorycznymi bandażami.

Shan widział, jak Lokesh był bity przez więziennych straż-

ników, jak siekł go grad w górach, widział go z nogą poharataną po upadku ze stromego rumowiska, jednak nigdy dotąd nie widział straszliwej udręki, jaką teraz znać było w jego oczach. Tuląc zranioną dłoń przyjaciela, czuł się odrętwiały. Taki sam paraliż ogarniał go, gdy przed czterdziestu laty trzymał za rękę swego umierającego ojca, pobitego na śmierć przez czerwonogwardzistów. Twarde słowa, jakie padły między nimi w stajni, powracały do niego jak echo.

Niejasno zdawał sobie sprawę z ruchu wokół siebie, z tego, że Hostene bada Lokesha, gestem daje Yangkemu znak, by przytrzymał starca, po czym zdejmuje pasek od spodni i owija go wokół drugiego nadgarstka Lokesha. Nastąpiło nagle szarpnięcie, z ust łagodnego starego Tybetańczyka wyrwał się bolesny jęk i Lokesh obrócił głowę w stronę Shana, przygważdżając go słabym, wymuszonym uśmiechem.

- Bogini - jęknął znów, nim stracił przytomność. Ale bogini była martwa.

Shan uświadomił sobie, że Hostene próbuje oderwać jego palce od ramienia Lokesha.

- Nic mu nie będzie, Shan - zapewnił Indianin. - Nie ma żadnych złamań. To tylko mocne stłuczenia i ta dłoń. Wzrok ma jasny, nie doznał poważniejszego wstrząsu mózgu. Miał zwichnięty bark i to właśnie sprawiało mu taki ból. Nastawiłem go. Stara sztuczka z czasów, kiedy parałem się jeździectwem.

Gdy słowa Hostene'a dotarły wreszcie do świadomości Shana, odrętwienie zniknęło bez śladu. Rozejrzał się uważnie po otoczeniu. Byli uwięzieni w małym żlebie przez wysoki na niemal trzy metry zwał luźnych odłamków skalnych. Yangke wspiał się na rumowisko i zaczął odgarniać kamienie ze szczytu.

- Nie! - krzyknął Shan, podskakując i ciągnąc młodego Tybetańczyka za nogę. - Nie żyjemy! Niech myślą, że nie żyjemy!

Yangke zszedł, jednak po jego minie znać było, że nie rozumie.

- Przed hukiem skał - wyjaśnił Shan - słychać było inny dźwięk, eksplozję. Lawina nie była dziełem przypadku. Mieliśmy paść jej ofiarą.

Przez chwilę Hostene i Yangke patrzyli na niego z zakłopotaniem, nim pojęli, co chce im powiedzieć. Ktoś próbował ich zabić.

- Ale musieli przecież widzieć, że uciekliśmy - zauważył Indianin.

- Nie. Sprawca, kimkolwiek był, nie ryzykowałby przebywania na dole w momencie detonacji. A widok z góry przesłoniłby mu pył z lawiny. Na pewno sądzi, że wciąż jesteśmy w tej grocie. Eksplozja była wymierzona w czasie tak, by uwięzić nas w środku albo zabić nas, gdy wychodziliśmy. Tak by się stało, gdyby Lokesh nie został na zewnątrz.

- Więc co mamy robić? - zapytał Hostene. Shan pochylił się nad swym starym przyjacielem.

- Usiądźmy. Zaczekajmy. Nie mówmy głośniej niż szeptem. Gdyby Lokesh był przytomny, modliłby się za boginię, która została zniszczona.

Owinął różaniec Lokesha wokół jego bezwładnych palców. Gdy to robił, stary Tybetańczyk ocknął się na chwilę i skinął mu głową.

- Kora - wyszeptał, po czym znów stracił przytomność. Hostene usiadł pół metra dalej, z niebieskim plecakiem

między nogami, majstrując przy zabranej z groty kamerze wideo. Oglądali na małym prostokątnym ekranie, jak młoda kobieta o długich, czarnych włosach zebranych w węzeł na karku rozmawia ze szczupłym, szpakowatym Chińczykiem obok unicestwionej przed chwilą Tary.

-Zawsze narzekała, kiedy używałem kamery do pamiątkowych ujęć. Nie jesteśmy turystami, mówiła. Zabrała ją tylko po to, by uzyskać materiał, który mogłaby wykorzystać na zajęciach - wyjaśnił Hostene. Odwrócił się w stronę Lokesha. - Co on właściwie powiedział, zanim zemdlął?

Kora. Lokesh nie akceptował sposobu, w jaki Shan chciał wykryć zabójcę, stosując wobec góry prawa logiki i dedukcji, gdyż uważał takie narzędzia za bezużyteczne, wręcz wprowadzające w błąd. Rozumiał tę górę po swojemu.

-Posąg i malowane inskrypcje stanowiły kiedyś część trasy pielgrzymkowej. - Mała kapliczka musiała być przystankiem, gdzie pielgrzymi zapewne odbywali czuwanie,

miejscem wytchnienia dla podążających szlakiem wytyczonym w innym stuleciu przez łamów lub świętych.

- Czy to jest ważne?

Shan przypomniał sobie słowa uciekającego górnika. Człowieka zamordowanego wcześniej tego lata znaleziono pod starym malowidłem, podobnie jak tego przed rokiem.

- To łączy wszystkie morderstwa.

- Było ich więcej? - zdziwił się Hostene.

- Cztery - wyjaśnił Shan. - Wszystkich tych ludzi zabito na korze, ścieżce pielgrzymkowej. Wszystkim odcięto ręce.

Hostene spochmurniał. Spojrzał na Lokesha, po czym znów zajął się kamerą, regulując głośność, tak że dosłyszeli, choć niewyraźnie, głęboki, energiczny kobiecy głos omawiający poszczególne cechy świętej skały. Oczy Indianina wpatrywały się w maleńki ekran z czułością, dumą i szacunkiem. W pewnym momencie kobieta gwałtownie obróciła głowę w lewo i w jej ciemnych oczach błysnął gniew. Ktoś poza kadrem przeprosił po tybetańsku.

- Każdego dnia pobytu tutaj przybywało jej energii - powiedział Hostene. — Dokonywała wielkiego odkrycia. Profesor Ma nie był pewny, o co jej chodzi. Mówiła, że tu jest coś bardzo dawnego. Powiedziała, że za tydzień lub dwa dostrzeżemy to wyraźniej.

- Dokąd mogła pójść? - zapytał Shan. - W tamtą noc, kiedy dokonano zabójstw?

Hostene wpatrywał się w ekran, jakby widział tam ducha.

- Księżyc świecił jasno. Gdy wzeszedł, powiedziała, że nie bez powodu wiele nawaskich obrzędów odprawia się tylko nocą. Siedziała wciąż przy ognisku, gdy wczółgałem się do śpiwora. - Uniósł wzrok na Shana. - Jeśli uznała, że wszyscy zginęliśmy, może nadal pracuje, kończąc swe badania.

- Chyba raczej wróciłyby do domu. A przynajmniej zesłaby z góry, by zawiadomić policję - wtrącił Yangke.

- Nie Abigail. Nie z tej góry - odparł zagadkowo Indianin. - Nie tego lata. Znała Tybet lepiej niż ja. Wiedziałyby, że tu żadna policja jej nie pomoże. Pracowałyby dalej, licząc na to, że wymknie się zabójcy. Jej badania były dla niej zbyt ważne.

- Ale zostawiła cały sprzęt w grocie - przypomniał Shan.  
- Nie cały - uściślił Hostene. - Brakuje aparatu cyfrowego z małym statywem. Ona nie lubi obciążać się bagażem. Resztę sprzętu zwykle dźwigałem ja z Tashim.

- I wzięła swój plecak - zaznaczył Yangke.

- Ale być może nie zrobiła tego dobrowolnie - uświadomił im Shan. Spozrzegł niepokój na twarzy Hostene'a i spróbował na siłę napęlić swój głos nadzieją. - Musimy brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Zapadła cisza.

- Zabójca nie dopadł jej, to niemożliwe - powiedział po chwili Hostene. - Musi być przekonana, że wszyscy zginęliśmy, więc zajęła się pracą. Taka już jest. Pewnie wróciła do obozu, przeraziła się krwi i uciekła, by zaszyć się gdzieś na dzień lub dwa. Jeśli wróciła i nie znalazła żadnego śladu po nas, wie, co Tybetańczycy robią ze zwłokami. Wie też, że nigdy nie będzie miała drugiej szansy dokończenia swej pracy. Wie, jak chciałbym, żeby postąpiła.

- W takim razie pytanie brzmi, gdzie ona pracuje - odparł Shan.

Znów spojrzeli na wyświetlacz kamery, na powrót oglądając nagranie z głębokim zainteresowaniem. Abigail Natay, nawet w miniaturze, była niezwykłą kobietą. Podobnie jak wuj, miała w sobie spokojną siłę. Shan wyczuwał jej pewność siebie, widział ogień w jej oczach, gdy z zapalem snuła swą opowieść. Choć Tybetańczycy od wieków znali koło, wykorzystywali je niemal wyłącznie w młynkach modlitewnych, wyjaśniała. Zamiast armii żołnierzy woleli gromadzić armie mnichów. Pod koniec sceny jak gdyby zreflektowała się, zerknęła w stronę kamery i z zażenowaniem odgarnęła w tył długi, czarny lok, który opadł jej na policzek.

- Wspomniał pan przed chwilą, że Tashi był pijany. Chyba nie mieliście ze sobą zapasu alkoholu? - zapytał Shan.

- Tylko brandy w mojej piersiówce - odparł Hostene. - To górnicy. Nigdy wprawdzie nie przyłapałem go na picciu, ale dwa razy widziałem, jak wracał do obozu, kiedy sądził, że śpimy, i zataczał się.

Na następnym nagraniu Abigail stała przed inną gładką ścianą skalną, tę jednak zdobiły jedynie ledwo widoczne napisy.

Yangke pochylił się naprzód, uważnie przyglądając się scenie.

- Wędruję po tej górze od lat - stwierdził — ale pierwszy raz w życiu widzę to miejsce.

- Nie mówiłeś nic o korze - wypomniał mu Shan. Twarz Tybetańczyka się zachmurzyła.

- Mało kto o niej wie.

- Chcesz powiedzieć, że mieszkańcy góry usiłują utrzymać ją w tajemnicy? Dlaczego?

Yangke spojrział w stronę szczytu.

- Ona pochodzi z innej epoki, z innego świata.

- Dlaczego? - powtórzył Shan.

- W kraju, w którym żyjemy, jeśli Tybetańczycy zdradzą, że coś jest dla nich ważne, ci, którzy nas obserwują, zniszczą to. Poza tym - dodał po chwili - ścieżka jest dla nas stracona. Znika w trawie kilka kilometrów wyżej. Nikomu nie udało się znaleźć jej dalszego ciągu. Wszyscy, którzy znali jej przebieg, zginęli przed pięćdziesięciu laty podczas bombardowania świątyni.

- Abby zabierała kamerę i zniknęła z Tashim na całe godziny - powiedział Hostene. — Co dzień dokonywała nowych odkryć, związanych z buddyzmem, z bonem, z dawnymi czasami.

Żaden z nich trzech nie musiał wypowiadać na głos pytania, które zawisło w powietrzu. Czy Abigail odkryła trasę dawnego szlaku pielgrzymkowego?

Hostene sprawdził bandaż na dłoni Lokesha. Shan wciąż patrzył w ekran.

- Zdawało mi się, że mówił pan, iż nie szukaliście złota - powiedział po chwili.

Abigail stała przed obramowanym starymi drewnianymi belkami tunelem. Kamera przesunęła się, ukazując stare, przeżarte przez rdzę metalowe narzędzia oraz okutą żelazem skrzynię o niemal całkowicie zbutwiałych ściankach.

- Powiedziałem: właściwie nie - odparł Indianin. - Niektóre z najstarszych modlitw mówiły o wydobywaniu złota dla bogów. — Przerwał, przechylił głowę w bok i wyjrzał zza zwału skał.

Shan sądził z początku, że słyszy owady grające w leni-

wym skwarze. Potem przez chwilę zdawało mu się, że to coś na taśmie. Wyłączył kamerę. Dźwięk dobiegał tuż z za górnego skraju wysokiego rumowiska, które ich więziło, i z każdą chwilą przybierał na sile, brzmiąc coraz bardziej znajomo. Ktoś żarliwie recytował mantrę.

Parę chwil później ukazała się zmierzwiona czarna czupryna, potem drobna zaskoczona twarz, wreszcie okryte czerwonawymi łachmanami barki. Śpiew ucichł, gdy mężczyzna przyglądał im się z za krawędzi, po czym dał nura w dół. Powtórzył ten ruch kilka razy, pojawiając się i znikając, po czym pojawiając się znowu, jak gdyby chciał wyrobić sobie lepsze pojęcie o uwięzionych w dole stworzeniach. Zniknął i znów dało się słyszeć mantrę, tym razem w rytmie wesołej piosenki.

- Rapaki! - wykrzyknął Yangke. - Zostańcie tu, bo inaczej go spłoszycie - ostrzegł i zaczął się wspinać na luźną, osuwającą się stertę gruzu.

Shan i Hostene, siedzący obok leżącego bez czucia Lokesha, czekali, podczas gdy Yangke przemawiał zachęcająco, dając znaki rękoma, jak gdyby zwracał się do płochliwego psa. Widząc, że jego słowa nie mają żadnego wpływu na śpiewną mantrę, zaczął odgarniać kamienie z wierzchołka. Musieli oczyścić ścieżkę, jeśli mieli bezpiecznie przenieść Lokesha na drugą stronę rumowiska.

Kilka minut później znów zobaczyli osobliwego obdartusa. Na przemian to pojawiał się, to znikał z pola widzenia, podnosząc i usuwając kamienie, wciąż ze śpiewem, stopniowo zbliżając się do Yangkego, aż w końcu obaj mężczyźni pracowali ramię w ramię. Ogorzała cera i długie, postrzępione włosy nadawały mu dziki wygląd człowieka żyjącego pod gołym niebem, wystawionego na działanie żywiołów. Okrywające jego grzbiet łachmany były niegdyś mnisią szatą, teraz jednak było na nich tak wiele łat w przeróżnych barwach, z przeróżnych materiałów, że wyglądało to, jak gdyby owinął się w patchworkową kape.

Gdy Rapaki zauważył w końcu, że Shan pomału zmierza w jego stronę, dał nura za Yangkego i przechyliwszy głowę, wyrzwał z za jego pleców, uśmiechając się i patrząc szeroko otwartymi oczyma. Jak poprzednio, na przemian



cofał i wystawiał głowę, wykorzystując Yangkego jako tarczę. Nagle zmarł, a jego niefrasobliwa mina ustąpiła powadze. Dostrzegł Lokesha. Przestając zwracać uwagę na Shana, zbliżył się bez lęku i stanął przed starcem, przyglądając mu się z głową przechyloną raz w jedną stronę, raz w drugą. W końcu obrócił się na pięcie i zniknął za skałami.

Yangke patrzył za nim, po czym wykonał ręką spiralny ruch koło skroni.

- Kompletny wariat. Myślę, że też bylibyśmy tacy, gdybyśmy mieszkali niemal czterdzieści lat w jaskini.

Ale zachowanie pustelnika nie miało w sobie nic szalonego. Yangke i Shan wciąż jeszcze odgarniali głazy, gdy Rapaki wrócił, ściskając pęk łądyg jakiegoś zielska, które zgniótł i podsunął pod nos Lokesha. Stary Tybetańczyk kichnął, prychnął i obudził się. Jego oczy rozbłysły radością na widok stojącego przed nim obszarpańca. Rapaki był postacią żywcem wyjętą z dawnych opowieści, żebrakiem-pustelnikiem z jeżynami we włosach.

- Rapaki, Rapaki, Rapaki - odezwał się pustelnik, gdy Lokesh dźwignął się do pozycji półleżącej i oparł o skalną ścianę. Umilkł, patrząc na Hostene'a, jakby dopiero teraz go dostrzegł, po czym niespodziewanym ruchem wbił palec w jego pierś, powtarzając kilka razy własne imię, jak gdyby była to mantra ochronna. Potem utkwiał to samo badawcze spojrzenie w Shanie, przyskoczył do niego, dźgnął palcem w pierś, odskoczył z powrotem do Lokesha i zaczął bardzo szybko szeptać coś pod nosem. Podniósł się nieufnie, gdy zbliżył się Yangke.

- Co on mówi? - zapytał Hostene.

Shan milczał zakłopotany. Yangke próbował wypytać pustelnika o lawinę, o to, czy widział kogokolwiek w wyższych partiach stoku, ale Rapaki sprawiał wrażenie, jak gdyby go nie słyszał.

- On mówi chyba tylko słowami pieśni i mantr - stwierdził pasterz.

Wkrótce oczyścili ścieżkę na tyle, by dało się przenieść Lokesha przez gruzowisko.

- Trzeba go zabrać z powrotem do wioski, do Genduna i Dolmy - powiedział Shan do Yangkego.

- Możemy zrobić nosze z kijów i koszul, wtedy zniesiemy go w czwórkę.

- Nie. Hostene i ja musimy tu zostać. Morderca musi być tu, na górze. I jego siostrzenica też.

- To zajmie cały dzień - stwierdził z westchnieniem Yangke.

Obok Shana ni stąd, ni zowąd pojawił się Rapaki i kładąc mu dłoń na ramieniu, wskazał w kierunku przeciwnym do wioski. Lokesh uniósł wzrok. Shan rozpoznał słowa, które śpiewał teraz pustelnik, coraz głośniej, wskazując z narastającym ożywieniem w górę stoku. Była to mantra uzdrawiająca. Rapaki stracił być może wszelką zdolność porozumiewania się z ludźmi, umiał jednak przekazać swoje myśli bóstwom.

Rapaki nie był pierwszym użytkownikiem jaskini, do której dotarli godzinę później. Sadza z lampek maślanych tworzyła grubą warstwę na wznoszącym się trzy metry wyżej stropie i czerniała górną połowę wielkiego malowidła przedstawiającego demony opiekuńcze na jednej ze ścian. Znajdowali się w pradawnym sanktuarium, przeznaczonym do wyższych celów niż mieszkanie dla pustelnika. Mimo obrażeń Lokesh nie chciał się położyć na użyzonym mu przez Rapakiego posłaniu. Najpierw pokuśtykał wzdłuż ścian, witając cichymi okrzykami radości małe posążki, ustawione w wykutych w żywej skale niszach, oraz ołtarz zrobiony z grubej belki wspartej na kamiennych cokołach.

- To bon - oświadczył, patrząc na mieniące się niegdyś żywymi barwami malowidło. - Bardzo stare. Dla bóstwa tej góry. Nie rozpoznaję nawet niektórych demonów - dodał, spoglądając z zakłopotaniem na jednego w rogu.

Był niegdyś urzędnikiem w rządzie Dalajlamy i z panteonem tybetańskich bóstw obznajomiony był nie gorzej niż lamowie. Być może nie potrafił podać imienia bóstwa o szkarłatnej twarzy, ale Shan widział je już wcześniej, na jednej ze skał na nagraniu Abigail Natay. Pod malowidłem, na z grubsza ociosanym bloku jałowca, leżała niezszywana księga, pecha. Luźne kartki walały się wkoło po podłodze. Shan uklęknął, by się przyjrzeć stronicom. Były stare, zdobione iluminacjami o wciąż żywych barwach.

On szukał jednak nie tego, co stare, ale tego, co nowe. Intrygowało go, jak pustelnikowi udawało się przeżyć. Latem stoki obfitowały

zapewne w jagody, może nawet w dzikie zboża, ale zima w takim miejscu musiała być zabójcza. Przypuszczał, że wzorem jaków i kóz pustelnik przenosił się zimą w niżej położone okolice. Nagle spostrzegł wąski pas cienia w kącie. Gdy Rapaki i pozostali układali Lokesha na posłaniu, wziął lampkę maślaną i wsunął się w ciasną szczelinę.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, ozdobione kolejnymi wyblakłymi malowidłami ściennymi, zapełniały niegdyś ustawione w regularnych rzędach ceramiczne dzbany z masłem, jęczmieniem i wodą, których skorupy dostrzec można było pod przeciwległą ścianą. Porządek Rapakiego był znacznie bardziej nowoczesny i chaotyczny. Podłogę zalegały puste puszki po fasoli, owocach i zupie oraz puste foliowe i płócienne worki. Wzdłuż jednej ze ścian stały nieotwarte puszki oraz worki ryżu, nie w równych stosach, ale niedbale rzucone na kupę, na wierzchu której leżała mała, blaszana puszka. Shan podniósł ją i otworzył. Niegdyś zawierała landrynki, a wzdłuż brzegu biegł szlaczek drobnych żółtych kwiatków. Lemon Freshies, napisane było po angielsku na pokrywce.

Na kupie śmieci leżało trzydzieści lub czterdzieści zmiętych skrawków papieru, w większości etykiet z puszek, przeważnie zapisanych na odwrocie. Shan rozprostował jeden z nich na kolanie. W pierwszej chwili sądził, że jest to szkic thanki, świętego obrazu, gdyż wzdłuż krawędzi narysowane były postacie bóstw i święte symbole. Jednak większą część kartki zapełniał tybetański tekst. Z trudem przeczytał pierwszą połowę, częściowo pokreśloną. Nie udało mu się odcyfrować wszystkich pisanych drobnym maczkiem słów, ale wiele fraz było znajomych. Był to list do Tary, podpisany „Twój ukryty Rapaki”. Albo, mówiąc ściślej, był to brudnopis listu do bogini. Rozprostował jeszcze pięć etykietek. Wszystkie były podobne do pierwszej, z niewielkimi zmianami. Niektóre z nich, jak ocenił, liczyły wiele lat.

- Zawsze się zastanawiałem, skąd on bierze jedzenie -odezwał się z cieni czyjś głos. - Poszedł - dodał Yangke. -

Wziął torbę i wybiegł, jak gdyby odchodził na dobre. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nagle zaczął się nas bać.

- Czy to Chodron dostarczył mu te zapasy?

- Niemożliwe. Chodron nienawidzi go i byłby zadowolony, gdyby umarł z głodu. Jest symbolem wszystkiego, czego on nie znosi.

- Człowiekowi pokroju Chodrona nie byłoby chyba trudno pozbyć się go.

- Trudniej, niż myślisz. Nie zdajesz sobie sprawy, jak mała jest nasza wioska. Rapaki jest najstarszym synem Dolmy. Ona widuje go tylko raz na parę lat, ale nie pozwoli, by Chodron zapomniał o tym pokrewieństwie.

Shan przejrzał puste puszkę. W większości były to nieduże opakowania po prostych, podstawowych produktach, jednak kilka nowszych mieściło droższe rzeczy, takie jak owoce liczi lub marynowane cebulki. Najbliżej wejścia leżały plastikowe torebki po solonych pestkach słonecznika. Mały foliowy woreczek zawierał niegdyś gumę do żucia. Niektóre etykiety były wytarte, jak gdyby ocierały się o siebie podczas transportu.

-Dlaczego górnicy mieliby go zaopatrywać? - zapytał Shan.

- Nie miałem pojęcia, że to robią. Ale niektórzy z nich traktują go jak maskotkę, talizman na szczęście. Apod koniec lata nie zawsze chce im się zabierać ze sobą niewykorzystane zapasy. - Yangke kucnął przed stertą puszek i szturchnął je palcem. - Jeśli porzucali żywność, on wiedziałby, gdzie jej szukać.

Shan podniósł lampkę i przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, gdzie dostrzegł nowsze zapasy. Nieużywany blok papieru. Bawełniany pled w pandy baraszkujące wśród chmurek. Fabrycznie zamknięta paczka herbatników. To nie były porzucone zapasy górników.

- Kiedy byłem młodszy, w wiosce krążyły opowieści

o dziadku Rapakiego - powiedział Yangke, gdy Shan z powrotem stanął przy nim. - Pewnego dnia wrócił z pastwiska, rozprawiając z podnieceniem o raj, w którym wkrótce zamieszka. Następnego ranka zapakował jedzenie do plecaka

i odszedł, i więcej już go nie widziano. Ludzie mówili, że ukradł bogom złoto i poszedł w doliny, żeby je wydać.

- Jak nazywał się jego dziadek? - zapytał Shan

- Lobsang.

Shan podniósł jeden z listów i podał go Yangkemu, przysuwając bliżej lampkę. Rapaki pisał głównie do bogów. Ale przynajmniej jeden list, sprawiający wrażenie nowszego od pozostałych, był adresowany do jego dziadka.

- Niemożliwe — powiedział z troską w głosie Yangke. - Nawet gdyby dożył późnej starości, musiał umrzeć już kilkadziesiąt lat temu.

- Jedną z wielkich korzyści bycia Rapakim - zauważył Shan, wstając, by zajrzeć do Lokesha - jest to, że nie jest się ograniczonym do tego, co możliwe.

Kiedy godzinę później wraz z Hostene'em wspinał się pod górę, Shan pozwolił swemu towarzyszowi iść przodem. Indianin zamierzał już sam jeden opuścić jaskinię, by udać się na poszukiwanie siostrzenicy, gdy Shan zatrzymał go, wyjaśniając, że Yangke zostanie z Lokeshem. Nie było żadnej wyraźnej ścieżki pośród gmatwaniny wąwozów, wysokich łąk, zasilanych topniejącym lodem strumyków i rozległych skupisk rzeźbionych przez wiatr skał, i wkrótce obaj uświadomili sobie, że najlepsze wskazówki co do trasy Abigail zawarte są w małej srebrnej kamerze wideo.

- Potrafi pan znaleźć te miejsca? - zapytał Shan, gdy ponownie przejrzelili kilka pierwszych scen z taśmy. - Czasami to samo malowidło pojawia się w kilku scenach, jak gdyby odwiedzała je wielokrotnie.

- Wciąż przychodziły jej do głowy nowe teorie, nowe interpretacje. Czasem badając jedno malowidło, stwierdzała, że musi wrócić do innego, które oglądała dwa dni wcześniej. Zawsze proponowałem, że będę jej towarzyszyć, ale niekiedy odmawiała. Mówiła, że będzie musiała biec, by zdążyć tam dotrzeć, i nie chce ryzykować, że skręcę kostkę. Nie przypuszczała, że podzielam jej zapał do tej pracy - dodał ze skruchą. - Kiedy spędziło się życie pod kocem, trudno chyba go odrzucić, nawet przed tymi, którzy wrócili na łono rodziny.

- Pod kocem? - powtórzył Shan.

- Moja żona mawiała tak w ostatnich latach przed śmiercią. Jest wielu ludzi takich jak ja, jak Abigail, którzy

w młodości żyli po dawnemu, a potem szli w świat, by robić karierę poza plemieniem. Wybraliśmy inny styl życia. Na mapie nie odszedłem daleko, raptem paręset mil, ale mogło to być równie dobrze dziesięć tysięcy. Studia prawnicze, prokuratura, sąd stanowy. Zupełnie inny wszechświat niż ten, w którym dorastałem. Człowiek uczy się nie rozmawiać z nikim o świętych obrzędach, o dawnych zwyczajach, częściowo dlatego, że są tajemnicą, ale też dlatego, że inni wyśmiewają je albo chcą uczynić z nich ozdóbki, które dałoby się wykorzystać do robienia pieniędzy. Człowiek uczy się naciągać na siebie indiański koc i nigdy nie wspominać o tych sprawach. Jeśli ktoś chce rozmawiać o Nawahach, mówi się o rzemieślnikach, którzy robią koce i garnki, nic więcej. Miałem dwie pieśni, ale nie korzystałem z nich od niemal trzydziestu lat, chyba że za zamkniętymi drzwiami swego domu, żeby nie przepadły.

- Pieśni?

Hostene, obróciwszy ogorzałą twarz ku odległej chmurze, milczał tak długo, że Shan sądził już, iż nie odpowie.

- To sposób, w jaki rozmawiamy z naszymi świętymi duchami. Trochę jak modlitwa, trochę jak śpiew. Jedna może trwać kilka dni. Pieśniarz recytuje ją z pamięci. Pieśni są przekazywane z pokolenia na pokolenie, nauczone w zacisznych, mrocznych miejscach. Abigail mówiła, że Tybetańczycy robią to samo. Uczenie się takich rzeczy ma w sobie coś pradawnego. Ilekroć wchodziłem do hoganu, czyli domu, mojego nauczyciela, przechodziły mnie ciarki.

- Chce pan powiedzieć, że był pan kapłanem?

- My nie mamy kapłanów. Mamy pieśniarzy, śpiewaków. Kto potrzebuje uleczenia z choroby spowodowanej przez czarownice, idzie do śpiewaka Drogi Duchów. Kto chce ochronić swoje plony przed mrozem, szuka śpiewaka Drogi Gwiazdy. Zawsze zaczyna się od Drogi Błogosławieństwa, by otworzyć drzwi świętych duchów. - Zerknął z zażenowaniem na Shana, jak gdyby zaskoczony własnymi słowami. Nie rozmawiali już wyłącznie o kocach i garnkach.

- To właśnie Gendun robił w stajni - zauważył Shan. -Przez wiele dni przywoływał dla pana bogów, niemal bez przerwy, każdą linijkę recytując inaczej, każdą linijkę z pamięci.

Hostene zgarnął garść luźnej ziemi i rzucił część z niej na wiatr.

- *Kac tcike eigini eigini qayikalgo* - zniżył głos do szeptu, kierując słowa ku chmurom. Nagle zreflektował się i spojrzał na Shana. - To fragment mojej drugiej pieśni. Drogi Góry. Święta Dziewica szukała bogów i znalazła ich, mówi. Na szczytach chmur szukała bogów i znalazła ich. - W jego oczach pojawiły się łzy i odwrócił wzrok.

Po chwili Shan przerwał milczenie.

- Na nagraniach pańska siostrzenica zwykle stoi pod drzewami, bo malowidła miały być przystankami na korze, miejscami odpoczynku, gdzie pielgrzymi mogli znaleźć wodę i cień. Na tej wysokości nie ma zbyt wielu zagajników.

Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak wiele ich jest, dopóki wraz z Hostene'em nie zaczęli ich szukać. Przez resztę dnia zbadali kilkanaście rozrzuconych po stoku kęp drzew. Shan wypatrywał czujnie śladów górników. Zbliżali się do tajemniczego miejsca zwanego Małą Moskwą, o którym wspomniał mu Yangke. Późnym popołudniem zatrzymali się w cieniu jednej ze skał, by raz jeszcze przejrzeć nagrania. Przewijali je w tę i z powrotem, spostrzegając tu charakterystyczną formację skalną, tam sękaty pień. Przed nimi pojawił się motyl i trzepocząc szkarłatno-żółtymi skrzydełkami, usiadł na kamerze. Indianin zamarł. W jego wzroku był smutek, jak gdyby owad przypomniawszy mu o zaginionej kobiecie, ale jego oczy przepełniał też ten sam łagodny, dziecięcy zachwyt, jaki Shan widział często na twarzy Lokesha.

Shan starał się najlepiej jak umiał objaśnić obrazy, które rozpoznawał na małym wyświetlaczu, choć często Indianka na taśmie wyjaśniała je równie szybko. Centralne pole wielu naskalnych malowideł zajmowały groźni strażnicy. Cztero-ręki Mahakala, Śridevi na końskim grzbiecie, Rahula z łukiem, odziany w ludzkie skóry. Były tam też nabożne wizerunki wczesnych tybetańskich królów. Abigail dobrze nauczyła się mowy symboli, trafnie wskazując szczegóły rytualnego gestu - zwrócona w dół dłoń w mudrze dotykania ziemi - wykonywanego przez jednego z dawnych królów, czy też gestu wprawiania w ruch koła nauki, jaki wykonywał święty o niebieskiej skórze. Od czasu do czasu przerywała

wykład i rysowała symbole Nawahów, omawiając podobieństwa między groźnymi bóstwami czczonymi przez oba ludy oraz tabu, jakie wyrosły z ich wierzeń.

Było popołudnie, gdy Hostene dotknął ramienia Shana, po czym w milczeniu skierował go na odbijającą w bok ścieżkę do wyboistego żlebu, w którym nie było żadnych malowideł, potem do labiryntu krętych, zarośniętych ścieżek oznaczonych na każdym zakręcie dyskretnymi, umieszczonymi tuż nad ziemią kredowymi znakami, a w końcu przez wąską szczelinę między dwiema ścianami skalnymi na coś, co sprawiało wrażenie koziej ścieżki. Wynurzyli się w naturalnej niecce przyległej do skalnego grzebienia, który dzielił górę. U podnóża skalnej ściany piętrzyła się wysoko sterta potrzaskanych głazów, świeżo odłupanych, niekiedy osmalonych. Byli w starej kopalni, albo raczej w tym, co z niej pozostało.

- Mogliśmy zginąć, kiedy uderzył tu piorun - powiedział Hostene.

Dziewięć metrów przed nimi leżała poskręcana, osmalona żelazna rama starej skrzyni. Na skalnej ścianie naprzeciw rumowiska widniał wielki, wyblakły wizerunek groźnego demona opiekuńczego jadącego na niebieskim wilku, namalowany tak, że jego oczy zdawały się podążać za obserwatorem, gdy ten szedł po obwodzie niecki.

Shan przyjrzał się stercie kamieni, poskręcanej żelastwu, rozrzuconym po całej niecce odłamkom starych belek.

- Nigdy nie widziałem, żeby piorun spowodował coś takiego.

- Niemal skończyliśmy pracę tutaj i oglądaliśmy malowidło z bóstwem w postaci niebieskiego byka kawałek drogi stąd. Profesor Ma przypomniał sobie, że zostawił tu komplet szczotek. Poszedł po nie, a kiedy wrócił, zapytał, kto ruszał sprzęt. Ktoś zebrał wszystkie stare żelazne przedmioty, skrzynię, obejmy kuźnicze, kowadło, stare dłuta i lewary i złożył je na kupę przed tunelem, a na szczycie dodał żelazne lewary, związując trzy razem jak maszt.

- Albo, co bardziej prawdopodobne, piorunochron - stwierdził Shan. Pochylił się i przyjrzał uważnie jednej z osmalonych skał. Podniósł ją do nosa. - Na spodzie sterty umiesz-



czono materiały wybuchowe i użyto błyskawicy jako detonatora. Kiedykolwiek by wybuchły, ten, kto to zrobił, byłby daleko stąd i zapewne miałby alibi. A nie obchodziło go, kto w chwili eksplozji był w pobliżu.

Hostene przeszedł na drugą stronę sterty i kucnął, gorączkowo odgarniając kamienie, jak gdyby coś powiedziało mu, że pod nimi może znaleźć swoją siostrzenicę. Nagle przerwał i wzdrygnął się, patrząc ze znużoną miną na zniszczenia.

- Co tu znaleźliście? - zapytał Shan.

- Malowane teksty na ścianach tunelu. Tashi i Abigail przetłumaczyli je, ale nie zapytałem ich, co mówiły. Widzieliśmy już tyle starych inskrypcji.

- A złoto? - podsunął Shan.

-Niewiele. Tylko tu i ówdzie maleńkie bryłki, które najwyraźniej wpadły w szczeliny albo za skały i zapomniano o nich. Abigail bardzo się rozgniewała za pierwszym razem, kiedy Tashi sięgnął po jedną z nich.

- Ale jednak zabrał kilka. Osiem bryłek do kopca przy waszym obozie.

Hostene skinął głową.

- Przekonał ją, by zmieniła zdanie. Powiedział, że to jest słuszne, że tego właśnie chcieli dawni mnisi-górnicy. Powiedział, że w ten sposób doładowuje się modlitwy. Takiego właśnie użył słowa.

- Ile złota wzięliście?

- Dość na cztery albo pięć kopców, jak sędzę. To nie było nasze złoto, wszyscy zgodziliśmy się, że nie mamy do niego żadnych praw, że nie wolno nam postąpić z nim inaczej. To nie była kradzież. To była część tego, co Abigail nazywała postawą czci w swojej pracy.

Shan jeszcze raz poprosił o kamerę i odszukał scenę, w której Abigail, stojąc przed kopalnią, opowiadała o tybetańskich rzemieślnikach wykonujących ze złota misterne posążki bogiń, potem o wspólnym dla Tybetańczyków i Nawahów upodobaniu do turkusów, którym ozdabiali zarówno biżuterię, jak i święte wizerunki. Demon przedstawiony na jedynym znajdującym się tu malowidle był, jak oświadczyła, głównym strażnikiem potężnego bóstwa ziemi, które miało swój dom

na tej górze. Podawszy kamerę Shanowi, Hostene stał przy mm chwilę, po czym wyszedł na ścieżkę, czekając niecierpliwie, aż Shan skończy.

On jednak oglądał dalej. Scena w kopalni się skończyła i ekran na moment zrobił się niebieski. Potem ukazała się na nim pokryta porostami skała, a w głębi coś, co mogło być ukrytym w cieniu malowidłem.

- Lekcja przed kamerą jest skończona. Przestań się bawić i słuchaj mnie - odezwał się po angielsku kobiecy głos. Była to Abigail Natay, ale nie uważna, cierpliwa Abigail Jej głos brzmiał teraz nagłaco i natarczywie.

Kamerę odłożono, ale nie wyłączono jej.

-Trzeba to zrobić tej nocy - ciągnęła Abigail. - Dokończyłam większość dziś po południu. Wiesz, co robić gdzie to położyć?

- Tak, jeśli muszę - padła szeptem trwożna odpowiedź Głos mężczyzny brzmiał młodo. Mówił powolną, ale pewną angielszczyzną. Przynął kamerę bliżej.

Na ekranie pojawiła się Abigail. Siedziała na skale. Widać było jej bark i jedną stronę twarzy. Długie cienie padały na jej ramię i zasłany kamieniami teren dookoła.

-Weź to - powiedziała niemal przeproszającym tonem Gdy odwróciła się, sięgając po coś za siebie, Shanowi mignęła w przelocie przednia kieszonka jej koszuli. Cofnął taśmę, odnajdując moment, w którym wykonywała obrót po czym zatrzymał obraz i z konsternacją wpatrywał się w ekran Do kieszonki na jej piersi przypięty był papierowy talizman z chińskim ideogramem, przywodzącym mu na myśl zakłęcie strzegące przed złymi duchami. Na ten widok wróciły do mego przesady z dzieciństwa. Przyjrzał się uważnie znakowi na kartce. To nie było zakłęcie ochronne, uświadomił sobie To była modlitwa za duszę kogoś, kto zginął śmiercią gwałtowną, mająca pomóc mu ominąć jedno z licznych piekieł, do jakich łatwo mogły trafić ofiary zabójstw

To wszystko nie trzymało się kupy. Hostene mówił, że Abigail nie zna chińskiego. Nie przyjechała tu, by badać chmskie tradycje. Z drugiej strony, gdy przeglądał pozostałe sceny, nic nie trzymało się kupy. Żadne z wydarzeń nie znajdowało wyjaśnienia w niczym, czego jak dotąd dowiedział

się na tej górze. Abigail zaczęła podawać swemu niewidocznemu towarzyszowi różne rzeczy. Najpierw wręczyła mu mały złoty samorodek. Mężczyzna wciąż pozostawał poza kadrem. Potem z cieni po swej drugiej stronie podniosła cztery dalsze przedmioty, którymi pomachała przed swym nieznanym towarzyszem z miną, która przyprawiła Shana o dreszcz. Dwa zestawy kości: dwie kości ramienne połączone z dwiema łokciowymi i dwie kości udowe połączone z dwoma piszczelami, każdy zestaw powiązany czymś, co sprawiało wrażenie sznurowadeł przewleczonych przez otwory wywiercone na końcu każdej z kości. Dwie ręce, dwie nogi, jak gdyby składała szkielet.

- Nie mogę — jęknął mężczyzna.

- Zrobisz to - oświadczyła stanowczo Abigail. — Musimy zrobić to razem albo wszystko przepadło. Na tej górze toczy się wojna i musisz zdecydować, po której stoisz stronie.

Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę.

- Najpierw powiedz mi, ile jest tych stron - powiedział wreszcie.

Abigail rzuciła mu współczujący uśmiech, ale nie odpowiedziała.

- Pomyśl o swej rodzinie. Pomyśl o najstarszych - odparła. Potem, nie do wiary: - Pomyśl o ośmiu skarbach w zimowym melonie.

Z pewnością się przesłyszał. Była to nazwa tradycyjnej potrawy, cenionej przez chińskich smakoszy, ośmiu specjalnych składników gotowanych w bulionie, po czym przelewanych do wydrążonego melona.

- Oni zaczęli wystawiać inne rzeczy, na kijach. Krew ścieka w kałuże - powiedział mężczyzna.

Shanowi zaschło w ustach. Odtworzył tę wymianę zdań od początku, potem jeszcze raz, i jeszcze. Dźwięk z maleńkiego głośniczka był kiepski, ale nie odważał się zwiększyć głośności, gdy Hostene był w pobliżu.

To było wszystko. Abigail zniknęła z kadru. Shan widział już tylko skały i ziemię, a potem, gdy cienie przesunęły się, obutą w sandał stopę jakiegoś bóstwa. Przewinął taśmę do przodu. Aż do końca nie było na niej nic poza niebieską pustką. Wpatrywał się w martwy ekran, nim w końcu

wyłączył kamerę i w milczeniu zwrócił ją Hostene'owi, po czym skinął na niego, ruszając w stronę żlebu.

Skręcili właśnie na główny szlak, gdy przenikliwy okrzyk sprawił, że stanęli jak wryci. Zza skały wypadł człowiek na czerwonym rowerze. Kaptur czarnej bluzy zasłaniał mu twarz, jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą wywijał półtorametrowym drągiem.

Ułamek sekundy później mężczyzna bez twarzy zamachnął się, celując w głowę Hostene'a. Indianin wykręcił się i uskoczył. Gdy padał na ziemię, pałka opadła częściowo chybionym ciosem na jego bark. Shan pobiegł mu na pomoc, ale potknął się, a nieznajomy z bojowym okrzykiem uderzył go przednim kołem w kolano, o włos mijając drągiem głowę Hostene'a. Shan pomógł Indianinowi wstać, popychając go w stronę skalistego terenu, gdzie rower nie mógł go ścigać, po czym podniósł z ziemi krótki kij. Zaczekał na rowerzystę, zamarkował cios, zrobił unik przed brutalnym zamachem drąga, po czym wetknął kij w tylne koło mijającego go roweru.

Kij uwiązał między szprychami, zatrzymując rower tak gwałtownie, że mężczyzna przeleciał nad kierownicą.

- *Cao ni ma!* Pieprzę twoją matkę! - zaklął po chińsku, uderzając o ziemię. Widząc, że jego ofiary opuściły ścieżkę, podniósł rower i cisnął go w ich stronę, po czym zaczął szukać czegoś w kieszeni.

Shan nie czekał, by zobaczyć, jaką broń wyciągnie. Chwycił Hostene'a i rzucił się za głaz, przyglądając się, jak mężczyzna podnosi rower z ziemi i odjeżdża.

Gdy czekali, by się upewnić, że napastnik zostawił ich w spokoju, Hostene wymienił kasetę w kamerze wideo na inną, którą wyjął z plecaka, i teraz, siedząc nad perlistym strumykiem, oglądali kolejne nagrania. Na tej taśmie Abigail opowiadała o tym, jak święte góry wiązały z ziemią tybetańskich bogów, podobnie jak działo się w systemie wierzeń Nawahów. Po kilku minutach ekran zgasł nagle. Hostene wyglądał jak porażony. Stracił swą siostrzenicę po raz drugi.

- Bateria — mruknął i w milczeniu zapakował kamerę do plecaka.

Słońce niemal już zaszło, a Shan utrwał w pamięci lokalizację następnej kępy drzew, tak by mogli dotrzeć do mej po ciemku, kiedy drogę przeciął im pikujący zgrabny szary kształt Shan przystanął na chwilę, podziwiając ptaka, po czym ruszył dalej, gdy nagle uświadomił sobie, że Hostene nie idzie za nim.

- Co się stało? - zapytał.

- Sowa. To omen. Musimy rozbić obóz.

-Potrafię znaleźć drogę do następnego zagajnika -sprzeciwił się Shan. - Mogę... - Ale widząc, jakim wzrokiem Hostene wpatruje się w skrawek nieba, gdzie zniknęła sowa, w milczeniu zaczął zbierać opał na ognisko.

Gdy rozkładali koce pod skalnym nawisem, Shan zapytał, dlaczego amerykańska armia uczyła Hostene'a chińskiego. Jego towarzysz wyjaśnił, że Nawahowie często uchodzili za poliglotów, gdyż zwykle już w domu uczyli się posługiwać dwoma językami, że czasem, jak podczas II wojny światowej, wojsko zatrudniało Nawahów, by używali swego ojczystego języka w strefie walk w charakterze szyfru. On sam jednak uczył się chińskiego podczas wojny wietnamskiej, by móc służyć na samolotach, które wylatywały ze Stanów Zjednoczonych, uzupełniały paliwo na Guam i patrolowały chińskie wybrzeże, prowadząc nasłuch chińskich transmisji radiowych.

- Musi pan uważać mnie za starego głupca - powiedział Hostene, gdy rozpalili ognisko. - Prawnik i sędzia bojący się małej, szarej sowy.

- Głupcem jest tylko ten, kto nie słucha, co mówi mu serce - odparł Shan, wypakowując część zimnych klusek z baraniną, które przygotowała im Dolma. - Często rozbijaliśmy z Lokeshem obóz, bo zdawało mu się, że dostrzegł twarz w skale albo że wiewiórka ziemna próbuje mu coś powiedzieć.

-Właściwie nie chodzi o to, że... - Indianin z trudem szukał słów. - Ja nigdy... po prostu jesteśmy teraz na świętej górze a moja siostrzenica próbuje znaleźć łączność ze świętościami i... - Wzruszył ramionami. - W naszej tradycji sowa była zwiastunem śmierci.

- Bez względu na to, czy robimy to z powodu tradycji, czy

Abigail, czy sowy, czy dlatego, że bolą mnie nogi - odparł Shan — tu właśnie zostaniemy na noc.

Hostene uśmiechnął się z wdzięcznością.

- My, Nawahowie, nie najlepiej radzimy sobie ze śmiercią. Przez całe wieki żyliśmy w hoganach, okrągłych domach z bali i gliny. Jeśli ktoś umarł w domu, porzucano go i budowano nowy hogan. Duchów należało unikać za wszelką cenę. Mój ojciec przechodził rytuał oczyszczenia, ilekroć przeleciała koło niego sowa. Mawiał, że w przeciwnym razie ktoś z rodziny by umarł. Gdy moja siostra leżała na łożu śmierci, rozmawiała z Abigail o jej narodzinach, o sprawach, o których uznała, że jej córka powinna wiedzieć. Abigail nie urodziła się, jak zawsze sądziła, w szpitalu, ale w hoganie. Nigdy wcześniej nie mówili jej o tym, bo kiedy była nastolatką, uświadomili sobie, że wstydziłyby się tego. Stary pieśniarz, obecny przy tym, pobłogosławił jej pierwszy oddech. Pierwszą rzeczą, jakiej skosztowała, był pyłek kukurydzy zmieszany z wodą, aby Święty Lud wiedział o niej i też jej błogosławił. Ułożyli ją w specjalnym nosidełku, które było w naszej rodzinie od dziesięciu pokoleń. A potem, kiedy się roześmiała, urządziliśmy ceremonię powitalną.

- Kiedy się roześmiała?

- To nasz stary zwyczaj. Wiadomo, że dziecko jest naprawdę człowiekiem i że będzie żyło, kiedy roześmieje się głośno. Wyprawia się wtedy ucztę i rodzice rozdają wszystkim przyjacielom prezenty, zwłaszcza sól kamienną na cześć Solnej Kobiety, jednej z naszych świętych istot. Abigail otrzymała w niemowlęctwie specjalne amulety, które miała zachować na całe życie. Mały woreczek z ziemią z wszystkich naszych świętych gór, kamyczki z tajemnych miejsc i inne rzeczy, o których nie wolno mówić. — Hostene rozejrzał się po ciemnym niebie i zadrżał. Naciągnął sobie koc na ramiona. - Ale kiedy była mała, miała może pięć czy sześć lat, stało się coś strasznego. Jej rodzice odwiedzili tego samego starego pieśniarza, hataali. Gdy byli na zewnątrz, ona znalazła jego święte rekwizyty używane w obrzędach. Włożyła sobie na głowę jego obrzędowy koszyk i rozerwała woreczek ze świętym pyłkiem. Mówi się, że taki grzech odbija się na dziecku, które go popełniło, w późniejszym życiu. Jej rodzice prosili

o pieśń, o oczyszczenie, ale tydzień później starzec zachorował i już nie odzyskał zdrowia. Abigail wkrótce wyjechała do rządowej szkoły z internatem. Obrzęd nigdy nie został odprawiony. Próbowali sprowadzić ją w tym celu z powrotem, ale rządowi nauczyciele nie zgodzili się na to. Powiedzieli, że jest to właśnie jedna z tych rzeczy, których powinna się wystrzegać. Później odkryliśmy, że wyrzuciła wszystkie swe amulety. Gdy Abigail po raz pierwszy usłyszała tę historię, potraktowała ją lekko, mówiąc, że wykorzysta ją na swych zajęciach, by zilustrować psychokulturowe aspekty tabu. Ostatnio jednak zaczęło ją to dręczyć. Gdy przybyliśmy na tę górę, pewnej nocy przyznała, że martwi się, iż to wydarzenie z dzieciństwa może wpłynąć na jej pracę tutaj, może sprawić, że przeoczy jakieś ważne znaki.

Shan nic nie powiedział. Udali się do swego skalnego schronienia. Chmura przesłoniła wschodzący księżyc. Gdzieś wyżej na stoku odezwała się sowa.

Hostene obudził się o świcie. Shan, dręczony przez koszmarne sny, nie spał już od paru godzin. Indianin nie przyjął suszonych owoców, które Shan zaproponował mu na 'śniadanie. Ruszyli w drogę do następnego zagajnika, gdzie znaleźli jedynie resztki dziesiątków małych szyszek zjedzonych przez wiewiórki ziemne. W zagajniku zobaczyli tylko wetknięty w pęknięcie w malowidle i odłamany ketaan. Shan wskazał liczne ślady butów na ziemi i każdy z nich wybrał trop, który miał prześledzić. Rozeszli się w dwie różne strony, umówiwszy się wcześniej, że za dziesięć minut spotkają się znów przy malowidle. Ale trop Shana wkrótce się urwał na skalnej półce. Stał, patrząc na zdradliwie wyglądający szczyt, wciąż pokryty małymi łatami śniegu. Miał już zawrócić, gdy nagle na skale tuż przy nim pojawił się cień i Shan usłyszał stłumione mamrotanie. Usiadł na ziemi i zaczął szeptać mantrę.

Cień przesuwiał się to w jedną stronę, to w drugą. To w górę, to w dół. Gdy pustelnik pokazał się wreszcie, zrobił kółko wokół Shana, który ani na chwilę nie przerywał recytacji. W końcu Rapaki kucnął przed nim.

-Na szczycie - odezwał się Shan - czekają sekrety Władcy Góry.

Oczy pustelnika zrobiły się okrągłe.

- Na szczycie przykucnął wielki - powiedział śpiewnym rytmem, jakim wygłaszał wszystkie swe wypowiedzi. - Jego turkusowa grzywa powiewa wokoło. Rozpostarł swe szpony na śniegu. - Głowa Rapakiego kiwała się, gdy wodził wzrokiem po stoku, jakby czegoś wypatrywał.

- Próbujesz się do niego dostać. Ja też chcę ci pomóc.

- Gdy pole było żyzne, nie było pana. - Głos Rapakiego był zgrzytliwy jak nienaoliwiona maszyna. - Teraz pan przybył i pole zarosło chwastami.

Jedyną nietkniętą książką w jaskini pustelnika, przypomniał sobie Shan, były *Pieśni Milarepy*, nauki największego z tybetańskich świętych. Uświadomił sobie, że każde zdanie, jakie powiedział przed chwilą Rapaki, jest cytatem ze świętego tekstu.

- W ścisłym odosobnieniu, bez człowieka ni psa, być może pochodnia ukaże ci znaki. - On także znał parę urywków.

Rapaki zareagował maszynowym ogniem słów. Te, które Shan zdołał zrozumieć, wydawały się niepowiązane. *Uczczona przez przebudzonych zmarłych*, usłyszał, *twarz jak krąg jesiennego księżyca*, i wreszcie *raksa raksa suaha*, końcówka tak zwanej mantry oszukującej śmierć.

Pustelnik spojrzał na Shana spod przymrużonych powiek, jak gdyby chciał mu się dokładniej przyjrzeć, po czym znów obszedł go dookoła. Gdy zakończył obchód, wydał stłumiony okrzyk i pochylił się, wskazując palcem jego rękę. Na grzbiecie dłoni Shana pojawił się maleńki, jaskrawy refleks odbity od kryształu w pobliskiej skale. Rapaki wpatrywał się z natężeniem w srebrną plamkę światła.

- *Ni shi sha gua!* - wykrzyknął. - *M shi sha gua!* Shan osłupiał. Niemożliwe, by pustelnik znał chiński.

A jednak doskonale wymówił cztery sylaby chińskiego wyzwiska. Dosłownie znaczyło ono „ty głupi melonie”, jednak powszechnie rozumiano to jako „ty kretynie”, „ty idioto”, „ty dumny imbecyłu”.

Shan widział białka otaczające tęczęwki Rapakiego. Pustelnik wyglądał na przerażonego. Zaczął się cofać. Coś uderzyło w ramię Shana. Rapaki rzucał w niego kamieniami o ostrych krawędziach. Każdy z nich uderzał go boleśnie



w rękę lub pierś. Potem światło przesunęło się, srebrzysty refleks zniknął i Rapaki się uspokoił. Shan uniósł ręce, z dłońmi zwróconymi na zewnątrz.

- Być może pochodnia ukaże ci znaki - powtórzył. Pustelnik przechylił głowę, ściskając zawieszony na szyi amulet. Strach na jego twarzy ustąpił konsternacji.

Dało się słyszeć wołanie Hostene'a. Shan obejrzał się przez ramię. Gdy odwrócił się znowu, Rapakiego już nie było.

Nie wspomniał o pustelniku Indianinowi, który czekał przy malowidle. Gdy Hostene ruszył w stronę następnego, odległego o czterysta metrów zagajnika, powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Koniec z drzewami - oświadczył. - Musimy poszukać gdzie indziej.

- Ale Abigail... - zaprotestował Hostene.

- To, że pan żyje, zawdzięcza pan Gendunowi - odparł Shan. - A zeszłej nocy śniło mi się, że go torturowano. Kiedy schwytemy mordercę, myślę, że dowiemy się, gdzie jest pańska siostrzenica. Jeśli go nie schwytemy, ona może być jego następną ofiarą. Ale jest rzeczą pewną, że jeśli Chodron nie dostanie tego, co chce, zapłaci za to Gendun. A potem pan.

Hostene spojrział tęsknie na kępę drzew. Przez chwilę Slianowi zdawało się, że Indianin zamierza popędzić tam sam jeden.

- Ta góra tętni życiem bardziej niż jakikolwiek szczyt w okolicy — powiedział, jeszcze raz omiatając wzrokiem zbocze. - Ale wszyscy jej mieszkańcy stali się płochliwi i skryci. Działają tylko w cieniach, unikają otwartych przestrzeni. Taka właśnie jest strategia przeżycia, gdy w górze krążą (1 rapieżniki. Gdzieś tutaj jest centrum operacyjne działalności górniczej, zwane Małą Moskwą. To nie może być daleko stąd. M usimy teraz tam iść.

Wyciągnął orientacyjną mapę, którą Hostene nosił w plecaku, szukając centralnie położonego, a zarazem ukrytego miejsca, gdzie trzydziestu albo czterdziestu ludzi mogłoby / .cjść się, nie zwracając na siebie uwagi, i skupił się na zacienionym obszarze w dolnej partii środkowej części stoku, około pięciu kilometrów od miejsca, gdzie siedzieli.

- To labirynt wąwozów — wyjaśnił Hostene. - Tashi

ostrzegął nas, żebyśmy nie zapuszczali się tam, bo są tak niebezpieczne.

Zaczęli ostrożnie schodzić w rozciągającą się w dole płataninę jarów. W miarę zbliżania się ledwo uchwytnie zapachy piekącego się mięsa i dymu mówiły im, że ich domysły są słuszne, wciąż nie umieli jednak stwierdzić, w której części labiryntu znajduje się obóz górników. Nagle Hostene wskazał lekką skazę na niebie, poszarpaną smużkę dymu unoszącą się z jednego z wąwozów na wschodzie.

Wkrótce odkryli wydeptany szlak noszący ślady butów i opon rowerowych, który wijąc się wśród krętych skalnych ścian i iglic, doprowadził ich w cień na skraju rozległego placu. Pośrodku tliło się ognisko. Potężne skalne płyty, odłupane od ścian, spadając jedna na drugą, utworzyły naturalne koliby i płytkie pieczary. Niektórym przydano przedsionki z płótna, wejścia do innych zdobiły rodzinne fotografie albo odręcznie zrobione drogowskazy z odległościami do chińskich miast. Pudełkowate fronty prowizorycznych budowli, rozwieszane na drągach pranie, zapach smażonego ryżu i dzikiej cebuli dochodzący z pobliskiego kubła z żarem, drewniana klatka dla ptaków, zawieszona nie wiedzieć czemu na żerdzi przed jednym z domostw, dwaj mężczyźni grający w madzonga na odwróconych do góry dnem wiadrach, z leżącymi obok nich stosikami monet - wszystko to mimowolnie wywołało w Shanie nostalgię. Sceneria przywiodła mu na myśl *hotung* z miast jego młodości - tętniącą życiem uliczkę, charakterystyczną dla wielu chińskich dzielnic, mm rząd zastąpił je wielopiętrowymi blokowiskami.

Z cieni Shan doliczył się szesnastu górników. Mieli drapieżny wygląd ludzi czerpiących wszelkie korzyści z życia poza prawem. Połowa z nich stała przy dogasającym ognisku, przeklinając i wygrażając pięściami w stronę żalosnej, przerażonej postaci, która leżała skulona na kocu.

Hostene cofnął się, ciągnąc Shana za ramię. Ale gdy wysoki mężczyzna w skórzanej kamizelce kopnął swoją ofiarę, Shan wyszedł na otwartą przestrzeń.

- Nie... nie może pan! - ostrzegł Hostene z cieni.

- Nie mam wyboru - odparł Shan. - Oni mają mojego pomocnika.

-*Ta me dal*- wykrzyknął cicho pierwszy górnik, który go dostrzegł. Wydał krótki ostrzegawczy gwizd.

Nim minęło kilka sekund, z kryjówek wynurzyło się więcej ludzi. Niektórzy dzierżyli łopaty i kilofy niczym broń. Brutalne twarze, które patrzyły na Shana, zdawały się pochodzić ze wszystkich zakątków Chin. Niektóre miały mieszane tybetańsko-chińskie rysy, jakie stawały się częstym widokiem na ulicach tybetańskich miast. Jednak oczy wszystkich były twarde jak gład. Gdy Shan szedł naprzód, ci, których mijał, zamykali mu odwrót, podążając za nim w stronę koca przed centralnym ogniskiem.

Także w tej wiosce obowiązywał specyficzny protokół. Górnicy ustawili się kręgiem wokół Shana oraz wysokiego mężczyzny w kamizelce i wystraszonej postaci na kocu.

- Witaj w Małej Moskwie - oświadczył mężczyzna w kamizelce. - Z przykrością informuję, że zakończyliśmy już przyjmowanie podań o prawo stałego pobytu. - Przez jego widownię przeszedł stłumiony śmiech. - Prowadzimy bardzo ekskluzywny kurort.

Shan demonstracyjnie rozejrzał się po prowizorycznej zabudowie górniczego miasteczka.

- Spodziewałem się kopulastych cerkwi i kawioru. Ponad ramieniem mężczyzny dostrzegł naskalne

malowidło, jedno z bardziej szczegółowych, jakie do tej pory widział na tej górze, przedstawiające bóstwa i rytualne przedmioty oddane w niezwykłym stylu, z osobliwymi wzorami.

- Moskwa to miejsce, gdzie proletariat zrozumiał, że nie ma do stracenia nic poza kajdanami komunizmu. Moskwa pokazała nam wszystkim, co oznacza nowa epoka - oświadczył wysoki Chińczyk.

- Słowa godne prawdziwego obywatela świata - odparł Shan.

Wśród górników zdarzali się ludzie wykształceni, powiedział mu Yangke. Niektórzy studiowali nawet, nim postanowili rzucić się w wir gospodarki rynkowej. Na wbitym w malowidło kołku wisiała szeroka deska. Wymalowano na niej zestawy kolorowych pasków, obok których widniały nazwiska. Uświadomił sobie, że jest to klucz do własności działek. Obok niej stało opartych o ścianę kilka drewnianych

kijów, prostych gałęzi, jakby przyciętych i uformowanych na styliska do łopat.

- Bing - przedstawił się mężczyzna z wyzwaniem w oczach. - Burmistrz Bing. Albo, jeśli wolisz, dyrektor Bing.

Były w Chinach imiona, które jednoznacznie informowały o wieku noszących je osób. Bing, czyli po chińsku żołnierz, cieszyło się popularnością przed czterdziestu laty.

Człowiekiem leżącym na kocu przed dogasającym ogniskiem był Thomas Gao. Był posiniaczony i krwawił z drobnych ranek na podbródku i ramieniu, nie doznał jednak innych obrażeń. Uniósł wzrok z miną rozpieszczonego dziecka przyłapanego na kradzieży cukierków. Na kocu rozrzucone były puszki, paczka baterii, solniczka, ołówki, dwie lekko zaczytane chińskie powieści w miękkich okładkach, cztery metalowe kubki, parę paczek papierosów, kilka starych czasopism, dezodorant w szyfcie i cygareto w foliowym opakowaniu. Wystawił swój towar, ale jego klientom były tego dnia w głowie inne sprawy.

Gdy Shan pochylił się, by pomóc mu wstać, Thomas przyciągnął go do siebie i szepnął mu coś do ucha. Shan zamarł. Chwilę później poczuł na barku nacisk styliska od łopaty, które odpychało go od Thomasa.

Na końcu styliska stał niski, żyłasty mężczyzna w zielonej pikowanej kurtce.

- Kapitan Bing nie pozwala - warknął. Jedną stronę twarzy przecinała mu blizna. Miał twardy wygląd żołnierza.

Shan się wyprostował. Spojrzał na Binga i zobaczył jego obojętną minę, a także służalczość, z jaką patrzył na niego człowiek ze styliskiem.

- Pensje Urzędu Bezpieczeństwa najwyraźniej tracą na wartości - zauważył.

Wysoki mężczyzna roześmiał się.

- Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa zmieniają się w niańki i speców od komputerów. Kto może pozwolić sobie na odrzucenie pozycji na czele nowej gospodarki, kiedy nadarza się okazja?

Shan dyskretnie przesunął się w stronę wykazu działek górniczych. Gdy był już blisko, mężczyzna z blizną na

twarży zaklął pod nosem i zręcznym ruchem wbił mu koniec swego kija w bark, zmuszając go do obrotu i wpychając go na malowidło. Widział jednak dosyć. Paliki z dwoma szkarłatnymi i jednym żółtym paskiem należały do samego Binga. Obok niebieskich i czerwonych znaków widniało jedno nazwisko. Górnik, który opalikował obozowisko Hostene'a, teren mordy, nazywał się Hubei.

- Patrz, co zrobiłeś - zadrwił Bing. - Rozdrażniłeś bogów.

Shan spostrzegł, że w miejscu, gdzie otarł się o malowidło, wykruszył się mały fragment.

Bing przyglądał mu się chłodnym wzrokiem, po czym powiedział coś do ucha niskiego mężczyzny z kijem, który oddalił się pędem i wrócił, taszcząc prymitywnie wykonaną ławę. Postawiwszy ją obok koca, dźwignął na nią Thomasa.

- Jego krewni zainteresują się, jeśli nie wróci - ostrzegł Shan.

- On się nigdzie nie wybiera - warknął Bing. - Nie zależy nam, żeby zarabano nas na śmierć we śnie.

- Ale Thomas tylko... - zaczął Shan.

Bing przerwał mu, chwytając leżący na plecaku Thomasa czarny foliowy worek i rzucając nim w Shana.

- Dziś przemycił tu do nas taki drobiazg.

Shanowi zaschło w gardle, gdy jego palce natrafiły na twarde, ciemny przedmiot. Był to mały toporek ze starym, ręcznie kutym ostrzem i krótkim, nierównym, niewprawnie wykonanym styliskiem, wygładzonym do połysku od długiego użytkowania. Na ostrzu i części styliska widniała brązowa plama. Shan nie potrzebował testów Thomasa, by wiedzieć, że to krew.

- Jedenaście i pół centymetra - powiedział mu chłopak cienkim, nerwowym głosem. - Zmierzyłem ostrze. Pasuje do runy na plecach ofiary numer jeden.

- Kto, jeśli nie morderca, nosiłby przy sobie coś takiego? - warknął Bing.

- Mówiłem już, prowadzę śledztwo - zaprotestował Thomas, po czym ciszej wyjaśnił Shanowi: - Dziś rano zatrzymałem się, by się napić ze źródła kawałek od ścieżki. Kiedy wróciłem do plecaka, to leżało na wierzchu. Ktoś,

kto wiedział, że jestem zainteresowany, zostawił to dla mnie.

-Jedno kłamstwo rodzi następne - odpalił Bing. -Wszyscy tu wiedzą, że śledztwo mogą prowadzić tylko władze. A władzą tutaj jestem ja. Wybrany głosami wszystkich obywateli. Ten szczeniak nie jest żadnym śledczym.

Thomas spoglądał nerwowo to na Binga, to na Shana.

- Pomagam inspektorowi Shanowi. To słynny detektyw z Pekinu.

Oświadczenie to nie spotkało się z życzliwą reakcją górników. Dwóch mężczyzn zarechotało, ale czterech wymknęło się w cienie. Pozostali przyglądali się Shanowi spode łba, mocniej ściskając w dłoniach łopaty i kilofy.

- Skompromitowany detektyw! - dodał szybko Thomas. -Siedział w więzieniu.

-Shan? Ty jesteś Shan? - zapytał sceptycznie Bing. Przyjrzał się swemu obszarpanemu gościowi z rosnącym rozbawieniem. - Inspektor Shan ma wyjątkowe referencje -powiedział do Thomasa. - Ale ty nie masz żadnych. A to oznacza... - Jego przemowę przerwał ostrzegawczy okrzyk Z cieni wynurzyło się dwóch ludzi, wlokąc między sobą Hostene'a. Obawiając się, że Indianin może stawiać opór, Shan uwolnił go z ich rąk i poprowadził do koca.

Na twarzy Binga pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. Strącił Hostene'owi kapelusz z głowy. W tłumie rozległy się pomruki zaskoczenia, które przerodziło się w gniew.

- Niniejszym mianujemy cię bohaterem pracy za przekroczenie normy produkcyjnej - oświadczył Shanowi. -Dostarczyłeś nam nadwyżkę morderców. Zawiadomię Cho-drona. On chce, żeby niektórzy z nas zjawili się na procesie wraz z tobą i twoim ulubieńcem lamą. Nic tak nie umacnia porządku publicznego, jak odebranie życia tym, którzy go zakłócają.

Shan poprowadził Hostene'a do ławki, sadzając go obok Thomasa. Indianin patrzył na zgromadzonych mężczyzn z zakłopotaniem i rozpaczą. Shan stanął przed ławką, wodząc wzrokiem po gniewnych, wygłodniałych twarzach górników Pomagier Binga stał przy stercie drągów, jakby miał zamiar rozdawać je ludziom.

Shan wyszedł na środek okręgu.

- Ci ludzie nie są mordercami. Są uczonymi, każdy na swój sposób.

Uśmiech Binga był znakiem, że zaczyna mu się podobać to przedstawienie.

- Dopiero niedawno przybyłeś na tę górę. Nie masz pojęcia, czego dopuścili się ci ludzie. To nie jest jakaś sprawa sądowa, którą należy upiększyć dla celów propagandowych. Jesteśmy tu ludźmi praktycznymi, zajmujemy się faktami. - Wycelował jakiś trzymany w dłoni przedmiot w głowę Hostene'a. Shan spostrzegł na czole Indianina plamkę jaskrawoczerwonego światła i poczuł obawę. Jednym z głównych narzędzi burmistrza, służących utrzymywaniu porządku publicznego, był wskaźnik laserowy. — Ten człowiek, inspektorze, nie dość, że został znaleziony obok dwóch zamordowanych ludzi, to jeszcze okrada ciężko pracujących górników ze złota, skradając się po nocach jak zdziczały pies. Posłałem tę informację Chodronowi. Nie wątpię, że gdyby o tym wiedział, trzymałby go w tej stajni skutego łańcuchem.

Hostene zaczerwienił się i uniósł wzrok na Shana. Bing skierował wskaźnik na Thomasa.

- A ten tu traktuje nas jak szczury laboratoryjne, obserwując nas, kiedy myśli, że o tym nie wiemy, udając domokrażcę, by móc się skumać ze swymi ofiarami. Czasem -Bing dla efektu zawiesił na chwilę głos i przeszedł wolnym krokiem przed swą publicznością - czasem młodzi ludzie jego pokroju zabijają, bo przekonali się, że nie są prawdziwymi mężczyznami. Zaspokajają więc swoją żądzę w inny sposób. - Znów przerwał, uśmiechając się na widok miny Thomasa, po czym unosząc brwi, przeszedł do puenty. - Nie jest w stanie dźwignąć swego miecza, więc sięga po topór.

Shan dostrzegł na niektórych twarzach narastającą wrogość.

- Ten człowiek - odezwał się, wskazując Indianina - omal nic został zabity ciosem w głowę. - Podniósł plecak Thomasa, otworzył zamek przedniej kieszeni i wyciągnął zdjęcia, o których wydrukowanie go prosił. Informacja, którą szepnął mu Thomas, dotyczyła zdjęć, a także demonów z drugiej

strony góry. - Tu widać Hostene'a wkrótce po morderstwie Prawdziwy zabójca umieścił go tu, po czym namalował krwią znaki na skale.

- Nie wiesz tego - warknął Bing. - Mógł zostać ranny walcząc ze swymi ofiarami, po czym ich krwią namalował te symbole, nim stracił przytomność.

- Wiem to - odparł Shan. - Wszyscy to wiemy, ponieważ fotografia mówi prawdę. - Przeszedł wzdłuż kręgu górników podsuwając im zdjęcie pod oczy. - Ponieważ plamy krwi na jego koszuli i butach są idealnie zgodne z tymi na skale i trawie. Był nieprzytomny, kiedy ktoś inny malował symbole krwią.

- Co oznacza - nie dawał za wygraną Bing - że zrobił to chłopak. Ten młody wariat zwrócił się przeciwko swemu wspólnikowi w zbrodni. To chłopak zadawał ciosy toporem. Chodron wie, co robić z szaleńcami. Zaostrzona łyżka, ale nie do oczu! Wpycha się ją do nosa i obraca.

Ktoś z tyłu wybuchnął śmiechem. Ale nie wszyscy zgadzali się z Bingiem. Shan widział, że niektórzy przyglądają się zdjęciu z zaniepokojonymi minami.

- To zrobił chłopak - upierał się Bing - a potem, wczoraj zamordował tego drugiego, rolnika. Gdy szła zabijania raz dojdzie do głosu, staje się jak bestia wymagająca regularnego karmienia.

Na kuble z żarem przy obmurowaniu ogniska stał kociołek. Shan podniósł z koca Thomasa dwa kubki, nappełnił je letnią czarną herbatą i podał Thomasowi i Hostene'owi Przeszedł wzdłuż rzędu górników, po czym podniósł topór z koca, podał go Bingowi i wyszedł poza krąg do miejsca gdzie dwa wielkie skalne bloki osunęły się z góry, tworząc kąć prosty. Wskazał półmetrową płytę przed pobliskim schronem, która służyła za stół.

- Przesuń to - polecił asystentowi Binga.

- Zrób to, Hubei - powiedział rozbawionym tonem Bing.

Mężczyzna żywo zabrał się do dzieła, podniósł głaz i umieścił go zgodnie ze wskazówkami Shana, trzydzieści centymetrów od ściany.

Shan przystanął, przez chwilę przyglądając się uważnie niskiemu mężczyźnie. Był prawą ręką Binga i człowie-



kiem, który opalikował obozowisko Hostene'a. Wyciągnął z pliku zdjęć z plecaka Thomasa kolejną fotografię i podał ją jednemu z górników, który obejrzał ją, po czym puścił w obieg.

- Widzicie tu teren masakry, gdzie znaleziono oba ciała. Dwie skalne ściany schodzą się razem, tak jak tutaj, a niżej leży płaski głaz. - Poprosił Hubeia, by położył się na ziemi, po czym uniósł jego rękę. - Jest tuż po świcie. Zaciągam tu swe ofiary. Młodszy, Tashi, jest nieprzytomny, ale żyje. Muszę z jakiegoś powodu pozbawić go dłoni. Odrąbuję je na tym głazie, w lewym rogu niszy, dokładnie jak widać to na zdjęciu. Zwróćcie uwagę, że krew opryskała skalną ścianę, ale nie płytę, na której zadano cios.

Hubei roześmiał się nerwowo, gdy Shan podciągnął mu w górę rękaw koszuli i ułożył jego rękę na kamiennej płycie.

- Ramię zostało przytrzymane przed ciosem dokładnie na skraju płyty. Daj chłopakowi topór - zwrócił się Shan do Binga.

Burmistrz Małej Moskwy w milczeniu wypełnił polecenie, po czym szarpnięciem postawił Thomasa na nogi.

- Chodź, odetnij mu rękę, Thomas - poprosił Shan. Leżący mężczyzna zaklął i zaczął wstawać, jednak chwilę później został unieruchomiony kijem wbitym w zębra. Bing, trzymający kij, dał mu znak, by z powrotem rozłożył ręce.

- Pokaż nam — zachęcał Thomasa Shan.

Hubei, blady jak płótno, szarpnął się niespokojnie. Bing przycisnął go mocniej drągiem.

Thomas z ociąganiem podszedł do leżącego, przystanął, zaczął klękać, po czym przerwał w pół ruchu. Wyprostował się, spróbował zrobić krok ponad mężczyznę, ale zrezygnował, uświadomiwszy sobie, że nie zmieści się w ciasnej przestrzeni między głazem a skalną ścianą. Spojrzał na Shana zdziwionym, błagalnym wzrokiem.

- On nie jest w stanie tego zrobić - oświadczył Shan - ponieważ jest praworęczny. — Pochylił się, poprawił położenie ręki Hubeia i zademonstrował, jak został zadany cios. — Zabójca był leworęczny. Ani Thomas, ani Hostene nie są leworęczni.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Shan przeszedł

jeszcze raz wzdłuż rzędu górników, zatrzymując się przed jednym z brudną wełnianą czapką na głowie.

- Ile było morderstw? - zapytał znienacka. Zagadnięty zerknął na Binga, po czym spojrzał na własne stopy, zostawiając pytanie bez odpowiedzi.

- Ile? - zapytał Shan następnego mężczyznę.

- Niektórzy giną - odparł zapytany - inni się wzbogacają.

Następny, starszy człowiek, spojrzał niespokojnie na Shana.

- Dlaczego dłonie? - zapytał głuchym głosem, jakby spodziewał się, że Shan to wie. - Dłonie człowieka są dowodem jego życia.

Shan odwrócił się w stronę Binga.

- Ukrywaj dalej prawdę, a znów ktoś zginie. - Omiótł szerokim gestem rząd górników. - Może jeden z was. Na pewno mamy już trzech zabitych w tym roku. Młodego górnika przy malowidle z niebieskim bykiem i dwóch w obozie Hostene'a. W zeszłym roku było dwóch. Z wczorajszym rolnikiem to daje pięciu. Między pierwszymi dwoma morderstwami upłynęło ile... dziesięć miesięcy? Potem zabójca potrzebował zaledwie miesiąca, by uderzyć znowu. Jeśli policzymy wczorajszego rolnika, tym razem przerwa była mniejsza niż dwa tygodnie. Jeśli jest w tym jakaś prawidłowość, za pięć lub sześć dni nastąpi kolejne morderstwo. Tym razem ofiarą może być ktoś z was. Albo zaginiona kobieta.

Hostene zdawał się nie słyszeć aluzji do swej siostrzenicy. Wpatrywał się w płaski głaz, na którym Shan odtwarzał rozczłonkowanie jego przyjaciół.

Shan odwrócił się znów do Binga.

- A może ona już nie żyje?

Bing także, zdawało się, rozmyślał nad pokazem Shana.

- Wędrująca samotnie kobieta - mruknął w końcu - nigdy nie jest bezpieczna.

- Jej wujowi zależy na znalezieniu jej - powiedział Shan. - Nam wszystkim na tym zależy, bo możliwe, że była świadkiem zamordowania swoich dwóch kolegów.

Nikt się nie odezwał. Shan raz jeszcze przyjrzał się obdartej grupie górników. Dlaczego nie pracowali na swoich

działkach? Byli zaniepokojeni, uświadomił sobie, wręcz przerażeni. Rzeczywiście należało się liczyć z tym, że któryś z nich będzie następną ofiarą. Ale równie prawdopodobne było, że któryś z nich był zamieszany w zabójstwa. Przypomniawszy sobie, że zaledwie dzień wcześniej ktoś próbował unicestwić ich małą gromadkę za pomocą materiałów wybuchowych. A wszyscy, którzy stali tu przed nim, byli specjalistami od materiałów wybuchowych.

- Jeśli chcecie mieć szansę na rozwikłanie zagadki tych morderstw - powiedział - puście nas wolno. I pomóżcie nam znaleźć tę kobietę. Zdajecie sobie sprawę, co będzie, jeśli do władz dotrze wieść o zaginięciu na tej górze Amerykanki?

- Amerykanki? - odezwał się jeden ze starszych górników. - Niemożliwe. To Tybetanka. Być może Nepalka.

Shan nachylił się do Hostene'a i szepnął mu coś do ucha. Indianin rozpiął kieszonkę koszuli i podał mu coś granatowego i płaskiego.

- Ona jest profesorem - oświadczył Shan donośnym głosem. - Jest sławna. — Gdy podniósł ową rzecz w dłoni, przez tłum przebiegł nerwowy pomruk. Mała granatowa książeczka była niczym jeden z magicznych przedmiotów, służących niegdyś w Tybecie i Chinach do rzucania czarów na tych, którzy je ujrzeli - był to paszport Stanów Zjednoczonych.

- Czy mamy porozmawiać o tym, co się stanie, kiedy wyjdzie na jaw, że ta słynna uczona zaginęła? Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, ilu żołnierzy może się zmieścić w brzuchu jednego z tych wielkich samolotów? Czy mamy zgadywać, jak długi żywot będą miały wasze sekrety?

Mogło się zdawać, że przecięty został jątrzący się wrzód. Uraza zniknęła, pozostała jedynie troska. Shan przeszedł wzdłuż rzędu górników, wychytując urywki ich rozmów. Mężczyzna z ogoloną czaszką mówił o satelitach obserwacyjnych. Ktoś inny wspominał o filmie, na którym niebo było ciemne od amerykańskich spadochronów.

Bing, sprawiający teraz wrażenie znużonego, sięgnął po kociołek i zaproponował Hostene'owi następną herbatę.

Przed wielu laty Shan odwiedził Dunhuang, gdzie podziurawione siecią pieczar góry były niegdyś zamieszkane przez

dziesiątki buddyjskich nauczycieli i pustelników, którzy zamknęli w nich skarby w postaci starożytnych tekstów i malowideł. Pieczary i tunele Małej Moskwy były w użyciu od, jak się domyślał, co najmniej kilkunastu lat i zawierały własne skarbcce i sanktuaria. Przeszedł między górnikami, którzy zajęci rozmową nie zwrócili na niego uwagi, po czym wśliznął się w długi wąwóz, by się dokładniej przyjrzeć świątyniom tego miasta. Minął stertę zardzewiałych puszek i połamanych narzędzi leżącą u wylotu jaru, pod obdartym z kory pniem drzewa, z którego zwisały sięgające poza krawędź wąwozu liny i krążki — wysięgnik do opuszczania ciężkich ładunków. Przystanął przy kolibie oblepionej plakatami, na których widniały przekleństwa, ostrzeżenia o zakazie wstępu. Zajrzał do środka. Wewnątrz znajdował się czerwony rower. Nieco dalej w miękkim łupku pod kilkoma nawisami skalnymi wyżłobiono małe pieczary o wyglądzie domowych pieleszy. Przy niektórych z nich na tyczkach zawieszono były drewniane tablice, na których widniały chińskie imiona. Na jednej z tyczek wisiał nieaktualny od dwóch lat kalendarz z wizerunkiem nagiej blondynki pozującej wśród opon samochodowych. Na innej dyndało wydarte z jakiegoś czasopisma, poszarpane przez wiatr zdjęcie lśniącej, srebrnej furgonetki. Jeszcze inna podtrzymywała reklamę kasyna w Makao. Tak oto święta góra wkraczała w nową epokę.

Shan zerknął za siebie, w stronę głównego placu, przypominając sobie słowa, które Thomas szepnął mu, kiedy tu przybył, zaraz po wiadomości, że przyniósł zdjęcia, o które inspektor go prosił. „Gdyby Shan jeszcze kiedykolwiek postawił nogę po drugiej stronie góry, Gao kazał zastrzelić go bez ostrzeżenia”. Zdawało się, że na Górze Śpiącego Smoka nie da się znaleźć żadnych odpowiedzi, jedynie nowe lęki, nowe zagadki.

Ukryty w cieniach przyglądał się w roztargnieniu, jak dwaj gracze rozpoczynają nową partię madzonga, układając przed sobą małe kupki pieniędzy. Pieniądze. Górnicy nie mieli jak wymienić złota na gotówkę przed końcem sezonu, dopóki nie opuścili góry, by wrócić w następnym roku. Spodziewałby się, że będą wydawać pieniądze wiosną, na sprzęt i zapasy

żywności. Przyglądał się, jak inni górnicy zerkają zazdrośnie na tych dwóch. Oni mieli dość forsy, by uprawiać hazard, jak gdyby dla nich lato skończyło się wcześniej.

Minął melinę z płóciennym przedsiönkiem malowanym w tygrysie głowy. Pochylił się i podniósł z ziemi kamyk, po czym przyjrzał się kolejnemu przykładowi tutejszej sztuki, lśniącej fotografii reklamowej przedstawiającej robota trzymającego tacę z koktajlami, przypiętej pinezką ponad puszką pełną niedopałków papierosów. Na skale obok puszek leżał wojskowy hełm, pomalowany w czarne i żółte pasy.

- Kapitan Bing ma zasadę. Każdy przyłapany w cudzej jaskini zostaje przywiązany do skały i wychłostany — odezwał się z ciemnego wnętrza czyjś szorstki głos.

Shan pochylił się i zmrużył oczy, napotyając spojrzenie pokrytego bliznami mężczyzny w pikowanej kurtce.

- To właśnie ciebie szukam. Widziałem, jak wymykasz się tym korytarzem. Hubei, tak cię nazywają? Od nazwy prowincji? - Znał wielu przestępców przybierających imiona od miejsc, z których pochodzili, by ukryć swe prawdziwe nazwiska.

- Już raz zrobiłeś dziś ze mnie głupca. Nie powtarzaj tego błędu po raz drugi.

- Ja tylko broniłem chłopaka - wyjaśnił Shan, przerzucając kamyk z ręki do ręki. - Gdybym wcześniej widział twoją rękę, wybrałbym kogoś innego. Siedziałeś w Tybecie? - Podczas swego pokazu zauważył tatuaż na obnażonym przedramieniu mężczyzny.

- Więzienie wojskowe. Xinjiang — odparł opryskliwie Hubei, mając na myśli rozległy region na północ od Tybetu, słynący z pustyń i olbrzymich obozów jenieckich. - Pięć lat. Przez pierwszy miesiąc myślałem, że wszyscy pozdychamy z gorąca. Ale to zima odwaliła robotę za rząd. W styczniu i w lutym układaliśmy trupy w stosy jak drewno na opał.

Shan podwinął rękaw, odsłaniając własny tatuaż.

- Czteryta Czwarta Ludowa Brygada Budowlana -powiedział. - Czasami, gdy ktoś umierał, strażnicy kazali nam grzebać go wprost w korycie drogi. Ciała zwykle były jeszcze ciepłe. - Na chwilę odwrócił wzrok, walcząc z nagłym bólem w sercu. Nigdy tak naprawdę nie opuścił obozu pracy.

W najmniej oczekiwanych momentach dręczące wspomnienia opadały go zniemacka, tak żywe, że zdawało się, że znów jest tam, czując na twarzy podmuchy niosącego pył wiatru, wśród starych mnichów okładanych pałkami za bezgłośnie szeptanie zakazanych mantr.

Żyłasty górnik przyglądał mu się z konsternacją i Shan uświadomił sobie, że mężczyzna mówił coś do niego.

- Pytałem, dlaczego mnie szukałeś? Znów przerzucił kamyk z ręki do ręki.

- Muszę wiedzieć, czy ty i Bing widzieliście Amerykankę i co ona robiła.

- Nikt nie wypłucze za nas złota ze strumieni - pożalił się górnik. - Nie mamy czasu, żeby włóczyć się i podziwiać motyle.

- Co zauważyłeś? - nie ustępował Shan. - Bing ją widział, a nie sądzę, by wypuszczał się na dalsze wyprawy bez ciebie. Ty na tym rowerze możesz przemierzyć znaczny teren. Owcze ścieżki są dla ciebie autostradami. - Zerknął na hełm. - Każde miasto powinno mieć policję konną.

Kącik ust Hubeia uniósł się, gdy górnik mierzył Shana wzrokiem.

- Ludzie mówią, że przybyłeś z jakiejś doliny na południu. Wracaj do siebie. Tu, na tej górze, z takich jak ty gotujemy zupę. Jesteś tu obcy. Nic nie rozumiesz. A my nie potrzebujemy przybysza z zewnątrz, by wiedzieć, kto jest mordercą.

-Jeśli coś stanie się zaginionej kobiecie - ostrzegł go Shan - Urząd Bezpieczeństwa będzie musiał rzucić na kogoś winę. Obaj wiemy, że pierwszymi kandydatami są zwykle byli więźniowie. To robi dobre wrażenie w Pekinie.

Hubei zmarszczył brwi.

- Z początku uznaliśmy, że oni chcą po prostu uszczknąć coś z naszego złota, nie rejestrując u nas działki. Nie lubimy nowych. Bing się nimi zajął. Przestrzegł ich, by trzymali się od nas z daleka, powiedział, że nie chce ich więcej widzieć, że jeśli muszą się modlić, niech to robią po kryjomu. Idioci. Zbierać ładne kamyczki i kwiaty w takim miejscu.

- Oni się modlili?

-Takie sprawiało wrażenie to, co robili najczęściej, jak

by modlili się przed tymi starymi naskalnymi malowidłami bogów i demonów. Albo mierzyli im oczy.

- Co takiego?

- Widziałem znów tę kobietę. Dwa dni temu, na wschód stąd, w wyższej partii zbocza. Była sama i wystraszona. Klęczała, mierząc małą linijką fragmenty malowideł. Oko demona, grubość jego ramienia. Na mój widok wyciągnęła scyzoryk. Rzuciłem jej jabłko. Pożarła je, jak gdyby od wielu dni nie miała nic w ustach. Kiedy zrobiłem krok w jej stronę, wycelowała we mnie nóż. Odszedłem. Nie moja sprawa.

Hubei zniknął w mroku. Gdy wrócił chwilę później, na ramieniu niósł plecak, a na szyi dyndała mu lornetka. Shan rzucił mu kamyk. Hubei chwycił go, po czym patrzył przez chwilę na swą rękę.

- Pieprz się - warknął. — To nic nie znaczy.

- To dowodzi, że jesteś leworęczny. Zdajesz sobie sprawę, jak niewielu Chińczyków jest leworęcznych? To wbrew oficjalnej polityce edukacyjnej. Jesteś byłym więźniem zajmującym się nielegalną działalnością, a do tego jesteś leworęczny. Raport bezpieczeństwa na temat morderstw będzie niemal pisał się sam. - Shan podszedł bliżej do mężczyzny. - Kto znalazł tego martwego rolnika?

Hubei cisnął kamyk o przeciwległą ścianę.

- Paru ludzi. Kiedy zobaczyłem, że to człowiek z wioski, poszedłem powiedzieć pasterzom.

- Gdzie go znaleźliście?

- Ciało leżało u stóp sterczącego grzbietu, półtora kilometra w górę stoku. - Hubei sięgnął po hełm i przytroczył go do paska przy plecaku.

- Chcesz powiedzieć, że on schodził z tego grzbietu, kiedy zginął?

- Chcę powiedzieć, że tam właśnie został znaleziony. Nikt z Małej Moskwy nie chodzi na ten grzbiet. Nie mogę mówić za durnych rolników i ich morderców. To nie nasza sprawa. - Chciałem tylko pozbyć się zwłok.

Nagle Shan zrozumiał.

- Masz na myśli ten sam grzbiet, gdzie w zeszłym roku zabito człowieka?

- Ten, gdzie go pochowaliśmy. I gdzie jego duch wziął

odwet na mordercy. Tam straszy. Ludzie widzieli szkielet na jego grobie. Niektórzy mówią, że on przechadza się tam w świetle księżyca. Niektórzy mówią, że widują go w różnych miejscach, jak gdyby nocami patrolował okolicę. Coraz więcej górników wraca tu na nocleg po skończeniu pracy.

Shan zamyślił się, próbując powiązać jego słowa z dziwnym nagraniem, na którym Abigail podawała komuś kości rąk i nóg.

- Ci dwaj ludzie zabici w zeszłym tygodniu - powiedział w końcu. - Co się stało z ich zwłokami?

- Jeśli chodzi ci o ciała, myślę że zajęły się nimi ptaki.

- Nie rozumiem.

- Dwa dni po śmierci tamtych dwóch na tym grobie pojawiły się dwa nowe szkielety. Przeraziło to wszystkich na śmierć, wierz mi. - Hubei uśmiechnął się, widząc jego zakłopotanie, po czym wyminął go zręcznie. - Dotknij czegokolwiek, a nie żyjesz - powiedział dziwnie niefrasobliwym tonem i odszedł w stronę placu.

- Skąd można wziąć pieniądze w Małej Moskwie? -zawołał za nim Shan. - Sądziłem, że tu, na górze, o gotówkę powinno być trudniej niż o złoto.

Hubei obejrzał się za siebie ze zniecierpliwieniem.

- Bankowość jest monopolem rządowym - zażartował, po czym uniósł hełm i oddalił się truchtem.

Shan znalazł kolejne zagadki. Ale potwierdził też, że Abigail Natay prawdopodobnie wciąż żyje. Przetrwiała napaść i, jak domyślił się jej wuj, dalej szła pod górę. Kontynuowała swą pracę mimo niebezpieczeństwa, nawet mimo że najwyraźniej skończyła jej się żywność. Mogło się wydawać, że zależy od tego jej życie.

Krążył jakiś czas wśród kwater górników, po czym przystanął, wychodząc zza rogu placu, by się przyjrzeć nowoczesnemu społeczeństwu Binga. Każdy z obecnych tu ludzi, włącznie z Thomasem, Hostene'em i nim samym, był swego rodzaju uciekinierem. Nie można wkroczyć do nowego świata, nie zostawiwszy starego za sobą.

Nagle na jego oczach wszczął się ożywiony ruch, ludzie zaczęli szerzyć alarm, rozbiegając się w różne strony, niektórzy z plecakami, inni ze starymi strzelbami myśliwskimi



w dłoniach. Bing stanął obok Thomasa, który poblądł i ze wstrząśniętą miną wpatrywał się w ziemię. Burmistrz Małej Moskwy rozmawiał z człowiekiem, który wskazywał raz po raz na wschód, odpowiadając mu cichym, podnieconym szeptem. Indianin przyglądał się uciekającym górnikom, Bingowi oraz Thomasowi, z konsternacją w oczach.

Gdy Shan podszedł do nich, Thomas powiedział pełnym smutku tonem:

- To wy powinniście mu powiedzieć. Poczęstujcie go gorącą herbatą, a potem mu powiedzcie.

- Co mam mu powiedzieć? - zapytał Shan burmistrza Moskwy.

- Właśnie przybiegł jeden z górników - odparł Bing. -Dziś rano zaatakowano kilka działek, wszystkie paliki usunięto, rzucono na stos i podpalono.

- Ale górnicy czasem... - zaczął Shan.

- Nie tym razem - przerwał mu Bing. - Ktokolwiek to zrobił, zostawił coś jako ostrzeżenie. Kobięcą dłoń.

## ROZDZIAŁ 6

Pędzili co sił w nogach, biegnąc w ślad za Bingiem to jednym wąwozem, to innym, i wkrótce wynurzyli się na zalanym słońcem płaskowyżu. Bing uniesieniem ręki dał im znak, by się zatrzymali. Przyglądał się badawczo spiętrzonyj nieopodal stercie skalnych płyt. Uwagi Shana nie uszedł instynktowny ruch, jakim burmistrz Małej Moskwy sięgnął do pasa na plecach.

- Hubei! - zawołał. Gdy jego pomagier się nie pojawił, zaklął, zrobił krok naprzód, po czym znów stanął, kiedy spomiędzy skał zaczął się unosić słup dymu. Jeszcze raz zawołał Hubeia, po czym odwrócił się do swych towarzyszy. - Zaczekajcie tutaj - rozkazał były oficer bezpieczeństwa, nim zawrócił pędem w stronę Małej Moskwy. - Ani kroku dalej, dopóki nie sprowadzę pomocy.

Shan przyjrzał się skalnym płytom. Spoczywały u podnóża stromego, czarnego, sterczącego na zachód grzbietu. Zerknął na Hostene'a i Thomasa, po czym puścił się biegiem.

Przystanął trzydzieści metrów od ognia i kucnął, by ogarnąć wzrokiem scenerię. Jeśli to, co widział wcześniej, było rynkiem świata górników, tu miał przed sobą jego świątynię. Potężne bloki oderwały się od przysadzistej skalnej wieży i oparły, każdy pod innym kątem, o jej podstawę, upodabniając ją do wielkiej, nieregularnej, wycelowanej w niebo iglicy. Ci, którzy z niej korzystali, wymalowali nawet czarną farbą na skałach przy wejściu własne święte wersety. RADUJCIE SIĘ PRACĄ, sztychował jeden z nich, niegdysiejszy slogan partyjny. WAN SUI! widniało na innej skalnej ścianie -Dziesięć tysięcy lat! - dawny okrzyk za zdrowie cesarza. Potem, tuż obok, LĘKAJCIE SIĘ WSZYSTKIEGO. W poprzek głównego wejścia przeciągnięta była obwieszona pustymi puszkami po piwie lina, na której dyndała tabliczka z napisem RATUSZ.

Hostene dogonił Shana.

- Chłopiec zniknął - powiedział Indianin. Thomasa nigdzie nie było widać.

- Uciekł, gdy tylko Bing znalazł się poza zasięgiem wzroku - wyjaśnił Hostene. - Dostał niezłe cięgi. Nie winię go.

Razem zbliżyli się do płonącego stosu. Shan wskazał gestem głaz.

- Niech pan tu zaczeka.

- Słyszał pan, co mówili. Znaleźli dłoń.

- Słyszałem też, jak mówili o podpalonych palikach.

W ogniu u wejścia płonęły najwyraźniej oblane naftą koce. Kilka malowanych palików, ledwo osmalonych, leżało na wierzchu.

- Ale ten ogień został rozpalony raptem parę chwil temu.

Hostene w odpowiedzi odepchnął go na bok. Rzucił plecak na ziemię i minawszy stos, zniknął w zacienionym otworze. Shan zerknął w górę stoku, po czym, nie dostrzegłszy niczego, ruszył za nim.

Wewnątrz znajdował się długi stół z ociosanych kłód, na którym stało kilka świeczek wetkniętych w puste butelki po piwie. Dwie z nich płonęły. Płachty grubego płótna, zwisające z osadzonych między skalnymi płytami belek, pełniły rolę ścianek działowych. Zza najdalszej z nich rozległ się hałas, odgłos tłuczonego glinianego naczynia. Hostene przecisnął się obok Shana, gwałtownym ruchem odsuwając płótno. Jedyna znajdująca się w tej części pomieszczenia świeczka migotała na lekkim wietrze, który dostawał się przez szczelinę w tylnej ścianie. Był to magazyn, zastawiony koszami, workami z ryżem i baryłkami, na których zalegała warstwa okruchów po rozbitej o ścianę glinianej lampce maślanej. Nieco z boku znajdowały się dwa nylonowe śpiwory, zestaw garnków i patelni oraz - coś, czego Shan nie widział od lat - mały dzbanek do kawy. Pośrodku leżały dwa plecaki, jeden niebieski, drugi czerwony, oba ze wschodzącym słońcem na klapie.

- To nasze! Nasz sprzęt! Nasze plecaki! - wykrzyknął Hostene, po czym spoważniał nagle, gdy jego wzrok padł na leżącą na wierzchu czerwonego plecaka brudną szmatę,

w którą owinięty był jakiś przedmiot o nieregularnych kształtach. Wpatrywał się w nią z przerażeniem i nie zareagował, gdy Shan przepchnął się obok niego i podniósł pozostawiony na szmacie skrawek papieru, pokryty chińskimi ideogramami.

- Co to jest? - zapytał ochryłym głosem.

- Zaklęcie dla zmarłych - wyjaśnił Shan. - Przeznaczone na pogrzeb członka rodziny. - Włożył świstek do kieszeni, po czym sięgnął po zawiniątko i wzdrygając się, rozwinął je.

Hostene wydał jęk zaskoczenia. Ich oczom ukazała się kobieca dłoń o długich, smukłych palcach uniesionych w geście, w którym Shan rozpoznał mudrę spełniania życzeń. Było to jednak tylko dwuwymiarowe wyobrażenie na kawałku tynku, fragment od dawna wyblakłego fresku. Na środku dłoni znajdowało się białe oko. Tym razem rozczłonkowana została bogini Tara.

W dłoni bogini, tuż przy koniuszkach palców, tkwił patyczek z wyrzeźbionymi na końcu oczyma.

Gdy Hostene sięgnął po okruch tynku, Shan, chwyciwszy paski obu plecaków, odciągnął go z powrotem do głównego pomieszczenia. Gdy mijali stół, Indianin przystanął, odłożył tynk i gestem dał mu znak, by położył plecaki na blacie. Dopiero teraz Shan zauważył wyraźną różnicę w ich wadze. W odróżnieniu od niebieskiego czerwony był bardzo lekki.

- Kazałem wam się nie ruszać — warknął gniewny głos, gdy Shan sięgnął do niebieskiego plecaka. Bing nie był już sam. Za nim stał Hubei oraz kilku uzbrojonych w łopaty i kilofy górników.

- Co ukradłeś tym razem, staruchu? - zapytał Hostene'a.

- To moje! — mruknął Indianin. — Nie możesz...

Bing chwycił czerwony plecak, wysypując jego zawartość na blat.

Protest Hostene'a uwiązał mu w gardle. Górnicy, nawet Bing, cofnęli się o krok z odrazą na twarzach. Plecak zawierał szkielety sześciu dłoni.

Nim Bing zdążył zareagować, Shan popchnął Hostene'a w stronę wyjścia i zamachnął się niebieskim plecakiem, aż górnik stracił równowagę.

-Niech się pan nie ogląda za siebie! - krzyknął do Hostene'a. - Biegiem! - Sięgnął do niebieskiego plecaka, cisnął garść jego zawartości na górników i również rzucił się do ucieczki. Górnicy stanęli jak wryci, gdy spostrzegli, czym w nich sypnął. Złotem. Ktoś wypełnił niebieski plecak dziesiątkami małych samorodków.

Jedynie Bing i Hubei puścili się w pogoń. Nagle Shan okręcił się na pięcie i z rozmachem wysypał resztę zawartości otwartego plecaka na stok. Bryłki złota szerokim łukiem spadły z grzechotem na skalisty grunt, podskakując, tocząc się i rozsypując po zboczu.

- Neeeeee! - jęknął Bing i rzucił się na stok, próbując złapać podskakujące samorodki. Potem potknął się i także zaczął się staczać w dół.

Legenda głosi, że byli niegdyś mnisi, którzy traktowali bieg jako formę medytacji. Shan, biegnąc, medytował jedynie o śmierci.

Kwadrans później, gdy Hostene uniósł dłonie i pochylił się, dysząc ciężko, Shan gestem skierował go w cień wielkiego głazu.

- Ktoś wciąż uważa, że to pan jest zabójcą - powiedział.

- Ktoś? Teraz oni wszyscy tak sądzą. Miałem dłonie. Kradłem ich złoto. Właśnie dostarczyliśmy im wszelkich dowodów, jakich potrzebowali. - Indianin wyprostował się i spojrzał za siebie w kierunku, z którego przybyli. - Tam mógł być zabójca.

- Niekoniecznie zabójca - odparł Shan. - Ale czyjś brat. - Wyciągnął z kieszeni zaklęcie dla zmarłych i obejrzał je uważnie. - To zaklęcie mające chronić duszę zmarłego człowieka. Określa go jako „brata”. Imię nie jest wymienione, chociaż jest wzmianka, że zmarły miał dziewiętnaście lat. I prośba, by jego duchowi pozwolono ukarać zabójcę.

Podążył wzrokiem za pełnym niepokojem spojrzeniem Hostene'a. Zaczęli się wspinać na stok.

- Widział pan to wcześniej? - zapytał Shan. - Tę dłoń z okiem? Indianin zastanowił się chwilę.

- Pamiętam boginię z okiem na dłoni. Obok niebieskiego byka.

- Malowidło z niebieskim bykiem to miejsce, gdzie zginął młody górnik - zauważył Shan.

- Abigail wciąż tam wracała — przypomniał sobie nagle Hostene.

- Dlaczego?

- Nie mówiła tego. Czasami zabierała ze sobą profesora Ma. Robili nagrania wideo. - Nagle urwał. - Ale tych taśm nie było wśród pozostałych. Musiała zabrać je ze sobą.

- Potrafi pan znaleźć to malowidło z niebieskim bykiem? Hostene odwrócił się na południe i rozglądał przez chwilę, pocierając czoło, po czym wskazał odległy zagajnik.

- Nie możemy tam iść. Zbyt blisko Małej Moskwy.

W tym momencie usłyszeli dobiegający gdzieś z dołu huk i na niebie eksplodowała czerwona raca. Bing sprawnie zarządzał swą małą społecznością.

- Co to takiego? — zapytał Hostene.

- Cywilny system alarmowy Binga, jak sędzę. Podejrzewam, że i dla niego, i dla Chodrona najlepszym wyjściem jest wciąż trwać przy zdaniu, że to pan jest zabójcą. Byli w szoku, że jest pan Amerykaninem, ale wkrótce przestanie to robić na nich wrażenie. Uświadomią sobie, że nie stanowi to większego problemu, jeśli tylko pan i pańska siostrzenica nie opuścicie już tej góry.

- W takim razie musimy stąd zniknąć. Powinienem się ukryć.

- Musimy obejrzeć to malowidło.

- To zbyt niebezpieczne - zaprotestował Indianin.

- Abigail wciąż wracała do niebieskiego byka. Myślę, że zabójca też tam wraca.

Hostene skrzywił się, ale zaprowadził Shana na małą, otoczoną drzewami polanę. Shan zaledwie po chwili zorientował się, że widział już wcześniej to miejsce. Było to sanktuarium z nagrania wideo, na którym Abigail przekazywała kości rąk i nóg jakiemuś mówiącemu po angielsku człowiekowi. Malowidło było największym, jakie dotychczas widział na tej górze, albo raczej byłoby, gdyby nie zostało metodycznie zniszczone uderzeniami młotka. Na kilku kawałkach tynku, które oparły się ciosom, wciąż widać było okrągłe zagłębienia. Zachowane fragmenty ukazywały tu wdzięczne ramię, tam

oko byka. Ale między nimi ukazywało się coś nowego. Zniszczenie fresku odsłoniło znajdujące się pod spodem znacznie starsze malowidło, ledwo widoczny wizerunek boga z głową smoka.

- Czy ona wiedziała o tym starszym obrazie pod spodem? - zastanawiał się głośno Shan.

- Raczej nie - odparł z wahaniem Hostene. - Tak czy owak, nigdy nie zniszczyłaby fresku.

- Ale wciąż wracała, jak gdyby tutaj tkwił klucz do czegoś - przypomniał mu Shan. - Być może malowidło pod niebieskim bykiem jest właśnie tym kluczem. - Przyjrzał się uważnie małym kwatom mieszczącym postacie ludzi w mnisich szatach i demonów ubranych w ludzkie skóry, które tworzyły obramowanie wokół zajmującego centralne pole boga o głowie smoka.

- Tego dnia, kiedy czekaliśmy na Ma, ona siedziała tutaj - powiedział Hostene, wskazując płaską skałę, tę samą, którą Shan widział na nagraniu - i filmowała każdy szczegół fresku.

Shan uniósł wzrok.

- Byliście tu tego dnia, kiedy kopalnia wyleciała w powietrze?

- Tak. Bo co?

- Co ona zrobiła, kiedy Ma wrócił?

- Kiedy powiedział jej, co się stało, spoważniała. Potem nagle nałożyła swój plecak i kazała nam wrócić do obozu, i nie ruszać się stamtąd.

- Dokąd poszła?

- Patrzyłem za nią. Szła w nowym kierunku, gdzie nigdy nie byłem. - Odwrócił się i wskazał ręką. - Tam. - Pokazywał stromy czarny grzbiet, z którego właśnie uciekli. Shan nie zapomniał opisu, który usłyszał od uciekającego górnika. Po wybuchu w kopalni Abigail udała się na „nawiedzoną gran”.

Ich niespokojne milczenie przerwały chwilę później kolejne wzbijające się spirale w niebo czerwone race. Odwrócili się i rzucili do ucieczki.

Kilka minut później wyglądali zza skraju skalnej półki na niższą część zbocza. Pod nimi ludzie biegli w stronę Małej

Moskwy. Chodron triumfowałaby, gdyby górnicy wzięli pomstę na dwóch ludziach, których naczelnik wioski tak bardzo pragnął dostać w swoje ręce.

- Jak się nazywa ta scena z amerykańskich westernów, gdzie rozwścieczeni obywatele chwytają domniemanego przestępcę? - zapytał Shan.

- Lincz - odparł ponuro Hostene, wskazując kolejną grupę górników posuwającą się wzdłuż stoku na południe. Shan wskazał na szczyt, po czym ruszył pod górę.

Był wczesny wieczór, gdy dotarli do celu wspinaczki - labiryntu potrzaskanych gładów i połamanych skalnych płyt, który prowadził do fortecy Gao. Hostene opadł na skałę, pijąc łapczywie wodę z butelki, którą wyciągnął z plecaka. Indianin, choć w znakomitej jak na swój wiek formie, był u kresu sił.

- Sądziłem, że schronimy się w grocie pustelnika - powiedział.

- Narazilibyśmy na niebezpieczeństwo Lokesha, Yangkego i jego samego - odparł Shan.

Hostene wolno pokiwał głową, po czym spojrzał na pustą butelkę w dłoni.

- Czy to była resztką wody? — zapytał ze skruchą. Uciekając w panice, Shan zostawił swój plecak.

- To nic - odparł Shan. - W pobliżu są źródła. - Nie miał jednak pojęcia, kiedy znów będą mogli bezpiecznie wyjść na stok. Po tej stronie góry poszukiwał ich tłum rozjuszonych górników. Lincz. I mimo zawrotnego tempa, w jakim toczyły się wypadki, odkąd wkroczyli tego ranka do Małej Moskwy, wciąż kołatała się w głowie Shana przestroga, którą szepnął mu Thomas. Jeśli pojawi się po drugiej stronie góry, ma zostać zastrzelony bez ostrzeżenia.

Ze znużeniem przedzierali się przez labirynt, po czym wczołgali się w małą szczelinę pod kamienną płytą, która zwała się z góry. Znaleźli ukrytą głęboko w rumowisku niszę, z której widać było spory szmat nieba. Shan pomógł Hostene'owi rozłożyć koc pod ścianą i w dogasającym świetle dnia rozdzielił między nich całą żywność, jaka im pozostała: kilka grudek suszonego sera.

- To, co Bing mówił o mnie, to nie było dokładnie tak. -



Głos Hostene'a płynął w stronę gwiazd. - Nie kradłem. To było dla Abigail. - Niemal szeptem wyjaśnił, że jego siostrzenica uważała, iż pradawną kopalnię, którą odkryli, należało zachować w tajemnicy przed górnikami. Na starym kamiennym ołtarzu przy wejściu do kopalni, pod nawisem skalnym, znaleźli miedziany posążek dawnego boga. Był wydrążony, w tradycyjnym stylu, a w środku znajdowały się ofiary i coś, co wydawało dźwięk jak kamyki, gdy wzięli go do ręki.

- Złoto - odgadł Shan.

- Ma i Tashi byli tego pewni. Przy naszej pierwszej wizycie zostawili na ołtarzu drobną ofiarę. Później wszyscy robiliśmy to samo. Ale pewnej nocy miedziany posążek został skradziony.

- Sądziłem, że to miejsce było tajemnicą.

- Miało nią być. Tashi był zrozpaczony. Opróżnił kieszenie i położył całą ich zawartość na ołtarzu, jak gdyby dla udobruchania bogów, a kiedy słońce zaszło, zabrał mnie do obozu górników, jakieś półtora kilometra dalej. Górnicy spali. Włączyłem latarkę i zobaczyłem stary posążek. Rzuciłem się, żeby go zabrać, i wtedy jeden z nich się obudził. Strzelił do mnie z pistoletu. Uciekłem, nie zatrzymując się. Ale kiedy znalazłem się w bezpiecznym miejscu i mogłem rzucić okiem, zobaczyłem, że tył posążka został rozgięty dłutem. Był pusty. Stare modlitwy, które były w środku, zostały najpewniej spalone. Nie ukradłem ani odrobiny złota. Ale im zdawało się, że to właśnie chciałem zrobić.

- Kiedy kopalnia została trafiona przez piorun?

- Dwa dni później.

Hostene nie powiedział już nic więcej. Zaczął się wiercić, próbując znaleźć wygodną pozycję do snu.

Bing. To Bing nazwał Hostene'a złodziejem i odruchowo sięgał do pistoletu u pasa. Ale dlaczego, dowiedziawszy się o starej kopalni, miałby ją wysadzać? Po co niszczyć wyeksploatowaną kopalnię?

Opierając się plecami o skałę, Shan zamierzał jedynie przymknąć na kilka minut oczy. Ale kiedy je otworzył, była noc i słyszał ciężki, regularny oddech Hostene'a. Naciągnąwszy Indianinowi koc na ramiona, wyczołgał się z kryjówki, ci-

chutko ruszył tam, skąd przyszli, po czym wdrapał się po jednej z nachylonych płyt na szczyt rozpadliny i w świetle księżyca przeszedł jej skrajem aż do miejsca, gdzie otwierała się na główny stok. Tam położył się i ostatnie sześć metrów przebył, czołgając się na brzuchu.

Półtora kilometra dalej, w stronę Małej Moskwy, wznosił się długi, czarny masyw wysuniętego na zachód grzbietu, nawiedzanej grani, gdzie kościotrupy urządzały sobie spotkania przy grobie. Tego popołudnia nad grzbietem krążyły sępy. Dwa dni wcześniej zginął w tym miejscu rolnik, trafiony przez piorun. Co tam robił? Musiał tropić kogoś na polecenie Chodrona, gdyż nikt nie chodził tam dobrowolnie z obawy przed duchami. Nikt poza Abigail Natay.

Była to pora, kiedy, jak mawiał Lokesh, wiatr wymiata ostatnie resztki światła z czaszy nieba, z każdym podmuchem odsłaniając kolejne sto gwiazd. Wąska srebrna wstążeczka, najbliższy strumień, wiała się po mrocznym stoku pół kilometra dalej. Nad horyzontem pojawił się świetlisty punkcik: planeta. I kolejny na ziemi: ognisko. Niespełna kilometr niżej ktoś rozbił obóz. Płomień, rosnący szybko, był znacznie większy, niż górnicy potrzebowaliby do gotowania. To było ostrzeżenie. A może zmyłka? Prześladowcy próbowali zwieść ich, udając, że zatrzymali się na nocleg, jednak gdy się przyglądał, na tle srebrnego strumienia zarysowały się sylwetki dwóch ludzi. Na szczęście nie mieli talentów dawnych tybetańskich łowców wilków, którzy potrafili bez śladu wtopić się w nocne cienie.

Przez mrok przemknęła koza i wypadła pędem spomiędzy skał, w sporej odległości od dwójki, którą widział Shan. Bez wątpienia kolejna para poszukiwaczy czaiła się przy skałach. Górnicy systematycznie przeczesywali stok nad Małą Moskwą. Jeśli niczego nie znajdą, rankiem zaczną przeszukiwać żleby, jeden po drugim, ustawiając u wylotu każdego z nich wartownika. Lata Binga w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego nie poszły na marne.

Nie strach, lecz głęboka melancholia ogarnęła Shana, a towarzyszyły jej wizje Genduna torturowanego, bitego na sesjach tamzingu, by wypowiedział słowa, których nie rozumiał, z powodów, których nie był w stanie pojąć. Shan

stał się kornikiem toczącym ściany bezpiecznej pustelni Genduna, pasożytem, który wtargnął w życie lamy. Przez własną ślepą głupotę, przez swe naiwne mniemanie, że może stać się jednym z nich, sprowadził do nich koszmary współczesnego świata.

Znalazł sobie nowy punkt obserwacyjny, z którego widać było szczyt oraz oświetlający go księżyc w kwadrze. Burczało mu w brzuchu, którego nie zdołał zapełnić ich skąpy posiłek. Przypomniał sobie, że Dolma dała mu woreczek ryżu. Sięgnął do kieszeni i zważył go w dłoni.

Była to stara więziarska sztuczka. Z worków, które kazano więźniom taszczyć do kantyny strażników, wypadały czasem ziarenka ryżu. Pojedyncze ziarnko, położone na języku, po kilku minutach pęczniało do strawnej bryłki, tak że kilka ziaren mogło niemal uchodzić za posiłek. Wysypał połowę torebki na dłoń, schował woreczek z porcją Hostene'a do kieszeni, po czym spojrział na lśniący w blasku księżyca kopczyk na swej dłoni. Znowu zaburczało mu w brzuchu. To była ostatnia resztką ich jedzenia.

Gdy uniósł wzrok na księżyc, zahukała sowa. Pozwolił, by ziarenka przesywały mu się między palcami na skałę, po czym zgarnął je na kupkę przed sobą. Położywszy jedno ziarenko na języku, przeliczył pozostałe. Tylko sześćdziesiąt trzy. Pospiesznie, z poczuciem winy, wyjął ziarenko z ust i dołożył do kupki, po czym rozdzielił ją na trzy mniejsze, nierówne stosiki i zaczął przeliczać każdy. Był to jeden ze sposobów, w jakie on i jego ojciec zaadaptowali starą metodę losowania rozdziałów *Tao Te Ching*, jedna ze sztuczek, jakie stosowali wierni w obozach reedukacyjnych, gdzie posiadanie tradycyjnych taoistycznych patyczków wróżebnych uchodziło za poważne uchybienie moralne.

Każda kolejka liczenia wyznaczała jedną linijkę tetra-gramu, który rysował palcem w pylistej ziemi obok siebie. Gdy skończył, miał przed sobą układ złożony z linii ciągłej ponad trzema liniami złożonymi z dwóch odcinków każda. W tabeli, której nauczył go ojciec, oznaczało to rozdział czternasty. Gdy po raz pierwszy rozważali go razem, ojciec powiedział mu, że chodzi w nim o geometrię właściwego życia. Shan wyszeptał otrzymany wiersz do księżyca:

*Świat to tajemniczy instrument Stworzony nie po to, by robić z niego użytek. Ci, którzy go zmieniają, niszczą go, Ci, którzy chcą go osiąść, tracą go.*

Siedział bez ruchu, czując, jak w jego umyśle otwierają się drzwi starannie strzeżonego pomieszczenia. Usłyszał przytłumiony głos ojca, szept w głębi długiego korytarza. Zapomniał o strachu, o bezradności, i nasłuchiwał sercem. Wreszcie doleciał go nikły zapach, woń imbiru, który jego ojciec zawsze nosił w kieszeni.

Nie wiedział, jak długo trwał pogrążony we wspomnieniach, ale księżyc stał wysoko na niebie, gdy hukanie kolejnej sowy przywołało go z powrotem do rzeczywistości. Nagle stracił poczucie obecności swego ojca oraz towarzyszących mu mglistych postaci, które były mnichami, z którymi siadywali, kiedy Shan był dzieckiem. Był znów sam jeden nocą na zimnej, smaganej wiatrem grzędzie, świadomy niebezpieczeństw, jakie czekały po obu stronach góry.

Znów zaburzało mu w brzuchu, podniósł więc kilka ziarenek, zamierzając włożyć je do ust, gdy nagle spojrzął na księżyc i opuścił rękę. Nie mógł ich zjeść, nie zmniejszając liczby potrzebnej do losowań. Rzucił je z powrotem na kupkę, by utworzyć kolejny tetragram. Tym razem były to dwie pary złożone z linii podzielonej na trzy części u góry i na dwie u dołu. Oznaczało to rozdział siedemdziesiąty pierwszy, ustęp, który, jak mu się zdawało, odkąd znalazł się w Tybecie, wypadał mu częściej niż jakikolwiek inny:

*Wiedzieć, że się nie wie, jest najlepiej. Nie wiedzieć o swej wiedzy to choroba. Cierpieć z powodu choroby To droga do uwolnienia się od niej.*

Życie wszystkich osób na tej górze, które cokolwiek dla niego znaczyły, włącznie z Indianką, której nigdy nie spotkał, wisiało na włosku i niemożliwe, by wszyscy uszli cało, jeśli Shan nie zdoła rozwiązać makabrycznych zagadek tej góry. W tej chwili jednak wiedział tylko tyle, że nie wie.

A wkrótce będzie musiał zdecydować, czy pójść na zachód, do tych, którzy chcieli zabić Hostene'a, czy na wschód, do tych, którzy chcieli zabić jego. Sowa, którą Hostene nazwał zwiastunem śmierci, usiadła na ziemi dziesięć metrów dalej i przekrzywiła głowę, jak gdyby chcąc przypomnieć mu, że na tę akurat zagadkę znał odpowiedź, nim jeszcze przeliczył ziarenka ryżu.

Nawet wilki przystają, żeby lizać łapy. Dobrze po północy, gdy Shan znów wyrzął zza krawędzi, zobaczył postacie na tle ogniska, znużonych ludzi, którzy rozsiedli się na skałach wokół płomieni. Cofnął się, odszukał ponownie drogę na dno rozpadliny i lekkim dotknięciem w nogę obudził Hostene'a. Nie pytając o nic, Indianin zrolował koc i ruszył za nim. Shan podał mu pełny woreczek z ryżem.

- Proszę - powiedział. - Niech pan położy w marszu kilka ziarenek na języku. - Swoje sześćdziesiąt cztery ziarenka wsypał z powrotem do woreczka. Jego głód ulotnił się podczas końcowego czuwania z sową.

Gdy wyszli w światło księżyca, Shan wyjaśnił swój plan.

- Ale to po tej stronie jest Abigail - zaprotestował Hostene. - Mówi pan, że po wschodniej stronie są żołnierze -dodał płaczącym tonem. - Jeśli mnie zaaresztują, zostanę deportowany. Już nigdy jej nie zobaczę.

- Robimy to z dwóch powodów. Po pierwsze, górnicy są rozwścieczeni. Zabiją pana i wrócą do swego obozu ze śpiewem na ustach. Po drugie, kluczem do znalezienia Abigail jest pustelnik, który uciekł ze swojej groty.

- Rapaki? On nawet jej nie zna.

- Na tej górze są dwie osoby, które próbują rozwiązać zagadkę pozostawioną przez dawnych mnichów. Pustelnik wie o stacjach pielgrzymkowych więcej niż ktokolwiek inny. Myślę, że on i Abigail się znają. Wydaje się niemożliwe, by się nigdy nie spotkali. - Shan wyciągnął z kieszeni pustą puszkę. - Znalazłem to w jaskini Rapakiego.

Indianin wziął pudełko, obracając je w dłoni i unosząc tak, by padał na nie blask księżyca.

- Lemon Freshies - powiedział zdumiony. - Ona przywiozła ze sobą kilka opakowań.

W ciemnościach nad ich głowami zatrzepotał ptak. Hostene uniósł ręce, z dłońmi zwróconymi ku górze, by osłonić twarz. Dłonie. Tak właśnie, uświadomił sobie nagle Shan, musiał wyglądać on sam, gdy poprzedniego ranka zobaczył go Rapaki. Idąc, odtwarzał w pamięci spotkanie z pustelnikiem. Beładny zbitek mantr Rapakiego miał motyw przewodni. „Uczczona przez przebudzonych zmarłych” to urywek najpopularniejszej modlitwy do Tary. „Twarz jak krąg jesienno-księżycyca” to słowa pochodzące z obrzędu wzywającego Tarę. Nawet oszukująca śmierć mantra, którą recytował pustelnik, służyła przywoływaniu Tary. I choć Shan uniósł ręce dla ochrony przed spadającymi kamieniami, dopiero teraz zrozumiał reakcję Rapakiego. Jego kciuki stykały się, płasko ułożone dłonie miał zwrócone na zewnątrz. Nieświadomie wykonał mudrę, i to mudrę stanowiącą specjalną ofiarę dla bogini pod postacią Roześmianej Tary. Shan i Hos-tene szukali Abigail. Rapaki szukał Tary.

- Na jednym ze zdjęć Abigail ma na sobie krótki naszyjnik z wielkim turkusowym wisiorkiem. Często go nosiła? -zapytał.

- To jeden z jej ulubionych. Należał do jej matki. Dlaczego?

-Musimy znaleźć Rapakiego - oświadczył nagłaco Shan. - A kluczem do znalezienia Rapakiego jest Thomas.

- Ten chłopak z tamtej strony góry?

- W grocie Rapakiego były jeszcze inne rzeczy. Nowe ołówki, narzuta w pandy, czysty papier. Nie dostał ich od górników czy Yangkego i z pewnością nie dostał ich wszystkich od Abigail.

Shan prowadził Hostene'a ciemną, niebezpieczną ścieżką krótkimi etapami, przystając co chwila, by odtworzyć w pamięci kolejny fragment terenu. Ani na chwilę nie zapominał o czekających w dole poszarpanych odłamkach gładów, pozostałościach dawnych eksplozji, na które nadziałyby się' gdyby spadli ze śliskich skał. Dwa razy zmylił drogę, tak że musieli zawrócić. Gdy dotarli do prowizorycznego drabiniastego mostu, Hostene stchórzył. Shan zaczekał, aż księżyc wynurzy się z chmury, i zebrawszy całą odwagę, przeszedł po nim w tę i z powrotem, by uspokoić starego Indianina.

Znacznie później, kiedy odpoczywali, patrząc na gwiazdy, Hostene zadał pytanie, nad którym Shan często się zastanawiał.

- Dlaczego dłonie? Dlaczego zabójca odcina im dłonie? Na co mu one?

Ale Shan nie znał odpowiedzi.

- Może ten stary górnik miał rację - szepnął później Hostene — kiedy mówił, że dłonie człowieka są dowodem jego życia.

Godzinę przed świtem dotarli wreszcie do wyjścia na wschodni stok. Shan pokazał niewyraźnie majaczące zabudowania siedziby Gao, a zwłaszcza kamienną budkę, która stała jakieś pięćdziesiąt metrów od głównej budowli, częściowo wkopana w stok.

- Tu kończy się droga z bazy - wyjaśnił. - To dawny magazyn, niegdyś spichlerz. Teraz trzymają tu zapasy.

- A jak już tam dotrzemy, co dalej?

- Ukryjemy się tam. Thomas chodzi, gdzie chce. Wiemy, że kradnie zapasy, prawdopodobnie właśnie z tej budki. Znajdziemy sposób, żeby z nim porozmawiać. — Długa noc z zaledwie godzinnym odpoczynkiem wykończyła go. — Przynajmniej prześpimy się bezpiecznie przez kilka godzin - powiedział ze znużeniem.

Dotarłszy do budki krótkimi zrywami od skały do skały, Shan niepewnie nacisnął dłonią drzwi z desek. Z nie-wysłowioną ulgą poczuł, że ustępują. Przystanął, dopiero w tej chwili spostrzegając dwie niewielkie metalowe skrzynki, leżące na ziemi między budką a pogrążonym w ciemnościach dzongiem Gao, po czym wszedł do środka. Nagle zalał go snop światła latarki. Za jego plecami Hostene wydał zaskoczony okrzyk. Shan zdążył jeszcze dostrzec zielono umundurowaną postać wykręcającą Indianinowi ręce, nim kolba karabinu pozbawiła go przytomności.

Spośród wszystkich mąk, jakie cierpieli więźniowie obozu pracy, największą było to, że kto raz tam trafił, nigdy już go nie opuszczał. Jeszcze długo po zakończeniu kary byli więźniowie przemierzali się bocznymi uliczkami, drżeli na widok munduru, kompulsywnie przemierzali krokami wymiary swych dawnych cel w znacznie większych pomieszczeniach.

Od pierwszego dnia wolności Shan walczył z tymi odruchami. Teraz, gdy leżał w ciemnościach na metalowej pryczy, bezradność opłynęła go niczym mroczna fala. Opór nie miał sensu. Był znów więźniem i pozostanie nim przez następne lata. Nawet gdyby ostatecznie odesłano go do jego dawnego obozu, gdzie spotkałby się przynajmniej ze swym krnąbrnym synem, czekało go nieuchronne urabianie, jakiemu poddawano recydywistów. Jego ramię zaczęło drgać w miejscu, gdzie zostaną mu podłączone zaciski akumulatora. Pod paznokciami poczuł ból, jak gdyby pamiętały, co robili funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, pałkarze.

Nie! krzyknął jakiś wewnętrzny głos. Musi uciec, i to za wszelką cenę. Powali żołnierzy na ziemię i rzuci się biegiem, robiąc uniki przed kulami. Wskoczy z helikoptera tuż po starcie. Rzuci się w dół przez drzwi, jeśli będą przelatywać nad jeziorem. Na górze grasował morderca i Shan musiał go powstrzymać. Gendun znajdował się w szponach Chodrona i trzeba było go ocalić.

Potał guza na głowie w miejscu, gdzie trafił go cios, uświadamiając sobie w nagłej panice, że nie ma pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Betonowa podłoga i kamienne ściany nie pozwalały odgadnąć, gdzie się znajduje. Być może odurzono go narkotykami i wywieziono setki kilometrów od góry. Sprawdził, czy nie czuje na podniebieniu gorzkiego posmaku środków, jakimi bezpieka posługiwała się najchętniej. Nic. Potem od strony sufitu dotarła do niego ledwo uchwytna wibracja, przerywane, rytmiczne dudnienie. Muzyka rockowa.

Przy jego pryczy bezszelestnie pojawiła się niewyraźna postać z latarką w ręku, wyrywając go z niespokojnego snu.

— Za mocno cię uderzyli - powiedziała cicho po tybetańsku, podsuwając mu porcelanową filiżankę parującej herbaty. - Ci żołnierze to w większości jeszcze dzieci. Chłopcy z karabinami.

Gospodyni Gao pomogła mu usiąść i przetarła mu głowę wilgotną szmatką, podczas gdy on pił mocny napar. Odpowiadała na jego pytania pospiesznym szeptem, wyjaśniając, że żołnierze przynieśli go tu, do piwnicy wieży, że przeleżał w tym pomieszczeniu nieomal pół dnia, że drugi pan jest przygotowywany, że po południu ma przylecieć he-



likopter. Shan zerwał się i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, gdzie przywarł na chwilę do framugi, czekając, aż ustaną zawroty głowy. Potem wyszedł na zewnątrz.

Krótki korytarz doprowadził go do pozbawionego ozdób pomieszczenia, w którym podczas poprzedniej wizyty widział Gao ćwiczącego tai chi. Gdy wchodził po schodach do salonu, z krzesła przy drzwiach wejściowych zerwał się mężczyzna w zielonym mundurze polowym, sięgając do kabury pistoletu. Shan zamarł, chłonąc wzrokiem nieoczekiwaną scenę. W jednym z wyściełanych foteli siedział rozwalony niedbale Thomas, czytając zachodnie czasopismo. Kohler stał przy teleskopie, obserwując gniazdo z opierzonymi pisklętami sępa. Przy małym stoliku ustawionym przed długim rzędem okien Gao i Hostene grali w szachy. Z ukrytych głośników sączyły się stłumione dźwięki orkiestry smyczkowej.

Gao pochwyił wzrok żołnierza i uniósł dłoń. Żołnierz zmarszczył brwi, ale cofnął się. Gdy dotarł do swego krzesła, Gao wykonał kolejny gest i strażnik opuścił pokój.

-Przegapiliście lunch, inspektorze - oświadczył z rozbawieniem Kohler.

- Te metalowe skrzynki to jakieś urządzenie nadzorujące? - zapytał Shan.

- Detektory ruchu - potwierdził Kohler. - Powiedzieliśmy wojsku, że mamy problemy z dzikimi zwierzętami.

- Co oznacza, że nie życzyacie sobie kolejnych gości z tamtej strony góry - dopowiedział Shan.

Hostene wstał i przyjrzał się uważnie otarciu na jego skroni, po czym skinął głową, jakby zadowolony z oględzin.

-Wszystko w porządku - powiedział Indianin. - Oni wiedzą, kim jestem.

- Jak rozumiemy, uratowaliście naszego nowego amerykańskiego przyjaciela - odezwał się doskonałą angielszczyzną Gao.

- Po raz kolejny - dodał Hostene.

- Na razie - odparł Shan, starając się dyskretnie obserwować drzwi. Thomas mówił, że Gao chce się go pozbyć, w razie konieczności nawet za pomocą kuli.

- Ale teraz jest wolny - powiedział Gao. - Po tej stronie góry. Jego koszmar się skończył.

-Zostawiliśmy tam... - Hostene jak gdyby zastanawiał się, jakiego użyć słowa - kogoś. Shan i ja musimy wrócić.

Gao westchnął, jak ojciec tracący cierpliwość do swych dzieci.

- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że to zbyt niebezpieczne.

Kohler wszedł wolnym krokiem między Shana a Hostene<sup>^</sup>, bawiąc się końcem udrapowanego na kołnierzu białego kaszmirowego szala. Spojrzał na nich.

- Nielegalny obcokrajowiec i wyjęty spod prawa detektyw. Być może nie mogą zdecydować, która strona jest dla nich bardziej niebezpieczna. Po tamtej czekałaby ich jedynie rozprawa z szalonym mordercą.

- Heinz, zapominasz chyba, że inspektor Shan przez całą swą karierę zawodową sprawnie lawirował po pekińskich polach minowych.

- Przez połowę kariery - wtrącił Shan. - Wolę myśleć o tym jako o rytuale przejścia.

- Pamiętam za to dobrze - odparł Kohler - że przy poprzedniej wizycie opuścił nas dość niespodziewanie.

- Tym razem nie będziemy tak niedbali - stwierdził Gao. - Wezwaliśmy posiłki z bazy.

-Ja wracam - oświadczył Hostene. - Górnicy w końcu uspokoją się, a wtedy muszę wrócić. Nikt mnie nie powstrzyma.

Gao wzruszył ramionami.

- Zdawało mi się, że wspomniałem o żołnierzach.

- Oni już tu byli - zauważył Hostene. - Nie wzywał ich pan z mojego powodu.

Kohler przewrócił oczyma. Gao skinieniem głowy uznał celność argumentu.

- Po tamtej stronie góry jest moja siostrzenica. Poruszę niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć.

Gao zerknął z zakłopotaniem na Kohlera.

- Pańska siostrzenica? Pozwolił pan młodej dziewczynie wędrować samotnie po tej górze?

- Ona ma trzydzieści cztery lata i jest profesorem antropologii. Byliśmy razem, w czteroosobowej grupie badawczej.

Twarz Gao rozjaśniła się nagłym zrozumieniem.

- Pozostałe dwie osoby padły ofiarą morderstwa. Hostene z powagą skinął głową.

- Myślę, że ona sądzi, że ja też nie żyję. Nikt jej nie widział od czasu tamtej zbrodni. , .

- Ja być może widziałem - oświadczył Kohler. - Pięć dni temu. Przez lornetkę.

Indianin podszedł do niego z nagłym błyskiem w oczach.

- Byliście po drugiej stronie? - zapytał Shan.

- Polowałem na wilki. Czy ona ma długie czarne warkocze? Szarą bluzę sportową? Kobieta, którą widziałem, sprawiała wrażenie, jak gdyby mierzyła coś na skale. Raz po raz przerywała, by obejrzeć się przez ramię.

- Ale chyba poszedł pan sprawdzić, kim ona jest? - zapytał Hostene.

Kohler wzruszył ramionami. r -Szedłem za świeżym tropem. Zamierzałem wrocic tam, jeśli znajdę wilka albo zgubię trop. Ale wymknął mi się. A kiedy wróciłem, jej już nie było. Przykro mi. Nie wiedziałem.

- Gdzie to było? - zapytał Hostene.

Kohler wyciągnął z półki składaną mapę i rozłożył ją na stole. Hostene i Shan przysunęli się bliżej.

- Tu - odparł, wskazując punkt leżący trzy kilometry ponad Małą Moskwą. - Nie zeszła w dół stoku, bo wtedy bym ją widział. A to - wskazał zagęszczenie falistych warstwie, stromiznę w pobliżu wierzchołka - jest teren zakazany. Powinna mieć więcej rozsądku. Przykro mi - dodał.

- Co ma pan na myśli?

- Tam, w górze, jest zbyt niebezpiecznie. Wilki. I wiatry. Porywy wiatru nadciągają z nienacka, dość silne, by zdmuchnąć człowieka z urwiska. A wyżej dochodzą do tego pioruny.

- Pioruny? - zdziwił się Hostene. - Wszyscy tak przejmują się tu piorunami. Przecież chyba nie są tu groźniejsze niż gdzie indziej?

- Nieprawda - odparł Kohler. - To fakt naukowy. Jakaś anomalia geologiczna, prawdopodobnie związana ze złożami żelaza na tej górze. Badaliśmy to, zanim założyliśmy bazę w dole żeby się zorientować, jaki wpływ może to mieć na naszą telemetrię radiową. Pioruny uderzają tu częściej niż

w jakąkolwiek inną górę w promieniu setek kilometrów, a być może w ogóle w całych Chinach. Przez Himalaje przewalają się chmury burzowe, niosące wodę z oceanu. Pozbywają się tej wody na południowych stokach, z tego powodu w Tybecie jest tak sucho. Gdy docierają na północną stronę łańcucha, są jednak wciąż jeszcze naładowane energią. Rozładowują ją właśnie na Górze Śpiącego Smoka. Konfiguracja pasm górskich kieruje burze do nas. Złoża metali na szczycie robią resztę.

Hostene i Shan spojrzeli po sobie z niepokojem. Pioruny. Abigail szukała siedziby górskiego boga, smoka, który rodził pioruny.

- Przykro mi - dodał żalobnym tonem Kohler. - Powinienem był pójść ją ratować.

- Ratować? - powtórzył z przerażeniem Hostene. Niemiec wyszedł na kilka minut, po czym wrócił z kawałkiem materiału w dłoni.

- Próbowałem odnaleźć ją później i następnego dnia też. Wydaje mi się, że widziałem ją jeszcze raz. Myślę, że to była ona. Zobaczyłem w oddali postać stojącą na wysokiej półce skalnej, diabelnie niebezpiecznym miejscu. Nagle zerwała się nawałnica. Nawet bez piorunów wiatr zdmuchnąłby z tego urwiska wszystko, co nie było umocowane linami. Błyskawice nie pozwoliły mi dostrzec, co się stało. Ale potem poszedłem sprawdzić u stóp urwiska. Nie mam pewności, kto to był. To wszystko, co znalazłem.

Rzucił szmatę na mapę. Hostene drżącą ręką wygładził i wyprostował ją. Był to zwęglony strzęp materiału z szarej bluzy sportowej. Mimo wypalonych w nim dziur angielskie słowa wokół małego żółtego słońca wschodzącego ponad górami były wciąż czytelne. Zachowane litery mówiły: The U ver ity of New Me ico.

Hostene ukrył twarz w dłoniach.

- To mógł być jeden z górników - dodał Kohler. - Nie wiem. Może jakiś górnik znalazł bluzę i włożył ją.

- To był górnik - dobiegł męski głos od strony drzwi do kuchni. - Na pewno. - Stał tam Thomas, ze słuchawkami na szyi.

- O czym nam nie mówiłeś? — zapytał ostro Gao.

Thomas opadł na krzesło.

- Myślałem, że uda mi się ją znaleźć. Dzień przed morderstwami przechodziłem obok jednego z tych starych malowideł, zarośniętego krzakami tak, że ledwo było je widać. Trzy dni temu znów mijałem to miejsce i malowidło było odsłonięte. Ktoś ściał krzak, a na ziemi były świeże ślady statywu.

Shan przyglądał się mówiącemu chłopcu, przypominając sobie jego ostrzeżenie, że Gao zabije go, jeśli kiedykolwiek zjawi się po drugiej stronie góry. Czy Thomas okłamał go umyślnie? Czy może Gao zmienił zdanie?

-A wczoraj spotkałem górnika, który pracował sam jeden, podśpiewując sobie. Miał nowy szwajcarski zegarek. Powiedział, że dostał go od jakiejś kobiety w zamian za konia. Wypytała go o drogę do najbliższego miasta, do Tashtul, i odjechała galopem. Mówiła po tybetańsku, ale nie знаła chińskiego.

Hostene natychmiast znalazł się obok Thomasa i położył mu dłoń na ramieniu.

- Widziałeś dobrze ten zegarek?

- Srebrny. Z czerwonym krzyżem na tarczy. Obrzeżony turkusikami.

- To jej! Sam jej go dałem! W końcu uświadomiła sobie, w jakim jest niebezpieczeństwie, i odjechała - stwierdził z ulgą Indianin.

- Dzięki Bogu - westchnął Kohler. - Wybierałem się jutro do miasta w interesach - oświadczył. - Wyjadę dzisiaj. Jeśli wojsko da mi do dyspozycji helikopter, mogę być tam przed zmrokiem, prawdopodobnie zanim jeszcze ona tam dotrze. Tashtul to mała miejscina, a stąd prowadzi tam tylko jedna droga. Znalezienie Amerykanki jadącej na wyczerpanym koniu nie powinno być trudne.

Było to, jak szybko uznali, najbezpieczniejsze rozwiązanie. Hostene'owi trudno byłoby pokonać w pojedynkę długą drogę do miasta, a Shan nie chciał opuszczać góry, dopóki Gendun i Lokesh nie będą bezpieczni. Natomiast Hostene lecący z Kohlerem wojskowym helikopterem mógłby wzbudzić u funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa wątpliwości, których nie dałoby się wyjaśnić bez problemów. Kohler będzie musiał odbyć tę podróż sam.

Hostene wyraźnie odprężył się, gdy Kohler pojawił się znowu, gotów do podróży, z plecakiem na plecach. Niemiec energicznie uściśnął dłoń Indianina, zapewniając go, że jego siostrzenica będzie bezpieczna, po czym ruszył ścieżką prowadzącą do bazy w dole.

Gospodyni przyniosła miseczki z zupą. Zarówno Shan, jak i Hostene zjedli po dokładce, po czym Indianin przyjął zaproszenie Gao, by skorzystać z gościnnej sypialni w dolnej kondygnacji wieży, za kuchnią.

- Co ja mam z wami zrobić, Shan? - zapytał Gao, gdy tylko zostali sami.

- Pomóżcie mi znaleźć mordercę.

- Nie. To nie moja sprawa. Wasza też nie. Heinz zawiadomi Urząd Bezpieczeństwa, gdy tylko dotrze do miasta. Nie przynieśliście sprawiedliwości. Przynosicie smutek. Przynosicie zamęt. Sprowadzacie tłumy - powiedział. - Zostawcie lepiej dochodzenie władzom.

- To właśnie najbardziej wytrąca was z równowagi, prawda? Ze ktoś zakłóca wam spokój.

Oczy Gao zwięziły się.

- Nie wybrałem tego miejsca przypadkowo. Żądałem anonimowości. Tajemnicy. Prywatności. Poświęcono dość znaczne środki, żeby zapewnić mi to wszystko.

Prywatność. Był to, jak Shan dobrze wiedział, najrzadszy skarb w całych Chinach.

- To elegancka pustelnia — zauważył. — Niektórzy zadowolają się pieczarami.

Gao zignorował go.

- Rząd potrafi bardzo gorliwie chronić swą inwestycję. Shan poczuł, jak w żołądku zaciska mu się supeł.

- Co zrobiliście?

- Obiecałem Kohlerowi, że kiedy jutro zjawią się tu siły Urzędu Bezpieczeństwa, udostępnicie im wszystko, czego się dowiedzieliście.

-1 wy martwicie się, że to ja zakłócam spokój waszego ustronia? Poczekajcie, aż zwałą się tu pałkarze безпеki. Ci przewrócą tę górę do góry nogami. Nim skończą, wasza mała twierdza znajdzie się na pierwszych stronach amerykańskich gazet.

Gao przyglądał się Shanowi w milczeniu. Zmarszczył brwi.

- Macie jakieś książki o medycynie? - zapytał Shan. -Może leksykon leków?

Gao odwrócił się z lodowatym spojrzeniem.

- Co chcecie sprawdzić?

- Papier i ołówek?

Gao wskazał szufladę kredensu.

Shan szybko zapisał na kartce nazwy leków z torby Hostene<sup>^</sup> i podał mu ją. Gao odszedł z nią do swego gabinetu. Shan wstał już, by pójść za nim, rozmyślił się jednak i wyjął więcej papieru z kredensu. Długo siedział, wpatrując się w pustą kartkę, po czym zaczął notować w krótkich zdaniach znane mu wydarzenia. Ginie górnik. Bing wybrany na przywódcę górników. Zniszczenie starej kopalni. Abigail składa szkielet. Młody górnik ginie przy malowidle z niebieskim bykiem. Zniszczenie piaskowego obrazu. Profesor Ma i Tashi, przewodnik, giną zamordowani. Sprzęt biwakowy zrabowany. Zwłoki okaleczone, dłonie usunięte. Sprzęt Abigail znika z pieczary.

Wszystkie te wydarzenia łączyły ze sobą związki, których nie umiał dostrzec. Ale czy w ogóle uszeregował je we właściwej kolejności? Przyjrzał się swym zapiskom, po czym dodał jeszcze trzy zdania. Nałożenie canaue Yangkemu. Wyprawa Hostene'a do obozu Binga. Thomas, początkujący przedsiębiorca, zaczyna znosić Rapakiemu kosztowne dobra, za które ten nie jest w stanie zapłacić.

Po blacie stołu podjechała do niego opasła księga. Kilka stron zaznaczono w niej paskami papieru.

- Rak - oświadczył Gao. - To są leki dla osoby w zaawansowanym stadium raka.

Serce Shana znów skurczyło się boleśnie. Powoli otworzył książkę i przejrzał zaznaczone strony.

- Może leczą też inne choroby?

-Nie. To wysoce wyspecjalizowane, bardzo kosztowne leki. Raczej niedostępne w Chinach - dodał znacząco. -W tej kombinacji nie mają żadnego innego zastosowania. Takie środki nie dopuszczają do osłabienia organizmu przez nowotwór aż do ostatniego stadium.

Shan patrzył niewidzącym wzrokiem, obracając ołówek, który wciąż trzymał w dłoni, gdy przebiegał pamięcią wszystko, co przydarzyło się Hostene'owi: jego śpiączkę, jego zmęczenie, fakt, że został pominięty przez zabójcę. Mądry stary Indianin, który tak bardzo przypominał mu Lokesha, umierał i, co gorsza, miał tego świadomość. Zamęt w myślach i smutek przeniosły Shana w mroczne, nieznane rejony, aż nagle ołówek złamał się, a on wyrwał się z transu.

-Detektory ruchu - wyszeptał w końcu - jak one działają?

- Promieniowanie podczerwone - odparł Gao. - Czujniki z nadajnikami na baterie słoneczne, wszystko bezprzewodowe.

- Dokąd idą dane?

-Są przekazywane do komputera w moim gabinecie i przechowywane na twardym dysku.

Pięć minut później siedzieli przy małym stoliku w gabinecie Gao, przeglądając zapisy z ostatnich dwudziestu czterech godzin i obserwując ruch niewyraźnych żółtych kształtów na ekranie, podczas gdy w lewym dolnym rogu przewijały się liczby określające datę i godzinę transmisji. Najmniejsze plamki oznaczały drobne zwierzęta, które gnieździły się na skalistym stoku. Większe plamy sygnalizowały przemieszczanie się ludzi, choć żołnierze uprzedzili Gao, by nie zwracał uwagi na kształty pojawiające się o świcie i zmierzchu w pobliżu określonych formacji skalnych, gdyż są to stadka wiewiórek ziemnych wchodzących i wychodzących ze swych nor.

- Czasami zdarzają się fałszywe sygnały - przyznał Gao. Pokazał Shanowi spory kształt oddalający się od domu w górę stoku.

- Kohler idzie na polowanie - powiedział, po czym wskazał dwa kształty, które przedstawiały nadchodzących rankiem Shana i Hostene'a. Obserwowali ruchy w pobliżu domu. - Thomas pomaga gospodyni przynosić zapasy. Latem trwałe artykuły przechowujemy w starym spichlerzu.

Shan przyjrzał się, w jakich godzinach zarejestrowano ruch przy małym budynekczku.

- Czy Thomas chodzi tam tylko w okolicach pór posiłku?



- Powierzyliśmy mu z Heinzem prowadzenie inwentarza. To poważne zadanie, bo nie możemy wyskoczyć do sklepu, kiedy zabraknie nam takiej czy innej rzeczy.

- Zawsze możecie poprosić Urząd Bezpieczeństwa o sól i ryż - zauważył Shan. Wciąż nienawidził Gao za to, kim był.

- Sekretarz partii zareagowałby z miejsca - odparł sucho Gao. - Ale regionalni szefowie nie zawsze są tak uczynni.

Gdy nagranie się skończyło, Shan wpatrywał się przez chwilę w pusty ekran, po czym poprosił Gao, by odtworzył je jeszcze raz. Przy pierwszym przeglądzie przeoczył rozmazane plamy koloru, pojawiające się na moment w lewym górnym rogu, ale zauważył je teraz. Poprosił Gao o jeszcze jedną powtórkę. Znow na ekranie pojawił się błysk, który, choć przelotny, sygnalizował obecność człowieka.

Gao zaprowadził Shana do głównego wejścia i pokazał mu, gdzie znajdują się czujniki. Inspektor dostrzegł martwe pola; promieniowanie podczerwone nie przenikało przez skały. W okolicy było mnóstwo niskich grzbietów skalnych, wzdłuż których ktoś mógł się czołgać, niedostrzegalny dla detektorów. Shan wskazał, którądy nieznany intruz mógł okrążyć dom.

- Czy to mógł być ktoś z wioski?

- Nie. Oni nie są tu mile widziani - odparł Gao.

- Ale przychodzą. Przynoszą prezenty.

- Nic, o co bym prosił. Ten głupiec Chodron przychodzi każdej wiosny, płaszcząc się i przynosząc mi upominki. Chyba wydaje mu się, że w ten sposób zapewnia sobie spokój ze strony wojska.

- Ale niedawno przysłał wam coś innego. Złotego żuka.

- Chciał, żebym pomógł mu się pozbyć pewnych intruzów - odparł Gao. - Odmówiłem mieszania się w te sprawy. - Ponownie wbił wzrok w ekran.

- Czy to mogli być strażnicy? — zapytał Shan.

- Nie. Oni zazwyczaj przychodzą dwa razy dziennie, sprawdzają system, po czym robią obchód wokół domu i odchodzą. Odesłałem ich do jutra. Gdyby dowiedzieli się, że jest tu cudzoziemiec, tak blisko bazy, mogłoby to być... -urwał, szukając odpowiedniego słowa - problematyczne. -Gao zmarszczył brwi, wpatrzył się w pusty teraz ekran,

po czym podszedł do okna gabinetu. Najwyraźniej ktoś obserwował jego dom. Ktoś, kto wiedząc, że zainstalowano czujniki, przemykał się pod osłoną skał, pozostawiając jedynie najniklejsze ślady.

-Dlaczego ten Amerykanin przyjechał tu, jeśli jest umierający? - zapytał po chwili fizyk.

- Może po to, żeby udowodnić, że nadal żyje - podsunął Shan.

Ale Gao sam odpowiedział sobie na własne pytanie.

- Ile jest miejsc na świecie, które byłyby tak kompletnie poza zasięgiem wzroku wszelkich władz? Z pewnością w Ameryce już takich nie ma.

-Hostene nie przybył do Tybetu, żeby popełnić przestępstwo.

- Wiemy, że popełnił już niejedno przestępstwo. Podstępem uzyskał prawo wjazdu do kraju, zapewne udzielając fałszywych informacji w podaniu o wizę. Nielegalnie wkroczył na zakazany teren. Nie ulega wątpliwości, że jest przestępcą, nawet jeśli nie znamy pełnej listy jego wykroczeń.

- Ja mu ufam.

Gao spojrzał na Shana i z rozczarowaniem pokręcił głową.

- Życie w bajce, Shan. Będziecie musieli z niej wyrosnąć.

Shan przyjrzał się uważnie twarzy Gao. Kiedy indziej wziąłby może tę uwagę za gorzki żart. Teraz jednak nie dostrzegał w minie fizyka ani śladu drwiny, jedynie smutek podobny do tego, który odczuwał on sam.

-To wy życie jak w bajce, Gao - powtórzył jak echo. - Prowadzicie urojoną egzystencję w urojonym zamku. Wiecie, że będziecie musieli z niej wyrosnąć.

Ludzie tego pokroju policzkowali go za znacznie mniej bezczelne słowa. Ale Gao po prostu opuścił pokój. Shan znów spojrzał na ekran, zerknął na drzwi, po czym szybko zamknął program i przejrzał plik papierów, leżący na tacce obok faksu. Thomas wysłał niedawno parę wiadomości do Pekinu, każdą z potwierdzeniem, że wyekspediował nową partię dowodów - zdjęcia, odciski palców, a później także włókna z zakrwawionego kawałka tkaniny, wepchniętego w usta jednej z ofiar.

Shan zastał fizyka przy teleskopie, obserwującego odległe gniazdo sępów.

- Martwię się o Alberta - powiedział Gao. - Za bardzo wychyla się z gniazda. Nie ma jeszcze lotnych piór.

- Zanim można nauczyć się latać - zauważył Shan — trzeba nauczyć się bać.

Gao wciąż przyglądał się pisklętom.

- Możemy opóźnić odesłanie Hostene'a o dzień lub dwa — powiedział. - To dałoby mi czas na sprowadzenie lekarza, który by go zbadał. Żaden z nas nie chce, żeby umarł tu, na tej górze.

- Jeśli umrze na tej górze - odparł Shan - to nie na raka.

Gao wzruszył ramionami i ruszył w stronę swego piaskowego ogrodu w dole.

- Na razie nie budźmy Amerykanina, póki śpi.

Ale Shan nie mógł zaznać spokoju. Znalazł plecak Indianina i naładował akumulator kamery wideo. Od piętnastu minut przeglądał nagrania Abigail, gdy z kuchni wynurzył się Thomas z pustym koszykiem w ręce, ubrany w czarną lnianą koszulę.

- Porozmawiajmy o dowodach - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Kiedy uporam się ze swymi obowiązkami - dodał.

Shan wpadł do sypialni Hostene'a i potrząsnął nim, gestem nakazując mu milczenie. Podniósł kamerę i wskazał leżący na skale długi, srebrny przedmiot.

- Czyje to jest? — zapytał szeptem.

- Tashiego - odparł Hostene, ziewając. - To jego piórniki. Trzymał w nim małe rysunki i drobiazgi. Obudził mnie pan z tego powodu?

- Nie - odparł Shan. - Musi pan pójść ze mną do spichrza - powiedział nagłaco.

Hostene przeciągnął się.

- Do tej kamiennej ruiny? Dlaczego?

- Z powodu pewnego ducha w detektorach ruchu - wyjaśnił Shan. - I dlatego że Thomas przebrał się w czystą koszulę, idąc po zapasy.

## ROZDZIAŁ 7

Dotarli do spichlerza jak poprzednio, przebiegając razem od skały do skały, kryjąc się w cieniach, dopóki się nie znaleźli przy zbitych z desek drzwiach niskiej kamiennej budowli. Gdyby Gao akurat w tym momencie włączył program monitorujący, uznałby zapewne, że ruch na ekranie jest spowodowany przez Thomasa. Shan spojrzął na kłódkę, która wisiała otwarta na skoblu, i zajrzał do środka. Za stertą worków z ryżem i cebulą, na której szczycie stała mała latarnia, zobaczył drugie drzwi. Nie było ani śladu po Thomasie. Cofnął się, szepnął parę słów do Hostene'a, po czym obaj przemknęli się wzdłuż ścian budowli.

Thomas wyszedł piętnaście minut później. Postawił koszyk, teraz wypełniony wiktuałami, na skale przed drzwiami, po czym odwrócił się, by zamknąć kłódkę.

- Wiedziałeś, że wczoraj górnicy próbowali nas zabić? -zapytał Shan, wychodząc z za węgła.

Przez chwilę chłopak wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się na niego, potem jednak wzruszył ramionami.

-Ten Bing - powiedział - mówi ludziom, że powinni w dalszym ciągu uważać go za funkcjonariusza bezpieczeństwa, tyle że bez całej biurokracji.

-Te urządzenia łatwo oszukać, Thomas - stwierdził Shan, wskazując najbliższy detektor ruchu. - Gdybyś obrócił każde o ćwierć obrotu, powstałby korytarz, w którym byłyby ślepe. Albo jeśli postawisz przed którymś z nich zapaloną świeczkę, oślepiasz ten czujnik.

Thomas spojrzął na niego niepewnie, po czym, kierując się jego sugestią, zaczął obracać metalową skrzynkę. Shan wyczuł za swymi plecami Hostene'a, wchodzącego do środka. Thomas znieruchomiał, jak gdyby także coś wyczuł. Usłyszeli cichy jęk z wnętrza spichrza.

Chłopak zmartwiał i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał uciec.

- Wykiwaliście mnie - powiedział urażonym tonem.

Ze środka dobiegały teraz stłumione okrzyki radości, a po chwili cichy, kobiecy szloch. Thomas usiadł na skale.

- Nie uwierzylibyście, ile ona wie o rock and rollu - powiedział. - Jeździ samochodem z radiem satelitarnym, które odbiera dwieście pięćdziesiąt stacji. Mówi, że kiedy skończę w Pekinie, pomoże mi dostać się na studia podyplomowe w Ameryce.

Shan dał Hostene'owi jeszcze pięć minut. We wnętrzu spichrza Abigail Natay płakała na ramieniu swego wuja. Otarła łzy rękawem dzinsowej koszuli i wyciągnęła dłoń do Shana, uśmiechając się nieśmiało.

- Niektórzy starzy Tybetańczycy mówili mi, że są rzeczy zbyt ważne, by ubierać je w słowa - powiedziała głosem ochrypłym ze wzruszenia.

- Myślę, że to, co czuję, odzyskawszy dzięki panu swego wuja z królestwa zmarłych, do takich należy.

Niecodzienne powitanie od obcej osoby, pomyślał Shan. Ale ona nie była obcą osobą, przypomniał sam sobie. Była znajomą postacią z ekranu kamery wideo. Nieśmiało uścisnął jej dłoń.

- Starzy Tybetańczycy powiedzieliby, że on wciąż jeszcze ma coś do zrobienia w tym wcieleniu — powiedział.

- Pańska góra jest najpiękniejszym i najbardziej przerażającym miejscem, jakie znam - odparła Abigail.

- Wśród zagadek, których nie zdołałem jeszcze rozgryźć - stwierdził Shan - jest ta, czyja właściwie jest ta góra. - Nieomal dodał, iż czasem zdaje mu się, że gdyby tylko rozwiązał tę zagadkę, wszystko inne stałoby się jasne.

Hostene i jego siostrzenica zaczęli rozmawiać ze sobą, od czasu do czasu przechodząc na swój ojczysty język. Abigail pokazała wujowi przytulne gniazdko z kocy między stosami zapasów w wewnętrznym pomieszczeniu, gdzie ukrył ją Thomas. W niebieskim nylonowym plecaku, który leżał otwarty przy drzwiach, widać było mały aparat cyfrowy, plastikową kosmetyczkę i kilka patyczków ketaan.

Thomas, przybity i milczący, wszedł za nimi do spichrza i usiadł na drewnianej skrzynce obok Shana.

- Wykiwaliście mnie - powtórzył.

- Ty wykiwałeś nas wszystkich - rzucił w odpowiedzi Shan.

Thomas splótł dłonie i utkwiał w nich wzrok. Co dziwne, Shanowi zrobiło się żal chłopaka.

- Nie miałem jeszcze okazji obejrzeć twoich notatek ze śledztwa - powiedział mu. - Chciałbym też usłyszeć, jak i kiedy ją spotkałeś. To było u Rapakiego?

- Zanoszę mu różne rzeczy. Wujek Heinz twierdzi, że on przynosi szczęście, tak jak gniazdo śpiewającego ptaka pod okapem. Porozumiewamy się na migi, bo ja nie znam tybetańskiego.

Shan się zastanowił.

- Ale z Abigail rozmawiasz po angielsku?

- Jasne. Tak czy inaczej, widziałem go miesiąc temu i chciałem dać mu paczkę herbatników. Zaczął machać ręką w inną stronę, śpiewając jedną ze swych piosenek. Pokazywał mi nadchodzącą ścieżką Abigail. Jak jakąś boginię. Kto by pomyślał, że na tej górze można spotkać kogoś takiego jak ona?

- Więc poznałeś ją jeszcze przed morderstwami? Thomas skinął głową.

- Ale ona nie chce o nich rozmawiać. Może teraz, kiedy wie, że jej wuj żyje, to się zmieni.

- Widziałeś ją dzisiaj rano? - zapytał Shan.

- Z samego rana, w drodze do Małej Moskwy.

- Uciekłeś stamtąd, żeby ją ostrzec? Chłopak znów skinął głową.

- Postaraliście się, żeby wszyscy górnicy wiedzieli, że ona wciąż żyje - dodał znacząco.

Shan przyjrzał mu się z nagłym niepokojem.

- Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem zabójca jest tam, między górnkami?

- Na pewno — odparł Thomas. — Przynajmniej taka jest moja hipoteza. Potrzebuję wiarygodnej teorii albo moja praca będzie do niczego.

Abigail ze łzami w oczach wymówiła dwa imiona: Tashi

i doktor Ma. Znow oparła się o ramię Hostene'a. Nagle wydała stłumiony okrzyk, patrząc gdzieś poza Shana.

W drzwiach pojawiła się nowa postać. Gao niósł w zgięciu ręki strzelbę Kohlera, w dłoni zaś trzymał jeden z małych nadajników radiowych, za pomocą których wzywał żołnierzy z bazy. Na jego twarzy, która w pierwszej chwili przedstawiała mieszaninę emocji, teraz malował się chłodny gniew. Gdy zbliżył się do swego bratanka, Abigail stanęła pomiędzy nimi.

- Prosiłam go, żeby mnie ukrył - powiedziała spokojnie po angielsku.  
- Mówił mi, że zna bezpieczne miejsce, gdzie będę mogła nieco odpocząć. Zgodziłam się iść z nim tylko pod warunkiem, że pozostanę niewidzialna. On próbował mi pomóc, chronić mnie.

Gao przyglądał się Indiance w milczeniu, ogarniając wzrokiem jej solidne buty turystyczne, wyświechtane niebieskie dżinsy, saszetkę przy pasku, z której wystawały pisaki, turkusowy wisiołek na srebrnym łańcuszku, długie, splecione w warkocze włosy, ciemne, inteligentne, patrzące śmiało oczy.

- Niewidzialna?  
- Muszę skończyć swoją pracę, a to wymaga, by nikt nie wiedział o mojej obecności po zachodniej stronie góry.

Gao spojrzał ponad jej ramieniem na swego bratanka.  
- Oszukałeś nas, Thomas - powiedział. - Okradasz mnie i rząd, który płaci za wszystko, co tu mamy. Po co? By zostać spekulantem? By przynieść nam wstyd i stracić prawo powrotu na uczelnię?

Abigail spoglądała to na niego, to na Thomasa. Jej bystre oczy ogarniały całą scenę.

- To było dla mnie - oświadczyła. - Morderca zabrał całą moją żywność. Z chęcią panu zapłacę.

Gao przeniósł surowy wzrok z bratanka na Indiankę.  
- Źle mnie pani zrozumiała. Mam na myśli towary, które sprzedawał po drugiej stronie góry - odparł.

Thomas spojrzał z zakłopotaniem na Shana, po czym, pojmując nagle, zamknął oczy. Gao mógł się dowiedzieć o tym tylko w jeden sposób: od jego drugiego wujka. Fizyk, wciąż patrząc na Indiankę, zaczął nagle sprawiać wrażenie,

jakby nie wiedział, co zrobić ze strzelbą. Opuścił ją, po czym schował za plecami. - Nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni, panno Natay.

- Pan jest Gao Hu Bu, najślynniejszy fizyk-widmo na świecie.

Gao mimo woli wygiął usta w przelotnym uśmiechu. Zerknął znów na Thomasa.

- To musi się skończyć - powiedział do chłopaka. -Wszystko. Baw się tak dalej, a dopilnuję, żeby jakiś sierżant o posturze jaka odwiózł cię z powrotem do Pekinu. - Ukłonił się lekko Abigail i Hostene'owi. - Jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, za pół godziny siądziemy do kolacji. Będzie dość czasu na gorący prysznic, jeśli ma pani ochotę - zwrócił się do Abigail. Potem, wciąż niezdarnie ukrywając strzelbę, gestem skierował Thomasa i Shana do drzwi.

Abigail wyglądała promiennie, gdy weszła do oświetlonej świecami jadalni, witając swego wuja kolejnym długim uściskiem i czułymi słowami w ich plemiennym języku, uśmiechając się do Shana, po czym pytając zaskoczonego Gao, gdzie przed przebudową starego dzongu znajdował się ołtarz, gdyż, jak wiedzą wszyscy Tybetańczycy, w takich twierdzach stacjonowali mnisi-wojownicy. Kierowała rozmową, jak gdyby była gospodynią podejmującą grono starych przyjaciół, ubolewając nad tym, że nie miała okazji poznać niemieckiego wuja Thomasa, urzekając Gao relacją z warsztatów poświęconych kulturowym aspektom podróży kosmicznych, w których brała niegdyś udział - Rosjanie zawsze zabierali w kosmos barszcz, Amerykanie zawsze chcieli więcej prywatności w części mieszkalnej. Stwierdziła, że bardzo chciałyby zobaczyć, co Chińczycy dodadzą do tej mieszanki. Gao był zafascynowany teoriami stojącymi u podstaw prac Abigail na Górze Śpiącego Smoka, choć zaraz zaznaczył, że porównanie pism, struktury społecznej, strojów, a nawet architektury dwóch narodów nie powinno nastroczać trudności.

- Z definicji jest to niewykonalne - wyjaśniła Abigail. -Tybetańczycy już od dawien dawna są ludem osiadłym. Moi przodkowie przez tysiące lat, aż do dziewiętnastego wieku,



byli nomadami. Ja próbuję zrekonstruować prototyp, lud z czasów, zanim nastąpił rozłam, po czym założę, jakie mogły być ich dalsze losy, odkąd obie gałęzie rozdzieliły się i jedna wypracowała druk, uczelnie, rozbudowaną strukturę społeczną, jaka jest możliwa w warunkach osadnictwa na żyznych terenach, podczas gdy druga, koczownicza przez setki lat, nie zdołała wynaleźć ani druku, ani nawet pisma, nie zdołała rozbudować struktury społecznej bardziej złożonej niż jednostki rodzinne, gdyż nigdy nie pozostawała wystarczająco długo w jednym miejscu. To tak, jakby jakaś planeta opuściła pole grawitacyjne Układu Słonecznego. Jak dowieść, że zaginiona planeta kiedyś do niego należała?

Gao zdawał się być w swoim żywiole, przytaczając inne analogie z nauk fizycznych. Zwrócił uwagę na zbieg okoliczności, że oba ludy osiadły na najwyższych płaskowyżach swoich kontynentów.

- Tak więc konstruuje pani model Tybetańczyków sprzed dziesięciu lub piętnastu tysięcy lat - podsumował Shan.

- Właśnie. Opracowywaliśmy go z profesorem Ma. Wyjściowy lud był narodem zażartych wojowników. Miał głęboko filozoficzne podejście do życia. Był zaradny, umiejący przystosować się do surowych warunków otoczenia, i to nie tylko w sensie fizycznym. Współistniał z ziemią i niebem w najbardziej podstawowy sposób.

- Duchowi wojownicy - podsunął Shan. Abigail skinęła głową.

- Zaczyna pan rozumieć — powiedziała, po czym zaczęła wymieniać powody, które kazały jej sądzić, że wcześni Tybetańczycy nie odróżniali wytrzymałości fizycznej od duchowej.

Gao przyglądał się im obojgu z zaciekawioną miną, po czym przeprosił na chwilę i wrócił, niosąc małe kartonowe pudełko.

- Sądzę, że to należy do pani - powiedział do Abigail.

Był to złoty żuk. Indianka, rozplywając się z wdzięczności, chwyciła obiema rękami jego dłoń i rumieniąc się, potrząsnęła nią energicznie. Wyjaśniła, że jest to pamiątka rodzinna, amulet wykonany w osiemnastym wieku przez hiszpańskiego artystę dla jednego z przodków, który należał

do świętych mężów jej plemienia, przekazany jego córce, a następnie najstarszym córkom w każdym pokoleniu. Córkom, ponieważ Nawahowie byli społeczeństwem matriar-chałnym, a kukurydziany żuk był symbolem płodności.

Gdy Thomas zapytał, czy mógłby obejrzeć żuka, Abigail pochwaliła go za przejaw energii intelektualnej świadczącej o zadatkach na wielkiego uczonego.

-Nie mam wątpliwości, że on ocalił mi życie - powiedziała.

- On jest studentem, panno Natay - odparł uprzejmym tonem Gao. - W Chinach mamy o wiele za mało dobrych uniwersytetów. Jeśli będzie zachowywał się nieodpowiednio, zostanie usunięty. Na jego miejsce czekają tysiące innych zdolnych kandydatów.

-Ona mówi, że może pomóc mi dostać się na studia w Ameryce - wyrwało się Thomasowi.

Gao zignorował bratanka.

-Thomas ma przed sobą wspaniałą karierę, gdy się ustatkuje. Heinz i ja rozwikłaliśmy tajemnice Ziemi. Thomas będzie zmagał się z tajemnicami pozaziemskimi. Postanowiłem oddalić go od tutejszych pokus. Odsyłam go do Pekinu. Dziś wieczorem rozmawiałem z jego rodzicami.

Thomas z pobladłą twarzą spojrzął na wuja.

-Ale obiecałeś, że dasz mi jeszcze jedną szansę -zaprotestował.

- Zmieniłem zdanie. Zacząłem uświadamiać sobie, jak wiele kłamstw musiałeś nam powiedzieć. Stałeś przed nami i kłamałeś, że panna Natay pojechała do Tashtul. Naraziłeś na wiele kłopotów wujka Heinza, który wybrał się na poszukiwania.

- Ale on chciał tylko mnie chronić - oświadczyła Abigail. Gao puścił jej słowa mimo uszu.

-Thomas często przechodził na drugą stronę góry, oszukując nas, wiedząc, że tego zabraniamy, mówiąc mi, że idzie podziwiać przyrodę.

Shan przez chwilę rozważał te słowa. Gao musiał rozmawiać przez telefon z Kohlerem, który był teraz w Tashtul.

- Thomas przydałby się tutaj - wtrącił Shan. - On pomaga nam rozpracować morderstwo Tashiego i doktora Ma.

- Prawda patrzy wam w oczy. - Cierpliwość Gao zaczynała się wyczerpywać. - Ale nie chcecie przyjąć jej do wiadomości, bo jest zbyt przyziemna. Zabójcami byli górnicy. To chciwe, oportunistyczne kreatury, szczury śliniące się na sam dźwięk dzwonka. Czy ktokolwiek żywił choćby cień wątpliwości co do tego, co czeka zamożnych przybyszów, którzy zabłąkają się do ich kryjówek? Każdy z nich jest przestępcą z definicji. Przepraszam, że to mówię, ale gdy tylko rozeszła się wieść, że przebywacie tu nielegalnie, bez ochrony prawa, wasza ekipa była skazana. Odkąd się zorientowali, że nikt nie zauważy waszego zniknięcia, że nikt nie będzie was szukać, wasz los został przypieczętowany.

- Nie jesteśmy zamożni - wtrącił Hostene.

- Dla ludzi takich jak oni każdy obcokrajowiec jest zamożny. Staliście się celem w momencie, w którym postawiliście stopę na tej górze. Wasi towarzysze powinni być mądrzejsi, i przyplacili ten błąd życiem. Amerykanie są znani z tego, że nie przyjmują odpowiedzi odmownych. Ale koniec z tym. Wracajcie do domu. Kiedy będziecie wspominać tę tragedię w przyszłości, powiedzcie sobie, że był to atak dzikich zwierząt. Nieszczęśliwy wypadek.

Przy stole zapadła pełna napięcia cisza.

Shan, który spuścił wzrok, poczuł na sobie spojrzenie Gao.

- Widzę, że inspektor Shan jest innego zdania - zauważył fizyk.

- To, co mówicie, może być prawdą - odparł Shan. - Nie wiem tego. Ale wiem, że tym, co łączy wszystkie akty przemocy na tej górze, jest kora. To jak nić przebiegająca przez całą długość krwawego kobierca.

- To nonsens - stwierdził Gao. - Spędziliście zbyt wiele lat w zamknięciu ze starymi Tybetańczykami.

Shan, patrząc na Abigail, mówił dalej:

- Do każdego zabójstwa doszło na jednym z przystanków na ścieżce pielgrzymkowej. Badała pani tę ścieżkę, próbując znaleźć jej górny kraniec, podobnie jak robił to od czterdziestu lat pustelnik Rapaki. To jak trójstronny wyścig.

- Trójstronny? - zdziwił się Hostene.

- Tak, gdyż zbiegły się w nim drogi Abigail, Rapakiego oraz zabójcy.

Abigail wpatrywała się w twarz Shana, jakby szukała tam odpowiedzi. Następnie, niczym dobra gospodyni, zmieniła temat, wypytując Thomasa o jego życie w Pekinie, o chińską muzykę rockową.

Jej wuj rzucił na stół strzęp nadpalonej bluzy, gdy Shan zapytał ją:

- Czy spotkała pani człowieka nazwiskiem Bing? Amerykańska uczona spojrzała z zakłopotaniem na swą spaloną bluzę, po czym skinęła głową.

- Dwukrotnie. Za pierwszym razem spostrzegłam go, jak siedział na skale, obserwując mnie przy pracy. Tashi podbiegł do niego, jak gdyby chciał mnie chronić, ale Bing zachowywał się bardzo uprzejmie, niemal czarująco. Rozmawiali przez kilka minut, po czym Bing odszedł. - Obracała w palcach zwęglony materiał. - To zostało w naszym obozie tamtej nocy. Ostatniej nocy.

- O czym Tashi rozmawiał z Bingiem?

- Nie wiem, nie słyszałam wszystkiego. O pogodzie, o wilkach... Tashi powiedział mu, że jestem Tybetanką, z Lhasy. Nie wiem, czy Bing mu uwierzył.

- A o złocie?

- Oczywiście nie.

- Czy odniosła pani wrażenie, że Tashi już zna Binga? Abigail zawahała się.

- Tashi pochodził z wioski. Było dla mnie oczywiste, że będzie znał tutejszych ludzi. Płaciliśmy mu za to, by służył nam za przewodnika. To obejmowało też wszelkie kontakty z miejscowymi. Nie mogliśmy dopuścić, by ktokolwiek się dowiedział, co robimy.

Bing nie był rodowitym mieszkańcem góry. Zjawił się tu zaledwie przed rokiem. A Tashi opuścił ją kilka lat wcześniej.

- Wspomniała pani o dwóch spotkaniach - przypomniał Shan.

- Po raz drugi widziałam Binga zaledwie parę dni temu. Szłam ścieżką, kiedy natknęłam się na niego, jak zrzucał coś z urwiska. Nie zauważył mnie z początku.

- Co zrzucał?

- One nie były nowe. Pewnie spłynęły jakimś potokiem po **200** burzy. To się zdarza. — Abigail wzruszyła ramionami. — Co można z nimi zrobić? To delikatna sprawa. Większość ludzi po prostu stara się ich pozbyć.

Hostene pochylił się naprzód na krześle.

- Nie rozumiem, Abigail.

- Kości. Widziałam puszczel, kość strzałkową, przynajmniej jedną kość udową. - Wymawiała te słowa z taką swobodą, jak gdyby mówiła o pogodzie. Minęła chwila, nim spostrzegła, że wszyscy inni przestali jeść.

- Kości, panno Natay? — powtórzył Gao.

- Kości. Stare kości. To normalne. W moim zawodzie natrafia się na nie bez przerwy. Ludzie zamieszkują tę górę od setek lat. Po kościach zrzucił coś jeszcze. Nie widziałam tego dobrze, bo ukryłam się za skałą. Wystraszył mnie trochę. To było coś, co mógł rzucić jedną ręką. Kiedy skończył, ruszył ścieżką tak szybko, że nim się spostrzegłam, był już tuż przede mną.

- Co zrobił?

- Zawahał się, po czym podszedł i po przyjacielsku uściśnął mi dłoń. Sprawiał wrażenie, jak gdyby się spieszył. Mówiłam po tybetańsku, tylko po tybetańsku, jak za pierwszym razem. Uśmiechnął się i uklonił. Popatrzył na mój plecak, na moje kamery, po czym pomachał mi na pożegnanie i pobiegł dalej. Kilka minut później zobaczyłam go niżej na stoku, jak jechał na jednym z tych czerwonych rowerów górskich.

Shan poprosił Gao o mapę, której używał Kohler, i Abigail wskazała na niej oba miejsca, gdzie widziała Binga. Jedno znajdowało się w pobliżu starej kopalni złota, drugie w okolicach grzbietu, który górnicy uważali za nawiedzony.

- Będziemy potrzebować całego dnia, żeby zorganizować wszystko — poinformował Gao swych gości, nalewając im herbatę po kolacji.

- Zorganizować? - zapytał Shan.

- Jutro wieczorem będziemy mieli transport. Profesor Natay i jej wuj polecą helikopterem do spokojnego posterunku granicznego, którego komendant jest moim przyjacielem. Opuszczą kraj bez konieczności odpowiadania na mnóstwo niewygodnych pytań ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. W drodze powrotnej helikopter zabierze was i Thomasa.

Shan poczuł, jak w żołądku zaciska mu się supeł.

- Thomas - ciągnął Gao - zostanie zabrany na lotnisko w Lhasie, skąd pod eskortą jednego z żołnierzy poleci samolotem do Pekinu. Helikopter zatrzyma się w Drango i żołnierze uwolnią waszych przyjaciół z aresztu Chodrona. -Gao złożył mapę i wetknął ją pod pachę, po czym utkwiał w Shanie chłodne spojrzenie. - Będą mieli rozkaz wysadzić was i waszych tybetańskich towarzyszy w dowolnie wybranym przez was miejscu w okręgu Lhadrung, skąd przybyliście. Może to być nawet wysoka półka skalna oddalona o wiele kilometrów od wszelkich osad ludzkich.

- To wspaniałomyślna oferta - przyznał Shan. - Ale tu wciąż grasuje morderca. - Walczył z pokusą, by przyjąć propozycję Gao. Gdyby to zrobił, on i obaj jego starzy przyjaciele mogliby już niedługo znaleźć się z dala od koszmarów dręczących Górę Śpiącego Smoka.

- Wilki potrafią same rozstrzygać spory w obrębie stada. -Mam jeszcze pracę... - Protest Thomasa ucięło w pół słowa gniewne spojrzenie jego wuja.

- Thomas! Feng Xi - powiedział Gao z narastającą pasją w głosie. - Jesteś dla mnie jak syn. Dlatego to robię. Musisz porzucić tę dziecinadę. Postąpisz jak dorosły, odpowiedzialny człowiek i wrócisz na studia. Albo możesz wrócić do Pekinu i sprzedawać makaron na ulicy. Tak czy inaczej, jutro wracasz. - Zerknął na Shana. - W helikopterze będzie lekarz. A dopóki nie znajdziemy trwalszego sposobu zablokowania przejścia na drugą stronę góry, zostaną tam rozstawieni żołnierze. - Wstał, zdmuchnął świece i wyszedł z pokoju.

Gospodyni zaprowadziła Abigail i Hostene'a do ich kwater w wieży. Shan jeszcze raz przejrzał nagrania badaczki. Gdy wrócił do salonu, Thomas siedział tam z ponurą miną.

- Czytałem gdzieś, że ludzie wysłani do obozu pracy stopniowo zapominają wszystko ze swego poprzedniego życia, że nic z niego nie wydaje się już rzeczywiste, że własne wspomnienia stają się dla nich jak film o życiu innej, obcej osoby - powiedział smętnie.

- Miejscu, dokąd idziesz, daleko do obozu.

- Życie w klatce, życie pod czyjeś dyktando, myślę, że to niewielka różnica.

- W złotej klatce. Miliony ludzi chętnie zamieniłyby się z tobą miejscami.

- Więc zgadzacie się z moim wujkiem. Powiniennem odłożyć swoje marzenia na półkę i pozwolić, by obrastały kurzem. - Thomas spojrział na podłogę. - Gdybyście kiedykolwiek wrócili do Pekinu, wiecie, jak mnie znaleźć. Pytajcie po prostu o najlepiej wykształconego sprzedawcę makaronu w mieście.

- W Akademii Kryminalistyki są profesorowie, którzy mogliby mimo wszystko zaakceptować referencje ode mnie. Podaj mi swój pekiński adres, a napiszę do nich. Może przydzielą ci specjalne zadania, nawet jeśli nie będziesz oficjalnie na liście studentów.

Thomas szybko zapisał swój adres.

- Jak często spotykałeś profesor Natay? - zapytał Shan, wpychając kartkę do kieszeni.

- To znaczy, po morderstwach? Dwa razy, nie licząc wczorajszego dnia. Za pierwszym razem pracowała i nie wspominała o morderstwach. Nie przypuszczała, że o nich wiem, więc nie poruszała tego tematu. Ale była tak wytrącona z równowagi, że niemal nie mogła mówić. Pytała mnie, czy mógłbym załatwić jej broń. Potem zapytała, jak wysocy mogli być Tybetańczycy pięćset lat temu. Powiedziała, że uświadomiła sobie coś ważnego... że na ścieżce pielgrzymkowej grzesznik mógł kroczyć obok świętego, że może nawet jeśli ktoś tracił na tej górze życie, było to zamierzone w ramach kory, jak gdyby jej prawdziwym celem nie było dotarcie do końca, ale uzyskanie czegoś po drodze, czegoś, co ułatwiłoby przejście do następnego wcielenia.

Słowa te zmroziły Shana. Do następnego wcielenia przechodziło się, umierając.

- Myślę, że może mówiła takie rzeczy dlatego, że była głodna. Dałem jej całe jedzenie, jakie miałem ze sobą. Następnym razem, kiedy ją widziałem, nie była już tak zdenerwowana. Zapytała mnie, jaką lubię muzykę. Rozmawialiśmy o rock and rollu. Trochę dziwiło mnie, że nie wspomina o tym, co ma na dłoni.

- Co to było?

- Oko. Namalowała sobie na dłoni białe oko. Miała je wciąż jeszcze wczoraj rano, kiedy ją spotkałem. Później je starła.

Shan skinął ręką w stronę sypialni w wieży.

- Rano, kiedy się wyśpimy - powiedział, gdy wspinali się po kamiennych schodach - możemy obaj porozmawiać z nią. Chcę się dokładnie dowiedzieć, co zobaczyła tamtego ranka, gdy wróciła do obozowiska.

Ale nie mógł zasnąć. Wyszedł ze swego pokoju, wspiał się na szczyt wieży i położył na zimnej kamiennej posadzce, zwrócony twarzą do nocnego nieba. Za dwadzieścia cztery godziny on i jego przyjaciele będą wolni. Będą mogli zapomnieć o Chodronie, o makabrycznych morderstwach, powrócą do odnawiania starych manuskryptów i całodziennych medytacji wśród innych mnichów z ich ukrytej pustelni. Zaczął w myślach układać słowa, jakimi zwróci się do Genduna i Lokesha: akty przemocy na tej górze nie są ich sprawą, dotyczą jedynie górników, będących i tak wyrzutkami społeczeństwa. Hostene'owi i jego siostrzenicy nic już nie grozi. Obowiązkiem Genduna i Lokesha jest zadbać o własne bezpieczeństwo.

Ale wewnętrzny głos przybierał na sile, burząc jego kruche nadzieje. Gendun nigdy nie odejdzie dobrowolnie, zostawiając zagubionych duchowo mieszkańców Drango własnemu losowi. Shan musiałby poprosić żołnierzy Gao, by zabrali go siłą, a ten czyn na zawsze stanąłby między nimi. Uratowałby Genduna, ale nigdy już nie mógłby się u niego boku.

Wielu mnichów, którzy niegdyś mieszkali w Tybecie, odbywało budzący często grozę rytuał medytacyjny zwany *chod*. Spędzali noc na kwaterze zmarłych, wśród rozrzuconych wokół krwawych szczątków ludzkich ciał i ogryzionych przez ptaki kości, by tym dobitniej uzmysłować sobie kruchą, nietrwałą naturę żywych stworzeń. Shan znalazł własną formę tego obrzędu. Wieża, zamieszkaana przez starego Indianina, który umierał na raka, młodą kobietę, której duch błąkał się zagubiony, chłopca, którego nadzieje zostały zniweczone na oczach Shana, była miejscem, gdzie umierały marzenia.



Niedaleko stąd, w Drango, Gendun był poddawany torturom z powodu Shana i kilku przejawów czci ze strony mieszkańców. Sama wioska dusiła się powoli w kleszczach Chodrona. Shan zaś nie był w stanie pomóc komukolwiek z nich, jeśli nie znajdzie zabójcy.

Zawędrował w mroczne, ukryte zakamarki własnej duszy. Właściwie nie medytował, ale i nie spał, odwiedzając wspomnienia, przypominając sobie koszmarnie sny, tracąc poczucie czasu i miejsca.

W szopie na narzędzia zawsze panowała wilgoć, a odór pleśni na płóciennych workach, które rozwieszali, by przesłonić światło świecy, mieszał się niekiedy tak mocno ze smrodem dobiegającym z nawożonych fekaliami pól ryżowych, że robiło mu się niedobrze, gdy tylko tam wchodził. Jak zwykle, czekając, ssał kamyk, by oszukać głód. Układał i poprawiał na sobie koszulę, by jego ojciec nie zauważył, jak sterczą mu żebra. Żywność w obozie reedukacyjnym była ściśle racjonowana, a więźniowie na oddziale dziecięcym otrzymywali jedynie resztki po posiłku robotników rolnych. Do kleiku z ryżu dosypywano czasem trociny, które zwykle przyprawiły jego dziewięcioletni żołądek o skurcze tak silne, że musiał kłaść się na pryczy, nie będąc w stanie chodzić.

Dla zabicia czasu powtarzał w myślach taoistyczne maksymy, których ojciec nauczył go poprzedniej nocy, walcząc z lękiem, który kazał mu wzdrygać się na najłżejszy nocny odgłos. Gdyby przyłapano go poza całą, obito by go, dopóki bambusowy kij nie spłynąłby krwią.

Coś się poruszyło. Drzwi otworzyły się na oścież, po czym zamknęły. Rozległ się szelest ubrania, trzask zapałki, od której zapłonęła świeczka, i wszystkie problemy zniknęły bez śladu. Jego ojciec był przy nim, tuląc go do siebie z łagodnym uśmiechem zeszeconym przez brak przedniego zęba, wybitego mu podczas tamzingu. Oficjalnie w obozie reedukacyjnym dzieci rozdzielano od rodziców. Oficjalnie ojciec Shana, profesor, poniósłby znacznie cięższą karę niż chłopiec, gdyby wyszło na jaw, że naruszył przepisy godziny policyjnej, przepisy zabraniające posiadania niedozwolonych książek, przepisy zakazujące używania świec.

Przez godzinę w małej szopie na skraju pól ryżowych recytowali taoistyczne wersety i rozważali kolejny fragment historii Europy, po czym, jak zwykle zostawiając najlepsze na koniec, zajęli się kartką wyrwaną ze zbioru poezji z czasów dynastii Song, który ojciec Shana potajemnie, nielegalnie, zabrał z domu. Był to ich ulubiony poeta-urzędnik, Su Dongpo:

*Trzciny skrywają brzeg rzeki, wioska ciemnieje od deszczu.  
Świątynia ginie w wysokich bambusach -nie mogę znaleźć bramy.*

Razem pisali te słowa kredą na deskach ściany szopy. Ręka ojca niekiedy prowadziła go po liniach skomplikowanych staroświeckich ideogramów. Potem opowiadali sobie, jak minął im dzień. Shan próbował nie zwracać uwagi, gdy słowa jego ojca przerywały długie napady suchego kaszlu. Ojciec pozwolił mu oprzeć się na swym ramieniu, gdy mówił o dawniejszych, szczęśliwszych czasach, i obaj tak pogrążyli się w zadumie, że nie usłyszeli nic, dopóki nie było za późno. Wciąż siedzieli w kącie, gdy do szopy wpadli strażnicy, zaświecili im latarkami w twarze i zaczęli okładać jego ojca pałkami. Ostatnią sceną, jaką zapamiętał, był profesor wpychający sobie kartkę z wierszem do ust. Następnego ranka Shan dostał miskę prawdziwego ryżu z warzywami, a nawet kawałkami kurczaka. Później tego dnia instruktorzy polityczni udzielili jego matce pochwały za to, że doniosła im o reakcyjnym postępowaniu jego ojca. Długo trwało, nim zrozumiał układ, jaki zawarła: zrobiła to w zamian za jeden porządny posiłek dla syna.

Nagle spostrzegł wiszącą wysoko na niebie tarczę księżyca. Minęło kilka godzin. Wieża była pogrążona w ciszy, oświetlały ją jedynie słabe żarówki na klatce schodowej. Drzwi Hostene'a, wcześniej zamknięte, były uchylone. Shan pchnął je i przekonał się, że Indianin wciąż twardo śpi. Ale na jednym z jego butów leżał świstek papieru.

Shan zawahał się, po czym z poczuciem winy podniósł

papier, wyszedł z nim na schody i przysunął go do jednej z żarówek. Przeczytał go raz, potem drugi. Usiadł i mrugając, wpatrywał się w zapisane słowa. Czuł, jak jego zmęczenie ustępuje konsternacji, gdy wciąż na nowo wodził po nich wzrokiem:

*Spaceruję w Pięknie przede mną  
Kroczę w Pięknie otaczającym mnie zewsząd  
Kresem drogi jest Piękno.*

Miał wrażenie, że przejście przez pokój do łóżka Hostene'a zabrało mu całe wieki. Przystanął, słuchając spokojnego oddechu przyjaciela i patrząc na przedmioty w jego dłoni. Indianin wydobyl z kamizelki przywiezione z domu wielkie pióro, znalazł krótki kijek i przywiązał je do niego nitką wysnutą z prześcieradła, umieszczając wokół jego nasady kilka mniejszych, barwnych piórek. Oprócz pierzastego kijka jego palce ścisnęły kurczowo skórzany woreczek, który Shan widział zaszyty w jego kamizelce. Nabożni Nawahowie, jak mówił Hostene, nosili ze sobą sakiewki z ziemią ze świętych gór.

Z kolejną falą wyrzutów sumienia Shan wrócił na schody. Potem jednak przeczytał notatkę raz jeszcze, wszedł znów do pokoju i potrząsnął ramieniem przyjaciela.

Hostene zerwał się, mrużąc oczy przed bladym światłem.

- Niech się pan ubierze - powiedział Shan, podając mu kartkę z wierszem. - Abigail wróciła na korę, na szlak mordercy.

Na dworze detektory ruchu zostały skierowane w ziemię. Drzwi spichrza stały otworem. Plecak z polowym sprzętem Abigail zniknął. Kilka kartonów z żywnością w puszkach zostało rozdartych i wyjęto z nich część zawartości.

- Ona by nie kradła - stwierdził z niepokojem w głosie I lostene.

- Co znaczą te słowa, które napisała? - zapytał Shan.

- To fragment modlitwy, której moje plemię używa do przyzywania świętych duchów — odparł Indianin.

Szli cicho, przystając przy każdej zapewniającej osłonę skale. Pamiętali, że Gao zapowiedział, iż wystawi strażę

przy przejściu. Nie wiedzieli, jak daleko przed nimi jest Abigail, ale wiedzieli, że nie jest sama. Sypialnia Thomasa także była pusta.

Poczekali, aż księżyc skryje się za chmurą, nim odważyli się przebiec do ostatniej skały pod szczytem. Tam się przyczaili i obserwowali. Gdy księżyc wyłonił się znowu, Hostene wydał ochryply jęk, wskazując kształt leżący pod komiksowym wizerunkiem Buddy. Shan w pierwszej chwili sądził, że to kamień, potem jednak dostrzegł tuż przy ziemi lśnienie zębów.

Hostene rzucił się naprzód.

- Mój Boże! - jęknął. - Co oni zrobili?

Shanowi żołądek omal nie wywrócił się do góry nogami, gdy dostrzegł małe mięsiste grudki przylepione na linii włosów żołnierza. Potem jednak pociągnął nosem. Gdy badał puls mężczyzny, zauważył leżące na ziemi dwa walce.

- Nic się nie stało - uspokoił Hostene'a. - Ktoś rzucił w niego puszkami kukurydzy. Jedna uderzyła o skały i eksplodowała. Prawdopodobnie pochylił się, by zobaczyć, co to takiego, i dostał w głowę drugą. Ale puls ma silny.

Hostene pomógł mu oczyścić głowę mężczyzny i podeprzeć go. Shan podniósł leżący obok karabin, wyjął z niego magazynek z nabojami, wyciągnął zza pasa żołnierza dodatkowe magazynki i rzucił je wszystkie wysoko w górę, poza zasięg wzroku. Hostene odczepił mu od pasa małą, silną latarkę i włączył ją. Razem weszli w mroczny korytarz.

Szli szybko, raz po raz potykając się na luźnym żwirze pod nogami. Hostene przystawał czasem, by poświecić latarką za siebie, pewien, że słyszy odgłos pościgu.

Gdy dotarli do placków odsłoniętej ziemi, Shan wziął latarkę i idąc, przyglądał się podłożu. Pierwszym tropem były ślady butów Abigail. Drugi został odcisnięty później, często nakładając się na pierwszy. Ale półtora kilometra dalej oba biegły już obok siebie. Thomas szedł za Abigail, po czym dogonił ją.

- On ucieka od swego wuja - stwierdził Hostene.

- Niezupełnie - odparł Shan. - Ze ucieka, to prawda. Ale mógł pójść w dowolnym kierunku, a każdy z nich byłby bezpieczniejszy od tego. Poszedł za nią, żeby ją chronić. To

dowód odwagi, zważywszy, że widział dzieło zabójcy z bliska. - Urwał nagle. - O co chodzi, Hostene? - zapytał. - Dlaczego Abigail tak bardzo zależy na tym, by dokończyć prace po tamtej stronie góry?

Ale Indianin bez słowa minął go i zniknął w mroku. Przy drabiniastym mostku Hostene zaczekał na Shana, by puścić go przodem, po czym sam ruszył naprzód, tym razem wyprostowany. Był już niemal po drugiej stronie, gdy zastygł w bezruchu. Sowa, największa, jaką Shan kiedykolwiek widział na tej górze, przemknęła, pikując wprost na Indianina, nieomal muskając szponami jego czaszkę, po czym zatoczyła łuk i wróciła tam, skąd nadleciała. Hostene stracił równowagę i zaczął się chwiać, młócąc rękami w powietrzu. Latarka wypadła mu z dłoni.

Shan wskoczył z powrotem na drabinę, chwytając Indianina za ramię, gdy już, już zdawało się, że nieuchronnie runie na ostre skały w dole. Jednak w tej samej chwili suche stare drewno zaczęło pękać pod ich łącznym ciężarem. Gdy dotarli do końca drabiny, Shan popchnął Hostene'a naprzód i skoczył na skałę.

Indianin wkrótce znów wysunął się na czoło, przyspieszając kroku, jak gdyby wyczuwał bliskość celu. Gdy wynurzyli się ze szczeliny w skalnej ścianie, niebo jaśniało już rumieńcem przedświtu, oświetlając trzy chude kształty czające się przy skale pięćdziesiąt metrów dalej. Wilki ociągały się z odejściem, nie reagując na pierwszy ciśnień przez Shana kamień, i odbiegły, dopiero gdy obaj mężczyźni podeszli bliżej i zaczęli obrzucać je żwirem.

Gdy Shan śledził je wzrokiem, zwierzęta zatrzymały się i obejrzały za siebie ze strachem w oczach, patrząc nie na niego, lecz na cienie za skałą.

Ale to nie strach ogarnął Shana, gdy zobaczył, co leży za skałami, to nie strach pozbawił go sił tak gwałtownie, że opadł na kolana. Był to ten sam ponury nastrój, który owładnął nim poprzedniej nocy, ta sama czarna rozpacz, teraz podwojona, spadająca na niego jak cios pałką, nicująca mu żołądek, paraliżująca go.

Na twarzy Thomasa zastygł lekki uśmiech, jak gdyby chłopiec sądził, że jego napastnik żartuje sobie z nim. Jego

oczy patrzyły tępo w świtające niebo. Z jego głowy sączyła się strużka krwi, choć wydawało się nieprawdopodobne, by cios w głowę uśmiercił go, gdyż wielkie kałuże krwi na końcach jego rozłożonych rąk i plamy na okolicznych gładziach świadczyły o tym, że jego serce wciąż biło, gdy odcinano mu dłonie.

## ROZDZIAŁ 8

Shan chciał powstrzymać Hostene'a przed wejściem do małej salki o skalnych ścianach, ale nie był w stanie zmusić swego ciała do jakiegokolwiek akcji. Stary Indianin stanął obok niego, wydając udęczony jęk, po czym zataczając się, opadł ciężko na głaz. Gdy Shan odzyskał wreszcie zdolność ruchu i uniósł wzrok, Hostene wpatrywał się w trupa, a po policzku spływała mu łza.

- Abigail - powiedział ochryplym głosem.

- Tym razem - stwierdził Shan - myślę, że zabójca naprawdę ją dopadł. - Wskazał gestem leżącą w cieniach na ziemi paczkę gumek do włosów, małą baterię i szczoteczkę do zębów. Ktoś przewrócił plecak Abigail.

Hostene otarł policzek.

- Musimy ich gonić, i to natychmiast.

- Nie znajdziemy drogi. A gdyby on chciał, żeby nie żyła, leżałaby tu obok Thomasa. Da pan radę trafić znów do tej groty, gdzie mieszka Rapaki?

Hostene skinął głową.

- W takim razie musi pan tam iść i sprowadzić Yangkego, najszybciej jak się da. Ale gdyby zobaczył pan jakichkolwiek górników, niech się pan ukryje - poinstruował go Shan.

Hostene ponownie skinął głową. Nim opuścił skalny krąg, podniósł szczoteczkę do zębów swej siostrzenicy i schował ją do kieszeni, po czym spojrzał w niebo, wypatrując tam nie zabójców, ale sów.

Tłumiąc rozpacz, Shan rozejrzał się dookoła. Prześledził uważnie ślady dwóch par butów na przestrzeni między rozpadliną a skupiskiem skał. Abigail i Thomas zatrzymali się, zrobili kilka drobnych kroków raz w tę, raz w inną stronę, jak gdyby nie mogli się zdecydować co do czegoś, po czym podeszli wprost do skał, jak gdyby ktoś zawołał ich

tam. Kiedy zabójca dokonywał swego makabrycznego dzieła, co zrobił z Abigail? Miała wobec Thomasa dług wdzięczności. Shan nie podejrzewał, by uciekła, gdyby widziała, że został zaatakowany. Czy zabójca pozbawił ją przytomności, po czym związał i zakneblował? A może była związana i zakneblowana, ale przytomna, zmuszona patrzeć, jak zabójca rozciąga ręce Thomasa i masakruje go?

Shan zwalczył kolejną falę mdłości, po czym zmusił się do obejrzenia krwawych kikutów rąk Thomasa. Lewa dłoń została odcięta jednym czystym ciosem, druga dwoma, o czym świadczyła nierówna krawędź kości w miejscu, gdzie ostrze zatrzymało się za pierwszym razem. Krawędź ostrza była wyszczerbiona, co mogło oznaczać, że wykonane było albo z taniej stali, albo ze starego, kruchego, ręcznie kutego metalu. Bryzgi krwi, ciągnące się po ziemi aż do odległej o półtora metra skały, nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że Thomas żył, gdy amputowano mu dłonie. Ale nawet przy tak potwornych ranach cieszący się znakomitym zdrowiem młody człowiek powinien był przeżyć. Shan pochylił się nad głową Thomasa, dopiero teraz dostrzegając popękane żyłki na jego rogówkach i zsiniałe usta. Znów zdjęty dreszczem spojrzął za siebie na rzucone na ziemię gumki do włosów i baterię. Przypomniawszy sobie, że widział je w spichrzu. Były w plastikowym worku. Zabójca był cierpliwy, zachowując się, jak gdyby dysponował nieograniczonym czasem. Nałożył Thomasowi worek na głowę i czekał, aż nieprzytomny, krwawiący chłopak się udusi.

Nogi Shana zrobiły się miękkie jak z waty. Usiadł na ziemi, wpatrując się nie widzącym wzrokiem w chłopca. Thomas był tak pełen życia, tak zbuntowany i ambitny, że przypominał mu pod tym względem jego własnego syna. Został pokonany i zareagował ucieczką, ubezpieczając swą nową amerykańską patronkę w drodze na śmiercionośną stronę góry. Zaledwie dzień wcześniej jego wuj oświadczył mu, że jego dzieciństwo dobiegło końca.

Gdy Shan znalazł w końcu dość sił, by wstać, zaczął krążyć po coraz większym promieniu wokół miejsca zbrodni, aż znalazł foliowy worek wetknięty w szczelinę w wielkim głazie. Nie licząc kilku kropli krwi tworzących linię, która



biegła w górę zbocza, nie było żadnych śladów, żadnej wskazówki, w którą stronę udał się morderca, żadnego, choćby najmniejszego śladu Abigail Natay. Los Thomasa i Abigail był przesądzony od chwili, w której wynurzyli się z wąskiego przejścia. Skąd jednak zabójca wiedział, że się tam pojawią. Nikt nie powinien się ich spodziewać, mieli nigdy już wrócić na zachodni stok góry. Ale górnicy przeczesywali teren dysząc żądzą krwi. Jakiś górnik z Małej Moskwy mógł zacząć się tam na Shana i Hostene'a. Być może nie doczekawszy się ich, uznał Thomasa za wystarczającą namiastkę. Ale dłonie! Nawet jeśli spragniony zemsty górnik odciął mu dłonie z pewnością nie zabierałby ich ze sobą.

Na skalnych półkach trasa, jaką obrał zabójca opuszczający miejsce zbrodni, była nie do odczytania. Krotka lima kropli krwi, prawdopodobnie kapiących z odciętych dłoni, prowadziła w górę, ku rozległym połaciom skalistego, pofałdowanego terenu, wznoszącego się w stronę szczytu.

Shan usłyszał za sobą chrzęst żwiru. Obróciwszy się gwałtownie, ujrzał Yangkego. Zwolniwszy kroku po szaleńczym biegu, młody Tybetańczyk pochylił się, dysząc ciężko z rękoma opartymi na kolanach.

- Musisz iść do wioski, do Chodrona - powiedział mu.

- Wolałbym iść na spotkanie stada wilków. Shan w odpowiedzi wskazał ręką skały.

- Drabiniasty mostek się rozpadł. A nawet gdyby był na miejscu, nie dalibyśmy rady przenieść po nim zwłok.

W oczach Yangkego pojawił się ból. Shan nie poszedł za „im do kręgu głazów, ale zczekał, rozglądając się po stokach. Zastanawiał się, z jakiego właściwie powodu ktos kolekcjonuje ludzkie dłonie na Górze Śpiącego Smoka. Gdy Tybetańczyk wrócił w końcu, jego twarz była blada jak płótno. Szedł, jak gdyby znów miał na szyi canaque.

- To on, prawda? Chłopak od Gao. To koniec wszystkiego. Wojsko opanuje teraz obie strony góry.

- Idź Powiedz Chodronowi, kim jest ofiara. Powiedz, żeby przysłał czterech ludzi z kocem i dwoma drągami do budowy noszy. Każ mu skontaktować się przez radio z profesorem Gao, ale tylko z Gao, nie z kimś z dołu. Niech Gao przyśle helikopter do Drango za... - Shan wykonał w myślach szyb-

kie obliczenia - za sześć godzin. Ja pójdę do jaskini po Loke-sha. Yangke zerknął ze smutkiem za siebie, w stronę zwłok.

- To nie ma sensu. Powinieneś uciekać. Bierz swoich przyjaciół i uciekajcie. Słyszałem kiedyś o chińskim księciu sprzed setek lat, którego zamordowano w jakiejś wiosce. Cesarz nie mógł ustalić, kto był winowajcą, tak więc skazał na śmierć wszystkich jej mieszkańców. Ktokolwiek zabił Thomasa, zabił nas wszystkich. - Spojrzał tęsknym wzrokiem na południe, w stronę dzikich gór, gdzie można było zniknąć bez śladu, potem znów na Shana, i ruszył biegiem ścieżką do Drango. Była to powolna, milcząca procesja. Czterech mężczyzn niosło ciało Thomasa przywiązane do prowizorycznych noszy. Shan i Yangke na zmianę dźwigali Lokeshę na plecach. Nawet Chodron był blady i przygaszony, gdy wyszedł im na spotkanie na górny skraj pól. Udał, że nie widzi idącego obok noszy Shana. Ustawił przy jednym z kamiennych spichrzy stół z desek i nakrył go czarnym filcem.

Naczelnik nie protestował, gdy Shan i Lokesh skierowali się w stronę stajni, gdzie trzymano pod strażą Genduna. Lama wyglądał, jak gdyby czytał tekst z luźnych kartek opartych przed nim na stołku do dojenia. Nie czytał jednak; patrzył na nie niewidzącym wzrokiem. Ręka drżała mu w niekontrolowany sposób. Siedział podparty zrolowanymi kocami, jak Hostene, kiedy Shan ujrzał go po raz pierwszy. Shan nigdy jeszcze nie widział, by Gendun wyglądał tak słabo. Tortury stosowane podczas tamzingu miały niekiedy taki skutek. Trwało pewien czas, nim uszkodzenie dawało znać o sobie.

Lokesh dotknął kolana lamy. Gendun powoli wrócił do rzeczywistości. Uniósł głowę, co zdawało się być dla niego ogromnym wysiłkiem.

- Dolma mnie odwiedza - powiedział głosem cichym, ale równym. -

Wczoraj polerowaliśmy młynki modlitewne w świątyni.

Shan i Lokesh spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Rinpocze! - krzyknął Shan, zwracając się do niego sło-

wem, jakim określano otaczanego wciąż nauczyciela. Dotknął dłoni Genduna. Lama nie zareagował, zdawało się, że nie zauważył nawet, gdy Shan podciągnął mu rękaw. Serce inspektorowi zamarło, gdy ujrzał nowe ślady - sińce i oparzenia po elektrowstrząsach. Wyrzucił akumulator, ale Chodron wciąż miał generator.

Lokesh zaintonował powolny rytm mantry do bodhisatt-wy współczucia. Wargi Genduna poruszyły się, ale w jego oczach była pustka. Shan przyłapał się na tym, że sam również bezgłośnie powtarza słowa mantry, gdy walczył z zalewającą go falą emocji, najpierw gniewu, a potem głębokiej bezradności. Nie mógł nic zrobić. Im bardziej protestował, tym gorsze były tego skutki dla Genduna. Usłyszał nad głową głuchy, miarowy warkot. Nim dotarł na lądowisko, helikopter był już na ziemi, a Gao stał przy prowizorycznym katafalku. Z kamienną twarzą przyglądał się swemu martwemu bratankowi, po czym powiódł ponurym wzrokiem po zgromadzonych wokół stołu ludziach.

Shan nie drgnął nawet, gdy Gao podszedł do niego, nie zareagował, gdy fizyk, z twarzą przypominającą szarą maskę, uniósł dłoń i wymierzył mu policzek. Stał wciąż nieruchomo jak słup, kiedy Gao spoliczkował go po raz drugi i trzeci, za każdym razem mocniej. W końcu naukowiec zostawił go i odszedł za spichlerz. Podczas gdy Chodron kazał ludziom się rozejść, Shan wspólnie z dwoma żołnierzami owinął ciało Thomasa w czarną tkaninę i zaniósł je do wciąż wyjącego helikoptera. Gdy stamtąd wyszedł, inny żołnierz czekał już na niego z kajdankami. Shan w milczeniu wyciągnął ręce. Z pozbawioną wyrazu twarzą przyglądał się, jak żołnierz zamyka mu kajdanki na nadgarstkach i odchodzi. Mieszkańcy wioski wodzili za nim wzrokiem, rozstępując się trwożliwie na boki, gdy jak posłuszny więzień szedł za żołnierzem z kluczem. Nikt nie patrzył mu w oczy. Rząd upomniał się o niego i, z ostatnim szcęknięciem stalowych bransoletek, stał się nikim. Znow był jedynie numerem, niczym więcej.

Żołnierz zaprowadził go do Gao. Fizyk siedział na tym samym płaskim gładzie, na którym usadowił się Lokesh tamtego dnia, kiedy Shan przybył do wioski. Twarz miał wymizerowaną, bez wyrazu, nawet bez smutku w oczach.

- Gdy zjawi się tu Urząd Bezpieczeństwa - powiedział Shan - przeczesze stoki i aresztuje wszystkich. Będzie wymuszać zeznania. Cena będzie ogromna.

- Powinniście sami siebie słyszeć. - Choć twarz Gao wydawała się martwa, jego głos był przepełniony goryczą. - Ostrożny polityk się znalazł.

- Zostawcie wioskę w spokoju. Ci ludzie i tak dość już cierpią.

- Ale wcześniej mówiliście mi, że torturowali waszego lamę, że chcieli zabić Hostene'a. Czemu mielibyście ich żałować?

- Bo jednak... - Shan urwał w pół zdania. Opadł na głaz obok Gao. Był to spokojny sezon dla Urzędu Bezpieczeństwa, a jego kampania „Toporem po korzeniach” nie zdążyła jeszcze nabrać rozpędu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że gdy tylko wyżsi rangą funkcjonariusze spoza kręgu Chodrona wywęszą Drango, wieś zniknie z powierzchni ziemi. Pojawią się fotografowie, może nawet ekipa filmowa, nie obędzie się bez przemówień na temat postępu i dwudziestego pierwszego wieku. Mieszkańcy zostaną wysiedleni, być może w ciągu dwóch godzin od ogłoszenia decyzji, po czym przybędzie brygada odbudowy, niewykluczone, że złożona z więźniów, będących również Tybetańczykami. Shan widywał to już wcześniej, był w takiej brygadzie, gdy rozkazano jej wykonać podobne zadanie na wzgórzach ponad ich obozem, widział, jak Lokesh i inni starzy tybetańscy więźniowie płakali, gdy obozowi strażnicy przystąpili do dzieła, wrzucając płonące żagwie do liczących setki lat drewnianych chałup.

- Nie rozumiecie, że człowiek, który to zrobił, jest zbyt sprytny, by dać się schwytać obławie? - odezwał się po długim milczeniu Gao.

- Wymiar sprawiedliwości jest w Chinach rzeczą względną. Nie powiedziałem, że zostanie schwytyany, tylko że cena będzie ogromna. - Shan utkwiał wzrok w odległych pasmach gór. - Jeśli Thomas patrzy na nas z góry - zaryzykował w końcu - jest coś, co uznałby za sprawę ważniejszą niż znalezienie tego, kto go zabił.

- Chodzi wam o tę Indiankę.

- Ona jest gdzieś na tej górze. Myślę, że wciąż żyje. Już

wcześniej ścieżki jej i zabójcy skrzyżowały się, a jednak oszczędził ją. Ale obawiam się, że tym razem zabrał ją ze sobą.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Nie wiem dokładnie. Jest mu do czegoś potrzebna.

- Do czego zmierzacie? - zapytał Gao po kolejnej długiej przerwie.

- Hostene i ja możemy ją znaleźć. A gdy ją znajdziemy, dowiemy się, kim jest zabójca.

- Jeśli puszczyć was wolno, już nigdy was nie zobaczę. Tak właśnie robią więźniowie w Tybecie. Ulatniają się.

Shan ukrył twarz w dłoniach. Jego ciało było znużone. Ale jego duch był wyczerpany do cna.

- Ile lat - zapytał - zajęło wam znalezienie tego starego dzongu, w którym mieszkacie?

Gao nie odpowiedział.

- Kiedy przyjdą - ciągnął Shan - dowiedzą się też o złocie. A wtedy nawet wojsko nie zdoła powstrzymać biegu wydarzeń. Być może byłoby to możliwe dwadzieścia albo trzydzieści lat temu, ale nie dzisiaj. Rozwój gospodarczy i o nowa mantra Pekinu. Przez pierwszy rok czy dwa będą przysyłać tylko ekipy pomiarowe. Helikoptery będą latać w tę i z powrotem. Geolodzy będą wiercić i wysadzać skały. Potem sprowadzą buldożery, więcej dynamitu, i zaczną budowę dróg. Do wykonania prac przyślą tu na rok, może dwa, ekipę trzystu lub czterystu więźniów z obozu pracy, i tak więc prawdopodobnie wybudują dla nich baraki właśnie tu, na miejscu wioski. Powstanie nowe miasto, z betonu i stali. Skład, warsztat samochodowy, sypialnie. Potem roboty zaczną się na całego. Dziesiątki górników. Kolejne sypialnie. Wielkie ciężarówki do transportowania rozkruszonego materiału. A gdy już wyeksploatują złoża i wypłuczą złoty pył ze strumieni, wybiorą małą dolinę, w której zgromadzą zdartą ze stoków ziemię, i spryskają ją cyjankiem sodowym, by wypłukać rudę. Nie ustaną, dopóki nie pozostanie nic poza nagą, jałową skałą. Gdy wezmą się do dzieła, tybetańska góra ma przed sobą około dwunastu lat, istnienia.

Shan się nie dowiedział, jakie gniewne słowa formowały

się na ustach Gao. Nagle pojawił się Chodron w towarzystwie dwóch swoich ludzi.

- On jest mój - powiedział, wskazując na Shana. - Został już aresztowany przez władze cywilne. Zwolniłem go warunkowo, bo potrzebna mi była jego pomoc.

- Już aresztowany? - zapytał Gao, tłumiąc gniew. - Pod jakimi zarzutami?

Chodron z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Zakłócanie działalności lokalnych władz. Niepodporządkowanie się zasadom akcji „Toporem po korzeniach” - wyrecytował.

- „Toporem po korzeniach” to kampania - zauważył Gao -nie prawo karne. Kampania wymierzona przeciwko Tybetań-czykom. Shan nie jest Tybetańczykiem.

- Nie jest zarejestrowany u władz. To zero, zbiegły więzień. Zostawcie go mnie, a znajdziemy sukinsyna, który załatwił waszego bratanka. Rozpocząłem już śledztwo. Wiem, jak postępować z ludźmi takimi jak Shan.

Milczenie Gao wyraźnie zbijało naczelnika z tropu.

- Nie zamykajcie oczu na prawdę - zakończył genpo.

- Jaką konkretnie prawdę przeoczyłem, towarzyszu Chodron? - zapytał Gao.

- Gdyby nie Shan, wasz bratanek nie straciłby życia. Być może był kiedyś inspektorem w Pekinie, ale to już przeszłość. Kto raz został przestępcą, pozostanie nim już na zawsze. Ludzie tacy jak wy czy ja są jego wrogami. Burzy spokój. Wprowadza zamęt. Oficjalne prawo nic już go nie obchodzi. On nie chce, by morderca stanął przed chińskim sędzią.

- Zaprzeczcie temu - zwrócił się Gao do Shana rozkazującym tonem. Shan spojrzał w stronę odległych gór.

- Nie jestem waszym wrogiem — odparł.

- Czy mój bratanek żyłby nadal, gdybyście nie weszli na tę górę?

- Nie wiem - głos Shana ucichł do szeptu. - Przypuszczalnie tak. Szedłem w górę, by znaleźć odpowiedzi. Zabójca poczuł się osaczony. Ale jeśli Hostene i ja nie wrócimy, jego siostrzenica zginie z pewnością.

- To Shan mógł zamordować waszego bratanka

powiedział Chodron. Nachylił się do ucha Gao. - Mógłbym bez trudu napisać raport dla Urzędu Bezpieczeństwa. Shan był w okolicy, miał dostęp do ciężkich ostrzy, miał prosty motyw. Został zdemaskowany. Może to zabójstwo było ostatnią, desperacką próbą niepoprawnego recydywisty broniącego się przed spędzeniem reszty życia w więzieniu? Może Shan i Hostene byli w zмовie? Shan mógł wziąć łapówkę za ukrycie dowodów, że Hostene zabił swoich dwóch towarzyszy. Potem musiał uciszyć waszego bratanka, gdyż chłopiec prowadził własne dochodzenie i odkrył straszliwą prawdę. Zbiegły więzień i nielegalny obcokrajowiec... takie wyjaśnienie z pewnością przypadłoby Urzędowi Bezpieczeństwa do gustu. - Chodron odwrócił się do Shana. - Proste przyznanie się do winy uchroni waszych dwóch starych kozłów od niepotrzebnych cierpień.

Shan przyjrzał się uważnie twarzy naczelnika. Kątem oka dostrzegł ruch za stajnią. Dwaj ludzie Chodrona nieśli Genduna, bezwładnego jak worek ryżu.

Shan zrobił krok w stronę lamy.

- Ten drugi, Lokesh - dodał Chodron - będzie następny. Pamiętam, że odniósł się do mnie dość grubiańsko tego wieczora, gdy zjawiliście się w wiosce.

Shan nie był w stanie wykrztusić słowa. Szarpnął łańcuch łączący jego tkwiące w kajdanach nadgarstki, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. Gdy ujrzał martwego Thomasa, sądził, że nic gorszego nie może się już wydarzyć. Ale teraz stał skuty, podczas gdy Chodron żądał, by przyznał się do morderstwa, by ocalić Lokesha i Genduna.

Ktoś stanął między Shanem i Chodronem. Gao.

- Pozwolimy Shanowi i Amerykaninowi jeszcze raz pójść na górę - oświadczył fizyk. - Damy im siedem dni, nie więcej. Załóżcie kajdanki tym dwóm starcom, których nazywa swoimi przyjaciółmi. Traktujcie ich jak więźniów czekających na przybycie funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Jeśli cokolwiek stanie się mnie albo Kohlerowi, albo jeśli ci dwaj zostaną znów przyłapani po wschodniej stronie góry, albo jeśli Shan nie wróci w ciągu tygodnia, dwaj starcy mają zo-ulać przekazani Urzędowi Bezpieczeństwa. Major Ren robi właśnie objazd okręgu. To człowiek odpowiedzialny za kam-

panię „Toporem po korzeniach” w tym regionie. On będzie wiedział, co z nimi zrobić.

- Ren - mruknął naczelnik z chrząknięciem, w którym pobrzmiwało po części zadowolenie, po części lęk.

Gao, nie patrząc na Shana, ciągnął:

- Gdy Shan wróci, będzie mógł wybrać. Albo odda się w moje ręce, a ja wyślę go do Pekinu, gdzie jest jego miejsce, by nauczył się na nowo służyć swemu rządowi, albo w wasze, a wtedy znów trafi do więzienia.

Shan poczuł, że kompletnie zaschło mu w gardle.

- Powstrzymacie się tydzień przed wezwaniem Urzędu Bezpieczeństwa?

- Tak, chyba że coś będzie groziło Kohlerowi lub mnie. -Gao zerknął na naczelnika. - Albo Chodronowi.

Chodron i Gao zawierali między sobą delikatną, ryzykowną umowę. Shan był w niej stawką.

- Nie — odparł.

- Nie? To nie wy decydujecie! - warknął Chodron.

- Nie podpiszę przyznania się do winy. I nie pójdę ścigać zabójcy, dopóki Lokesh i Gendun nie zostaną rozkuci, oddani pod opiekę Dolmy i zaopatrzeni we wszystko, czego ona zażąda. I koniec z tamzingami.

Przygotował się psychicznie na cios, gdy Chodron zamachnął się otwartą dłonią. Ale Gao powstrzymał rękę naczelnika.

- Tego przestępcę może schwytać tylko drugi przestępca - oświadczył.

- Lama pozostanie skuty. Przy drzwiach będzie stał wartownik. Nie będzie im wolno opuszczać domu Dolmy -odparł Chodron. Spojrzał gniewnie na Shana, po czym wziął klucz, który podał mu Gao. - Trzy sesje tamzingu na razie wystarczą - dodał z nutą satysfakcji w głosie, uwalniając Shana z kajdanków. - Wróćcie bez mordercy, a urzędę trzy kolejne.

Shan spojrział na Genduna. Trzy nowe sesje zabiłyby starego lamę.

- Za tydzień obchodzimy doroczne święto plonów — oświadczył Chodron rozradowanym nagle głosem. - W tym roku zboże obrodziło jak nigdy. Przy okazji uczymy też



rozwikłanie zagadki morderstw. Będziemy wysławiać łaskawość naszych zwierzchników z Pekinu.

Gendun leżał na posłaniu, doglądany przez Lokesha, podczas gdy Dolma grzała herbatę na koszu z żarem przy otwartym oknie. Na policzkach lamy widniało kilka sinych plam, czoło miał pobrużdżone zmarszczkami — jedynym świadectwem jego milczącej walki z bólem. Wydawał się słaby i wątpliwy. Wyglądał, uświadomił sobie Shan ze ściśniętym sercem, tak jak tybetańscy więźniowie, wśród których żył w obozie, starzy lamowie, którzy powoli gaśli na jego oczach. Pochował ich tak wielu, że stracił rachubę.

- Chodron przyłapał dwóch pasterzy odliczających paciorki modlitewne - powiedziała udreżonym tonem Dolma. - Pewna rodzina zamontowała przy drzwiach swego domu stary, zardzewiały młynek modlitewny. Wpadł w szal. Spalił paciorki, rozbił młynek, po czym wywlókł Genduna na ulicę, mówiąc, że to wszystko jego wina.

Gdy Shan usiadł przy posłaniu lamy, ręką bezwiednie sięgnął i zacisnął ją na skutej łańcuchem dłoni Genduna. Z obezwładniającym poczuciem klęski przypomniał sobie, jak jego ojciec leżał, umierając po pobiciu przez czerwono-gwardzistów. Shan siedział wtedy bezradnie, godzinami ściskając jego rękę, dopóki ze straszliwym rżeniem, które do tej pory powracało do niego echem w koszmarnych snach, profesor nie wydał ostatniego tchnienia.

- Parzymy zioła, jakie stosowali dawni uzdrowiciele - powiedziała Dolma, wskazując skinieniem głowy Lokesha, nucącego mantrę do bóstwa uzdrowień.

Wdowa krzątała się przy małych glinianych garnkach i dzbankach, stojących rzędem na półce pod oknem. Z początku Shan sądził, że przygotowuje zioła, potem jednak spostrzegł, że wykręca ścierkę w palcach, rzucając nerwowe spojrzenia za okno. Wstał i podszedł do niej.

- Muszę zrozumieć twojego siostrzeńca, Tashiego - powiedział cichym głosem. - Jak to się stało, że opuścił wioskę?

Dolma otarła oczy fartuchem.

- To był dobry chłopiec, najlepszy przyjaciel Yangkego. Dziesięć lat temu Yangke wrócił z chińskiej szkoły, do której

wysłał go Chodron. Miał tam wiele problemów, często był karany, bo nie reagował na chińskie imię, jakie mu nadano, i buntował się, gdy zabraniano mu mówić po tybetańsku. Ale miał najlepsze stopnie w całej klasie, a oni zawsze szukają Tybetańczyków, których mogliby posłać na studia do Chin. Chodron oświadczył, że załatwił Yangkemu miejsce na uniwersytecie w prowincji Syczuan, że to wielki zaszczyt dla naszej wioski, iż jeden z jej mieszkańców został wybrany przez rząd. Jednak podczas uroczystości, jaką urządził dla niego Chodron, Yangke oświadczył, że został już przyjęty gdzie indziej, do nowicjatu w jednym z klasztorów koło Lhasy. Chodron był wściekły, ale następnego dnia Yangke odszedł do gompy. Dopiero później odkryliśmy, że namówił Tashiego, by poszedł razem z nim. Ale Tashiemu nie odpowiadało życie mnicha. Po kilku miesiącach odszedł i znalazł sobie pracę w fabryce.

- I wpadł tam w kłopoty?

- Nigdy nie był szczęśliwy. Uwielbiał rysować. Nigdy nie rozstawał się ze swym piórnikiem. Zostałby wielkim malarzem thanek, gdyby... gdyby sprawy wyglądały inaczej. Kiedy odszedł, jedyną rzeczą, jaką wziął ze sobą, był ten stary srebrny piórnik. Podobno popełnił jakieś przestępstwo związane z czarnym rynkiem, z przemytem towarów przez granicę. Zarzucono mu podrabianie dokumentów eksportowych i skazano na trzy lata więzienia.

- Gdzie siedział?

- Na zachodzie, koło Rutok - odparła staruszka. Rutok było największym miastem na zachodnich rubieżach

Tybetu, miejscem, gdzie znajdowało się wiele tajnych baz wojskowych i obozów pracy.

- A kiedy wyszedł?

- Nie wiem dokładnie. Co parę miesięcy wysyłał nam pocztówki, żebyśmy wiedzieli, że wciąż żyje. Mówił, że jest kierowcą ciężarówki w jakiejś fabryce. Ostatni raz widziałam go na rocznicy śmierci jego matki, dwa lata temu. Przywiózł mi coś z daleka.

Dolma szperała przez chwilę na półce, odsuwając na bok dzbanki, aż wreszcie znalazła mały porcelanowy model Tadź Mahal. Tashi był w Indiach. Ale jako były więzień nigdy

nie otrzymałby legalnie zezwolenia na przejazd ciężarówką przez granicę.

- Jak dobrze znał wyższe partie góry? - zapytał Shan.

- To był jego świat, kiedy był małym chłopcem. On i Yangke doglądali tam owiec.

- Czy on mógł znać twojego pierwszego syna, Rapakiego?

- Rapaki urodził się kilka miesięcy po zniszczeniu świątyni. Moja siostra była pewna, że jest powtórny wcieleniem któregoś z mnichów, bo już w dzieciństwie godzinami przesiadywał w zbombardowanych fundamentach. - Gdy Dolma uniosła wzrok, jej oczy były pełne łez. - Był dobrym chłopcem. Niektórzy na długo, nim Chodron zaczął tego wymagać, posyłali swoje dzieci do szkół daleko stąd. Ja tego nie zrobiłam. Straciłam męża na wojnie i nie chciałam stracić również Rapakiego. Było ciężko, gdyż nie mieliśmy prawdziwych nauczycieli. Nasze dzieci zawsze uczyli mnisi. Gdy Rapaki po raz pierwszy włożył mnisią szatę, wszyscy myśleli, że się wygłupia. Śmiali się z niego. Dzień w dzień siadał w jednym ze spichrzów, czytając strzępy starych świętych ksiąg, które ocaliliśmy z płomieni. W końcu naczelnik, ojciec Chodrona, kazał mu przestać. Nie wolno było być mnichem i samoloty wróciłyby, gdyby ktoś się o tym dowiedział. Następnego dnia Rapaki odszedł w góry. Minęły dwa lata, nim ujrzeliśmy go znowu. Kiedy Yangke i Tashi byli w takim wieku, że mogli chodzić na stoki z owcami, ludzie nazywali już mojego syna świętym z góry. Kiedy coś zbroili, mówili, że wystarczy, by dotknęli Rapakiego, aby uwolnić się od winy.

- On mieszka teraz na ścieżce pielgrzymkowej, na której giną ludzie. Co wiesz o tej ścieżce? - zapytał Shan.

- Za mało. Zawsze chciałam się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Zaczęłam pomagać w świątyni. Ale potem przyleciały te chińskie samoloty. Pamiętam, jak jeden z łamów rozmawiał kiedyś z kilkoma pielgrzymami, którzy przybyli do naszej wioski, szukając kogoś, kto zaprowadziłby ich na ścieżkę. Nie dopuścił ich tam. Powiedział, że to wygląda zupełnie inaczej, niż myślą, że ta kora jest przeciwieństwem tego, czego się spodziewają.

- Co miał na myśli?

- Jego słowa prześladowają mnie, gdy myślę o Rapakim. Ta-

kora jest bardzo starym reliktem z czasów bonu. Jest inna niż święte szlaki wytyczone po tym, jak nasi lamowie przyjęli drogę Buddy. Bonpowie żyli w brutalnym świecie. Nie wzdragali się pomóc słabym przejść do następnego wcielenia.

- Co mówi ci o tym serce?

- Sama nie wiem. Myślisz, że nie próbowałam zrozumieć? Przez długi czas każdego lata wędrowałam po stokach w nadziei, że dostrzegę gdzieś swego syna, że zdołam nakłonić go, by wrócił do domu. Może to jest miejsce, gdzie ludzie muszą umierać. Może zabija ich sama góra.

Shan odwrócił się i ujrzał Hostene'a siedzącego po tu-recku w nogach posłania Genduna. Dolma wydała stłumiony okrzyk. Shan otworzył usta, by szepnąć jej, że Indianin nie zrobi lamie krzywdy, gdy dostrzegł za nim, w cieniu pod drabiniastymi schodami, niewyraźną postać. Był to Gao, przyglądający się w milczeniu.

- Według dawnych wierzeń mojego plemienia - powiedział Hostene, gdy Shan podszedł bliżej - leczenie wymaga przyzwania bóstw.

- To właśnie robi Lokesh - odparł Shan.

- Ale obawiamy się też, by w osłabioną osobę nie weszły demony. Gdy byłem mały, zachorowałem na gościec. Ojciec sprowadził lekarza, ale matka wysmarowała mi twarz sadzą, żebym był niewidzialny dla demonów. Wszystkie drzwi i okna zwrócone na wschód, ale tylko te, były wciąż otwarte, bo tam właśnie mieszkają dobre bóstwa. Rodzice do końca życia spierali się, co mnie uleczyło, leki białych czy nawaskie modlitwy.

Indianin wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kamizelki swój pierzasty kijek i pomachał nim nad Gendunem.

Shan przetłumaczył Dolmie jego słowa. Przechyliła na chwilę głowę, przyglądając mu się ze zdumioną miną.

- Moja babcia opowiadała, że jej też malowano tak twarz, kiedy była chora. - Wstała, przyniosła spod półki pod oknem mały, wystygły koksownik, po czym zanurzyła dwa palce w sadzy i zaczęła smarować nią twarz Genduna.

Gao ruszył naprzód. Shan wstał, by zagrozić mu drogę.

- Mój bratanek leży okaleczony i martwy — powiedział fi-

zyk. - Nie mam nawet kompletnych zwłok, by móc je pogrzebać, a wy tu bawicie się w te... te czary. - Mówił po chińsku, sądząc, że nikt inny go nie rozumie. - Chodron ma rację. W głębi serca jesteście najgorszym rodzajem reakcjonisty. Lokesh przerwał swą mantrę.

- On w tej chwili błąka się bez celu, drżąc z trwogi, nie chcąc pogodzić się z tym, że tak wcześnie przekroczył granicę śmierci, niepomny na straszliwe niebezpieczeństwa, które czają się wokół niego. - Lokesh mówił tak spokojnym głosem, tak bezbłędnie wymawianą chińszczyzną, że Gao rozejrzał się dookoła, jak gdyby szukając źródła niespodziewanych słów. Lama przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- O czym... o kim mówicie? - zapytał z wahaniem fizyk.

- O chłopcu. O twoim bratanku. To bardzo przykre, że go straciłeś. Ale trzeba wypowiedzieć pewne słowa, inaczej stanie się gniewnym duchem, skazanym na wieczne błędzenie po stokach.

- On był naukowcem - stwierdził ostro Gao. - Z rodziny o naukowych tradycjach. My nie wierzymy... - Przerwał, marszcząc brwi, jak gdyby się zastanawiał, po co właściwie dyskutuje ze starym Tybetańczykiem. - Mój bratanek nie potrzebuje już niczego, czego nie mógłby zapewnić pluton egzekucyjny.

- Mówisz o mordercy - odparł Lokesh. - Ja mówię o twoim bratanku i o tobie samym. Moim zdaniem bycie naukowcem jest sprawą ciała. Mnie zaś chodzi o to, co dzieje się z najgłębszą istotą, kiedy wydostaje się z tej łupiny. - Stary Tybetańczyk gmerał przez chwilę w kieszeni, aż wy dobył z niej tsa tsa, małą glinianą plakietkę z wizerunkiem bóstwa. - Masz - powiedział, podając ją Gao. - Wkrótce przyjdzie czas, gdy poczujesz bliskość swego bratanka. Weź to wtedy do ręki i daj mu znać, że staramy się pomóc mu znaleźć drogę. Gdy Gendun się obudzi, będziemy przez następne siedem dni odprawiać dla niego obrzędy pośmiertne.

Gao wpatrywał się z konsternacją w glinianą tabliczkę, jakby nie mógł pojąć, skąd wzięła się w jego dłoni. Shan sądził już, że fizyk schowa tsa tsa do kieszeni, gdy Gao, z odrazą na twarzy, cisnął nią o przeciwległą ścianę, tłukąc ją na drobne kawałki.

- Jeśli chcesz - zaproponował Lokesh tym samym spokojnym tonem — mogę nauczyć cię niektórych modlitw.

- Zamknij się, ty cholerny głupcze! Takie właśnie bzdury kosztowały mojego bratanka życie.

Shan miał już zaprotestować, powiedzieć, że Thomas nigdy nawet nie spotkał łamów, gdy uświadomił sobie, że Gao ma na myśli bzdury Abigail Natay. Indianka uciekła z bezpiecznej strony góry, by kontynuować swe prace w starych sanktuariach. Thomas poszedł za nią.

- Twoja świetlista świadomość nie zna narodzin ani śmierci - Lokesh, zwrócony twarzą do cieni, gdzie na podłodze leżało roztrzaskane bóstwo, zaczął recytować początkowe słowa rytuałów pośmiertnych.

Na twarzy Gao pojawił się gniew, który szybko ustąpił rozpacz. Odszedł. Shan dogonił go u podnóża schodów.

- Mogę jedynie przeszukać górę - powiedział mu.

- Co macie na myśli?

- Coś się tu kończy, ale nie tutaj miało swój początek. Są tu ludzie, którzy coś ukrywają. - Pospiesznie zapisał na skrawku papieru nazwisko i podał go Gao. - Ten człowiek pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa i stacjonował chyba gdzieś w Tybecie. Muszę wiedzieć, gdzie służył, na czym polegały jego obowiązki. I coś jeszcze.

- Nachylił się i zaczął szeptać mu wprost do ucha. Zmarszczki na czole naukowca pogłębiły się.

Coś poruszyło się za ich plecami. Na schodach stał Hostene.

- Przyszedłem tu, by zaproponować, że zabiorę pana do siebie helikopterem — powiedział Gao do Indianina. — Miejsca jest dosyć. W pańskim stanie nie powinien pan wspinać się po górach.

- Nawet gdyby Shan nie szedł, ja bym wrócił. Nie pozwolę mojej siostrzenicy umrzeć.

- Kiedy Shan ją znajdzie, zawiadomi nas.

- On ma rację, Hostene - wtrącił się Shan. - Wiemy o pańskiej chorobie. To może panu tylko zaszkodzić.

Hostene spojrział na nich z zakłopotaniem.

- Macie na myśli mój kaszel? Paliłem przez dwadzieścia lat. To cena, jaką płacę. Lekarze mówią, że jak na mój wiek moje płuca są w całkiem niezłym stanie.

- Widzieliśmy leki - powiedział Gao - na raka. Hostene usiadł na stopniu.

- To prywatna sprawa - oświadczył.

- Nie pomoże pan swojej siostrzenicy, rujnując sobie zdrowie na tej górze - zauważył Shan.

Hostene był zmuszony wyjaśnić.

- Nasz stary lekarz rodzinny wypisał recepty na moje nazwisko, żeby nikt nie podejrzewał, że Abigail jest chora. To, co widzieliście, to zapas, który niosłem. - Uniósł wzrok na Shana. - Pytał pan kiedyś, dlaczego tak bardzo zależy jej na dokończeniu prac.

- O czym pan mówi? - zapytał Shan, czując, jak po plecach przebiega mu dreszcz.

- To nie ja. To Abigail ma raka. Dają jej nie więcej niż rok życia.

## ROZDZIAŁ 9

Krzyki wtopiły się w koszmary sen, w którym Shan widział Genduna na nowym tamzingu. Przybierały na sile, aż w końcu uświadomił sobie, że Lokesh potrząsa nim. Rozpaczliwe okrzyki dobiegały z zewnątrz, rozchodząc się od domu do domu, odkąd mieszkańcy Drango spostrzegli płomienie. Pola jęczmienia stały w ogniu.

Niewiele jest rzeczy bardziej suchych niż gotowy do zbioru jęczmień. Płomienie wżerały się w głąb pól jak wygłodniałe, pochłaniając szeleszczące jak papier kłosa. W ciągu paru minut kto żyw w wiosce był na polach, zmagając się z ogniem za pomocą mioteł, wiader i łopat. Niektórzy wkrótce opadli na kolana, wybuchając bezradnym szlochem. Jęczmień był ich życiem, zapasem żywności na czekającą ich morderczą zimę. Tsampa, papka z rozgotowanych ziaren, strawa, która miała utrzymać przy życiu ich i ich zwierzęta, znikła w rozdmuchiwanym przez wiatr morzu ognia. Chodron jak oszalały wykrzykiwał rozkazy, by przyniesiono więcej wiader, by wykopano rów od strumienia, ale zdawało się, że nikt go nie słucha. Nagle ponad harmider wzniósł się inny głos, młody i zaskakująco spokojny. Był to Yangke, z sierpem w dłoni. Wkrótce kilkunastu ludzi poszło za jego przykładem, tnąc zboże, by pozabawić szerzący się ogień paliwa, odizolowując małą cząstkę plonów pasem nagiej ziemi.

Shan przystanął na skraju pól, przyglądając się ponurej scenie. Pożar, niesiony prądem powietrza, który zstępował przed świtem z wyższych partii stoku, rozpoczął się w górnej części pól, w kilku miejscach, prawdopodobnie podpalonych przez kogoś, kto biegł z pochodnią. Patrząc na pogrążoną w rozpacz wioskę, pochwycił urywki gorączkowych rozmów. Ktoś mówił, że to musiał być piorun. Ktoś inny twierdził, że widział zawieszony w powietrzu płomień, poruszający



się w czarodziejski sposób wzdłuż górnego skraju pól, szybciej, niż mógłby biec człowiek. Ktoś, wskazując palcem w stronę spichrzy, oznajmił, że Chodron dostał zaproszenie od demona. Shan skierował się tam, przystając w cieniu, gdy spostrzegł naczelnika wioski stojącego w kręgu ubitej ziemi ze wzrokiem utkwionym w martwej owcy. Zwierzę miało poderżnięte gardło i siedziało na zadzie, podparte patykami tak, że jego pozbawione życia oczy zdawały się obserwować dom naczelnika. W jego pysku tkwił ozdobny srebrny piórnik. Piórnik, który Shan widział już wcześniej. Piórnik Tashiego. Przyglądał się, jak Chodron z wahaniem otwiera go. Był pusty.

Shan dostrzegł Hostene'a i podbiegł do niego. Żałosne krzyki wieśniaków przybrały na sile. Pracowali wraz z Yang-kem, odciągając na bok ścinane przez niego kłosa, zdeptując spadające na oczyszczony pas ziemi iskry. Shan przyglądał się, jak Chodron pędzi pod górę. Nowe pole zajęło się nagle z budzącym grozę szumem gorącego powietrza. W tym samym momencie Shan rzucił się za najbliższy budynek.

Dom Chodrona był pusty. Tylne drzwi stały otworem. Jego biuro było zamknięte na kłódkę, ale za pomocą kamienia i grubego gwoźdźca, który poprzedniej nocy zabrał ze stajni, Shan zaczął majstrować przy zawiasach. Szybko wyciągnął bolce i odchylił drzwi. Wszedł do środka i zapalił jedną ze świeczek na biurku. Wytarłszy ręce z sadzy o nogawki spodni, zaczął przeszukiwać papiery leżące na jego blacie, po czym przetrząsnął szuflady i ułożone w stos na stole pod ścianą teczki. To właśnie było jego specjalnością w poprzednim wcieleniu: odkrywanie i rozszyfrowywanie tajemnic skorumpowanych urzędników. Swego czasu ogłoszono go bohaterem pracy za rozpracowanie tajnych zapisów w księdze rachunkowej wiceministra energii, dotyczących milionów wysyłanych na rachunki bankowe w Hongkongu. Akta Chodrona zawierały raporty o plonach, opiece medycznej, zebraniach partyjnych, kosztach utrzymania mieszkania w Tash-tul, wszystko, tylko nie to, czego szukał. Zastanawiał się, w jaki sposób Chodronowi udawało się zapewnić wiosce oficjalny status do pewnych celów, jak umieszczanie dzieci w rządowych szkołach z internatem, a zarazem utrzymywać

ją poza zasięgiem zainteresowań pracowników administracji, spisów ludności i poborców podatkowych. Przyjrzał się książkom na wysokiej półce nad stołem - święte księgi partii, zbiór pism na temat myśli socjalistycznej dla społeczności rolniczych, nawet poradnik dotyczący zwalczania pasożytów jęczmienia. Tylko na jednej widać było jakiegokolwiek ślady używania.

Chodron nie był subtelny, choć Shan musiał podziwiać jego śmiałość. Naczelnik usunął stronicę oprawionego w twarde okładki egzemplarza *Myśli przewodniczącego Mao* i wkleił w nie księgę rachunkową. Ukrył swoje sekrety w widocznym dla wszystkich miejscu. Grzesznik maskował swoje występki swą biblią.

Jej zawartość robiła wrażenie, musiał przyznać Shan. Od przeszło dziesięciu lat Chodron rejestrował opłaty od górników, pobierane na początku września, gdy przechodzili przez jego prowizoryczne rogatki na ścieżce nad wioską. Każdoroczny wpis zawierał listę nazwisk, zmieniającą się nieznacznie z roku na rok, stopniowo wydłużającą się, tak że ostatni rok wykazywał opłaty od czterdziestu różnych osób. Dwa nazwiska zostały wykreślone pod koniec ubiegłego sezonu, kolejne przed miesiącem.

Shan przewertował w tę i z powrotem zapisy z ostatnich lat. Jedyne w obecnym i poprzednim roku usunięto jakiegokolwiek nazwiska. Wszystkie wcześniejsze listy wyglądały, jak gdyby sporządzono je tego samego dnia, tym samym piórem i tym samym atramentem, notując nazwisko oraz pobraną kwotę. Jednak ostatnie dwie były inne. Nazwiska zostały wpisane z wyprzedzeniem, w bardziej uporządkowany sposób, na podstawie dostarczonego wcześniej wykazu, kwoty zaś uzupełniono w dniu płatności. Chodron nawiązał współpracę z Bingiem.

Shan ponownie zamontował drzwi na zawiasach, wbił bolce i wyszedł na dwór prosto w kłęby dymu. Podeszedł do generatora Chodrona, odkręcił wlew paliwa i wrzucił do zbiornika garść ziemi. Dym zgęstniał właśnie, ukrywając jego powrót na pola. Shan odszukał Hostene'a i zajął miejsce obok niego, odgarniając źdźbła, podczas gdy ci na przedzie ciął je sierpami.

Nie zauważył odejścia Hostene'a. Nagle się zorientował, że Yangke przerwał pracę. Podążył wzrokiem za spojrzeniem młodego Tybetańczyka. Przy bliższym spichlerzu stała szara od dymu postać z dwoma plecakami w rękach. Uświadomił sobie, że Indianin ma rację. Nie mogli pozwolić sobie na to, by dosięgła ich wściekłość Chodrona, gdy płomienie dokonają dzieła.

Yangke położył mu dłoń na ramieniu.

- Spróbuję was znaleźć - powiedział śmiertelnie zmęczonym głosem.

- *Lha gyal lo.*

Gdy dotarli do ścieżki ponad wioską, słońce zdążyło już się wyłonić zza grzbietu, ukazując ich oczom pełny rozmiar zniszczeń. Ocalała nie więcej niż jedna dziesiąta zbiorów. To oznaczało kres wioski takiej, jaką znali jej mieszkańcy. Nie mieli szans przeżyć bez zwrócenia się o pomoc do lokalnych władz, a wtedy ich przedstawiciele przybyliby, by ocenić ich położenie. Koniec nadszedłby szybko.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - zapytał Hostene.

- Ktoś, kto chce, żeby Chodron poniósł klęskę — odparł Shan.

- Morderca?

Shan wskazał ślady opon rowerowych, zbaczające ze ścieżki u szczytu pól. Płomień, od którego zapalił się jęczmień, poruszał się szybciej, niż mógłby biec człowiek.

- Morderstwo - wyjaśnił - jest tylko jednym z aktów wojny, jaka toczy się na tej górze. - Wiedział jednak, że w krótszej skali czasowej właśnie morderstwo będzie jedyną obsesją Chodrona. Gdyż skoro Chodron-żniwiarz został ograbiony z sukcesu, to Chodron-wioskowy sędzia potrzebował tym bardziej spektakularnego zwycięstwa. Shan dociągnął paski swego plecaka i z ponurą determinacją ruszył pod górę.

Burza rozpełtała się godzinę później. Zaczęła się od pojedynczego pioruna, uderzającego w odległy szczyt, po nim zaś nastąpiło, jeden po drugim, kilkanaście kolejnych, coraz bliższych, wstrząsających ziemią, przypalających powietrze, wydzielających metaliczną woń ozonu. Potężna, niemal czarna chmura zawisła nad górą, spowijając ją upiornym półmrokiem. Teraz burza zaczęła się na dobre. Większość piorunów koncentrowała się w okolicach wierzchołka, kil-

ka jednak uderzyło znacznie bliżej, jeden niespełna sto metrów od nich. Mogło się zdawać, że jakieś gniewne bóstwo przebudziło się i zaczęło bombardować górę.

Shan i Hostene rzucili się biegiem pod nawis skalny. Sypnął grad. Bryłki wielkości kulek do gry, znoszone w bok gwałtownymi podmuchami wiatru, siekły w nich tak mocno, że musieli się odwrócić i stanąć twarzą do skały, plecami do nawałnicy. Potem wszystko ucichło równie nagle, jak się rozpoczęło. Nie licząc gradu, była to sucha burza, jedna z tych, które wzbudziły w Tybetańczykach wiarę w górskich bogów.

Kiedy wyjrzało słońce, rozejrzeli się po zwodniczo spokojnym stoku.

- Dlaczego ona prowadzi swojego zabójcę? - Shan nie był nawet pewien, czy wypowiedział tę myśl na głos, dopóki nie spostrzegł, że stary Indianin patrzy na niego z przerażeniem.

- Czemu pan tak mówi?

- Każde z nich zmierza do jakiegoś miejsca na tej górze. Zorientowali się, że jest to jedno i to samo miejsce. Myślę, że ona lepiej niż zabójca wie, jak je znaleźć. A on zdaje sobie z tego sprawę.

- Powiedział pan: jej zabójca.

- Przykro mi, Hostene, ale ktokolwiek to robi, nie pozwoli jej odejść wolno, kiedy dotrą do celu. I myślę, że ona dobrze o tym wie. Teraz rozumiem, dlaczego zachowuje się tak, jakby miała niewiele do stracenia. Jeśli jest przekonana, że umiera, jeśli naprawdę sądzi, że wkrótce już jej nie będzie, to ukończenie pracy jest dla niej wszystkim.

- Pracy - powtórzył Hostene. - To już nie jest praca. Teraz to wszystko stapia się w jedno. Jej poczucie winy wobec zmarłych rodziców. Potrzeba odnalezienia równowagi. Tamtej nocy u Gao przyszła do mnie we łzach i powiedziała coś, po czym długo nie mogłem zasnąć. Stwierdziła, że źle się stało, że Tashi i Ma też stracili życie. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej mnie to niepokoiło. Chciała powiedzieć, że to ona powinna była umrzeć.

Shan ponownie odtworzył w myślach oglądane wraz z Hostene'em nagrania Abigail, tym razem widząc w nich nie

dzieło błyskotliwego naukowca, ale kobiety, która wiedziała, że umiera.

- To właśnie robiła przez cały czas - powiedział cicho. — Szukała kontaktu z zaginionymi bogami. - Minęła długa chwila, nim odezwał się znowu. — Ten list, który zostawiła panu w domu Gao. „Kroczę w Pięknie przede mną”. Skąd pochodzą te słowa?

- To fragment Drogi Błogosławieństwa. Pieśni rozpoczynającej dialog z naszymi świętymi duchami. - Hostene spojrzął na ciągnący się przed nimi pofałdowany teren, po czym skinął głową. - Ona stała się w większej mierze Indianką w Tybecie, niż była kiedykolwiek jako dziewczyna w Nowym Meksyku. Ale nikt nie zabija dla starych bogów -zauważył z konsternacją.

Był to przeskok, na który Shan nie był gotowy.

Skręcili na szlak wiodący do Małej Moskwy. Ścieżka była zagrodzona powiązаныmi tyczkami, wklinowanymi między skały, tak że tworzyły bramę. Górne końce tyczek pomalowane były w barwne paski w różnych układach, jakby górnicy wspólnie wysyłali ostrzeżenie do wszystkich intruzów. Za bramą, na ścieżce, leżał bezgłowy zewłok owcy.

Shan podążył wzrokiem za zatroskanym spojrzeniem Hostene'a w stronę Drango, gdzie dym wciąż wznosił się wysoko w górę. Ogień za nimi, żądni zemsty górnicy przed nimi. Nadszedł czas, by, jak mówiło *Tao Te Ching*, zablokować przejścia i zamknąć drzwi. Odwrócił się znów do Hostene'a.

- Myślę, że powinniśmy pójść nazrywać kwiatów -oświadczył.

Gdy dochodzili do Małej Moskwy, dyrektor Bing siedział na głazie u wylotu wąwozu, obserwując słup dymu nad Drango.

- Ty to masz jaja, Shan - mruknął, kiedy zbliżyli się do niego. - Dwa dni temu każdy górnik na tej górze życzył wam obu śmierci.

- W tym czasie zamordowano Thomasa. To zmienia wszystko. Teraz, gdy doktor Gao patrzy, kto ośmieli się zlikwidować jego ekipę śledczą?

- Gao nie umie odróżnić lisa od kur - prychnął Bing. Wskazał ręką dym. - Jak jest?

- Wioska stoi. Prawie całe zboże spłonęło.

Bing przeciągnął dłonią po swych gęstych włosach. Wymamrotał ciche przekleństwo.

- Ktoś kiepsko to zaplanował - zauważył Shan. - Jak Chodron wyżywi wioskę, nie zwracając się do rządu o pomoc? I jak wyjaśni, dlaczego wieś potrzebuje wsparcia, skoro nigdy nie wymagała go wcześniej? Już samo to ściągnie mu na głowę dochodzenie. Lepiej zapomnijcie z Chodronem

0 złocie i zaczniacie uprawiać groch.

Bing spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

- Chyba nie sądzisz, że my mieliśmy z tym cokolwiek wspólnego.

- Jak sam powiedziałeś - przypomniał mu Shan - Mała Moskwa funkcjonuje w nowym, wspaniałym świecie, gdzie każdy może realizować swój pełny potencjał.

Miasteczko górników zmieniło się, zauważył Shan, gdy wszedł do niego w ślad za Bingiem. Fotografie bliskich zniknęły, tabliczki z odległościami do rodzinnych miast zostały zdjęte. Ludzie usunęli wszelkie znaki mogące zdradzić, kim są poza górą. Stali się podejrzliwi względem siebie nawzajem. Przed jedną z kolib stał uwiązany do słupa kogut, czujny jak pies. Klatka dla ptaków, którą Shan widział podczas swej poprzedniej wizyty, zniknęła, a na jej miejscu zawisła deska, na której ktoś wypisał staroświeckie zaklęcie przeciwko złym duchom. Nieliczni górnicy, których dało się dostrzec, zerkali nieufnie na Shana i Hostene'a. Inspektor obszedł dookoła centralny plac miasteczka, po czym przystanął na chwilę, by uważnie obejrzeć kruszący się fresk. Dostrzegł drobne, owalne kształty obrysowujące niektóre z przedstawionych na malowidle świętych symboli. Przykucnął, by obejrzeć dokładnie fragment, który odpadł

i stał teraz przy wejściu do kwatery Binga. Na tynku widniał łeb jakiegoś stworzenia o długich kłach, które sprawiało wrażenie pół-człowieka, pół-lwa.

Bing skierował ich do ogniska na środku placu i rozlał herbatę do metalowych kubków.

- Jesteśmy zaszczyceni, mogąc gościć ambasadorów wiel-

kiego dworu Gao — powiedział drwiąco. — Ale nie dowiecie się tu niczego więcej na temat morderstw.

- Morderstw? - zdziwił się Shan. - Uznałem, że moje hipotezy były błędne. Teraz prowadzę badania nad kreatywnością przedsiębiorców w socjalistycznej gospodarce rynkowej.

Bing uniósł kubek w salucie, omiatając szerokim gestem ręki swą społeczność górników, którzy zaczęli gromadzić się kręgiem wokół nich.

- Tu widzisz przyszłość Chin u jej zarania.

Shan wychylił jednym haustem pół kubka. Hostene zaczął wyciągać z plecaka rozmaite przedmioty.

- Ten górnik, którego zabito w zeszłym roku - odezwał się nagle Shan. - Jak on zginął? Byli jacyś świadkowie? Dlaczego doszedłeś do wniosku, że zabił go jego wspólnik?

- Powiedziałeś, że nie interesujesz się już morderstwami.

- Na tej konkretnej górze ludzkie zwłoki są zwykłym dobrem podlegającym prawom popytu i podaży. Do tego stopnia, że kiedy zaczyna brakować morderstw, pożyczasz sobie trupa i nazywasz go ofiarą morderstwa.

Bing w milczeniu mierzył go wściekłym wzrokiem, po czym zerknął krótko na Hostene'a. Ledwo zauważalnym gestem dał sygnał Hubeiowi, swemu żylastemu, podobnemu do buldoga pomagierowi, który przyniósł mu jedno ze stylisk od łopaty.

- Nie wierzymy w odkopywanie starych duchów.

- Ale to właśnie jest moja praca - odparł Shan. - Ożywianie starych duchów. Sprawianie, by przemówiły, czerpanie z ich mądrości.

Bing się zdenerwował.

- Taka gadanina wzbudza w ludziach strach. Z dnia na dzień stają się coraz bardziej przesądni. Zobacz, co wyprawiają. Niektórzy wywieszają zaklęcia przed swoimi kwaterami. Jeden człowiek kupił od jakiegoś rolnika stare pudełko na amulet, twierdząc, że tutaj jedynymi bogami są tybetańskie bóstwa. Inny wystawił przed dom koguta, bo jego babka mówiła mu kiedyś, że one odstraszą złe duchy.

Shan wskazał ruchem głowy Hostene'a, który ułożył wyjęte z plecaka przedmioty - pierzastą różdżkę, woreczek z pył-

kiem zebranych z zerwanych po drodze kwiatów, kość z nogi jaka, którą znaleźli przy ścieżce - na swym wielobarwnym kocu.

Wśród gapiów przebiegł pomruk zaniepokojenia. Każdy z górników stanowił dla Shana osobną zagadkę. Jediną rzeczą, jaką wiedział na pewno, było to, że wszyscy są zabobonni.

- Co on, u diabła, robi? - zapytał ostro Bing.

- Hostene też boi się duchów - oświadczył Shan głosem wystarczająco donośnym, by wszyscy mogli go słyszeć. - Zamierza odprawić pewien obrzęd, by porozmawiać z nimi, zapytać, dlaczego tak gniewają się na Małą Moskwę, dlaczego sądzą, że ktoś je okłamuje.

Usta Binga otworzyły się w proteście.

- Przecież to Amerykanin - wykrztusił wreszcie.

- To Indianin. Jest szamanem swojego plemienia. Tym, kto rozmawia z duchami.

- Czarnoksiężnik! - warknął ktoś.

Shan przyjrzał się zgromadzonemu. Kilku z nich usiadło na ziemi, tworząc szeroki krąg wokół Hostene'a. Inni wyszli ze swych prowizorycznych domów i niespokojnie się przyglądali, ukryci w cieniu. Indianin zaczął coś mamrotać w swym ojczystym języku, wymachując rękami w stronę nieba. Hubei zrobił kilka kroków w tył, po czym odbiegł pędem.

- Każ mu przestać - mruknął Bing do Shana.

- On rozmawia z duchami, prosząc je, by powiedziały nam prawdę. Z pewnością obywatele twojego nowego, wspaniałego świata nie mają się czego obawiać ze strony starych duchów. A może to ty boisz się duchów, kapitanie Bing?

- Czego chcesz?

- Ten człowiek, który zginął w zeszłym roku. Co się właściwie stało?

- Znalaziono go z dżutem w plecach i zakrwawioną głową w miejscu, gdzie upadł na kamienie. Przybył tu razem z pewnym sklepikarzem z Kantonu, swoim współnikiem. Ale zawsze kłócili się ze sobą i z nami wszystkimi. Ustaliliśmy, że było to dżuto jego współnika.

- My?

- Hubei i ja.



- A zabójca?

- Nikt nie wie, jak zginął. Znaleźliśmy jedynie jego szkielet.

- Z jego starym pierścieniem na palcu. Kościotrup z biżuterią. Nawet zmarli przystosowują się tutaj do nowych mód.

-Właśnie wtedy się zorganizowaliśmy. Spisaliśmy prawa rządzące Małą Moskwą, tak by stała się bezpieczną przystanią, składowiskiem zapasów.

-I właśnie wtedy wybrali ciebie na swego przywódcę -zaznaczył Shan.

- Morderstwo dowiodło, że ktoś taki jest potrzebny. Ja miałem doświadczenie w rządzeniu. Przyjęcie nominacji było moim obowiązkiem.

- Znów podaż i popyt - zauważył Shan. - Po tylu latach nagle pojawiła się potrzeba ochrony, a pod ręką był akurat idealny kandydat, by ją zaspokoić.

Na zewnątrz Hostene przemawiał w swym plemiennym języku, unosząc woreczek z pyłkiem do nieba.

- Niektórzy wciąż uważają go za zabójcę - zaznaczył Bing.

- Gdzie jest ciało człowieka, którego zabito w zeszłym roku?

- Nie wiem. Przywaliliśmy go kamieniami. Ale kiedy wilki zgłodnieją... - Bing wzruszył ramionami.

- Chcesz powiedzieć, że nie wracałeś już na ten grób?

- Nie miałem po co tam chodzić.

Shan zamyślił się nad wykalkulowaną obojętnością Binga. Postanowił nie zadawać pytania, które cisnęło mu się na usta.

- Gdybym wybrał się do Tashtul, gdzie znajdę agencję pośrednictwa handlu złotem? - zapytał zamiast tego.

- O czym ty mówisz?

- Dokąd idzie ktoś, kto chce sprzedać złoto? Oficjalnie skupuje je tylko rząd.

- Przecież nie wybierasz się do Tashtul - odparł Bing. -Jednak to fascynujący pomysł. Jesienią górnicy

rozjeżdżają się po całych Chinach, mają do dyspozycji czarny rynek całego kraju. Ale wy z Chodronem musicie wymienić

złoto, które dostajecie od nich, gdzieś znacznie bliżej. Jego sprzedaż bez pośrednictwa rządu jest sprzeczna z prawem. Ministerstwo Górnictwa jest słabym punktem waszego modelu biznesowego. Ogranicza potencjał rozwojowy waszego przedsiębiorstwa. Najgorszym możliwym współnikiem w spisku jest biurokrata. Byłbyś zaskoczony, jak szybko można skłonić takich urzędników, by wyśpiewali wszystko, co wiedzą. Agenci śledczy chętnie biorą na pierwszy ogień właśnie biurokratów, bo ci ludzie nie żywią żadnych złudzeń co do systemu sądownictwa. A w tym roku - dodał - niektórzy z górników już teraz, w środku lata, zamienili część złota na gotówkę. Jak gdyby w okolicy pojawił się nowy diler. Albo bank.

Bing spiorunował go wzrokiem, po czym wzruszył ramionami.

-Nie możesz opuścić góry. Jeśli spróbujesz pójść do Tashtul, Chodron dopilnuje, żebyś przepadł bez śladu. -Z narastającą wściekłością odsunął płócienną klapę akurat w chwili, gdy Hostene zaczął sypać pyłek na głowy górników. Zaklął pod nosem i wybiegł z powrotem na plac.

Shan znalazł Hubeia przy jego kolibie. Asystent Binga pakował worek ze sprzętem górniczym.

- Przy ostatniej wizycie Thomasa, zanim ja przyszedłem, o czym on mówił? Z kim rozmawiał?

- Ze wszystkimi. - Hubei nie przerwał pakowania, ale nie zawahał się z odpowiedzią. - Z każdym, kto się napatoczył. Sprzedawał swoje towary i nagle zaczął się przechwalać, że wie, jak złapać przestępców.

- Co mówił o łapaniu przestępców?

- Nazywał to kryminalistyką. Twierdził, że potrafi poznać, czym zadano ranę, badając rozbryzg krwi, że umie ustalić, czy ktoś był martwy czy żywy, gdy dźgnięto go nożem lub postrzelono, na podstawie tego, czy krew wypłynęła z ciała. Mówił o kościach. Kulach. Odciskach palców.

- Co na temat kości?

Górnik rozwiązał górną część plecaka.

- Złamania. Jeśli czaszka pęknie wskutek upadku, powstaje długa ryna. Uderzenie młotkiem może zrobić okrągłe wgniecenie. Złamanie nogi w wypadku samochodowym

różni się od takiego, w którym noga została unieruchomiona i strzaskana. - Hubei zarzucił plecak na grzbiet.

Thomas opowiadał o tym, w jaki sposób kości ofiary mogą zdradzić mordercę, a potem Abigail widziała, jak Bing zrzuca stare kości z urwiska.

- Pomagałeś pogrzebać człowieka, który zginął w zeszłym roku? - Gdy górnik nie odpowiedział, Shan zagroził mu wyjście. - Nie brakowało mu dłoni?

Hubei opuścił plecak i potarł dłonią twarz.

- Nie było potrzeby, żeby inni o tym wiedzieli. Zawinęliśmy ciało w koc, zanim mieli okazję się przyjrzeć.

- Z czego wynika, że wiesz, że to nie jego współnik był mordercą.

Hubei zerknął w stronę placu, gdzie Bing wrzucał rytualne przybory Hostene'a z powrotem do jego plecaka, mimo że Indianin wciąż rozsywał pyłek.

- Może morderców jest więcej. W tym roku na górę przybyli nowi ludzie. W ubiegłym urobiliśmy współnika tego człowieka styliskami łopat, tak by nie ważył się już więcej postawić stopy na tej górze. Zanim odszedł, pożyczyciśmy sobie od niego jego pierścień - przyznał.

Shan skinął głową, słysząc to potwierdzenie swych domysłów.

- Według moich obliczeń to daje nam dziesięć dłoni, które zostały odcięte i wyniesione z miejsca zbrodni. Ilu, twoim zdaniem, potrzebuje ten zabójca? Równego tuzina? Dwudziestu? Jesteś odważny, skoro idziesz na swoją działkę w pojedynkę. Pamiętaj, żeby przed odejściem dać sobie posypać głowę tym pyłkiem.

Hubei skrzywił się i potarł wytatuowany numer na ręce -nerwowa reakcja byłego więźnia. Hubei znał życie. Przynajmniej on jeden rozumiał, że są na krawędzi katastrofy. Sięgnął ręką do pasa. Dopiero teraz Shan spostrzegł zatknięty tam stary nóż wojskowy.

- Nie idziesz wydobywać złota - zauważył.

- Nikt nie ma prawa przejść dalej niż działka, którą Bing opalikował przy ścieżce poniżej Małej Moskwy. W przerwach między patrolami zepchnę trochę kamieni i będę przepłukiwał strumienie.

- Problem, Hubei, tkwi w tym, że kto znalazł się w środku wojny, prędzej czy później musi opowiedzieć się za którąś ze stron.

- Ja jestem po stronie swojej rodziny - odparł górnik. - A ty lepiej zjedź z drogi. Opuść górę, Shan, a wojna się skończy.

- Nie odejdę, dopóki morderca nie zostanie schwytany - oświadczył Shan.

Przez chwilę Hubei sprawiał wrażenie, jak gdyby zamierzał spierać się z nim. Potem jednak jego uwaga skupiła się na centralnym placu Małej Moskwy, gdzie panowała niemal zupełna cisza, jeśli nie liczyć nucącego po nawasku głosu.

- On dostał wiadomość.

- Bing?

Hubei raz jeszcze skinął głową.

- Od tej cholernej baby. Mówi, że przyszła do niego wczoraj, kiedy pracował sam na swojej działce, i poprosiła, żeby przekazał jej wujowi list. Trzeba było powstrzymać ją pierwszego dnia, gdy tylko zjawiała się tutaj, i przepędzić z góry. Przynosi tylko pecha.

- On wie, że jej szukamy. Dlaczego nie przekazał mi tej wiadomości?

- Człowiek taki jak Bing nie dzieli się sekretami. On je wykorzystuje.

- Podzielił się nim z tobą. I z Chodronem.

- Ze mną, bo sam nie umie czytać po angielsku. Tylko ze mną - podkreślił górnik.

Shan nie czekał, aż Bing wróci do swego prowizorycznego domostwa. Pospiesznie wśliznął się do schronienia ze skalnych płyt i płótna i zaczął przeszukiwać je, zaczynając od wejścia, skąd rozejrzał się po całym pomieszczeniu, nim zabrał się do badania, jedna po drugiej, wszystkich szczelin w skalnej ścianie. Gdy skończył, zajrzał pod leżący na podłodze siennik, po czym zajął się wiszącą na kołku kurtką. List był tutaj, w wewnętrznej, zapiętej na suwak kieszeni. Napisano go na kartce wyrwanej z notatnika, na tym samym grubym, niepoliniowanym papierze, co list pozostawiony w domu Gao. Charakter pisma był również ten sam. „Jestem bezpieczna”, pisała Abigail. „Jadę właśnie do Tashtul.

Po tym, co stało się Thomasowi, nie mogę zostać tu dłużej. Muszę przeprowadzić pewne badania w Lhasie. Będę czekać tam na Ciebie w tym samym hotelu, w którym mieszkaliśmy poprzednio".

Schował kartkę do własnej kieszeni i najbliższą z wąskich uliczek-wąwozów wrócił na plac. Hostene wciąż obchodził siedzących w kręgu mężczyzn, dmuchając na nich pyłek. Nikt już nie wyśmiewał się z niego. Ci ludzie przyjęliby błogosławieństwo od kogokolwiek. Nawet Bing stał spokojnie, gdy Hostene obsypał go żółtymi zarodnikami, podobnie jak nowo przybyły, który trzymał się z tyłu, przyglądając się z zaciekawieniem i skrupowaniem. Był to Yangke.

Shan cofnął się w głąb uliczki, by zastanowić się nad listem Abigail. Bing zataił jej odjazd nawet przed swym patronem i współnikiem, Chodronem.

Za plecami usłyszał nagle cichy gwizd, jak gdyby ktoś przyzywał go w cieniu. Obejrzał się, by się upewnić, że nikt na placu nie zwrócił na to uwagi. Nie dostrzegł masywnej belki wysięgnika nad swoją głową ani nagłego ruchu, dopóki nie było za późno. Pętla ze sznura, rzucona wprawną ręką, przesunęła mu się przez barki i zacisnęła w pasie, porywając go w górę, aż zawisł niemal dwa metry nad ziemią, z rękoma unieruchomionymi u boków. Z cienia wyszedł człowiek z kijem. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem naciągniętym tak nisko, że jego twarz była zupełnie niewidoczna, nawet kiedy zaczął bić Shana.

Nim Shan pomyślał o tym, by krzyknąć, nie miał już w płucach dość tchu, by wydobyć głos. Jego napastnik skupiał się na żebrach i brzuchu, bijąc tak, by nie połamać mu kości, ale sprawić mu jak największy ból. Kij, zauważył Shan, był z jałowca. Świętego drewna nie wolno używać do tak niecznych celów, pomyślał.

A potem musiał stracić przytomność. Wiedział tylko, że nagle rozpętała się burza, docierało do niego wycie wiatru, przerażone okrzyki ludzi, ogłuszające grzmoty i ciemność tuż nad głową. Z bolesnym wysiłkiem wykręcił się, by spojrzeć w górę. Jeśli miał zginąć od uderzenia pioruna, chciał wcześniej go widzieć. Mimo bólu i kłębiącego się pyłu dostrzegł wielki, czarny kształt. Smok, stwórca piorunów, sprawca

trzęsień ziemi? Nagle kamyk smagnął go w policzek, budząc go. Pył rozwiął się i ciemny kształt rysował się teraz wyraźnie w świetle dnia. Był to zupełnie inny rodzaj demona. Wojskowy helikopter.

Czyjeś ręce sięgnęły w górę. Ostrza noży przecięły krępującą go linę. Bing i jakiś człowiek w mundurze wykrzykiwali rozkazy. Ułożono go na kocu Hostene'a. Ktoś przemywał mu twarz mokrą szmatką, mężczyzna z twarzą poznaczoną żółtymi smugami podsuwał mu herbatę. Rozpinano mu koszulę. Czyjeś palce szukały tętna na jego nadgarstku. Zemdłał.

Shan leżał w wirującym, nieokreślonym zakątku pamięci i strachu, w łóżku prowincjonalnego szpitala bezpieki. Szpital znajdował się na pustyni i piasek wdzierał się wszędzie, nawet do zimnego ryżu, który przynoszono mu trzy razy dziennie. Leżał na oddziale zastrzeżonym dla dygnitarzy partyjnych, gdzie pracowali lekarze wyspecjalizowani w technikach przesłuchań. Eksperymentowali na nim, używając barbituranu sodowego, zastrzyków z roztworu jodyny, a także kabli elektrycznych oraz cienkich igieł.

- Nie mogę wymacać tętna. To do niego podobne. Sukinsyn.

- Patrz, rzyga.

- Doskonale. To lepsze niż tętno.

Przywiązali go nagiego do krzesła, po czym weszli dwaj łąsi mężczyźni, jeden z długą strzykawką, drugi z krótkim bambusowym kijkiem.

- Żadnych złamań żeber - uzgodnili, nim znów wzięli się do roboty.

Jego oprawcy byli artystami. Szczycili się, że nigdy nie złamali ani jednej kości. Poczul wbijającą mu się w biceps igłę, ale nie był w stanie unieść ręki, żeby się obronić, i czuł tylko rozplywające się po ramieniu ciepło.

I nagle oprzytomniał, z walącym sercem, już nie w więzieniu sprzed pięciu lat, ale oparty plecami o skałę na centralnym placu Małej Moskwy. Gao napełniał strzykawkę z małej, przezroczystej fiołki. Tuż za nim stał żołnierz z apteczką, nerwowo przyglądając się górnikom.

- Kto to był? - zapytał Hostene. - Widział ich pan? Shan, niezdolny wydobyć z siebie słowa, pokręcił głową.

Pochylił się w napadzie torsji, opróżniając żołądek, potem jeszcze raz, i jeszcze, aż nie miał już czym wymiotować.

Gao pochylił się nad nim ze strzykawką. Shan uniósł dłoń.

- Co to jest?

- Środek przeciwbólowy.

- Nie - wyjącał.

Z pomocą Hostene'a usiadł i przyjrzał się zgromadzonym. Bing był spokojny, ale górnicy wyglądali na przerażonych.

Ze skraju wąwozu zwisała drabinka z połączonych łańcuchem stalowych prętów, spuszczone z drzwi stojącego na ziemi helikoptera.

- Spóźniliście się - powiedział do Gao.

- Przepraszam. Burza mnie opóźniła.

- Po raz pierwszy od wielu lat autentycznie ucieszyłem się na widok helikoptera.

Wyciągnął z kieszeni list Abigail, podał go Hostene'owi, po czym spojrział na Binga.

- Kiedy ona opuściła górę? - zapytał, przeszywając go wzrokiem.

Oczy Binga rozbłysły gniewem, gdy rozpoznał kartkę w dłoni Indianina. Nim odpowiedział, ostrym tonem rozpędził zgromadzonych górników.

- Znalazłem ją, jak błąkała się bezradnie tego ranka, kiedy zabito Thomasa. Dałem jej na drogę mapę i szybkiego muła. Była rozhisteryzowana. Powiedziała, że straciła przytomność, a kiedy się ocknęła, Thomas leżał martwy obok niej.

- Nie próbowałeś jej zatrzymać?

- Jeśli o mnie chodzi, mogła iść do diabła. Powiedziałem jej, jak trafić do obozowisk pasterzy u podnóża pierwszego grzbietu. Oni pokażą jej drogę do miasta. Mogła dotrzeć do Tashtul już dziś po południu.

- A dalej?

- Z Tashtul dwa razy dziennie jeździ autobus do Lhasy. Shan odwrócił się do Gao.

- Kto jeszcze przyleciał z wami?

-Pilot, który jest moim starym przyjacielem, i jego mechanik, który ma dość rozsądku, by nie zadawać pytań.

Shan wstał. Zrobił krok, walcząc z zawrotami głowy, po czym znów odwrócił się do Binga.

- Chcę cztery bryłki złota. Powiedzmy, pół uncji każda.

- Odważ się.

- Dla dwóch ludzi, których trzeba będzie poważnie zachęcić, by trzymali język za zębami.

Bing zerknął na Gao, który przysłuchiwał się z zaciekawieniem.

- Proponowanie łapówki żołnierzowi jest przestępstwem.

- Nie słyszałeś? - zdziwił się Shan. - W nowym porządku świata nie ma łapówek, są tylko koszty prowadzenia działalności. Sensowna pozycja w twoim miejskim budżecie. Nazwij to usuwaniem niespodziewanych usterek.

Bing zaklął i zniknął w cieniach swej koliby. Shan zrobił krok w stronę drabinki, gdy nagle zgiął się wpół z bólu. Hostene rzucił na ziemię sprzęt, który zbierał, i popędził ku niemu. Shan powstrzymał go, unosząc dłoń.

- Idź - powiedział. - Wsiądź do helikoptera. My wniesiemy bagaże.

- My? - powtórzył Gao. - W waszym stanie nie powinniście podróżować.

Shan odszukał wzrokiem znajomą twarz przyglądającą się niepewnie ze skraju placu i gestem przywołał go do siebie.

- Yangke poleci z nami.

Młody Tybetańczyk rozejrzał się nerwowo po placu, ściągając na siebie pełne niezadowolenia spojrzenie Binga, po czym zebrał resztę sprzętu i ruszył ku drabince. Shan zrobił trzy kroki, nim zawroty głowy znów zmusiły go do zatrzymania się.

Bing zagroził mu drogę.

- Nic z tego - oświadczył.

- Mam pomysł - odparł Shan. - Poślij z nami Hubeia. Nie będzie ci potrzebny do obserwowania dróg, skoro my wyjeżdżamy.

Bing spojrzał obojętnie na swego zastępcę, po czym wolno skinął głową. Hubei zaczął się cofać w cień, lecz zastygł w bezruchu, gdy Bing skinął na niego. Niechętnie podszedł



do szefa, a ten nachylił się i zaczął szeptać mu do ucha, po czym wręczył mu wyjęty z kieszeni złożony plik papieru. Z rozpromienioną miną Hubei wepchnął kartki do własnej kieszeni.

Shan zaczekał, aż górnik wejdzie po drabince, po czym, zataczając się, ruszył za nim. Gao nachylił się ku niemu ze strzykawką w pogotowiu, Shan jednak wyrwał mu ją i niepewną ręką wypuścił na ziemię połowę jej zawartości, nim wbił sobie igłę w ramię. Wreszcie podszedł do drabinki i zaczął się wspinać.

Tuż przed startem Gao poprosił o bryłki złota, które Shan dostał od Binga.

- Łapówka od was? - odparł Shan. - To wyglądałoby podejrzanie. To musi zrobić niepoprawny przestępca. - Ukrył samorodki w dłoni i skierował się do kokpitu.

Chwilę później, kiedy maszyna zawyła i zaczęła się wznosić, usadowił się wygodnie w gniazdku z wojskowych kocy, które zrobił mu Hostene. Hubei znalazł już sobie w głębi ładowni inny stos kocy i najwyraźniej spał.

- Co pana boli? - zapytał Hostene.

Z wymuszonym uśmiechem Shan wskazał stopę.

- To jest jedyne miejsce, w którym nie czuję bólu. To nie był fachowiec. Profesjoniści zaczynają od podeszew stóp.

Krajobraz za wąskimi okienkami zaczął się zmieniać. Yangke wstał i usiadł obok Shana.

- Nie mam żadnych dokumentów - powiedział nerwowym tonem.

Nieposiadanie przy sobie dokumentów tożsamości było przestępstwem samo w sobie. Były one pierwszą rzeczą, o jaką pytali policjanci, napotykając obcych.

- Ja też nie. Ani Hostene, jeśli już o to chodzi, przynajmniej w tej części kraju. Nie zabawimy w mieście długo. Zostaniemy tylko do jutra.

- Powrót na piechotę zajmie nam dobre parę dni.

- Dałem teraz pilotom dwie bryłki złota, dla każdego po jednej. Drugą ratę dostaną, kiedy zabiorą nas rano. - Łączna wartość małych żółtych kamyczków stanowiła przynajmniej połowę rocznej pensji oficera, znacznie więcej dla zwykłego żołnierza.

- Dlaczego sądzisz, że mogę się przydać przy...

- Znasz Chodrona - przerwał mu Shan. - Musimy znaleźć Abigail. Ale musimy też wytropić jego kontakty w mieście. - Spojrzał na swoich towarzyszy. Gao nałożył słuchawki, które pozwalały mu rozmawiać z pilotem. Hostene wyglądał przez okno po drugiej stronie helikoptera, jakby wypatrywał kobiety na mule. - Najpierw jednak musimy porozmawiać o twojej spółce z Tashim.

Yangke spochmurniał. Zaczął się bawić pasem do mocowania ładunku, który wisiał pod ścianą kabiny.

- Tashi nie żyje.

- Skoro nie chcesz rozmawiać o Tashim, to co powiesz o eksplozji w starej kopalni?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Chodron prowadzi bardzo dokładne zapiski. Skrupulatnie rozlicza górników, sumiennie rejestruje wszystkie sprawy wioski. Ale w jego aktach nie ma żadnej informacji o tym, jakobyś ukradł mu cokolwiek. Według moich obliczeń, nałożył ci canaue na szyję dzień po tym, jak stara kopalnia wyleciała w powietrze. Przyjaźniłeś się z Tashim. Tashi znał górników.

Yangke w roztargnieniu wodził palcem po obramowaniu okna.

- On mówił, że może zabrać mnie do Indii, gdzie mógłbym zacząć nowe życie. Zna... znał pewien klasztor na południu, do którego mógłbym wstąpić. Bez jego pomocy potrzebowałbym mnóstwa pieniędzy, żeby przekroczyć granicę, nie mając ani dokumentów, ani paszportu. Jestem mnichem-wyrzutkiem. Co ja wiem o robieniu pieniędzy?

- Dlaczego nie przystałeś do górników?

- Złoto z tej góry powinno pozostać na miejscu. To, co robił Tashi, było inne. Powiedział mi o profesorach, którzy szukają dawnych bóstw. Uznałem, że oni mogą lepiej rozumieć przeszłość niż ja. Zaproponował mi interes. Wiedział, że mam sekret, którego strzegłem od dziecka, nawet przed nim.

- Chcesz powiedzieć, że oni nie odkryli sami tej kopalni — domyślił się po chwili Shan. — To ty powiedziałeś im, gdzie ona jest.

-Powiedziałem Tashiemu, a on przekazał to profesorom. Ani odrobina złota nie opuściła góry. W zamian Tashi obiecał, że wywiezie mnie do Indii. Mówił, że ma niezawodny sposób, że będę jechał całą drogę z bogami.

Shan zamknął na chwilę oczy. Był tak ślepy.

-Złoto nigdy nie opuściło góry - powtórzył głuchym głosem.

- Kiedy byłem mały, szukałem go, rozmawiałem ze starymi ludźmi, zastanawiałem się, dlaczego nasza wioska była zawsze tak biedna. Jeśli nie liczyć paru małych posążków, nigdy nie robiono z niego użytku w świątyni. Abigail i profesor Ma zrobili przybliżone obliczenia na podstawie tego, co widzieli w kopalni. Tashi powiedział mi, że wydobyto może nawet dwie tony złota. Dwie tony.

- Ale dowiedział się o tym ktoś jeszcze?

- Tashi pił. Czasami z Bingiem. Thomas zaczął sprzedawać alkohol. Ten chłopak miał wszystko, czego dusza zapagnie, ale musiał przechodzić na drugą stronę góry i skrapiać alkoholem nasze dogasające ogniska.

W milczeniu przyglądali się widokom za oknem.

- Tak więc Tashi wygadał się przed Bingiem, a potem kopalnia wyleciała w powietrze - skwitował Shan. - Później Chodron nałożył ci canaue. Ponieważ - dopowiedział po dłuższej chwili - był wściekły, że przez tyle lat utrzymywałeś to przed nim w tajemnicy.

- Nie - odparł wolno Yangke. - To nie było tak. Eksplozja była potężna. Wstrząs dało się odczuć nawet w wiosce. Chodron natychmiast pobiegł na górę, pytając, co się stało. Bing zjeżdżał już w dół na rowerze z gotowymi wyjaśnieniami. Powiedział, że wysadzono kilka górniczych działek, że ktoś dokonał sabotażu. A tylko jedna osoba nienawidziła górników i Chodrona aż tak, by zniszczyć ich działki. Powiedział też naczelnikowi wioski, że poprzedniej nocy ktoś ukradł materiały wybuchowe ze składów w Małej Moskwie. Chodron nigdy tam nie chodzi. Trzyma się z dala od górników i rozmawia tylko z Bingiem. Tak więc, rzecz jasna, mu uwierzył.

Shan zastanowił się chwilę nad znaczeniem tych słów.

- Bing nie chciał, żeby Chodron wiedział, że gdzieś pod szczytem czekają na swego odkrywcę dwie tony złota. I nie

mógł ryzykować, że ktoś inny znajdzie starą kopalnię i dojdzie do tego samego wniosku. - Spojrzał na Yangkego. - Ale powiedziałeś chyba, że to nie ty ją wysadziłeś? Za oknem przemknęły kolejne szczyty.

- Nie zrobiłeś tego - odgadł Shan. - Nie zaprzeczyłeś Bingowi.

Dlaczego Yangke miałby chronić Binga, zapytał nieomal, kiedy uświadomił sobie, że dla młodego Tybetańczyka istniało może ważniejsze pytanie.

- Dlaczego pozwoliłeś, żeby Chodron nałożył ci canque i niesłusznie oskarżył o kradzież przed całą wioską? Dlaczego kontynuowałeś tę grę? Mogłeś uciec, mogłeś się ukryć, mogłeś pójść do Tashiego lub nawet do Rapakiego.

- Z początku chodziło o ochronę Tashiego i naszego planu. Bo gdybym wtedy uciekł, Chodron zacząłby mnie szukać i mógłby odkryć tajny obóz Tashiego - odparł po prostu Yangke. - Ale później... uświadomiłem sobie, że na to zasłużyłem. Powinienem był zdawać sobie sprawę, że to, co dawne, ocalić można tylko w jeden sposób: ukrywając to przed nowym światem. Wiedziałem o tym, ale kiedy Tashi powiedział, że może przewieźć mnie do Indii, gdzie mógłbym zostać prawdziwym mnichem, skusiło mnie to i uległem - wyznał.

Shan zamknął oczy, poddając się działaniu środka przeciwbólowego. Nie zasnął jednak. W obozie pracy przekonał się, że jest część mózgu, do której narkotyki nigdy nie sięgają, część, która wciąż powtarzała słowa Yangkego, aż w końcu, gdy helikopter zaczął się zniżać, zorientował się, że znów patrzy na młodego Tybetańczyka, pojmując całą głębię jego bólu. Yangke przyjął canque, gdyż zdradził tajemnicę kopalni. Nosił kołnierz, gdyż wierzył, jak wierzył teraz Shan, że sekret, który zdradził Tashiemu, był przyczyną śmierci jego przyjaciela.

Jak większość starszych miejscowości w Tybecie, Tashtul składało się w istocie z dwóch miast: wzniesionej przez Pekin racjonalnej konstrukcji z betonu i stali oraz tradycyjnej tybetańskiej osady targowej, która przetrwała do obecnych czasów. Gdy szli z zachwaszczonego, zdewastowanego stadionu

piłkarskiego, gdzie wysadził ich helikopter, Shan przyłapał się na tym, że jego wzrok przyciągają nie dwu- i trzypiętrowe bloki, wybijające się pośród niskiej zabudowy, ale maleńkie, niszczące budowle pochodzące z wcześniejszych stuleci: drewniana stajnia, na pół zawalony czorten, kamienna wieża, z której podczas zakazanych przed dziesiątkami lat świąt wywieszano by buddyjskie chorągwie.

Przystanęli na kilka minut przy zardzewiałym pomniku ofiar wojny u wejścia na stadion, pozostawionej przez Pekin pamiątce zaciekłych bitew, jakie toczyły się w tym regionie, gdzie całe dywizje chińskich wojsk stawały naprzeciw małych brygad tybetańskich bojowników ruchu oporu.

- Jak rozumiem - odezwał się Gao z niechęcią w głosie do Shana - za chwilę zaproponujecie mi, żebym stanął na czele tej ledwo trzymającej się kupy ekspedycji. - Mówiąc to, patrzył z ukosa na ulicę.

Hubei uciekał pędem.

- Biorąc pod uwagę waszą sławę, byłoby podejrzane, gdyby kierował nią ktoś inny - zauważył Shan. - Nie wspominając o tym, że my nie mamy tu ani pieniędzy, ani znajomości. Nie mamy nawet planu miasta.

- Co jak co - odparł Gao - ale plan miasta jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzeba w Tashtul. - Wskazał przysadzisty, pudełkowaty budynek dwieście metrów od nich, przed którym wymieniano właśnie oponę w zdezelowanym autobusie za pomocą przewieszzonego przez gałąź drzewa kabla ciągniętego przez traktor. - Centrum transportu. - Wskazał odkryty pawilon obok rzędu sklepów o przeszklonych witrynach, a potem czteropiętrowy gmach, najwyższy budynek w mieście, zwieńczony chińską flagą i tuzinem anten. - Centrum zaopatrzenia oraz centrum władzy.

Minęli kilka baraków przerobionych na sale szkolne, a dalej pięć lub sześć przecznicy dzielnicy mieszkalnej, gdzie stare drewniane chałupy sąsiadowały z tynkowanymi parterowymi domkami. Uwagi Shana nie uszło spojrzenie, jakie Gao, skończywszy lekcję orientacji w terenie, rzucił w stronę masztu na gmachu rządowym. Pod flagą powiewała długa czerwono-czarna bandera, osobliwa ozdoba przypominająca sztandary, jakich używały wojska w czasie przemarszu.

- Gdzie mamy... - zaczął Yangke, nim jednak zdążył dokończyć zdanie, Hostene rozwiązał za nich ten dylemat. Bez słowa ruszył biegiem w stronę dworca autobusowego Shan zacisnąwszy zęby z powodu obolałych żeber, pospieszył za mm najszybciej jak mógł. Nim go dogonił, Indianin był już na dworcu. Wyciągnął z portfela zdjęcie swej siostrzenicy i wskazując je palcem, zaczepiał czekających na ławkach podróżnych, zaspanego sprzedawcę w kiosku z gazetami, wielkooką dziewczynę sprzedającą kluski z dymiącego wiadra.

Podchodząc do przyjaciela, Shan dostrzegł kilka rzuconych w swoją stronę podejrzliwych spojrzeń. Nie miał okazji przebrać się po pobiciu. Jego spodnie były rozdarte na kolanie, koszula upstrzona plamkami zaschłej krwi. Odciągnął Hostene'a w cień, uspokajając go i licząc na to, że żaden z Tybetanczyków nie zwrócił uwagi na człowieka dopytującego się natarczywie po chińsku o jakąś Amerykankę.

Teraz Gao wszedł w rzadki tłum, rozdając banknoty o niskich nominałach i pytając cicho o kobietę, która po wypadku odłączyła się od grupy wspinaczkowej i być może szuka transportu do Lhasy.

Zbyt późno Shan spostrzegł wśród ludzi skupionych przy niesprawnym autobusie szare mundury. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, często nazywani „gałkami” od ozdób, jakie nosili na pagonach, szli ku nim, prowadzeni przez człowieka, który mimo średniego wieku i pokaźnej tuszy miał ostry, drapieżny wzrok każdego znanego Shanowi pałkarza. Stalowe spojrzenie oficera padło na Yangkego i Shana. Sięgając do radia u pasa, ruszył w ich stronę Yangke opadł bezradnie na ławkę.

Nagle Gao znalazł się obok Shana, wciskając mu do rąk ciemnobrązową bluzę ze straganu z pamiątkami. XIZANG -Zachodni Skład, chińska nazwa Tybetu - głosiły złote litery ułożone w łuk ponad nakładającymi się sylwetkami góry, jaka i ciężarówki. Shan przeniósł ją na lewą stronę i nałożył na swą brudną, podartą koszulę. Ruszył w stronę Yangkego, gdy nagle stanął jak wryty. Jego instynkty dzwoniły na alarm Dworzec niemal opustoszał. Sprzedawczyni klusek siedziała jak sparaliżowana, zbielełymi palcami ściskając kurczo-

wo skraj wiadra. Ściana za nią zaczęła zmieniać kolory -z brudnobrązowej stała się brudnoniebieska, potem brązowa, potem niebieska. Przełamał paraliż, by zrobić kolejny krok, kiedy jeden z pałkarzy prowadził Hostene'a do Yangkego, gdy nagle poczuł zdecydowany uścisk tuż powyżej łokcia. Nie odezwał się, nie był w stanie nawet wydobyć głosu, kiedy kolejny pałkarz poprowadził go do ławki i pchnięciem zmusił go, by usiadł.

- Nie możecie ich zabrać! — Słowa te, zamierzone jako okrzyk, wydobyły się z jego gardła niczym jęk. Cierpliwym, obojętnym ruchem pilnujący go pałkarz odczepił pałkę od pasa. Na widok broni po plecach Shana przebiegł nowy dreszcz. Nie mógł pozwolić sobie, by znów go pobito, nie teraz, gdy groziło mu to urazami, które mogły unieruchomić go na wiele dni.

Yangke i Hostene nie stawiali oporu, gdy skuto ich razem i poprowadzono do policyjnej suki, która błyskając niebieskimi światłami, czekała przed dworcem. Shan z wysiłkiem podniósł się na nogi. Wyciągnął przed siebie ręce, czekając na kajdanki, gdy jednak nie założono mu ich, ruszył chwiejnym krokiem w stronę wozu. To on do tego doprowadził. Jego miejsce było z nimi. Pałkarz jednak chwycił go znowu i odciągnął w tył, gdy drzwi suki się zamknęły. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł w środku, był Hostene, przyciskający do czoła swoje święte pióro.

## ROZDZIAŁ 10

Shan opadł na ławkę, gdy wóz policyjny zniknął mu z oczu, mknąc w stronę centrum rządowego. W jego piwnicach kryły się cele dla więźniów - mroczne, wilgotne nory z insektami, pleśnią i ciemnymi, złowieszczyimi plamami na ścianach. Hostene i Yangke przybyli do Tashtul z powodu jego zachcianki, teraz zaś czekało ich fotografowanie, pobranie odcisków palców i spryskanie środkiem dezynfekującym A potem pałkarze rozpoczną zabawę.

Stopniowo zaczęło docierać do *niego*, co dzieje się dookoła Dworzec znów zaczął wypełniać się ludźmi. Dziewczyna niepewnym głosem zachwalała swoje kluski. Pierwsza grupa pałkarzy, która znajdowała się na dworcu, wsiadła do samochodu i odjechała wolno. Na ławce po drugiej stronie ulicy siedział Gao, spokojnie czytając egzemplarz „Lhasa Daily”.

- Yangke będzie bez szans - powiedział Shan, przysiadając się do fizyka. - Kiedy odkryją, że został wyrzucony z klasztoru, rzucą się na niego jak psy na świeże mięso

Nagle dostrzegł coś u stóp Gao. Plecak Hostene'a.

- Przeoczyli to - powiedział uczonec.

Shan rozpiął przednią kieszeń. W środku znajdował się paszport Amerykanina.

- Bez tego uznają go za jednego ze starych Tybetańczyków. Wiecie, co to oznacza.

Hostene zostanie objęty kampanią „Toporem po korzeniach i umieszczony w jednym ze specjalnych obozów reedukacyjnych, zwanych maszynkami do mięsa ze względu na sposób, w jaki wchłaniały rozmaite typy Tybetańczyków po to tylko, by wypluć ich dwa lub trzy lata później zmienionych nie do poznania, ujednoliconych i nieodróżnialnych.



- Albo może zacznie mówić po nawasku i uznają go za wariata. Do końca życia będą karmić go przez okienko w drzwiach celi - dokończył ponuro Shan.

Gao skinął na brązowego sedana, który zatrzymał się przy krawężniku. Zza kierownicy wysiadł niski, tęgi Chińczyk w niebieskim kardiganie i białej koszuli, złożył fizykowi szybki ukłon i otworzył tylne drzwi. Gao wstał, podniósł plecak Hostene'a i wszedł do samochodu, po czym czekał z otwartymi drzwiami. Niemal minutę trwało, nim Shan zdecydował się do niego dołączyć.

Przez większą część jazdy Shan nie odrywał oczu od głównej budowli miasta o obłożonej imitacją marmuru fasadzie, dokonując pospiesznych kalkulacji. Jak szybko mógłby dotrzeć do piwnicy budynku, gdyby wyskoczył z samochodu? Jak długo mogą trwać przygotowania Yangkego i Hostene'a, nim zostaną wrzuceni do celi i zacznie się ich męka? Dokąd mógłby zwać z nimi, gdyby zdołał umożliwić im ucieczkę? Mył za nich odpowiedzialny, lecz ślepy na wszystko poza koniecznością ratowania Abigail, Lokesha i Genduna, wprowadził ich w pułapkę. Zaufał Gao, a teraz Yangke i Hostene płacili za jego błąd.

- Pierwszego dnia studiów na fizyce - odezwał się Gao — mój profesor, starszy Rosjanin, powiedział nam: „Nigdy nie ufajcie rzeczywistości”. Napisał to na tablicy po chińsku i po rosyjsku. „Przez kilka następnych lat będziecie się uczyć, że rzeczywistość, jakiej zawsze doświadczałyście, jest mitem”, mówił. „Przez resztę życia będziecie dowodzić, że wszystkie ważne siły we wszechświecie są nierealne”. — Gao wyjrzał z samochodu, patrząc na sztandar powiewający nad gmachem rządowym.

Shan przyjrzał się słynnemu uczonemu, zdumiony jego zainteresowaniem czarno-czerwoną chorągwią, która łopotiała nad centrum administracyjnym.

- Nie myślałem o fizyce. Myślałem o ptakach - powiedział.

- O ptakach?

- O waszych sępach. Karl, Friedrich, Albert. Ich imiona mówią wszystko.

Gao starannie złożył gazetę.

- Nie rozumiem.

- Myślę, że rozumiecie. Słynni teoretycy. Nigdy nie czuli się odpowiedzialni za straszliwe skutki swoich słów lub równań, nigdy nie byli zmuszeni działać w realnym świecie. Będziecie musieli dokonać wyboru, Gao.

Naukowiec nie odpowiedział. Resztę drogi spędził, wyglądając przez okno.

Zajechali pod schludny piętrowy budynek, składający się z dwóch tradycyjnych tybetańskich domów połączonych tynkowanymi ścianami. ATRAKCJE KULTURALNE PANTERA ŚNIEŻNA SA, głosił mały szyld nad głównym wejściem.

- Kohler - domyślił się Shan.

- Wspólne przedsięwzięcie — wyjaśnił Gao. - On jest dyrektorem, ale obaj jesteśmy właścicielami na równych prawach.

Dostojna, elegancko ubrana starsza Chinka, przedstawiona jako kierowniczka biura, powitała ich w drzwiach i poprowadziła korytarzem, wzdłuż którego ciągnęły się półki pełne figurek z porcelany, gliny, brązu i mosiądzu. Posążki tłustego, śmiejącego się Buddy. Jaki, niektóre z zabawnymi minami. Pałac Potala. Wielbłądy. Mityczne ptaki garuda. Tybetańskie boginie.

Dotarli do skromnie umeblowanego gabinetu we frontowej części jednego z połączonych domów, gdzie czekała na nich taca z herbatą. Shan nalał dwie filiżanki, podczas gdy Gao konferował z kobietą, która mówiąc, ocierała z oczu łzy. Rozejrzał się po pokoju. Nad biurkiem wisiał oprawiony w ramki certyfikat zaświadczejący o zarejestrowaniu firmy przed dziesięciu laty. Na innej ścianie znajdowała się mapa, na której szpilkami zaznaczono przeszło trzydzieści miast w Chinach i za granicą, w tym pół tuzina w Indiach. Na małym stoliku stały fotografie w ramkach. Kohler w otoczeniu kilkunastu pracowników ustawionych przed budynkiem, najwyraźniej podczas jakiejś firmowej uroczystości. Gao z Kohlerem, uroczyście ściskający sobie dłonie za stołem zastawionym różnymi wzorami figurek. Kohler przed Tadź Mahal. Kohler na białej piaszczystej plaży w towarzystwie kobiety w bardzo skąpym kostiumie kąpielowym. Kilka zdjęć przedstawiało Thomasa w wieku od dwunastu lat do

niedawnej przeszłości. Na jednym z nich chłopak trzymał w dłoni cztery figurki z brązu.

- Sam je zaprojektował - wyjaśnił Gao, stając za plecami Shana. - To była pierwsza seria z małej odlewni, którą Heinz zainstalował w zeszłym roku. Thomas każdego lata spędzał tu tydzień albo dwa.

Przez okno Shan zobaczył, jak kobieta biegnie do samochodu, rozmawia z kierowcą, po czym wsiada do środka. Chwilę później sedan odjechał pędem w stronę miasta.

- Gdzie jest Heinz? - zapytał Shan.

- W Lhasie. Kiedy dzwoniłem do niego przez telefon satelitarny, by mu powiedzieć, że Abigail jest z nami w górach, miał zamiar wracać, ale otrzymał wiadomość, że są jakieś problemy z dostawą. Postanowił zająć się tym przed powrotem, żeby nie musieć wyjeżdżać po raz drugi. Rozmawialiśmy znowu po... po odejściu Thomasa. Teraz organizuje przy okazji transport jego zwłok, które leżą w tutejszej kostnicy.

Shan dolał sobie herbaty, podczas gdy Gao sortował papiery na biurku. Przez okno, w oddali, mógł dostrzec blade rysujące się na tle kobaltowego nieba niskie grzbiety, za którymi leżała Góra Śpiącego Smoka.

- Gdzie kończy się ścieżka z gór? - zapytał.

- Tuż przed miastem rozgałęzia się na trzy odnogi biegnące wzdłuż różnych strumieni. Przy każdej odnodze mieszkają rolnicy. Ktoś na pewno zauważy Abigail.

- Musicie z nimi porozmawiać - oświadczył Shan. - Ja idę do Urzędu Bezpieczeństwa.

- Kierowca właśnie ich wypytuje. A wizyta w centrum rządowym jest najgorszą rzeczą, jaką możecie zrobić dla swych przyjaciół.

Shan przyjrzał się twarzy Gao, usiłując odgadnąć, czy w tych słowach nie kryje się groźba.

- W takim razie jest inne miejsce, w które musimy się udać - oświadczył i pochylił się do jego ucha, tłumacząc coś cicho.

Fizyk wezwał kierowniczkę biura.

Shan spodziewał się, że dom Chodrona w Tashtul będzie małym mieszkaniem, może wręcz tylko pokojem przydzie-

lonym mu w rządowych kwaterach dla gości, ale na pewno nie przestronną parterową willą na skraju miasta. Była większa niż dom naczelnika w Drango, otoczona wypiełgnowanymi rabatami kwiatowymi. O ogrodzenie z malowanych metalowych rur, ciągnące się po obu stronach betonowej ścieżki do drzwi, oparte były dwa rowery.

Gao pokręcił głową, gdy Shan wysiadł z samochodu i gestem wskazał dom. Inspektor ruszył ścieżką, przyglądając się budynkowi, próbując odgadnąć, co zastanie w środku, zaniepokojony dwoma rowerami. Willa miała prostą, nowoczesną konstrukcję: pomalowany na beżowo klocek z brązowymi metalowymi okiennicami. Okna od frontu były przesłonięte zasłonami. Szybki w drzwiach zdołał zobaczyć kaskadę przedstawiających kwiaty i pandy.

Nikt nie zareagował na pukanie. Poruszył gałką u drzwi i przekonawszy się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, wszedł do środka.

Wnętrze miejskiego gniazdka Chodrona było znacznie bardziej luksusowe, niż wskazywałby na to jego skromny wygląd zewnętrzny. Umeblowanie przestronnego salonu, w którym znalazł się Shan, stanowiły cztery fotele i dwie sofy, ustawione wokół puszystego, wytłaczanego dywanu tak, by siedzący mieli przed sobą szafkę mieszczącą wielki telewizor i inny sprzęt elektroniczny oraz półki z kasetami wideo i płytami.

Z pokoju w głębi ciemnego korytarza dobiegała szybka muzyka w zachodnim stylu, instrumentalny utwór z udziałem saksofonów, bębnów i gitar elektrycznych. Powinien uciekać, krzyczał wewnętrzny głos. Nie będzie w stanie pomóc HosteneWi i Yangkemu, jeśli znajdzie się z nimi w jednej celi. A jednak ruszył dalej, docierając do części jadalnej z chromowanymi krzesłami otaczającymi stół ozdobiony szlaczkiem rzeźbionych kwiatów lotosu. Na blacie kuchennym stała kolekcja niewielkich urządzeń, których nie potrafił nazwać. To nie był dom tybetańskiej rodziny. Za stołem jadalnym, naprzeciw kuchni, niedomknięte drzwi prowadziły do pokoju, który mógł być i gabinetem, i magazynem. Pod jedną ze ścian stały kartonowe pudła po rozmaitych urządzeniach elektronicznych. Dalej znajdowało się

biurko, na którym stało radio podobne do tego, jakim Chodron posługiwał się w Drango. Ściana nad biurkiem obwieszona była plakietkami z nazwiskiem Chodrona, pochodzącymi z rozmaitych zebrań partyjnych, niektóre z klipsami, inne z paskami na szyję.

Shan zaczął otwierać szuflady. Szybko pominął pierwszą, zawierającą materiały biurowe, i drugą, mieszczącą przedmioty osobistego użytku w rodzaju jednorazowych maszynek do golenia, kremu do twarzy, nieużywanych portfeli oraz paczek miętówek. Nieco więcej uwagi poświęcił trzeciej, zapchanej skoroszytami, po czym zajął się dwiema teczkami i księgą rachunkową z dolnej szuflady, zamykanej na osobny zamek, który ustąpił, gdy ostrożnie podważył go nożem do papieru. Przeczytawszy je, wrócił do jadalni i spojrzał na bogactwo domu. Oczyma wyobraźni zobaczył Genduna leżącego bezwładnie w wiosce Chodrona, z kończynami drgającymi od uszkodzeń nerwów. Wzdrygnął się na dobiegający z głębi domu odgłos. Przez okno w kuchni zobaczył starego Tybe-tańczyka pielącego motyką chwasty na grządce pod ścianą.

Przy zlewie kuchennym umył ręce i twarz. Pospiesznie przejrzał zawartość szafy wnękowej przy drzwiach wejściowych i chwycił wieszak z ciemnym garniturem oraz szarą koszulą, zapakowanymi w foliowy worek z pralni. W gabinecie wepchnął bluzę, którą kupił mu Gao, za jedno z pudeł, narzucił na siebie koszulę i marynarkę, po czym włożył spodnie, o wiele na niego za luźne, na swe obszarpane portki, mocując je z tyłu klipssem do papieru. Zdjął ze ściany identyfikator na pasku, wybrał najcieńszy z portfeli i naprędce umocował go gumką i spinaczami. Nim opuścił gabinet, sięgnął raz jeszcze po nóż do papieru, odkręcił tylną pokrywę radia i wydlubał kilka elementów, po czym zamknął pokrywę z powrotem.

Była już dobrze po trzydziestce, wyższa od Chodrona, o wydatnych, pełnych rysach Mandżurki. Wciąż ociekając wodą po kąpieli, miała na sobie tylko białe figi. Długie włosy zakrywały jej piersi. Nie uniosła ręcznika, który trzymała, zdawała się nawet nie oddychać, kiedy spostrzegła Shana siedzącego twarzą do niej na końcu stołu jadalnego, z rękami

splecionymi na leżącej przed nim księdze rachunkowej i aktach.

Shan wybrał krzesło przy oknie, plecami do oślepiającego światła dnia. Szara marynarka Chodrona była jedynie odrobinę za szeroka w ramionach. Stopy zasłonił sobie aktówką, zdając sobie sprawę, że jego zdarte buty zdradziłyby go w mgnieniu oka. Ale martwił się niepotrzebnie, gdyż kobieta nie odrywała wzroku od małej, czarnej skórzanej te-czuski, wiszącej na jego szyi na pasku.

Otworzył kartonową teczkę z wierzchu stosu i podniósł ze stołu ołówki.

- Zaczniemy od waszego nazwiska - powiedział beznamytnym głosem. Spędził dwadzieścia lat po tej stronie stołu przesłuchań.

Kobieta kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Proszę się ubrać - polecił Shan tonem znużonego, zniecierpliwionego funkcjonariusza wysokiej rangi. - Proszę wziąć sobie szklankę wody. Proszę usiąść.

Kochanka Chodrona nazywała się Jiling. Pracowała w urzędzie gminnym, gdzie odpowiadała za spisy ludności oraz dystrybucję funduszy wśród wiosek okręgu. Chodron znalazł idealną partnerkę. Teraz Shan rozumiał już, w jaki sposób mógł funkcjonować na oficjalnym stanowisku w nieoficjalnej wiosce.

- Nie znam was. Jesteście z Lhasy? - zapytała Jiling po pierwszej, szybkiej serii pytań. Miała teraz na sobie skromny granatowy kostium. Gdy Shan obejrzał jej dowód osobisty, wzięła go z powrotem i trzymała w dłoni. - Widziałam banderę - dodała ochrypłym szeptem.

- Jestem z Pekinu. Kobieta skuliła się.

- Okażcie wolę współpracy, a może nie spotkamy się już więcej.

- Ja nic nie wiem.

- Powiedzieliście mi już, że pracujecie w zarządzie wiosek tego okręgu.

Jiling spuściła wzrok na swój dowód osobisty.

- To duży okręg - zauważyła obronnym tonem.

- Z pewnością wiecie, jakie kary grożą za sprzeniewierzenie i niewłaściwy rozdział funduszy publicznych.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Egzekucje w Chinach niemal zawsze odbywały się publicznie, ale największe tłumy, niekiedy wypełniające całe stadiony, przyciągały te, które dotyczyły skorumpowanych urzędników.

- Mam ponad sto wiosek...

Shan przerwał jej machnięciem ręki.

- Jest takie angielskie przysłowie: Jeśli w środku lasu pada drzewo i nie ma nikogo, kto by to usłyszał, czy ono robi hałas?

- Nie... nie rozumiem.

- Jeśli mieszkańcy wioski nie istnieją, czy ich podatki są uważane za fundusze publiczne? — Wskazał gestem wystawne umeblowanie salonu. - Jeżeli będziemy musieli spotkać się ponownie, będę wymagać przedstawienia rachunków za wszystko, co znajduje się w tym domu, oraz wskazania w każdym wypadku źródła tych pieniędzy.

Jiling wyprostowała się na krześle.

- Jestem tylko szeregową urzędniczką - oświadczyła. Świetnie, pomyślał Shan. Ci, którzy łamali się od razu, byli zwykle najmniej pomocni.

- Drango figuruje na oficjalnej liście - dodała.

- Ale jaka jest oficjalna liczba ludności tej wsi?

- Trzydzieści osób - przyznała łamiącym się głosem. Shan widział tam przeszło dwa razy więcej ludzi. Tak więc

Chodron mógł zbierać podatki od wszystkich i chować różnicę do kieszeni. Wioska mogła istnieć w oficjalnych wykazach, ale połowa jej podatków nigdy nie docierała do rządu. Nie było ryzyka, że ktokolwiek się poskarży. Mieszkańcy, którzy zorientowaliby się w sytuacji, uznaliby te pieniądze za opłatę za ochronę przed zainteresowaniem rządu. Antypodatek.

Shan przyjrzał się uważnie kobiecie, dolał jej wody do szklanki, zaczął wypytywać ją niezobowiązująco o pracę,

o zwierzchników, o to, w jakim banku ona i Chodron trzymają pieniądze, czy podróżowała z Chodronem na koszt partii. Były to nużące pytania, które mógł zadawać z pamięci

i których każdy doświadczony biurokrata spodziewałby się w takim przesłuchaniu.

- Gdzie sprzedajecie złoto? - zapytał nagle.

- Nie wiem, o czym mówicie.

Shan obojętnie wzruszył ramionami.

- Jeśli nie odpowiecie mi na to pytanie, dacie mu po prostu okazję, by zrobił to pierwszy i wykorzystał tę informację do negocjacji. Prokuratorzy będą mieli ciekawy dylemat, kogo uczynić swym głównym celem. Atrakcyjną, wykształconą chińską urzędniczkę czy tybetańskiego rolnika. Z tym tylko, że ów rolnik jest szacownym członkiem partii.

Jiling przestała już obracać w rękach swój dowód osobisty. Ścisnęła go tak mocno, że zaczął wbijać jej się w skórę aż do krwi. Spokojnie podeszła do zlewu i obmyła skaleczenie.

- Kim jesteście, skoro nie przyjechaliście z majorem Renem? - zapytała od blatu.

- Wyjrzyjcie na dwór.

Jiling przyjrzała mu się niepewnie, po czym podeszła do okna od ulicy. Pociągnęła za sznur od zasłon, rozsuwając je na kilka centymetrów. Kiedy dostrzegła wreszcie zaparkowany na zewnątrz brązowy sedan, przycisnęła dłoń do serca.

Shan podszedł do okna. Gao stał oparty o samochód z papierosem w ustach, choć Shan nigdy wcześniej nie widział, by palił. Na miejscu kierowcy siedziała teraz kobieta z biura fabryki, dziwnie nieruchoma, ze wzrokiem skierowanym przed siebie, z rękami na kierownicy.

- Niektórzy mówili, że on umiera w swoim zamku w górach - szepnęła Jiling, jak gdyby bała się, że Gao może ją słyszeć. - Inni, że wrócił do Pekinu, gdzie ma pałacyk. Nazywają go głównym czarnoksiężnikiem przewodniczącego.

- Kim właściwie jest Chodron, kiedy bywa tutaj? - zapytał Shan.

Piętnaście metrów za samochodem Gao stał inny wóz, czarna furgonetka.

- Czy mam zaprosić go do środka? - ciągnął, gdy Jiling nie odpowiedziała. Nagle zaschło mu w ustach. Z furgonetki wysiedli dwaj mężczyźni w szarych mundurach i ruszyli wolnym krokiem w stronę Gao.

- Chodron pełni różne funkcje w okręgowej administracji partyjnej - odparła Jiling. - Zwykle nazywano go głównym przedstawicielem wiejskiego proletariatu w partii. Teraz



jest wymóg różnorodności etnicznej w kierownictwie partii. Ostatnim tytułem, jaki mu nadano, był sekretarz do spraw tubylczych robotników rolnych.

To tłumaczyło, jakim cudem Chodron mógł robić, co mu się żywnie podoba, jako urzędnik bez teki, choć gdyby spędzał zbyt dużo czasu w mieście ze swą chińską kochanką, ryzykowałby, że zaszkodzi swojej pozycji.

Jiling umilkła. Patrzyła na jego stopy. Shan zapomniał

o swych zdartych butach.

- Tajna operacja - oświadczył. Gestem skierował ją do stołu.

Zawahała się, przenosząc wzrok z niego na mężczyznę za oknem.

- Jeśli będę musiał ich wezwać, zrobię to - powiedział. - Ale zapewniam, że postaram się nie angażować was bardziej. Spiszcie wszystko, co mi powiedzieliście. Gdy doktor Gao podejdzie do drzwi, wręczycie mu swoje oświadczenie.

- Dokąd idziecie?

- Porozmawiać z dozorcą - odparł Shan.

- On nic nie wie. To tylko jakiś stary Tybetańczyk. Shan wskazał palcem stół. Spojrzała na jego buty, potem na Gao i pałkarzy na zewnątrz, wreszcie posłusznie usiadła i zaczęła pisać.

Shan cicho wymknął się przez tylne drzwi i rozejrzał po podwórzu. Dozorca spał oparty o drzewo, z podbródkiem opuszczonym na pierś. Shan ściągnął identyfikator, wcisnął go w stertę wyrwanych chwastów u stóp mężczyzny i wszedł w zalegający na tyłach podwórza cień. Wąski pas lasu za rzędem domów dał mu osłonę, póki nie dotarł na ulicę dwieście metrów od domu Chodrona.

Oczy miał utkwione w najwyższym budynku w mieście, ale jego nogi, jak gdyby wiedzione własnym instynktem, skierowały się w inną stronę. W małym parku, na który składał się zdezelowany plac zabaw oraz kilka drzew, usadowił się na ławce z opartych na pustakach podniszczonych desek. Zebra bolały go od ciosów otrzymanych w Małej Moskwie. Ukrył twarz w dłoniach. Nie czuł takiej rozpaczki od pierwszych dni swego wygnania i uwięzienia w obozie pracy, - Jego życie w szybkim tempie wymykało mu się spod kontroli.

Wszystkim, którzy byli mu bliscy, groził ponury los - więzienie, pluton egzekucyjny, rak. Na Górze Śpiącego Smoka grasowali odrąbujący dłonie mordercy, a on nie był w stanie nikogo ochronić. Potrzebował odpoczynku. Potrzebował medytacji, przepędzenia rozpacz z umysłu, wygnania bólu z ciała. Potrzebował tego, co Gendun nazywał uwalnianiem siebie od siebie.

Jak gdyby z wielkiego oddalenia obserwował trójkę dzieci. Bawiły się na popsutej huśtawce, wieszaly się na łańcuchach, podciągały na słupach konstrukcji. Niegdyś taki widok ogrzałby mu serce. Przez całe lata uczył się od starych Tybetańczyków, jak smakować proste radości życia. Teraz, po dziesięciu dniach z Chodronem, Gao i bezimiennym zabójcą, widok dzieci przyniósł mu tylko smutek.

Nie wiedział, jak długo wpatrywał się w spękaną ziemię u swoich stóp ani kiedy znów uniósł wzrok na dzieci. Przerwały zabawę i wpatrywały się teraz w plamę słonecznego światła między drzewami, w której stał jakiś człowiek. Był to Ty-betańczyk, co najmniej dwadzieścia lat starszy od Shana, w połatanym, wyświechtanym ubraniu. Jego nogi i ręce poruszały się nieustannie, choć bardzo powoli, jego dłonie płynęły w powietrzu jak głowy dwóch łabędzi na długich, wygiętych wdzięcznie szyjach. Wykonywał połączenie tai chi i buddyjskich ćwiczeń medytacyjnych. Shan zorientował się, że idzie w jego stronę. Z wystrzępionych nogawek spodni na bosych stopach mężczyzny zwisały luźne nitki. Jego pogodny uśmiech ukazywał brak większości zębów. Jego rzadkie, rozwichrzone włosy były niemal zupełnie siwe. Nie zwracał uwagi na Shana ani na gapiące się dzieci, które cofnęły się z trwożnym podziwem w oczach, kiedy zaczął sadzić wielkimi susami, dopóki jeden ze skoków nie doprowadził go pod huśtawkę. Mężczyzna złapał rękami poprzeczkę i wybił się w górę. Trzymał się jej mocno, podrzutami nóg zyskując wysokość, tak że wkrótce zataczał niemal półokręgi, z twarzą rozjaśnioną radością.

Shan przyglądał mu się jak w transie. Choć nie umiał wyjaśnić dlaczego, widok huśtającego się starca sprawił, że rozpacz opuściła go. W końcu zwrócił wzrok w stronę gmachu rządowego i ruszył ku niemu. Na skraju parku odwró-

cił się na chwilę. Pogodny stary Tybetańczyk wciąż się kołysał.

Gdy dotarł do budynku, przyjrzał mu się uważnie, obchodząc go kilkakrotnie dookoła. Dostrzegł zaparkowane za nim nieoznakowane pojazdy bezpieki, prowadzące w dół do ciężkich metalowych drzwi schody na tyłach, przesłonięte gęstą siatką, wąskie jak szpary okna tuż nad poziomem ziemi. Widział, jak tylne drzwi się otworzyły i wyniesiono na noszach jakiegoś człowieka ze skutymi nogami. Ukryty za ciężarówką, ośmielił się rzucić okiem na jego wykrzywioną, obrzmiałą twarz. Za stary na Yangkego, za młody na Hostene'a.

Wszedł do holu, rozglądając się za kamerami. Nie dostrzegłszy żadnej, skierował się do windy. Biura Urzędu Bezpieczeństwa mieściły się na trzecim piętrze. Tablica informacyjna nie wymieniała, co znajduje się w piwnicy.

Wychodząc, zauważył trzy szare samochody terenowe z lhaskimi tablicami rejestracyjnymi. Okrążył budynek. Na tyłach zatrzymała się właśnie poobijana, brudna furgonetka. Kierowca, pulchny, niemłody już mężczyzna w białej koszuli, otworzył tylne drzwi i zaczął wyładowywać ze środka lśniące blaszane wiadra i plastikowe pojemniki. Gdy tylko Shan poczuł zapach gotowanego na parze ryżu, wynurzył się z cienia. Następnie wyciągnął w stronę dostawcy jedną z pozostałych bryłek złota.

Idąc krok za dostawcą, dźwigał dwa wiadra gotowanego ryżu. Strażnik za drzwiami, bardziej zainteresowany jedzeniem niż tragarzami, machnięciem ręki skierował ich w stronę sterylnej wyglądającego pomieszczenia na końcu rzędu cel. Tam, przy ustawionym na środku stole, siedział inny strażnik, zajęty dokumentami. Shan postawił mały pojemnik z zupą zbyt blisko skraju blatu. Część zawartości wylała się na papiery.

- *Ta me de!* - ryknął strażnik, po czym rzucił się w stronę regału pod tylną ścianą, mieszczącego pościel i ręczniki. Jego kolega spod drzwi podbiegł, by zebrać papiery. Nerwowy dostawca, wycofując się, przewrócił wiadro z ryżem, które Shan postawił za nim na podłodze.

Gdy klnący na czym świat stoi strażnicy pochylili się nad tym nowym bałaganem, dostawca krzyknął do Shana, by

przyniósł szmaty z furgonetki. Zamiast wypełnić polecenie, Shan puścił się biegiem wzdłuż rzędu blado oświetlonych cel. W pierwszej siedział nastoletni chłopak z ręką na temblaku. W następnej na cementowej podłodze leżała młoda Chinka z pustym uśmiechem narkomanki na twarzy. W kolejnej spał otyły mężczyzna w sportowej bluzie. Pozostałe cele były puste, z wyjątkiem ostatniej, stojącej otworem, gdzie na pryczy leżał, chrapiąc, jeszcze jeden strażnik. Nagle Shan spostrzegł metalowe drzwi na końcu bloku więziennego i uświadomił sobie swój błąd. Jako nowi więźniowie, Yangke i Hostene nie opuścili jeszcze zapewne pokoju przesłuchań. Otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Na chwilę oparł się o nie, zbierając się w sobie, przygotowując psychicznie na nieunikniony zapach moczu, środków antyseptycznych, przypalonych włosów i wymiocin.

Przed sobą miał sześć dalszych metalowych drzwi, trzy po każdej stronie korytarza, każde z małym kwadratem zbrojonego szkła na poziomie oczu. Pierwsze dwa pomieszczenia były otwarte i puste. W drugim Shan włączył światło, które ukazało mu metalowy stół, trzy metalowe krzesła i duże blaszane wiadro. Na stole leżała para szczypiec o spiczastych końcach, zgłębniki dentystyczne, młotek z kulistym noskiem oraz skórzane pasy, jakimi przywiązywano więźniów do krzeseł. W powietrzu unosił się nowy zapach, ulotna woń goździków. Żołądek Shana ścisnął się jeszcze bardziej. Była to stara sztuczka z obozów pracy, sztuczka, którą już niemal zapomniał. Wyrwij ząb i podaj olejek goździkowy, by uśmierzyć ból. Potem wyrwij następny, ale już bez olejku.

Następne pomieszczenie było zamknięte, ale oświetlone. Za jedynego lokatora miało mężczyznę, który siedział na podłodze w ciemnym, najdalszym kącie, tłukąc głową o betonową ścianę.

Shan znalazł swych przyjaciół w ostatniej celi. Drzwi były otwarte. Yangke stał za Hostene'em, który siedział przy stole naprzeciw młodego pałkarza w mundurze. Na blacie rozłożone były ołówki i kartki papieru, na których widniało kilka prostych słów zapisanych łacińskim alfabetem. Hostene uczył mężczyznę angielskiego. Gdy Shan ostrożnie zamknął drzwi, Yangke niezadarnym ruchem wskazał mu stolik, na

którym stały dwa duże termosy i kubki z półkulistymi porcelanowymi przykrywkami.

- Tam jest herbata.

Jego przyjaciele byli cali i zdrowi. Na usta cisnęły mu się dziesiątki pytań, ale zdusił je, niepewny, jaką rolę powinien odegrać w tej sztuce. Co dziwne, lepiej wiedział, jak zwrócić się do pałkarza.

- Należycie do zespołu z Lhasy? - zapytał.

Pałkarz odwrócił kartki na drugą stronę, po czym wstał i sięgnął po czapkę od munduru.

- Od majora Rena? Oczywiście, że nie. Ci ludzie od czerwonej bandery są... On przychodzi tylko wtedy, gdy... - Nie wiedział, jak skończyć swą myśl.

- Musimy iść — zaryzykował Shan.

- Nie otrzymałem instrukcji - odparł pałkarz. Shan przyjrzał mu się uważnie. Sprawiał wrażenie ostrożnego, wykształconego. Powoływał się na instrukcje, nie na rozkazy. Na jego kołnierzu widniała niewielka mosiężna gwiazdka w okręgu, nieznany Shanowi emblemat.

Do celi wszedł inny pałkarz, piorunując wzrokiem młodszego kolegę, gestykulując do kogoś na korytarzu. Po chwili pojawił się mężczyzna w kajdankach, z więziarskim kapturem na głowie, a za nim czterdziestokilkuletni oficer, który wymierzył więźniowi niepotrzebnego kuksańca. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Shan stanął obok Hostene'a.

Oficer roztaczał wokół siebie aurę chłodnej elegancji. Miał wypomadowane, zaczesane w tył włosy i szczupłą, ospowatą twarz o ostrych jak topór rysach. Na ramieniu nosił czerwono-czarną opaskę. Kącik ust uniósł mu się lekko, gdy przyjrzał się najpierw Yangkemu, potem Hostene'owi, i w końcu Shanowi.

- Gdzie on jest? - warknął oficer.

- Nnnie... nie tutaj, towarzyszu majorze - wyjąkał młodszy z pałkarzy.

Oślawiony Ren wreszcie zyskał twarz.

Spod więziennego kaptura sączyła się krew. Pałkarz gwałtownym ruchem odłonił głowę więźnia. Hostene drgnął. Yangke wydał zduszony okrzyk. Był to Hubei.

- Ty głupcze! — warknął major do młodego funkcyjona-

riusza. - Nie masz dość rozumu w głowie, by trzymać więźniów osobno? Każdy do własnego pokoju przesłuchań, i to już! Nie dawać im nic do jedzenia ani picia, póki ja sam... -Urwał, spostrzegłszy, że Hostene patrzy na coś za jego plecami.

- Nie zamierzacie chyba - odezwał się wytworny głos - odmówić posiłku moim kolegom? - Gao wkroczył do pokoju z wyrazem wystudiowanej swobody na twarzy. Za nim szedł jeden ze strażników, niosąc tacę wypełnionych kopiasto ryżem misek, którą postawił na stole, po czym ulotnił się spiesźnie.

- To nie jest Pekin - warknął major. - Ani jeden z waszych świętych rezerwatów naukowych. Tu obowiązują zasady Urzędu Bezpieczeństwa.

Gao spokojnie podszedł do stołu z herbatą, po czym podał Shanowi parujący kubek.

- Mieliśmy pracowity dzień, towarzyszu majorze. Nieprzewidziane trudności logistyczne zmusiły nas do zatrzymania się w Tashtul i rozdzielania się do różnych zadań. Ale teraz - szerokim gestem wolnej ręki wskazał Hostene'a i Yangkego - teraz z pomocą Urzędu Bezpieczeństwa znów zeszliśmy się razem.

Oczy Rena zwęziły się.

- Urzędu Bezpieczeństwa? — warknął. — Macie na myśli te pochlipujące, niedouczzone niańki?

Shan spojrział na fizyka z szacunkiem. Było prawdą, że w obrębie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego istniały wydzielone jednostki, których zadaniem była ochrona i udzielanie pomocy ważnym osobom piastującym ważne tajemnice państwowe. Biorąc pod uwagę liczbę tajnych obiektów w okolicy, obecność w Tashtul posterunku takich funkcjonariuszy, noszących mosiężne gwiazdy w kółku, była rzeczą naturalną. Przypomniawszy sobie zaniepokojenie Gao na widok czerwonej bandery tego ranka. Fizyk wiedział, że wobec wizytującego oddziału Rena Yangke i Hostene nie będą mieli żadnych szans, tak więc zadał wyprzedzający cios. Nigdy nie ufaj rzeczywistości, ostrzegwał na ławce w parku.

- Pewne aspekty bezpieczeństwa, majorze Ren, wymagają środków bardziej subtelnych niż karabin i pałka.

Renowi najwyraźniej nie trafiło to do przekonania. Skinął dłonią. Jego ludzie ruszyli do akcji. Podeszli z dwóch stron do Hubeia, zawlekli go do końca stołu i siłą posadzili na krześle. Nim minęło kilka sekund, wyjęli skądś skórzane pasy i umocowali jego ręce do poręczy krzesła.

Ren odwrócił się do Gao.

- Ten człowiek został schwytyany, gdy kręcił się z nożem pod dworcem autobusowym. Próbował uciec, kiedy moi ludzie podeszli do niego. Nie może się zdecydować, kim jest. Jego tatuaż wskazuje, że jest byłym więźniem. Ale twierdzi, że jest pasterzem. Później wspomniał, że przybył tu z waszą ekipą. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, pasterz, który zna Gao. Wasz kierowca zapłacił też trzem rolnikom, by dostarczyli mu informacje na temat pewnej osoby przybywającej z gór. Jeden z nich przypomniał sobie swój obywatelski obowiązek i zgłosił się, by to wyznać. Czeka w sąsiednim pokoju. Powiedział nam już o tajemniczych karawanach, które co wiosna zmierzają w góry.

- Rozmawialiśmy już kiedyś na ten temat, majorze Ren - powiedział Gao, ledwo tłumiąc zniecierpliwienie.

- Co przynosili wam ci ludzie? - zapytał Ren.

Gao nie odpowiedział od razu. Niespiesznie podał herbatę Yangkemu i Hostene'owi.

- Waszym zadaniem jest chronić tajemnice państwowe, nie poznawać je - powiedział w końcu.

Ren znów skinął ręką. Jeden z jego ludzi wyciągnął czarne pudełko z wystającym z niego małym prętem, jeden z ulubionych zachodnich importów Urzędu Bezpieczeństwa -elektryczny bicz do poganiania bydła.

Shan był pełen podziwu dla charakteru Hubeia. Jego jedyną reakcją na pierwsze pchnięcie biczem w obnażone przedramię było zaciśnięcie szczęk. Za jego plecami pałkarz wyregulował moc, po czym dźgnął prętem między szczęblami krzesła w kręgosłup Hubeia. Górnik stęknął i wygiął się w łuk, unosząc krzesło nad ziemię.

- Pierwszy raz widzę tego człowieka - powiedział Gao. Ren wyciągnął z kieszeni bluzy złożoną kartkę papieru.

- To twoja lista zakupów - odezwał się do Hubeia. - Lekarstwa. Długi naszyjnik z paciorków. Kartonowe pudło

o wymiarach co najmniej dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetrów. Mały kawałek folii do owinięcia zawartości. Znaczek za pięćdziesiąt renminbi. - Uniósł wzrok z zaskoczoną miną, jak gdyby czytał to po raz pierwszy. - To wysoka opłata. Za taką sumę można przesłać coś ciężkiego na drugi koniec świata. Wy, pasterze, fascynujecie mnie. Co to miało być za lekarstwo? - Rzucił papier na stół, po czym zamknął drzwi i skinął głową do jednego ze swych pomocników, który znów sięgnął po bicz.

Górnik, szarpiąc się, ze śliną zwisającą mu z podbródka, w końcu nie wytrzymał.

- Przyjechałem załatwić parę spraw - powiedział z jękiem. - Wysłano mnie po sprawunki, to wszystko.

- Co to było za lekarstwo? - powtórzył Ren.

- Środki przeciwbólowe. I lek na żołądek.

- Popełniliście wielki błąd, Gao - oświadczył Ren - nie przyznając, że ten człowiek pracuje dla was. Teraz jest mój.

Protest Shana wydobył mu się z gardła jako ochryply szept, przybrał jednak na sile, gdy jego oczy napotkały wzrok Rena.

- Ale on j e s t z nami - zaczął. — Nie można oczekiwać od profesora, że będzie znał każdego tragarza w każdej placówce.

- Składanie mi fałszywych zeznań jest przestępstwem. Powiedział, że jest pasterzem. Czy kłamał?

- Byłoby głupotą z naszej strony, gdybyśmy nie mieli przykrywki dla wszystkich naszych pracowników. Więcej niż głupotą. Brakiem patriotyzmu.

- Patriotyzmu? - Zdawało się, że słowo to zaskoczyło Rena.

- Powiedzcie, towarzyszu majorze - ciągnął Shan - czy możecie wyobrazić sobie ważniejsze dla chińskiego narodu przedsięwzięcie niż wysłanie rakiety na Księżyc?

Ren przyglądał mu się z uwagą.

- Przekaznik impulsowy wymaga naprawy — oświadczył Shan. - Element musi zostać starannie opakowany i wysłany wraz ze szczegółowym opisem usterki. Producent ma siedzibę w Tianjin. Gdybyśmy powierzyli sprawę wojsku, oni wysłaliby go do swego magazynu, wypełnili setki formu-



larzy i dostarczyli go na właściwe miejsce za jakieś cztery miesiące. Jeśli wyślemy go bezpośrednio, dostaniemy go z powrotem za sześć tygodni. Za osiem tygodni wyznaczono termin próbnego startu. Do tego czasu przekaznik musi być sprawny. Ten człowiek niósł materiał pakowy do naszego obozu. Dopóki go nie zatrzymaliście. - Shan zgarnął kartkę ze stołu i schował ją do kieszeni.

- A naszyjnik?

- Z pewnością można wybaczyć mężczyźnie, że chce kupić błyskotkę dla kobiety.

Ren przyjrzał się Shanowi z chłodną, wyrachowaną miną.

- Kim jesteście? - zapytał ostro. Shan upił łyk herbaty.

- Przewodniczący we własnej osobie zapowiedział, że Chińska Republika Ludowa wyśle człowieka na Księżyc.

- Pytałem o wasze nazwisko - naciskał Ren.

- A ja chcę znać wasze nazwiska - zareplikował Gao. - I każdego człowieka w waszym zespole. Nazwisko, ranga i numer porządkowy. Chcę móc zidentyfikować wszystkich winowajców, jeśli próbny start okaże się fiaskiem. - Odwrócił się do stojącego za Hostene'em młodego pałkarza, który wystąpił naprzód z notatnikiem w dłoni i błyskiem nerwowego wyczekiwania w oku. - Czy mamy wymienić jako waszą siedzibę Lhasę czy Tashtul, towarzyszu majorze?

- Może Mongolię Wewnętrzną? - podsunął Shan.

Ren ścisnął oparcie krzesła. Spojrzał na niego z nieskrywaną wściekłością w oczach. Gdy Shan odwzajemnił jego spojrzenie, przez głowę przemknął mu tuzin myśli, aż pozostała tylko jedna, która niemal sprawiła, że odwrócił wzrok. Chodron. Gdyby Chodron stanął teraz w drzwiach, życie Shana nie byłoby warte dziesięciu fenów.

Ren przeszedł wzdłuż przeciwległego boku stołu, przystając, by wydać szeptem rozkaz jednemu ze swych ludzi, który wypadł z pokoju.

- Dziwna rzecz, towarzyszu — powiedział do Shana, rozluźniając krępujące Hubeia pasy. - Macie na sobie dwie pary spodni.

W jego dłoni pojawił się jakiś lśniący przedmiot, który

rzucił nagłym ruchem na blat stołu. Błysnął flesz, potem kolejny. Drugi pałkarz wrócił z aparatem i nim toczący się po stole przedmiot zdążył się zatrzymać, sfotografował ich twarze. Wszyscy wpatrywali się w rzuconą przez Rena rzecz. Była to bryłka złota, którą Shan dał dostawcy.

- Oczywiście uwolnię waszego pasterza - oświadczył Ren, chowając samorodek do kieszeni. - Z pewnością jest wam potrzebny do pilotowania rakiety.

Uspokojeni opuścili budynek i skierowali się w stronę samochodu Gao. Shan podał listę zakupów HosteneWi, który wcisnął ją do kieszeni. Gdy dotarli do samochodu, Yangke przystanął. Podążyli wzrokiem za jego spojrzeniem. Hubei znów uciekał.

- Shan jedzie ze mną - oświadczył Gao pozostałym, ruchem ręki kierując ich do rozlatującego się sedana ze znakiem taksówki. - Spotkamy się w fabryce.

Gdy dotarli na dworzec autobusowy, Gao pozostał w taksówce. Shan znalazł Hubeia siedzącego na drewnianej skrzynce w cieniu wzniesionej z pustaków ściany dworca. Górnik był zdrętwiały ze strachu. Nie zostało w nim nic z buntownika.

- Gdybyś powiedział nam o swoim bracie, wszystko mogło ułożyć się inaczej - powiedział Shan.

Oczy górnika rozbłysły, potem jednak znów zapadł się w siebie.

- Ani słowa o rodzinie, pod żadnym pozorem, to reguła Binga. To powoduje zbyt wiele konfliktów na górze. Ale potem zimą przyjechał do mnie mój młodszy brat. Stracił pracę jako szef kuchni, ale miał wielkie plany. Potrzebował tylko pewnego kapitału. Mieliśmy obaj pojechać do Hongkongu, gdzie zamierzał otworzyć restaurację. On by gotował, ja byłbym kierownikiem. Zawsze rozmawialiśmy w tajemnicy. Spotykaliśmy się w odludnych miejscach, na przykład przed tymi starymi malowidłami.

Shan wrócił myślami do dziwnego nagrania, które tak go zaniepokoiło. Abigail kazała komuś myśleć o swej rodzinie i o ośmiu skarbach w zimowym melonie, klasycznym chińskim specjale.

- Czy on spotkał Abigail przy którymś z malowideł?

-Mówiłem mu, żeby trzymał się z dala, że cudzoziemcy oznaczają kłopoty. Ale on trochę znał angielski. Zaczął pomagać jej w drobnych sprawach. Tashiemu się to nie podobało. Groził, że powie jej wujowi.

Shan przyjrzał się Hubeiowi.

- Czy to ty znalazłeś ciało swego brata? Głos górnika zaczął się łamać.

- Tak wiele krwi. Z początku myślałem, że chyba upolował dla nas kozę do jedzenia. Ale kiedy się do niego odezwałem, zobaczyłem, że coś jest nie tak z jego językiem. Mówiłem wciąż do niego, pytając, co się stało, dlaczego nie odpowiada. Potem spostrzegłem, że w ustach ma drewniany patyk z wymalowanymi oczami. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że nie żyje. To było niemożliwe! Mieliliśmy plany, mieliśmy zacząć nowe życie. Nie wiedziałem, co robić. On nazbierał kwiatów i gałązek jałowca na ofiarę. Ułożyłem mu je na piersi i chciałem skrzyżować na nich jego dłonie.

- I właśnie wtedy zobaczyłeś, że nie ma dłoni. Górnik skinął głową.

- Zdążyłbym go już pomścić, gdybyś ty się nie napatoczył.

- To ty byłeś tym człowiekiem na rowerze z pałką -domyślił się Shan. - To ty powiesiłeś mnie dzisiaj na linie i pobiłeś. Ty podpaliłeś jęczmień, by ukarać Chodrona za to, że nie ukarał Hostene'a.

Hubei milczał.

- Jeśli uważasz, że Hostene zabił twego brata, dlaczego pomagasz jego siostrzenicy? Dlaczego podjąłeś się zrobienia zakupów z listy, którą dała Bingowi?

- Bo to jest sposób, żeby znów ją odnaleźć. A kiedy będę ją miał, dopadnę jej wuja.

- Gdzie miałeś dostarczyć zakupy?

- Bing ma mapę. Do miejsca z czarnym piaskiem, w pobliżu wierzchołka.

- Dlaczego ona kazała twojemu bratu wyłożyć te szkielety?

- Chciała, żeby ludzie trzymali się z dala od starych malowideł.

- Ludzie?

- Inni górnicy. Krążą legendy o starodawnej kopalni złota. Powiedziałem bratu o szkieletach, które wyłożyliśmy z Bingiem, żeby się nie bał. Musiał jej to powtórzyć.

Wyglądało na to, że na nawiedzonej grani kości było w bród.

- To były stare kości, prawda?

- Bardzo stare, jak myślę. W zeszłym tygodniu wszystkie zniknęły, nawet szkielet na grobie.

Wkrótce po tym, jak Thomas się chełpił, że potrafi odróżnić stare kości od nowych, uświadomił sobie Shan. Ale szczęśliwie dla Binga pojawiły się nowe zwłoki: ciało rolnika, który zginął od uderzenia pioruna. Bing upozorował jego śmierć na morderstwo, by utrzymać górników w szponach lęku przed nawiedzoną granią.

Gao zaczął się niecierpliwić. Shan podszedł do samochodu i porozmawiał z nim.

- Jak znajdę to miejsce z czarnym piaskiem? — zapytał Hubeia, gdy wrócił.

- To za starymi sanktuariami, tuż pod wierzchołkiem góry. Ona przez całe lato posuwała się coraz wyżej, szukając malowideł z drobnymi owalami. Jeśli chcesz ją znaleźć, wypatruj szalonego mnicha. Ona potrafi z nim rozmawiać, uspokoić go, skłonić do pomocy.

- Co to za owale?

- Obrisy z małych owali wokół niektórych kształtów. Nauczyła mojego brata obsługiwać kamerę wideo, żeby mógł je filmować.

Rozległ się klakson. Hubei sprawiał wrażenie, jak gdyby miał zamiar rzucić się do ucieczki.

- Wiesz, czym jest reinkarnacja, Hubei? — zapytał Shan.

- To Tybet. Każdy to wie.

- Właśnie zostałeś reinkarnowany, bez konieczności przechodzenia przez śmierć. Gratulacje.

Hubei spojrział na kawałek papieru, który Shan rzucił mu na kolana.

- To jest bilet do Golmud, na północy. Wielkie miasto przemysłowe. Mnóstwo pracy. Nie wracasz na górę.

- Akurat.

-Ratuję ci życie. Jeśli wrócisz na górę, me przeżyjesz lata. Jak myślisz, co Chodron i Bing zrobią, gdy odkryją, że to ty spaliłeś pola jęczmienia?

Gdy rozmawiali, podjechał autobus jadący na północ.

Hubei zerknął na pojazd, spojrział na bilet, po czym wsiadł do środka.

- Na górze są sypialnie - oświadczył Gao, gdy spotkali się z pozostałymi na terenie firmy. - Ja załatwię jedzenie.

Zjedli w sali konferencyjnej. Kierowca usadowił się w oknie niczym strażnik.

Hostene przerwał ich pełne znużenia milczenie.

- Ona chciała wywieść nas w pole. Wcale nie opuściła góry. Nic nie rozumiem.

- Chciała skłonić pana do odejścia, wyprawić pana w bezpieczne miejsce. Wiedziała, że Thomas został zabity, i wie, że zabójca jest blisko. Ale postanowiła za wszelką cenę dotrzeć na szczyt. Tylko dwie rzeczy są teraz dla niej ważne: pańskie bezpieczeństwo i znalezienie końca ścieżki pielgrzymkowej.

-Podła sztuczka - stwierdził Hostene. - Przebyliśmy taki kawał drogi przez tego cholernego Binga.

- To była jej sztuczka - zauważył Shan. - Abigail napisała ten liścik dobrowolnie.

Hostene skinął głową.

- Nie chce, żebyśmy się mieszała. Prosiła o pudło i znaczki. Zamierza wysłać swą pracę do kraju.

-Tak jakby... - Gao nie dokończył. Jakby spodziewała się, że nie opuści już góry.

- Jeśli lekarze mają rację, zostały jej trzy albo cztery miesiące, nim opuszczą ją siły.

-Gdybym poszedł teraz do Rena i wyjaśnił wszystko, puściłby w niepamięć urazę - powiedział Gao. - To jedna z tych spraw, jakie stanowią dla niego treść życia. Mógłby posłać jutro na górę setkę ludzi.

- Podał Shanowi złożoną kartkę papieru.

\_Nie \_ odparł Hostene i to zdawało się rozstrzygać kwestię. - To sprawa między mną a Abigail.

- I zabójcą - dodał Shan.

- I zabójcą - powtórzył Hostene. - Ale jeśli nie znajdziemy

zabójcy, co się stanie z Lokeshem i Gendunem? - zwrócił się do Shana. Było to pytanie, które inspektor sam sobie nieustannie zadawał.

W pokojach na górze znajdowały się jedynie trzy łóżka dla gości. Gdy Shan zaczął rozkładać dla siebie koc na podłodze, Yangke sprzeciwił się, mówiąc, że to on, jako najmłodszy' powinien tam spać, i ustąpił, dopiero kiedy Shan wyjaśnił, że po tylu latach więzienia nie potrafiłby zasnąć na materacu.

Gdy Gao zaczął zaciągać zasłony, Shan położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie. Nie róbcie nic, co mogłoby świadczyć, że próbujemy się ukrywać.

- Myślicie, że nas obserwują? Niemożliwe.

- Niektórzy ludzie czują w kościach nadchodzący deszcz -powiedział Shan. - Ja czuję bliskość bezpieczeństwa w kręgosłupie. Są tam, na zewnątrz, co najmniej dwóch, może czterech ludzi.

- Co zrobimy? - zapytał z przerażeniem Yangke. -Pójdziemy spać - odparł Shan, zdejmując ubranie

i kładąc się na podłodze. Jednak nie zasnął od razu. Czytał kartkę, którą dostał od Gao. Był to wykaz stanowisk Binga w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Przez ostatnie pięć lat przed swym odejściem Bing był dowódcą strażników więziennych w obozie pracy pod Rutok.

Były może dwie godziny po północy, gdy Shan obudził się roztrzęsiony z kolejnego koszmarne snu o Gendunie i Cho-dronie. Podniósł buty z podłogi i zszedł na palcach po schodach do milczącego budynku fabryki.

Tam czekali na niego bogowie. Oświetlone sączącym się przez wysokie okno blaskiem księżyca, ustawione jeden nad drugim rzędy maleńkich Buddów, Tar i świętych czekały na pomalowanie i zapakowanie. Armia miniaturowych Tybe-tańczyków oczekująca na sygnał. Lokesh wypowiedziałaby nad każdym z nich modlitwę.

Usiadł w kałuży światła przed małymi figurkami, niczym lama przed swymi uczniami. Albo może, z innego punktu widzenia, to one były jak legion łamów, cierpliwie znoszących swego jedyne, nieudolnego ucznia.

Opuścił głowę, zawstydzony wcześniejszym powrotem do swego pekińskiego wcielenia.

- Przepraszam - usłyszał własny, przemawiający do figurek głos. — Staram się ukształtować na ich podobieństwo. - Jego słuchacze, pozbawieni skazy ceramiczni bogowie, rozumieli, że miał na myśli Genduna i Lokesha. - Ale mam do dyspozycji tylko taką glinę, jaką przyniosłem z zewnątrz. - Walczył z chaosem myśli, układając palce w mu-drę najwyższego oświecenia. Skoncentrował się na niej, pozwalając, by szalejąca w nim burza ucichła. W końcu, po raz pierwszy od niemal dwóch tygodni, znalazł spokojne miejsce, miejsce medytacji, i silił się, by tam pozostać. Przypominało to, jak powiedział mu kiedyś Gendun, balansowanie gładką, omszałą skałą na koniuszku palca.

Długo, długo później jego medytacja została raptownie przerwana. Coś czało się na skraju jego świadomości. Słowa, które napłynęły mu na usta, zdawały się omijać jego umysł. *Om mani padme hum* — do bodhisattwy współczucia, potem inne, do każdego z bóstw, jakie potrafił rozpoznać wśród figurek. Niektórych z nich nie wypowiadał ani razu od czasu, gdy uczył się ich w ciemne zimowe noce od sędziwych Tybetańczyków, ryzykując kary za naruszenie ciszy nocnej przez ich wymawianie. *Om ah uajre gate hum* — dodał w końcu i umilkł, zastanawiając się, co za wewnętrzny impuls, nieproszony, podsunął mu modlitwę do Zielonej Tary, Tary Droljang. Ze wszystkich form Tary, jakie mógł wybrać, coś w jego wnętrzu zdecydowało się na postać agresywnej opiekunki.

Poczuł niewiarygodną jasność umysłu. Słyszał pełznącego po oknie owada, chrobot myszy na tyłach budynku. Zaczął odtwarzać w pamięci wszystko, co wydarzyło się na Górze Śpiącego Smoka, odkąd przybył do Drango. Ponownie analizował każdy element układanki, zmieniając ich położenie, obracając je niczym kawałki barwnego szkła, obserwując, jak zmieniają odcień, gdy kręci nimi to w tę, to w inną stronę. Strach opuścił go, ustępując stanowi, który starcy nazwaliby umysłem wojownika-obrońcy. Gdy podniósł się z podłogi, księżyc wisiał już nisko na niebie, a on zaczynał dostrzegać wzór układanki.

Uklonił się z wdzięcznością zgromadzonym bóstwom i skierował ku frontowej części kompleksu. Przy drzwiach fabryki przystanął nagle, gdy pamięć podsunęła mu wypo-

wiedziane przez Yangkego w helikopterze słowa. Tashi obiecał mu, że będzie jechał do Indii „z bogami”.

Gao stał w mroku w drzwiach. Gdy Shan zbliżył się, obrócił się gwałtownie, po czym odprężył się.

- Mieliście rację. Jest ich dwóch.

Shan stanął obok niego. Gao wpatrywał się w cień wewnątrz cienia. Potem jednak mężczyzna zaciągnął się papierosem i jego twarz zaala ulotna pomarańczowa poświata.

- Szkoda, że nie ma tu Heinza - powiedział Gao. - On zna się na takich sprawach.

- Rozmawialiście z nim?

- Zadzwoiłem do hotelu, gdzie ma apartament. Zameldował się. Ale musiał pojechać na lotnisko. Oddzwoni jutro.

- Ale jutro was tu nie będzie.

- Nie. Nie mogę odlecieć tym samym helikopterem, który przywiózł nas tutaj. Ren zapisałby numer rejestracyjny i zmusiłby pilota do zeznań. Potem góra zaroiłaby się od żołnierzy. Nigdy nie znaleźlibyście zabójcy.

Gao powtarzał Shanowi jego własne przestrogi. On także musiał medytować w ciemnościach. Najwyraźniej koniec końców pogodził się z tym, że jedyną sprawiedliwością, na jaką może liczyć jego bratanek, będzie nieoficjalna sprawiedliwość.

Fizyk poklepał niewielkie urządzenie przy pasku do spodni.

- To mój telefon satelitarny. Zadzwoiłem do pilota. Postarał się o mechaniczną usterkę i wylądował w pobliskiej bazie. Zabierze helikopter na lot próbny i przybędzie o świcie, bez świateł. - Gao sięgnął do kieszeni i podał Shanowi plik banknotów. - To zastąpi bryłkę złota, którą wykorzystaliście gdzie indziej.

Shan podszedł do plecaka, który zostawili wcześniej, i wyjął z niego aparat cyfrowy. Majstrował przy nim, dopóki nie odkrył, w jaki sposób przeglądać zapisane zdjęcia. Gdy znalazł to, którego szukał, podał aparat Gao.

- Możecie wydrukować to tutaj? - zapytał.

Gao przyjrzał się zdjęciu. Przedstawiało Abigail Natay, beztrąsko siedzącą na skale z lewą stopą podwiniętą pod siebie, prawą dyndającą w powietrzu. Włosy miała zaczesane-



ne do góry i przystrojone kwiatami. Po chwili fizyk podszedł do komputera na biurku i uruchomił drukarkę. Pojawił się wydruk. Shan podniósł go i schował do kieszeni, po czym znów spojrzął przez okno.

Na stojącym obok stole, blado oświetlonym przez uliczną latarnię, dostrzegł zdjęcie Kohlera. Był na plaży, w towarzystwie kobiety, którą otaczał ramieniem. Shan podniósł je.

- Gdzie to zostało zrobione?

- Na południu Indii. Heinz prowadzi tam wiele interesów i ma sporo przyjaciół. Firma ma w Indiach dom i magazyn.

- Przyjemnie musi być zmienić klimat.

Gdy Gao nie odpowiedział, Shan uświadomił sobie swój błąd.

- Nie wypuszczają was z kraju - stwierdził. Tajemnice były filarem rządu, a Gao był chodzącą skarbnicą najbardziej niebezpiecznych ze wszystkich tajemnic.

- Jeśli chcę słońca - odparł Gao - załatwiają mi odczyt na konferencji na południowym wybrzeżu Chin. Z eskortą.

Shan odstawił zdjęcie i stanął obok fizyka przy oknie.

- Gdy znajdziecie Abigail Natay- powiedział ze znużeniem Gao - sprowadźcie ją z powrotem do mnie. Ale najpierw musimy znaleźć sposób, by wydostać stąd was trzech przed wschodem słońca.

Shanowi wystarczyła krótka chwila zastanowienia.

- O której przychodzą wasi pracownicy? - zapytał.

Godzinę przed świtem Gao zapalił światło w swoim gabinecie i podszedł celowo do okna, wskazując Shanowi, Ilostene'owi i Yangkemu, którzy stanęli obok niego, różowiejące na wschodzie niebo. Gestem zaprosił ich do ustawionego przy oknie stołu, po czym zasunął przejrzystą wewnętrzną zasłonę i usiadł wraz z nimi. Kierowniczka biura przyniosła im tacę z herbatą.

Odczekali kilka minut, rozmawiając i żywo gestykulując, nim dali sygnał pierwszemu z trzech pracowników pierwszej zmiany, siedzących w kucki pod ścianą. Shan wstał, podszedł do ściany, jak gdyby oglądając jakieś zdjęcie, po czym przywarł do niej płasko i wymknął się z pokoju.

Pierwszy pracownik zajął jego miejsce przy stole. Wkrótce wszyscy trzej byli już na zewnątrz.

Shan czekał, ukryty w najgłębszym cieniu, dopóki najbliższy obserwator nie zapalił zapalką papierosa, tracąc zdolność widzenia po ciemku. Gestem przywołał przyjaciół i wspólnie ruszyli na stadion piłkarski. Wkrótce znaleźli się w powietrzu. Shan był gotowy przebudzić smoka.

## ROZDZIAŁ 11

Pola, które żywiły mieszkańców Drango przez całe życie, były czarne i jałowe. Czołgali się na czworakach po zwęglonych zagonach by podnieść kilka nietkniętych ziaren, niekiedy znajdując cały kłos, który ocalał z pożogi. Ręce i twarze mieli pokryte sadzą, a ich zrozpaczone oblicza przypominały Shanowi używane w rytualnych sztukach maski kościotrupów

Yangke odważył się wejść do wioski. Wróciwszy, ostrzegł Shana, by nie próbował szukać Lokesha i Genduna. Mieszkańcy byli wciąż jeszcze ogłuszeni katastrofą, która spadła na ich wioskę, a jedyną rzeczą, jaką wiedzieli na pewno, było to że ich kłopoty zaczęły się wraz ze zjawieniem się Shana i pozostałych przybyszów. Gendun był teraz pod podwójną strażą, gdyż Lokesh i Dolma próbowali go przenieść.

-Dokąd?

-Nie wiem. Gdzieś poza wioskę - odparł Yangke. -Ułożyli go na noszach, ale nie udało im się nawet wynieść go poza pola. Gdyby Dolma nie należała do starszyny, Cho-dron kazałby ją też wychłostać.

- Lokesh został wychłostany? - Słowa zdawały się więznąć Shanowi w gardle.

Yangke wolno skinął głową.

-Trzydzieści uderzeń bambusowym kijem Chodrona. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś. - Powstrzymał Shana, który zrobił krok w stronę wioski. - Nie ma go tutaj. Nie mogłem znaleźć Lokesha ani Dolmy. Ale mówili mi, że mc mu me jest że sprawiał wrażenie, jakby wcale nie czuł razów, ze...

- recytował mantrę i patrzył w niebo, kiedy przyjmował baty - dokończył Shan ochryplym szeptem. Ile razy widział to już wcześniej, w obozie pracy? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Czasami Lokesh miał kłopoty z pochylaniem się z powodu tak wielu blizn.

- Chodron jest wściekły. Jego generator jest popsuty. Nie ma łączności radiowej. Zadręcza człowieka, który próbuje go naprawić. Wszyscy boją się go i jego ludzi. Ukrywają się przed nim.

Shan widział naczelnika przyglądającego się, jak helikopter wysadza ich na stoku ponad polami. Musiał być przekonany, że Gao wciąż jest z nimi, w przeciwnym bowiem razie zgarnąłby ich.

- A Gendun?

- Siedzi w domu Dolmy, recytując słowa obrzędów pośmiertnych, kiedy ma na to siłę. Za Thomasa. Za Tashiego. Za profesora Ma. Wieśniacy zabrali zmarłego rolnika do rozci-naczy zwłok. Pytali Chodrona, kto go zabił. Ale on powiedział im, że muszą poczekać do święta. Krewni zmarłego nie wypowiedzieli słów. Wiedzą, że jeśli zdradzą się z jakimkolwiek przejawem pobożności, Chodron ukarze Genduna.

Gardło Shana ścisnęło się do tego stopnia, że miał kłopoty z mówieniem.

- Widziałeś Lokesha?

- Nie. On i Dolma muszą też być zamknięci w środku. -Yangke dostrzegł grymas wściekłości na twarzy Shana. -Dolma ma pewnie maść na plecy Lokesha. Nic mu nie grozi. Nie możesz tam iść. — Yangke z zaniepokojoną miną rozejrzał się po stoku ponad nimi.

- Hostene ruszył pod górę - wyjaśnił Shan. - Chce być sam. Wie, gdzie nas spotkać.

Wstał, zarzucił sobie plecak na ramię i ruszył przed siebie. Po kilku krokach przystanął i obejrzał się przez ramię. Yangke wciąż stał w miejscu.

- Idziesz szukać duchów - powiedział.

- Ktoś zapytał kiedyś Lokesha, czym się zajmuję — odparł Shan. - Odpowiedział, że jestem spowiednikiem duchów. To najtrafniejsze określenie, jakie słyszałem. Doświadczenie nauczyło mnie, że jedynymi ludźmi, co do których można mieć pewność, że nigdy nie skłamią, są zmarli.

Gdy dotarli do miejsca przeznaczenia, było późne popołudnie. Rapakiego nie było w jego grocie. Nic nie wskazywało, by do niej zaglądał, odkąd uciekł podczas ich pierwszej wizyty. Hostene rozpałił niewielkie ognisko i ostrożnie ustawił

jeden z poobijanych rondli pustelnika na dwóch kamieniach, by zagotować wodę. Shan widział, jak Indianin omiata wzrokiem stok. Każda mijająca godzina przybliżała jego siostrzenicę do śmierci. Nalegał, by helikopter wysadził ich jak najbliżej szczytu. Shan sprzeciwił się temu, wyjaśniając, że nie mogą ryzykować, iż dostrzegą ich górnicy z Małej Moskwy albo że spłoszą zabójcę.

Shan usiadł oparty o skałę u wylotu jaskini i już po chwili musiał walczyć z ogarniającą go sennością. Ciepły południowy wietrzyk niósł woń goryczki. W kępie jałowców świergotał ptak. Gdy się obudził, została zaledwie godzina do zmierzchu. Gotowała się zupa. Gdzieś za nim, w mrocznej pieczarze, Yangke szeptał ciche słowa mantry. Hostene siedział na skale, oglądając kolejną z nagranych przez Abigail taśm.

Gdy Shan wszedł do groty, Yangke nie zwrócił na niego uwagi. Czyżby Rapaki wrócił? Shan zapalił lampkę maślaną i przecisnął się przez wąską szczelinę prowadzącą do komory, której pustelnik używał jako składu. Chaos śmieci i zapasów zniknął. Ktoś uprzętnął środek pomieszczenia, układając cały bałagan w kupki w dwóch przeciwległych kątach. Dopiero teraz Shan spostrzegł na podłodze malowany wzór, pochodzący prawdopodobnie sprzed setek lat. Były to niewyraźne, przerywane barwne linie, maleńkie, regularnie rozmieszczone owale, które zaczynały się przy wschodniej ścianie, zakreślając najpierw szeroki krąg, a następnie zwijając się spiralą w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, tworząc sześć - nie, osiem - coraz mniejszych skrętów, by w końcu urwać się wśród wizerunków, które jeszcze do niedawna musiały być czytelne. Od czasu jego ostatniej wizyty ktoś zniszczył środek malowidła, brutalnie rozłupując podłogę dłutem i młotkiem, tak że zostało tylko lulka barwnych okruchów, niepozwalających się domyślić, co przedstawiały kluczowe obrazy.

Owale. Brat Hubeia nauczył się obsługiwać kamerę wideo, by móc sfilmować owale na fresku, do którego Abigail nie mogła się dostać. Shan zbadał każdy zachowany centymetr osobliwego wzoru, śledząc go teraz w przeciwnym kierunku. Odkrył, że zewnętrzne linie znaków nie tworzą idealnego

okręgu. Zewnętrzny skręt spirali był przerwany. Dwie linie odchyłały się i wspinały na sąsiednią ścianę. Przyświecając sobie bladą lampką, Shan prześledził ich bieg. Każda z nich kończyła się nad jego głową poszarpanymi kształtami, które wyglądały jak błyskawice. Tu, na ścianie, którą miał przed sobą, drobne owale zachowały się najlepiej. Przysunął lampkę bliżej i uświadomił sobie, że maleńkie znaczki nie są tak naprawdę owalami; przypominały raczej opasłe ósemki. Ślady stóp. Linie były utworzone z symbolicznych śladów stóp. Abigail była tutaj, prawdopodobnie pomogła oczyścić pieczarę, by przestudiować stare znaki na podłodze. Znalazła mapę ścieżki pielgrzymkowej. Tu był początek drogi - dla pielgrzymów, dla Abigail, prawdopodobnie także dla zabójcy. A teraz dla Shana i jego przyjaciół.

Podążył za owalami z powrotem w dół ściany, nie umiając pojąć ich znaczenia. Potem cofnął się, by przyrzeć się wyblakłym postaciom na ścianie jako grupie. Były to same demony, najbardziej przerażający członkowie tybetańskiego panteonu - nie demony opiekuńcze, ale diabły, w które wyznawcy bonu wierzyli na długo, nim do Tybetu zawitali buddyjscy święci. Były to żywiące się ludzkim mięsem diabły o wystających kłach, które stroiły się w naszyjniki z czaszek. Styl malowideł, prymitywny, a jednak pełen wyrazu, nie przypominał nic, co do tej pory widział w Tybecie. Ale jeśli hipoteza Abigail była słuszna, powinien się spodziewać obrazów niepodobnych do żadnych innych. Prześledził raz jeszcze spiralny bieg śladów stóp, zatrzymując się po drodze przy każdym z demonów. Gdy dotarł do zniszczonego obrazu w centrum, uniósł wzrok, kompletnie zbity z tropu. To wszystko nie miało nic wspólnego z górą, żadnego związku z terenem na zewnątrz. To była mapa drogi do piekła.

Wyjął mały kawałek tynku, który nosił ze sobą od czasu swej pierwszej wizyty w Małej Moskwie, kiedy to został pchnięty na fresk. Położył go obok rzędów owali i obszedł dookoła, rozmyślając nad nieustannie zmieniającymi się elementami łamigłówki Śpiącego Smoka, po czym przyjrzał się liniom prowadzącym do wizerunków na ścianie, próbując rozpoznać przedstawione demony na podstawie ich podobieństwa do nowszych wyobrażeń. Był tam czarny byk, który bez

wątpienia oznaczał Pana Śmierci, kolejny symbolizował cierpienie, inny złudzenia, jeszcze inny nietrwałość życia. Była to mapa kory, choć nie w dosłownym znaczeniu.

U wylotu pieczary Yangke mieszał zupę. Ktoś dorzucił do ogniska suche gałęzie. Hostene zbierał chrust. Gdy Shan usiadł przy ogniu, zobaczył, że Yangke czyści właśnie naczynia, by podać w nich zupę. Obok niego leżały trzy puste puszkę Rapakiego. Szorował trzy inne.

- Nie trzeba... - zaczął Shan, po czym urwał, gdy Yangke wskazał głową cienie.

- Nie zgodziła się, żebym do nich dołączył — powiedział Tybetańczyk. - Wciąż obwinia mnie o śmierć Tashiego.

Shan w mgnieniu oka zerwał się na nogi i unosząc wysoko lampkę maślaną, ruszył wzdłuż ścian zewnętrznej pieczary. Przystawał co parę kroków z palcami wyciągniętymi, by wychwycić najdrobniejszy ruch powietrza. Znalazł szczelinę w skale, ledwo na tyle dużą, by człowiek mógł przez nią przepelznąć. Półtora metra dalej otwierała się w szeroki korytarz. Pod stropem tunelu snuł się dym z jałowca.

Byli w komorze, pośrodku której stały jedna przy drugiej cztery świeczki w otoczeniu kilku lampek maślanych. Siedzieli zwrócenii twarzami do ściany, pod którą ustawione były stare wiklinowe kufry i wielkie gliniane dzbany. Lokesh gestykulował, przemawiając łagodnym, cierpliwym tonem nauczyciela. Dolma uczyła się mantry. Lokesh znalazł własny sposób, by pomóc Gendunowi i ocalić mieszkańców Orango.

Czując się jak intruz, Shan zgasił swą lampkę. Dolma nie ufała Yangkemu. Jeśli Lokesh widział Yangkego, mógł się domyślić, że Shan jest w pobliżu, a jednak pozostał w ukryciu.

Mnich urwał w pół zdania, spojrział w sufit, po czym obrócił się lekko i nie oglądając się za siebie, wyciągnął w stronę Shana otwartą, uniesioną dłoń.

Shan zbliżył się nieśmiało, boleśnie zdając sobie sprawę, że odkąd tylko przybył na tę górę, był dla starego przyjaciela źródłem ciągłych rozczarowań. Po wyjściu z więzienia odwiedził wiele sekretnych sal, drżał z emocji, gdy Gendun i Lokesh objaśniali mu znaczenie zabytków przeszłości w ukry-

tych sanktuariach, często czuł satysfakcję, że potrafi już samodzielnie odczytać tak wiele z nich. Tu jednak był po prostu intruzem.

Jego wzrok odkrywał kolejne szczegóły. W skale znajdowały się wykute ręcznie otwory, w których tkwiły kołki do wieszania sprzętu. Ale nie sprzętu kultowego, jaki Shan widywał często w takich pomieszczeniach, nie mnisich szat, nie dwudziestu różnych nakryć głowy, będących znakami poszczególnych ról i funkcji w wielkich gompach, nie symbolicznych ofiar. Na ścianie wisały liny i drewniane kije, krótkie bicze z ogonów jaka, ręcznie kute kajdany, rytualne topory i żelazne ościenie, drewniane kołnierze wyglądające jak krótsze wersje canaue Yangkego, mnóstwo starych, skórzanych, ściąganych sznurkiem worków i, co jeszcze dziwniejsze, filcowe kamizelki z licznymi kieszeniami.

Shan usiadł na podłodze obok Lokesha. Jego przyjaciel był pogrążony w nabożnym skupieniu. Shan nie był w stanie przeszkodzić mu, podobnie jak nie przeszkodziłby Gendunowi w medytacji, jednak im dłużej słuchał, tym bardziej nieswojo się czuł. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Lokesh udawał się do tego samego osobliwego miejsca, które Shan odwiedził poprzedniej nocy w Tashtul, gdy małe bóstwa zdawały się popychać go tam, gdzie nigdy nie udałby się z własnej woli.

— *Om vajra krohda* — recytował monotonnym głosem stary Tybetańczyk. - *Om vajra krohda hayagriua*.

Potężne, niebezpieczne słowa, które Shan słyszał dotychczas tylko raz, słowa, których niemal nigdy nie zapisywano, ale przekazywano ustnie w odludnych, sekretnych miejscach. Przywoływały one jednego z najpotężniejszych demonów opiekuńczych, Hayagrivę Koniogłowego, budzącego grozę księcia obrońców, który odziewał się w skórę zdartą ze swych wrogów.

- *Hum, hum phat!* — zakończył Lokesh.

Shan słuchał, zdjęty dziwnym lękiem. To nie był cierpliwy, dobroduszny Lokesh, jakiego znał od tak wielu lat.

Stary Tybetańczyk mamrotał mantrę wzywającą pustkę, później, wykonując gest lecącego ptaka, wyrecytował trzykrotnie *Om ah hum*, potem *Ha ho hrih*, po którym nastąpił



gest żelaznego haka, a wreszcie *Om sarua bhuta akarsaya*. Były to słowa przyzywające wszystkie demony.

Po policzku Lokesha spływała kropla potu, jego dłoń drżała. W piersiach Shana zaczął narastać strach. Serce podeszło mu do gardła. W jego przyjacielu naprawdę było coś, czego nie widział nigdy wcześniej. Siedzący obok niego starzec nie miał teraz w sobie nic z łagodności, emanował raczej mroczną mocą, pierwotnym, bliskim furii żarem. Przyzywał w tajemnicy groźne demony opiekuńcze i ledwo tolerował obecność Shana, jak gdyby Shan był częścią tego, przeciwko czemu szukał ochrony.

Ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu. Usiłował zrozumieć, ale obawiał się teraz o nich wszystkich. Czy to możliwe, że największy z wiklinowych kufków jarzył się blaskiem? Lokesh rozpoczął nowe mantry, zwracając się do dosiadającego tygrysa Mahakali, potem do trójjokiego Sri-devi i do Rahuli o węzowym ciele. Nie próbował po prostu wezwać jednego z bóstw, by otoczyło opieką Genduna. Zdawało się, że chce rozerwać świat na strzępy i zacząć od początku.

I nagle demon powstał. Z rozpaczliwym jękiem Shan rzucił się w tył.

Był to węzowy Rahula, który wynurzył się z największej z wiklinowych skrzyń, mierzącej niemal półtora metra wysokości i metr osiemdziesiąt długości. Stworzenie patrzyło na dwójkę starych Tybetańczyków, po czym jak gdyby dostrzegło leżącego za nimi Shana. Przyglądało mu się, przechyliwszy w bok swój pokryty łuską łeb.

Mantry umilkły. Dolma i Lokesh wydawali się zadowoleni ze swego dzieła, kiwając głowami do wypełzającego ze skrzyni stworzenia. Poniżej demoniego łba miało ludzki kształt, u jego boków poruszały się ludzkie ręce. Odzyskując pomału oddech, Shan przyglądał się, jak uklękło przed Lokeshem i skłoniło mu się. Lokesh wypowiedział uroczyste powitanie, po czym urwał mu głowę.

- To tylko my - szepnęła do Shana Dolma. Stała tuż nad nim, pomagając mu się podnieść. - Nie mogliśmy wyjaśnić. Trzeba było zakończyć recytację. W Tybecie nie ma już chyba nikogo, kto pamiętałby te słowa tak dobrze jak Lokesh.

Jesteśmy doprawdy błogosławieni. - Otrzepała mu rękaw jak matka doprowadzająca do porządku małego synka. -Pamiętasz naszego Trinlego, wioskowego stolarza.

Cień pod nakryciem głowy przeistoczył się w oblicze najstarszego członka starszyzny, który siedział wraz z Sha-nem i Lokeshem ich pierwszego wieczora w Drango, milczącego mężczyzny z rzadką, rozwichrzoną brodą, który wciąż patrzył w niebo, ojca strażnika, którego Dolma wezwała do swego domu.

- Trinle zajmuje się starymi kostiumami. Ten miał przegniłe rzemienie. Naprawił go za pomocą sznura z jaczej sierści.

Stolarz uśmiechnął się nieśmiało.

- *Lha gyal lo* — wyszeptał.

Shan przyjrzał się uważnie każdemu ze starych Tybetańczyków. Oni także starali się rozwiązać brutalne tajemnice góry, lecz postrzegali je zupełnie odmiennie, jako zakłócenia w naturalnej harmonii, brak równowagi między bóstwami. Nie istniały słowa, którymi mógłby do nich dotrzeć, nie było szans, by mógł połączyć własne wysiłki z ich trudem.

- *Lha gyal lo* - powtórzył.

- On jest jedynym, który pozostał - dodała Dolma.

- Pozostał z czego?

- Zna się na tych rzeczach, bo kiedyś pomagał chować je do składu każdej jesieni, a wiosną brał udział w rytuałach budzących je do życia.

- Myślałem, że wszyscy mnisi z tutejszej świątyni zginęli.

- Tak było. Kiedy zaczęły spadać bomby, wszyscy pobiegli modlić się w kaplicy. Trinle był dozorcą. Tego dnia, gdy przyleciały chińskie samoloty, pracował w sadzie. - Jej głos przycichł. — On jest wszystkim, co nam pozostało. Zrobił szkic starej świątyni, który ukrywa przed Chodronem. Czasami nocą wyciągamy go i śpiewamy dawne pieśni. - Jej głos stał się ledwo słyszalny. - Bo zapomnieliśmy większości mantr.

Trinle był zajęty ponownym dopasowywaniem nakrycia głowy. Lokesh wciąż nie przyjmował do wiadomości obecności Shana. Ułożył dłonie w mudrę najwyższego oświecenia. Cała jego istota wydawała się skupiona na czubku iglicy utworzonej przez jego dwa palce.

Shan przeszedł wzdłuż rzędu kufrów i pudeł, nie śmiejąc otworzyć żadnego z nich. W tych, które były otwarte, dostrzegł dwa dalsze kostiumy demonów. Obejrzał się za siebie na dziwne przedmioty wiszące na sąsiedniej ścianie. Nasuwały mu się dziesiątki pytań, ale nie miał odwagi ich zadać.

- Zupa jest gotowa - oznajmił w końcu.

Dolma skinęła głową i nachyliła się do ucha Trinlego. Były dozorca z szacunkiem odłożył maskę Rahuli na wierzch wiklinowego kufra i dołączył do nich. Shan przystanął, spoglądając niepewnie na swego przyjaciela.

- Lokesh dziś nie je - powiedziała Dolma, odciągając go delikatnie. Dogonili pozostałych.

Niemal rozpaczliwa troska Hostene'a o siostrzenicę sprawiła, że bez ogródek wziął Trinlego i Dolmę na spytki.

- Moja siostrzenica mówiła, że pierwsi pielgrzymi, ludzie poszukujący czegoś, przychodzili tu na długo, nim w Tybecie powstały inne ścieżki pielgrzymkowe. Ale powiedziała mi, że nie było żadnej określonej trasy, żadnej drogi powrotnej dla tych, którzy wyruszyli. Wy musicie znać drogę w tę i z powrotem. Którędy ona biegnie?

Trinle i Dolma wysłuchali go, po czym spojrzeli po sobie. Błędem Hostene'a było to, że sądził, iż przyszli tu pomóc mu znaleźć Abigail.

- Wszystko tu jest bardzo stare - odezwała się Dolma. — Z czasów, nim do Tybetu przybyli pierwsi buddyści.

Hostene skinął głową.

- Właśnie dlatego ona tu przyjechała. Ale dokąd prowadzi ten szlak? Dlaczego jest ukryty? Właśnie na nim ją /najdziemy. - Jego głos brzmiał teraz błagalnie. - Muszę ją odnaleźć.

- To miejsce, ta pieczara, miało być zakończeniem - powiedział Trinle. - Tutaj lamowie próbowali przekonać wędrowców, żeby zawrócili. To było miejsce między światami. Kiedy przychodziliśmy tu z wioski, musieliśmy przejść rytuały oczyszczające, nim wolno nam było choćby wejść do środka. To tutaj lamowie przygotowywali się do naprawiania szlaku każdego lata.

Hostene wpatrywał się w twarz Shana, jak gdyby

spodziewał się, że on wyjaśni mu zagadkowe słowa starego Tybetańczyka.

- Myślę - powiedział Shan - że musimy dobrze zrozumieć, co zostało zniszczone w Drango przed pięćdziesięciu laty.

Yangke pochylił się naprzód, cały zamieniając się w słuch, gdy Dolma zaczęła mówić.

- Świątynia należała do najstarszej sekty bon - wyjaśniła. - Jej korzenie sięgały czasów dawniejszych niż nasze spisane dzieje. Jej mnisi uważali Drango bardziej za duchową wartownię niż za świątynię.

- Wartownię?

Trinle omiół wzrokiem otaczające ich cienie, jak gdyby sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje, po czym pochylił się naprzód.

- Ona strzeże wejścia do ukrytej siedziby dawnych bogów - oświadczył - tych starszych niż czas, na których czele stoi smoczy bóg, który chroni ziemię.

Zdawało się, że wyznanie to wyzwoliło potok emocji i wspomnień. Stary człowiek mówił teraz szybko, nie zawsze składnie.

- Spójrzcie na to! Spójrzcie na to! - powiedział, wyciągając rękę w stronę Hostene'a. Dotknął Indianina i podciągnął jego rękaw, wskazując wytatuowaną postać z błyskawic. - Starcy mówili, że tu właśnie biorą początek wszystkie pioruny na świecie. On rozumie! - wykrzyknął, patrząc na Hostene'a, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu. - On został wezwany!

Hostene i Shan spoglądali na niego niepewnym wzrokiem. Trinle tymczasem oświadczył z powagą:

- Twoja siostrzenica została wezwana tu przez pierwszych bogów.

Pierwsi bogowie, ciągnął stolarz, wyjawili najdawniejszym Tybetańczykom lokalizację specjalnej bramy do swego bayu-lu, podziemnego raju, gdzie bogowie i święci mieszkali w bujnych ogrodach i przybierali kształt tęczy, gdy tylko przyszła im na to ochota.

Hostene wyciągnął swoją mapę góry.

- Jeśli to jest miejsce, do którego prowadzi ten szlak,

pokaż je nam. On na pewno nie kończy się na szczycie. Szczyt jest otoczony przez urwiska.

Trinle zdawał się nie rozumieć pytania.

- To nie jest tak - rozległ się oschły, znużony głos za ich plecami. W krąg światła wszedł Lokesh. Nalał sobie kubek zaparzonej przez Yangkego herbaty, ale nie tknął jedzenia. - Im bardziej polegasz na takiej mapie, tym bardziej oddalasz się od celu.

- Ta ścieżka nigdy nie była przeznaczona dla łagodnych buddyjskich pielgrzymów - powiedział Yangke. - Tyle wiem. Był to raczej duchowy tor przeszkód.

Trinle skinął głową.

- Pielgrzymi bonpowie wiedli surowsze życie. Wielu z nich było wojownikami. Zbawienie trzeba było wywalczyć, jak zwycięstwo na wojnie. Ścieżka była próbą, która miała budzić grozę. To nie była nagroda, ale sąd. Oni liczyli na to, że w tym miejscu pielgrzymi zawrócą. Ludzie umierali na korze albo przeistaczali się w tęczę i stawali świętymi. Zaczynij jako robak, skończ jako bóg, mawiali najstarsi lamowie. Podobno niektórzy z odradzających się, specjaliści posłańcy bóstw, przychodzili na świat z wiedzą o tym, jak znaleźć szlak. Ci, którzy wiedzieli więcej, zginęli podczas bombardowania - dodał przepraszającym tonem. - Nawet oni rzadko chodzili starą ścieżką. Minęło przeszło siedemdziesiąt lat, odkąd ktokolwiek próbował ją przebyć.

- Czy sprzęt, który widziałem w środku, był przeznaczony dla pielgrzymów? - zapytał Shan. Szybko wyjaśnił Hostene'owi i Yangkemu, co znajdowało się w głębszej komorze jaskini.

- Miał pomóc im osiągnąć pokorę — potwierdził Trinle. - Zniechęć ich, osłabić, budząc w nich wątpliwości. Nawet najbardziej pobożnych błagano, by zawrócili, aby mogli znów zobaczyć swe rodziny.

- Co masz na myśli?

- Zdarzało się czasem, że któryś z pielgrzymów docierał na sam szczyt, na koniec szlaku. Ale żaden z nich nie wrócił.

Shan przypomniał sobie list Rapakiego do wuja, który przed ponad trzydziestu laty wyruszył na poszukiwanie bogów.

-Tak więc - podsumował Yangke - ci, którym się nie udało, wracali jako trupy, a tych, którym się powiodło, nikt już nigdy więcej nie oglądał. I było to, zanim na górze pojawił się morderca.

Słowa te zmroziły ich wszystkich. Jedli w milczeniu, obserwując gwiazdy, raz po raz poruszając drwa w ognisku.

- Nie tędy droga - powiedział Lokesh. I choć patrzył w ogień, Shan wiedział, że słowa te są przeznaczone dla niego. - To nie jest tego warte. Przekładasz tylko kamienie w strumieniu.

Była to lekcja, jaką Shanowi często powtarzali Lokesh, Gendun i inni mnisi, wśród których żył. Jaki jest sens usiłować manipulować wydarzeniami w zewnętrznym świecie, pytali. Strumień przeznaczenia się nie zmienia. Bez względu na to, jak wiele kamieni poprzestawia się w strumieniu, woda zawsze przeniesie je na dawne miejsce i nadal będzie płynąć przeznaczonym sobie torem.

- Nie możemy po prostu czekać na dole - powiedział Shan, także do płonących drzew.

- Musisz zostać na dole - odparł jego przyjaciel. - Ta kora jest bardzo stara. Nie ma prawie zupełnie nic wspólnego z ludźmi. - Jego słowa, nawet jego głos, miały w sobie coś niesamowitego. - Może to już ostatnia na ziemi. Druk, ten smoczy bóg, jest być może jedyną nadzieją dla naszego ludu. Nie możesz wejść na ten szlak, by ścigać przestępcę, nie możesz wspinać się nim jak zwierzęta podążające za tropem krwi, inaczej ten ostatni z bogów da za wygraną i zostawi ludzi własnemu losowi.

Shan poczuł, jak ogarnia go rozpacz.

- Nie umiem przestać szukać - powiedział. Lokesh wstał i kuśtykając, odszedł bez słowa.

- W dolnej komorze są torby - powiedział później Trin-le. - Ci, którzy nie zgodzili się zawrócić, otrzymywali pielgrzymi worek, koc oraz kij i mówiono im, że są to rzeczy potrzebne na szlaku. Czasami, jeśli był to lama, prosił, by nałożono mu także drewniany kołnierz lub kajdany.

- Powiedz mi, Trinle - zapytał Shan. - Czy brakuje czegoś ze sprzętu?

- Kilku toreb, choć nie umiem stwierdzić ilu. I paru rzeczy, które były w jednym z koszy.

- Jakich rzeczy?

Trinle pogładził się po posiwiałej brodzie.

- Ozdób Zielonej Tary. Złotego przybrania głowy, zielonej szaty, złotych bransolet. Czasami przyzywano ją, każąc jednej z mniszek stanąć w tym stroju przed ołtarzem.

- Nie rozumiem - odezwał się Yangke. - Czy Abigail towarzyszy pielgrzymowi czy zabójcy? To musi być zabójca, bo wciąż ucieka, wciąż się ukrywa, wciąż zostawia za sobą krwawy ślad. To musi być pielgrzym, bo któż inny interesowałby się starą korą? Ale tak czy inaczej, dlaczego miałoby mu zależeć na życiu Abigail?

- Bo ona potrafi czytać dawne symbole — podsunął Hos-tene.

- Jest inny powód - oświadczył Shan, wyciągając zdjęcie, które Gao wydrukował mu w Tashtul.

Yangke wziął je od niego i obejrzał uważnie, przyświecając sobie lampką. Nagle jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia.

- Na oddech Buddy! - sapnął.

Podał zdjęcie Lokeshowi, który przyglądał mu się przez kilka chwil, po czym zaczął kiwać głową.

Shan wziął zdjęcie i objaśnił je pozostałym. Zaczął od zwrócenia ich uwagi na wyciągniętą nogę Abigail.

- To jest tak zwana poza królewskiego wypoczynku, jeden z typowych symboli na starych malowidłach. - Następnie wskazał na jej zaczesane do góry włosy, złote kolczyki, kwiaty we włosach, spoczywającą na kolanie dłoń, zielony sweter.

- Nie rozumiem - odezwał się Hostene. - Zrobiłem to zdjęcie podczas wolnego popołudnia. Namówiłem ją, żeby t rochę odpoczęła. Zrobiliśmy sobie piknik.

Shan pokazał mu drobny szczegół w górnym rogu zdjęcia.

- To jest zad dzikiego kozła na skalnej półce nad skałą, na której siedziała. Spójrz, jak umiejscowiony jest ten występ. Kozioł nie mógł jej widzieć. Spłoszyło go coś na przeciwległym stoku, ktoś, kto obserwował was z góry. Tam był Rapaki. Istnieje przepowiednia, że Zielona Tara wróci, by pomóc Tybetańczykom.

- Abigail - wychrypiał Hostene. - On myśli, że Abigail jest Zieloną Tarą.

- Jedynym atrybutem Tary, jakiego jej brakuje - zauważył Shan - jest długi naszyjnik z paciorków, który Hubei miał kupić w mieście.

- A więc nic jej nie grozi - stwierdził Hostene.

- Nic jej nie grozi ze strony pielgrzyma - sprostował Shan - ale nie ze strony zabójcy.

Jakiś czas potem znalazł Hostene'a na wysokiej skale, spoglądającego w stronę ciemnej sylwetki szczytu.

- Kiedy byłem młody, miałem zaledwie kilkanaście lat - powiedział Indianin, gdy Shan usadowił się obok niego - wuj mojej matki, sławny pieśniarz, zabrał mnie na poszukiwanie bogów. Zamierzał nauczyć mnie tego, co wiedział, tak by moje pokolenie mogło przechować naszą świętą wiedzę. Zabrał mnie na jedną z naszych świętych gór, dał mi linę, krzemień, pióro i poskręcana gałązkę wonnego drewna, którą znalazł podczas wyprawy, jaką sam odbył, kiedy był chłopcem. Powiedział mi, żebym wspiął się na szczyt i został tam, poszcząc, przez pięć dni, a bogowie przyjdą do mnie. Ruszyłem pod górę ścieżką, wzdłuż której na skałach widniały święte symbole, wskazówki namalowane dawno, dawno temu. W skalnych szczelinach i na ciernistych krzewach widziałem kawałki kości, pióra i skrawki czerwonej tkaniny zostawione przez tych, którzy szli przede mną. Dotarłem na szczyt i śpiewałem przez jakiś czas, parę prostych słów, których mnie nauczył. Siedziałem, rzucałem kamieniami i obserwowałem ptaki. Zacząłem śpiewać piosenki rockandrollowe. Po trzech dniach zszedłem po innym stoku i pojechałem autostopem do miasta, by odwiedzić znajomą dziewczynę. Wuj przyszedł po mnie. Czekał na dole przez dwa dni, odmawiając za mnie modlitwy. Jak mówił, kojot w końcu powiedział mu, co zrobiłem. Nie gniewał się. Był tylko smutny, że bogowie mi się nie ukazali. Później kupiłem motocykl i przejechałem cały amerykański Zachód, podejmując dorywcze prace, przesiadując w barach i robiąc jeszcze gorsze rzeczy. Kazałem zrobić sobie tatuaż na rękę, by zakpić ze swoich starych krewnych. Wuj wciąż próbował



skontaktować się ze mną, bo był umierający. Powiedział mojej matce, że mam zadatki na wielkiego pieśniarza, że jestem jednym z tych, którzy są potrzebni, by pielęgnować to, co ważne. Nie odpisywałem na jego listy ani nie odpowiadałem na telefony. Zmarł przed moim powrotem. - Hostene zapatrzył się w niebo. - Tak właśnie kończy się świat, powiedziała mi kiedyś żona, w taki właśnie sposób wielkie cywilizacje wałęsały się w gruzy. Przekazywane z pokolenia na pokolenie tradycje to najcenniejsze rzeczy wydestylowane z tysięcy lat doświadczenia. Ale nie wiedzieć czemu w ostatnim stuleciu uznaliśmy, że nasze jednostkowe istnienia są zbyt ważne, że dzięki szybkim, lśniącym od chromu samochodom, telewizorom i komputerom staliśmy się lepsi od naszych przodków. To właśnie jest kłamstwo, które zabija wielkie rzeczy. Kiedy w końcu uspokoilem się i nauczyłem swoich dwóch pieśni, zamierzałem usunąć tatuaż, ale potem postanowiłem go zachować, by przypominał mi o mojej hańbie. - Hostene znów spojrzął na szczyt. — Teraz, kiedy ona mnie potrzebuje, co ja wiem o byciu pielgrzymem? Co ja wiem o bogach?

- Ludzie nie giną tu z powodu bogów - odparł Shan. -Giną z powodu złota.

Shan siedział przed małym ogniskiem, gdy z cienia sięgnęła ku niemu czyjaś dłoń. Yangke gestem wezwał go do pieczary i podniósłszy z podłogi lampkę maślaną, w milczeniu poprowadził go znanym już Shanowi korytarzem do komory ze sprzętem pielgrzymim. Szli jednak dalej, aż dotarli do miejsca, gdzie tunel zdawał się kończyć, do pachnącej starym kadzidłem sali o stropie poczerniałym od sadzy z lampek maślanych.

Pośrodku sali siedział stary Trinle, spoglądając na kolejne malowidło. Jego oczy były pełne łez.

- Nie chciał rozmawiać o tym z Dolmą - wyjaśnił Yangke. - Mówi, że nie był tu nigdy wcześniej, że wstęp mieli tu tylko najstarsi lamowie.

Był to wizerunek kolejnego demona opiekuńczego, pomyślał w pierwszej chwili Shan, choć wyobrażona postać nie przypominała żadnej, jaką kiedykolwiek widział. Umieszco-

ne w centrum bóstwo miało głowę smoka. Po bokach i u dołu otaczały je dwa tuziny małych demonów.

- To jest druk, bóg tej góry, bóg ziemi - oświadczył ochryłym głosem Trinle. — Tu, w tym miejscu, lamowie rozpoczynali i kończyli każdy sezon pielgrzymkowy. To jego właśnie ci, którym się poszczęściło, spotykali na szczycie.

- Przez wszystkie te lata Rapaki nie mógł pojąć, dlaczego, mimo długich lat medytacji, kora pozostaje przed nim ukryta - powiedział Yangke. — Myślę, że uznał, iż nie ma czegoś, czego pragnął bóg. Wciąż szukał, próbując odkryć, co to może być. Nie miał żadnych nauczycieli - przypomniał Sha-nowi.

- Nie wolno ci mówić Dolmie - przestrzegł Shana Trinle. Shan podszedł bliżej do malowidła, wciąż jeszcze nie

rozumiejąc. Yangke podał mu lampkę maślaną. I wtedy to dostrzegł.

Widział wyobrażenia dawnych bogów z naszyjnikami i bransoletami z ludzkich czaszek. Widział bogów odzianych w ludzkie skóry. Ale nigdy jeszcze nie widział boga noszącego naszyjnik zrobiony z ludzkich dłoni.

- Po tylu latach samotności — powiedział z bólem w głosie Yangke - umysł może wędrować do miejsc... - Nie dokończył. - Nie sądzę, żeby był prawdziwym mordercą, w takim sensie, w jakim zwykle się to rozumie.

- Być może. Ale jeśli ktoś ma apetyt na dłonie - odparł Shan - komuś innemu, kto jest mordercą, może odpowiadać podsyćanie tego pragnienia.

Umilkli, niezdolni wyrwać się spod czaru, jakim spętało ich bóstwo z malowidła. Yangke usiadł obok Trinlego. Shan nie był w stanie oderwać oczu od niepokojącej postaci o głowie smoka.

- Mogłem poznać jego sekrety - rozległ się łamiący, pełen poczucia winy głos. - Mogłem ocalić Rapakiego - powiedział Trinle.

W ciszy, która zaległa po tych słowach, dało się słyszeć jedynie sporadyczne skwierczenie lampki maślanej oraz dźwięk, jaki Shan zaczął wykrywać we wszystkich głębszych jaskiniach Tybetu, dziwny, głuchy rezonans, który był, a zarazem nie był dźwiękiem, coś, co sprawiało, że czuł się ma-

ły i nic nie znaczący, jak intruz w miejscu nie przeznaczonym dla ludzi. Lokesh miał na to nazwę - tak przemawia góra.

- Mój wuj był opatem - ciągnął Trinle. - Wysłano mnie do mnichów, gdy miałem dziesięć lat, jak od wieków było tradycją w naszej rodzinie. Ale gdy miałem siedemnaście lat, zakochałem się w dziewczynie, która doglądała owiec. Mówiłem, że medytuję na górze, ale to nie medytacji szukałem. Staliśmy się jak mąż i żona. Gdy wuj dowiedział się o tym, wygnał mnie ze świątyni i odebrał mi mnisią szatę, mówiąc, że jedynym miejscem, na jakie mogę liczyć przy świątyni, będzie praca przy kopaniu dołów i pielęgnowaniu ogrodów. Rok później, kiedy wkroczyli Chińczycy, moja dziewczyna poszła do Tashtul, by szukać swojej matki. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem, nigdy nie dała żadnego znaku życia. Myślę, że to prawda, że tu właśnie zjawili się pierwsi bogowie - dodał po długiej chwili milczenia. — Tysiące, tysiące lat temu. Niegdyś bogów było więcej niż ludzi. Ludzi po prostu tworzyło się, jak dzieła sztuki, tak jak później ludzie tworzyli malowidła bogów. - Stary dozorca sprawiał wrażenie bliskiego łez. — Potem ludzi zrobiło się zbyt wielu, by bogowie mogli się o nich troszczyć, zbyt wielu ludzi, którzy zapomnieli, na czym polega modlitwa. Świat stał się nieprzewidywalny. A teraz -oświadczył cichym, udręczonym głosem - myślę, że być może pozostał już tylko jeden bóg ziemi, słaby, stary smok u końca tej kory. Kiedy znajduje siły, modli się.

- O co on się modli? — zapytał Shan.

Odpowiedział mu nie Trinle ani Yangke, ale chuda, znużona postać stojąca u wejścia do sali. Shan nie miał pojęcia, od jak dawna Lokesh był z nimi.

- To właśnie - stwierdził jego stary przyjaciel - jest najważniejszym pytaniem na świecie.

Yangke zaczął szeptać mantrę. Trinle wstał i otarł kurz z malowanych oczu bóstwa. Gdy Shan odwrócił się znowu, Lokesh zniknął.

Znalazł go w komorze ze sprzętem, przy wiklinowych kufrach, wpatrującego się w stare maski. Stary Tybetańczyk podniósł przybranie głowy rogatego boga-byka i położył je na sąsiedniej skrzyni.

- Trinle i Yangke próbowali się uczyć, ale nikt nie pokierował nimi jak należy.

Shan zauważył obok biczy z ogonów jaka narzędzia o ciężkich ostrzach - rytualne topory, zakrzywione u góry, z dzie-sięciocentymetrowym ostrzem pośrodku. Zarys w kurzu wskazywał, że jednego brakuje.

- Musisz wrócić ze mną - powiedział Lokesh. — Teraz, kiedy wiemy już, co tu jest, cała wioska na pewno zrozumie. Gendun mówi, że musi porozmawiać z Chodronem, że jeśli będzie mógł po prostu sięść i pomedytować z nim, Chodron dostrzeże niewłaściwość swego postępowania.

Shan nie umiał znaleźć odpowiedzi, którą Lokesh byłby w stanie pojąć.

- W takim razie jutro wkroczysz na tę korę. Obiecuj mi, że robiąc to, nie przyczynisz się do pomnożenia przemocy i cierpienia. - Śmierć nie martwiła Lokesha, gdyż była dla niego jedynie wstępem do ponownych narodzin. To przemoc, źródło nierównowagi, którą starał się uleczyć, budziła w nim przerażenie.

- Chciałbym móc znaleźć na to sposób. - To było wszystko, co mógł powiedzieć Shan.

Lokesh pogłaskał złoty nos rogatej maski byka.

- Wróć ze mną. Gendun i ja znajdziemy sposób. Gdy on wyzdrowieje, możemy wejść na szczyt we trójkę.

- Jeśli wrócę, nie wyjaśnwszy zagadki zabójstw, Genduna czekają kolejne tortury. Dla Chodrona on jest jedyną bronią, jakiej może użyć przeciwko mnie.

- Wiesz, że dla Genduna to jest bez znaczenia.

- Ale ma znaczenie dla mnie. — Shan miał wrażenie, że jego serce znalazło się w imadle.

Lokesh przechylił maskę w górę tak, że byk zdawał się patrzeć mu w oczy, po czym przemówił do jego złotego pyska.

- Dolma mówi, że to sezon na zabijanie. Mówi, że to jest jak burza, która musi się wyszaleć, nim będziemy mogli znów żyć normalnie.

Rankiem, przed pieczarą, Lokesh nie chciał rozmawiać z Shanem, nie chciał patrzeć mu w oczy.

Dolma przełożyła parę jabłek i moreli z własnej torby do

plecaka Shana i podała mu jeden z pielgrzymich worków, które Trinle przyniósł z jaskini.

- On mówi, że szlak wiodący do bogów nie może służyć do takich celów - powiedziała pełnym napięcia głosem - że musisz z tym skończyć, że nie możesz zmienić tego w rywalizację pomiędzy drapieżnikiem i ofiarą.

- Nie mamy wyboru. - Shan sięgnął po jeden z pielgrzymich kosturów i spojrzał na swego starego przyjaciela, który stał na skale, zwrócony twarzą do wschodzącego słońca.

- On mówi - ciągnęła Dolma - że powinni byli nauczyć cię staranniej. Mówi, że wiesz, że jeśli pójdziesz górną korą, umrze więcej ludzi, niż gdybyś tego nie robił. Mówi, że przeniesie Genduna, gdy tylko będzie miał okazję. Mówi, że nie wie, czy stara pustelnia jest teraz bezpieczna, że nie będzie mógł zostawić wiadomości o tym, gdzie będą.,

Fala ogromnego smutku wezbrała w duszy Shana. Czy tak właśnie ma opuścić swych tybetańskich przyjaciół, dwóch ludzi, którzy stali się dla niego jak krewni? Niegdyś przywrócili go do życia. Teraz miał wrażenie, że zdradza ich nauki. Przypomniawszy sobie swój sen sprzed kilku dni, w którym widmowy święty powiedział mu, że na tej górze jego życie dobiegnie końca.

Ruszył wraz z Yangkem i Hostene'em pod górę, z oczyma utkwionymi w wierzchołku, kiedy zatrzymał go pospieszny tupot stóp za plecami. Był to Lokesh. Stary Tybetańczyk wyglądał dziwnie wątko. Zdjął z szyi swe ukochane gau, amulet, w którym trzymał modlitwę podpisaną przez Dalajlamę, i zawiesił je na szyi Shana. Potem odszedł znów do obozu.

Szli już dość długo, nim Shan się zatrzymał, by rozłożyć mapę na skale. Zaznaczył każdy ze znanych im przystanków na korze.

- To ułożona pięćset lat temu łamigłówka - powiedział. -Jeden z przystanków musi kierować na jakąś boczną grań, która wspina się w górę.

Yangke utkwiał wzrok w wierzchołku. Przez cały ranek spowijały go chmury. Pochyła iglica wyłaniała się od czasu do czasu jak unosząca się na niebie wyspa.

- Słyszałeś Trinlego. Przeżywali tylko ci, którym się nie powiodło.  
- Zapominasz o lamach - odparł Shan. - Lamowie chodzili w tę i z powrotem.

- My nie jesteśmy lamami - mruknął Hostene. Opróżnił swój skórzany pielgrzymi worek i przeglądał jego zawartość. Był tam jedynie krzemień, dziwny rozwidlony kawałek drewna, lampka maślana oraz zwój liny z włosia jaka.

Shan badał wzrokiem leżący przed nimi labirynt wąwozów.

-Abigail zarejestrowała na tym poziomie pół tuzina pielgrzymich przystanków. Dawniej musiało ich być więcej. Najważniejsze powinny być najtrudniejsze do znalezienia. -Wskazał oddaloną o niespełna kilometr kępę drzew na wiszącej ponad wąwozami skalnej płycie.

Twarz Yangkego pociemniała.

- Chyba ci życie niemiłe - powiedział. Podniósł jednak swój plecak i ruszył w stronę drzew.

- Dlaczego sądzisz, że to właśnie ten? - zapytał Hostene, gdy zatrzymali się na skraju wąwozów, bezpośrednio nad Małą Moskwą.

Shan wyjął kamerę Abigail i zaczął manipulować przyciskami.

- W wąwozach pielgrzym mógł się zgubić na całe godziny, nawet dnie. Lamowie chcieli utrudnić mu zadanie. Zniechęcić tak wielu, jak tylko to możliwe. - Wszedł w cień przy krawędzi wąwozu, polecając Yangkemu, by ostrzegł go, jeśli jacyś górnicy zorientują się, że mają nad sobą intruzów. Gdy zogniskował obraz na wyblakłym malowidle obok pieczary Binga, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, była karykatura przewodniczącego Mao, którą ktoś namalował na fresku. Zaczął filmować, zmieniając ogniskową, kryjąc się, gdy dwóch rozmawiających górników przystanęło przed skałą, potem kierując obiektyw na dziurę po odkruszonym fragmencie tynku, w końcu na sam ten fragment, oparty o drzwi wejściowe Binga.

- Ale jedynie zgadujesz, że to jest kluczem - zaprotestował Hostene.  
— Powinniśmy iść w górę.

- Ty sam dałeś mi wskazówkę. -Ja?

- Twoje figurki z patyków. Dawni bogowie, z którymi siedleś się spotkać jako chłopiec. Najwcześniejsi buddyści w Tybecie byli wyznawcami Gromu. Właśnie to było celem tej ścieżki: bóstwa grzmotu, szukanie ust bogów grzmotu. Jeśli chcesz znaleźć grzmot, czego wypatrujesz?

Hostene zmarszczył brwi.

- Błyskawicy.

Shan skinął głową. Przykucnął pod drzewem, gdzie był niewidoczny z głębi wąwozu, i odtworzył nagrany przed chwilą film. Wśród nagrań, które zniknęły, było jedno zrobione przez brata Hubeia - mógł on bowiem wchodzić do Małej Moskwy, gdzie Abigail nie miała prawa wstępu. Shan zatrzymał odtwarzanie na klatce, która ukazywała całe malowidło. Centralnie umieszczonego świętego otaczał smok z kulistym przedmiotem w szponach. Dawało się rozpoznać kilka świętych znaków, włącznie ze złożonym z maleńkich owali rytualnym parasolem w lewym górnym rogu.

- Obrazy umieszczane na przystankach na korze spełniały wiele zadań - wyjaśnił Shan. - Jednym było skłonienie do kontemplacji, być może wzbudzenie lęku. Innym, niekiedy, było wskazanie pielgrzymowi dalszej drogi. Myślę, że na większości przystanków mantra przeznaczona była dla duszy pielgrzyma. Ta była dla jego stóp.

- Nie bardzo rozumiem. Shan wskazał stworzenie.

- Kiedy byłem mały, ojciec nauczył mnie dwudziestu różnych tradycyjnych słów oznaczających po chińsku smoka. Ale w tybetańskim jest tylko jedno określenie, druk. Jest to także odgłos grzmotu. Grzmot pochodzi od smoków. Druk jest także strażnikiem skarbu. - Wskazał na kulę w szponach smoka. - Perła jest nasieniem gromu, zapładnianym przez druka. - Wskazał na dziwny kształt, wyglądający jak odwrócona do góry nogami góra, na której siedział maleńki demon. - To są tak zwane skały wadźra, jak pływające wyspy. Słowo wadźra oznacza piorun. Szczyt tej góry jest taki jak one, odcięty od świata, fizycznie niedostępny.

- Jeśli o nas chodzi, to oczywiste - stwierdził z narastającym zniecierpliwieniem Hostene.

- Nie można się tam dostać bez parasola. - Shan powiódł

palcem po kropkowanym zarysie parasola. - Jeśli poprowadzi się linię przez środek perły, oko smoka i odosobnionego demona, na jej przedłużeniu znajdzie się szczyt góry. - Zademontrował to przez zamrożenie szerokokątnego ujęcia malowidła ze szczytem w tle, po czym wskazał parasol. - Z początku sądziłem, że to prymitywny rysunek białego parasola, jednej ze świętych ofiar. Ale to jest coś więcej. To drogowskaz. - Wyciągnął kawałek tynku, który nosił przy sobie od czasu, gdy odkruszył się on przy jego pierwszej wizycie w Małej Moskwie, i podał go Yangkemu. - Owale, które tworzą rysunek, to ślady stóp. - Przerwał, spostrzegając zdumioną minę Hostene'a.

- My też używamy ich w podobny sposób — powiedział Indianin. - Droga naszego Świętego Ludu. Tak właśnie przedstawiamy ją na naszych piaskowych obrazach, jako sznur małych stopek.

Shan szybko policzył półgłosem.

- Uwzględniając wykruszone fragmenty tynku, szacuję, że trzonek parasola składa się z trzydziestu pięciu do czterdziestu owali, czyli stopek. Każdy z łączących się z nim u góry łuków zawiera dziesięć stopek. To jest wyznacznik, skala. Każdy ze śladów stóp na trzonku równa się dziesięciu krokom.

- Dokąd?

- Parasol jest drogowskazem - powtórzył Shan. Na ekranie kamery, tuż obok fresku, widać było szereg drobnych plam cienia, biegnących naprzemianlegle po ścianie wąwozu, choć kilka z nich zniszczyły dłuta górników. - Stopnie do wspinaczki. Zaczynaj bezpośrednio nad tymi otworami i przejdź, powiedzmy, czterysta kroków w linii prostej.

- I pielgrzym miał się tego domyślić? - zapytał Yangke.

- Tylko nieliczni. Najbardziej wytrwali. Pielgrzymi spędzali na korze całe tygodnie. Niektórzy potrafili przesiedzieć przed tego typu malowidłem nawet kilka dni.

- Najbardziej skruszeni-podsunął Yangke. - Najbardziej zdesperowani.

Shan podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, po czym szybko schował kamerę. Hostene biegł truchtem wzdłuż skraju wąwozu.



Długo trwało, nim znaleźli kolejny drogowskaz. Ostrożnie, by nie dostrzeżono ich z dołu, przekradli się na przeciwległą krawędź ponad malowidłem, po czym przeszli trzysta pięćdziesiąt kroków, debatując nad tym, jak długi był krok Tybetańczyka sprzed kilkuset lat. Następnie rozeszli się wachlarzem i każdy odliczył sobie jeszcze pięćdziesiąt kroków. W końcu odkryli niemal zupełnie wyblakłe malowidło, tym razem przedstawiające trzynaście przedmiotów stanowiących własność wyświęconego mnicha, z utworzonym z maleńkich stopiek mnisim kosturem skierowanym niemal prosto w górę. Malowana mapa wymagała przebycia sześciuset kroków w stronę znajomej już kępy drzew. Znaleźli się przed zniszczonym freskiem, spod którego wзираło starsze malowidło. Ślady stóp wzdłuż obwódki otaczającej węzowe bóstwo były maleńkie, ale Shan znalazł je i zrozumiał w końcu, dlaczego malowidło zostało przesłonięte większym freskiem. Od siedemdziesięciu lat nikt nie wkroczył na górną część szlaku. Lamo wie ukryli ją, zasłaniając starożytny drogowskaz. W początkach dwudziestego wieku niejedna wyrocznia przepowiadała nieszczęścia, jakie miały spaść na tybetańskich buddystów, i wzywała do zabezpieczenia ich skarbów. La-mowie próbowali chronić górę na swój sposób. Ale osobie, która skuła tynek, nie zależało na chronieniu czegokolwiek.

- Abigail wiedziała - powiedział Shan do Hostene'a. - Wciąż wracała w to miejsce.

Indianin skinął głową.

- Podejrzewała. Ale nigdy nie zniszczyłaby fresku.

- Nie - przyznał Shan, pochylając się, by obejrzeć detale małych kwater z demonami z boku malowidła. Wskazał po kolei na maleńkie miecze w czterech maleńkich dłoniach, wszystkie zwrócone w tę samą stronę, i zaczął liczyć owale. - Pięćset kroków - powiedział po kilku minutach, wskazując kierunek, w którym zwrócone były miecze.

Wkrótce znaleźli się w jednym z parowów u podstawy szczytu i zaczęli mijać niewielkie, wąskie i kręte wąwozy, rozchodzące się niczym palce spod wierzchołka góry. Uwagę Shana przyciągnęły czarne plamy u wylotu każdego z wąwozów. Przykucnął i dotknął jednej z nich. Sadza.

- Co to oznacza? - zapytał Yangke.

- Ktoś dotarł aż tu, ale nie wiedział, którądy iść dalej. Sprawdzał każdy z wąwozów, po czym zaznaczał go sadzą z lampki maślanej.

Naroża niektórych skał zostały ogołoczone z porostów, które gdzieś zaczynały odrastać. Zostały usunięte co najmniej przed rokiem, niewątpliwie przez kogoś, kto szukał kolejnego malowidła. Yangke wskazał regularnie rozmieszczone kopczyki popiołu i podniósł odrobinę do nosa. Ktoś palił kadzidło, by przyciągnąć pomocne bóstwa.

- Szukajmy świeżych śladów - podsunął Hostene.

Po dwudziestu minutach Yangke wydał cichy gwizd. Znaleźli go przed rzeźbioną wiatrem skałą o nieregularnych kształtach.

- Samoistnie powstały demon - oświadczył Tybetańczyk.

Minęła chwila, nim Shan rozpoznał w załamaniach kamienia kształt jednego z tygrysiich demonów, znanych mnichom bon, i jeszcze dłuższa, nim się zorientował, że zabarwienia pod skałą nie są płatami porostów.

Yangke uklęknął i zaczął wodzić palcem po ledwo czytelnych literach.

- Robak - powiedział, po czym dodał: - Bóg.

- Staje się - odcyfrował Shan, po czym utknął na niewyraźnych znakach, zbyt zatartych, by dało się je odczytać.

- Robak. Staje się bogiem - powtórzył zdumionym tonem Yangke. - Trinle mówił coś o tym.

Jego słowa rozbrzmiały echem w jednej z zakurzonych sal umysłu Shana.

- Nawet marny robak staje się w końcu bogiem - wyrecytował. - To jedna z nauk najstarszych łamów.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie z konsternacją, po czym zaczęli przeszukiwać dwa wąwozy położone najbliżej wyblakłej sentencji.

- Nic - doniósł po kilku minutach Yangke.

Shan schylił się i dotknął buta Tybetańczyka. Do jego palca przylepiły się ziarenka czarnego piasku.

- Na tej wysokości nie ma pokładów piasku - zauważył.

- Nieprawda - odparł Yangke i poprowadził ich wąskim wąwozem do małego, wypełnionego piaskiem zagłębienia.

Shan uklęknął, przesiewając piach przez palce.

- On został tu przyniesiony.

- Co to oznacza? - zapytał znów Yangke. Shan zdjął plecak i podwinął rękawy.

- To znaczy, że stajemy się robakami.

Używając rąk jako łopat, wkrótce odsłoniли płytkie zagłębienie w skałach poniżej poziomu gruntu, potem biegnący przez nie, wypełniony piaskiem wąski tunel, który, co dziwne, sprawiał wrażenie wyrzeźbionego nie przez dłuto, ale przez wodę. Shan próbował dodać otuchy wahającemu się Hostene'owi, wyjaśniając, że to tu właśnie Abigail kazała zostawić sobie zakupy z miasta.

- Ale ona nie mogła przejść przez tę dziurę. Była zasypana piaskiem - zauważył Hostene.

Nim jeszcze dopowiedział te słowa, o stok góry uderzył silny podmuch powietrza. W ciągu paru sekund wypełnił ich wykop kilkucentymetrową warstwą, wyjaśniając jego wątpliwości.

Gdy przeszli na drugą stronę, otrzepali ubrania z piasku. Na wprost na skalnej ścianie widniał wizerunek kolejnego demona, o żółtych oczach wciąż na tyle żywych, by wzbudzać niepokój. Shan gestem ponaglił ich do dalszego marszu i chwilę później stanęli u stóp nieosiągalnego wierzchołka, z niedowierzaniem patrząc w głąb pionowej szczeliny w licu urwiska. Budowniczo wie ścieżki istotnie pokazali robakom, jak spotkać bogów.

Krew zaczęła odpływać z twarzy Hostene'a. Yangke chodził nerwowo w tę i z powrotem, kręcąc głową.

Łańcuch z potężnych, ręcznie kutych żelaznych ogni, z których każde było tak długie jak ręka Shana, wisiał w długiej rynnie, jakby wyżłobionej w skalnej ścianie. U ich stóp łańcuch był przytwierdzony do skały grubą żelazną klamrą, do stoku góry zaś mocowały go długie żelazne bolce, utrzymujące go w odległości czterdziestu centymetrów od lica skały.

- On nie ma końca - powiedział Yangke, spoglądając w górę.

- Ma, tyle że w cieniu - odparł Shan, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiał niepokój. Koniec łańcucha nikał

w czerni sześćdziesiąt metrów nad ich głowami, gdzie mogła znajdować się nadwieszona jaskinia.

- Jest tak stary - zauważył Hostene. - Może się zerwać.

- Pochodzi z czasów wielkich tybetańskich budowniczych mostów - stwierdził Shan. - Specjalne kuźnie produkowały takie łańcuchy na mosty wiszące. Większość z nich przetrwała stulecia. — Przyjrzał się niepewnie potężnym, nierównym ogniwom. Nie widać na nich było niemal żadnych śladów korozji czy rdzy. - Ten jest dość dobrze osłonięty przed żywiołami.

- Ile może mieć lat?

- Trzysta, może czterysta.

Hostene z ponurą miną wpatrywał się w cienie nad głową, po czym zdjął plecak.

- Nie możemy wziąć wszystkiego.

- Powinniśmy dźwigać to, co pielgrzymi - stwierdził Yangke. - Koc, kij, nasze worki.

- Abigail miała ze sobą więcej — zauważył Hostene.

- Być może niewiele więcej - odparł Shan, wskazując głębszy cień u podstawy szczytu, gdzie majaczyło coś kolorowego. Pod niebieską nylonową kurtką znaleźli złożone na kupce przedmioty. Garść długopisów spiętych gumką. Kuchenka turystyczna. Bluza sportowa. Butelka z wodą. Hostene otworzył swój plecak i zaczął układać własny stosik, na który odłożył też kamerę wideo. Shan przyglądał mu się przez chwilę, po czym zaczął sortować własny dobytek.

Pomagając sobie nawzajem, wszyscy trzej wkrótce zawinęli swe skórzane worki w koce i zrobili troki z liny z jaczej sierści. Hostene i Shan spojrzeli na kije, które mogły tylko zawadzać im podczas wspinaczki po łańcuchu, po czym poszli za przykładem Yangkego, wsuwając je w troki pod szyją.

Spoglądając w górę, uświadomili sobie, jak łatwo można runąć w dół na pewną śmierć. Dostrzegając strach na twarzy Hostene'a, Shan miał już zaproponować, by się wycofali, gdy Yangke włożył stopę w pierwsze ogniwo i zaczął się wspinać.

Z początku zdawali się kolebać między niebem a piekłem, to sięgając rękami w niepewne cienie w górze, to znów osuwając się, trwożliwie ściskając metal, by uchronić się przed upadkiem na ostre skały w dole. Ogniwa były nierówne i zdefor-

mowane, ale na tyle szerokie, że dało się wsunąć w nie stopę lub, gdy ogarniało ich zmęczenie, łokieć, tak że splatając ramiona, mogli bezpiecznie wisieć wystarczająco długo, by złapać oddech. Stary łańcuch bez sprzeciwu utrzymywał ich łączny ciężar.

W trakcie wspinaczki Shan zaczął dostrzegać pewien wzorzec w przytulonych do ściany obok łańcucha kępach roślinności, które rozdzielały wykute w skale jamki, niekiedy mieszczące ptasie gniazda. Ta kora liczyła znacznie więcej niż trzy lub cztery wieki. Nim założono łańcuch, w skale wyciosano otwory, mające służyć jako uchwyty pomagające pielgrzymom we wspinaczce.

Dotarli w końcu do wysokiego skalnego komina o gładkich ścianach. Niegdyś był to wodospad, uświadomił sobie Shan, wpełzając do pionowego tunelu. Było to koryto płynącej wewnątrz góry rzeki, która za sprawą człowieka lub natury została skierowana gdzie indziej, pozostawiając tunel i wygładzoną pionową rynnę dla łańcucha, który kończył się na odkrytej półce skalnej. Znaleźli łożysko dawnego strumienia. Skalna ściana, stanowiąca jego brzeg, odchyłała się w górnej części, tak że od stoku dzielił ją półtorametrowy odstęp. Hostene i Shan wspinali się wciąż, doganiając się na górnym odcinku łańcucha. Yangke, który wyprzedzał obu starszych mężczyzn, próbował dosięgnąć wyciągniętą stopą ścieżki na zboczu.

-Nie dam rady tego przeskoczyć - powiedział niespokojnie Hostene, spoglądając na jeżące się daleko w dole skały.

Shan, z głową na wysokości jego stóp, przyjrzał się skalnej ścianie. Zdjął z pleców kij i zaczął dźgać nim małą, ciemniejszą od innych plamkę cienia kilka centymetrów poniżej ścieżki. Koniec kija zagłębił się na niemal trzydzieści centymetrów. Shan przesunął kij przez najbliższe ogniwo łańcucha i ponownie wetknął go w ścianę.

Yangke, przyglądający się temu z góry, oznajmił, że znalazł kolejny otwór, niespełna półtora metra nad pierwszym. Wkrótce mieli już wąty, ale pewny mostek z poręczą, której można było się trzymać podczas przeprawy. Młody Tybetańczyk energicznie zachęcił Hostene'a i wszyscy znaleźli

się na ścieżce. Yangke zapalił krzemieniem swą lampkę maślaną i ruszył łagodnie nachylonym tunelem.

Zostawili świat za sobą, w dole. Idąc tropem Abigail i zabójcy, wkroczyli do innego świata. Pionowa szczelina, którą przebyli po wiekowym łańcuchu, sprawiała wrażenie, jak gdyby ciągnęła się kilometrami. W powietrzu unosiły się tu nieznane Shanowi drażniące wonie, a na ścianach widniały niepodobne do niczego, co widział dotychczas, wizerunki mściwych demonów, którym migotliwe światło nadawało złudzenie ruchu. To była kraina bóstw, gdzie ludzie byli obcymi intruzami, gdzie byli zabawkami, a ich kości służyły do budowy ołtarzy.

Zbliżając się do światła dnia u wylotu tunelu, przyspieszyli kroku. W końcu dotarli do otworu ujętego w starannie ociosane, spłowiałe od słońca cedrowe belki, rzeźbione w symbole raj. Po jednej stronie opadała w dół krótka poręcz. Yangke wydał westchnienie ulgi, podał swą lampkę Hostene'owi i popędził ku schodom w tej samej chwili, gdy Shan rozpoznał wypisane na ścianie jaskini, podkreślone niedawno białą kredą słowa. Początkowe wersy obrzędów pośmiertnych. Shan krzyknął ostrzegawczo i rzucił się naprzód, gdy Yangke runął w przepaść.

## ROZDZIAŁ 12

Z okrzykiem przerażenia Yangke okręcił się, młóćąc rękami powietrze, rozpaczliwie chwytając się dłonią wąskiej poręczy, jednak nieubłaganie zsuwał się w dół. Za wylotem tunelu był tylko jeden stopień, choć poręcz ciągnęła się jeszcze przez sześćdziesiąt centymetrów, dając złudzenie schodów. Poniżej było sto metrów pustki.

Shan szybkim ruchem wyciągnął przed siebie kostur. Mocna ręka chwyciła go z tyłu za pasek od spodni. Trzymany przez Hostene'a, podał kij Yangkemu i gdy młody Tybetańczyk złapał go, zaczął ciągnąć. Nagle zstępujący prąd powietrza uderzył Yangkego, pchając go ku przepaści. Zdawało się, że sama góra walczy o niego z Shanem. Shan i Hos-tene ciągnęli wspólnymi siłami. Yangke postawił wreszcie stopę na jedynym stopniu i ostatnim silnym szarpnięciem wciągnęli go do tunelu.

Trójka mężczyzn usiadła na ziemi, dysząc ciężko.

- Zgubiłem... zgubiłem worek - wyznał Yangke, gdy odzyskał dech.

Dopiero po chwili do Shana dotarło pełne znaczenie jego słów. Worek zsunął się Yangkemu z ramienia, kostur wypadł mu z dłoni. Stracił ekwipunek potrzebny pielgrzymowi do przeżycia na szlaku.

- Jesteś z nami - powiedział Shan, mając nadzieję, że w jego głosie brzmi więcej pewności siebie, niż jej czuł. -Podzielimy się z tobą.

Trzymając lampkę wysoko w górze, zawrócił drogą, którą przyszli, besztając sam siebie za to, że nie zauważył różnicy w wyglądzie skalnych ścian i podłoża na przestrzeni ostatnich trzydziestu metrów. Skala była tu ociosana, nie wyżłobiona przez wodę. Shan wskazał świeże ślady kredy, którą uwydatniono słowa obrzędów pośmiertnych.

- Abigail! - wykrzyknął Hostene.

Shan przeszedł do miejsca, gdzie dno tunelu zmieniło wygląd, i zaczął opukiwać ściany końcem kostura. Odkrył fragment, który wydawał głuchy dźwięk. Była to drewniana płyta, pomalowana tak, by udawać skałę. Hostene znalazł jej skraj i zaczął pchać. Zasnęte żelazne czopy wpuszczone w krawędź płyty zaskrzypiały i płyta się odchyliła. Znowu znaleźli się w korycie strumienia.

Gdy płyta zamknęła się za nimi, zapalili pozostałe dwie lampki i ruszyli przed siebie krętym tunelem po wypłukanej przez wodę żyłce bardziej miękkiego minerału. Ale co, zastanawiał się Shan, stało się z wodą z roztopów, która niegdyś pędziła tym kanałem?

Wynurzyli się na małej, zaskakująco płaskiej równi osłoniętej przez niskie skalne grzbiety. Na otwartym terenie rozsiane były mniejsze skały. W górze, bliższy teraz, wznosił się ciemny szczyt. Shan wskazał na pobliską półkę skalną, sterczącą ponad równią.

- Odpocznijmy i przyjrzyjmy się uważnie wyższym partiom stoku, póki jest jeszcze jasno - zaproponował. Nie usłyszał od swych wyczerpanych przyjaciół ani słowa sprzeciwu, ani okrzyku zaskoczenia, gdy na osłoniętej ścianie za półką odkryli kolejne malowidło.

Yangke, nagle pełen energii, przeszedł wzdłuż malowidła.

- Ono jest inne - oświadczył, po czym spojrzał na Shana. - To namalowali astrologowie.

Umieszczona w środku postać nosiła nazwę astrologicznego żółwia, z głową rozjuszonego demona i rytualnymi przyborami w zakończonych pazurami łapach. Ponad nim przedstawiono skupisko płomieni, po prawej stronie żelazny miecz, po lewej drzewo, u dołu fale oznaczające wodę. Na brzuchu żółwia widniał okrąg podzielony dwiema parami prostopadłych linii na dziewięć pól, każde z liczbą w środku.

- To wygląda jak jakaś gra słowna - odezwał się za plecami Shana Hostene.

- To tak zwany kwadrat *mewa* - odparł Shan, po czym wyjaśnił, jakie znaczenie ma on dla Tybetańczyków, zaczynając od przetłumaczenia wpisanych w pola liczb!



W górnym rzędzie znajdowała się czwórka, dziewiątka i dwójka, niżej trójka, piątka i siódemka, w dolnym ósemka, jedyńska i szóstka. Suma liczb w każdym rzędzie, kolumnie i na obu przekątnych wynosiła piętnaście. - Służy do przepowiadania przyszłości - ciągnął Shan. - Wyobraża doskonałą symetrię. Umieszczona w środku piątka pomnożona przez trzy daje piętnaście. Centralna piątka różni się o taką samą wartość od liczb na prawo i na lewo od niej oraz ponad nią i pod nią. Ale najważniejszą liczbą jest dziewiątka. Centralna piątka pomnożona przez dziewięć daje czterdzieści pięć, co jest łączną sumą wszystkich cyfr w kwadracie. Dziewiątka jest liczbą doskonałą. Każda liczba pomnożona przez dziewięć daje liczbę, której suma cyfr jest wielokrotnością dziewięciu. Kwadratu używa się do obliczania horoskopów.

-1 to dlatego chyba jest dziewięć pół - stwierdził Hostene.

Shan podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Zrozumiał, co zwróciło uwagę Indianina. Mniejsze skały, które oglądane z dołu sprawiały wrażenie bezładnie rozrzuconych po równi, teraz zdradzały celowy układ. Nie było ich wiele, tak więc figura, jaką tworzyły, nie rzucała się w oczy, ale z miejsca, gdzie stali w tej chwili, wyraźnie było widać, że kamienie wytyczają dziewięć odrębnych kwadratów.

Shan i Hostene spoglądali to na równię, to na malowidło, znów przyjrżeli się żółwiowi i obserwowali Yangkego, który zszedł na dół i zaczął chodzić od kwadratu do kwadratu.

- Cesarz Yu - mruknął Shan, widząc, jak Yangke wędruje zygzakiem między kamieniami.

- Cesarz?

- To dawna opowieść, starsza niż pisane dzieje. Tybetańczycy zapożyczyli wiele rzeczy z Indii i Chin, gdzie pierwsi astrologowie pisali na skorupach żółwi i kościach. Mityczny cesarz Yu otrzymał od bogów skorupę żółwia z wyrytym kwadratem magicznym. Następnie objechał dziewięć prowincji swego królestwa w kolejności wyznaczonej przez jego liczby. - Shan zademonstrował to, wodząc palcem po brzuchu żółwia, wskazując symbol przypominający przechyloną w prawo arabską trójkę, potem kolejną tybetańską cyfrę, która wyglądała jak trójka z ogonkiem. Jeden, potem dwa. -

To się nazywa Dziewięć Kroków Cesarza Yu. Ojciec powiedział mi, że ten wzór jest używany także na Zachodzie, ale tam nosi nazwę Pieczęci Saturna.

- Ale widzimy przecież, co jest przed nami. To oczywiste, że musimy wciąż iść w stronę szczytu - stwierdził Hos-tene, opierając się na kosturze. - I jest tylko jedna ścieżka prowadząca w górę - dodał, wskazując długą wstęgę cienia na grzbiecie na wschód od równi. - Po co tracić czas na chodzenie zygzakiem po tych kwadratach?

- Bo wierni nie kwestionują przypisanego im losu - odparł Shan, schodząc na równię. - Bo całe życie jest zygzakiem.

-Na górze jest Abigail - powiedział Hostene do jego pleców, ale jego protestowi brak było krztyny energii.

-Znawczynie dawnych religii z pewnością rozpoznała kwadrat i zrobiła to, co przewidziano - zauważył Shan.

Hostene ruszył za nim na równię.

Przyjmując, że górny bok kwadratu powinien być zwrócony na północ, Yangke poprowadził ich do pola odpowiadającego cyfrze jeden. Opadł na kolana, wyciągnął ręce i położył się na ziemi, po czym podciągnął się do przodu i uniósł.

- Nie rozumiem - powiedział Hostene.

Shan, przyglądający się Tybetańczykowi, z wahaniem skinął głową.

- Yangke ma rację. Musimy być pielgrzymami pod każdym względem. Pielgrzym posuwałby się naprzód w pokłonach. - Dostrzegł frustrację na twarzy Hostene'a. - Niektórzy pielgrzymi nadal przebywają w ten sposób setki kilometrów, tracąc miesiące na dotarcie do sanktuarium. My -ciągnął, opadając na kolana - musimy tylko odtworzyć Dziewięć Kroków Cesarza Yu.

Była to powolna, zmuszona czynność. W trzecim polu Yangke kichnął, podnosząc się z pyłu od rozsypanego po całym kwadracie czerwonego żwiru. W piątym polu Shan przystanął na chwilę, patrząc na biały pył, który nagle pojawił się na jego dłoni. Na skraju ostatniego pola, gdzie zakończyli swoje pokłony, był mały występ skalny, który z perspektywy zwykłego przechodnia przesłoniłby namalowane na płaskiej skale pod nim słowa. Ale oni byli czołgającymi się po ziemi

pielgrzymami, tak więc dostrzegli je. *Om nidhi ghata pra-ticcha suaha*, przeczytali.

- To mantra używana w obrzędach ofiarnych - powiedział Yangke. — Odnosi się do drogocennego naczynia z nektarem nieśmiertelności.

- Ale mogliśmy przyjść tu od razu. To jedyna droga - narzekał Hostene, gdy weszli na krótką, stromą ścieżkę, prowadzącą do wybrzuszonej formacji skalnej w kształcie drogocennej wazy.

- Nie - odparł Shan. - To miało swój cel. - Przystanął, ponownie przyglądając się kwadratowi, barwnym plamom na swoich dłoniach, przebarwieniom na kolanach ich wszystkich. - Chodzi o kolory. - Ku wyraźnemu rozgoryczeniu Hostene'a wrócił na kwadraty. Na niektórych, lecz nie na wszystkich, znajdowała się lekko zabarwiona ziemia lub drobny żwir, zauważalne dla leżącego twarzą przy ziemi pielgrzyma, ale tak subtelne, by nie dostrzegło ich przelotne spojrzenie. - Kolejność - stwierdził. - Czerwień, biel i zieleń.

- Dlaczego? - zapytał Yangke.

- Nie wiem - przyznał Shan. - Powie nam to drogocenna waza - stwierdził i poprowadził ich z powrotem na ścieżkę.

Wspinaczka do butelkowatej skały była morderczą. Docierali na wysokość, gdzie rozrzedzenie powietrza zaczynało być odczuwalne. Hostene musiał przystawać raz po raz, opadając na kolana, i zdawało się, że lada chwila osunie się na jedną ze skał przy szlaku, gdy nagle wykrzyknął radośnie. Gdy Shan podbiegł do niego, Indianin pokazał mu biały kredowy znak na skale. Pospiesznie nakreślony schemat kroków cesarza Yu wskazywał, że Abigail była tutaj.

To, co znaleźli pod szerokim nawisem skalnym za brzuchatą iglicą, nie było hołdem dla bogów, ale przypomnieniem o ludzkiej znikomości. Ludzie pracowali tu, gdyż w skale znajdowała się okopcona, foremna jama wyglądająca na mały piec. Na ziemi leżały kawałki żeliwa, obrośnięty porostami żelazny kształt na kamiennym słupie, który okazał się kowadłem z żelaznym pierścieniem u podstawy, kilkadziesiąt centymetrów od białego w ziemię wyschniętego jałowcowego słupa podtrzymującego pozostałości potężnego miecha. Ale uwagę towarzyszy Shana przyciągnęło coś innego.

Na wielkiej kamiennej płycie za piecem leżał tuzin kościotrupów ułożonych niczym szprychy koła, z czaszkami przy piąście. Dalej, na tonącej w cieniu małej, wąskiej półce, stało dwadzieścia czaszek. Na niższej półce, półtora metra nad ziemią, leżały szkielety rąk i dłoni, przemieszane z podniszczonymi rękami i łapami z rytualnych kostiumów demonów opiekuńczych.

Hostene, który obawiał się sów, a nawet samych rozmów

o śmierci, stał przed tą wystawą jak skamieniały. Yangke jednak wydawał się zafascynowany.

- Pielgrzymi - oznajmił pełnym trwożnego podziwu szeptem, oparłszy kostur o skałę i wskazując dłonie. — Sprzed setek lat. Czy czujecie ich... - Urwał nagle, wydając zduszony krzyk przerażenia, gdy ręka jednego z demonów uniosła się, chwyciła go za nadgarstek i brutalnym szarpnięciem rzuciła nim o ścianę. Uderzył głową o skałę i osunął się po niej, po czym runął bez życia na ziemię. Wyrывая się z transu, Hostene rzucił się do jego boku. Kostur Yangkego uniół się

1 spadł na plecy Indianina, zwalając go z nóg.

Shan skoczył naprzód, po czym zamarł w bezruchu. W unoszącej się w powietrzu dłoni demona pojawił się pistolet, wycelowany wprost w niego.

- Ci, którzy zbudowali to miejsce, kapitanie, przestrzegliby cię, że przynosząc tu broń, wyrządzasz szkodę swej duszy - powiedział Shan, starając się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

- Nie szedłem tu za wami dla wzbogacenia swojej duszy. — Bing wyszedł z kryjówki. Dłonie, uświadomił sobie Shan, nie leżały na wykutej w skale półce, ale na ociosanym pod kątem prostym głazie, którego tylna część kompletnie nikła w cieniu. Jedna z rąk Binga tkwiła w kostiumie demona, długim, czarnym, podobnym do rękawicy urządzeniu z przymocowanymi na dłoni kośćmi z bielonego drewna. Przekładając pistolet do gołej ręki, burmistrz Małej Moskwy ściągnął rękawicę zębami i cisnął ją w cienie.

- Rany, ależ jesteście powolni - powiedział. - Odprawialiście te wszystkie błazeństwa na dole, kiedy każdy głupi widział, że musicie pójść tędy.

- To wtedy nas minąłeś? — zapytał Shan. Leżąc plackiem

na ziemi, nie mogli go widzieć. - Udało ci się zejść z łańcucha bez kija?

- Mam nogi jak żaba, jak mawiała moja matka.

- Nie widziałem cię dziś rano w Małej Moskwie - zauważył Shan.

- Czekałem przy malowidle. Shan zrozumiał.

- Zniszczyłeś je, ale nie umiałeś pojąć, co kryje się pod spodem.

- Kiedy dziś rano zobaczyłem was na skraju urwiska nad miastem, wiedziałem, że prędzej czy później dotrzecie do tego obrazu.

- Jak Abigail Natay.

- Jak Amerykanka - przyznał Bing.

Shan pochylił się nad przyjaciółmi. Hostene był przytomny, choć uderzenie zaparło mu dech. Yangke, który zaczynał się ruszać, miał poszarpaną ranę na czole.

Shan wstał i ignorując pistolet Binga, obszedł dookoła szkielety.

- Taki właśnie jest los - powiedział.

- Czyj los?

- Powinieneś zawrócić, kapitanie. Zawróć stąd albo obiecaj, że pomożesz nam znaleźć Indiankę. Ludzie, którzy wytyczyli ten szlak, postarali się, by ci, którzy idą nim ze złym nastawieniem, zostawali na nim na zawsze.

- Mówisz tak, jakbym miał się spodziewać, że spotkam szwendających się tu wciąż trzystuletnich pielgrzymów -zadrwił Bing.

Shan wskazał gestem szkielety.

- Coś w tym rodzaju.

Bing kopnął najbliższy z leżących na ziemi pielgrzymich worków, po czym uklęknął i nie odrywając oczu od swych więźniów, odwrócił go do góry dnem.

- A co z tobą, towarzyszu Shan? Jesteś tak święty, że nie musisz się niczego obawiać? - Podniósł morelę i ugryzł kęs. Sok spłynął mu po podbródku.

Serce Shana ścisnęło się boleśnie.

- Ja? Zaczynam uświadamiać sobie, że mogę żyć jedynie między światami. Wydaje mi się, że bóstwa nie zwracają

na mnie większej uwagi. - Wypowiedział te słowa nieświadomie, jak gdyby coś w tym sanktuarium wypchnęło mu je z serca wprost na język. Bing zaśmiał się drwiąco.

- Choć bardzo chciałbym zostać tu i wysłuchać pełnego skruchy wyznania kolejnego więźnia - powiedział kpiącym tonem - nie mam na to czasu. Gdzie jest reszta toreb?

- Jest tylko jedna oprócz tej. Zgubiliśmy jedną.

Shan pokazał mu swój worek leżący przy starym kowadle. Bing kopnął go w stronę tego, który już opróżnił, i wysypał jego zawartość. Wypił do dna jedną z dwóch butelek z wodą, jakie im zostały, po czym zaczął upychać po kieszeniach ich skąpe zapasy żywności.

-Abigail! - krzyknął Hostene, jak gdyby spodziewał się, że jego siostrzenica jest gdzieś blisko. Potem zawołał ją znowu, i jeszcze raz. Ostatnim razem zabrzmiało to jak krzyk bólu.

Bing uśmiechnął się szeroko.

-Czy to prawda, dziadku, że przybyłeś aż z Ameryki, żeby tak skończyć? - zapytał.

- Czy to prawda - odpalił Hostene - że zabiłeś z zimną krwią aż tylu ludzi?

- Jestem niczym w porównaniu z nim - stwierdził Bing, wskazując palcem Shana. - Oto człowiek, który zabił całą górę. Gdyby były wśród nas kobiety i dzieci, powinniśmy byli ewakuować je natychmiast, gdy tylko zobaczyliśmy jego twarz. - Wstał, uporawszy się ze swym zajęciem. - To Shan zapoczątkował prawdziwą destrukcję. Ten sukinsyn Ren nigdy nie studiował ekonomii. Nie ma za grosz pojęcia o gospodarce rynkowej. Górnikom przez wszystkie te lata udawało się przed nim ukryć. Ale teraz, kiedy Shan tak go wkurzył, zaczną się aresztowania, przesłuchania, Ren przewróci każdy kamień na tej górze. Zniszczy świetnie prosperujące przedsiębiorstwo, które daje utrzymanie dziesiątkom ludzi, po czym ogłosi się bohaterem i wróci do swego jednopokojowego mieszkania, gdzie powiesi sobie na ścianie dyplom uznania od wdzięcznej biurokracji.

Shan poczuł ucisk w piersiach. Chodron musiał naprawić swój uszkodzony generator.

- Co robi major?

- Chodzi o to, czego nie robi. Nie opuszcza Tashtul, mimo że już dawno miało go tu nie być. Nie pozwala na odlot helikoptera, który wezwał z Lhasy. Nie wypuszcza żadnego ze swoich ludzi na przepustkę. Nie wpuszcza nikogo na ścieżki prowadzące w góry. Nie pokazuje nikomu odpowiedzi, jakie otrzymuje po rozesłaniu e-mailem do wszystkich placówek wojska i bezpieki waszych zdjęć. Jest metodyczny i śmiertonośny.

- Niech przyjdzie — odezwał się Yangke, masując się po głowie. - Niech aresztuje cię za zabójstwo.

- Kiedy Ren przyjdzie, nic na tej górze nie będzie już takie jak dawniej. Ani Mała Moskwa. Ani twoja wioska. Pamiętaj tylko, to Shan ściągnął go wam na głowy. A prawdziwa zabawa zacznie się, gdy Ren znajdzie nielegalnego lamę w kajdanach. Widziałeś kiedyś rekina, gdy poczuje smak świeżej krwi? - Bing pochylił się nad Hostene'em i Yang-kem, oklepując ich wprawnie. - Opróżnij je - powiedział do Hostene'a, wskazując kieszenie jego spodni. Potem, lekko przyciskając lufę pistoletu do podbródka Shana, obmacał jego także. - I tę - powiedział, wskazując jedną z jego kieszeni. Szybko przejrzał powstały stosik, rzucił scyzoryk Hostene'a za ramię, zabrał im wszystkie zapalki, na chwilę zatrzymując się nad okrucieństwem Shana, nim rzucił go na ziemię.

- Tashi chciał tylko być wolny - powiedział Yangke. Bing wzruszył ramionami.

- Lubilem Tashiego. Brakuje mi go. Pijany artysta, jak postać z jakiejś starej sztuki. Zawsze opowiadał kawały. Teraz nikt już nie żartuje. Odtąd będę musiał płacić za swoje rozrywki. Trudno będzie znaleźć kogoś, kto go zastąpi. - Obejrzał się na Shana i skrzywił się. Nawet ptaki są czasem zaskoczone pieśnią, jaką zaśpiewały.

- Jednego nie rozumiem - stwierdził Shan. - Tashi miał przemyścić złoto przez granicę. Ale jak miał zabrać je z góry bez wiedzy Chodrona?

- Dobrze znam ludzi twojego pokroju, Shan - powiedział Bing. - Boże, jak dobrze cię znam. Miałem pod swoją pieczęć dziesięć baraków więźniów takich jak ty: żalonych, ponurych

stworzeń bez krzty wyobraźni, rozgoryczonych przeszłością. Siedzieli na zajęciach reedukacyjnych i jak roboty przepisywali hasła z małej czerwonej książeczki, wychwalając Przewodniczącego, czytając na głos wyrazy skruchy wydrukowane w innych książkach, przemawiając cudzymi słowami. Nie znalazł się wśród nich ani jeden, który odważyłby się wstać i powiedzieć: pieprzyć Przewodniczącego, do diabła z sekretarzami partii i niech szlag trafi kierowców, którzy przywieźli ich do miasta.

- Próbowałem z początku - odparł znużonym głosem Shan. - Wysłali mnie do specjalnego szpitala psychiatrycznego dla osób o skłonnościach przestępczych.

- Jaka szkoda - oświadczył z powagą Bing. - Jesteś najzdrowszym na umyśle człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu.

Hostene podniósł się i zaczął z powrotem pakować swój worek.

- Idę za Abigail - powiedział. - Lepiej zastrzel mnie od razu, jeśli chcesz mnie powstrzymać.

- Podoba mi się ten stary głupiec - stwierdził Bing, wskazując Indianina lufą pistoletu. - Przypomina mi starych Tybetańczyków. W mieście, przy którym było moje więzienie, było paru mnichów, którzy wyrzekli się szat. Wiesz, zostali zmuszeni do małżeństwa, do złamania swych ślubów. Byli najlepszymi kompanami do picia. Zakładali się, w postaci jakich zwierząt odrodzą się w następnym wcieleniu. - Zerknął w stronę szczytu, po czym przyjrzał się swoim więźniom. - Mam pewien problem - powiedział do Shana. - Wczesnym latem mieliśmy uroczystość, upiliśmy się i strzelaliśmy do puszek i wiewiórek ziemnych. Jak głupiec wystrzelałem wszystkie naboje do tego pistoletu z wyjątkiem pięciu, które mam w tym magazynku. Powiedz swemu przyjacielowi, by mi wybaczył, ale nie mogę zmarnować na niego kuli. - Kopnął w jego stronę jedną z lin. - Przywiąż ich plecami do siebie do tego słupa. Potem ja zrobię to samo z tobą.

Jeszcze raz spojrzął w stronę szczytu. Przystanął, podszedł do Hostene'a i przysunął mu lufę pistoletu do piersi.

- Nawet nie myśl o tym, żeby iść za mną. Jeśli zobaczę cię znowu, zastrzelę ją. Mimo że ją lubię, zastrzelę ją



i przez resztę życia będziesz wiedział, że przyczyniłeś się do jej śmierci.

- Nie znasz drogi, Bing - ostrzegł Shan, gdy burmistrz Małej Moskwy przywiązywał go do żelaznego pierścienia pod kowadłem. - To zbyt niebezpieczne. Ten szlak karze tych, którzy nie okazują mu szacunku.

- Coś jest z tobą nie tak, Shan. Nie śmiałeś postawić się tym, którzy zniszczyli ci życie, a teraz płaszczysz się przed bandą martwych od pięciuset lat mnichów. - Wskazał na linię cienia, pnącą się po najbliższej ścianie w stronę szczytu. - Przyjrzyj się dobrze, a zobaczysz barwne plamy wzdłuż tej ścieżki. Szlak, który wytyczyli ci mnisi, nie kryje żadnych zagadek. Po prostu idź od malowidła do malowidła i nie spadnij w przepaść.

Przerzucił sobie przez ramię jeden z ich kocy. Przed odejściem sprawdził solidność ich więzów.

- Podpowiem wam plan - powiedział, znów drwiąc sobie z nich. - Jeden z was musi umrzeć. Potem powróci jako szczur i przegryzie liny, by uwolnić pozostałych. - Wciąż jeszcze śmiał się, gdy zniknął za skałą.

Siedzieli skrępowani linami, unosząc się na fali strachu i bezradności.

- Kolory mogą oznaczać kierunki. Dla Nawahów biały to wschód - odezwał się po długim milczeniu Hostene.

- Dla Tybetańczyków też one symbolizują kierunki - stwierdził z zaskoczeniem Yangke.

- Ale także pierwiastki - powiedział Shan. - Czerwony kolor oznaczał ogień, biały metal, zielony drewno. I to na drewnie musicie się skupić. Słup - wyjaśnił. - Gdyby udało wam się wyrwać go z ziemi, moglibyście przesunąć linę przez koniec i odzyskać swobodę ruchu na tyle, by się uwolnić.

Kierowani przez Shana, Hostene i Yangke nauczyli się koordynować swe ruchy tak, by rozchybotać stary słup. Parę minut później wszyscy trzej byli wolni. Żaden z nich nie zdradzał ochoty do rozmowy o dalszej drodze. Yangke wpatrywał się w szkielety. Hostene z determinacją na twarzy przepakował i narzucił na ramię swój worek, po czym jak gdyby rozmyślił się. Shan zaczął w duchu gromadzić powody, dla których powinni zawrócić, poczynając

od Binga i jego pięciu kul, oraz niewiele mniej przerażającej możliwości, że wkrótce przybędzie helikopter Rena. Podczas gdy w milczeniu układał słowa, jakimi zamierzał przekonać swych towarzyszy do powrotu, Yangke zaczął przyglądać się z uwagą układowi szkieletów, podnosząc parę czaszek, jak gdyby szukał starych przyjaciół.

Hostene, wyczuwając spojrzenie Shana, odwrócił do góry dnem swą torbę. Całą jej zawartość stanowił zwój liny, krzemień, pierzasta różdżka oraz kawałek drewna. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Kiedyś już podjął i przerwał pielgrzymkę, na którą jego dawno zmarły wuj wyprawił go z liną, krzemieniem, piórem i kawałkiem drewna, każąc mu iść na spotkanie bogów. Indianin powoli włożył przedmioty znów do torby, po czym wstał, sięgnął po kostur i zaczął iść w kierunku, który obrał Bing. Słońce chyliło się ku zachodowi. Równinka w dole była już pogrążona w cieniu.

- Nie! - zawołał Yangke. - Nie odchodź jeszcze. Musimy zostać tu na noc. Musimy zrozumieć, co oznaczają kolory, i spać wśród szkieletów. Tak właśnie mieli postąpić pielgrzymi.

Przez chwilę zdawało się, że Hostene zostawi ich i pójdzie dalej, w końcu jednak opuścił worek na ziemię i ponuro skinął głową.

Używając jednego z porzuconych kawałków żelaza jako krzesiwa, rozpalili ognisko, choć niewielkie, gdyż czuli się jak intruzi. Nie mając nic do jedzenia i picia z wyjątkiem butelki wody, w milczeniu wpatrywali się w płomienie, każdy pogrążony we własnych myślach. W końcu Yangke wstał, trzymając w ręce płonącą gałąź jałowca. Shan sądził, że Ty-betańczyk przyświeca nią sobie jak pochodnią, on jednak wyciągnął ją przed siebie na długość ramienia, najpierw nisko, potem wysoko w górę, obchodząc ułożone ze szkieletów koło. Rozprzestrzenił jałowcowy dym, by przywabić bóstwa.

Hostene zaczął się rozglądać po ziemi. Wyszedłszy w gasnące światło słońca, przystawał raz po raz, by obejrzeć leżące kawałki drewna. Shan przyłączył się do poszukiwań. Przyjrzał się kolekcji kościanych dłoni; dostrzegł biegnące w wielu kierunkach ślady stóp oraz kilka zerwanych liści

wonnych ziół. Zbierał je właśnie, gdy Yangke wydał podniecony okrzyk.

Nim Shan dotarł do niego, Hostene był tam już, wskazując białe znaki na występie skalnej ściany. U góry widniała poszarpana błyskawica, niżej dwie schematycznie narysowane postacie bogów, pod nimi zaś rząd tybetańskich świętych przedmiotów. O ścianę oparte były dwa dwudziestocentymetrowej długości kawałki jałowca, oskrobane na płasko i ozdobione czarno-białymi wzorami. Shan podniósł jeden z patyków. Został lekko pobielony kredą, po czym zwęglonym patykiem narysowano na nim biegnący przez całą długość czarny zygzak. Na drugim patyku był ten sam wzór, ale nakreślony białą kredą na czarnym tle.

- Patyczki modlitewne - wyjaśnił Hostene. - Piorunowe patyczki modlitewne.

Podnosząc drugi patyk, by przyjrzeć mu się dokładniej, odsłonił jeszcze jeden, znajdujący się za nim kredowy znak na skale: owal z ośmioma wyrostkami i mniejszym, spłaszczonym owalem jako głową. Żuk. Obok narysowany był święty kwiat lotosu. Wyglądało to, jak gdyby Abigail przedstawiała sobie nawzajem dwa światy, nawaski i tybetański.

Shan wyciągnął dłoń z liśćmi w stronę Hostene'a i wysypał mu je na rękę.

- Zioła lecznicze.

Indianin powąchał liście, po czym utkwiał w nich wzrok.

- Ona cierpi czasem na bóle brzucha. Kiedyś znalazłem ją zgiętą wpół za skałą. Powiedziała, że to nic, kazała mi odejść.

Yangke pokazał Shanowi wzór barwnych znaków, który odkrył pod czaszkami przy piąście szkieletowego koła. Czerwone, białe, zielone. Podsycałi małe ognisko, by nie zgasło, gdy w pobliżu rozległ się niesamowity, buczący dźwięk. Yangke zebrał się w sobie, spoglądając z rozszerzonymi oczyma na czaszki, jak gdyby chciał sprawdzić, która z nich się odezwała. Shan wstał i poszedł za dźwiękiem.

W świetle młodego księżyca dostrzegł Hostene'a stojącego na płaskim głazie. Indianin kręcił nad głową kawałkiem drewna przywiązany do liny z jacej sierści. To on właśnie wydawał zawodzący, modulowany dźwięk, który

zdumiewająco przypominał Shanowi gardłowy śpiew tybetańskich mnichów. Uświadomił sobie, że Yangke stoi przy nim, i obaj usiedli, i słuchali, dopóki Indianin nie przestał.

- Po angielsku nazywa się to „byczy buczonek” - wyjaśnił Hostene, pokazując im płaski, trójkątnie zakończony kawałek drewna, który wystrugał nożem. Mówił cicho, z powagą, jak mnich w świątyni. - W języku mojego plemienia nazywamy go „głosem grzmotu”. Jest używany w wielu obrzędach. Grzmot odpędza zło. Przywołuje Duchy Grzmotu.

- Ale Duchy Grzmotu - szepnął Yangke - są niebezpieczne.

Hostene spojrział w gwiazdy.

- One są jak wasze demony opiekuńcze. Duchy Grzmotu potrafią znajdować zgubione rzeczy. Znają każdy skrawek nieba.

Pokazał Yangkemu i Shanowi, jak wprawić w ruch byczy buczonek, tak by poruszał się po okręgu pod własnym ciężarem. Indianin nie wszedł do niszy z kośćmi. Owinąwszy się w koc, został przy kredowych znakach Abigail. Trzy razy zahukała sowa i za każdym razem Hostene wstawał i kręcił byczym buczonekiem, jak gdyby rzucał jej wyzwanie.

Shan usadowił się pod skałą przy ognisku i mimo że dręczyły go złe przeczucia, zapadł w niespokojny sen. Godzinę później obudził się roztrzęsiony. Śniło mu się, że spada w niekończącą się czeluść, mijając leżące na występach skalnych kościotrupy, które kulily się ze strachu, gdy przelatywał obok.

Gdy wyszedł w blask księżyca, Hostene odezwał się ze swego posterunku przy kredowych znakach.

- Ja też miałem sen - powiedział udreńczonym głosem. - Abigail była duchem i unosiła się nad górą w objęciach sędziwego lamy, który objaśniał jej dawne zwyczaje. Wołałem do niej, ale nie zwracała na mnie uwagi. Kiedy zniżyli lot, podskoczyłem i chwyciłem lamę za szatę. Ona odwróciła się do mnie. Musisz się z tym pogodzić, wujku, powiedziała. To tak właśnie miałam się uczyć. To tak właśnie kroczę w pięknie. - Gdy uniósł wzrok na Shana, księżyc oświetlił jego melancholijne rysy. - Kiedy obróciłem widmowego lamę twarzą do siebie, to był Gendun.

Rankiem Shan rozstawił swych przyjaciół zgodnie z tym, co nazwał schematem barw, jedynym rozwiązaniem, jakie wydawało mu się sensowne spośród wielu, które rozważył w nocy. Postawili drewniany słup i Hostene stanął obok niego. Zieleń to drewno, zgodnie z tybetańską tradycją. Yangke stanął przy kowadle. Biel to metal. Shan stanął przy piecu. Czerwień to ogień. Linia, jaką tworzyli, po przedłużeniu przecinała się z wąską, ostrą kreską cienia mniej więcej w jednej trzeciej długości szlaku, który wspinał się na wznoszący się nad nimi stok, szlaku, którym Bing ruszył poprzedniego wieczora. Podnieśli swe worki i kije, po czym ruszyli w drogę.

Pół godziny później dotarli do cienia, rozpadliny, którą z łatwością mógłby przeoczyć ktoś patrzący pod nogi na niebezpiecznej ścieżce. Weszli w cień, a szczelina w skalnym grzebieniu doprowadziła ich do leżącego po drugiej stronie małego ogrodu, niecki ze źródłem tworzącym otoczony paprociami basenik.

Odpoczęli w tej oazie. Napili się i umyli, ostrożnie skosztowali drobnych jagódek rosnących na niskich pnączach, po czym ruszyli pnącą się na skalny grzebień ścieżką, uświadamiając sobie, że łuk, który widzieli z dołu, jest również przejściem przez skałę, choć nie tym, które przeznaczono dla pielgrzymów.

Gdy ich ścieżka przecięła się w końcu z wylotem sklepionego przejścia, znaleźli się na ostatniej płaskiej równi pod szczytem. Przed łukiem, po bliższej stronie, zobaczyli znajomy już wizerunek smoczego bóstwa. Po drugiej stronie czekał na nich Bing.

Były oficer bezpieczeństwa leżał oparty o skałę, owinięty w ukradziony im koc. Wyglądał dziwnie słabo. Powitał ich jedynie kwaśnym grymasem, nie starając się nawet sięgnąć po leżący obok pistolet. Mniej więcej metr dalej leżał pielgrzymi worek, w którym niósł ich zapasy żywności.

Shan zrobił krok w jego stronę, nie odrywając oczu od broni. Nie wiedział, czy Bing nie bawi się z nim, dopuszczając go blisko, nim odrzuci koc i złapie pistolet, może nawet pociągnie za spust. Shan był gotów podjąć tę grę, gotów podejść na tyle blisko, by spróbować kopnąć torbę z jedzeniem w stronę

swych przyjaciół. Potem jednak, zdjęty dreszczem, zobaczył w kręgu kamieni za plecami leżącego plamy wilgotnej jeszcze krwi. Bing musiał już zrobić użytek z pistoletu.

Shan rozejrzał się, daremnie wypatrując ciała. Potem zamarkował ruch w stronę torby i rzucił się ku broni. Gdy był już przy niej, Bing zniechęca wysunął stopę, podcinając mu nogę, tak że upadł na niego, po czym zaczął ścisnąć go, najpierw z dziką siłą, jak gdyby chciał połamać mu żebra, potem jednak coraz słabiej i słabiej. Shan szamotał się, usiłując się wyrwać. Uświadomił sobie z przerażeniem, że Bing musiał zranić go nożem, gdyż nagle wszędzie było pełno krwi — na nim samym, na kocu, na twarzy Binga. Potem czyjeś dłonie odciągnęły go. Gdy stanął prosto, pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, były twarze przyjaciół. Były blade jak płótno. Podczas szarpaniny Binga z Shanem koc osunął się, ujawniając, dlaczego Bing nie sięgnął po pistolet. Nie miał rąk.

## ROZDZIAŁ 13

Shan robił dla burmistrza Małej Moskwy co tylko było w jego mocy, podsuwając mu wodę z butelki, którą Yangke napełnił ze źródła w dole, ocierając mu krew z twarzy, gdy Bing na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Szybki rzut oka na przestrzeń za jego plecami ukazał mu na obu końcach niskiej sterty głazów dwa niemal identyczne bryzgi krwi, jakie mogły wytrysnąć jedynie z przerwanych tętnic.

- Powiedz, co się stało - poprosił, ocierając mu czoło. Hostene oddarł od swej koszuli dwa pasy i owinał je wokół kikutów rąk Binga.

- Kiedy zdarzy się coś takiego - wymamrotał Bing z półprzytomnym spojrzeniem — człowiek przestaje naprawdę istnieć.

Shan zamyślił się nad tymi słowami, zastanawiając się, czy Bing mówił o sobie, czy o tym, kto odrąbał mu dłonie.

- Czy była tu Abigail? - zapytał.

Usta Binga drgnęły. Gdyby miał na to dość sił, uśmiechnąłby się drwiąco.

- Ona patrzy - powiedział ochryłym szeptem. - Ma wszystko gdzieś. Życie z bogami to tylko gra.

Shan rzucił zaniepokojone spojrzenie w stronę Hostene'a.

- Jak to się stało?

- Byłem wyczerpany. Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, on stał nade mną uśmiechnięty, śpiewając jedną z tych swoich cholernych pieśni. Zanim zdążyłem się odezwać, coś uderzyło mnie w tył głowy. Kiedy oprzytomniałem, ręce miałem przywalone kamieniami, tak że nie mogłem nimi ruszać. Odciał mi już lewą dłoń, kiedy... - Bing stracił przytomność.

Shan wszedł na mały placzyk za nim. Wyglądało na to, że Bing stracił całe morze krwi. Nawet na tej wysokości drobne muszki zlokalizowały ją.

Wlał wodę do wpółotwartych ust Binga.

- Ten młody górnik na początku lata - odezwał się, gdy Bing otworzył oczy. - Jego też zabiłeś?

Bing z wysiłkiem szukał odpowiedzi.

- Co znaczy zabić? - wyszeptał.

- Ujmijmy to w ten sposób. W zeszłym roku zabiłeś górnika, po czym wbiłeś mu w plecy dłuto jego wspólnika, żeby pokazać je Hubeiowi, swojemu świadkowi. Ten człowiek był zagrożeniem dla biznesu Chodrona, a ty musiałeś dowieść, że jesteś godny zostać przywódcą górników. Idealnym rozwiązaniem było zabić go i zrzucić winę na jego wspólnika, człowieka, którego przepędziłeś. Umieszczenie na grobie szkieletu z pierścieniem wspólnika na palcu było naprawdę genialne. Ale potem Thomas zaczął rozpowiadać wszystkim, że potrafi stwierdzić przyczynę każdego zgonu, nawet sposób, w jaki powstało pęknięcie czaszki. A ty musiałeś zadać temu górnikowi tak mocny cios w głowę, że narzędzie stałoby się oczywiste, gdyby tylko Thomas zobaczył czaszkę. Młotek zostawia wyraźne okrągłe wgniecenie, gdy uderzy się nim ze znaczną siłą. Musiałeś wykopać kości człowieka, którego zabiłeś, i pozbyć się ich.

- Żaden górnik nie poszedłby na ten grzbiet. Tam straszło - odparł Bing. Gdy wciągał powietrze, słychać było cichy świst.

- Ale Thomas był gotów przebadać do swojej pracy szkolnej każdą kość na górze, zwłaszcza jeśli mogła należeć do ofiary morderstwa.

- Nigdy nie próbowałeś tam pójść - ciągnął Bing. - Dlaczego? Miałem nadzieję, czekałem. Mógłbym zabić cię tam na dziesiątki sposobów i wszyscy obwiniliby duchy.

- Nie musiałem - wyjaśnił Shan. - Widziałem już stare jaskinie grobowe. Widziałem, co robią z nimi ludzie tacy jak ty. Jeden człowiek już stracił tam życie. Chodron był tak podejrzliwy, że wysłał tego rolnika, żeby cię śledził. Nie wątpię, że stałby się kolejną z twoich ofiar, gdyby piorun nie uśmiercił go wcześniej.

- Miałem zamiar pokazać im czaszkę jakiegoś dawnego świętego i powiedzieć, że to ty. Wetknąć kość nogi w jeden z twoich starych butów. Uwierzyliby mi, po tych wszystkich wydarzeniach.

- Jaskinia grobowa - zauważył Shan - zawiera mnóstwo



starych kości. I jest doskonałą kryjówką dla skarbów, takich jak złoto, które zaczęłeś kupować od górników bez wiedzy Chodrona.

- Jak mogłem przewidzieć, że ona pójdzie tam szukać swoich cholernych bogów? - wybuchnął Bing. - Nie ma już żadnych śladów - dodał dziwnie zaczepnym tonem.

- Dlatego, że nawet te stare kości stały się zawadą, gdy Thomas oświadczył, że potrafi odróżnić stare od nowych. Udowodniłby, że twoja historyjka o zemście ducha jest kłamstwem.

- Mały skurwiel. Jeden z tych nauczycielskich pupilków, którzy zawsze muszą popisywać się wiedzą. Teraz robią sztuczne ręce dla kalek - odezwał się z nagłą złośliwością Bing. - Sprawię sobie takie z elektrycznymi tasakami. Odnajdę cię, Shan.

- Mogłeś po prostu odesłać Tashiego - ciągnął Shan. - To wszystko nie musiało się zdarzyć.

- To właśnie przez Tashiego wszystko się zaczęło. Byłoby niewdzięcznością po prostu przegonić go z góry. Gorzej, byłoby to niechlujstwem.

Shan milczał, próbując zrozumieć. Oddech Binga zaczął stawać się chrapliwy. Zakaszłał. Dyszał teraz krótko i płytko. Jego płuca zaczynały wypełniać się płynem.

- Tashi nie umiał dochowywać tajemnic. - Głos Binga brzmiał chrapliwie. - Gdy tylko ten głupiec pojawił się na górze, wiedziałem, że będą kłopoty. Jego usługi kupiono już i opłacono. Dałem mu szansę, ale nie potrafił powstrzymać się od picia. Wyświadczyliśmy mu przysługę, biorąc pod uwagę, jakie mogły być skutki.

- Taką jak wdzięczność, którą okazał ci Rapaki?

- Chyba za długo żył wśród tych starych buddyjskich ksiąg. Nic już nie wydawało mu się rzeczywiste. We wszystkim doszukiwał się symboli. Czasem miewał halucynacje, rozmawiał z malowidłami, przerywał nagle i zaczynał mówić do skały. — Bing oddychał z coraz większym trudem. — W końcu uznał... że ja stałem się... tym...

- Demonem - dokończył za niego Shan. - Chociaż to właśnie ty w zeszłym roku powiedziałeś mu o demonach.

- On był jak jakiś pieprzony kot. Pojawiał się znikąd,

nigdy nie wydawał dźwięku, chyba że odmawiał różaniec. Nie miałem pojęcia, że jest tam i patrzy, kiedy zabijałem w zeszłym roku tego górnika. Musiałem myśleć szybko. Facet leżał, ale wciąż oddychał. Powiedziałem Rapakiemu: szybko, pomóż mi zanieść go przed malowidło ze starym świętym. Wiedziałem, że jest takie w pobliżu. Powiedziałem, że mam modlitwę od pewnego świętego, która ma specjalną moc w pobliżu starych malowideł i pozwala rozpoznać demona w ludzkiej postaci. Jeśli wypowiem magiczne słowa, a facet jest w istocie jednym z demonów, które przeciwstawiają się bogom, na jego dłoni pojawi się czerwone oko.

- Twój wskaźnik laserowy - domyślił się Shan. Westchnął. — *Ni shi sha gua*.

Bing wybuchnął ochryłym śmiechem, który wyzwolił atak kaszlu.

- Ukryłem go w dłoni i wypowiedziałem po chińsku magiczne zaklęcie. Powinieneś być widzieć jego twarz za pierwszym razem, kiedy na dłoni górnika rozjarzyło się oko demona. Był przerażony. Ale potem uśmiechnął się. Odbiegł i myślałem, że to już koniec sprawy. Parę minut później pojawił się z tym starym rytualnym toporem.

- A teraz ktoś pożyczył sobie twój laserowy wskaźnik.

- Idź dalej, a i ciebie to spotka - zapowiedział Bing. - Wkrótce wszyscy, których znasz, zostaną bez dłoni.

Shan pominął milczeniem tę uwagę.

- To faktycznie nowa epoka, Bing. Stechnicyzowane demony. A złodzieje stracili swój honor. Nie znają już lojalności ani wdzięczności - dodał, wskazując gestem Yangkego.

Bing uniósł pytająco brwi.

- Nigdy nie podziękowałeś przyjacielowi Tashiego. Nie powiedział Chodronowi o twoim kłamstwie. Nie powiedział mu, że wiesz, gdzie pod szczytem spoczywają wydobyte przed setkami lat dwie tony złota.

Bing z wysiłkiem dźwignął się na łokciach. Przetoczył się na Shana, który szamotał się chwilę, nim uspokoił się, uświadomiwszy sobie, że Bing nie stawia już oporu, że z jego ust nie wydobywa się już kwaśny oddech.

- Nie żyje - oświadczył Hostene i z pomocą Yangkego zdjął trupa z Shana.

Pomogli mu dojść do pobliskiego strumienia, gdzie zanurzył twarz w lodowatej wodzie. Następnie żwirem z dna czyścił dłonie i ramiona, dopóki nie zaczęła szczypać go skóra. Gdy był już czysty, ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że jest głodny. Podczas posiłku dyskutowali, co zrobić z ciałem Binga. Yangke proponował, by zostawić je leżące przy bramie, aby stał się kolejnym szkieletem na ścieżce pielgrzymkowej. Hostene skłaniał się raczej ku temu, by owinąć go w całun z koca i zrzucić z urwiska. Ostatecznie owinęli go w koc i przykryli kamieniami na zbryzganej krwią łące. Wcześniej jednak Shan obejrzał uważnie kikuty jego rąk. Każda dłoń została odrąbana dwoma uderzeniami. Każde zostawiło to samo drobne wyszczerbienie w kości. Gdy przeszukał kieszenie koszuli Binga, zdjęli mu ją i porozdzierali na kwadraty, na których Yangke patykiem zanurzonym w krwi Binga wypisał teksty mantr, po czym umocowali flagi modlitewne pod kamieniami grobu. Jedno więcej sanktuarium dla demona.

- Gdyby poszedł trasą pielgrzymów - oświadczył ściszym głosem Yangke, gdy wraz z Hostene'em ruszył w dalszą drogę - widziałby, kto czatuje po tej stronie przejścia. - Było to jedyne epitafium Binga.

- Nie możemy odejść w ten sposób, Hostene - zawołał Shan do pleców Indianina.

Hostene zatrzymał się. Jedyne Yangke odwrócił się z zaskoczoną miną.

- Nie możemy iść dalej jak zabójcy - wyjaśnił Shan. Hostene oparł się ciężko na swym kiju.

- Mówi pan teraz jak Lokesh.

- Nie możemy iść dalej - powtórzył Shan.

- Widział pan, co spotkało Binga - odparł Hostene. - Nie wiem, czego mamy się teraz spodziewać. Jedna osoba nie poradziłaby sobie z nim. Ktoś ogłuszył go od tyłu.

Obawiał się, że Abigail brała w tym udział.

- Ja też nie wiem, czego się spodziewać - przyznał Shan. - Ale wiemy, czego możemy oczekiwać od siebie samych.

Hostene zamknął na chwilę oczy, po czym ruszył przed siebie, nie oglądając się nawet, by sprawdzić, czy inni idą za nim. Gdy ich milcząca procesja dotarła do urwiska, położył

na ziemi swój worek i kostur, po czym wyciągnął zza pazuchy pistolet Binga.

- Wuj powiedział mi kiedyś, że niektóre ze świętych gór wydawały mu się puste, jak gdyby bogowie opuścili je, bo tylu ludzi przychodziło tam z bronią, by polować na zwierzęta. — Zamachnął się i rzucił pistolet wysoko w górę. Przyglądali się, jak spada i znika w cieniach u stóp urwiska.

Wspinali się teraz z ponurą, milczącą determinacją stromymi ścieżkami, zmagając się z silnymi prądami zstępującymi. Przystawali przy każdym malowidle, dwukrotnie kierując się wskazówkami przedstawionymi w formie małych stopek i konturów świętych przedmiotów. Shan i Yangke musieli odciągać Hostene'a od otoczonego kredowymi znakami malowidła przedstawiającego bóstwo, które, jak utrzymywał, przypominało jednego z członków Świętego Ludu Nawahów.

Gdy dotarli do trzymetrowej szerokości rozpadliny, nad którą przeciągnięte były dwie napięte mocno grube liny z jacej sierści, zawahali się.

- Nie powierzę swojego życia czterechsetletniej linie -zaprotestował Hostene.

- Ona nie jest aż tak stara. Lamowie, dopóki żyli, odnawiali korę. Poza tym spleciono ją z sierści jaka, która jest odporna na pogodę. - Yangke spokojnie wyciągnął z worka rozwidlony kijek, osadził go na linie, chwycił w dłonie jego końce i zjechał, zawieszony nad kilkudziesięcioma metrami pustki. Odrzucił kijek Shanowi, podczas gdy Hostene wydobył drugi z własnego worka. Minutę później obaj byli już po drugiej stronie.

Zatrzymali się w wąskim kanionie, od którego odchodziło kilka ścieżek, każda z małym wizerunkiem demona u wylotu.

- Którędy teraz? - zapytał rozgoryczonym tonem Yangke. - Możemy stracić całe godziny, szukając właściwej ścieżki.

Ale Hostene wskazał płaską powierzchnię jednego z głazów, na której ktoś niedawno wyrysował kredowe znaki. Opadł na kolana przed rysunkami.

- Odwaliła robotę za nas - powiedział. Zaczął wyjaśniać,

jak jego siostrzenica próbowała zestawić symbole Nawahów z prymitywnymi symbolami z malowideł u wylotów szlaków.

- Ale co to oznacza? — zapytał Yangke.

- Boski Garbus - odparł Hostene, unosząc wzrok. - Bóg pod postacią górskiego kozła był ostatnią rzeczą, jaką narysowała, jakby on właśnie był wyjaśnieniem, którego szukała.

Shan obszedł półkolem wyloty szlaków.

- Tylko na jednym z nich są ślady kóz - oznajmił.

Idąc tą ścieżką, wkrótce dotarli do kolejnego przystanku dla pielgrzymów, z małym wodospadem i kępami mchu, poznaczonymi świeżymi odciskami butów.

Tam, gdzie trasa była oczywista, Hostene wysuwał się samotnie na czoło. Znaleźli go na zbiegającej od słońca skale, skąd roztaczał się widok na ciągnące się kilometrami pasma gór. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, obnażony do pasa, ze skórą natartą pyłem i małym skórzanym woreczkiem ze świętą ziemią w dłoni. Yangke wziął do ręki różaniec i usiadł w pozycji lotosu. Shan uświadomił sobie, że przez cały dzień odzywali się praktycznie tylko szeptem. Mogło się zdawać, że minawszy bramę, przy której zmarł Bing, wkroczyli do świątyni, gdzie należało zachować ciszę.

Lecz Shan, dręczony nieustającą troską o Lokesha i Gen-duna, nie był w stanie się modlić. Usiadł na uboczu, układając przed sobą ziarna żwiru, by wylosować numer rozdziału *Tao Te Ching*. Ale po raz pierwszy w życiu wciąż mylił się w liczeniu, próbując i dając za wygraną, jak gdyby księga w jego umyśle się zatrzasnęła. Zamiast tego nawiedziły go wspomnienia Genduna w łańcuchach i mocującego się z nim bezrękiego Binga. Przypomniawszy sobie list zostawiony przez sędziwego lamę, który odkrył na wysokiej półce skalnej przy terenie robót w pierwszym roku swojego więzienia. Poszedł za lamę, zauważywszy, że ten się wymyka, w nadziei że znajdzie go wcześniej niż strażnicy. I znalazł go - nagiego, uśmiechniętego, ale martwego, obok niego zaś napisane zwęglonym patykiem na skale słowa. Jego przedśmiertny wiersz brzmiał: „Zostawiam za sobą jedynie wodę, która omyła moje ciało”.

Gdy jakiś czas potem dotarli na smagany wiatrem występ

skalny, na którym stało kilka pali umocowanych kopcami ciężkich kamieni, Yangke wskazał uczezione przy każdym z nich nici, wciąż łopoczące na wietrze. Było to wszystko, co pozostało z flag modlitewnych.

- Tam! - krzyknął Hostene i ruszył biegiem ku ostatniemu z pali.

Shan pobiegł za nim. Na palu powiewała nowa flaga -czerwona bandana w kwiaty. Na drukowanym wzorze czarnym tuszem wypisana była modlitwa do bodhisattwy współczucia. Indianin z ożywieniem powiódł wzrokiem po stoku.

- Ona jest wciąż bezpieczna! - wykrzyknął, wskazując wysoko w górze małą samotną postać na odsłoniętej półce skalnej. To mógł być ktokolwiek, ale Hostene był przekonany, że to jego siostrzenica.

- To już nie ma znaczenia - odezwał się przygnębiony głos. Yangke dołączył do nich.

Postać w oddali zniknęła nagle. Shan spojrzał na Ty-betańczyka, nic nie rozumiejąc. Gdzieś z daleka dobiegło go przybierające na sile dudnienie. Zdrętwiał ze zgrozy. Zanim odzyskał zmysły i zaczął odciągać Hostene'a w cienie, helikopter z rykiem przeleciał tuż nad nimi, zawisł nieruchomo, jakby szukając miejsca do lądowania, po czym zniknął za skałą.

Do helikoptera mógł się zmieścić cały oddział pancerny, a po Renie nie należało się spodziewać, by pojawił się z mniejszymi siłami. Będą mieli automatyczną broń, granaty, doskonałe urządzenia wykrywające, wyjaśnił Shan. Warkot maszyny przycichł, po czym gwałtownie przybrał na sile, co wskazywało, że wysadziła swój ładunek gdzieś w pobliżu i znów wzniosła się w powietrze. Pałkarze zabiorą przynajmniej Hostene'a i Abigail szybko na dół. Tam będą lekarze. Yangke, bez dokumentów, powinien się spróbować ukryć, wymknąć i dotrzeć do Lokesha i Genduna. Shan być może zdoła zaspokoić apetyt Rena na dzień lub dwa. Ale Dran-go było skazane na zagładę. Shan wiedział, jak opierać się przesłuchującym, mógłby trzymać się przez tydzień, może nawet dwa. W końcu jednak, bez względu na to, czy sięgną po narkotyki, elektrowstrząsy czy po zwykłe pałki, zacznie mówić. To jego właśnie chciał dopaść Ren. A jeśli nie uda mu się go schwytać, ściągnie na górę kolejną partię żołnierzy.

Jednak gdy Shan dotarł na odkrytą przestrzeń, gdzie wylądował helikopter, zastał tam jedynie samotną postać z plecakiem u stóp. Doktor Gao przyglądał się malowanemu wizerunkowi demona opiekuńczego.

- Nie odesłałem jego zwłok - oświadczył fizyk bezbarwnym głosem. — Wciąż leżą w kostnicy w Tashtul. Siedziałem przy nich przed wyjazdem. Każdego dnia pisałem nowy list do rodziców Thomasa. Każdego dnia darłem go na kawałki. „Z przykrością donoszę, że Wasz jedyny syn został rozciągnięty na skale i zaszlachtowany”. „Z żalem zawiadamiam, że nasze plany wysłania jednego z członków rodziny na Księżyc stały się nieaktualne”. „Przykro mi, ale wyrzutki społeczne, które panoszą się po drugiej stronie góry, sprzątnęły naszego młodego księcia”.

- Sądziłem, że skontaktujecie się z nimi telefonicznie.

- Nie mogę. Heinz to zrobi, kiedy wróci. On jest dobry w takich sprawach.

- Jak wpadliście na to, żeby przybyć na szczyt?

- Wy sami mi to powiedzieliście. Jeśli Amerykanka jeszcze żyje, będzie szła w górę, mówiliście. Tu zawsze chodziło

O tę Amerykankę, prawda? Abigail. To wszystko zaczęło się od niej.

- Głos Gao był głosem racjonalnego naukowca mówiącego o ekspedycji innej uczoney.

Ale fizykowi nie chodziło o Abigail. Chodziło o Thomasa

1 o kompletną porażkę człowieka, który w całej swej wybitnej karierze nigdy nie zaznał niepowodzenia.

- Nie wiem, czego oczekujecie, Gao.

- Moje oczekiwania - westchnął fizyk — znaczą ostatnio bardzo niewiele. - Wskazał demona oraz znajdujący się obok kredowy rysunek piorunowego węża. — Wyjaśnijcie mi to.

Nim Shan zdążył to zrobić, za ich plecami odezwał się cichy, spokojny głos. Hostene i Yangke dołączyli do nich.

- Świat zaczął się od grzmotu - powiedział Hostene. - Tak mówili pierwsi Tybetańczycy. Tak mówili Nawahowie. Abigail przybyła tu, by potwierdzić to u bóstwa, które mieszka we wnętrzu tej góry.

Gao rzucił Shanowi zaniepokojone spojrzenie. Hostene zaczął przemawiać jak lama.

Fizyk odwrócił się do Indianina.

- Wysokość wpływa na pański mózg, Hostene. Przywiozłem na to lekarstwo. - Następnie obrócił się twarzą do malowidła. - A gdzie dokładnie mieszka to bóstwo ziemi? - Zdawało się, że lęka się usłyszeć odpowiedź.

- W raju na szczycie góry — wtrącił Yangke.

Gao uniósł wzrok, nie w stronę szczytu, ale na wschód, jak gdyby zastanawiał się, czy nie wezwać helikoptera z powrotem. Shan ruszył ścieżką.

Po drodze Gao zasypywał Shana gradem pytań o jego doświadczenia na górze, każąc mu powtarzać zagadki, jakie napotkali, zanim poznał ich rozwiązania, po czym umilkł, gdy Shan powiedział mu o śmierci Binga.

- Czy on znał mojego bratanka? - Tak.

Gao skinął głową.

- Thomas nie dałby się wciągnąć w pułapkę komuś zupełnie obcemu.

- Wasz bratanek znał na tej górze więcej ludzi, niż moglibyście sądzić.

- Wciąż powtarzam sobie - przyznał łamiącym się głosem Gao - że prowadzę urojoną egzystencję w urojonym zamku, bez kontaktu ze światem.

- Kiedy to mówiłem - wtrącił Shan - nie zamierzałem was zranić.

- Jesteście nic nie znaczącym zbiegłym więźniem - odparł głuchym głosem Gao. - Jak moglibyście mnie zranić?

- Chciałem powiedzieć...

Fizyk przerwał mu uniesieniem dłoni.

- Dosyć.

- Dosyć o tym - zgodził się Shan. - Ale teraz ja mam pytanie do was. Macie przy sobie swój telefon satelitarny?

Podczas gdy Hostene i Yangke częstowali się batonami zbożowymi, które fizyk wyciągnął ze swego plecaka, Shan i Gao usiedli na skale i zadzwonili do Heinza Kohlera. Gao trzymał słuchawkę tak, by Shan mógł słyszeć. Automatyczna sekretarka oznajmiła, że telefon odbiorcy jest wyłączony.

- Gdzie Heinz się zatrzymuje, gdy wyjeżdża do Lhasy?

- Zawsze u dawnego kolegi, emeryta, który tam mieszka.



Dyskutują o nowych doniesieniach w czasopismach naukowych.

- Znacie jego numer?

- Telefony satelitarne zawsze nam wystarczały.

- Ale nie dzisiaj. Zadzwońcie do waszego biura w Tashtul — poprosił Shan. - Jego szefowa ma zapewne jakiś sposób na skontaktowanie się z nim w nagłych wypadkach.

Gao zmarszczył brwi, jednak wywołał zapisany w pamięci numer i podał telefon Shanowi. Rozmowa była krótka. Awaryjnym numerem Kohlera był numer najdroższego hotelu w Lhasie.

- Pan Kohler wyjechał na granicę w sprawach służbowych - rozległ się łagodny głos recepcjonistki.

- Czy zostawił numer, pod jakim można go zastać? -zapytał Shan.

- Za kilka dni będzie z powrotem - odparła kobieta. - Czy mam coś przekazać?

- Jak często Heinz jeździ do Lhasy? - zapytał Shan fizyka.

- Raz na miesiąc w ciepłych porach roku. Zawsze trzeba uzgodnić jakieś szczegóły dostaw.

- Tamtej nocy w Tashtul, kiedy powiedzieliście, że Heinz zna bezpieczeństwo - zapytał Shan - co mieliście na myśli?

Gao wstał i zaczął majstrować przy zamku błyskawicznym swej kurtki.

- Zawsze nazywaliśmy to jego wakacjami. To właściwie było głupstwo. Nieporozumienie. Zrehabilitowano go, wyczyszczono kartotekę. - Gao ruszył przed siebie.

Shan poszedł za nim.

- Chcecie powiedzieć, że siedział w więzieniu bezpieczeństwa.

- Połowa znaczących ludzi w Pekinie miała takie epizody. To rytuał przejścia. - Fizyk zatrzymał się. - Obcokrajowiec starający się zrobić karierę w Pekinie, górujący nad niemal wszystkimi swymi kolegami. Czego się spodziewacie? Zawiść była nieunikniona.

- Pożyczcie mi wasz telefon - poprosił Shan.

- Nie mogę. Mam tam wiele tajnych numerów.

- Tylko na jedną rozmowę, z pułkownikiem, który rządzi okręgiem Lhadrung. Możecie siedzieć obok. I podajcie mi

nazwisko tego naukowca, u którego Heinz mieszka, gdy jest w Lhasie.

Gao nie odpowiedział, nie spojrzał nawet w jego stronę, gdy sięgnął do kieszeni i podał mu telefon, po czym odszedł na skraj pobliskiego występu skalnego.

Shan poczuł, jak zdejmuje go zimny strach, jaki zawsze ogarniał go na dźwięk głosu, który odezwał się na drugim końcu linii. Nie byli przyjaciółmi, nie byli sojusznikami, byli po prostu dwójką ludzi przeżutych i wyplutych przez Pekin. Po trudnym początku, kiedy to pułkownik groził, że odłoży słuchawkę, po czym ostrzegł go, że jeden z najbardziej zaciekłych oficerów Urzędu Bezpieczeństwa w całym Tybecie rozesłał za nim list gończy, wyjaśnienie, po co dzwoni, zajęło mu niespełna pięć minut, a po pięciu dalszych znacznie przyjaźniejszy kobiecy głos przekazał mu informacje, o jakie prosił. Dystygowana asystentka pułkownika powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć, po czym dwukrotnie powtórzyła numer telefonu. Shan gestem poprosił o długopis i zanotował go na skrawku papieru.

- Miłego dnia - powiedziała na zakończenie.

Shan podszedł do Gao i trzymając telefon tak, jak wcześniej robił to fizyk, by obaj mogli słyszeć rozmowę, poprosił o Heinza Kohlera.

- Pan Kohler wyjechał na granicę w sprawach służbowych. Wróci za kilka dni. Czy mam coś przekazać? - Były to nie tylko te same słowa, ale i ten sam młody kobiecy głos, który słyszeli podczas pierwszego telefonu do Lhasy.

-Nie rozumiem — powiedział Gao, gdy Shan się rozłączył.

- Zapytałem o jego kolegę naukowca. Potem spytałem, czy są jakieś prywatne, poufne dane o miejscu zamieszkania Kohlera w Lhasie. Jego kolega emeryt przeszło rok temu przeniósł się do domu spokojnej starości na południowym wybrzeżu. Pułkownik dał mi prywatny numer do mieszkania Kohlera w Lhasie. Tyle że nic nie jest prywatne dla człowieka takiego jak pułkownik. Heinz ma apartament na najwyższym piętrze hotelu. Kobieta, z którą rozmawialiście, nie jest pracownicą hotelu, ma umowę z centralą telefoniczną. Mieszka w apartamencie Kohlera.

Gao wyrwał mu telefon z ręki i bez słowa ruszył przed sie-

bie ścieżką, która stopniowo zmieniała się w szeroką pochylnię prowadzącą do kolejnego tunelu pod szczytem wysokiego urwiska.

Shan szedł za nim w pewnej odległości, wspominając słowa starego dozorca, Trinlego. Ta góra wzywała ludzi. To była prawda. Oto leżała przed nim zagadka morderstw, zagadka Abigail Natay, zagadka zaginionego złota, zagadka Gao. Góra sama zdążyła się już zająć zagadką Binga. Uniósł wzrok w stronę pokrytego płatami śniegu szczytu. Ich wspinaczka zbliżała się do końca. Gdzieś pomiędzy miejscem, w którym stał, a wierzchołkiem krył się kres wszystkich zagadek.

Przystanek u końca tego smaganego wiatrem odcinka szlaku sprawiał wrażenie, jakby zbudowano go jako salę wykładową dla Abigail. Ściany wysokiej, prostokątnej, zamkniętej na przeciwległym końcu pieczary były gładkie, pokryte malowidłami, choć tylko w górnej części, ponad dwa metry nad ziemią. Poniżej znajdowały się następne rysunki Abigail, choć nie tylko jej. Znać było przynajmniej jeszcze jedną rękę, która zostawiła po sobie niemal nieczytelne tybetańskie napisy. W połowie długości pieczary ze stropu zwisała lina. Gdy Yangke pociągnął ją, dał się słyszeć miły dla ucha dźwięk ciężkiego dzwonu.

- To ślepy zaułek - stwierdził Hostene. - Podstęp. Przeoczyliśmy zamaskowaną ścieżkę. - Ale zdawało się, że niespieszno mu odejść, gdy z zakłopotaną miną chodził wzdłuż ścian. Czy jego siostrzenica także dała się nabrać?

Co dziwne, kredowe znaki Abigail były wyblakłe, jak gdyby liczyły wiele lat. Gdy Yangke zaczął czytać na głos tybetańskie słowa, Shan walczył z narastającym niepokojem. W górnej części ścian widniało kilka zagłębień; niektóre wyglądały jak małe miseczki, inne jak jamy bez widocznego końca. Światło sączyło się przez idealny okrąg wykuty w szczycie tylnej ściany, nieozdobionej żadnymi malowidłami. Poniżej biegła przez całą szerokość jaskini ciemna półka, półmetrowej wysokości szczelina. Shan wskazał kredowy znak, jakiego nie widział nigdy przedtem: okrąg przecięty poprowadzoną przez środek poziomą linią, z pionowymi kreskami biegnącymi w dół od środkowej linii do jego krawędzi.

- To stary symbol - powiedział Hostene - rzadko używany. Wydaje mi się, że oznacza Dom Wody. - Spojrzał na Shana i wzruszył ramionami.

Shan przyjrzał się dwóm filarom wykutym w żywej skale po obu stronach wąskiego wejścia. Kamień wokół nich został wyłobiony dłutem, tak że w ścianie powstały dwa wysokie, wklęsłe zagłębienia. Podniósł dwa ziarna żwiru i rzucił po jednym do każdego z zagłębień. To po południowej stronie odbiło się, drugie zniknęło bez dźwięku. Gdy uniósł wzrok, ujrzał Gao stojącego przed pieczarą na pochylni, której ostatnie kilkanaście metrów wyłożone było płaskimi, ciasno dopasowanymi płytami. Fizyk patrzył poza jej skraj, tam gdzie niski murek, biegnący wzdłuż brukowanego odcinka ścieżki, się wykruszył.

- Co to jest? - zapytał, wskazując stertę u stóp wysokiego podmurowania, na którym stali.

- Pnie i gałęzie - podsunął Shan. - Kiedy w wyższej partii stoku wiatr powali drzewo, w końcu trafia ono tu, na dół. Turla się na samo dno i płowieje do białości na słońcu.

- Tyle tylko że wyszliśmy ponad granicę drzew - stwierdził z niepokojem w głosie Gao.

Wiatr zaczął się wzmagać, smagając rosnące między kamieniami rzadkie kępy traw.

Nagle rozległ się jęk. Zaczął się jak ciche buczenie, które w szybkim tempie narastało, przybierając coraz wyższy ton, aż przeszło w niepokojący hałas, który zdawał się wydobywać ze skalnej ściany na końcu pieczary.

- Gardłowy śpiew! - jęknął Yangke. - Jak gdyby góra śpiewała!

Istotnie zdawało się, że sama skała przemówiła, wydając z siebie dźwięk przypominający początek jednej z owych niesamowitych śpiewanych modlitw wykonywanych przez niektórych starych mnichów. Gao wskazał okrągły otwór na końcu sali, który już wcześniej przyciągnął uwagę Shana. Inspektor krzyknął coś Yangkemu do ucha i chwilę później z pomocą Hostene'a i Gao wspinał się na ramiona młodego Tybetańczyka. Gdy się wyprostował, jego głowa znalazła się na równym poziomie z otworem ponad długą, skrytą w cieniu półką. Dźwięk stał się tak głośny, że musiał zasłonić

sobie jedną ręką ucho, podczas gdy drugą podpierał się dla równowagi, zaglądając w otwór. Wreszcie dał przyjaciołom znak, by opuścili go na ziemię.

- W otwór jest wpasowana drewniana tuleja z wąskimi listewkami jak stroiki w środku - poinformował ich. - Za tuleją otwór się rozszerza. To piszczałka, nastrojona dokładnie na ten dźwięk.

- Ale dlaczego właśnie ten? - zapytał Gao. - Co on oznacza?

Yangke i Shan wsłuchali się z uwagą. Nagle oczy młodego Tybetańczyka rozbliły zrozumieniem.

- Dźwięk zarodkowy - powiedział, mając na myśli jeden z podstawowych dźwięków używanych w tybetańskich rytuałach. - *Vam!* - oświadczył. - To jest dźwięk zarodkowy *Vam*.

Shan przekrzywił głowę, mówiąc sobie, że to niemożliwe. Ale dźwięk był teraz rozpoznawalny ponad wszelką wątpliwość. Każdy podmuch ponawiał sylabę. Jej ton hipnotyzował czwórkę mężczyzn. Mnisi sprzed pięciuset lat przemawiali do nich.

Hostene, z coraz bardziej zdumioną miną, zakrył uszy dłońmi. Gao patrzył już nie na otwór w górze, lecz na wejście. Shan odciągnął Yangkego w kąt, gdzie dźwięk był mniej intensywny.

- Co on oznacza? - zapytał.

- Kolor niebieski - odparł Yangke. - I północ. I... Dźwięk znów przybrał na sile. Towarzyszył mu teraz nowy odgłos, cichy, szmerzący pomruk.

Shanowi przypomniały się leżące w dole zbielełe kawałki drewna.

- Uciekajcie! - krzyknął, popychając Hostene'a i Gao naprzód, a Yangkego w stronę wejścia.

Byli w połowie długości pieczary, gdy półka pod otworem zmieniła się w wodospad. Zarodkowy dźwięk miał istotnie jeszcze jedno znaczenie. Wodę.

Wytrysnęła ze ściany z siłą tsunami. Zgodnie z intencją budowniczych, nie zdążyliby zbiec ścieżką do bezpiecznego miejsca w dole. Shan pchnął Yangkego w cień za północnym

filarem. Tybetańczyk zrozumiał go w mig i wciągnął Hostene'a w wąską szczelinę, nim dotarła do nich ściana wody. Shan chwycił Gao za kołnier kurtki, gdy fala zwała naukowca z nóg, po czym zaparł się w szczelinie. Musiał wyciągnąć go z rwącego potoku, obaj zaś musieli wydostać się wyżej, gdyż woda wzbierała gwałtownie i nie miała przestać, jak już wiedział, póki nie osiągnie poziomu tuż poniżej starych malowideł, ponad dwa metry od dna pieczary.

Ciągnął Gao za kołnier, nie mając odwagi użyć obu rąk w obawie, że straci równowagę. Nim zdołał wciągnąć fizyka w szczelinę, ich głowy były już pod wodą. Nie widząc nic w kotłującej się czerni, Shan posuwał się po omacku. Pod stopami wyczuł wąski stopień, potem kolejny, i jeszcze jeden. Pośliznął się, nieomal wypuszczając Gao. Potem czyjeś ręce chwyciły go i pociągnęły w górę.

Stwierdził, że leży na ziemi w kolejnej pieczarze. Z wysiłkiem dźwignął się na czworaki, zwracając wodę, którą połknął. Obok niego Gao również wykrztuszał z siebie wodę, klepany przez Hostene'a po plecach.

-To nie było zbielałe drewno — powiedział fizyk, gdy tylko odzyskał dech.

- Nie - przyznał Shan.

To były nagromadzone przez setki lat szczątki pielgrzymów, którzy nie mieli tyle szczęścia; kości pozostałe z dwudziestu, może trzydziestu ciał.

Rozmawiali pospiesznie, z niedowierzaniem w głosie, wysuwając rozmaite teorie, dopóki nie pojęli w końcu, co zrobili dawni mnisi-inżynierowie. Dzwon. Każdy pielgrzym pociągnąłby za sznur od dzwonu, gdyż dzwony odpędzały złe duchy. Lina jednak nie tylko kołysała dzwonem, ale i uruchamiała mechanizm, który zwalniał opadającą pod własnym ciężarem zasuwę w zaporze, połączoną z szerokim otworem na końcu pieczary. Ścieżkę wybrukowano w górnej części, by zabezpieczyć ją przed zmyciem podczas okresowych powodzi. Boczny mur nie rozsypał się ze starości, ale celowo został zbudowany w ten sposób, by utworzyć śmiertelną pułapkę dla pechowców, którzy zostali wymyjni z pieczary. Znaleźli zaginioną wodę z roztopów, potok niegdyś płynący tunelem, którym dostali się na górną część kory.

Ich entuzjazm z odkrycia i radość z ocalenia przygasły wkrótce, kiedy uświadomili sobie, że cały ich dobytek, włącznie z tym, który przywiózł Gao, został porwany przez wodę. Nie mieli nic do jedzenia, nie mieli pielgrzymich worków, nie mieli nawet lampki maślanej. Kostur, który Hostene ścisnął kurczowo podczas całej przygody, oraz zawartość ich kieszeni były wszystkim, co im pozostało. Zrobili przegląd. Telefon Gao. Krzemień. Dwa scyzoryki. Parę ogryz-ków ołówka. Kilka piórek, które Hostene zebrał po drodze. I, jak wiedział Shan, sekretna zawartość kamizelki Indianina. Yangke, w przemoczonym ubraniu, zaczął dygotać, potarł ramiona i spojrzał wyczekująco na Shana.

Hostene zerknął w stronę wąskich schodów, które ocaliły im życie. Nie miał możliwości dowiedzieć się, czy Abigail miała dość szczęścia. Wstał i ruszył w stronę światła na końcu korytarza.

Brnęli pod górę ścieżkami zdatnymi jedynie dla kóz. Gdy zapadł zmierzch, rozpalili ognisko z koziego łajna pod głębokim nawisem otoczonym skałami poczerniałymi od uderzeń piorunów, przy malowanym wizerunku smoczego boga.

- Kiedy schwytamy tego szalonego mnicha - zapytał Gao, patrząc na utrzymane w żywych barwach malowidło - co się z nim stanie?

- Nie wiem - odparł Shan. - To zależy od was.

- Z powodu tego, co spotkało Thomasa?

- Z powodu tego, że tylko wy jedni możecie donieść o nim władzom.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Zabierzemy go do Drango, by ocalić życie Genduna. Był to nierozwiązywalny dylemat, który dręczył Shana,

odkąd rozpoczęli swą dziwną pielgrzymkę. Bez względu na to, jak obłąkany był Rapaki, Gendun nigdy nie wybaczyłby Shanowi, że dla ratowania mu życia poświęcił życie pustelnika.

- Myślę, że moja decyzja nie będzie miała znaczenia — stwierdził Gao. — Major Ren wkroczył już do akcji.

Słowa te uciszyły ich. Na tej górze nie było pielgrzymów, uświadomił sobie Shan. Byli tylko uciekinierzy. Własna

przeszłość wyprzedziła każdego z nich, zmieniając ich życie. Każdy, włącznie z nim samym, zaczynał pojmować, że przyszłość niesie im tylko pustkę.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytał Gao Indianina, wskazując przedmiot, który ten trzymał w złączonych dłoniach.

Hostene znalazł kawałek drewna odłamany od masztu starej flagi modlitewnej i wysnutą z koszuli nitką przywiązał do niego kilka piór.

- Doszliśmy na szczyt góry - odparł Indianin. - Rano z tym skończymy. Pora przyzwać bóstwa. - Zdjął koszulę, nałożył jedynie swoją kamizelkę i ponownie pokrył pyłem swe obnażone ramiona.

Gao pogmerał w ogniu.

- Musi pan zrozumieć - powiedział cierpliwym głosem. - Jestem naukowcem.

- A ja byłem kiedyś sędzią - odparł z powagą Hostene. - Ale ta góra nauczyła mnie czegoś. Tu nie liczy się to, co włożyliśmy sobie do głów, ale to, co włożyliśmy w nasze serca. - Wstał i przesiadł się kilkanaście metrów dalej, skąd miał lepszy widok na słońce zachodzące nad odległym o setki kilometrów horyzontem.

- Może problem z dostawą zmusił Heinza do przekroczenia granicy - odezwał się chwilę później Shan. - Mówiliście, że firma prowadzi wiele interesów w Indiach.

Gao, przechyliwszy głowę, przyglądał się Indianinowi.

- I tu odgrywacie cwane detektywa próbującego podstępem skłonić mnie do wyznania sekretów. Nie słyszeliście, co powiedział przed chwilą Hostene?

- To ja zdradzę wam sekret, doktorze. Thomas mógł sprawiać poważny problem, ale powód, dla którego zginął, był prosty. Próbował dotrzeć do prawdy. - Shan opowiedział mu o pedantycznych badaniach chłopaka na miejscu zbrodni.

- Mamy magazyn, gdzieś w Bengalu - powiedział w końcu Gao - i ten dom nad oceanem, na południu. Piękne plaże. Widzieliście zdjęcie.

- Kto ustala, kiedy i z jakim ładunkiem wyjeżdżają ciężarówki do Indii?

- Nie wiem. Heinz będzie wiedział. On troszczy się o szcze-



góły. Teraz jest pewnie w Tashtul i zajmuje się za mnie zwłokami Thomasa.

- Jeszcze jedno. Gdzie Heinz spędził wakacje?

Gao nie odpowiedział. Ognisko zaczęło dogasać. Wkrótce Shan nie widział nic poza dwojgiem ledwo majaczących oczu wpatrzonych w gwiazdy.

Koniec świata nastąpił po północy. Nie było ostrzeżenia w postaci wiatru czy deszczu, jedynie potężny, ogłuszający grzmot, który dosłownie wtłoczył Shana i jego przyjaciół pod tylną ścianę nawisu, a po nim oślepiająca eksplozja światła. Przybyli do miejsca, gdzie rodzą się błyskawice. Dotarli do siedziby boga gromu.

Pioruny uderzały jeden po drugim z niszczycielską siłą, która zdawała się rozszczebiać nie tylko niebo, ale i górę. Powietrze wrzało, napływając i odpływając z ich małej niszy w rytm piorunów niczym oddech jakiegoś ogromnego zwierzęcia.

- Oczy! - wrzasnął Shan, starając się przekrzyczeć hałas, wymachując rękami. - Zasłońcie oczy! - Patrzyli na niego tępo bez słowa i nagle zrozumiał dlaczego. Był głuchy, a sądząc po ich minach, oni również. Podczołgał się do każdego z nich, unosząc im ręce do oczu i na migi pokazując, by odwrócili się twarzami do ściany, plecami do błyskawic.

Zdawało się, że nigdy nie będzie temu końca. Mogli zginąć tak łatwo. Jeden z piorunów mógł wpaść do ich ciasnej kryjówki, zmieniając ich w skurczone, zwęglone truchła ku przestrodze dla przyszłych pielgrzymów.

Trwało to i trwało, eksplozje, od których tracił nie tylko słuch, ale i czucie w całym ciele, błyski tak silne, że nawet odwrócony tyłem, w powietrzu przesyconym metaliczną wonią, z oczyma zasłoniętymi ramieniem, widział niekiedy szkarłatny poblask na swej skórze. Stwierdził, że zapada się gdzieś, gdzie nie był nigdy dotąd, być może do miejsca, które budowniczowie szlaku przewidzieli jako cel wędrówki. Jego ciało zniknęło, zniknęły zagadki, zniknął nawet on sam. Były tylko eksplozje, światło, drgające powietrze oraz jedno pytanie, które gwarantowało, że jeśli ktoś kiedyś znajdzie jego szczątki, na jego twarzy będzie malowało się zdumienie - czy to takie właśnie uczucie być bogiem?

## ROZDZIAŁ 14

Jego przyjaciele byli martwi. Gdy burza ucichła w końcu, czołgał się w rozpacz od jednego do drugiego, szturchając ich, klepiąc po plecach, gdy leżeli skuleni pod ścianą. Nie poruszali się. Ich ciała były tak twarde i skurczone, że zdawało się, iż zostali upieczeni żywcem.

Shan oparł się ciężko o skałę, wyczerpany na ciele i duszy, po czym zrobił w końcu przegląd własnych zmysłów. Widział gwiazdy i księżyc, czuł wiatr na twarzy, ale niczego nie słyszał. Bolały go ręce i nogi, włosy na karku i ramionach miał przypalone. Jego koszula stała się sztywna i krucha przy mankietach.

Zwinął się w kłębek na skalnej półce, tym razem plecami do ściany, wciąż tak otępiały, że nie czuł nawet rozpacz, przewidywał tylko, jak bolesna będzie, kiedy się pojawi. Obejrzał się na swych towarzyszy. Ich dłonie były zwinięte w pięści, wciśnięte pod podbródki. U zwłok nazywało się to pozycją boksera, efektem długo działającego gorąca, które powodowało kurczenie się mięśni. Z wilgotnymi od łez oczyma zapatrzył się w skąpane w blasku księżyca łańcuchy gór.

Nagle trąciła go czyjaś stopa. Ktoś sprawdzał, czy on żyje.

Wyglądało to, jak gdyby byli zamarznięci i powoli tajali. Nie widział, do kogo należała stopa, ale pomógł poruszającej się postaci rozprostować kończyny, po czym zaciągnął ją w światło księżyca. Mężczyzna dźwignął się do pozycji siedzącej. Dygocąc, ścisnął jego dłoń. Był to Gao.

Shan usiadł przy nim i na migi wyjaśnił mu, że nie słyszy, na co Gao odpowiedział podobnym gestem. Potem wrócił w głębszy cień, zostawiając fizyka zamyślonego nad poczerniałymi brzegami swego ubrania. Odszukał dwa po-

zostałe kształty pod skałą i zbadał im puls. Hostene i Yangke również wracali do życia.

Pół godziny później wszyscy czterej siedzieli w świetle księżyca. Shan trzymał na kolanach głowę Yangkego, Hostene ścisnął Tybetańczyka za rękę. Wszyscy byli głusi, ale Yangke był także ślepy.

Nikt nie protestował, gdy rankiem Shan objął przywództwo, nikt nie sprzeciwił się, gdy znów poprowadził ich w górę. Po krótkiej wspinaczce, podczas której Hostene prowadził Yangkego za rękę, dotarli na szeroką, osłoniętą półkę skalną, na której znaleźli nie tylko małe kępki wrzosu, ale i kilka kałuż wody. Zaprowadzili Yangkego do kałuży, a kiedy napił się do syta, polali mu wodą głowę i zamknięte oczy, po czym pozwolili mu zwinąć się w kłębek na ogrzonym przez słońce mchu i zasnąć. Umyli się. Hostene znalazł parę małych, pokrytych woskiem jagód, które, choć cierpkie, pozwoliły im oszukać głód. Siedzieli, wciąż jeszcze w lekkim szoku, patrząc na siebie nawzajem, pocierając uszy, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę szczytu, od którego dzieliła ich już tylko godzina wędrówki. Jeśli przeżyła, Abigail mogła być tam, głucha i niewidoma jak Yangke. Ale nocne przeżycia wyczerpały ich siły. Ciepło małej kotlinki sprawiło wkrótce, że pokładli się na skałach, zapadając w sen.

Gdy Shan obudził się może dwie godziny później, gdzieś z oddali dobiegł go śpiew ptaka. Zobaczył go zaledwie trzy metry od siebie i sennie przyglądał się, jak skubie jagody. Dlaczego słyszał go z tak daleka? Usiadł, uświadomiwszy sobie z radością, co to znaczy. Odzyskiwał słuch. Odwrócił się i ujrzał Hostene'a pochylonego nad Yangkem, którego twarz była teraz żółta.

Indianin otworzył swój cenny woreczek z przywiezionym z domu świętym pyłkiem. Posypał nim dłonie Yangkego i nieco mocniej jego policzki i czoło, teraz zaś pochylał się nad Tybetańczykiem, przemawiając do czubka jego głowy i wymachując w powietrzu swą pierzastą różdżką. Niezrozumiałe słowa, które zdawały się dochodzić do Shana przez długą rurę, sprawiły, że znów zaczął obawiać się o swe zmysły, dopóki nie uświadomił sobie, że Hostene mówi w swym ojczyństym języku.

Shan przeciągnął się, wstał, przeszedł parę kroków ścieżką w stronę szczytu, po czym zaczął zbierać jagody dla Yangkego. Wkrótce dołączył do niego Gao, który przyznał, że jemu także zaczyna powracać słuch. Gdy wrócili z jagodami, Yangke siedział prosto, ze skrzyżowanymi nogami, przesuając dłoń w tę i z powrotem nad kolanami.

-Widzę cienie - powiedział z nadzieją w głosie. Słyszał już doskonale, wyjaśnił, po czym łapczywie połknął jagody, które wysypali mu na rękę.

Po przejściu naturalnego skalnego korytarza, pokrytego najbardziej przerażającymi malowidłami, jakie widzieli dotychczas, ujrzeli przed sobą niemal półkilometrowej szerokości nieckę tuż pod wierzchołkiem góry. Zdawało się, że jest wypełniona rumoszem, potrzaskanymi, osmalonymi od piorunów odłamkami skalnych bloków, które osunęły się z iglicy. Na środku, w jej najniższym punkcie, ział otwór - nie krater, ale poszarpana wyrwa w materii szczytu, szczelina mniej więcej trzydziestometrowej długości i dziesięciometrowej szerokości. Teren wokół niej uprzątnięto, pozostawiając jedynie największe ze skalnych płyt. Jej skraj otaczały wysokie kopce, na których trzepotały gdzieniegdzie ostatnie strzępy flag modlitewnych z innego stulecia.

Szeroka ścieżka łączyła kraniec szczeliny z płytką pieczarą u podstawy szczytu, wysoką na sześć metrów jamą powstałą przez wydarcie wielkiego kęsa skały. W połowie drogi między pieczarą a szczeliną dostrzegli dwie postacie. Jedna, w gęsto połatanej czerwonej szacie, posuwała się wśród pokłonów w stronę wyrwy. Druga, ubrana w długą, zieloną suknię, liczne złote bransolety i wysokie przybranie głowy, wlokła się za nią.

Hostene ruszył biegiem przed siebie. - Nie! - krzyknął na próżno Shan.

Stracili przewagę zaskoczenia, stracili wszelką szansę na zrozumienie, co się dzieje, nim staną naprzeciw tych w dole. Gao minął go pędem, trzymając za rękę Yangkego. Teoretycznie miał prowadzić ślepego Tybetańczyka, zdawało się jednak, że sam jest przez niego ciągnięty.

Shan pozostał w tyle, próbując ujrzeć to miejsce tak,

jak widziałby je Lokesh, jak pragnęli jego budowniczości. Poprzedniej nocy przeżyli koniec świata, a teraz dotarli do siedziby bogów. Dla ludzi wierzących, że najwyższymi z bóstw są bogowie piorunów, takie miejsce byłoby bramą niebios, kresem podróży wędrującej Tary. Przyjrzał się szczelinie, bijącemu pokłony mnichowi, dziwnie bezwolnej Indiance, po czym pobiegł do Gao.

- Nie róbcie tego — powiedział. Zaskoczyło go, że nie może złapać tchu, nim przypomniał sobie o rozrzedzeniu powietrza.

— Czego mam nie robić? — zapytał Gao.

- Nie wiem. - Shan poczuł, jak cierpnie mu skóra. - Nie wiercie, że jest tak, jak się wydaje.

— Powiedzcie to jemu — odparł Gao, wskazując Hostene'a, który szedł teraz obok siostrzenicy, próbując przyciągnąć jej uwagę.

Abigail Natay wyglądała, jak gdyby przybyło jej dziesięć lat. Twarz miała kredowobiałą, oczy zapadnięte, włosy wystające spod starego przybrania głowy od kostiumu Tary matowe i splątane. Była obsypana pyłkiem. Na jednej z jej dłoni widniał zwięzający się na końcach kleks białej farby. Dorobiła się trzeciego oka. Hostene sprawiał wrażenie, jak gdyby nie był w stanie jej dotknąć. Shan zatrzymał się kilka metrów od nich, patrząc, jak Indianin wyciąga rękę, zatrzymuje ją parę centymetrów od swej siostrzenicy, cofa ją, po czym robi to wszystko raz jeszcze. Nie dała po sobie poznać, że go widzi, szła, nie odrywając wzroku od podskakującej w górę i w dół głowy pielgrzyma przed sobą.

Rapaki, posuwający się w ślimaczym tempie bijącego pokłony pielgrzyma, najwyraźniej zmierzał do kamiennego ołtarza na skraju szczeliny, obok długiej, potężnej płyty, która upadła tak, że wystawała jakieś dwa i pół metra poza krawędź wyrwy.

Odwróciwszy się, Shan zobaczył, że Gao prowadzi Yangkego do kręgu płaskich kamieni ustawionych niczym siedzenia przed pieczarą. Nagle fizyk przystanął ze stężałą twarzą, patrząc na coś leżącego na dnie pieczary. Shan zrobił krok w tę stronę, potem jeszcze jeden, próbując to dostrzec, i nagle ruszył biegiem. Zza skały w pieczarze wystawała noga leżącego mężczyzny.

Minął pędem Gao. Chwilę później był już przy leżącej twarzą do ziemi, skrępowanej liną postaci.

- Skąd... - zaczął fizyk, gdy nagle dostrzegł kolor włosów mężczyzny. - Co oni zrobili? - jęknął.

Shan obrócił mężczyznę na plecy. Był to Heinz Kohler.

Z poszarpanego skaleczenia na skroni Niemca płynęła krew. Ramiona miał przywiązane do boków liną z włosa jaka, owiniętą kilkanaście razy wokół jego ciała. Gao pochylał się nad swym nieprzytomnym przyjacielem, oglądając jedną rękę, potem drugą. Uspokojony, że dłonie Kohlera są wciąż na miejscu, zaczął go rozwiązywać. Obok stał oparty o skałę krótki obrzędowy topór. Jego dziesięciocentymetrowe ostrze pokrywały brązowe plamy. Shan podniósł narzędzie. Odpowiadało zarysowi, który widział na ścianie składu w jaskini pustelnika. Pośrodku ostrza widniało lekkie wyszczerbienie.

Ułożyli Kohlera na słońcu, Shan zaczerpnął w dłonie deszczówkę i z naturalnego zagłębienia w skale i spryskał nią twarz Niemca, podczas gdy Gao pochylał się nad nim, ocierając mu chusteczką krew z policzka. Kohler zamrugał i otworzył oczy. Patrzył na Gao przez dłuższą chwilę, zanim go rozpoznał.

- Związali mnie - wyjaśnił słabym głosem. - Rapaki. On jest szalony. Rzucił na nią jakieś zaklęcie. - Potem rozejrzał się nieco przytomniej i usiadł. - Abigail! - krzyknął, po czym z trudem podniósł się na nogi i pobiegł w jej stronę.

Nie miał żadnych oporów przed dotknięciem jej. Chwycił ją i pchnął w stronę Hostene'a, po czym popędził ku Rapa-kiemu.

Pustelnik był już niemal na skraju szczeliny, przed małym ołtarzem. Shan dotarł do niego pierwszy, ale zawahał się.

- Czyżby wasi starzy lamowie nie pochwalali zakłócania spokoju obłąkanemu zabójcy, który udaje pielgrzyma? -zapytał gorzko Kohler.

Dopiero teraz Shan spostrzegł, że Rapaki niesie przytroczoną do paska skórzaną torbę, pielgrzymi worek.

- Rapaki - zawołał łagodnie. Pustelnik nie zareagował.

Abigail znów szła przed siebie, powtarzając ruchy Rapa-

kiego, jak gdyby powiązana z nim niewidzialnym sznurem. Kohler, z twarzą znów zalaną krwią, spojrział ze zniecierpliwieniem na Hostene'a, po czym podbiegł do niej i przerzuciwszy ją sobie przez ramię, zaniósł do pieczary.

Mantra, którą nucił Rapaki, brzmiała teraz głośniejsze i dziwnie radośnie.

- Nie rozumiem - powiedział Hostene. Zrobił kilka kroków w stronę siostrzenicy, już, jak się zdawało, bezpiecznej, po czym zatrzymał się, patrząc niepewnie na pustelnika.

- On przyszedł złożyć ofiarę - wyjaśnił Shan, wskazując gestem ołtarz.

- Komu?

- Wszystkim bogom i świętym, którzy mieszkają w dole.

- W dole?

- Szukał tego przez całe życie. Abigail pokazała mu drogę. Bayul, siedziba bogów.

Obejrzeni się za siebie. Gao dołączył do Kohlera, ocierając twarz Abigail, podczas gdy Niemiec okrywał ją kocem.

- Na co czekacie? - zawołał Hostene. - On jest zabójcą!

- Dajmy mu skończyć - odparł Shan. - Po tym, jak przeszedł całą tę drogę, po wszystkich tych latach, dajmy mu dotknąć ołtarza i złożyć ofiarę.

- On musi stanąć przed sądem - ciągnął Hostene. - Musimy zabrać go do wioski. Niech pan pomyśli o Gendunie i Lokeshu.

To właśnie robię, pomyślał Shan.

Podszedł do ołtarza i usiadł na ziemi. Rapaki, z rozpromienioną twarzą, dotknął ołtarza, po czym wstał i skłonił głowę. Jego pielgrzymi worek był ciężki, rozepchany przez znajdujące się w nim pokaźnych rozmiarów przedmioty. Wydobyl spod szaty mały szmaciany woreczek, z którego wyjął kilka tradycyjnych ofiar, układając je na kamiennym ołtarzu. Spojrział z roztargnieniem na Shana, znów zajął się odczepianiem przedmiotów od paska, po czym przerwał i utkwiał w nim wzrok. Wyciągnął palec i przycisnął go do jego piersi, obejrzał się w stronę Abigail w pieczarze, po czym znów niepewnie spojrział na Shana.

Shan wyciągnął spod koszuli stare gau Lokesha. Rapaki uśmiechnął się i dotknął kasetki, kiwając głową, jak gdyby

wiedział, że przynajmniej to istnieje naprawdę. Potem zdjął swe sfatygowane buty i szatę, tak że nie miał na sobie nic poza przepaską na biodrach, sznurkiem paciorków na nadgarstku i małym srebrnym gau na szyi. Kucnął na chwilę, pisząc w pyle pod ołtarzem pierwsze słowa mantry do bodhisattwy współczucia. Przerwał, ponownie dotknął gau Lokesha, po czym znów zaczął pisać, tym razem drugą ręką. Rapaki nigdy nie chodził do oficjalnych szkół. Sam nauczył się pisać, używając i prawej, i lewej ręki. Był oburęczny.

- Co on robi? - Shan spostrzegł, że Hostene odszedł do Abigail, a przy nim stoi teraz Gao.

Rapaki starannie złożył swą obszarpaną szatę, po czym wszedł na sterczącą nad szczeliną płytę i zatrzymując się w połowie jej długości, rzucił szatę w czeluść. Spadała przez krótką chwilę, nim porwał ją prąd wstępujący i poszybowała w górę, unosząc się wciąż wyżej, aż w końcu rozwinęła się i kołysała nad ich głowami niczym zawieszony w powietrzu mnich-widmo.

- Lina - odezwał się cicho Shan do Gao. - Może dałoby się go związać.

Naukowiec niepewnie pokiwał głową, zerkając nerwowo na unoszącą się wciąż w górę szatę, po czym pobiegł do pieczary.

Rapaki tymczasem wyciągnął z za przepaski skórzane zawiniątko, rozłożył je i wysypał sobie zawartość na dłoń. Pyłek. Pustelnik posypywał sobie głowę pyłkiem. Shan sięgnął do kieszeni i wyjął znaną w dole małą bryłkę złota. Wyciągnął ją na dłoń. Rapaki dostrzegł ją, przez chwilę spoglądał to na szczelinę, to na Shana, wreszcie podszedł i z lekkim skinieniem głowy przyjął od niego złoto.

-*Lha gyal lo* - szepnął Shan. Uniósł prawą rękę pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wewnątrz dłoni kierując ku przodowi.

Rapaki wydawał się Shanowi pogodny jak nigdy.

-*Lha gyal lo* — powtórzył chrapliwym głosem pustelnik, przyglądając się jego dłoni, po czym znów skinął głową. Wrzuciwszy bryłkę złota do worka, przeszedł na koniec płyty. W tym momencie wiatr osłabł i szata wolno spłynęła w dół. Rapaki wyciągnął przed siebie worek na długość ramienia,



wypowiadając słowa, których Shan nie dosłyszał, i upuścił go w głąb szczeliny.

Shan nie widział, by pustelnik się poruszył. Zdawało się, że sam wiatr po prostu sięga po niego. W jednej chwili stał na płycie, obserwując spadającą torbę, w następnej spadał w ślad za nią w pustkę, mijając swą spływającą trzepocącym lotem szatę. Jego mantra zdawała się brzmieć coraz głośniejsze, w miarę jak leciał w dół. Shan słyszał ją wciąż, kiedy Rapaki zniknął już z pola widzenia, pozostawiając po sobie tylko pustą szatę, opadającą z wdziękiem w cień.

Nie wiedział, jak długo wpatrywał się w czeluść. Gdy się odwrócił, Gao i Hostene stali przy ołtarzu z gniewnymi minami, jak gdyby ograbił ich z czegoś.

- Co znaczył ten wasz znak ręką? - zapytał Gao.

- Nic - odparł Shan. Ale to nie była prawda. Shan w końcu pojął wszystko i jedyną rzeczą, jaką mógł zaoferować Rapakiemu, była mudra *abhaya*, gest zwany Udzieleniem Schronienia.

- On miał torbę - zauważył Hostene. - Po co zabrał tę starą torbę?

Shan spojrzał na Indianina. Jego oczy powiedziały mu, że Hostene rozumie, ale musi usłyszeć to wypowiedziane na głos.

- Tojego ofiara. Bóstwo, do którego się modlił, najwyraźniej upodobało sobie naszyjnik z ludzkich członków.

- Dłonie - mruknął Gao.

- Próbowałem go powstrzymać, zabezpieczyć dowody - odezwał się nowy głos za ich plecami. Kohler. - Ale on uderzył mnie i związał.

Shan przyjrzał się uważnie przedmiotom, które Rapaki zostawił na ołtarzu. Agatowy paciorek *olzi*, tradycyjny amulet na szczęście. Mała srebrna kasetka na kadzidło. I znajdujący się wciąż w płóciennym woreczku twardy przedmiot o nieregularnych kształtach. Shan rozpoznał go po dotyku. Podał woreczek Hostene'owi.

- Żuk! - wykrzyknął Indianin. Był to złoty żuk Abigail. Hostene poszedł za Shanem, gdy ten przeszedł na koniec

płyty, skąd skoczył pustelnik. Indianin wskazał niewielki występ piętnaście metrów niżej, potem drugi głębiej, i jesz-

cze jeden z boku. Z pierwszego zwisała szmata, część garderoby, która zahaczyła się o nierówność skały. Na pozostałych dwóch leżały małe żółte kamyki.

- To tu trafiało złoto, prawda? - powiedział. - Zaginione złoto. Przez wszystkie te wieki oni po prostu zanosili je do bayulu.

Shan skinął głową, gdy nadeszli Gao i Kohler.

- To, zdaniem dawnych Tybetańczyków, był najlepszy użytek, jaki można było zrobić ze złota. Oddanie czci bóstwom.

Hostene smutno, z powagą skinął głową.

- Już po wszystkim. On nikogo już nie zabije.

- Nie w tym świecie - dopowiedział Kohler. Potem, przypominając sobie o Abigail, odwrócił się i pobiegł z powrotem do pieczary.

Gao przez chwilę patrzył w ślad za Niemcem.

- Heinz wrócił wczoraj - wyjaśnił Shanowi. - Kazał przywieźć się helikopterem tutaj, gdy się dowiedział, że wysadzono mnie pod szczytem. Był tu już, kiedy przyszedł Rapaki z Abigail, i szybko domyślił się, co się stało. - Fizyk przez chwilę przyglądał się ołtarzowi, po czym spojrzał w czarną otchłań. - Jak to się dzieje? Jak to możliwe, że święty mąż wpada w obłąd?

- Być może prawdziwym cudem współczesnego Tybetu - odparł Shan - jest to, że nie wszystkich to spotyka.

Uznali, że Abigail powinna odpocząć przed dalszą wędrówką, tak więc postanowili rozłożyć obóz w płytkiej pieczarze. Nie było drewna na rozpalenie ognia, ale otaczające szczyt kozie ścieżki zasłane były wyschniętym łajnem. Kohler i Hostene wyruszyli, by nazbierać opał w bandanę, podczas gdy Yangke, z prowizoryczną przepaską na oczach, siedział przy śpiącej Abigail, trzymając ją za rękę. Badając tylną część jaskini, Shan znalazł w cieniach małą żelazną miskę oraz dwa popękane ceramiczne dzbany z zaschniętym tłuszczem w środku, wyrzucone dawno temu lampki maślane.

Wkrótce w misce gotowała się na wolnym ogniu deszczówka, do której wrzucili drobne listki. Podczas gdy herbata się parzyła, Hostene przejrzał zawartość plecaka swej siostrzenicy. Były tam cztery pierzaste różdżki, dwie małe

figurki ketaan, a nawet parę główek kwiatów w foliowym woreczku, zebranych, by uzyskać z nich pyłek. Hostene pokazał im jej dziennik, wskazując kilka nowych stron zapisków, opisujących ostatnio odkryte sanktuaria, ale nic więcej, ani słowa na temat wspinaczki na szczyt, żadnych notatek z dni po śmierci Thomasa. Potem jednak zwróciło ich uwagę miejsce, gdzie zapiski się urywały. Ktoś wydarł z jej cennej książki kilkanaście stron.

Pijąc herbatę, Abigail powoli wychodziła z transu, aż w końcu samodzielnie trzymała w dłoniach ciepłą czarę, kołysząc się w przód i w tył przed ogniskiem i wpatrując w napój. Hostene siedział obok, przyglądając jej się z troską.

- *Lha gyal lo* - powiedziała, patrząc tylko na Shana, po czym oparła się o ramię wuja. Wyglądała teraz jak zmęczona i przerażona dziewczynka.

- To choroba wysokościowa - oświadczył Kohler. - Widziałem to wiele razy. Objawy bywają różne. Czasem, gdy występuje obrzęk mózgu, chory traci wszelkie poczucie rzeczywistości. Myślę, że staje się wtedy zdolny do wszystkiego. - Odwrócił się do Gao. - Pójdę sprowadzić pomoc.

- Nie, Heinz - odparł Gao. Odkąd Rapaki rzucił się w rozpadlinę, niemal nie odrywał od niej wzroku. - Mamy tu ślepcę, chorą kobietę i dwóch starców. Nie damy rady wrócić na dół bez ciebie i Shana. Zostały tylko dwa kostury. Będziemy potrzebowali ich obu, żeby zejść po tym łańcuchu. - Starcy? Ty i Hostene? Ludzie z żelaza nie starzeją się, nawet jeśli rdzewieją na brzegach.

Gao puścił mimo uszu ten komplement.

- Potrzebujemy odpoczynku. Jak nam przypominałeś, sama wysokość może nas zabić, jeśli nie będziemy uważać. Co do tego mnicha, zastanawiam się, czy nie należałoby wypowiedzieć pewnych słów.

- Słów? - prychnął Kohler. - Dla krwiożerczego zabójcy? Jak myślisz, co miał w tej cholerniej torbie? Nie zanosił swym pogańskim bogom cukierków. To, czego brakowało Thomasowi, było... - Urwał w pół zdania, dostrzegając wściekłą minę Gao. - W porządku - powiedział. - Dobrze. Zostanę.

- Nie rozumiecie Rapakiego - rozległ się cichy, ochrypły głos. To mówił oślepiiony Yangke. - Z początku bardzo starał

się zrozumieć, co znaczy być mnichem, ale nie miał żadnych nauczycieli. To tak, jakby przez całe lata spał, zmagając się z koszmarnymi snami, a dziś właśnie w końcu się obudził.

Nikt się nie odezwał. Po policzku Abigail spłynęła łza. Nie powiedziała nic, nie podała żadnego wyjaśnienia, nie uniosła już więcej wzroku znad herbaty. Hostene nie odstępował od niej, z twarzą pociemniałą od troski i złych przeczuc.

Po południu ułożyli się do snu. Shan, wiedząc, że nie zdoła zasnąć, pomógł Yangkemu położyć się obok Hostene'a, po czym opuścił obóz z bandaną, by zebrać więcej opału. Tego dnia nie wybierali się już nigdzie, a noc miała być długa i zimna. Zbadał każdą z kozich ścieżek, z których wiele urywało się na maleńkich, kilkucentymetrowej szerokości występach przytulonych do skalnych ścian, po których nie przeszedłby żaden człowiek. Wspinając się w stronę szczytu, po raz pierwszy dostrzegł małą półkę skalną, skąd roztaczał się widok zarówno na wschodnie, jak i na zachodnie zbocze. Coś połyskiwało na niej w słońcu. Ukrył się na chwilę, po czym ostrożnie ruszył naprzód. Dzielilo go od półki jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy rozpoznał, co to jest, i cofnął się. Dwa małe lśniące panele baterii słonecznych przytwierdzone były do metalowej skrzynki, z której sterczały dwa niemal dwumetrowej długości pręty, wszystko to pomalowane szarą farbą koloru okolicznych skał. Natknął się na radiową stację przekaźnikową bazy wojskowej z dołu.

Pół godziny później, zawiązawszy solidnie wypełnioną bandanę, znalazł kolejny występ dający nieprzesłonięty widok na południe i wschód. Podszedł na jego skraj, walcząc z pokusą, by usiąść na godzinę ze skrzyżowanymi nogami i pozwolić, by smagał go wiatr. Nie śmiał jednak opuszczać na tak długo obozu. Tajna baza wojskowa była stąd widoczna jak na dłoni, nie więcej niż trzy kilometry od niego. Ponad nią wznosiła się potężna, nachylona pod ostrym kątem skalna ściana podziurawiona dziwnymi dołkami. Uklęknął i osłaniając oczy dłonią, przyjrzał się uważnie. To nie były dołki. Wzdłuż pradawnych kozich ścieżek zbudowano stopnie, a wojsko użyło haubic, by je zniszczyć. Nie wszyscy wierni ginęli na szczycie. Przez całe wieki mieli

drogę, która po wizycie u górskiego boga wiodła ich w leżącą w dole żyzną, zieloną dolinę - pielgrzymowi, który przebrnął przez starą korę bonu, musiała się ona zdawać rajem. Przez chwilę rozblęła w nim nadzieja, że da się jeszcze znaleźć bezpieczne zejście. Ale nie, wojsko wykazało się typową dla siebie systematycznością. W kilkunastu miejscach ziały dziury po oderwanych przez pociski artyleryjskie potężnych blokach. Nawet koza nie zdołałaby tędy zejść.

- Wiem już, dlaczego bogowie postanowili zamieszkać w tym miejscu - odezwał się wytworny, pewny siebie głos tuż za jego plecami.

Shanowi chustka wysunęła się z palców, nim chwycił ją za luźne końce węzła. Wypakowana łajnem czerwona bandana w kwiaty, znakomita broń do bitwy, w jaką go wciągnięto. Nie odwrócił się twarzą do Kohlera, lecz ustawił się bokiem, by zwiększyć siłę zamachu.

- Zaginione złoto, Heinz - powiedział swobodnym tonem - już dawno temu całe poszło do tej dziury.

- Zaginione złoto?

- Złoto, którego szukał Bing i zginął.

- Bing? To nie był czasem jeden z tych górników?

- Szukając was, zadzwoniliśmy do Lhasy. - Podniósł z ziemi tobołek z łajnem. - Wasz stary przyjaciel wyprowadził się przeszło rok temu. Ta kobieta w waszym apartamencie, ta, do której kierowane są telefony z recepcji hotelu, czy ona też jeździ do Indii?

- Chyba macie zawroty głowy, Shan. Ostrzegałem, że wysokość może wam zaszkodzić.

Kohler posuwał się drobnymi krokami w jego stronę. Za Shanem, kilkanaście centymetrów od niego, znajdowała się stu pięćdziesięciometrowa przepaść. Shan wyjął świstek papieru z prywatnym numerem telefonu, który podyktowano mu z Lhadrung. Kohler, na moment zbity z tropu, wziął go do ręki.

- Gao wie, że kłamaliście, choć nie jest jeszcze gotów to przyznać. Wie, że gdyby w tej chwili zadzwonił pod ten numer, usłyszałby tę samą wiadomość. To tylko drobne kłamstewko, ale u człowieka takiego jak Gao raz obudzone wątpliwości nie dają się już powstrzymać.

Przebiegł przed nim. Kohler uśmiechnął się szeroko i otworzył dłoń, pozwalając, by wiatr porwał mu świstek z ręki.

- Gao wie, że prowadzę interesy w Indiach. Wie, że mam przyjaciółki.

- Wysyłacie z Tashtul ciężarówki do Indii. Do tego trzeba mieć specjalnego kierowcę i specjalne dokumenty. Trzeba uiścić opłaty, nawet wręczyć łapówki. Funkcjonariusze celni cieszą się złą sławą. Tyle kłopotu dla paru bibelotów.

- To nowy porządek świata. Przetwarzanie zachodnich apetytów na wschodnią gotówkę.

Kohler nie ruszył za Shanem, gdy ten zaczął schodzić. Po kilku krokach Shan obejrzał się za siebie. Niemiec stał na jednym z wysokich głazów, zapatrzony w barwną smugę na południowym horyzoncie, odległe Himalaje, za którymi leżały białe plaże Indii.

Tymczasem Hostene ułożył ze świętych piórek przylegający do skały półokrąg wokół miejsca, gdzie siedział z Abigail. Jego siostrzenica zaczęła na powrót przeistaczać się w kobietę, jaką Shan poznał w składzie Gao - zmywała swe trzecie oko, zdjęła biżuterię oraz ceremonialną suknię, która skrywała jej dzinsy. Gao spał. Yangke, wciąż z opaską na oczach, przesuwiał w palcach paciorki, mrucząc cicho.

Po powrocie Kohler nie odezwał się słowem. Przyłączył się do prac w obozie, po czym, gdy Gao obudził się, usiadł przy nim na skale, mówiąc o pogodzie, o sprawach ich firmy, o tym, jak załatwił transport zwłok Thomasa, o propozycjach co do uroczystości pogrzebowej chłopca. Zaparzył starszemu mężczyźnie czarkę herbaty i wyjął zapasowe ubrania, by wymościć mu siedzenie na skałach.

- Heinz, spójrz! - wykrzyknął nagle Gao z absurdalną nadzieją w głosie, wskazując coś w górze. — To Albert i jego ojciec! Młody lata!

Okrzyk ten wyraźnie wstrząsnął Kohlerem. Znieruchomiał na chwilę, po czym uniósł dłoń i mrużąc oczy, jak rozentuzjasmowane dziecko wskazał palcem dwa ptaki odlatujące w stronę zachodniego zbocza.

- Nam zajmie to całe dnie, ale one będą w domu w pięć minut - powiedział. Uśmiechnął się z zakłopotaniem do Gao. Zdawało się jednak, że w jego wnętrzu coś pękło.

Ich dziwny, nieziemski dzień dobiegał końca. Dopełniali ostatnich prac w obozie, gromadząc opał na nocne ognisko i układając wszystkie koce wokół Abigail i Yangkego, gdy Shan dostrzegł krążącą wokół szczeliny samotną postać. Dogonił Gao i przez kilka minut siedł obok niego w milczeniu.

- Nie odpowiedzieliście jeszcze na moje pytanie - odezwał się w końcu. — Gdzie Kohler odsiadywał wyrok?

Gao przystanął, pochylił się i podniósł maleńki żółty kamyczek leżący na skraju szczeliny. Trzymał go w palcach, przez chwilę przyglądając mu się z uwagą.

- To tylko skupisko atomów, które przypadkowo ułożyły się w ten sposób, bo jakimś trafem cztery miliardy lat temu znalazły się równocześnie w tej samej kałuży magmy.

- Może to właśnie jest na dnie tej czeluści - podsunął Shan. - Kałuża magmy, dzięki której złoto ma szansę stać się czymś użytecznym, jak żelazo.

- W Tybecie nawet atomy mogą się odrodzić w wyższej formie - odparł ze smutnym uśmiechem Gao i cisnął bryłkę w otchłań.

Szli skrajem rozpadliny. Na niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy.

- To było nieporozumienie — powiedział nagle Gao. — Heinz brał udział w symposium w Japonii. Jego wydatki zostały dwukrotnie zrefundowane. Było dochodzenie, które wykazało, że z funduszy laboratorium zginęło pół miliona dolarów. Wyjaśnić mogło być wiele, mieliśmy liczny personel. Ale on odpowiadał za księgowość, tak więc był pierwszym podejrzanym. Urzędnik, który dla niego pracował, zginął w wypadku na początku dochodzenia, więc nie było jednoznacznych dowodów. Ale ktoś musiał zapłacić. Heinza wysłano do obozu reedukacyjnego.

Obóz reedukacyjny był najłagodniejszą formą kary. To oznaczało, że Gao musiał użyć swych wpływów.

- W pierwszym miesiącu pobytu miał sprzeczkę z oficerem Urzędu Bezpieczeństwa, który trafił do szpitala. Zanim dowiedziałem się o tym, przenieśli go gdzie indziej. Odszukałem go dopiero po miesiącu.

- Obóz pracy przymusowej - odgadł Shan.

- To nie powinno się zdarzyć. Wiecie, jak to jest. Człowiek taki jak Heinz przyciągał w obozie agresję.

- Trafił do zachodniego Tybetu - zaryzykował Shan. - Do Rutok.

W nikłym świetle ledwo mógł dostrzec sztywne skinienie głowy Gao. Szli w milczeniu, wciąż obchodząc szczelinę. Przed dwoma z mijanych kopców leżały ludzkie kości.

- Co ten pustelnik spodziewał się zastać? - zapytał w końcu Gao. - Co to właściwie za miejsce, do którego zmierzał?

- Bayul? Tam zawsze jest ciepło. Wylądowałby na miękkiej tęczy, wśród kwiatów i ptaków. Fontanny słodkiej wody. Współczucie i mądrość. Jego wuj odszedł tam czterdzieści lat temu. Teraz on do niego dołączył.

- Ach — rzekł fizyk, jak gdyby pojął już wszystko.

Shan uświadomił sobie, że on także miał bratanka, który czegoś szukał.

- Mój ojciec pisywał do swego dziadka i wysyłał mu listy w dymie. - Był to prastary chiński zwyczaj, pisać listy do zmarłych, po czym palić je, by dym zaniósł wiadomość do nieba. - Ojciec zmarł, gdy byłem jeszcze dzieckiem — ciągnął Shan. - Czasem jednak, jak każe tradycja, pisuję do niego.

Obserwowali wschód księżyca, po czym zaczęli rozmawiać o złocie, o Indiach i trzech mężczyznach - każdy ze specyficznymi kwalifikacjami - którzy spotkali się w tybetańskim obozie pracy pod Rutok. Tashi, uzdolniony fałszerz. Bing, funkcjonariusz bezpieczeństwa. Trzeci, kierujący niewielką, ale dogodnie zlokalizowaną firmą. W końcu Shan odszedł na chwilę i wrócił z kartką wyrwaną z dziennika Abigail, jednym z jej piór oraz starą lampką maślaną, którą zapalił.

- Nie wiem, co mu powiedzieć — wyznał ochryplym szeptem Gao.

- Kiedy piszę do ojca, czasami opowiadam mu po prostu o swym życiu - odparł Shan. - Czasami przepraszam go, że nie umiem sprostać jego oczekiwaniom. Czasami mówię, że niekiedy wciąż czuję przy sobie jego obecność. Raz — dodał łamiącym się głosem - wyznałem mu, że spośród wszystkich zagadek, jakie napotykam, tymi, o których wiem, że nigdy nie zdołam ich rozwiązać, są zagadki ludzkiego serca.

Po tych słowach zostawił fizyka samego i ruszył ścieżką,



którą przybyli tu rano. Przyglądał się z oddali obozowi, po czym podniósł z jednego z kopców dwie długie kości i zabrał się do pracy. Gdy skończył, znalazł sobie wygodny punkt obserwacyjny w pobliżu miejsca, gdzie Gao wciąż siedział i pisał. Spojrzał w czernść szczeliny, potem w niebo. Przed tarczą księżycy przeleciał z trzepotem ciemny kształt. Mogła to być chmura. Mógł to być smok.

Seria eksplozji wyrwała Shana z somnambulicznego otępienia. Piorun! krzyknął przerażony głos w głębi jego umysłu. Nie, gorzej, uświadomił sobie. Wystrzały. Trzy wystrzały z broni palnej, jeden po drugim, dobiegające z miejsca, gdzie zostawił trójkę swych towarzyszy.

## ROZDZIAŁ 15

Gao zdążył już zrobić kilka chwiejnych kroków w stronę, skąd dobiegły strzały, kiedy Shan chwycił go, wskazał w przeciwnym kierunku i odbiegł.

Człowiek, którego ścigał, posuwał się wolno, znacznie mniej niż Shan skłonny gnać na złamanie karku w ciemnościach. Duch na ścieżce zatrzymał go. Shan, śledzący go z cieni, rzucił w ducha kamykiem, wprawiając go w ruch. Była to pospieszna robota, usypanie ponadmetrowej wysokości kopca na zacienionym fragmencie ścieżki, połączenie dwóch kości w prymitywny krzyżak za pomocą liny z jaczej sierści, wreszcie udrapowanie na nim białego podkoszulka zwieńczonego twarzą zrobioną z kolejnej kartki wydartej z dziennika Abigail, przebitej dwoma okrągłymi otworami oczu. Ale na tej górze, tej nocy, wystarczyło to, by przerazić każdego.

Shan podszedł bliżej, nie starając się nawet ukryć swej obecności. Na dźwięk jego kroków Kohler obrócił się gwałtownie. Oparł jeden z dwóch kijów, które niósł, o wysoką skałę przy ścieżce i sięgnął ręką do paska na plecach. Odwrócił się bokiem, tak by widzieć zarówno Shana, jak i ducha. Na ścieżce za Shanem znów rozległ się chrzęst żwiru.

- Słyszałeś wystrzały? - wybuchnął Kohler na widok Gao. - Ona oszalała. Gada wciąż sama do siebie. Wczoraj pomogła temu szalonemu mnichowi mnie związać. Nie możemy czekać, żeby zejść razem. Muszę natychmiast sprowadzić pomoc. Bóg wie, co ona zrobiła.

- W takim razie potrzebujemy was tutaj bardziej niż kiedykolwiek - stwierdził Shan, wolno posuwając się naprzód.

Kohler przesunął się w stronę kopca z duchem. Zdawało się, że rozpoznał wreszcie, co to jest.

- Wy to zrobiliście — warknął na Shana. - Zburzcie to.

- To pomnik ku czci martwych pustelników - odparł Shan.

Kohler wyciągnął dłoń zza pleców. Trzymał w niej mały czarny pistolet.

- Zburzcie to - rozkazał.

Gdy Shan nie drgnął nawet, Niemiec zrobił w jego stronę gwałtowny ruch bronią, po czym zamachnął się trzymanym w drugiej ręce kijem do ciosu, który w zamierzeniu miał zdruzgotać mu żebra. Shan uskoczył w bok. W tym samym momencie kamień przeleciał w powietrzu, trafiając Kohlera prosto w czoło. Niemiec runął na ziemię.

W świetle księżyca ukazała się znajoma twarz, na której malował się uśmiech zaskoczenia. Szmaciana przepaska na oczy dyndała na szyi. Yangke odzyskał wzrok.

- On nie zamierzał was zabić - odezwał się spiętym głosem Gao.

- Tej kruchej nadziei — odparł Shan - powierzyłem swoje życie.

Podał fizykowi pistolet, po czym wspólnie z Yangkem na pół zaniósł, na pół zawłókł Kohlera z powrotem do obozu.

Położyli Niemca przy ognisku i związali mu ręce i nogi. Nigdzie nie było widać Abigail i Hostene'a.

- Nie wiem, dokąd ich zabrał - oświadczył z niepokojem Tybetańczyk. - Wzrok wrócił mi po południu, ale zrobiłem parę dziurek w bandażu i nałożyłem go z powrotem. Widziałem, jak prowadzi Hostene'a i Abigail między skały w górze. Wrócił, rzucił do ognia parę kamyków i pobiegł w stronę ścieżki. Strzeliły trzy razy. To chyba były kule, nie kamyki. - Yangke spojrział w stronę szczytu. - Nie rozumiem. Tak jakby ta góra doprowadzała wszystkich do szaleństwa. Tam, wyżej, są tylko urwiska i rozpadliny. To nie jest miejsce, by przebywać w nim nocą.

Przeniósł wzrok z ognia na nieprzytomnego mężczyznę, po czym zerwał się i pobiegł w górę stoku, o krok wyprzedzając Shana. Gao siedział na ziemi obok Kohlera z twarzą ukrytą w dłoniach.

Niemiec odwalił kawał dobrej roboty. Znaleźli Hostene'a i jego siostrzenicę, zakneblowanych i związanych plecami do siebie, na wąskiej półce skalnej, gdzie Shan wcześniej tego

dnia rozmawiał z Kohlerem. Pozostawił ich trzydzieści centymetrów od skraju stupięcdziesięciometrowej przepaści. Abigail siedziała ze zwieszoną głową, nieprzytomna. Hostene wpatrywał się w nocne niebo z takim natężeniem, że Shan musiał potrząsnąć nim, by Indianin go zauważył.

Gdy Shan uklęknął i rozwiązał liny, Abigail osunęła się bezwładnie w jego ramiona. Hostene zbadał jej puls. Zareagowała, cofając swą rękę, i przeciągnęła się. Jej wuj odetchnął z ulgą. Spała.

Umieścili Kohlera pod skalną ścianą, za ogniskiem, obserwując go na zmianę. Tylko Hostene, gdy przyszła jego kolej, postanowił zatknąć pistolet za pas. Shan i Yangke wybrali jako broń jeden z kosturów. Yangke, któremu pytania wyraźnie cisnęły się na usta, wyczuł, że to nie pora na zaspokajanie ciekawości. Tylko jedna zagadka wyjaśniła się całkowicie tej nocy, gdy Shan podszedł do Hostene'a, siedzącego po przeciwnej stronie ogniska, i podał mu brązową plastikową fiolkę, którą odkrył, przeszukując plecak Niemca.

- Kohler miał rację - powiedział. — Choroba wysokościowa miewa rozmaite objawy. A on był przygotowany na wszystkie. - Pokazał Hostene'owi jeszcze trzy podobne pojemniki, które wyjął z plecaka, wszystkie z drukowanymi po chińsku i po angielsku etykietkami. - Acetazolamid - ciągnął, podnosząc pierwszy słoiczek - zapobiega chorobie i łagodzi jej wczesne objawy. - Wskazał na pozostałe dwa. - Furosemid jest na obrzęki, prometazyna na nudności. A to, co pan trzyma w ręce, to morfina. Dwie lub trzy tabletki i każdy zachowywałby się tak, jak ona dziś po południu z Rapakim. A jeśli ta butelka była pełna, to ona jest odurzona już od paru dni.

Hostene wyciągnął ramię, jak gdyby chciał cisnąć fiolkę precz, potem jednak zerknął w stronę swej śpiącej siostrzenicy i schował ją do kieszeni.

- Kiedyś, w mojej starej świątyni - oświadczył po chwili Yangke - jeden z nauczycieli powiedział, że nie da się mieć boga bez diabła. Grzesznik określa świętego.

- Już dawno przestałem szukać wytłumaczenia dla grzeszników — odparł Hostene, odchodząc tam, gdzie leżał Kohler.

Shan ruszył za nim, przyglądając się, jak Indianin krąży wokół Niemca, który dotąd nie otworzył oczu. — Różnica między panem a mną, Shan, jest taka, że pan był śledczym. Po prostu odkrywał pan fakty i układał je we właściwej kolejności. Ale ja - ciągnął Hostene - ja byłem sędzią. Pan wyszukiwał brudy. Ja musiałem je sprzątać.

- On nie jest tak naprawdę zabójcą - odparł Shan.

- To samo Yangke mówił o Rapakim. Co ma pan na myśli? - zapytał ostro Hostene.

- To fizyk, który został biznesmenem, prawdziwy szef Małej Moskwy. Miał biznesplan: wyeliminować Chodrona przez zdyskredytowanie go i złożenie Bingowi lepszej propozycji. Skupywanie złota od górników i zapłata od ręki, dzięki czemu ryzyko z ich strony zmniejszyłoby się do minimum.

Do rozmowy włączył się nowy, pogardliwy głos.

- To wcale nie miało się tak skończyć - powiedział Kohler, wierząc się, póki nie oparł się plecami o skałę. - Nie zamierzałem nikogo zabijać.

- Nie - przyznał Shan. - Do jedyne zaplanowanego morderstwa doszło rok temu, kiedy Bing i Chodron postanowili zlikwidować siejącego ferment górnik i oskarżyć jego partnera. Bing dowiódł, że potrafi chronić górników, więc wybrali go na swego przywódcę, tak jak obmyślił to sobie z Chodronem. Ale to było, zanim jeszcze scementowaliście swój sojusz z Bingiem, zanim trzej kompani z obozu pracy uświadomili sobie, jakie pieniądze mogliby zarobić, gdyby każdy oddał na usługi sprawy swój szczególny talent. Zanim zainstalowaliście w Tashtul nową odlewnię.

- To Tashi - oświadczył Kohler, patrząc teraz w ogień. - To on był katalizatorem. Zaproponował, że będzie robić dla mnie fałszywe formularze celne, dzięki czemu nie będę musiał płacić cła. Był fenomenalnym fałszerzem, prawdziwym artystą. Ćwiczył w więzieniu, kopiując buddyjskie święte księgi. Bing przyłapał go na podrabianiu przepustek dla obozowych strażników. Potrafił rozpoznać prawdziwy talent. A potem Tashi opowiedział mu o swej magicznej górze. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy Bing zapytał, czy kiedykolwiek słyszałem o Górze Śpiącego Smoka.

- Ale to wy dostrzeżecie większe możliwości - zauważył

Shan. - Wysyłać złoto ciężarówkami do Indii. Pod koniec lata mogliście w waszej małej odlewni w Tashtul obrócić złoto w tybetańskie bóstwa i jaki, pomalowane tak, by wyglądały na zrobione z tańszego metalu. Potem Tashi, z podrobionymi dokumentami, przewoził te bibeloty przez granicę. W porównaniu z tym pomysł Chodrona, by po prostu nakładać na górników tajny podatek, był niczym. - Shan zerknął na Yang-kego, który słuchał z uwagą. Tashi obiecał mu, że odbędzie całą drogę do Indii z bogami. - Heinz myśli w skali globalnej. Odwrócił strukturę biznesu Chodrona. Zamiast pobierać procent od górników, odbierał złoto i wypłacał im procent. Przejmował ryzyko, wywożąc złoto z Chin i sprzedając je gdzie indziej. To dlatego niektórzy górnicy mieli tyle gotówki. - Odwrócił się do Kohlera. - Zaczęliście już budować swój rynek.

Niemiec z szacunkiem skłonił przed nim głowę. -Jeśli chcecie przewidzieć cenę złota, policzcie wojny, jakie toczą się na świecie. To rynek zwyżkujący.

- Cud przedsiębiorczości - przyznał beznamietnym głosem Shan. - Tyle tylko że wasz fałszerz i kierowca okazał się zbyt przedsiębiorczy.

-Praca kierowcy była dla Tashiego jedynie zajęciem ubocznym. Jego pasją były fałszerstwa. Jesteście na fali, Shan. Nie przerywajcie. Powinniście jeszcze tylko podkreślić, że w moim schemacie nikomu nie dzieje się krzywda, oprócz Chodrona, którego i tak wszyscy nienawidzą.

- To się zmieniło, gdy Tashi pogwałcił wasze reguły. Miał się nie pokazywać na górze, prawda?

- To był wspaniały dzieciak - stwierdził Kohler - dopóki się nie upił. Miał miłą pracę w naszym składzie w Chambie. Załatwiłem mu mieszkanie, telewizor. Nie musiał nic robić, jedynie siedzieć tam, póki nie przyślę po niego jesienią.

-Ale się znudził - dopowiedział Shan. - Zateęsknił za swoją górą. Może usłyszał, że Yangke wrócił, i chciał zobaczyć starego przyjaciela. Tajna wyprawa, którą zaproponował mu profesor Ma, była zbyt dobrą okazją, żeby ją przepuścić. To nie powinno mieć wpływu na wasz plan. Zdążyłby wrócić na czas, by pod koniec lata pomóc wam w odlewni w Tashtul, po czym pojechać do Indii. Ale był człowiekiem towarzyskim

i kiedy zobaczył paru górników z wódką Thomasa, nie mógł się powstrzymać, by nie wkręcić się do ich kompanii.

- Gwoli ścisłości - wtrącił Kohler - to była moja wódka. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi na myśl, że Thomas ukradnie ją, żeby ją sprzedać. Chryste, tak się to wszystko zaczęło. Od mojej pieprzówki.

- Kiedy Tashi pił - szepnął Yangke - śpiewał stare pieśni o świętych.

- Kiedy Tashi się upił - dodał Shan - wyśpiewywał wszystko. Nie był właściwie przestępcą, po prostu chciał mieć przyjaciół.

- Ale po co było zabijać profesora Ma? - zapytał głuchym głosem Hostene. — Po co było zabijać samego Binga?

- Tashi stał się nieobliczalny. Trzeba było coś z nim zrobić, trzeba było go uciszyć. Ja byłem szefem. Bing odpowiadał za szczegóły - odparł rzeczowym tonem Kohler. - Kazał Rapakiemu czekać tamtej nocy w kamiennym kręgu. Miał zamiar sprowadzić tam jedynie Tashiego. Ale profesor się obudził. A Bing mógłby żyć, gdyby nie przyszło mu do głowy iść za nami. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Trzeba pogodzić się ze stratami i działać dalej, mówiłem Bingowi. To stało się zbyt ryzykowne. Ale on nie chciał słuchać.

- Dlatego, że miał zupełnie nowy plan — podsunął Shan - do którego nie potrzebował współnika.

Kohler wolno skinął głową.

- Najwyraźniej. Odkąd Rapaki wziął go w obroty, wpadł w obsesję na punkcie zaginionego złota. Powiedział, że jest go tam aż nadto dla nas obu.

- Ale wy zdążyliście już pożyczyć sobie jego laserowy wskaźnik - stwierdził Shan. - I nauczyliście się magicznego zaklęcia Rapakiego.

- *Ni shi sha gua, ni shi sha gua...* — Drwiąca mantra Kohlera urwała się nagle.

Gao wrócił i przysłuchiwał się rozmowie. Pod jego spojrzeniem Niemiec zdawał się kurczyć.

Zostawili Kohlera pod strażą Yangkego i położyli się w małej niszy w głębi pieczary, choć po odgłosie ich oddechów Shan poznał, że jego towarzysze także nie mogą zasnąć.

- Nie rozumiem - rozległ się w ciemności głos Hostene'a. -

Kohler miał dostać tyle złota, ile dusza zapragnie. Na co mu było złoto mnichów?

- On nie przyszedł tu po złoto mnichów - odparł Shan.

- To wszystko było pomysłem Binga - usłyszeli kobiecy głos. Po raz pierwszy Abigail wydawała się wolna od wpływu morfiny. - Czekał, kiedy tamtego ranka wynurzyliśmy się z Thomasem z przejścia. Uderzył go, po czym związał mnie, związał mi oczy i odprowadził między jakieś skały. Byłam szczęśliwa, kiedy w końcu zjawił się Kohler. Powiedział, że nie mógł pojechać do miasta, że wiedział, iż mogę potrzebować pomocy, że musimy się ukryć, dopóki Shan nie dogoni Binga. zaproponował, żebyśmy poszli korą, że zawsze chciał przejść ten szlak i że to doskonała okazja, by zabrać Rapa-kiego i dokończyć moje badania. Pomagał mi w pracy, trzymał kamerę i dźwigał mój plecak, kiedy byłam zmęczona. Nie sprzeciwiał się, kiedy powiedziałam, że muszę się przebrać za Tarę, by zdobyć zaufanie Rapakiego. Wciąż sądziłam, że chce mi pomóc, że ma dobre intencje, kiedy powiedział mi, że zdradzam objawy choroby wysokościowej, i podał mi lekarstwo. Do czasu, nim Bing nas dogonił, byłam już zamoczona narkotykami. Obserwowałam wszystko jak gdyby z daleka, przez mgłę. Nienawidziłam Binga za to, że bił Thomasa i zabrał go. Kohler powiedział mi, że Bing był także przy śmierci profesora Ma i Tashiego. Posadził mnie na skale i kazał mi nie ruszać się stamtąd. Nie powiedziałam nic, nie uciekłam. Chciałam, żeby Bing poniósł karę, ale sądziłam, że oni zamierzają go związać, zatrzymać jako więźnia. Potem Rapaki zaczął recytować swoje mantry o demonach. Heinz stał tam ze wskaźnikiem laserowym, jak gdyby reżyserował sztukę. Gdy zobaczyłam topór, zamknęłam oczy. Kilka minut później nadeszli ścieżką. Rapaki pogodnie śpiewał jedną ze swoich pieśni. Może nie widziałam tego, co mi się zdawało, powtarzałam sobie. Może to były narkotyki.

-Heinz przyszedł tu, by zrobić porządek - wyjaśnił Shan. - By pozbyć się świadków. Trójka pozostałych przy życiu ludzi, którzy mogli mu zaszkodzić, znajdowała się na szczycie tej góry. Zamierzał zejść na dół sam. Powróciłby ze swej podróży służbowej do Indii i opłakiwałby Thomasa, może nawet pomógłby nam szukać pani, Abigail.



-Nie wiem, co teraz będzie - stwierdziła Indianka. -Jeśli on trafi w ręce władz, będzie próbował kupić sobie życie, opowiadając im o górnikach, o wiosce, o pańskich przyjaciółach. Nie chcę, by Tybetańczykom stała się krzywda -powiedziała. — Niech mi pan powie, jak ocalić Tybetań-czyków.

Ale Shan udawał, że śpi.

W szarym świetle świtu sowa popsuła wszystko, gdy Shan, wstając z godzinnej drzemki, podszedł do ogniska. Hostene trzymał się kilka kroków od Kohlera, ale gdy Yangke krzyknął, wskazując ptaka, Indianin, rozproszony i zaniepokojony, przysunął się zbyt blisko. Nagłym ruchem Kohler zerwał się, rozkopując związanymi stopami resztki ogniska i posyłając w powietrze deszcz iskier. Uwolniwszy ręce, wyrwał pistolet zza pasa swego zaskoczonego strażnika. Potem szybko rozwiązał sobie stopy i zapędził swych niedawnych porywaczy w głąb pieczary. Zabrał plecak Abigail i swój własny, zarzucając sobie ostatnie dwa kostury na ramię.

- Heinz - odezwał się beznamiętnym głosem Gao. - To bez znaczenia. On jest już w drodze.

- O kim mówisz?

- Major Ren. Z siłami bezpieczeństwa. - Fizyk wyciągnął z kieszeni telefon satelitarny i uniósł go, pokazując Kohlerowi. -Nie przeszukałeś mnie. Wezwałem ich. Na tej wysokości odbiór jest znakomity. To nie potrwa długo. To najbardziej charakterystyczne miejsce w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Twarz Kohlera obwisła.

- Wszyscy mają iść na tę półkę - rozkazał - tę wysoką, wychodzącą na wschód. Natychmiast. - Kiwnął pistoletem. -Yangke przodem.

Szli ponurą kolumną. Gdy znaleźli się w wąskiej szczelinie między skałami, która prowadziła na półkę, Kohler chwycił Shana za koszulę i odciągnął go w tył.

- Shan i ja idziemy chwilę porozmawiać. Każdy, kto przejdzie przez tę szczelinę, zanim na to pozwolę, dostanie kulę w łeb.

W rzeczywistości jednak nie był zainteresowany rozmową.

Bnitalnymi pchnięciami skierował Shana z powrotem do obozu, a stamtąd na prowadzącą do ołtarza ścieżkę, na której Rapaki bił pokłony.

- Na procesie to wy powiążecie wszystko razem - powiedział, gdy dotarli na skraj szczeliny. - Nikt inny nie byłby w stanie tego zrobić. Z początku uważałem was za kogoś w rodzaju naukowca, łączącego kreskami oderwane fakty. Ale to nie do końca prawda. Jesteście raczej artystą. Najsubtelniejsze pociągnięcia pędzla, oto wasz styl. - W głosie Kohlera pojawił się rozkapryszony ton. Cisnął kostury w czeluść. - Każdy raj potrzebuje artystów.

Shan próbował odsunąć się od krawędzi. Kohler pchnął go naprzód pistoletem przystawionym do kręgosłupa.

- Jeszcze dwa miesiące i będę w Indiach. Nowy człowiek, nowe życie, willa jak pałac nad morzem. Stamtąd też mogę kierować firmą. Gao będzie samotny, ale możemy rozmawiać przez telefon.

Dotarli do ołtarza. Shan zastanawiał się, jak to nastąpi. Brutalne pchnięcie? Czy może najpierw strzał z pistoletu? Przypomniał sobie koszmarne sen o tym, jak spada w bezdenną ciemność, mijając kulące się na jego widok kościotrupy.

- On zawsze miał Thomasa. Planował tak czy owak częściej bywać w Pekinie, by być opiekunem chłopca. Moglibyśmy rozmawiać przez telefon - powtórzył Kohler, zmieniając tryb. - Nikomu nie musiała stać się krzywda. - Położył pistolet na ołtarzu. Zaczął rozpinać koszulę. - Wy jedni macie jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak to jest - powiedział Niemiec. -Elektrowstrząsy. Pałki. Szczypce do paznokci. Zimą trafił do nas obcokrajowiec, morderca, jakiś biedny głupiec z Pakistanu. Cudzoziemcy, którzy zabili Chińczyka, byli zawsze poddawani szczególnemu traktowaniu. Przywiązali go nagiego do słupa na dziedzińcu. Przeżył noc, ale stracił z powodu odmrożeń pół stopy i sześć palców u rąk. Kiedy wyzdrowiał, bili go regularnie i wybili mu wszystkie zęby. Jadł robaki, jeśli udało mu się je znaleźć. Robaki i kleik z ryżu, to wszystko, co mógł jeść. Wypadła mu większość włosów. Kiedy przybył, miał trzydzieści pięć lat. Po pół roku wyglądał na siedemdziesiąt. - Kohler starannie złożył koszulę, położył ją

u stóp ołtarza i obejrzał się na Shana. - Wy jedni rozumiecie, co mam na myśli. Musicie kiedyś wytłumaczyć mu to. Shan cofnął się o krok, potem jeszcze jeden.

- To nie musi być tak, Heinz.

Kohler zdjął buty, starannie zrolował do nich skarpetki.

- Powtarzałem sobie, że ten cholerny dzieciak nigdy w życiu nie ściągnie odcisków palców ze skał. Był w końcu tylko amatorem. Ale on musiał spróbować wszystkiego.

- Jak wysłanie do analizy włókien pobranych z tkaniny wepchniętej w usta ofiary - dopowiedział Shan.

Kohler spojrział na sunący w górze obłok.

- Jak wysłanie włókien - przyznał.

- Z jednego z waszych szali.

- Uczyliśmy go, by nigdy nie ustawał w dążeniu do wiedzy.

- Oto cena mody - zauważył Shan. - Z wyjątkiem was nikt na tej górze nie nosi kaszmiru.

Ta właśnie informacja przypieczętowała los Thomasa, zrozumiał teraz. Poprzedniej nocy Kohler przypisał sobie nieznaczną, niemal abstrakcyjną rolę w zabójstwach. Shan wiedział już, że rzeczywistość była znacznie bardziej brutalna. Kohler wepchnął swój zakrwawiony szalik w usta Tashiego, a później, gdy rzekomo był na polowaniu, pomógł Bingowi wynieść rozczłonkowane ciała.

- Nie mówcie mu — szepnął Kohler.

- Nie ma potrzeby, żeby Gao wiedział - zgodził się Shan. - O tym. Ani o Thomasie.

Nie chodziło po prostu o to, że Kohler był przy śmierci chłopca. To on wezwał Binga i Rapakiego, żeby go zabili.

Niemiec wepchnął buty pod ołtarz. Jego głos odzyskał dystyngowane, pewne siebie brzmienie.

- Powinno się iść tam bez żadnego brzemienia, prawda? Jak Rapaki.  
- Zrobił krok naprzód.

Na jego nagich plecach Shan dostrzegł znajomo wyglądające bliźniacze blizny, ślady po zaciskach elektrycznych. Kohler wyciągnął z kieszeni mały woreczek, wysypał część jego zawartości na dłoń i posypał sobie głowę żółtymi drobinami. Nie pyłkiem. Żółtym pyłem. Zawahał się chwilę, po czym wysypał sobie resztę woreczka na ramiona.

- To będzie prawdziwa przygoda, ten bayul. Rapaki i ja będziemy pewnie dzielić jedną pryczę. Będę rozmawiać o fizyce z bogami, którzy wywołują pioruny. - Kohler przeszedł na koniec sterczącej nad otchłanią płyty i starannie ustawił palce stóp na jej skraju, wyciągając ręce na boki. Z obnażonym torsem, bosy, lśniący, wyglądał jak pełen gracji skoczek przygotowujący się do mistrzowskiego występu. Pochylił się naprzód, zachowując idealną równowagę, gdy spadał, z uniesioną, połyskującą złotym pyłem głową, z rozłożonymi ramionami, dopóki nie zniknął w ciemnościach.

Gdy Shan się odwrócił, Gao stał przy nim, przyglądając się z twarzą wymizerowaną od emocji. Abigail nadbiegła ścieżką.

- Mógł pana zastrzelić - wybuchnęła, gdy dotarła do Shana.

- Mógł mnie zastrzelić - przyznał.

Indianka z konsternacją spojrzała na niego, na fizyka, wreszcie w głąb szczeliny.

- Musiał coś zrobić, zanim przybędzie helikopter. Pewnej nocy opowiadał o obozie pracy. Nie zniósłby kolejnego kontaktu z bezpieczeństwem.

Gao uniósł telefon.

- Nie ma żadnego helikoptera — powiedział. - Bateria rozładowała się podczas tamtej burzy.

Abigail drżała. Hostene przytulił ją do siebie.

- Bez kosturów nie damy rady zejść - zauważył Yangke.

Shan zajrzał do jedyne go plecaka, jaki im pozostał. Wyciągnął scyzoryk Kohlera, rzucił go Yangkemu, podniósł z ziemi ciężki kamień o ostrych krawędziach i wskazał w stronę szczytu.

- My dwaj idziemy załatwić transport - oświadczył.

Potrzebowali kwadransa, by dotrzeć do stacji przekaźnikowej, i dalszych dziesięciu minut, by odłączyć jej źródło zasilania. Godzinę później wojsko wysłało helikopter, by sprawdzić, co się stało.

## ROZDZIAŁ 16

Chodron unikał Shana i jego przyjaciół, kiedy wrócili do wioski. Gdy ujrzał Abigail, spiorunował ją wzrokiem, po czym spojrzał na ścieżkę za nią, jak gdyby wypatrując tam Binga. Jak się zdawało, zadowolił się zamanifestowaniem swej władzy, wystawiwszy przed domem Dolmy strażnika, który miał dopilnować, by Gendun, Lokesh oraz dwoje Indian pozostali pod kluczem. Nie sprzeciwił się, kiedy posłali po jedzenie, i zdawał się nie zauważać, że stale rosnąca liczba mieszkańców wioski zaczęła składać im wizyty, nierzadko wielogodzinne, nawet kiedy przyłączyła się do nich jego żona. Kilka razy dziennie uruchamiał swój generator. Shan widywał, jak chodzi samotnie po poczerniałych polach.

31 lipca naczelnik i jego pomagierzy zaczęli budować dekoracje na święto, choć niewielu ludzi przyłączyło się do pomocy w rozwieszaniu przy drzwiach domów papierowych chorągiewek i splewiałych czerwono-żółtych wstęg. Godzinę po świcie tego z dawna wyczekiwanego dnia zaczął odtwarzać patriotyczne pieśni z podłączonego do generatora przenośnego sprzętu stereo, po czym stanął przed nim w swym wyjściowym ubraniu, machając ręką, jak gdyby dyrygował chórem, podczas gdy jego ludzie odpalali serie petard. Shan i Yangke siedzieli na ławce, przyglądając się i czekając.

Chodron nie od razu usłyszał helikopter, który wylądował na polach powyżej wioski. Wciąż wymachiwał swą wyimaginowaną batutą, wołając ze złością do mieszkańców, którzy nie zwracali na niego uwagi, obserwując stok. Nagle jego ręka zastygła w powietrzu, a wymuszony uśmiech ulotnił się. Zauważył dwóch mężczyzn idących w dół przez pola.

- Przygotowaliśmy poczęstunek - zawołał do Gao, gdy tylko przybysze znaleźli się w zasięgu głosu. - Cóż za zaszczyt gościć was i...  
- spojrzał niepewnie na młodego funkcjo-

nariusza Urzędu Bezpieczeństwa, który pomagał fizykowi w Tashtul  
- i przedstawiciele wojska. - Zrobił gest w stronę swego domu.

Gao zignorował go. Odwrócił się do Shana.

- Macie jakieś preferencje co do miejsca, gdzie to ma nastąpić?

- Tak - odparł Shan i wskazał pusty spichlerz, gdzie Cho-dron przeprowadzał sesje tamzingu.

Naczelnik rozejrzył się za pomocnikami, ale się ulotnili. Funkcjonariusz wystąpił naprzód i pociągnął go za łokieć.

- Uruchamiamy program przesiedlenia - oświadczył, gdy znaleźli się w środku. Niepewność, jaką okazywał w Tashtul, zniknęła bez śladu. Był stanowczy i rzeczowy. - Macie godzinę na przygotowania.

Chodron otworzył usta i zamknął, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Krew wolno odpłynęła mu z twarzy.

- Moja wioska! - krzyknął w końcu. - Nie możemy... Jestem sekretarzem...

Spojrzał na Gao, jak gdyby szukając pomocy. Ale fizyk stał bez słowa, z rękoma założonymi na piersi.

- Nie wspomniałem o wiosce - odparł funkcjonariusz. -Jedynie was spotyka ten zaszczyt.

Oczy Chodrona zwięzły się, gdy przypatrywał się pałkarzowi, fizykowi, a wreszcie Shanowi. Na jego twarz zaczął wracać rumieniec.

- J jestem sekretarzem... - zaczął raz jeszcze donośniej szym głosem.

Pałkarz westchnął ze zniecierpliwieniem, po czym wyciągnął z kieszeni złożony list i podał go Chodronowi.

- Znajdziecie tu aż nadto podpisów. - Demonstracyjnie spojrzął na zegarek. - Zostało wam pięćdziesiąt pięć minut.

-Niemożliwe! - syknął naczelnik. - Nie zdążymy nawet... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy przebiegał list wzrokiem.

- Twojażona-rozległ się łagodny głoszcieni-postanowiła nie towarzyszyć ci w podróży. - Dolma zrobiła krok naprzód, do światła. Wyglądała promiennie, ze świeżo wypolerowanym, srebrnym, ozdobionym turkusami pudełkiem na amulet

wiszącym na skromnej czarnej sukni. - Będzie mieszkała ze mną. W twoim domu powstanie wioskowa szkoła. Chodron utkwiał w Shanie nienawistne spojrzenie.

- Muszę zabrać do Tashtul mnóstwo rzeczy.

- Tylko ubrania - oświadczył pałkarz. - Wasz nowy dom nie jest wcale w Tashtul.

- Ale ja mam tam willę! - zaprotestował Chodron. -Mam... - Zerknął na Dolmę i postanowił nie kończyć zdania.

- Pannę Jiling? - podpowiedział funkcjonariusz. - Niestety wyjechała dość nagle. Jakieś problemy rodzinne w Mandżurii. A wasza willa wraz z całą zawartością została wystawiona na sprzedaż.

- Na sprzedaż? Nie możecie tak po prostu...

- To wynagrodzi nam utracone plony — wtrąciła Dolma. -Uzyskana suma powinna wyżywić nas przez zimę. Za pieniądze, które pozostaną, zaczniemy odbudowywać starą świątynię.

- Wy...! - Chodron splunął na Shana.

- Nie wiemy, czy uda nam się zlokalizować wszystkie wasze konta - oświadczył obojętnym tonem Shan. - Ale bez wątpienia Jiling wie, gdzie one są. Przypuszczalnie zaczęła już wybierać pieniądze. Czeka ją wiele wydatków w Mandżurii.

Chodron wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się na niego z pięściami. Pałkarz podszedł bliżej.

- Pytaliśmy Genduna, jak powinniśmy z wami postąpić -ciągnął Shan. - Zawdzięczacie życie jego współczuciu. Załatwiliśmy wam reinkarnację. Bez przykrości w postaci plutonu egzekucyjnego.

Funkcjonariusz wyjaśniał teraz szybko, nie dopuszczając już Chodrona do głosu. Profesor Gao był tak uprzejmy, że wystarał się dla niego o stanowisko szefa spraw cywilnych w jednostce wojskowej w Xinjiang. Było to w głębi pustyni, ale podobno suchy klimat dobrze wpływa na zdrowie.

Chodron zdawał się kurczyć na ich oczach.

- Nie możecie tego zrobić - powiedział, choć jego głos stracił całą siłę. — Są ludzie, do których mogę się zwrócić.

- Wasi ludzie - zauważył Shan - nie odpowiedzą na wasze telefony. Widzieli ten list, z podpisami z Pekinu.

- Wy! - warknął znów Chodron. - Nie macie pojęcia, co ja mogę...  
- Nie przeczytaliście chyba ostatniego akapitu. Naczelnik znów spojrzał na pismo i twarz mu zbieleła.

W ostatnim akapicie czytał, że został wykluczony z partii. Przez resztę życia miał pozostać jedynie maleńkim trybikiem w potężnej maszynie chińskiej biurokracji.

-Jeśli chcecie się opierać - ciągnął znużonym głosem Shan - księgi rachunkowe znajdują się w bezpiecznych rękach. Panna Jiling przed wyjazdem przekazała władzom tę z Tash-tul wraz z pisemnym wyjaśnieniem dotyczącym danych demograficznych, przydziałów rządowych i waszych tajnych kont. I tę drugą również.

- Nie ma żadnej innej - zaprotestował głuchym głosem Chodron.

- Tak lojalny członek partii jak wy byłby z pewnością szczęśliwy, gdyby cała wieś przeczytała *Cytaty z dzieł Mao Tse-tunga* - podsunął Shan. - Sprytnie posunięcie. Wasza żona wykradła je dla mnie.

Chodron tylko otworzył i zamknął usta.

- Pięćdziesiąt minut - oświadczył pałkarz.

Nim naczelnik opuścił pomieszczenie, Dolma wręczyła mu gotowe do podpisu pismo. Miało ono stanowić jego ostatni oficjalny akt. Korygował on dane demograficzne, stwierdzając, że z powodu przesiedlenia rodzin umieszczone w szkole z internatem dzieci będą musiały powrócić do rodziców, w wiosce zaś nie będzie już odtąd dzieci w wieku szkolnym.' Był to pomysł Dolmy. Sprowadzała dzieci do domu i zapewniała, że nie będą już odsyłane następane. Yangke postanowił zostać i objąć posadę pierwszego nauczyciela w nowej szkole. Chodron obrzucił Shana wściekłym wzrokiem, po czym bez słowa złożył u dołu swój podpis.

Nikt nie pożegnał się z naczelnikiem. Zgromadzeni mieszkańcy wioski stali w milczeniu przy małej stercie pudeł. Podczas gdy Chodron się pakował, Yangke, Shan i dwaj żołnierze wyładowywali je z helikoptera. Gao przysłał im żywność, wiele skrzynek z żywnością, jakiej niektórzy z wieśniaków nigdy nie widzieli. Gdy zaczęli rozpakowywać pudła, nadeszła Dolma z Lokeshem, prowadząc Genduna ku po-



bliskiej ławce. Gdy warkot helikoptera ucichł w oddali, stary lama zaczął śpiewać słabym, lecz przepelnionym radością głosem. Jego pieśń przybierała na sile, w miarę jak żółto--czerwone flagi zastępowane były flagami modlitewnymi przygotowanymi noc wcześniej w domu Dolmy. Tylko jeden człowiek trzymał się na uboczu, dopóki mała dziewczynka w jaskrawoczerwonym fartuchu nie podeszła i nie wzięła go za rękę. Gao umówił się z pilotem, że helikopter zabierze go następnego dnia.

Popołudnie upłynęło na pracowitych, niemal gorączkowych przygotowaniach prowadzonych w myśl dokładnych instrukcji Hostene'a i Lokesha, którzy naradzali się przez wiele dni, z Gendunem jako mediatorem. Na miejsce akcji wybrali drugi ze starych spichrzy, gdyż, jak wyjaśnił Hostene, okrągła kamienna budowla najbardziej przypominała hogany jego plemienia.

Pasterze opuścili swe stada, by zbierać barwne piaski i pyłek, i wrócili z wieścią, że górnicy masowo uciekają z góry. Kilka wioskowych kobiet pomagało Abigail wykonać pierzaste różdżki i improwizowaną biżuterię. Hostene spędził poprzedni dzień z Lokeshem w zaimprovizowanej łaźni parowej. Shan pomógł nosić rozgrzane kamienie i wodę, potrzebne do ceremonii oczyszczającej Indian Nawaho.

Shan z lekkim uśmiechem patrzył na wioskę z górującej nad nią płaskiej skały, kiedy usłyszał chrzęst żwiru. Gao usiadł obok niego, nie odzywając się słowem. Naukowiec wydawał się starszy, ale także jakoś bardziej ludzki. W dole dzieci prowadziły Genduna do skraju pól, gdzie Trinle wytyczał palikami zarys ich nowej świątyni.

— Widziałem, jak wynieśliście plecak na skały w górze — powiedział wreszcie Gao.

Od czasu powrotu do wioski Shan każdej nocy przesiadywał samotnie całymi godzinami na występie skalnym ponad wioską. W końcu podjął decyzję. Nadejdzie dzień, nie dziś lub jutro, ale wkrótce, kiedy wymknie się potajemnie. Kochał starych Tybetańczyków jak własną rodzinę, ale nie mógł znieść myśli o ściąganiu na nich dalszych krzywd. Jego życie na tej górze dobiegało końca. Lokesh rozumiał to, choć

nie padły na ten temat między nimi żadne słowa. Jego stary przyjaciel znalazł go pewnej nocy na skale, przyjął zwrócone mu pudełko na amulet, po czym siedział z Shanem w milczeniu, które mówiło znacznie więcej niż słowa. Ujawszy jego dłoń, zwinął ją w kubek i połączył czubkami palców z własną zwiniętą dłonią. Była to mudra o nazwie Drogocennej Wazy. To, co zrobili razem, było wielkim skarbem, mówił Lokesh. Potem oderwał dłoń i odszedł w cienie.

- Swego czasu - powiedział cicho Shan - profesja wędrownego żebraka cieszyła się w Tybecie szacunkiem.

- Muszę wyjechać do Pekinu na pogrzeb - odparł Gao. -Ale wrócę, nim zasną się chłody. Mam wiele pustych pokoi. Nawet wędrowny żebrak może zatrzymać się pod dachem, może nawet zaszyć się na zimę w jakiejś norze. Moglibyśmy czytać dawnych poetów, gdy na dworze będzie padał śnieg.

- Znakomity pomysł — brzmiała odpowiedź Shana.

Gdy purpurowe resztki dnia gasły z wolna na zachodnim horyzoncie, Lokesh i Hostene przystąpili do dzieła. Ceremonia uzdrawiająca Indian Nawaho trwała zazwyczaj dziewięć dni, rytuały Lokesha co najmniej trzy. Za radą Genduna zdecydowali się na siedmiodniową ceremonię, połączenie Drogi Góry i inwokacji do Buddy Uzdrawiającego. Indianin uprzedził, że twarze należy wysmarować pyłkiem, a śpiewy będą się ciągnąć do późna w noc. Przebudzone zostaną od dawna śpiące bóstwa, odparł Lokesh, i potrzebne będą częste przerwy, by sprawdzić tętno ich pacjentki na szyi i nadgarstku. Pierwszej nocy Hostene miał rozpocząć z pomocą Lokesha piaskowy obraz Indian Nawaho. Po jego ukończeniu Lokesh z pomocą Hostene'a wykonać miał tybetańską piaskową mandalę. Starzy Tybetańczycy rozmawiali z Abigail szeptem, zapewniając ją, że często byli świadkami, jak nawet najcięższe choroby ustępowały, leczone dawnymi metodami.

Gdy Shan usiadł na ziemi na zarezerwowanym dla niego miejscu między Gendunem a Lokeshem, Abigail uśmiechnęła się do niego pogodnie. Zapytał ją, dlaczego przestała robić zapiski w dzienniku. Odparła, że naukowe dowody związków

między ich narodami zawsze pozostaną niepełne. Wyjaśniła, że spędzone na górze tygodnie nauczyły ją dostrzegać różnicę między prawdą a zwykłym faktem. W końcu poznała prawdę o sobie samej, a co do reszty, ta góra, ci ludzie, ten obrzęd będą dla niej wystarczającym dowodem.

## SŁOWNICZEK TERMINÓW OBCOJĘZYCZNYCH

*Słowniczek ten nie obejmuje terminów użytych tylko raz, których znaczenie zostało wyjaśnione bezpośrednio w tekście.*

**bayul** *tybet.* Dosłownie „ukryta kraina”, miejsce zamieszkiwane przez bóstwa i inne święte istoty.

**bon** *tybet.* Pradawna tybetańska religia, wyznawana na długo przed wprowadzeniem buddyzmu. Panteon bóstw i bogaty zestaw rytualnych praktyk bonu zostały w znacznej mierze wchłonięte przez tybetański buddyzm.

**canāue** *tybet.-chiń.* Ciężki drewniany kołnierz, zazwyczaj sięgający poza ramiona, nakładany na szyję przestępcy w charakterze kary.

**druk** *tybet.* Smok.

**dzong** *tybet.* Tradycyjne określenie tybetańskiej twierdzy lub zamku, dziś stosowane także w odniesieniu do lokalnych placówek administracyjnych w Tybecie.

**gau** *tybet.* „Przenośna kaplica”, noszony na szyi lub na nadgarstku mały metalowy relikwiarzyk na tekst modlitwy lub amulet.

**genpo** *tybet.* Naczelnik wioski.

**gompa** *tybet.* Klasztor buddyjski, dosłownie „miejsce medytacji”.

**ketaan** *nawaho.* Mały drewniany patyk wycięty z gałęzi rosnącej po wschodniej stronie drzewa, zazwyczaj z lekko o zaznaczoną głową i nogami dla nadania mu ludzkich kształtów, z głową zawsze wyrzeźbioną od strony rosnącego końca gałęzi. Używane jako obrzędowa ofiara, figurki ketaan są tradycyjnie malowane w barwy symbolizujące cztery strony świata i układane parami w rytualnym koszyku na warstwie mąki kukurydzianej.

**kora** *tybet*. Ścieżka pielgrzymkowa, trasa biegnąca wokół świętego miejsca.

**lama** *tybet*. Tybetańskie tłumaczenie sanskryckiego gurii, tradycyjnie oznaczające w pełni wyświęconego, starszego rangą mnicha nauczyciela.

**lha gyal lo** *tybet*. Tradycyjne tybetańskie zawołanie wyrażające cześć lub radość, dosłownie „niech zwyciężą bogowie”.

**mała** *tybet*. Buddyjski różaniec, zazwyczaj składający się ze stu ośmiu paciorków.

**mani** *tybet*. Kamień z wykutym lub wymalowanym tekstem buddyjskiej modlitwy lub mantry, zazwyczaj OM MANI PADME HUM.

**Milarepa** *tybet*. Wielki tybetański poeta i święty, żyjący w latach 10387-1122.

**mudra** *tybet*. Ściśle ustalony układ dłoni i palców symbolizujący określoną modlitwę, ofiarę lub stan umysłu.

**ni shi sha gua** *chin*. Dosłownie „ty głupi melonie”, zwrot używany powszechnie jako obelga.

**pecha** *tybet*. Tybetańska święta księga, zazwyczaj złożona z niezszywanych długich wąskich kart owiniętych w tkaninę, niekiedy ujętych w rzeźbione drewniane okładki.

**ragyapa** *tybet*. Rozcinacz zwłok, człowiek rozczłonkowany ciała w ramach przygotowań do tradycyjnego tybetańskiego podniebego pochówku.

**tamzing** *chin*. „Zebranie krytyki”, z reguły publiczna krytyka osoby, w której ramach poniżenie oraz słowna i fizyczna przemoc wykorzystywane są jako narzędzia indoktrynacji politycznej. Praktyka ta była szeroko rozpowszechniona w okresie „rewolucji kulturalnej”.

**Tara** *tybet*. Żeńskie bóstwo medytacyjne, czczone jako uosobienie współczucia i uważane za szczególną opiekunkę Tybetańczyków. Tara ma wiele form, z których każda ma specyficzne zastosowanie rytualne. Niekiedy określana jest jako Matka buddów.

**thanka** *tybet*. Malowidło na tkaninie, zwykle o charakterze religijnym, często uważane za święte, tradycyjnie w postaci przenośnego zwoju z delikatnej bawełny.

**torma** *tybet*. Rytualna ofiara wykonywana pierwotnie

z masła i mąki jęczmiennej, formowana i farbowana w różnych kształtach i rozmiarach w hołdzie dla bóstw buddyjskich

**tsampa** *tybet.* Prażona mąka jęczmienna, podstawowe pożywienie Tybetańczyków.